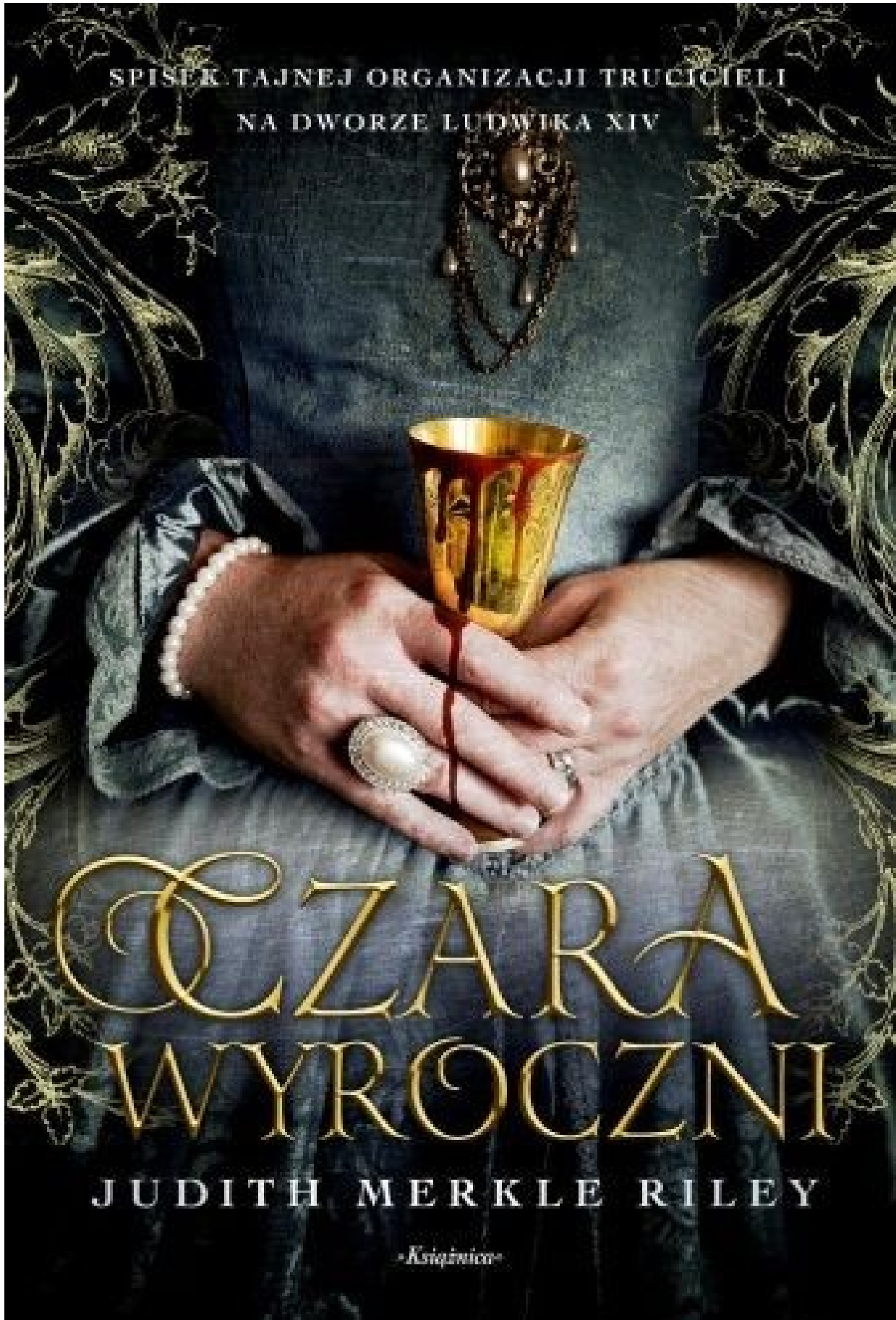


SPISEK TAJNEJ ORGANIZACJI TRUCICIELI
NA DWORZE LUDWIKA XIV

A woman in 17th-century attire, wearing a dark blue dress with gold embroidery and a pearl necklace, holds a golden chalice filled with red liquid. The background is dark with gold floral patterns.

CZARA WYROČZNI

JUDITH MERKLE RILEY

«Książnica»

Judith Merkle Riley

CZARA WYROCZNI

Przełożyła z angielskiego Barbara Korzon

Tytuł oryginału The Oracle Glass

KRÓL, DWÓR I PARYŻ W ROKU 1675

Postacie historyczne

Ludwik XIV, „Król Słońce”, monarcha

Elżbieta Karolina Bawarska, druga żona Francji

Maria Teresa Hiszpańska, Filipa Orleańskiego królowa Francji

Filip Orleański, „Monsieur”, młodszy brat Ludwika XIV

Louis Alexandre, hrabia de Toulouse

Oficjalne metresy króla

Diuszesa de La Valliere, była faworyta, mademoiselle de Blois zamknięta w klasztorze Karmelitanek.

Miała z królem troje dzieci, z których jedno zmarło w niemowlęctwie.

Francoise Marie,

Mademoiselle des Oeillets, domowniczka

i zaufana dama dworu madame de

Markiza de Montespan, aktualna fawory – Montespan. Jej dzieci (przypuszczalnie. Dzieci, które miała z królem: nie było ich dwoje) nie zostały uznane przez króla.

Louise, zmarła w wieku lat trzech

Louis Augustę, diuk de Maine

Mademoiselle de Fontanges, kandydatka na nową faworytę

Louis Cesar, hrabia de Vexin, zmarły jako jedenastoletni chłopiec

Markiza de Maintenon, w czasie akcji guwernantka dzieci madame de Montespan, później ostatnia oficjalna faworyta Ludwika XIV

Louise Francoise, mademoiselle de Nan –

Louise Marie, mademoiselle de Tours,

zmarła w wieku lat siedmiu

Członkowie rodziny madame de Montespan

Diuk de Vivonne, jej brat

Madame de Ksieni klasztoru w Fontevrault, druga jej

Thianges, jej siostra siostra

Członkowie rodu Mancinich, krewni niezującego kardynała Mazariniego

Philippe Julien Mancini, diuk de Nevers, mecenas sztuk i zamiłowany okultysta

Olympe Mancini, hrabina de Soissons

Marie Annę Mancini, diuszesa de Bouillon

Marie Mancini, księżna Colonna

Urzednicy królewscy

Jean-Baptiste Colbert, minister finansów

Francois Michel Le Tellier, markiz de Louvois, minister wojny

Gabriel Nicolas de La Reynie, komendant paryskiej policji kryminalnej, podwładny markiza de Louvois

Porucznik (później kapitan) Desgrez, oficer śledczy, podwładny pana de La Reynie

Wróżbici, czarownice, magicy i truciele

Primi Visconti, nadworny wróżbita Ludwika XIV

Madame de Brinvilliers, słynna wielokrotna trucicielka

Catherine Montvoisin (La Voisin), czarownica o wysokich koneksjach towarzyskich

Antoine Montvoisin, jej małżonek

Marie-Marguerite, jej pasierbica

Margot, jej pokojówka

Adam Lecouret (Le Sage), jej kochanek, magik

Catherine Trianon (La Trianon), czarownica, producentka farmaceutyków oraz substancji służących celom magicznym, wieloletnia przyjaciółka La Voisin

La Dodee, partnerka Catherine Trianon

La Lepere, fabrykantka aniołków i położna, współpracowniczka La Voisin

Marie Bosse (La Bosse), czarownica, konkurentka La Voisin

Marie Vigoreux (La Vigoreux), żona damskiego krawca, współpracowniczka La Bosse

Ojciec Guibourg, organizator i celebrant czarnych mszy

Postacie fikcyjne

Markiza de Morville, Genevieve Pasquier, wróżbitka wytwornego towarzystwa

Sylvie, jej pokojówka

Marie-Angelique Pasquier, jej siostra

Etierme Pasquier, jej brat

Kawaler de Saint-Laurent, brat jej matki

Matthieu Pasquier, zbankrutowany finansista i zamilowany filozof, jej ojciec

Marie-Francoise Pasquier, jej matka

Babcia Pasquier

Lorito, papuga płci męskiej, własność babci

Mustafa i Gilles, osobiści strażnicy madame de Morville

Astarot, diabeł

Andre Lamotte (później de la Motte), mało zdolny poeta, wyjątkowo sprawny w pokonywaniu kolejnych szczebli hierarchii społecznej

Florent d'Urbec, matematyk-amator, konstruktor mechanizmów, karciarz i czasami również szpieg

Liczna i wywołująca sporo zamieszania rodzina Florenta d'Urbeca

Parkerom z wyrazami szczerego oddania

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– O nieba, a któż to taki?

Ambasador Mediolanu na dworze jego królewskiej mości Ludwika XIV podniósł do oka lorgnon, by dokładniej zlustrować osobliwą postać, która właśnie ukazała się w drzwiach. Stojąca w progu kobieta wyglądała zaiste niezwykle nawet w tym miejscu i czasie – na tle znanego z ekstrawagancji salonu marszałkowej w roku Pańskim 1676, roku słynnym z prześwietnych zwycięstw. Hiszpańska krynolina z czarnego brokatu wykończona pod szyją ciasną białą kryzą modna byłaby w czasach Henryka IV. Hebanową laskę ozdobioną pękiem czarnych jedwabnych wstążek i tak prawie wysoką jak jej właścicielka wieńczyła srebrna sowa główka. Twarz kobiety skrywał wdowi welon. Gwar rozmów na moment przycichł, kiedy owa drobna, sztywno wyprostowana postać w stroju rodem z minionego stulecia odrzuciła czarną zasłonę, spod której wyłoniła się twarz dziwnie piękna, aczkolwiek powleczone widmową bledością od pokrywających ją warstw białego pudru. Nieznajoma chwilę jeszcze stała w progu, z niejakim rozbawieniem obserwując zgromadzone w salonie towarzystwo, jak gdyby w pełni zdawała sobie sprawę z sensacji wywołanej swoją obecnością. Damy tłumnie ruszyły ją witać.

– Ta osoba, drogi ambasadorze, to najzuchwalsza kobieta w Paryżu – cierpko zauważył towarzysz włoskiego dyplomaty, komendant generalny paryskiej policji, ubrany w dyskretnie surowy strój.

– Nie wątpię, że nikt nie może mieć bardziej uzasadnionych powodów do takich twierdzeń, monsieur de La Reynie – grzecznie skwitował tę uwagę Włoch, z trudem odrywając oczy od surowo pięknej twarzy nieznajomej. – Proszę mi jednak powiedzieć, co znaczy owa laska z sową głową? Wygląda z nią jak czarodziejka.

– Bo też o to chodzi tej damie. Odznacza się ona wielkim wyczuciem teatralnego efektu. Dlatego cały Paryż mówi o markizie de Morville – szef paryskiej policji uśmiechnął się z ironią, choć spojrzenie jego bezbarwnych oczu pozbawione było wesołości.

– Ach, więc to ona przepowiedziała przyszłość królowej! Zdaniem hrabiny de Soissons wróżby tej damy sprawdzają się nieomylnie. Sam rozważałem, czyby się jej nie poradzić. Może by mi sprzedała swoje karciane sekrety.

– Tajemna recepta madame de Morville na wygraną w karty to jej kolejne oszustwo. Ilekroć

komukolwiek uda się zgarnąć większą sumę w lancknechta, zaczyna się gadanie, że nasza markiza rozstała się w końcu ze swym drogocennym sekretem. Też mi sekret, doprawdy! – parsknął szef policji. – Bezwstydna awanturnica! Każdy skandal, który zdarzy się w mieście, umie zamienić na brzęczącą monetę, oto cały sekret. Tyle wierzę w tę karcianą formułę, co w jej twierdzenie, że przeżyła blisko dwa stulecia dzięki jakimś sztuczkom alchemicznym.

Zmieszany tymi słowy ambasador opuścił swoje lorgnon, na co de La Reynie kpiarsko uniósł brew:

– Nie powiesz mi chyba, drogi przyjacielu, żeś gotów był nabyć ową tajemnicę nieśmiertelności?

– Ach nie, skądże! – pospiesznie zapewnił go ambasador.

– Żyjemy wszak w czasach postępu. Chyba jedynie głupcy wierzą dziś w takie przesady.

– Zatem nawet w stuleciu nauki połowa Paryża to głupcy. Niech no ktoś postrada chustkę do nosa, pierścień albo kochankę, w te pędy gna do markizy, a ona kładzie mu karty bądź spogląda w to swoje tak zwane naczynie wyroczni. Tam do licha! A jednak większość petentów wychodzi od niej usatysfakcjonowana! Ileż trzeba inteligencji, by utrzymywać w ludziach wiarę w takie oszustwa. Niebezpieczna to inteligencja. Zapewniam cię, panie, że gdyby wróżbiarstwo nie było dziś legalną profesją, co rychlej aresztowałbym tę damę, i to zaraz w pierwszej kolejności.

Pochód markizy de Morville przez ogromny, łukowato sklepiony salon przypominał triumf rzymskiego zwycięzcy. Postępujący za swoją panią karzeł ubrany w strój mauretański niósł jej czarny brokatowy tren, chusteczkę zaś pokojówka w pasiastej jaskrawozielonej sukni. Wokół kłębił się tłum petentów spragnionych nadziei na rychłą odmianę losu: ubogie hrabiny, rozrzutni duchowni i zadłużeni złoci młodzieńcy, utytułowani libertyni nękani włoską chorobą, jak również nadworny lekarz wytwornego towarzystwa, doktor Rabel, oraz słynny satanista, diuk de Brissac, znany z tego, że para się czarną magią. Towarzyszyła mu świta kompanów o równie wątpliwej reputacji.

– Ach, oto i ktoś, kto nas może przedstawić! – wykrzyknął ambasador, zagradzając drogę smukłemu młodzieńcowi o oliwkowej cerze zmierzającemu w stronę bufetu. – Primi, obaj z mým przyjacielem pałamy chęcią poznania nieśmiertelnej pani markizy.

– Ależ oczywiście, do usług. Z markizą znamy się od wieków – odrzekł młody Włoch. Parokrotnie poruszył brwiami, i oto już po krótkiej chwili szef paryskiej policji stanął twarzą w

twarz z kobietą znaną mu jako przedmiot niezliczonych tajnych raportów. Szare oczy otaksowały go chłodno, z jakąś prawie matematyczną precyzją. Ta drobna wyprostowana postać... ach! miała w sobie coś niesłychanie irytującego.

– I jakże się miewa najślynniejsza paryska szarlatanka? – Nienaganne zazwyczaj maniere pana de La Reynie załamały się pod wpływem rosnącej w nim nagłej niechęci.

– Miewa się niemal równie dobrze jak najdostojniejszy komendant paryskiej policji – brzmiała chłodna odpowiedź markizy. La Reynie zanotował w pamięci jej niezaprzeczalnie paryski akcent. Chociaż... sam sposób mówienia był nieco formalny... i tak precyzyjny, jak gdyby markiza spoglądała na wszystko z boku, okiem osoby postronnej. Czyżby była cudzoziemką? Hm, miasto roi się od zagranicznych awanturników, ta jednak nie para się szpiegostwem, tak przynajmniej wynika z raportów.

– Zapewne przyszedł tu, pani, sprzedawać karciane sekrety – rzucił przez zęby. W duchu sam dziwił się furii, jaką budzi w nim ta kobieta. To jej spojrzenie! Ileż w nim arogancji! Śmie okazywać mu w oczy, że bawi ją jego osoba! Osoba z taką pozycją?!

– O nie, tego nie mogłabym sprzedać nikomu, chyba że to pan pragnąłby zostać nabywcą – przez twarz devineresse przemknął złośliwy uśmiech.

– Ach tak, a ja mógłbym zamknąć cię za oszustwo! – ze zdumieniem usłyszał własny głos. Czy to on wypowiedział te słowa? On, Gabriel Nicolas de La Reynie, który szczyli się swym opanowaniem, swymi nieskazitelnymi manierami, którego wytworna uprzejmość znana jest nawet więźniom w lochach Chatelet?

– O, nieładnie, panie de La Reynie. Ja sprzedaję tylko pełnowartościowy towar – dobiegła go odpowiedź markizy. Nie patrzył jej w twarz. Z uwagą studiował małą, lecz silną dłoń obejmującą wysoką hebanową laskę. Jakiś dziwaczny pierścień w kształcie smoka, drugi z wyobrażeniem trupiej czaszki i jeszcze dwa inne, ach, cóż za ogromny krwistoczerwony rubin... Przyszło mu na myśl, że są zbyt ciężkie dla tych białych, tak wąskich palców. To ręka piekielnie mądrego dziecka, a nie dłoń starej kobiety.

– Pardon, madame – zdobył się na przeprosiny. Gdy jednak odwróciła się twarzą do podstarzałego jegomościa, by odpowiedzieć na jego błagalną suplikę o audiencję w cztery oczy, dodał pod nosem:

– Bardzo chciałbym wiedzieć, skąd pochodzisz, ty awanturnico.

– Skąd? – rzuciła przez ramię. Zaskoczyła go, nie ma co mówić. Jakby nawet zajęta czym

innym łowiła uchem każdy najcichszy odgłos.

– Ależ z Paryża! – roześmiała się głośno. – Gdzież indziej mogłam się urodzić?

Kłamstwo, pomyślał La Reynie. Znał wszystkie tajemnice tego miasta. Niepodobna, by ktoś tak wybitny mógł przyjść tutaj na świat bez wiedzy jego agentów. Uznał to za wyzwanie: już on rozwiąże tę zagadkę w imię ładu publicznego i prawa. Żadnej kobiecie nie wolno tak grać na nerwach samemu szefowi policji. Powinno to być zakazane.

ROZDZIAŁ DRUGI

Okoliczności mojego przyjścia na świat bynajmniej nie zapowiadały tych splendorów, które miałam osiągnąć jako markiza de Morville. Stosowna by tu była na przykład jakaś kometa czy przynajmniej ognie świętego Elma. W swojej oficjalnej biografii, rzecz jasna, uzupełniłam tę lukę, dorzucając też kilka piorunów oraz trzęsienie ziemi, w tej opowieści wszakże, którą masz przed sobą, Czytelniku, wystarczyć musi sama prawda. Tłem mych narodzin był więc nader zwykły w Paryżu szarozimowy ranek u początku roku 1659. Poród trwał już całą dobę i życie mojej matki było zagrożone. Chirurg, aby ją chociaż ocalić, sięgnął już po ostatnią deskę ratunku, to jest długi żelazny hak, lecz w tym momencie asystująca mu akuszerka wydała głośny okrzyk i zagłębiwszy rękę w ciało rodzącej, wydobyla zeń pomarszczony produkt przedwczesnego porodu, sapiąc ze zgrozy na widok krwi buchającej na prześcieradła.

– Madame Pasquier, ma pani zdrową dziewczynkę – z powagą oznajmił chirurg, bacznie przypatrując się drobnej przyczynie swoich tak wielkich trudności, którą położna podsunęła matce przed oczy. Wrzeszczałam wniebogłosy. Miałam koślawą stopę i cała pokryta byłam czarnym owłosieniem.

– O Boże, jakaż ona szkaradna! – jęknęła moja matka. Odwróciła śliczną twarz do ściany i zaczęła płakać z zawodu. Płakała tak przez dwa dni. Jeszcze w tym samym tygodniu wyprawiono mnie na wieś nie opodal Fontenay-aux-Roses chłopskim wozem pełnym nowo narodzonych paryżan, których tak jak i mnie oddawano na wychowanie. Do domu wróciłam dopiero po pięciu latach, a i to tylko przez czysty przypadek: ojciec widział mnie na tyle długo, że zauważył kolor moich oczu – były szare.

Ukończyłam właśnie pięć lat, kiedy do Fontenay-aux-Roses wtoczył się ogromny, połyskliwie czarny powóz ze złoceniami i wielkimi czerwonymi kołami. W owych czasach powozów nie widywało się jeszcze tak często nie tylko w maleńkiej wiosce, ale i w samym Paryżu, toteż nawet pojawienie się słonia nie wywołałoby większego zainteresowania niżli ten wspaniały ekwipaż. Wszyscy mieszkańcy wioski tkwili w oknach, przyszedł popatrzeć nawet sam proboszcz. Pojazd ciągnęły dwa okazałe gniadosze w mosiężnej uprzęży, która brzęczała przy każdym ich ruchu. Na koźle siedział stangret z długim batem, a z tyłu na ławeczce stało trzech lokajów w błękitnej liberii z błyszczącymi mosiężnymi guzikami. Była jeszcze pokojówka w śnieżnobiałym czepeczku i takimż fartuszku, no i był mój ojciec o szarej twarzy i plecach zgarbionych od zmartwień. Do rąk jego bankierów trafił list zaadresowany do matki z żądaniem podwyższenia opłat łożonych na moje utrzymanie, tak więc przyjechał zabrać mnie do domu.

Rozpoznał mnie też od razu po tej koślawej stopie. Czarnych włosków na ciele już nie miałam – wypadły podobno w parę tygodni po urodzeniu. Biegłam właśnie z gromadą rozwrzeszczanych dzieciaków podziwiać nieznaną pojazd, kiedy wskazał mnie laską. Z powozu wyskoczyła służąca, złapała mnie, wyszorowała, po czym ubrała w przepiękny strój przywieziony z miasta, ojciec zaś wręczył pękata sakiewkę zapłakanej matce Jeannot, piastunce.

W powozie było gorąco i niewygodnie. Skórzane siedzenia okazały się nieznośnie śliskie, a piękny strój taki ciasny, że krępował mi ruchy, w dodatku kłuł i uwierał. Nie było już matki Jeannot. Naprzeciwko siedział obcy pan w staroświeckim podróżnym stroju i szerokoskrzydłym kapeluszu z pękiem piór. Patrzył na mnie oczyma pełnymi łez; pewnie i jemu tęskno było za matką Jeannot – tak to sobie wtedy tłumaczyłam.

– A twoja matka powiedziała mi, że umarłaś – odezwał się w końcu. Z wolna pokręcił głową, jakby nie był w stanie tego pojąć, a ja długą chwilę przyglądałam się jego smutnej twarzy. – Jestem twoim ojcem, Genevieve. Czyżbyś nic o mnie nie wiedziała?

– Wiem – odrzekłam. – Wiem, że jesteś najlepszym ojcem na świecie. Tak mówiła matka Jeannot. – Jemu wtedy łzy pociekły z oczu i mocno przygarnął mnie do piersi, nie bacząc na swój pięknie haftowany kubrak, który mogłam przecież zabrudzić.

– Przywiozłeś mi tu jakieś nieczułe stworzenie, kompletnie pozbawione serca – oświadczyła matka, obrzucając mnie ostrym spojrzeniem swych twardych jak porcelana zielonych oczu. Ubrana w żółte jedwabne sacque¹ spoczywała w fotelu, oglądając próbki tkanin przesłane przez modnego krawca, z którego usług korzystały wytworne damy. Stałam w przeciwległym końcu salonu – przed chwilą dopiero wysiadłam z powozu – i patrzyłam na nią bez słowa. Była bardzo ładna, mimo to nie miałam ochoty jej dotknąć. Ogień w kominku wygasł i w wysokim pokoju wyłożonym biało-niebieską boazerią panował dotkliwy chłód. Ani wtedy, ani jeszcze przez wiele lat nie zwróciłam uwagi na gołe klepki parkietu, z którego usunięto dywan, oraz jasne prostokąty na ścianie, gdzie, jak mi powiedziano, wisiały kiedyś malowidła pędzla Voueta i Le Sueura.

Dom, do którego przywiózł mnie ojciec, był starą rezydencją wzniesioną za czasów Jana Dobrego w Quartier de la Cite, a więc w samym sercu Paryża. Nad salonem i jadalnią, przebudowanymi zgodnie z najnowszą modą, pozostały prastare wąskie komnaty, bezładnie stłoczone wokół dziedzińca, którego jeden róg zajmowała wieża, pośrodku zaś stała studnia. Na

¹ sacque (fr.) – rodzaj luźnej, workowatej sukni, najczęściej różowej.

parterze mieściły się kuchnia i stajnia, obie z wyjściem na dziedziniec. Tutaj Cezar i Brutus, dwa gniade wałachy, wystawiały do słońca swoje długie końskie fizjonomie, psy i koty wałęsały się wśród nieczystości w poszukiwaniu resztek pożywienia, a kucharka łąła kuchenną dziewczkę, gdy ta wylewała na bruk pomyje. Na piętrze królowała elegancja – ściany lśniły od złocień, z sufitów spoglądały malowane nimfy. Kiedy matka przyjmowała gości, z salonu płynęły dźwięki skrzypiec. Wyżej rozpościerał się już tylko starożytny chaos – dziwaczne pokoje rozmaitej wielkości i kształtów, otwierające się to na jakąś krętą klatkę schodową, to znów uchodzące w istny labirynt przyległych komnat.

Fasada rezydencji, z ciężką bramą pod szerokim a nisko zarysowanym łukiem gotyckiego sklepienia, nie pozwalała dojrzeć prawie nic z tego, co działo się w środku. A toczyło się tu życie ciekawe i skomplikowane. Pokojówki klęcząc odkurzały masywne meble – wśród nich wyładowane srebrem kredensy, które matka pospiesznie zamykała na klucz – lokaj opuszczał wielki kandelabr, aby wymienić świece, moja starsza siostra grała na klawikordzie, sługa ojca spieszył na piętro z filizanką gorącego kakao, a nad tym wszystkim skrzeczała papuga babci, stąpając wolnym kroczkiem po drążku, podczas gdy stara dama oddawała się lekturze dworskich nowinek w „Gazette de France”. Nad sklepieniem bramy zasłaniającej cały ów żywy obraz widniały kamienne maskaronki zwane marmousets, od których wzięła nazwę nie tylko nasza siedziba, lecz także wąska i kręta uliczka biegnąca od rue de la Juiverie aż po sam klasztor Notre Dame.

Ojciec, o czym dowiedziałam się znacznie później, w szybkim tempie wzniósł się do pozycji zamożnego finansisty dzięki protekcji Nicolasa Fouqueta, ówczesnego ministra finansów, by wraz z jego upadkiem stracić już nie tylko fortunę, ale i wolność. Z twarzy nigdy nie zniknęła mu bladeść, jaką daje długi pobyt w Bastylii, a z serca głęboka odraza do dworu i jego intryg. Zmuszony był sprzedać swoje kantory, tak że pozostał mu jedynie dochód z maleńkiej posiadłości ziemskiej odziedziczonej po wuju. Lata spędzone w więzieniu nie pozbawiły go tylko miłości do filozofii, wyprały natomiast z wszelkiej chęci powrotu do świata finansów. Krążyły wprawdzie plotki, jakoby gdzieś za granicą miał duże pieniądze bezpiecznie ukryte przed Colbertem, królewskim *contrôleurgener al desfinances*, lecz jeśli nawet tak było, umiał dobrze strzec swych sekretów.

W posiadaniu matki znajdowało się kilka horoskopów przepowiadających odzyskanie fortuny, nie był to jednak powrót na tyle szybki, by mógł ją zadowolić. Wciąż z oburzeniem komentowała fakt, że królewski akt łaski wobec ojca nie objął zwrotu majątku, który zniknął w przepastnej gardzieli nienasyconego Colberta. Król, wyrzekała, powinien był wszak wziąć pod

uwagę, że ona, moja matka, jest po kądzieli autentyczną Matignon, ergo należy jej się pensja płatna z królewskiej szkatuły.

– Ach, to rzecz nie do pojęcia – powtarzała ojcu – jak rodzina z naszą pozycją mogła wydać córkę za golca z twoim nazwiskiem, choćby i popadła w najgorsze nawet tarapaty! I proszę, na co mi przyszło! Przez twoją nieudolność w prowadzeniu interesów znalazłam się w doprawdy oplakanej sytuacji. Osoba z rodu Matignon nie może żyć w taki sposób. To po prostu niedopuszczalne. Zasługuję na coś lepszego. W dodatku kompletnie popsuleś mi moje środy.

– Babciu, co to takiego ta środa? – spytałam w kilka tygodni po przyjeździe, wdrapawszy się po stromych schodach do pokoju babki. Zawsze tam była. Nigdy nie opuszczała ogromnego łoża osłoniętego ciężkimi zielonymi kotarami. „Wejść!” – wołała papuga głosem babci, ilekroć zapukałam do drzwi. Balansując na wysokiej grzędzie, przestępowała z jednej żółtej nóżki na drugą i wpatrywała się we mnie oczkami błyszczącymi jak czarne paciorki nad zakrzywionym, ogniście pomarańczowym dziobem. Gdyby jeszcze zamiast zielonych piórek miała różową cerę, no i nosiła czepeczek, byłaby całkiem podobna do babci, – Aha, przyniosłaś mi mój napój z cykorii, tak? Usiądź tu sobie na łóżku i powiedz, co tam na dole. – Staroświecka sypialnia babci miała ściany koloru zaschłej krwi; brzegiem biegły geometryczne złocenia. Okna i za dnia zasłonięte były kotarami – zdaniem babci słońce szkodziło zdrowiu.

– Babciu, dlaczego mama mówi, że ma jakąś środę, skoro dni należą do wszystkich?

– „Środa”, ha! To takie popołudnie, kiedy moja rozpustna synowa prezentuje światu obnażone piersi i flirtuje z obcymi mężczyznami. Nazywa to swoim „salonem”, każe ludziom mówić do siebie „Amerinte”, jakby na chrzcie nie dano jej przyzwoitego imienia. Wielki mi świat, doprawdy! Karty, dworskie plotki i tyle. Czasami jakiś marny poeta, co nie umie wyrobić sobie nazwiska w lepszym towarzystwie. O, przekłety niech będzie dzień, gdy ta zrujnowana familia, ta gromada zgłodniałych pasożytów przyssała się do mego syna! Podaj mi Biblię, Genevieve, leży na nocnym stoliku, przeczytam ci o Jezabel i o tym, jaki los czeka niegodziwe kobiety. – W tych okolicznościach wysłuchałam niezwykle interesującej acz ponurej historii, jak to psy pożarły Jezabel, aż pozostały z niej tylko same dłonie i stopy. Babcia bowiem urodziła się hugonotką i chociaż jej rodzina zmuszona była nawrócić się na katolicyzm – do końca życia zachowała protestancki zwyczaj czytania Pisma Świętego ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich swoich krewniaków.

W drodze na dół przeszłam przez pokój wuja, który co dzień sypiał do południa, jako że nigdy nie wracał do domu na noc. U jego boku zobaczyłam wyzierającą spod przykrycia głowę

nieznajomej kobiety. Wuj, brat mojej matki, nazywał siebie kawalerem de Saint-Laurent, babcia jednakowoż twierdziła, że ów tytuł jest równie fałszywy, jak wuj kłamliwy, czegoż zresztą można się spodziewać po takim robaku, co zarabia na życie grzesząc przy stołach gry i wyludzając pieniądze od kobiet. Wuj dość powszechnie uchodził za przystojnego mężczyznę, lecz w jego pociągłej lisiej twarzy o wysokich kościach policzkowych i aroganckim spojrzeniu białych oczu było coś nieprzyjemnego. Mnie się nie podobał, ale kobiety za nim szalały.

W środowe popołudnia zaglądałam do naszego wyzłoczonego salonu z cichą nadzieją, że zobaczę tam coś tak fascynująco grzesznego jak uczynki Jezabel albo chociaż czyjeś dłonie i stopy, niestety, nie działo się nic ciekawego. Tyle że dorośli mężczyźni zwracali się do siebie zmyślonymi imionami, prawili jeden drugiemu złośliwości, no i pili z pięknych kielichów, a mama śmiała się tym swoim srebrzystym śmiechem – specjalnie zarezerwowanym na środę. Miała na sobie obcisłą jedwabną suknię w kolorze fiołków z bardzo głębokim dekoltem, a na rękach złote bransolety z diamentami. Mogła teraz rzucać zalotne spojrzenia panom, którzy głośno wychwalali szmaragdową zieleń jej oczu, a ten czy ów recytował czasami ułożony na poczekaniu poemat na cześć niezrównanej linii jej boskich ust albo nosa. W salonie mamy bywało niewiele dam i zawsze mniej urodziwych od niej, za to mnóstwo panów ubranych tak jak mój wujek – w bufiaste spodnie wykończone koronką, bogato haftowane kubraki i króciutkie kaftany, wszystko oczywiście z jedwabiu. Dużo rozprawiali o dobrej passie w basseta i hoca albo o tym, na kogo najjaśniejszy pan raczył spojrzeć w ubiegły piątek, udawali też najwyższe zainteresowanie mamą aż do momentu, gdy na jej sygnał wpływała do salonu moja starsza siostra, Marie-Angelique, płonąć prześlicznym rumieńcem. Od tej chwili spojrzenia zebranych skupiały się już tylko na niej. Wszyscy, rzecz jasna, wiedzieli, że Marie-Angelique nie wniesie mężowi posagu, bo nasz ojciec nie ma pieniędzy czy raczej musi je zachować dla swego syna, a mego brata Etienne'a, by ten mógł ukończyć College de Clermont i zostać adwokatem, który potem zbije fortunę i przywróci rodzinie utraconą pozycję. Mimo to matka nie traciła nadziei, że w którąś środę trafi nam się „ktoś znaczny”, kto z samego uwielbienia dla urody mojej siostry zapewni jej świetną pozycję.

Ojciec w środy zamykał się w gabinecie, aby czytać książki o Rzymianach, no i zażywać tabaki ze srebrnego puzderka ofiarowanego mu niegdyś przez pana Fouqueta. W inne dni też stronił od rozmów, chociaż dla mnie czynił czasem wyjątek.

– Ojczy, dlaczego czytasz tych Rzymian? – spytałam pewnego popołudnia.

– Dlatego, moje dziecko, że uczą nas oni, jak znosić cierpienia w świecie triumfującej niesprawiedliwości, w którym wszelka wiara umarła. Spójrz tutaj, widzisz? Epiktet dowodzi, że

światem rządzi rozum, i to on jest Bogiem – wskazał palcem odpowiedni ustęp w łacińskiej księdze.

– Nie potrafię tego przeczytać.

– Ach tak, oczywiście – rzucił właściwym sobie, lekko jakby roztargnionym tonem. – Nikt nie zadbał o twoją edukację. Będę musiał się tym zająć. Ach, ta dzisiejsza modna edukacja! Same bałamuctwa zdolne jedynie zniewalać umysły. Spójrz na swoją siostrę: pustogłowie wedle najświeższej mody. Co ona umie? Haftować, trochę brzdąkać na klawikordzie tudzież wyrecytować z pół tuzina pacierzy. Jej umysł uformowała wyłącznie lektura romansów. A twój brat? Ten wkuwa tylko prawne precedensy. Ha, precedensy zamiast logiki, prawo w miejsce cnoty! O nie, znacznie lepiej uczyć się od Rzymian. – Przekonawszy mnie potem, że racjonalne dochodzenie do prawdy to najwyższa funkcja umysłu ludzkiego, ofiarował mi własny oprawny w skórę notatnik, w którym miałam zapisywać swoje myśli, by wprowadzić w nie więcej ładu, a następnie wynajął dla mnie nauczyciela łaciny.

I tak zgodnie z ekscentrycznym programem edukacji ułożonym przez mego ojca, a realizowanym przez kolejnych przymierających głodem duchownych i ubogich studentów udzielających lekcji za posiłek, zdobyłam w końcu dość wiedzy, by dyskutować z nim o Rzymianach, zwłaszcza zaś o jego ukochanych stoikach.

Życie moje wkrótce nabrało przyjemnej rutyny, choć w odniesieniu do dziecka trudno by ją nazwać normalną. W zależności od tego, co stanowiło przedmiot zainteresowań mego aktualnego preceptora, studiowałam rano to wybrane fragmenty pism Kartezjusza, to znów epikurejczyków, kiedy indziej zaś zgłębiałam kwestię dowodu w geometrii albo nowe odkrycia w dziedzinie fizjologii, których autorem był angielski lekarz, pan Harvey. Wszystkim tym zajęciom kierunek nadawał ojciec, święcie przekonany, że nowa epoka wymaga nowego, światłego umysłu, że nauka i racjonalizm przepędzą stare przesady.

Po południu starałam się wkraść w łaski matki, wypełniając jej poufne zlecenia. Otrzymałam od niej trzy halki po mojej siostrze, jeden stary grzebień oraz obietnicę nowej sukni na Boże Narodzenie, pod warunkiem że będę umiała dochować jej licznych sekretów. Co się tyczy spraw kobiecych, nie udzieliła mi żadnych wskazówek, ale i tak nauczyłam się przy niej mnóstwa różnych rzeczy. Dzięki bieganiu na posyłki dowiedziałam się zatem, u kogo nabyć można napój miłosny, barwniki do włosów i maść przeciw zmarszczkom oraz jak przy wydawaniu reszty odróżnić fałszywą monetę od prawdziwej. Wiedziałam, gdzie sprzedaje się najzjadliwsze, srogo zakazane paszkwile, ulubioną lekturę babci, no i odkryłam, że matka

otrzymuje tajemnicze listy z bardzo grubą woskową pieczęcią. Nie była to edukacja stosowna dla panienki z dobrego domu – młoda dama na ulicy bez lokaja traciła reputację – mnie jednak to moje pokręcone ciało oraz całkowity brak ogłady równie skutecznie zwalniały z wszelkich konwenansów, jak pozbawiały przywilejów płynących z mego urodzenia.

Wieczorami, gdy matka podejmowała zachwycającego pana Courville'a, boskiego markiza de Livorno, czarującego kawalera de la Riviere bądź innego jakiegoś poseura, omawiałam z ojcem reguły logiki, a przede wszystkim dyskutowałam z nim o Rzymianach. Uwielbiałam, kiedy mi czytał swym spokojnym, głębokim głosem, po czym zerkając na mnie znad malutkich szkieł powiększających, rzucał stosowny komentarz do interesującego'nas tekstu. Mogłam wtedy i ja wykazać się cząstką rankiem zdobytej wiedzy i otrzymać w nagrodę jego powściągliwy uśmiech zaprawiony zawsze szczyptą ironii. Taki porządek dzienny wydawał mi się idealny. Nie pragnęłam innego życia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sprawiło to zarówno przeznaczenie, jak i ambicje matki, że latem owego roku, w którym wypadły moje dwunaste urodziny, zwróciłam na siebie uwagę najpotężniejszej spośród wszystkich wiedzmy Paryża. Wtedy też w jej sprytnym umyśle, któremu nikt z żyjących w tym przewrotnym mieście przewrotnością by nie dorównał, wykuł się plan stworzenia markizy de Morville. Modna wróżbitka, u której matka postanowiła zasięgnąć rady co do perspektyw poprawy swego losu, była bowiem – o czym matka nie miała pojęcia – prawdziwą królową paryskich czarownic, obdarzoną błyskotliwą a złowrogą inteligencją, i ona to odkryła, iż urodziłam się z mocą czytania przyszłości z wróżebnego naczynia wyroczni. Do dziś pamiętam, jak rozgorzały jej oczy, gdy rozpoznała we mnie ów dar, i ten pewny siebie, zaborczy uśmiech konesera, który nagle zobaczył rzadką wagę w rękach naiwnego prostaka. A ponieważ odznaczała się wyjątkową pomysłowością, żelazną wolą oraz cierpliwością pająka przyczajonego w środku rozsnutej przez siebie sieci, więc złowienie mnie w potrzask było już tylko kwestią czasu.

Dzień, który o tym zdecydował, pamiętam ze w łami. Była pełnia lata, w mieście panował upał obchodziłam swe dwunaste urodziny.

flakonik z Galerii? Gdzie go po__ Mademoiselle, gdzie ^3_ w sypialni matki odbywało stawiłaś? Amozesmi-goniePWTM^ porównaniu z królewskim, sie N poranne te^ji służby, mój ówczesny £53Я333ЪTirany P-z matkę do sporządzenia minrprrzy^tm? тX: Zaraz po powrocie postawiłam go na toaletce. Jest obok lustra, ^dzisz? odwróciła Matka podejrzliwe zerkn^ ^ » ^j ' P^ ^^

się tak gwałtownie, że rozczesuje *

szczotkę. nr7vniostaś? – Podałam jej pieniądze, __ Gdzie reszta? Wszystko pr^ymo^^ _ Chodziło o bilecik które skrupulatnie Pożyła dała mi go dostawczyni z czymś dressem przy ueBeaurega a, ^^ gQ nie ^, , m Wyciągnęłam bilet z ręsawd. jperfum. wyci4S v Pokręciłam głową, pokazywałaś? – spytała ostro, i v> ч drodze poWrotnej Nie miałam zamiaru "«P«^SSnłam poddać te perfumy poprzedniego dnia po P«**"»£"^ tak odpieczętowywać pewnej próbie. Dawno)III п«Д obilaм wypróbowaływać ^koniki, żeby ^. ^P^^itaidlarka z Galerie duPalais wszystko co wydało mi^^^ХГи środków upiększających. Raz dostarczała matce wszelkiego rodzaju v pachnidło, bylot barwnik do włosów, taedy^TM£^іот шт osobę które dzięki jakiemuś J^SS, ^nikt lepiej ode mnie nie nieodparcie pociągającą Pot^и%грашicз

aby urodziwa osoba nadaje się do takiego *W*SSk SSTSS ale takie brzydaroztaczała nieodparty urok, to przecież zaa ^ n&

ctWo jak ja, krzywe:, utykające, koJ^P^JJ^ sfe nimi obficie – tak, to by świadczyło o TM<?J^V^ d matk i przez pozostałą część dnia staranne kryła ę V ^ ^

Najpierw ległam do wezy, g^^on, ' myszy pościel wszelką starzyzną – zużyte ubramaP^PT 4^ ^.

i zdezelowane meble/Tam ^l^a j3perfumy o nieodpartej w»^iP^4, fohpa^67i P knęłam sie z domu na ЫїМЫ ST^do^o wtedy zauważyłby moją – !----- - . , „^, Г. ПГЯППЄІ toalecie pary królewskiej, przejęty * kvee(ir.) – ceremoniał towarzyszący porannej iivic v przez damy z arystokracji.

«>•

nieobecność, gdybym nie stawiała się w porę na wieczorną dyskusję o Rzymianach.

Wlokąc za sobą smugę matczynych perfum, zanurzyłam się w rue de Marmousets niczym w wezbraną rzekę. Swym kolebiącym się chodem zaiste przypominałam korek podskakujący na wzburzonej wodzie. Wokół kłębił się tłum kupców i uliczników, pośród których widać było grupki szacownych mieszczek i ich obładowaną zakupami służbę, jak również adwokatów i notariuszy spiesznie przemykających w stronę Pałacu Sprawiedliwości; ich profesję łatwo było rozpoznać po dźwiganych pod pachą pękatych skórzanych tekach. Tu i ówdzie – jak łódź na fali – kołysała się lektyka, a w niej nad grzbietami spoconych tragarzy czyjeś białe od pudru oblicze ze wzrokiem obojętnie utkwionym w przestrzeń. Rzeka ludzka dobiła po chwili do głównego nurtu zbierającego też inne dopływy i wraz z nim skierowała się na Pont Neuf. Jak dotąd nikt nie zwrócił uwagi na bladą koślawą dziewczynkę, która kuśtykając boczkiem jak krab, wśliznęła się w zbitą ciżbę. Pogoda sprzyjała moim naukowym próbom; na moście tłoczyli się żebracy, grajkowie, wędrowni przekupnie, rozbito też mnóstwo malutkich kramów. W jednym sprzedawano błyskotki, w innych zakazane publikacje.

Zaczęłam od kupna napastliwej libelli, by sprawić przyjemność babci. Sprzedał mi ją człowiek oferujący traktaty religijne – co smaczniejsze kąski trzymał zrecznie ukryte pod płaszczem. Ten okazyjny towar, świeżo przemycony z Holandii, gdzie drukowano wszystkie zakazane pamflety, nosił tytuł: „Skandaliczne obyczaje Ludwika króla Francji”. Nic dziwnego, dowodził autor, że francuski monarcha raz po raz łamie święte przysięgi małżeńskie; jest wszak nieodrodnym synem kardynała Mazariniego, który przez wiele lat pozostawał w grzesznym związku z jego matką, królową Anną Austriaczką. Szybko schowałam pamflet, gdyż za

czytanie takich rzeczy groziły kary równie surowe jak za ich wydawanie i sprzedaż, po czym przyłączyłam się do tłumu gapiów i rzezimieszków skupionych wokół zaimprovizowanej sceny. Kilku komediantów w maskach wykrzykiwało sprośne żarty, ten zaś, który udawał kochanka żony, walił po głowie zdradzonego męża potężną skórzaną pałką. Bity jęczał i pełzał przed nim na brzuchu. Odeszłam, gdy zaczęli zbierać datki – z moich zasobów nic już nie zostało. Jakiś szarlatan w niemiłosiernie sfatygowanym kapeluszu śpiewnie zachwalał zalety swych cudownych medykamentów: „Od zimnicy i waporów, od czyraków i od moru! Kupuj, kto rad przeżyć sto lat!” Na smyczy trzymał ubraną w jedwabny strój małpkę, tak że wyglądała jak miniaturowy człowieczek.

Popatrzyła na mnie błyszczącymi żalostí oczami, podeszła i swym ciemnobrunatnym paluszkiem lekko dotknęła mej ręki.

„Fakt numer 1: ta nieodparta woń perfum przyciąga małpy. ”

Poczułam nagle szarpnięcie za płaszcz. Jakiś nikczemny rabuś, pomyślałam, o nie, ze mną ci łatwo nie pójdzie! Tak ciasno omotałam na sobie płaszcz, zebrawszy w garść jego poły, że złodziej swą wielką łapą uniósł mnie całą w powietrze. Ale i wtedy nie zwolniłam chwytu.

– Ratunku! – wrzasnęłam. – Mordercy! Łapać złodzieja!

– Hej, ty tam, nie tak szybko! – Młody człowiek ubrany w rzucający się w oczy krótki płaszcz obwieszony pękami wstążek i szeroki szary kapelusz z białym pióropuszem przyłożył koniec szpady do piersi rzezimieszka opiętej obszarpanym kubrakiem. Zbój puścił mnie i pierzchnął, odgrażając się, że wróci z bandą swoich kompanów.

„Fakt numer 2: perfumy o nieodpartej woni przyciągają rabusiów. ”

– Co tu robi taka mała dziewczynka, sama, bez eskorty? Czy wiesz, że mogłaś postradać życie? Pozwól, że cię odprowadzę do domu. Nie myślę się chyba sądząc, że widziałem cię wychodzącą z Maison de Marmousets?

A więc mój wybawca wiedział, gdzie mieszkam. Czy to łowca posagu, czy bohater?

„Fakt numer 3: nieodparta woń perfum wabi łowców posagu. ”

– Hi, hi! – zarechotał siedzący na skraju mostu niewidomy żebrak. – Widziałem całą tę hecę. O, monsieur Lamotte, zdrowom się uśmieł.

„Fakt numer 4: czarodziejskie perfumy przywracają wzrok ślepcom. ”

„Monsieur Lamotte”. Pomyślałam, że to niezbyt wybitne nazwisko. Łowcy posagu przydałoby

się bodaj „de” na początku. Z łomocącym wciąż ciężko sercem zerknęłam na swego wybawcę. Zobaczyłam przepiękne błękitne oczy, profil Adonisa i sięgające ramion kasztanowe pukle, w których słońce zapalało jasne błyski. Dziś myślę, że nie mógł mieć wtedy więcej niż lat szesnaście. Z wyrazu jego twarzy nietrudno było odgadnąć, że zauważył mój nagły rumieniec, ale też i moją brzydotę. Policzki zaczęły piec mnie żywym ogniem. Nie mogłam się zdecydować, kogo z nas dwojga bardziej nienawidzę: jego, za to, że nigdy nie popatrzy na mnie z takim zachwytem, z jakim ja chłonę go wzrokiem, czy samej siebie, za to, że odebrało mi mowę, że nie mogę wykrztusić nawet słówka „dziękuję”. Kiedy mój biały rycerz oddalał się ulicą Marmousets, śledziłam jego niedbałe kroki z dziwnie bolesnym, nie znanym mi dotąd uczuciem. Postanowiłam pozbyć się go co rychlej.

Ojciec dawno już mi wytłumaczył, że najwyższą wartością człowieka jest światły, zdyscyplinowany umysł. Tego wieczoru, odłożywszy na kiedy indziej stoików, przystąpiliśmy do czytania dzieła pana Descartes'a „Rozprawa o metodzie właściwego kierowania rozumem i poszukiwaniu prawdy w naukach”.

– Zaczynaj od miejsca, gdzieśmy ostatnio przerwali. Rozprawa czwarta – polecił ojciec. – Potem objaśnij mi, co to znaczy.

– „Zaraz potem jednak zwróciłem uwagę na to, że w chwili gdy chciałem tak myśleć, że wszystko jest fałszywe, stawało się konieczne, bym ja, którym to myślał, był czymś. A spostrzegłszy, że ta prawda: myślę, więc jestem, była tak niezachwiana i pewna, że wszelkie najbardziej dziwaczne przypuszczenia sceptyków nie zdołały jej zachwiać, uznałem bez obawy błędu, że mogę ją przyjąć jako pierwszą zasadę filozofii, której poszukiwałem”.² – przeczytałam. – To znaczy – zaczęłam wyjaśniać – że zgodnie z geometryczną metodą dowodu...

Ojciec z odrazą pociągnął nosem:

– A cóż to za obrzydliwa woń? Cuchnie tu jak w domu rozpusty.

– Nie mam pojęcia, ojczu.

„Fakt numer 5: czarodziejskie perfumy nie działają na ludzi kierujących się światłem rozumu. ”

Zakończyłam ten dzień następującym zapiskiem w nikłym świetle gasnącego ogarka: „Te perfumy w sam raz przydadzą się Mamie, ale ja ich więcej nie użyję. ”

Wróćmy teraz do lewiej mojej matki rankiem owego dnia, który tak miał odmienić dalsze koleje

mego losu. Skropiwszy się nowymi perfumami, matka powtórnie przebiegła wzrokiem bilecik. Był na nim adres słynnej wróżki, znanej również z tego, że za swe przepowiednie drogo każe sobie płacić. Matka, wyraźnie zaaferowana, wsunęła bilet za wycięcie sukni i jęła przetrząsać schowki: starą rękawiczkę wciśniętą pod materac, lakierowaną kasetkę pod lustrem, wreszcie małą skrytkę w tylnej ścianie garderoby. Wszystkie świeciły pustką za sprawą mojego wuja. Ostatecznie wydobyla srebra babci – osiem łyżek, które niedawno musiały wywędrować z kredensu – i kazała mi je zastawić u żony pewnego krawca na rue Courtauvilain, gdzie szlachetnie urodzone damy nękanie brakiem pieniędzy zawsze mogły liczyć na pożyczkę pod zastaw swych jedwabnych sukien.

W drodze powrotnej uznałam, że mam całkowite prawo zatrzymać sobie dwa franki jako ekwiwalent mojej części rodowych łyżek; babcia na pewno przecież zostawiłaby mi je w spadku. Z pieniędzmi w kieszeni udałam się następnie do Galerie du Palais i tam w składzie materiałów piśmiennych nabyłam drugi czerwony notatniczek. Kupiec sprzedawał akurat znakomity pamflet dobrze schowany przed wzrokiem niepowołanych. Biorąc pod uwagę okazałą liczbę stron, cenę miał umiarkowaną. Rzecz zatytułowana była „Odrażające sekrety trucicieli papieskich” i zawierała dosyć szczegółowy opis metod stosowanych od wieków przez ambitnych mieszkańców Italii w celu uwolnienia się od niepożądanych konkurentów. Metody te później przeniknęły do Francji wraz z włoską księżniczką, która poślubiła naszego króla. Drukowana w Holandii libella była przedniej jakości, kupiłam ją więc dla babci.

Bardzo się ucieszyła nowym nabytkiem do swojej szczególnej kolekcji. Kiedy do niej weszłam, siedziała w łóżku, delektując się opisem zagłady Sodomy i Gomory. Czytała go po wielokroć, zawsze jednak sprawiał jej przyjemność.

– Zapamiętaj sobie, Genevieve, taka kara czeka wszystkich grzeszników. Ogień i siarka! – w jej czarnych oczkach błyszczało ukontentowanie. „Ogień, ogień! Ogień i siarka!” – zaskrzeczała papuga, kołysząc zieloną główką. Babcia włożyła pamflet pod poduszkę, odkładając kolejną przyjemność na później.

Po południu matka kazała zaprzęgać, a ja i moja siostra miałyśmy jej towarzyszyć. Pojechałyśmy przez Pont Neuf, obok Hal i Cmentarza Niewiniątek na sam koniec Paryża, aż pod mury przy Porte Saint-Denis. Wszędzie tu stały wysokie, pełne wdzięku wille tonące w zieleni rozległych ogrodów. Matka poleciła zatrzymać powóz na rue Beauregard, gdzie spostrzegłyśmy zamaskowaną damę, która wysliznąwszy się ukradkiem z jakichś drzwi, zmierzała szybkim krokiem w stronę ośmiokonnego ekwipażu. Otaczała go świta lokajów w pełnej liberii, a na drzwiczkach widniało coś, co z daleka przypominało książęcą mitrę. Dama

rzuciła rozkaz i konie ruszyły z kopyta, omal nie przewracając tragarzy dwóch lektyk czekających na powrót klientów. Matka uśmiechnęła się z zadowoleniem: lubiła bywać w miejscach cieszących się liczną i szykowną klientelą. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że w tym momencie przekracza niewidzialną granicę, poza którą rozpościera się królestwo cienia.

Po chwili oczekiwania w dusznym przedpokoju, gdzie matka pracowicie wywijiała wachlarzem, a z mokrych od potu włosów kapalo jej na szyję coś żółtego, ładnie ubrana pokojówka wprowadziła nas do salonu. Przybytek wiedźmy miał czarne ściany i sufit; panował w nim półmrok rozjaśniany migotliwym blaskiem świec palących się w kącie przed grupką gipsowych świętych. Żaluzje w oknach opuszczono dla ochrony przed upałem, lecz ciężkie czarne kotary były rozsunięte. W drugim kącie dostrzegłam posąg Madonny w błękitnej szacie, z płonąca przed nim grubą świecą i wazonem pełnym jakichś kwiatów, które przesycaly powietrze mdląca wonią. W serwantce obok okazałej szafy prężył się rząd porcelanowych aniołów. W tym mętnym, pelgającym swietle ich gladkie oblicza przybieraly chwilami groźny wyraz. Na podłodze leżał miękki kosztowny dywan; na samym jego środku ustawiono kunsztownie rzeźbiony stolik, przy nim fotel wyroczeni, a naprzeciwko duży wyścielany zydel – dla klienta. My usiadłyśmy na krzesłach pod serwantką z anielskim wojskiem.

– Zobaczysz, to jakaś stara i brzydka jędza – szepnęła mi do ucha Marie-Angelique, szeroko otwierając błękitne oczy. Wysoko upięte włosy otaczały jej śliczną twarzyczkę jasnozłocistą aureolą. – Już ja to czuję. Ach, mój Boże, i co ja powiem ojcu Laporte? On nie aprobeje wizyt u wróżki. – A ja nie aprobeje tego, że spowiednik zastępuje ci sumienie, pomyślałam. Byłam bardzo dumna z siebie, a uczucie to płynęło z odkrycia, że drogą rozumu i logiki dochodzę do prawd moralnych.

Osoba, którą pokojówka uroczyście wprowadziła do salonu jakimś ukrytym wejściem, absolutnie nie odpowiadała ponurym przewidywaniom Marie-Angelique. Prezentowała się zgoła jak dama w swej ciemnoszmaragdowej sukni upiętej na czarnym haftowanym spodzie. Czarne włosy zgodnie z dworską modą zwinięte były w loki przetykane diamencikami. Twarz miała bladą i wytworną, z szerokim czołem, długim klasycznym nosem i krótkim delikatnie zarysowanym podbródkiem. Zainteresował mnie jej uśmiech: był dziwnie wąski, a wysoko uniesione kąciki ust nadawały mu kształt spiczastej litery V. Zauważyłam, że powierzchowność tej osoby zrobiła duże wrażenie na mojej matce i siostrze.

Baczenie obserwovalam, jak siada, gdyż jeden z mych nauczycieli uświadomił mi korzyści, które odnosi człowiek biegły w nauce zwanej fizjonomiką: z rysów, postawy i ruchów danej osoby można odczytać cały jej charakter. Słynna wróżbitka wyglądała na lat mniej więcej

trzydzieści; jej zachowanie cechowała ogromna pewność siebie, a mroczne, bardzo czarne oczy patrzyły tak, jakby znały każdy nasz postępek. Zdawały się przy tym kpić, mówiąc: a widzisz, wiem wszystko! Cała jej postać emanowała jakąś posępną skoncentrowaną siłą. Zasiadła w obitym brokatem fotelu w sposób zaiste królewski, jak udzielna monarchini ciemnego dominium, która łaskawie raczy dać krótkie posłuchanie zwykłym śmiertelnikom. Zobaczymy, co powiesz, sarknęłam w duchu. Przekonamy się, ile masz sprytu.

– Dzień dobry, madame Pasquier. Pragnie pani poznać małżeńskie perspektywy swoich córek.

– Matka z wrażenia przestała się wachlować. A jakież inny logiczny wniosek da się wysnuć z faktu, że przychodzisz do wróżki, wlokąc z sobą dwie córki, roześmiałam się do siebie bezgłośnie. Ta wiedźma jest po prostu bystra. Po przydługiej wymianie konwencjonalnych grzeczności matka popchnęła Marie-Angelique na zydel. I oto najwyższa paryska pytia ujęła dłoń mojej siostry.

– Twoja rodzina boryka się z przeciwnościami losu – oświadczyła, wodząc palcem po liniach. – Wróciłaś niedawno do domu... ach tak... zabrano cię ze szkoły klasztornej... sprawił to brak pieniędzy. Twój posag niestety... zniknął. Mimo to spełnisz najskrytsze marzenia matki. Widzę kochanka ze świetną pozycją, widzę i majątek. Strzeż się jednak tego mężczyzny. Nosi błękitny płaszcz i blond perukę. – Brawo, dobra robota, pomyślałam. Wszak połowa wytwornych mężczyzn w tym mieście nosi błękitne płaszcze oraz blond peruki.

Na ustach matki wykwitł triumfalny uśmiech, Marie-Angelique tymczasem wybuchnęła płaczem:

– A małżeństwo, a dzieci? Nie widzisz ich, pani? Może coś przeoczyłaś? O, spójrz jeszcze raz, proszę! – Ha, pomyślałam, ta spryciara chce zadowolić przede wszystkim tego, kto płaci. No i masz teraz dylemat. Ciekawe, jak go rozwiążesz?

– Nie zawsze widzę pełny obraz przyszłości – głos wyroczeni brzmiał miękko, a jego ton budził nadzieję. – Dziecko? Tak, myślę, że będziesz je miała. Małżeństwo też może ci być pisane, jednak dopiero później, po tym mężczyźnie w błękitnym płaszczu. Dziś jeszcze dalej nie widzę. Przyjdź do mnie za parę miesięcy, gdy dalsza przyszłość stanie się wyraźniejsza. – Oho, bardzo sprytnie! Marie-Angelique ani chybi przybiegnie do niej jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Biedactwo odda tej babie każde sou, które zdoła pożyczyć lub wyżebrać. Napomnienia ojca Laporte nic tu nie pomogą.

Matkę tak już rozpierała chęć poznania własnej przyszłości, że omal nie zepchnęła Marie-Angelique ze stołka.

– Twój mąż cię nie rozumie – stwierdziła wróżka poufnym szeptem, najwyraźniej nie przeznaczonym dla moich uszu. – Widzę, że dla jego dobra zadajesz sobie wiele trudu, on jednak nie chce o tym słyszeć, nie zgadza się na żaden z twych planów. Brak mu ambicji. Odmawia bywania na dworze, nie chce zabiegać o łaskę, która przywróciłaby ci szczęście. Nie martw się wszakże, inna radość cię czeka. Jest blisko, na wyciągnięcie ręki – przez twarz matki przemknął wyraz osobliwego ukontentowania. – Jeśli chcesz, by ta radość nadeszła szybciej... – zniżyła głos, tak że przestałam słyszeć. Dobiegło mnie dopiero słowo „odmłodniejesz”, w chwili gdy wiedźma wyjęła z szuflady niewielki flakonik i podała matce, która szybko wsunęła go za gorset. Cóż, bezbłędne posunięcie. Moja matka miałaby sobie odmówić eliksiru piękności? Kupowała każde „gwarantowane” remedium na podtrzymanie swojej wędnącej urody. Ach, gdyby wszystkie cudowne środki oferowane w tym mieście dawały jaki taki skutek, połowa Paryża musiałaby mieć twarze gładkie jak pośladki niemowlęcia. – Jeśli nadal pozostanie tak niewzruszenie obojętny... – docierały do mnie strzępy słów wróżki – przynieś jego koszulę... nabożeństwo do świętego Rabboniego... – Fascynujące. Jak to z jednej wizyty robi się kilka, a każda wymaga nowych opłat.

– A oto krzyż, który przyszło mi dźwigać – powiedziała matka, wstając i popychając mnie naprzód. – Powiedz nam, pani, jaka przyszłość czeka tę dziewczynę? Duszę ma tak pokrętną, jak koślawą postać.

Wróżka najpierw spojrzała na matkę, a potem oszacowała mnie wzrokiem.

– Wiem, madame Pasquier, o czym pani myśli – oznajmiła chłodno. – Czy to dziecko odziedziczy pieniądze ukryte gdzieś za granicą?

Tego się nie spodziewałam! Czarownica zlustrowała mnie od stóp do głów tak uważnie, jakby zdejmowała mi miarę; ujęła moją spoconą dłoń i zaczęła jej się przyglądać.

– Niezwykłe... – mruknęła. Matka i Marie-Angelique na wyścigi ruszyły do przodu, a potem jęły przeciskać się jedna przez drugą, by lepiej widzieć. – Spójrzcie na te gwiazdy w szeregu, o tu! Już jedna gwiazdka wróży wielki majątek. Trzy to ogromna rzadkość, prawie nie spotykana. Znak o wyjątkowej mocy. – Nawet ona była pod wrażeniem. Sprawilo mi to sporą satysfakcję.

– Fortuna, wielka fortuna! – syknęła matka. – Domyślałam się tego, a teraz chcę wiedzieć, chcę być pewna. Czy za pomocą swej sztuki potrafisz, pani, poznać nazwisko bankiera?

– Znaki na dłoni nie zdradzają takich rzeczy jak rodzaj fortuny ani gdzie się ona znajduje. Te gwiazdki zwiastują jedynie wielkie zmiany, to, że wszystko, co złe, obróci się w końcu na dobre. Odpowiedź na twoje pytanie dać może jedynie wróżba z wody. Za jej przygotowanie

należy się ekstraopłata. Usta mojej matki zacisnęły się na kształt sakiewki.

– Doskonale! – rzuciła. Widziałam, że jest oburzona. Wróżka zadzwoniła na pokojówkę, a gdy ta nadeszła, zadała jej szeptem parę pytań.

– Umiejętność wrózenia z wody to dar niesłychanie rzadki – wyjaśniła matce – spotykany zazwyczaj tylko u dziewic, no a czyż niewinność długo może przetrwać w czasach tak wielkiego zepsucia obyczajów? – wybuchnęła ostrym, sarkastycznym śmiechem. Matka zawtórowała jej swoim „srebrnym dzwoneczkiem”, tym na wytworne okazje. Ja pragnęłam już tylko jak najszybciej się stąd oddalić. Miałam tego dosyć.

Wróciła pokojówka, niosąc na tacy kryształową wazę pełną wody i do tego szklane mieszadelko. Towarzyszyła jej schludnie ubrana dziewczynka w moim wieku o gładko uczesanych ciemnych włosach i ponurym wyrazie twarzy. Domyśliłam się, że to córka „królowej”.

Czarodziejka tymczasem zmaciła wodę palczką, śpiewnie powtarzając dziwnie brzmiące słowa, coś jakby „mana, hoka, nama, nama”.

– Otocz rękami wazę. – Zrobiłam, co mi kazała. – Nie, nie tak. Teraz dobrze. Dosyć, wystarczy.

– Dziewczynka wlepiła wzrok w wazę gęsto usianą śladami moich spoconych palców. Zmaczona woda powoli nieruchomiała.

Z tą wodą działo się coś dziwnego. Spod jej powierzchni nagle wypłynął obraz – maleńki, ale jasny i wyrazisty niczym odbicie prawdziwego acz niewidzialnego obiektu. Była to twarz. Nieznajoma twarz pięknej dziewczyny lat może dwudziestu, o szarych wpatrzonych we mnie oczach i czarnych rozwianych włosach opadających na blade policzki. Wiatr łopotał grubym szarym płaszczem szczelnie otulającym szczupłą postać. Dziewczyna stała oparta o burtę statku płynącego po niewidocznym oceanie. Jakim cudem czy sztuczką czarownica wywołała ten obraz? Matka i Marie-Angelique patrzyły na nią, ja widziałam tylko tę wazę. Przykuwała mój wzrok.

– Mów, Marie-Marguerite, co widzisz?

– Ocean, matko.

– Jak to zrobiłaś, pani? – palnęłam bez zastanowienia. – Skąd bierze się ta twarzyczka? – Czarne oczy o ciężkich powiekach przygwoździły mnie spojrzeniem. Był w nich namysł. Trwało to całą wieczność.

– Ty także widzisz jakiś obraz?

– Czy to lustro? – W jej oczach błysnęło wyrachowanie. Szybko odwróciła twarz, jakby nagle podjęła decyzję.

– Fortuna przyjdzie z kraju, do którego da się dotrzeć tylko morzem – oznajmiła matce – nie wcześniej jednak niż za wiele lat.

– Ale co znaczy ta twarz? – przerwała jej Marie-Angelique.

– Nic. Zobaczyła po prostu swoje odbicie – szorstko ucięła czarownica.

– Za wiele lat? – zabrzmiał perlisty śmiech matki. – O, dużo wcześniej z niej wycisnę... – urwała, reflektując się nagle. – Moja kochana szelmotka – dorzuciła po chwili. Żartobliwie trzepnęła mnie wachlarzem, co miało oznaczać, że i reszta to tylko żarty.

Wieczorem zapisałam w notatniku: „21 lipca 1671: Catherine Montvoisin, rue Beauregard, wróżbitka, próba numer 1.

Marie-Angélique: bogaty kochanek, niebezpieczeństwo ze strony człowieka w błękitnym płaszczu, być może dziecko.

Matka: eliksir młodości. Zmarszczki znikną w ciągu trzech tygodni – obserwować. Wkrótce wielka radość. Ja: pieniądze w obcym kraju.

Myśl: piękne kobiety bardziej obawiają się starości niżli brzydkie. Ja, gdy się zestarzeję, będę kupowała książki, a nie mazidło na zmarszczki."

Tego samego wieczoru, gdyśmy już zakończyli dyskusję o mędrцу imieniem Seneka, spytałam ojca, co sądzi o wróżbitach.

– Moje drogie dziecko, są oni ucieczką przesądnych i łatwowiernych, chciałbym powiedzieć „kobiet", niestety, biega do nich również wielu mężczyzn. Wszyscy oni to głupcy.

– I ja tak myślę, ojczu. – Skinął z zadowoleniem głową.

– Powiedz mi jednak, czy jest rzeczą możliwą widzieć obrazy w wodzie? Oni tak mówią.

– O nie, to tylko zwykłe odbicia. Potrafią to tak urządzić, żeby pojawiały się w wodzie, kryształowej kuli czy gdziekolwiek indziej, używając do tego zwierciadeł. Większość wróżbitów to zręczni kuglarze, tacy sami jak ci, co prezentują swe rzemiosło na Pont Neuf.

– No a czytanie z pisma, znajomość czyichś najskrytszych tajemnic?

– Tyle o tym mówisz, jakbyś podjęła gruntowne studia przedmiotu. Cieszy mnie, że światłem umysłu chcesz rozproszyć mrok matactw i zabobonów. Lecz co się tyczy twego pytania, wiedz,

że wróżbici to nader podstępne indywidua. Utrzymują oni zwykle całą sieć donosicieli, wiedzą zatem o wszystkim, co zdarza się ich klientom. Tym to sposobem zadziwiają prostaczków.

– Ach tak, to w zupełności wyjaśnia sprawę. – Zrobiło mu to przyjemność. – Ale mam jeszcze jedno pytanie... natury filozoficznej. – Uniósł jedną brew. – Co lepsze: być mądrą czy piękną? Co o tym mówią Rzymianie? – głos lekko mi zadrżał.

Ojciec długą chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

– Ważniejsza jest mądrość, moja córko – powiedział w końcu – przecież to oczywiste. Uroda? Rzecz powierzchowna i jakże zwodnicza, mija też ani się obejrzysz. – Jego spojrzenie stwardniało nagle: – Rzymianie uważali, że jedyną ozdobą niewiasty jest cnota, innych jej nie trzeba.

– Ale ojczu, mówili tak o Kornelii, matce wspaniałych synów. Czy nie sądzisz, że aby wyjść za mąż i urodzić dzieci, musiała mieć bodaj trochę urody? Ja myślę, że u brzydkiej dziewczyny cnota nie na wiele się przyda. Kto ją zauważy?

– Moje drogie, moje kochane dziecko, znowu porównujesz się z siostrą? Bądź pewna, że taka jak jesteś, mnie wydajesz się o niebo piękniejsza. Masz moje rysy, ty jedna stanowisz żywy dowód mego ojcostwa. – Do głębi wstrząsnął mną gorzki wyraz, który rozlał się po jego twarzy.

Potem jednak rozśpiewało się we mnie serce: „Mimo że nie jestem ładna, ojciec mnie kocha najbardziej! Dla niego jestem wyjątkowa!” Myśl ta przez wiele dni przynosiła mi radość, była moją słodką tajemnicą, której nikt mi nie mógł odebrać. Nawet nie zapisałam tego w notatniku. Nie było takiej potrzeby.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Podejdz tu, Genevieve, spójrz! On znowu stoi przed domem – Marie-Angelique lekko odchyliła firankę. Odłożyłam szkicownik i teraz już obie ostrożnie zerknęłyśmy przez okno. Był piękny poranek, osnuty delikatną wiosenną mgiełką. Nad wysokim murem ogrodu drzewa owocowe wznosiły ku niebu gałęzie ciężkie od nabrzmiąłych pąków, gotowych lada chwila wybuchnąć kwieciami. A w bramie po drugiej stronie ulicy widać było czyjaś młodzieńczą sylwetkę. – Co dzień tu przychodzi. Jak myślisz, czego on chce? – spytała Marie-Angelique, rumieniąc się z zadowolenia. Ha, pragnęła usłyszeć ode mnie to, o czym dobrze wiedziała!

– Płonie do ciebie miłością. Prędzej czy później każdy zakochuje się w tobie. – Biedak. Ma przed sobą setki takich poranków. Rok 1674 niedawno dopiero się zaczął. Mocna woń narcyzów w wazonie obok łóżka Marie-Angelique napępiała sypialnię aurą wiosny. Tuż obok leżał egzemplarz „Clelii” z wetkniętą weń bogato haftowaną zakładką. Moja siostra uwielbiała romanse. Były dla niej miarą wszystkiego, czego doświadczała w życiu. Każde realne wydarzenie zyskiwało w jej oczach dobrą lub złą notę w zależności od tego, w jakim stopniu odpowiadało scenie, w której Aronce wyznaje miłość Clelii, czy tej na pokładzie wspaniałego statku, którym Cyrus uprowadza Mandane. „Marie-Angelique, a gdyby Cyrus miał tylko nędzną łódeczkę?” – zapytałam ją pewnego razu. „Mademoiselle de Scudery nie mogłaby nigdy wymyślić czegoś tak mało romantycznego.” o, uboga rzeczywistości! Zawsze wypadałaś jak nędzarka w porównaniu z sentymentalnymi andronami, którymi karmiła się moja siostra! Ja w tym czasie czytałam z ojcem Herodota.

– Zakochał się we mnie? Naprawdę tak myślisz? – prześlicznie zatrzepotała rękami. – Od kiedy tu bywa? Od trzech dni?

– Chyba od tygodnia.

– O, jakież to romantyczne! Powiedz, czy wydaje ci się przystojny?

Tak, to już na pewno wiosna, pomyślałam. Wiosną wszyscy tracili głowy dla Marie-Angelique. Na jej prośbę powtórnie Wyjrzałam przez okno. Nieznajomy wyszedł akurat z cienia. Zobaczyłam jego twarz i – serce we mnie zamarło. Był w wysokich butach i krótkim haftowanym kaftanie ozdobionym pysznymi girlandami wstążek. Całości dopełniały: epee³, pendent z wymyślnym ornamentem oraz krótki płaszcz zwisający z jednego ramienia, jakby odrzucono go właśnie jakimś dramatycznym gestem. Zawadiacko nałożony kapelusz nie

3 epee (fr.) – szpada.

przesłaniał pociągłej twarzy, spostrzegłam tedy natychmiast, że od czasu naszego spotkania zdołał wyhodować wąsy. Tak, to mój biały rycerz, monsieur Andre Lamotte, tyle że już do mnie nie należy, nawet w wyobraźni.

– Jak myślisz, kto to taki? – spytała marzycielskim tonem siostra.

– Widzę, że nie ma na sobie koronek... O, czy to nie pierścień? Nie... wydawało mi się. Ale może jest teraz w przebraniu? – Marie-Angelique jak zawsze była optymistką.

– Widziałam go pewnego razu w Ogrodach Luksemburskich, dokąd ojciec zabrał mnie na przechadzkę. Coś czytał.

– O, pewnie student... – w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

– Ale może to być młody książę, który niebawem odziedziczy tytuł, teraz zaś studiuje, by w przyszłości godnie pełnić nałożone nań obowiązki.

– Nazywa się chyba Lamotte.

– Mój Boże! – jęknęła Marie-Angelique. – Genevieve, lepiej zaraz opuść tę firankę. Maman nie pozwala przyglądać się nieznajomym. To w złym guście. – Odeszłam od okna i wzięłam do ręki szkicownik. Wśród kwiatów pracowicie skopiowanych na życzenie nauczyciela rysunku naszkicowałam młodzieńczy profil Lamotte'a. Jakiż on uroczy! Poniżej umieściłam podpis: „Nie przyglądać się nieznajomym. ” Pokazałam swoje dzieło siostrze, która wybuchnęła śmiechem.

– Och, siostrzyczko, i co z tobą począc? Jesteś niepoprawna!

– No, panienki, na co czekacie? – do pokoju z szumem wpadła matka gotowa do wyjścia, z przewieszonym przez ramię koszem pełnym ciast, owoców i pasztecików. – Proszę dłużej nie mitrzyć! Nie jesteście już dziećmi! Najwyższa pora, abyście umiały sumiennie wypełniać swoje chrześcijańskie obowiązki! – To prawda, nie byliśmy już dziećmi. Ja ukończyłam lat piętnaście, a Marie-Angelique dziewiętnaście; powinna już była wyjść za mąż i tak by się pewnie stało, gdyby miała odpowiedni posag. Matka, czekając na nas, robiła wrażenie szalenie zaaferowanej. Od niedawna bardzo gorliwie zajęła się dobroczynnością – w przerwach między wizytami u wróżki. Regularnie co tydzień odwiedzała teraz Hotel Dieu, szpital dla ubogich, który mieścił się na placu przy katedrze Notre Dame, by obdzielić chorych jałmużną. Chrześcijańskie miłosierdzie stało się właśnie prawdziwym krzykiem mody, a matka uwielbiała być modna. Ponadto w olbrzymich salach Hotel Dieu można było spotkać najwyżej utytułowane damy zajęte opatrywaniem ropiejących wrzodów bądź rozdawaniem łakoci, zatem

wyprawa do szpitala równała się niemal wizycie w Saint-Germain albo Wersalu, a o ileż mniej wymagała zachodu.

Ów szal miłosierdzia rozpętał się wkrótce po rekwizycji naszego powozu i koni przez wierzycieli ojca. Z początku mnie to zdumiewało: moja matka i dobroczynność? Ona, która z taką pogardą przechodziła obok żebraków, a jeśli już zdobyła się na jakiś datek, to zawsze bardziej niż skromny? Później doszłam do wniosku, że to pewnie moda wywołała w niej ową cudowną przemianę... Tak czy inaczej, rzuciła się w wir dobroczynności z taką samą niespożytą energią, z jaką utrzymywała swój salon. Plotki o naszej ruinie starała się uciszyć w sobie właściwy sposób: kobiety z rodziny Pasquierów musiały być zawsze dobrze ubrane, a ich kosze pełne wiktuałów, gdy wspólnie z hrabiowsko-książęcymi aniołami miłosierdzia szły świadczyć chrześcijańskie posługi biednym.

Każda z nas trzech odnosiła z tych wypraw jakąś korzyść. Marie-Angelique mogła później przez tydzień karmić wyobraźnię wspomnieniem wytwornych wstążek markizy X lub nową fryzurą komtesy Y, ja zaś miałam o czym pisać w pamiętniku. Zajmowało mnie wówczas badanie prawdziwości tego, co mówi religia, zwłaszcza o skuteczności modlitw. Aby to sprawdzić, zastosowałam matematyczną metodę dowodu. Sporządziłam więc najpierw rejestr wszystkich dolegliwości, na które cierpieli nawiedzani przez nas biedacy, zaznaczając obok każdego przypadku domniemane szanse wyzdrowienia. Za pomocą naiwnie brzmiących acz konkretnych pytań próbowałam potem ustalić, ile odmówiono modlitw na intencję każdego z chorych. Dochodziłam do tego, mnożąc liczbę krewnych przez współczynnik od jednego do pięciu, zależnie od uczuć okazywanych pacjentowi przez członków rodziny. Na koniec notowałam, kto umarł, a kto przeżył, i czy stało się to zgodnie z lekarską prognozą. Całe to przedsięwzięcie sprawiało mi ogromną satysfakcję, bo czyż odkrywanie prawdy drogą racjonalnego myślenia nie jest najdonioślejszym zadaniem każdego przedstawiciela rodzaju ludzkiego?

Miłosierdzie wychodziło na dobre także mojej matce. Stała się spokojniejsza. Tego dnia, kiedy zabrano nam powóz, z początku szalała po domu, tak że ściany drżały od jej krzyków, a potem wtargnęła do gabinetu ojca, przerywając nam dyskusję o Senece. Kiedy mu zaczęła złorzeczyć, ojciec bardzo powoli podniósł na nią oczy; wyraz jego spojrzenia na zawsze chyba wrył mi się w pamięć.

– Madame, ja nie przeszkadzam pani w jej miłostkach, bądź zatem łaskawa pozostawić mnie mym filozofom.

– Ach, ty i ta twoja głupota!... Twój brak ambicji!... Twoja odmowa bywania na dworze, by doręczyć moje petycje! Ci twoi Rzymianie, przez których zostałam tak haniebnie poniżona! To oni wpędzili mnie w położenie, którego nędza przekracza mą wytrzymałość!

Spokojny głos ojca nawet nie drgnął:

– Jeśli kiedykolwiek udam się do króla z petycją, będzie ona zawierać prośbę o zamknięcie pani w klasztorze z powodu jej skandalicznych obyczajów. Wyjdź teraz, madame, i nigdy więcej nie zakłócaj mego spokoju. – Po tych słowach otworzył znów dzieło Seneki w miejscu zaznaczonym uprzednio zakładką.

Matka, śmiertelnie blada, chwilę stała bez ruchu, z półprzymkniętymi oczami.

– Monsieur, jest pan człowiekiem, z którym święty by nie wytrzymał – przemówiła w końcu lodowatym tonem. Raz jeszcze obrzuciła wzrokiem rzędy książek wypełniających gabinet aż po jego niskie sklepienie, chwyciła jasnozielony tren jedwabnego peniuaru i szybko wycofała się za drzwi. Ojciec wciąż siedział nieruchomo z otwartą książką na kolanach. Znad swych małych okularów patrzył za odchodzącą z takim wyrazem twarzy, jakby obserwował pierzchającego insekta.

Po tym incydencie matka wynajęła lektykę i przepadła gdzieś na całe popołudnie. Zaraz potem zainteresowała się dobroczynnością i w progi Maison de Marmousets znowu powrócił spokój.

Powiedzmy jednak o tym, co stało się zaraz po naszym wyjściu do szpitala. Stojący tuż za bramą Andre Lamotte, równie śmiały jak ubogi, ujrawszy moją siostrę, zamiótł przed nią ziemię kapeluszem.

– Nie odklaniaj mu się! – syknęła matka, ostentacyjnie odwracając głowę. – To człowiek bez majątku. Zakazuję ci ośmielać takich golców.

Gdyśmy weszły w ulicę de Saint-Pierre-aux-Boeufs, nie oparłam się gwałtowniej pokusie, by zerknąć na niego przez ramię. Wciąż jeszcze stał z kapeluszem przyciśniętym do serca i tęsknym wyrazem twarzy. Spostrzegłszy, że patrzę, wyszczerzył zęby w uśmiechu. Chyba nawet zmrużył jedno oko.

Przechodząc przez dziedziniec katedry Notre Dame matka rozglądała się na wszystkie strony, by przypadkiem nie przegapić kogoś ważnego.

– Ach, czy to nie komtesa d'Armagnac? Zwolnij kroku, Marie-Angelique, byśmy mogły wymienić ukłony.

Za gotyckim portalem szpitala powitała nas nowicjuszka i zaprowadziła do sali zastawionej długimi rzędami masywnych łóżek. Każde z nich osłonięte było kotarą, sala zaś nosiła imię świętego Tomasza. Rozpoczęliśmy powolny obchód pierwszego rzędu, zatrzymując się przy każdym łóżku, by ofiarować pacjentom przyniesioną żywność. Matka wypytywała o zdrowie swoich podopiecznych, tych, których obdarowała przed tygodniem.

– Nie widzę chorego z prawego rzędu – zauważyła w pewnej chwili. – Tego z łóżka numer osiemdziesiąt sześć. Nazywał się pan Duclos, jeśli mnie pamięć nie myli. Tak smakowały mu moje ciasteczka! A i dziś przyniosłam mu jego ulubione – w nabożny ton matki wkradła się nutka zawodu.

– Niestety, madame Pasquier, jego ziemskie niedole zakończyły się wkrótce po pani ostatniej wizycie.

– O, jakże będzie mi go brakowało! Nawet w cierpieniu nie odbiegł go rzadki dowcip. – Matka musnęła oczy chusteczką. Ruszyła teraz wzdłuż drugiego rzędu łóżek, ofiarowując ciastka, słowa pociechy, gdzieniegdzie też i modlitwy. Wszystko to skrzętnie notowałam. Pod koniec dnia podsumowywałam liczby i wyciągałam wnioski. Jak dotąd modlitwy nie skutkowały.

Pod koniec pozostało mi dziesięć przypadków. Dwa, którym matka nie poświęcała uwagi, miały się lepiej. Spośród pozostałych ośmiu pięciu nieszczęśników zmarło mimo pokażnej liczby modłów, jak również matczynych pasztecików, twarze dwóch innych też pokryły się już owym dziwnie szarawym zabarwieniem zwiastującym rychłą agonię. Dopiero wieczorne zapiski w notatniku pomogły mi zmyć z serca gorycz zawodu. Doszłam też do wniosku, że gdybym ja miała córkę, nie brałabym jej z sobą do szpitala.

„Myśl: a może moja metoda wykazała nie tyle nieskuteczność pacierzy, ile szkodliwe skutki ciężko strawnego jadła?” W nikłym blasku dogasającej świecy długo w noc przeglądałam swoje notatki, liczyłam, podliczałam i znów zaczynałam od początku. Ależ tak! Na to wyglądało! „Weźmy choćby ten przykład: ci, którzy jedli matczyne paszteciki i kandyzowane owoce, pomarli wszyscy bez wyjątku, czy ktoś modlił się za nich czy nie. Wymyślić inny sprawdzian. Nie łączyć Pana Boga z pasztecikami. On nie ma z tym nic wspólnego...” Zastygłam z uniesionym piórem w rękę. A matka? Czyżby była to jej zasługa? Ach nie, musi to być zbieg okoliczności.

– Dokąd to idziesz tak zupełnie sama? – usłyszałam, wymykając się z domu małą ogrodową furtką. W rękę miałam koszyk z resztkami szpitalnego jadła.

– Na rue de la Licorne, ale co to ciebie obchodzi, monsieur?

– Aż do dziś, uwierzysz, nie podejrzewałem, że możesz być córką tego domu. Myślałem, że... pojmujesz... widując cię to tu, to tam, bez eskorty... – Andre Lamotte wciąż wystawał na naszej ulicy. Ruszyłam naprzód jak burza z wysoko uniesionym nosem: jak on śmiał wziąć mnie za służącą!

– Myślałeś, że jestem osobą do towarzystwa!

– Zaczekaj, nie spiesz się tak... nie możesz sama tego dźwigać! Będę ci towarzyszył. – Miał w sobie jakiś ożywczy urok, ale intuicja mi mówiła, że monsieur Lamotte jest jak słońce: wszystkich równo obdziela swoim blaskiem, tak więc nie należy przywiązywać do tego wagi. I właśnie to stanowiło dla mnie większą obelgę niż wszelkie grubiaństwa, które mogłyby mnie spotkać z jego strony.

– To, że krzywo chodzę, nie oznacza, że jestem słaba – oznajmiłam cierpko. – Czuję się ponadto w obowiązku poinformować cię, monsieur, że chociaż nasza siedziba wygląda tak okazale, ani moja siostra, ani ja nie mamy żadnych widoków na spadek. Dlatego oszczędź sobie zachodu. Zwróć raczej swoje wysiłki w bardziej obiecującą stronę. – Ten bezwstydnik tylko się roześmiał i nadal deptał mi po piętach.

Pozostawiwszy koszyk w miejscu przeznaczenia, zaatakowałam go ostro:

– A teraz, monsieur Lamotte, powie mi pan natychmiast, z jakich to powodów postanowił mnie pan śledzić! – Szastnęła nogą, w tym okropnym błocie! i zamiótł je kapeluszem gestem godnym pałacu Saint-Germain.

– Mademoiselle Pasquier, ja, Andre Lamotte, ofiarowuję ci moje służby, tak każe mi bowiem zarówno ma poetycka dusza, jak i me dobre maniery. Nie śledzę cię, lecz eskortuję. A czynię tak dlatego, że pragnę sobie zaskarbić przychylność młodszej siostry owego anioła, którego boskie oblicze dane mi było ujrzeć w oknie na piętrze.

– Tak też myślałam! – prychnęłam z pogardą. Nie patrząc za siebie pokuśtykałam dalej, ale on szybko wysforował się naprzód i zagroził mi drogę. Tu znowu wykonał ukłon, zamazyście wywijając kapeluszem. Czułam na sobie rozbawione spojrzenia przechodniów. Cóż za upokorzenie!

– Mademoiselle, będę tak stał do końca świata, jeśli nie wyświadcysz mi łaski. – Zza rzędu oskubanych kurczaków i gęsi dyndających przed pobliskim sklepem wyszła właścicielka, pospiesznie wycierając ręce w poplamiony fartuch. Śmiała się od ucha do ucha.

– Co za niedorzeczność! – warknęłam. Spiorunowałam oboje wzrokiem i rzuciłam się do

ucieczki. Niezwłocznie umieścił na głowie kapelusz i popędził za mną wielkimi susami. Już po chwili ponownie miałam go przed sobą na samym środku ulicy.

– Przestań! – krzyknęłam. Kapelusz w jego ręku po raz kolejny zatoczył szerokie półkole. Banda małych uliczników, porzuciwszy piłkę, ciekawie podsunęła się bliżej.

– Okrutna niewiasto! – zadeklamował tonem profesjonalnego tragika. – Powiedz „tak”! Zali chcesz, bym padł trupem u twoich stóp?

– Skończ waść te kpiny! – syknęłam. – Ty rozmyślnie mnie upokarzasz!

– Umrę, mademoiselle, i śmierć ma obciążyć twoje sumienie. A świat oplakiwać będzie jeszcze jedną ofiarę oziębłości! – dramatycznym gestem przycisnął do serca kapelusz.

– Powiedz mu „tak”, ty głupia! – zawołał kobiecy głos z okna.

– Nie ociągaj się, dziewczyno! – zawtórował mu drugi. Wkrótce przyłączyły się inne:

– Hej ty! Czyżbyś serce miała z kamienia? Taki przystojny kawaler!

– Spełnij jego prośbę! Sama bym to chętnie uczyniła!

– Hańbą okryjesz swych krewnych, umierając jak pies na ulicy – docięłam panu Lamotte. Próbowałam ignorować rosnący z każdą chwilą tłum gapiów.

– Nie mam ja żadnych krewnych ni żadnej nadziei prócz ciebie – strząsnęła z oka udaną łzę. Spektatorzy nie szczędzili mu zachęt, za co uklonił im się z wyszukaną galanterią.

– Przestań wreszcie drwić sobie ze mnie! – wrzasnęłam, tupiąc nogą. Na twarz biły mi rumieńce.

– Dziewka bez serca! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Powiedziałam, przestań! Odprowadź mnie do domu! – z wściekłości wybuchnęłam płaczem.

– O tak! Weź panienkę do domu! – rozległ się wesoły okrzyk. Lamotte nałożył kapelusz.

– Doskonale, skoro taka jest wasza wola – oznajmił w stronę widowni, po czym szarmanckim gestem ujął mnie pod ramię. Już wtedy potrafił stać się ulubieńcem tłumu. Dobrze wiedział, jak zdobyć sobie jego łaski. Kłaniając się na wszystkie strony, słał szerokie uśmiechy bandzie obszarpanych wesołków, którzy najwyraźniej postanowili towarzyszyć nam aż do domu; banda ta zamiast topnieć, z każdą chwilą zdawała się rosnąć w liczbie. Kipiałam z bezsilnej złości, gdy nagle dobiegł mnie okrzyk: „Oto i on! Cyrus Wielki na czele swoich zastępów!” Okrzyk ten wydobył się z otwartych drzwi tawerny Pomme de Pin, osławionego miejsca spotkań

przyszłych dramatopisarzy i satyryków. Często nachodziła je też policja w poszukiwaniu autorów nielegalnie wydanych dzieł, jako że z reguły nie mieli oni stałego miejsca zamieszkania. Służyła, krótko mówiąc, za kryjówkę ściganym pisarzom i jako taka cieszyła się najgorszą sławą wśród lojalnych poddanych króla.

Towarzyszący nam obszarpańcy zbili się w grupę za plecami mego strażnika, kiedy ten przystanął przed wejściem do szynku.

– I jak Cyrus wiodę łup wojenny – brzmiała jego replika, skierowana do stojącego w drzwiach smagłego młodzieńca o ciemnych włosach. Był on średniego wzrostu, a lekko przygarbione plecy świadczyły o zbyt długim ślęczeniu nad książkami. Miał na sobie czarne ubranie nie najświeższego kroju.

– Ha! – wykrzyknął, wyłaniając się ze swej kryjówki w towarzystwie jakiejś drugiej, wyższej od siebie postaci. – A ja byłem pewny, że ów nieznajomy anioł jest blondynką!

– Prawda, że miłość to obłąd, skoro potrafi tak zmienić nawet kolor uwielbianych włosów – odezwał się jego wysoki, nędznie odziany towarzysz.

– To siostra mego anioła – odparł z ukłonem mój prześladowca. – Moje wrota do szczęścia. Ona jest tą, która trzyma w ręku mój los. Może mnie obdarzyć radością lub strącić w otchłań rozpacz. Mademoiselle Genevieve, niech mi wolno będzie przedstawić ci dwóch towarzyszy mej ziemskiej tułaczki. Ten, co ma w oczach uczciwość, a na płaszczu łaty, to Jean-Baptiste Gillet, z imprimatur na swoich drukach lepiej znany jako Gryfon. Wkrótce zdobędzie sławę, wydając moje dzieła wszystkie, kiedy je już napiszę. – Drągał zrobił błazeńską minę i złożył oratorowi ukłon. – Ten w czerni to nie wdowiec ani jansenicki duchowny, tylko Florent d'Urbec, wśród przyjaciół znany jako Kato Cenzor. Wszystko rozumie, niczego jednak nie pochwała. Wierzy w uniwersalność matematycznej metody dowodzenia prawdy, dlatego stosuje ją do oceny królestwa, i przy grze w karty, i przy uwodzeniu niewinnych dziewczyc.

Ciemnowłosy młodzieniec w źle skrojonym stroju prowincjusza ukłonił się nisko, powiewając szerokim, niczym nie przyozdobionym kapeluszem.

– Metody matematycznej? – powtórzyłam z niejakim zaskoczeniem.

– Jest niezawodna – oświadczył stanowczo, wlepiając we mnie zuchwałe spojrzenie czarnych, niewątpliwie inteligentnych oczu. – Biorąc ją za punkt wyjścia, zamierzam stworzyć naukową metodę przewidywania wszelkiego rodzaju wydarzeń. – Miał mocno orli nos i czarne krzaczaste brwi nadające twarzy wyraz surowej powagi; jego czarne loki tak niesfornie wiły się

wokół głowy, jakby sam chlasnął je byle jak nożycami, by oszczędzić sobie kosztów fryzjera. Zirytował mnie zwłaszcza jego uśmiech – leniwy i arogancki. Wydaje mu się, że na całym świecie tylko on sam jest mądry, pomyślałam. Pokażę ci, że jesteś w błędzie.

– Ach, więc to pan jest owym Katonem, autorem "Uwag o zdrowiu państwa"! A ja wyobrażałam sobie, że ma pan sto lat i podagrę!

– Cóż, mademoiselle, frywolność to znak naszych czasów, dlatego każdy poważniejszy zamysł kojarzy ci się ze starością - oczy błyszczały mu kpina. Ta protekcyjność rozbudziła we mnie jeszcze większą złość.

– Czy istotnie uważa pan za słuszne obstawać wciąż przy analogii między ciałem ludzkim a tworem o tak odmienną strukturę jak państwo? Weźmy dla przykładu funkcje serca, odkryte przez tego Anglika, pana Harveya. Są one zupełnie inne od tych, które dawniej przypisywano sercu... – Monsieur Lamotte cofnął się nagle o krok. Patrzył teraz wzrokiem człowieka, który odchyliwszy poduszkę zobaczył syczącą żmiję.

– Oho, Lamotte, widzę, żeś znalazł drugą uczoną damę – wszedł mi w słowo Gryfon. – A już myślałem, że masz dosyć pociesznych wykwitniś.

– Nie jestem wykwintniś, monsieur Gillet, gdyż nazywam rzeczy po imieniu. O, ja ich nie ubieram w kwieciste przebrania, mój ty panie drukarzu sprośnych pamfletów!

– Ależ mademoiselle, mówiąc tak, czynisz mi krzywdę. Ja szerzę wśród ludzi oświatę – zaprotestował Gryfon, przykładając rękę do serca.

– Utworami ze znakiem Gryfona? Rzekomo drukowanymi w Hadze? Który z nich ma pan na myśli? „Odrażające występkę ojca Mariette" czy „Niesłychane wyczyny opętanych siostrzyczek z Loudon"? A może „La Putain Errante"? To pan nazywa oświatą? Jeśli tak, to z pana dopiero pocieszny wykwintniś!

D'Urbec najpierw zerknął na mnie z uznaniem, a potem przeniósł wzrok na drukarza i wybuchnął śmiechem:

– No, Gillet, dobry sztych! Powinieneś zawołać „touche!" Celnie trafiła cię ta panna! Podziwiam jej odczytanie – wykrzyknął, klepiąc Gryfona po ramieniu. – A ty, mój biedaku – zwrócił się do Lamotte'a – zaczynasz się lękać, że i boska siostra mogła ulec mocy rozumu. O, widzę to po twoich oczach! Zważ jednak, mój przyjacielu, że szczerść w mowie to rzecz wielce chwalebna u niewiasty, jako najrzadsza z jej możliwych cnót. – Założył ręce na piersi i z widocznym sarkazmem zlustrował mnie od stóp aż po czubek głowy. Przeszyłam go wzrokiem

pełnym jadu. Dostrzegł to i znów się roześmiał: – Mademoiselle, mam honor poinformować panią, że kobieta inteligentna trzyma w ręku klucz do mego serca. Zwłaszcza taka, co z własnej nieprzymuszonej woli przeczytała mój traktat o uzdrowieniu państwa drogą reformy finansów. Gdyby nie to błoto, ukląkłbym przed tobą i poprosił o rękę, o Szarooka Ateno!

– Prześmiewcy z was, moi panowie, wszyscy trzej. Idę do domu. – Odwróciłam się z umiarem odejścia. Obszarpańcy już wcześniej zdążyli się rozejść – dali widać za wygraną. – Mojej matce nie spodobałaby się ta znajomość – dorzuciłam jeszcze na odchodnym.

– Idziemy z tobą – oświadczył Gryfon. – Pomożemy drogiemu przyjacielowi popchnąć jego sprawę, jak również bronić cię, mademoiselle, przed tą hałasą, od której roi się w szynkach.

– Odczep się, Gryfon – burknął Lamotte – psujesz mi tylko szyki.

– Nie licz więc na to, że ci wydrukuję następny zbiorek sonetów – odciął się Gillet.

– Kiedy moje sztuki zdobędą sławę, zlecę innemu wydawcy druk wszystkich moich dzieł. I to on się na nich wzbogaci, a nie ty – prychnął Lamotte.

– Pax, pax, panowie. Popadliście w impas, który zdoła rozwiązać tylko filozofia – mitygował zwaśnionych idący tuż za mną Kato.

– Czyżby filozofia polityczna? Której głosiciele wzniesają jedynie ciągle niepokoje i rewolty? Ileż to wojen wywołała ta filozofia! – odparował Gryfon.

Tak szybko skręciłam w rue des Marmousets, że pogrążeni w sprzeczce z trudem dotrzymywali mi kroku. Nagle Kato zręcznie wysunął się naprzód i przybrawszy pozę rzymskiego oratora – jedna ręka na sercu, druga wyciągnięta – zwrócił się do mnie w te słowa:

– Błagam cię o pomoc, mądra Ateno! Ci dwaj zranili mnie do żywego. Broń nieszczęsnego filozofa i jego utworów! – Treść przemowy była błazeńska, ale w oczach d'Urbece, gdzieś na samym ich dnie, pojawiło się coś zgoła innego. Nie chciałam tego widzieć, wpadłam w popłoch. Dotarliśmy już do ogrodowej furtki nie opodal wielkich wrót wiodących na dziedziniec Maison des Marmousets.

– Uparliście się mnie zawstydząć aż do progu mojego domu. Żegnam was, panowie.

– O! – wykrzyknął Gryfon, przyglądając się rezydencji. – Toż to Hotel Pasquier! Widać, że mieszkają tu bogacze. Nie masz żadnych szans, Petroniuszu. Możesz napisać wiekopomne dzieło, a i tak nie przestąpisz tego progu.

Petroniusz! – pomyślałam. No tak, oczywiście. Czyż ktoś tak rozmiłowany w modnych

wstęgach i najwymyślniejszych guzikach mógłby nosić inny przydomek niżli imię arbitra elegantiarum? Tymczasem właściciel świeżo wyhodowanych wąsów wydobyl z za koszuli rulon i chciał mi go wcisnąć do ręki.

– Mademoiselle Genevieve, zaklinam cię na wszystko co święte, przekaż me posłanie Umiłowanemu Aniołowi z Niebios.

– Marie-Angelique?

– Marie-Angelique... Och, wiedziałem, że to anioł! Powiedz jej, że ginę z miłości.

– Wszyscy tak mówią.

– „Wszyscy”? Czyżbym miał rywala? Któż to taki?

– Hm, ostatnim był mój nauczyciel. Ten istotnie bardzo zmizerniał.

– Z jakim rezultatem? – zapalczywie wykrzyknął Petroniusz. Nagle się ożywił.

– Oddalił się za obopólną zgodą, aby zbić fortunę na sprzedaży swego wynalazku, opracował bowiem własną metodę doskonalenia pamięci.

– Mniemam, że uczynił to ze złamanym sercem? – głos Lamotte'a odzyskał niefrasobliwe brzmienie.

– O, pewnie tak. Teraz jednak udziela nauk bękartom pewnego hrabiego z prowincji i umizga się do mademoiselle du Pare, aktorki.

– A więc nie był wart mego anioła. Ja to co innego. Zanieś mój list, błagam...

– Będzie to pana kosztowało, monsieur. – Należała mi się jakaś zapłata. Dość najadłam się przez niego wstydu.

– Czyż miłość nie warta jest wszystkich pieniędzy?

– Nie pieniądze mam na myśli, mości Petroniuszu. Ja wyświadczam panu przysługę... niezupełnie zgodną z konwenansem... żądam więc od pana podobnego rewanzu. Od dawna pragnę zdobyć egzemplarz „Satiriconu”. Czyż to nie uczciwa wymiana?

– O, mademoiselle, niegodziwa z pani osoba! Każdy nabywca francuskiej wersji tego utworu ma przed sobą długi pobyt w Chatelet, jeśli go przyłapią na gorącym uczynku – odezwał się Gryfon.

– Chodzi mi o oryginał w języku łacińskim. Sama nie mogę go nabyć, rozumie pan chyba dlaczego, lecz poniesiony wydatek zwrócę co do grosza.

Kato cały czas przyglądał mi się badawczo:

– Domyślam się, o Szarooka, że czytasz również po grecku.

– Odrobinę. Mój nauczyciel greki za szybko nas opuścił.

– Zatem uznaj łaskawie, że możesz przyjść z pomocą obecnemu tu Petroniuszowi, aby nie szezł na progu twego domostwa. Ja podejmuję się dostarczyć ci ten niecny utwór, choć może mi to zająć trochę czasu. – Jego sardoniczny uśmiech zmieszał mnie i znów rozgniewał. Pochwyciłam list i natychmiast zatrzasnęłam za sobą furtkę.

– O, a to co? – spytała trochę zdziwiona Marie-Angelique, biorąc ode mnie list.

– Pewnie następne wyznanie miłosne.

– A więc już nawet ty je nosisz? Czy to od tego prześlicznego młodzieńca o jasnych włosach, który skłonił mi się z karety?

– Nie. Od tego ze wstążkami, co wystaje przed naszym domem.

– O, ten... – skrzywiła się Marie-Angelique. Przelotnie spojrzała na papier, po czym zmięła list i wrzuciła go za kratę wygasłego kominka. – Powiedz mi, Genevieve, jak w twoich uszach brzmi słowo „księżna”?

– O, bardzo pięknie. Któż jest tą księżną?

– Mademoiselle de la Valliere, a otrzymała ów tytuł jako faworyta króla i matka jego dzieci.

– Rzymianie mawiali, iż największą ozdobą kobiety jest cnota. Szlachetna Lukrecja wolała się zabić, niżli żyć w hańbie.

– Ale my nie jesteśmy Rzymiankami. O, Genevieve, ci twoi Rzymianie już dawno pomarli. My żyjemy we Francji. Czasy się zmieniły, a wraz z nimi i obyczaje.

– Z pewnością.

– Aleś ty dziś kwaśna, siostrzyczko. Nie wierzysz w potęgę miłości?

– Wierzę w potęgę logiki – odrzekłam krótko i wyszłam. Zaczekałam, aż Marie-Angelique także opuści pokój, po czym chyłkiem wśliznęłam się tam z powrotem, by przeczytać wzgardzony list. Był w nim poemat, najwyraźniej pisany nocą, bo na papierze widniały liczne krople wosku ze świecy. Włożyłam go między strony swego Cycerona. Byłam pewna, że nikomu z domowników nie przyjdzie do głowy szperać w takim miejscu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zaraz z początkiem września ojciec zapadł na dziwną dolegliwość żołądka. Wezwany lekarz orzekł, że przyczyną jest nadmiar humoru żółci i zaordynował puszczenie krwi. Niestety, po całej serii obfitych upustów stan chorego jeszcze się pogorszył. Matka z niezwykłą u niej troskliwością zaczęła pielęgnować męża. Sama gotowała mu jedzenie, a nawet prała jego koszule i prześcieradła. Ja, chcąc podnieść ojca na duchu, tak by szybciej wracał do zdrowia, czytałam mu głośno po kilka godzin dziennie. Lecz mimo usilnych starań matki chory z każdym tygodniem wydawał się słabszy. Czasami myślałam już nawet, że treść czytanej książki wcale do niego nie dociera, ale wtedy nieoczekiwanie zwracał ku mnie głowę i mówił: „Córko, jesteś mi prawdziwą podporą i wielką pociechą. Zaczynaj czytać od miejsca, gdzie przerwałam. ”

– Powiedz mi, dziecko, jak Arystoteles definiuje prawdziwe szczęście – poprosił mnie pewnego razu.

– Uczy nas, ojcze, że prawdziwe szczęście człowiek odnajduje w kontemplacji, ta zaś wyznawana powszechnie koncepcja, według której szczęście to same przyjemności i uciechy, narodziła się na dworach tyranów; ci też zawsze ją popierają, w każdym czasie i miejscu.

– Szybko uczysz się, córko, czytaj dalej. – Czytałam więc „Etykę nikomachejską”, której autor za główny warunek szczęścia uważał szlachetne działania. Słuchając ulubionych fragmentów ojciec z aprobatą kiwał głową, a uśmiechał się ironicznie, gdy czytałam na przykład, że niewolnik może doznawać rozkoszy cielesnej, co jednak bynajmniej nie oznacza, że jest szczęśliwy. W owym czasie niezupełnie rozumiałam, co ma na myśli mój ojciec, teraz dopiero, kiedy jestem starsza, widzę aż nadto dobrze, jak trafnie oceniał świat i jego sprawy.

– No, mapetite, co tam słyhać? Mój syn powinien już wracać do zdrowia. – Babcia w ciągu kilku ostatnich tygodni mocno się skurczyła, jak nie przymierzając zasuszone jabłko. Po szybach bębnił jesienny deszcz, a szczelnie zaciągnięte kotary wydzielały intensywny zapach wilgoci, chociaż na kominku płonął ogień. Babcia odłożyła otwartą Biblię. Czytała Księgę Apokalipsy.

– Ojcu wcale nie jest lepiej, babciu, mimo że matka sama go dogląda. Już nawet Rzymianie nie cieszą go tak jak kiedyś.

– Co? Ta wszeteczna córa Babilonu sama pielęgnuje mego syna? Czy kto widział, aby lampart pozbył się cętek, a Etiopczyk zmienił kolor skóry? Powiedz mi, dziecko, jakże ona go pielęgnuje?

- Robi wszystko, babciu. Zmieniła się nie do poznania.
- Wszystko? – Na twarzy babci pojawiła się dziwna czujność. – Mów, czy mu gotuje? Czy sama pierze jego bieliznę?
- Tak, babciu, oczywiście. Także prześcieradła i bandaże.
- Jakie bandaże? Nikt mi nie mówił, że są mu potrzebne! Powiedziano mi, że czuje się lepiej.
- To nieprawda, babciu. Serce by ci pękło, gdybyś zobaczyła te rany na jego ciele.

Błada, pomarszczona twarz babci zrobiła się jeszcze bledsza; chwilę milczała, potem jej czarne oczka zapłonęły ogniem.

- W mydle... – wymamrotała. – Czytałam o tym. – Z niezmiernym wysiłkiem dźwignęła odporne ciało i usiadła. – Podaj mi laskę, Genevieve, i wyjmij z szafy moją czarną suknię, tę najlepszą. Pomożesz mi się ubrać. Wstaję.

Mniej chyba byłabym zdumiona, gdyby mi powiedziała, że woda w Sekwanie przemieniła się w wino. Przyniosłam laskę, a potem ciągnąc babcię z całych sił za ręce pomogłam jej usiąść na brzegu łóżka. Dyszała jak wyjęta z wody ryba, jednakże przewyciężając słabość, z determinacją zacisnęła usta. Ubrałam ją w prastarą suknię w stylu Ludwika XIII, bez gorsetu, i narzuciłam na głowę gęsty wdowi welon. Cały pokryty był czarnym haftem naszywanym dziesiątkami połyskliwe czarnych paciorków. Wciąż jeszcze miała malusieńkie stopy – ostatni ślad jej słynnej niegdyś urody. Uśmiechnęła się z przyjemnością patrząc, jak wsuwam miniaturowe sandały na jej czarne wełniane pończochy. Już ubrana, ciężko oparła się na moim ramieniu i tak, krok za kroczkiem, dobrnęła do swego starożytnego fotela – Uf. – westchnęła z wyczerpania. – Teraz podaj mi pióro i atrament, muszę coś napisać. Ty, Genevieve, pójdziesz wynająć powóz, tylko nikomu o tym ani słówka. Pamiętaj, nikomu! I wracaj jak najszybciej. – Przysunęłam jej lekki stoliczek, na którym położyłam wszystko, co potrzebne do pisania: pióro, atrament, papier i piasek do posypywania pisma.

Kiedy otwierałam drzwi babcinej sypialni, zdawało mi się, że słyszę szelest ubrania i odgłos cichych, szybko oddalających się kroków. Drgnęłam gwałtownie – wprost czułam, że nerwy napinają mi się jak postronki. Spojrzałam na babcię. Wydawała się taka inna w tym fotelu... po dawnemu zasuszona i krucha, lecz w oczach jej wciąż płonął ten osobliwy ogień... Z ogromnym pośpiechem wodziła piórem po papierze. Posławszy chłopca na postój powozów, co prędzej zawróciłam na górę.

Siedziała w fotelu z głową odrzuconą na oparcie; całym jej ciałem wstrząsały konwulsje. Obok

przewróconego stolika leżał otwarty kałamarz, którego zawartość zdążyła już utworzyć czarną półkolistą plamę na usianym piaskiem dywanie. Jak szalona zaczęłam wzywać pomocy. Spłoszona papuga babci ze skrzekiem pofrunęła na karnisz. Pokój nagle wypełnił się wrzawą. Dudniły kroki nadbiegającej służby, rozległ się przerażony krzyk matki. Za jej plecami mignęła mi blada jak papier twarz Marie-Angelique. Kiedy służący przenieśli umierającą na łóżko, papuga z głośnym łopotem frunęła pod sufit, po czym wylądowała na kopule łoża, skrzecząc: „Pijże, ty stare monstrum! Ogień! Ogień i siarka!”

– Na miłość boską, niech ktoś ukręci łeb temu straszdyłu! – krzyknęła matka. Powstało jeszcze większe zamieszanie, gdy służba rzuciła się w pościg za ptakiem, który jakby wiedząc, co go czeka, szaleńczo miotał się nam nad głowami.

– Nie róbcie jej krzywdy! – zawołała Marie-Angelique, załamując ręce. – Wszak biedactwo nie wie, co czyni!

– Babciu, babuniu, nie umieraj! – łkałam, trzymając w obu dłoniach zaciśniętą pięść konającej.

– Nie umieraj... ja nie chcę!... – Ale nawet ja wiedziałam, że to już koniec. Czułam, jak ciało babci wiotczeje, jak ogarnia je przeraźliwy chłód śmierci. Zupełnie nie zauważyłam, kiedy za moimi plecami znalazł się wuj.

– Ach, cóż za rozdzierająca scena – wycedził lodowatym tonem.

– Wezwijcie księdza – rozkazała matka. – Ty to zrobiłaś, mademoiselle – powiedziała twardo, z wyrazem morderczej nienawiści w oczach. – To wyłącznie twoja wina. Zabiłaś ją, wyciągając z łóżka. – Odwróciła się na pięcie, głośno szeleszcząc jedwabiem, i wsparta na ramieniu wuja opuściła komnatę. Zostałam sama przy zwłokach babci, obleczonych w całą jej minioną świetność.

Płynęły godziny, a ja nie ruszałam się z miejsca, wpatrzona w zastygłą twarz zmarłej. Jak mogła tak nagle umrzeć? Ona, która przez tyle lat tak zwycięsko opierała się śmierci! W myśl tę wplotły się w pewnej chwili odgłosy podobne do cichego gruchania. Papuga, która sprytnie wywinęła się prześladowcom, stąpała teraz dumnie po sklepieniu łoża, wydając zwyczajem niektórych ptaków miękkie, gardłowe dźwięki. Opuściłam wzrok na zaciśniętą dłoń babci, którą wciąż jeszcze tuliłam w rękach, i dostrzegłam w niej zmięty strzęp papieru. Ostrożnie wyjęłam go i rozprostowałam. List, który pisała przed śmiercią! Z podartej kartki pozostał tylko ten strzępek. Obejrzałam go z obu stron. Było tam jakieś nazwisko, które nic zgoła mi nie mówiło: „M. de La Reynie”. Nic więcej. Gdzie podziała się reszta? Może list gdzieś upadł? Zaczęłam szukać na podłodze koło fotela. Przy jednej z jego złożonych nóg uformowanych na

kszałt łapy drapieżnika leżała pusta szklaneczka po kordiale – listu nie było. Postawiłam ją na nocnym stoliku obok małej kryształowej buteleczki. Żal zdławił mi gardło. Babcia jeszcze by żyła, gdyby nie ja... gdybym nie pomogła jej się podnieść. Ja ją zabiłam, to moja wina!

W drzwiach stanęła matka w towarzystwie księdza i kilku ludzi, którzy przyszli ubrać ciało nieboszczki do trumny.

– Jeszcze tu jesteś? – rzuciła lodowato, lecz usta jej wykrzywił dziwny... triumfalny?... uśmiech. – Jak ci nie wstyd? – warknęła.

Z głośnym płaczem wypadłam z pokoju.

Na dole zobaczyłam brata. Widać posłano po niego do College de Clermont. Niski i kanciasty, już teraz miał w sobie wszelkie zadatki na godnego przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości. Mówiły o tym zaczątki obwisłego podbródka, a zwłaszcza zimne rybie oczy. Stał w salonie, sztywny i pompatyczny – jak przystało na głównego spadkobiercę rodu Pasquier – rażąc mnie wzrokiem pełnym potępienia. *Advocat in statu nascendi*. Jeśli w testamencie babci przypadnie mu część wystarczająca na zakup pomniejszej bodaj kancelarii, będzie to niewątpliwie pierwszy szczebel do jego wspaniałej kariery. Zaraz potem znajdzie się potulna żona z dużym posagiem. Hotel Pasquier zostanie odrestaurowany, urządzi się go w najszacowniejszym stylu. Wszystko to wyczytałam w jego oczach. „Nie będę takim głupcem jak ten mój nieudany ojciec – mówiły. – Ja należę do rasy zwycięzców”.

Marie-Angelique mocno objęła mnie za szyję.

– Uspokój się, Genevieve. Ja wiem, że śmierć babci to nie twoja wina. Nie dbam o to, co mówi matka, – Nie wypuszczając mego ramienia z uścisku, poprowadziła mnie w zaciszny kąt salonu. Stanęłyśmy pod wysokim oknem osłoniętym brokatową draperią. – Nie powinnaś tak strasznie płakać – mówiła dalej moja siostra. – Babcia widzi to z nieba i jest jej smutno. – Wyjęła z rękawa chusteczkę i otarła mi oczy. – Poza tym musisz myśleć o naszym ojcu, podnosić go na duchu, żeby jak najszybciej wyzdrowiał. Rozmawiaj z nim o wszystkim, co czyta, on to lubi. Dobrze mu to robi, poczuje się lepiej.

– A jeśli... o, Marie-Angelique, a jeżeli nie?

– Nie, to być nie może. Nie chcę nawet o tym myśleć. – Twarz mojej siostry była bardzo blada, pod oczami widniały ciemne kręgi.

– Bez ojca – powiedziała ze wzburzeniem – nie mam żadnych widoków na przyszłość. Nic nie zostanie ani dla mnie, ani dla ciebie. Zabiorą nam dom, meble, wszystko... i co będzie z nami?

Wuj nie ma złamanego grosza, wszyscy krewni ojca już nie żyją, a Etienne jeszcze nie ukończył studiów. Tylko ojciec może nas ocalić, pod warunkiem że wróci do zdrowia. Dodawaj mu otuchy, rozweselaj, postaraj się, żeby odzyskał siły – zniżyła głos. Ciekawe, że o ludziach chorych wszyscy mówimy takim konspiracyjnym szeptem, nasza mnie przelotna myśl. – Postanowiliśmy na razie nie informować go o śmierci babci – wyszeptała Marie-Angelique. – Lepiej to zniesie, kiedy mu się poprawi.

Nie miałam serca jej powiedzieć, że po twarzy naszego ojca rozpełzła się już ta upiorna szarość zwiastująca nieuchronny koniec. Taki to pożytek płynie z przyglądania się umierającym – a w Hotel Dieu napatrzyłam się im niemało. Lepiej było podziwiać modne stroje szlachetnych aniołów miłosierdzia. Tego wieczoru wpisałam do notatnika następującą wątpliwość: „Czy mówienie prawdy zawsze jest słuszne? Czy pomiędzy miłosiernym kłamstwem, które sprawia komuś radość bądź ulgę, a nagą prawdą, która wywołuje wstrząs u osoby całkiem na nią nie przygotowanej, da się znaleźć jakiś złoty środek?”

– Och, gdybyż w tej czerni nie było mi tak nie do twarzy! – poskarżyła się Marie-Angelique, studiując swe odbicie w lustrze. Postanowiła nieco rozjaśnić ponurą atmosferę domu w okresie obowiązkowej żałoby po śmierci babci. W tym celu kazała mi czytać na głos „Celinte”, podczas gdy sama już to wypróbowywała nowe uczesanie, już to starała się umodnić tę czy inną suknię przez dodanie złotego galonika, kilku zakładeczek albo ozdobnych lamówek. Wstyd mi to mówić, ale po godzinach spędzonych w pokoju ojca, przesyconym odorem śmiertelnej choroby i smutkiem unoszącym się nad nami niby czarna chmura, czytanie głupich romansów stało się dla mnie pożądanym wytchnieniem.

– O nieba, cóż to za prześliczny fragment! – entuzjazmowała się moja siostra. – Przyznaj, że mademoiselle de Scudery zachwycająco wyraża tu słodczy uczuć. Jak cudownie być zakochaną – dodała z westchnieniem.

– Ha, dla mnie to nie niespodzianka, że podoba ci się ten opis. Podobał ci się zupełnie tak samo, kiedy czytałaś go w „Clelii”, jeśli się nie mylę. Widać panie de Scudery nie chciało się wymyślić nic nowego.

– Och, mylisz się siostrzyczko! Weź choćby postacie. Są zupełnie inne.

– Dobre i to – powiedziałam, wracając do lektury. Sporo czasu zajęło mi odczytanie długiej konwersacji toczącej się w przepyszej rezydencji Cieonite'a. Zgromadzone tam towarzystwo zgodnie dochodzi do wniosku, że wielce naganny zwyczaj otwierania cudzych listów prowadzi prostą drogą do zaglądnania w karty, to zaś kończy się już ostateczną demoralizacją: gracz za

wszelką cenę pragnie poznać swoją przyszłość i tak wpada w sidła wróżbitów i astrologów.

– Mademoiselle de Scudery jest tak nieprzejednana – jęknęła wyraźnie strapiona Marie-Angelique. – A przecież to naturalne, że chcemy znać swoją przyszłość. Ja zresztą nigdy nie oszukuję, grając w karty. – Skończyła układać fryzurę i wzięła się teraz za szycie.

– Siostrzyczko, proszę cię, rozsłoń kotary, tak tu ponuro... Doprawdy mam już dosyć tego nieznośnego mroku. O! Aleś ty ciekawska! Kogóż tam widzisz? – Lamotte'a, kochana siostrze. Przyproceedził z sobą przyjaciela, żeby mu było raźniej.

Zaznaczywszy zakładką miejsce, gdzie skończyłam czytać, odłożyłam książkę i wcale już się nie kryjąc stanęłam przy oknie. Ciemne nabrzmiałe deszczem chmury zdawały się dotykać szeregu wąskich a wysokich kamienic po drugiej stronie ulicy. Owinięty długim płaszczem dla ochrony przed zimnymi podmuchami wiatru stał tam Andre Lamotte alias Petroniusz, udając pogrążonego w żywej konwersacji ze swym przyjacielem Katonem.

– Co to za przyjaciel? Czy wygląda na majątnego?

– Bynajmniej. To filozof.

– I ty zawierasz takie znajomości? Siostrze, jakaż z ciebie niepraktyczna istota!

D'Urbec, ubrany w workowaty brandenburski płaszcz i swo, płaski czarny kapelus z szerokim rondem, kiwał głową w odpowiedzi na przesadną gestykulację Lamotte'a i co pewien czas zerkał w okno. Pomyślałam, że w kieszeni tego płaszcza można by z powodzeniem zmieścić książkę, przychwyciwszy więc jego spojrzenie, pomachałam ręką. Natychmiast pociągnął Petroniusza za rękaw i gestem wskazał mu okno, a potem wydobył z kieszeni książkę. Wymownym gestem podniósł ją do góry i teraz już obaj zaczęli dawać mi gwałtowne znaki... Powiedziałam im na migi, że rozumiem, po czym zasygnalizowałam, że mają podejść do bramy.

– Ależ siostrzyczko, nie zamierzasz chyba z nimi mówić! – Marie-Angélique, odłożyła szycie i posłała mi spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Właśnie zamierzam to uczynić. Przynieśli mi książkę... dla ojca.

– Zbiegłszy na dół zastałam ich już przed wielką okratowaną bramą przeznaczoną dla ekwipaży. Obaj sprawiali wrażenie niezmiernie zadowolonych z siebie. , . . .

– Oto i dzieło, o które prosiłaś – uroczyście oznajmił Lamotte.

– Zdobyte kosztem niewysłowionych trudów, rzadsze niż złote jabłka Hesperyd.

– I jak Hippomenes zwyciężył Atalantę, rzucając przed nią owe złote jabłka, tak jak składam to dzieło u twoich stop, o pani – zakończył Kato. Spłonęłam rumieńcem, widząc jego skryty półusmieszek. Miałam ogromną ochotę porwać książkę i uCiee– Nic z tego, zachłanna siostró boskie) Marie-Angehque – powstrzymał mnie Lamotte, który przejrzał moje zamiary. – Napierw list – _ w/yciągnął zza pazuchy zapieczętowany rulon.

– Za wiele pan sobie pozwala, monsieur Lamotte.

– Lecz znając twoją łaskawość... pardon, mademoiselle. Może zaiste zachowałem się niestosownie w takiej chwili. Widzę cię wszak w żałobie. Jednak płomień gorejący w moim sercu uczynił mnie ślepym na konwenanse. Mam nadzieję, że ojciec pani zbytnio nie cierpiał.

– To nie ojciec umarł, tylko babcia. Ale jak dowiedziałeś się o chorobie ojca?

– Postarałem się o to, by wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w domu mego umiłowanego anioła.

Popatrzyłam na niego z niesmakiem.

– I kogóż to z naszej służby zdołał pan przekupić? – Jego nagły rumieniec wystarczył mi za odpowiedź. – Ach, więc to nie pieniądze... powinnam się była domyślić. Słodkie słówka szeptane w kobiece uszko. Czyje?

– Tego nigdy pani nie powiem – roześmiał się głośno, lecz spojrzawszy w górę, w stronę okna, przybladł i mocno posmutniał. – Więc nie powiesz mi nawet, zali mogę mieć trochę nadziei? Czy ona kiedykolwiek zechce do mnie przemówić? – wykrzyknął głosem pełnym udręki.

– Sam wiesz, jak brzmi odpowiedź. Matka zna pańskie nazwisko. Zasięgnęła języka.

– I dowiedziała się o... o wszystkim?

– Wie tyle, żeby drzwi tego domu pozostały przed panem zamknięte. Nie będzie pan w nim bywał, panie Lamotte. – Zrobiło to na nim wrażenie, wyglądał, jakby nagle oszalał z rozpacz. D'Urbec, jak zawsze opanowany, ujął go pod ramię.

– Nie trać ducha, Lamotte. Nadejdzie dzień, gdy przyjmować cię będą wszędzie. – Zabrzmiało to, jakby mówił: „Kiedy przede mną wszystkie drzwi staną otworem”. Miałam ochotę powiedzieć: Mości prowincjuszu, uprzytomnij sobie pewną prawdę. Powszechny obyczaj zamyka nas w klatkach, z których nie ma ucieczki. Tak jak ty nigdy nie przestąpisz progu rezydencji Pasquierów, tak i my, Pas-quierowie, nigdy nie dostąpimy zaszczytu bywania w Marly. To, że pojadłeś wszystkie rozumy, wcale nie oznacza, że potrafisz coś tutaj zmienić.

– Ale z nikim nie jest zaręczona? – w głosie Lamotte'a brzmiała desperacja.

– Nie. – Zła byłam na siebie za to uklucie zazdrości, które nagle poczułam w sercu. – Za mały ma na to posąg – dodałam złośliwie.

JUDITH MEKKLE RILB»

– Słyszysz, d'Urbec? Nie ma żadnego posagu ukrytego w Amsterdamie ani poufnych pertraktacji z nadętą rodziną nudnych kauzy-perdów! – Tak mocno klepnął Katona po plecach, że ten zamrugał oczami. – A więc jest nadzieja! O mój ubogi jasnowłosy aniele! To ja, Andre Lamotte, będę tym, który cię uchroni przed okrutnym losem!

– Jesteś chyba zbyt młody, aby już być szalonym – zauważyłam kąśliwie.

– Szalony? O tak, szalony z miłości! Dzięki, tysiącrotne dzięki! – wykrzyknął, po czym tak jak stał, na ulicy, zaczął płaszać i wyczyniać dzikie harce.

– Czy on tak zawsze, monsieur d'Urbec?

– Tylko wtedy, gdy ma do czynienia z parą błękitnych a nieosiągalnych oczu – odrzekł Kato. – Ze mną rzecz ma się inaczej. Nie uzyskawszy dotąd sławy ni bogactwa, unikam żalonych zawodów, nie pozwalając sobie gonić za niczym, co przekracza me dzisiejsze możliwości. Sprawami serca rządzić musi logika. – Na długą chwilę zatopił we mnie spojrzenie swoich czarnych oczu. Malowało się w nich ubolewanie.

Szybko zmieniłam temat.

– Ta książka... czy to naprawdę „Satiricon”?

– Tak jest i pozwól sobie powiedzieć, że gust masz niecny, aczkolwiek czytasz po łacinie.

Poczułam, że się rumienię.

– Czyżby była aż tak nikczemna? Ja... byłam jej po prostu ogromnie ciekawa, pan to chyba pojmuje.

– Ciekawość! Pierwszy stopień do piekła. Najpierw każe nam otwierać cudze listy, potem podglądać karty, by na koniec oddać nas we władzę astrologów.

Zacytowawszy słynną opinię panny de Scudery, d'Urbec złożył książkę w moje skwapliwe wyciągnięte ręce.

– Prawdziwy filozof pod żadnym pozorem nie powinien się zniżać do lektury nędznych romansów, takich jak „Celinte”. – Oczy mu zabłyśły, jakby skrycie poddał mnie próbie, która

widać wypadła po jego myśli.

– Obowiązkiem filozofa jest znać i rozumieć wszystko. Co dopiero mówić o takim, którego dzieciństwo upłynęło na głośnym czytaniu podstarzałym krewniaczkom. Przy okazji, mademoiselle, muszę ci powiedzieć, że się prześlicznie rumienisz – pospiesznie zrobił w tył zwrot. Z opuszczoną głową i rękami w kieszeniach ruszył w ślad za swoim towarzyszem, który niczym rozbrykany żreback nadal hasał dziko po ulicy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W Hotel La Reynie, głównej siedzibie świeżo zreorganizowanej policji, oczekiwał Legrasa osobisty sekretarz komendanta, który też niezwłocznie wprowadził przybyłego do gabinetu szefa. Stały tu zwaliste ciemne meble pamiętające minione stulecie. Inspektor przebiegł po nich wzrokiem i poczuł się dziwnie nieswojo. Kryły w sobie jakąś nieokreśloną groźbę – dlaczego nigdy dotąd nie zwrócił na to uwagi? Te rzędy prawniczych foliałów zwartym, żołnierskim szykiem wypełniające przyparte do ścian regały były jak milczący świadkowie oskarżenia. Komendant siedział za biurkiem, zajęty przeglądaniem dość niepokażnej książeczki. Jego twarz, nawet w chwilach gdy sobie folgował, zachowywała zawsze jednakowy wyraz – chłodny, uprzejmy i twardy. Twarz człowieka, co nie zna litości, pomyślał Legras. Nos zbyt długi i arogancki, między brwiami i wokół oczu groźne bruzdy. Usta... nawet obfite ciemne wąsy nie mogły ukryć ich osobliwej zmysłowości. Podbródek zdradzał już pierwsze skutki licznych oficjalnych przyjęć, zbyt licznych. Legras pomyślał z niechęcią, że ktoś tak nawykły do luksusu nie może mieć zrozumienia dla trudności, z którymi on musi borykać się w życiu.

Złota struga wiosennego blasku łała się na wielkie antyczne biurko, znacząc jasną plamą stronicę otwartej książki. Przeklęta książka! Pierwsza jego porażka! Czy to sprawiedliwe, aby jedna taka książeczka mogła zniszczyć człowiekowi karierę? Legras przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i przycisnął do piersi oprawną księgę – swój tajny rejestr.

– Legras, proszę, byś odświeżył moją pamięć w kwestii tej drukarni... „Signum Biblioteki Gryfona” – de La Reynie podniósł oczy znad książki. Patrzyły zimno. Nie zaproponował podwładnemu krzesła.

– Monsieur de La Reynie... – Legras, piastujący stanowisko inspektora Handlu Książkami, poczuł, że drżą mu kolana. O Boże, gdybyż mógł usiąść! Jeśli już nie zasługuje na krzesło, niechby to był chociaż stołek. Na stojąco zdradzi się niechybnie. Miał bolesną świadomość, że szef z właściwym mu chłodno profesjonalnym zainteresowaniem obserwuje te jego kolana. La Reynie tak potrafi człowieka zastraszyć, że badany przez niego delikwent z miejsca przyznaje się do winy, zanim jeszcze zazna uroków wąskiego stołu w podziemiach Chatelet. – Ta... ta „Biblioteka Gryfona” – wyjąkał – to same sprośności, no i paszkwile na najszacowniejszych obywateli i urzędników. Ich drukarnia mieści się w Hadze, a funduszy dostarcza z pewnością ten perfidny krętacz, Wilhelm Orański...

– My jednak – przerwał m" La Reynie – kontrolujemy przecież wszelkie dostawy towarów do

Paryża, każdy wóz z drzewem, każdy ładunek paszy. – Legras pod bezlitosnym spojrzeniem szefa poczuł się odarty z człowieczeństwa. – Wciąż nie dostrzegasz tego, co oczywiste, inspektorze? Nielegalne wydawnictwa krążą po Paryżu, i to tak swobodnie, jakby drukowano je na miejscu.

– Nielegalna drukarnia w Paryżu? O nie! Jakże to możliwe, monsieur? Zapewniam pana, że dzięki nowemu systemowi inspekcji w żaden sposób nie mogłaby nam umknąć rzecz takich rozmiarów jak drukarnia.

– Legras, brak ci szerszego spojrzenia, a to błąd, który wymaga naprawy. Wyobraź sobie, że mamy do czynienia z legalnym warsztatem drukującym za dnia, powiedzmy, traktaty religijne... lub z przenośną prasą drukarską zainstalowaną na wozie, którym łatwo przemknąć z jednej jakiejś stajni do drugiej. Pewien jestem, że kto inny na twoim miejscu dawno już by do tego doszedł. A może przyjąłeś od tego Gryfona jakiś brzęczący prezencik? – jedwabisty głos komendanta niósł w sobie groźbę. Sukinsyn, skończony sukinsyn, myślał Legras. Przyjąc czasem drobny prezent to rzecz ludzka, zwłaszcza gdy skutek tego nikomu nie stanie się krzywda. W tej jednak sprawie był czysty jak nowo narodzone dziecko. Zdążył już poznać treść małej, oprawnej w skórę książeczki leżącej na biurku szefa, wiedział więc, że jest niebezpieczna. Co za niefortunne zrzędzenie losu, że pierwszy jej egzemplarz musiał wpaść w ręce sekretarza pana Louvois, ministra wojny, zwierzchnika szefa policji! Louvois, ten mściwy okrutnik, który nigdy nie zapomina żadnych uraz, a wrogom niczego nie wybacza – nie darmo zwą go Postrachem Niderlandów! – natychmiast przesłał książeczkę panu de La Reynie z własną sarkastyczną adnotacją: „A więc to tak dba pan o spokój w królewskiej stolicy?” Legras nie miał złudzeń: ta notatka to koniec jego kariery. Niedbałość w pełnieniu obowiązków. – Masz przy sobie ten swój rejestr? - przywołał go do rzeczywistości głos komendanta. Nadszedł więc moment prawdy, chwila, której tak się lękał. W jego rejestrze figurowali wszyscy paryscy autorzy – od największych do tych najmniej znanych – były adresy, tytuły dzieł, opinie o ich lojalności... Legras uczynił ten rejestr przedmiotem swojej zawodowej dumy, to znaczy, było tak do niedawna. Żadna nowo napisana sztuka, sonet, a nawet drobny epigram nie uszły bystremu oku niezmordowanego inspektora! Tak, wszystkie te utwory znajdowały się w jego rejestrze. Z wyjątkiem jednego.

– Niewątpliwie znane ci jest to dziełko? – zapytał La Reynie, stukając palcem w okładkę.

– Właśnie wzbudziło ono moją czujność. „Uwagi o zdrowiu państwa”. Niewielki, ale napastliwy utwór. Od razu uznałem, że trzeba go ścigać – Legras poczuł, że kolana ma nieco pewniejsze, jednak ręce... teraz z kolei ręce zaczynały mu odmawiać posłuszeństwa. Szybko

splół je, wsuwając obie pod rejestr. Aż skrzyło go w środku, kiedy zauważył, że blade oczy szefa dostrzegły ów gest. Wydawało mu się, że widzi w nich cień szubienicy.

– Legras, ta książka pachnie zdradą stanu. Jej autor radzi odebrać arystokracji przywilej niepłacenia podatków, proponuje też zastąpić wszelkie dotychczasowe podatki jednym, stanowiącym dziesiątą część dochodu każdego z poddanych jego królewskiej mości.

– Niesłychane... to... niedorzeczność – zdołał wybąkać Legras.

– Ten... hm... Kato... dokonuje kalkulacji matematycznej, która w konkluzji zapowiada upadek państwa z powodu krachu finansów. Posłuchaj: „Skoro można uznać za prawdę, iż monarcha to głowa owego organizmu, który zwie się państwem, a dolne kończyny to poddani słuchający jej rozkazów, czyż nie jest też prawdą, że gdy w stopy wda się gangrena, ucierpi na tym i głowa? Czy jest więc rzeczą słuszną obarczać nadmiernymi ciężarami włościąństwo, które swą pracą na roli tworzy bogactwo królestwa? Wszak kiedy gangrena sięgnie serca, ciało musi umrzeć.” Jak widzisz, Legras, sprawa jest jasna. Ów Kato pod pretekstem reform zachęca do obalenia monarchii, a ta jego metoda, zwana geometryczną, nie jest niczym innym, jak tylko maską przesłaniającą zbrodnię zdrady stanu. Proszę o twój rejestr, Legras. Muszę się dowiedzieć, kto to taki.

– Ja... ja dokładnie jeszcze tego nie wiem, chociaż wykryłem kilka możliwych tropów... ten... i ten – rozłożywszy rejestr na biurku, Legras drżącym palcem jął wskazywać poszczególne hasła. La Reynie przyjrzał im się, z zainteresowaniem, po czym otworzywszy kałamarz zanotował sobie kilka nazwisk.

– Możliwe, acz mało prawdopodobne – brzmiała jego zwięzła konkluzja. – Przekazać to Desgrezowi – gestem przywołał sekretarza. – Wszystkich tych ludzi sprowadzić na przesłuchanie. Co zaś ciebie się tyczy, Legras, chcę, byś mi dostarczył bardziej wiarygodną listę. Widzisz? Mam już na tego Katona gotowy Lettre de cachet⁴ od jego królewskiej mości – wskazał rozpostarty na biurku dokument, zaopatrzony we wszystkie potrzebne pieczęcie. – Dożywotnie galery. Trzeba tylko wypełnić to puste miejsce, o tu, przed pseudonimem. Rozumiesz chyba, jak bardzo bym nie chciał, by mi ten dokument obrósł kurzem. Zrób mi zatem przyjemność, inspektorze, i znajdź jak najrychlej osobnika, co ma czelność nazywać siebie Katonem.

– Monsieur de La Reynie, pański rozkaz będzie wykonany. Ręczę za to. Mam informatora w

4

Lettre de cachet (fr.) – rozkaz uwięzienia przestępcy wydany przez króla, zwłaszcza w wypadku podejrzenia o zdradę stanu; rodzaj ówczesnego listu gończego.

„Pomme de Pin“...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marie-Angelique czekała na mnie u stóp podwórzowych schodów.

– Co oni ci dali? – spytała szeptem, rzucając dookoła trwożne spojrzenia.

– List dla ciebie i książkę łacińską, która... hm... może sprawić przyjemność ojcu. Chodź dzisiaj ze mną do niego, pomożesz mi czytać. Czasami już głos odmawia mi posłuszeństwa. – Wręczyłam jej list, a ona nie patrząc, niedbale wcisnęła go za dekollet.

– Och, te posiedzenia u ojca wprawiają mnie w śmiertelne przygnębienie, w dodatku ja tak źle się sprawuję! Nie potrafię zadowolić ojca. Ani w połowie nie umiem ci dorównać. Ach, i jeszcze ten okropny odór! Wiesz co, Genevieve? Kiedy już skończysz czytać, może poszłabyś ze mną? Muszę się choć trochę rozweselić, wyświadczyć mi tę przysługę! Widziałam w Galerii prześliczny koronkowy kołnierzyk. Doprawdy, sam jego widok już mnie podnosi na duchu. Jak tylko skończy się żałoba, będę mogła przerobić suknię, pojmujesz, według najświeższej mody. Ten kołnierzyczek wspaniale będzie do niej pasował! Kawaler de la Riviere uwielbia mnie w koronkach! Jestem pewna, że maman pozwoli Jeanowi nieść mój tren.

– Więc niech Jean towarzyszy ci do Galerii. Mnie ostatnimi czasy zupełnie nie cieszy widok koronkowych kołnierzyków ani srebrnych guziczków.

W pokoju ojca cuchnęło medykamentami i chorobą. Okna były pozamykane, a kotary szczelnie zaciągnięte, jako że powietrze mogło choremu zaszkodzić. Nawet ściany swą ciemnozieloną barwą przypominały starą butelkę po lekarstwie, a ciemne, ogromne łóżce z rozsuniętymi zasłonami przywodziło na myśl szkielet jakiegoś przedpotopowego stwora. Z ojcem tak już było źle, że nie miał siły nałożyć szlafroka, leżał więc tylko w koszuli i szlafmycy. Jego peruki – odświętne i te na co dzień – każda na osobnym drewnianym stojaku, tkwiły rzędem na toalecie niby głowy bez twarzy i ciała, obserwujące w milczeniu bolesne zmagania duszy z jej ziemską powłoką u końca wspólnej wędrówki.

Przez otwarte drzwi obok łóżka widać było gabinet ojca, od podłogi po sufit wypełniony książkami. Wśliznęłam się cicho do środka i zająwszy swoje zwykłe miejsce na twardym krześle z prostopadłym oparciem, zaczęłam czytać Senekę. Wyglądało na to, że ojciec jest zbyt słaby, aby słuchać. Po kilku zaledwie zdaniach wyciągnął rękę i położył swoją dłoń na mojej; jego głowa nadal spoczywała na poduszkach – nie był już w stanie jej podnieść.

– Genevieve, zanim umrę, muszę się przed tobą wyświadczyć, naprawić jakoś tę krzywdę, którą ci wyrządziłem.

– Ależ ojcze, nie wyobrażam sobie, jaka by to mogła być krzywda.

– Wykształciłem cię w sposób, który odpowiadał mnie samemu, a nie tak, jak nakazują obyczaje tego świata. Postąpiłem samolubnie, teraz to widzę.

– Nie, to nieprawda! Jesteś najlepszym, najżyczliwszym z ojców!

– Ale głupim. Nie pojmujesz tego, Genevieve? Nigdy nie myślałem o śmierci. Uroiłem sobie, że bardzo długo będę cieszył się twym towarzystwem... że będę mógł z tobą dyskutować... Jakimż byłem egoistą! Teraz wszystko to widzę jasno. Nie do klasztoru przygotowałem cię, córko. Miast zabobonu nauczyłem cię prawdy. Filozofia, geometria, nowe odkrycia nauki. I cóż teraz stanie się z tobą? Nie nadajesz się ani na zakonnice, ani czyjąś żonę. Błagam cię o wybaczenie, moja córko.

– Ojcze – wykrztusiłam, starając się nie czuć nieznośnego pieczenia pod powiekami – nie mam ci czego wybaczać. Ofiarowałeś mi dom, swoje zainteresowanie i troskę, dałeś mi samodzielny umysł, ten najcenniejszy ze wszystkich skarbów.

– Prawda, córeczko, że skarb to bezcenny, choć trudno dzięki niemu się najeść, ubrać czy zapewnić sobie dach nad głową. – Na jego twarzy na chwilę zagościł dawny powściągliwy uśmiech. – O tak, wielki to skarb i rzadszy, niż ci się zdaje.

– Muszę wam przeszkodzić – przez otwarte drzwi cicho wśliznęła się matka. Chwilę stała, przyglądając się ojcu, który zapadł w niespokojną drzemkę, po czym z kamienną twarzą powiedziała do mnie: – Czas sprowadzić księdza, Genevieve. Twój ojciec nie przeżyje nocy.

Zgasł po paru godzinach, zanim jeszcze wróciłam z księdzem, spiesźnie strząsającym z biretu pierwsze płatki śniegu. U wezglowia zgromadziła się już cała rodzina, w nogach śmiertelnego łoża szlochała służba. Co do mnie – stwierdziłam, że oczy mam zupełnie suche. Ojciec odszedł. Za oknem z szarego nieba powoli padały białe kwiaty śniegu, cicho towarzysząc monotonnemu szmerowi modlitw. Zdawało mi się, że słyszę śmiech ojca, drwiący śmiech libertyna, na widok wszechświata, który jego wolnemu duchowi ukazał teraz całą prawdę. Czy matka też go usłyszała? Z twarzą śmiertelnie pobladłą spojrzała nagle na sufit, mocno splatając ręce. Dopiero po dobrej chwili wróciło jej opanowanie. O, panie Descartes, i ty nie na wszystko dajesz odpowiedź.

„Zdyscyplinowany umysł potrafi rozwiązać każdy problem”, zabrzmiał mi w uszach głos ojca, cierpliwie powtarzający to, czego mnie uczył. Mój notatniczku, trzeba nam rozwikłać nie lada problem. Po odejściu duchownego wyjęłam notatnik i zaraz po nazwisku „M. de La Reynie” –

zapisałam to trudne pytanie: „Ciało, umysł, dusza – jaki je łączy związek? Obmyślić metodę, która pozwoli to zbadać. ”

– A teraz, mademoiselle, powiesz nam, gdzie one są. – Była północ, zwłoki ojca leżały w pokoju obok. Świece nadal płonęły u wezglowia i stóp zmarłego, jakby ten ich blask mógł rozproszyć wiekuiste ciemności. Wyciągnięto mnie z łóżka w samej tylko nocnej koszuli. Stałam teraz w kącie gabinetu ojca – dosłownie przyparta do muru. Wszystkie szuflady biurka były wysunięte, na podłodze piętrzyły się sterty przeszukanych książek, na jednej z półek leżała przewrócona pusta kasetka. Wuj metodycznie opukiwał ściany i meble w poszukiwaniu ukrytego schowka. Matka i stojący za nią mój brat odcinali mi drogę ucieczki. Oboje mieli miny spiskowców.

– Jakie „one”? Nie rozumiem.

– Nie udawaj niewiniątka – twardo powiedziała matka. – Przecież wiesz, w jakim kraju jest ten bank, a w nim pieniądze ukryte przed Colbertem i miłościwym królem. Ojciec przed śmiercią wszystko ci powiedział. Słyszałam, jak wyszeptał słowo „skarb”. Nie myśl, że spadek należny memu synowi uda ci się zachować dla siebie! Mów, gdzie on jest, albo nie dożyjesz chwili, w której mogłabyś się nim cieszyć. Masz na to moje słowo!

– Ojciec nic takiego nie mówił. Nie ma żadnych pieniędzy.

– Słyszysz, bracie? Mówiłam, że się będzie zapierać. – Wuj przestał demolować bibliotekę i wpił we mnie swe wąskie jak szparki lisie oczka.

– Czy mam twe pozwolenie, panie? – zwrócił się do mojego brata, który dziś stał się przywódcą rodu Pasquier. Nowy zaszczyt od razu dodał mu lat i godności, toteż z namaszczeniem skinął głową. Zobaczyłam, że wuj bierze do ręki pogrzebacz.

Kilka następnych dni spędziłam jedynie w towarzystwie myszy, zamknięta w wieżowej graciarni. Raz przysłano do mnie Marie-Angelique.

– Genevieve, siostrzyczko, my zawsze byłyśmy przyjaciółkami, czyż nie? – wyszeptała przez drzwi. Ale ja prócz jej kroków na schodach słyszałam odgłos ciężkich butów wuja.

– Ojciec nie miał żadnej fortuny, kochana sestro. Powiedział tylko, że zostawia mi w spadku ów skarb bez ceny, jakim jest filozofia.

– Mój Boże, więc to koniec wszelkiej nadziei! – rozszlochała się głośno.

Któregoś wieczoru, gdy straciłam już rachubę czasu, drzwi otworzyły się nagle i pod ich niską

powalą zobaczyłam zgiętą postać wuja: pod pachą miał laskę, w drugim ręku trzymał zapaloną świecę. Spod rozpiętego kubraka wylaziła rozchełstana koszula. Oddech miał ciężki od wina, oczy rozjarzone groźbą.

– Mnie możesz powiedzieć – odezwał się znacząco poufnym tonem. – Mądrze zrobiłaś, żeś im nie zdradziła tajemnicy. Bo czy twoja matka zatroszczyła się kiedy o ciebie? To ja, ja jestem twym przyjacielem. – Ty?! Ty nikogo nie darzysz przyjaźnią, pomyślałam. Wuj napawał mnie wstrętem. – Pomyśl, moja droga siostrzeniczko – mówił dalej – jak trudno ci będzie samej odebrać spadek. Jakże dotrzesz tam bez mężczyzny, który by ci towarzyszył w podróży. Zawierz mi sekret, a pieniądze podzielimy tylko na dwoje – postawił świecę i ruszył w moją stronę. Cofnęłam się przed nim w najdalszy kąt. Przyparł mnie do ściany i dysząc mi w twarz cuchnącym oddechem, zaczął obmacywać piersi. – Powiedz, nie ociągaj się, mów. – Boże, on chce mnie zniewolić, pomyślałam ze zgrozą. Jest pewien, że te wstrętne karesy skłonią mnie do mówienia. Serce podeszło mi do gardła.

– Chodźże – mamrotał. – Wiem, że tego chcesz, wszystkie to lubią!

– Wuju, mylisz się, przestań! Nie ma żadnego sekretu! Nie ma pieniędzy! – gorączkowo próbowałam go odepchnąć, a przynajmniej odwrócić od niego twarz. – Nie rozumiesz, że to urojenia?

– Musi być! Pewien jestem! Ty go ukrywasz przede mną! – wrzasnął, trzymając mnie jedną ręką, a drugą grzebiąc mi pod suknią, jakbym tam ukrywała jakiś skarb.

– Co robisz? – krzyczałam. – Nic nie mam, zrozum!

– Musisz mieć jakiś papier! Papier z nazwiskiem bankiera – wybełkotał niewyraźnie, przemocą pchając mi łapę za dekolt.

– Precz ode mnie! Mówię ci, że nic nie mam! – z całych sił próbowałam oderwać od siebie te obrzydłe ręce.

– Nie chowaj go przede mną, ty czarci pomocię! Muszę mieć ten adres! – chwycił mnie za gardło, zamierzając uderzyć moją głową w ścianę. W ostatecznej depresji walnęłam go w głowę na odlew, a że zwolnił uchwyt, rzuciłam się do ucieczki. Złapał mnie za suknię i rozdarł ją aż do pasa. Trzask pękającej tkaniny wprowadził go w jakiś oblęd.

– Nic, nic! Ani marnego świstka! Oszukałaś mnie! I ona też mnie oszukała!

Skoczyłam na oślep ku otwartym drzwiom, ale dopadł mnie paroma susami i brutalnie rzucił na podłogę.

– Puść mnie, na litość boską! Pozwól mi odejść – błagałam zduszonym głosem, bo wuj oburącz ścisnął mnie za gardło. Dobry Boże, łkałam w duchu, przecież on mnie zabije, a wszystko dla jakiejś urojonej fortuny.

– Puścić cię? Pozwolić ci odejść? Oszukałaś mnie, ty... – źrenice miał rozszerzone, wzrok błędny. – Powiem ci, nędzna oszustko... kłamczucho... złodziejko... diabelskie nasienie... kiedy ci pozwolę... odejść... – choć walczyłam z nim desperacko, jego odrażające cielsko coraz mocniej przygniatało mnie do podłogi. – Puszczę cię – wydyszał – kiedy mi... za to... zapłacisz... – Sądząc po jego rozjarzonych ślepiach, moje krzyki sprawiały mu przyjemność. Dusłam się od tego smrodliwego oddechu, który z głośnym świstem wydobywał się spomiędzy jego pożółkłych wilczych zębów. Ból rozdzierał mi ciało na dwoje. – Ty podła suko... suko... – słyszałam wciąż słowa powtarzane obmierzłym głosem – ukradłaś... moje pieniądze...

– Przestań chlipać – warknął, kiedy wstał wreszcie i zapiął spodnie. – Powinnaś mi podziękować. Kto inny chciałby wygodzić takiemu monstrum? – Kurczowo zaciskając na sobie podartą suknię, czułam, jak w całym moim sponiewieranym ciele wzbiera fala dzikiej nienawiści.

– Drogo mi za to zapłacisz, przysięgam – wyszeptalam. Ryknął ordynarnym śmiechem.

– Babska zemsta? I komuż to się poskarżysz? Spróbuj! Powiem, żeś sama mnie o to prosiła! Błagałaś mnie, ty kocmołuchu, ty nędzne brzydactwo! Zrób to, a ja okryję cię hańbą. Radzę, trzymaj gębę na kłódkę, droga siostrzeniczko! Nie znajdziesz na świecie takiego głupca, który dałby wiarę twoim słowom.

Przez wąskie okienko wieży sączył się szary zimowy brzask. Pokryte cienką warstwą śniegu strome dachy domów wyglądały jak spiczaste ciastka posypane cukrowym pudrem. Otworzyłam okno i spojrzałam w dół. Ulicę des Marmousets spowijały jeszcze cisza i biel, przecięta tu i ówdzie śladami kół pierwszych wozów, które wyłobiły w śniegu czarne koleiny sięgające zmrożonego błota. Podeszłam do drzwi. Ostrożnie nacisnęłam klamkę, a one, o dziwo!, ustąpiły. Wuj zatrzaskał je wychodząc, zapomniawszy chyba przekręcić klucz w zamku. Dobrze, sam los widać tak chciał. Starając się robić jak najmniej hałasu, narzuciłam płaszcz na ramiona, a wszystkie swoje notatniki upchnęłam za resztki sukni. Istniał jeden tylko sposób, by zagłuszyć huczące mi w uszach echo nikczemnego śmiechu wuja. Postąpić jak szlachetna Lukrecja.

Przystając co chwila i nasłuchując, zostawiłam wreszcie za sobą długie, kręte schody; teraz trzeba było niepostrzeżenie przemknąć się przez cały labirynt komnat. Najpierw – czerwona

sypialnia babci z osowiałą papugą w zakrytej klatce. Stąd w lewo i na dół – antykamera dla służby... otwarte drzwi do pokoju ojca, jego puste łóżko... bawialnią matki. Schodami w dół... jadalnia, salon, teraz zimny i cichy. Żegnaj, już cię nie zobaczę. W kuchni pod schodami zaczynał się ruch – słyszałam szcęk rondli i głosy. Zgięłam się w pół i tak przekuśtykałam do frontowych drzwi. Skobel. Podniosłam go bezszelestnie i znalazłam się na białej, mroźnej ulicy. Żegnaj, domu, żegnaj i ty, ulico des Marmousets.

Skręcić teraz w rue de la Lanterne. I oto już mój stary przyjaciel, Pont Neuf. Ze świstem hula po nim wiatr, w dole brunatna woda z pływającymi po powierzchni lusterkami lodu. Nie ma grajków ani szarlatana z małpką, poznikały ruchome kramiki ze świecidełkami, skryli się gdzieś sztukmistrze i sprzedawcy pamfletów. Ale są już pierwsi żebracy. Bez nóg. Bez rąk. Kobieta z kalekim dzieckiem. Starzy, wysłużeni wojacy. Przez oślizłe koleiny wyżłobione kołami pierwszych powozów z trudem brnie stara żebraczka. Słysząc krzyki. To nadjeżdżają wozy wyładowane drewnem na opał. Z drogi, starucho!

Długo stałam przy poręczy mostu. Na szarym niebie pojawił się blade krążek jasności. Słońce. Ciemna i zimna ta rzeka. Rzymianie... Ci znali lepsze sposoby. Gorąca kąpiel z perfumami, ostry nóż, cięcie... A kiedy woda barwiła się na czerwono, zapadali w spokojny sen, kołysani słodkim dźwiękiem harf. My nie jesteśmy tacy wytworni jak oni.

Pogrążona w tych rozmyślaniach nie usłyszałam nadjeżdżającego powozu. Ciałem mym wstrząsały dreszcze. Tak, nie ma innego wyjścia. Zresztą... Czy mam czego żałować? Urodziłam się przez pomyłkę, naprawmy zatem ten błąd... Okrzyk stangreta, stukot kopyt, parskanie koni gryzących ściągnięte wędzidło gwałtownie wdarły się w moją świadomość. I głos z okna powozu:

– Oj, zimna ta woda! Taka mądra dziewczyna jak ty mogłaby wymyślić coś lepszego!

W powozie siedziała wróżka z rue Beauregard.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Wsiadaj – powiedziała. – Chyba że wolisz doprowadzić swój zamysł do końca? – Lokaj otworzył już drzwiczki dyskretnie czarnego powozu równie dyskretnie zdobionego czerwienią i złotem. Dobrze dobrana dwójka dorodnych kasztanów w mosiężnej uprzęży buchała parą w mroźnym powietrzu ranka. Ich właścicielka miała na sobie ciepły płaszcz obramowany srebrnym galonem, a na głowie szeroki kapelusz i miękki wełniany szal skrywający jej czarne włosy. Odrzuciła z kolan podbite futrem przykrycie, widziałam więc jej stopy w czerwonych skórzanych bucikach, pod nimi zaś metalową puszkę pełną rozgrzanych węgli. Zachęcającym gestem wskazała mi miejsce naprzeciw. Tu również leżało takie samo futrzane przykrycie. – Jeśli chcesz, mogę ci zapewnić fortunę – oświadczyła. – Mówię „jeśli”, bo nie wiem, jak silne jest twoje pragnienie dołączenia do grona dobrowolnych topielców wystawianych na widok publiczny w Chatelet? Strasznie nasiąknięci są wodą i przez to zgoła niepociągający.

– Nie zasługuję na to, żeby żyć – wyjąkałam słabym głosem.

– Nie mniej i nie bardziej niżli każdy spośród żyjących w tym mieście – niedbale skwitowała mą wypowiedź. – I cóż jest tym razem na rzeczy? Morderstwo? Gwałt? Szantaż? Kazirodztwo? Błahostki. Najpospolitsze z pospolitych w naszej prześwietnej stolicy. Jakim prawem więc wynosisz się nad innych? Dlaczego myślisz, że wolno ci odrzucić tak wielkie dobro, jakim jest życie, oddając je na żer tej brudnej i zimnej rzece? – Zerknęłam z ukosa na brokatowe obicia powozu: jak tam przytulnie i ciepło. Co prędzej odwróciłam się od tego widoku i znów zapatrzyłam w przestrzeń za ośnieżoną barierą mostu. – Kimże ty jesteś, aby się osądzać? – mówiła dalej wróżka tonem życzliwej perswazji. – Bóg dał nam życie i tylko On może nas sądzić. A majątek i szczęście ja ci ofiaruję, jeżeli zaraz wsiądziesz do powozu i zechcesz wysłuchać, co mam ci do powiedzenia. – Pochyliła się naprzód, by mi się dokładniej przyjrzeć. Czyżby mój żaloszny wygląd mógł zdradzić jej wszystko, co mnie spotkało? Zakończywszy inspekcję, przynagliła mnie niecierpliwym gestem: – No, decyduj się prędko. Zimno leci do środka. Nie lubię takich, co nie umieją wybrać. Słabeusze! Skacz albo wsiadaj. – Wsiadłam.

– No i popatrz – zagała miłym tonem, kiedy powóz wtoczył się już w płataninę wąskich uliczek za Quai de Gevres – jakie to cudowne zrządzenie losu, żeśmy się tak spotkały! Mam dla ciebie niezwykle korzystną propozycję. – Aha, zrządzenie losu, pomyślałam, jako że tkwił we mnie silnie zakorzeniony nawyk poddawania wszystkiego osądowi logiki, ta zaś przeczyła słowom wróżki. Dziwny to zaiste zbieg okoliczności, że na samotną przejażdżkę zabrała drugie powozowe okrycie! Tylko czy mogła przewidzieć tę lawinę koszmarnych zdarzeń, która nagle

runęła na nasz dom, albo to, że akurat o tej godzinie zjawię się na moście? Nie, to jakiś obłąd. Ani chybi musiałam postradać rozum. No a już propozycja gwarantująca mi udział w zyskownym interesie była tak absurdalna, że mogła jedynie potwierdzać diagnozę o utracie zmysłów. Nedorzeczność. Wszystko to mi się roi. Jeśli jednak uległam halucynacji, miała ona nader solidny charakter, wróżka bowiem, spojrzawszy na mnie, powiedziała: – Nazywasz się Genevieve Pasquier i jesteś tą, która była raz u mnie jako dziewczynka. Czytasz przyszłość z wody, a mówiąc używasz tak długich słów i uczonych zwrotów, że wziąć by cię można za sędziwego mędrca.

– Ojciec uczył mnie filozofii.

– O nieba, osobliwe zajęcie dla dziewczynki! Byłaś wtedy młodsza, lecz poza tym nic się nie zmieniłaś. Nadal kulejesz i garbisz plecy, a cały twój tułów przekrzywia się na bok. Ile masz lat, piętnaście? Tak myślałam. – Wciąż przyglądała mi się uważnie, coś sobie kalkulując. – I... och, prawda! przyjmij moje kondolencje z powodu śmierci ojca. To zaiste ogromnie smutne. – Jej słodki uśmiezek nadawał wargom kształt zgoła niespotykany, wyginały się bowiem w środku w coś w rodzaju spiczastego dzióbka. Cała postać była już może trochę zbyt pulchna, nadal jednak imponowała elegancją. Ale skąd u niej tyle życzliwego współczucia, przecież prawie mnie nie zna? Wszystko to, razem wzięwszy, jakoś nie miało sensu.

Obdarzyła mnie znowu swym zadziwiającym uśmiechem, który tym razem przywiódł mi na myśl inne podobieństwo: skryty w czymś miękkim żelazny haczyk.

– Wyobrażam sobie, co teraz myślisz! Wydaje ci się, że plotę rzeczy bez sensu. Wiedz zatem, że masz do czynienia z osobą, której żywołem są interesy, i że to, co mówię, nigdy nie jest pozbawione sensu. – Powóz utknął teraz prawie pośród ciężko ładownych wozów i tłumu handlarek z ogromnymi koszami. Cały przylegający do Hal obszar stawał się nieraz przez to zgoła nieprzejezdny. Do powozu wtargnął nagle ogłuszający harmider: setki przekrzykujących się głosów wołaniem i śpiewem zachwalających oferowany towar.

– Ale ja nie mam pojęcia o interesach.

– Spójrz tam – wróżka odsunęła zasłonkę. – Kupno i sprzedaż, to właśnie są interesy. Ludzie pragną rozmaitych rzeczy. Jeśli sprzedajesz im to, czego chcą, zbijasz majątek i odwrotnie. Umrzesz z głodu, próbując im wmówić niepożądany towar. Zapamiętaj to sobie. Bacznie przysłuchując się tym, których tam widzisz, osiągniesz fortunę, tak jak ja ją zrobiłam, zaczynając z niczym. Bo wszyscy ci ludzie, chociaż tak różni, mają jedno pragnienie wspólne: chcą wiedzieć, co ich czeka. – Machnęła pięknie wymanikiowaną dłonią zdobną w kilka

kosztownych pierścionków, jakby chciała odegnać ów natrętny zgiełk. – Jakie to szczęście, dla mnie i dla nich, że dzięki znajomości tajemnych sztuk, takich jak czytanie z twarzy, chiromancja i astrologia, potrafię zadowalająco odpowiedzieć im na to pytanie. Nagrodą za mój spryt stało się bogactwo. A teraz tobie chcę pomóc w tym samym. – Mimo swego jawnego szaleństwa wydawała się tak rozsądna, taka życzliwa! Przyłapałam się na tym, że z uwagą słucham jej wywodów. Ona tymczasem wydobyła spod przykrycia woreczek, z którego wyjęła szklane naczynko z takąż zatyczką. W środku była czysta woda.

– A teraz, mała miłośniczko filozofii, powiedz mi, co tu widzisz. Popatrzyłam na wodę: barwiły ją refleksy brokatowych obić powozu i kolory stroju siedzącej naprzeciw wróżki.

– Co widzę? Tylko to, co odbija się w wodzie. Każdy to może zobaczyć. Wiara we wróżby z wody, kart albo luster to przecież czysty zabobon – oświadczyłam krótko i stanowczo, jak przystało na racjonalistkę, która swą rozmówczynię uważa za osobę tego samego pokroju. – Odkrywanie praw natury podlega prawom logiki. Według pana Descartes'a...

– Och – weszła mi w słowo – czy na pewno widzisz tylko tyle? Cóż, mój Boże, jeśli jest tak, jak mówisz, przyjdzie nam skrócić tę naszą przejażdżkę... Ale spróbuj jeszcze raz, moja droga.

– Jako że minęliśmy właśnie Cmentarz Niewiniątek, kazała zaraz za murem zatrzymać powóz, aby woda się nie kołysała. – No więc połóż ręce na czarce... tak... dobrze... popatrz na wodę z góry... – Śpiewnie wypowiedziała kilka dziwnych słów, które już słyszałam podczas pamiętnej wizyty na rue Beauregard. – Spójrz w moją przyszłość. Jaki obraz ukazuje ci czara? – mówiła powoli i niesłychanie miękko. – Patrz... patrz... pozwól obrazowi wypłynąć, niech pojawi się twym oczom niby bańka na wodzie... – I nagle... zobaczyłam! Tam, w wodzie, formowały się miniaturowe postacie. Ich kontury jeszcze falowały. Ogarnęła mnie dziwna słabość. Czułam falę gorąca i mdłości.

– Widzę... widzę ciemnowłosą kobietę w wytwornym stroju i masce. Przychodzi do ciebie. Masz na sobie zieloną suknię na czerwonym pikowanym spodzie i do tego koronkowy kołnierz. Wprowadzasz ją do bardzo dziwnego pokoiku... wszędzie tu widzę szafy... złożone... inkrustowane. W kącie okienko... dużo małych szybek... a pod nim siedzenie. Otwierasz szafę... w środku widzę półki... wyjmujesz zieloną butelkę... dajesz ją tej damie...

– Jest tak, jak myślałam – szepnęła. – Widzisz... i to nawet za dużo. – Zaraz potem rzeczowo i z ożywieniem zaczęła rozprawiać o interesach. – Masz szczęście, że trafiłaś w moje ręce! Kto inny mógłby cię wykorzystać, miast pomóc ci stać się kimś. Joseph! – krzyknęła na stangreta – ruszaj! Co to ja mówiłam? Aha. Czym jest bowiem talent bez kształcenia? Znaczy tyle co nic.

To jak grudka nie obrobionego złota w ręku prostaka. Dopiero sztuka, sztuka, moja droga, czyni z niej prawdziwy klejnot. To również sobie zapamiętaj.

Powóz ruszył tak ostro, że omal nie spadłam z siedzenia. Odzyskawszy równowagę, powiedziałam:

– Wciąż jeszcze nie pojmuję tego wszystkiego. – Zawsze lepiej udawać głupią, nie znając cudzych intencji. Ludzie łapią się na tę przynętę i prawda wypływa na wierzch.

– Panno Genevieve Pasquier, mimo całej swej uczoneści wolno jakoś dziś myślisz. Całe moje przedsięwzięcie opiera się na tym, że pomagam ludziom, a w szczególności kobietom. Teraz przyszła kolej na ciebie – głos mojej dobrodziejki brzmiał sugestywnie i ciepło. Starłam się wyczytać coś z jej twarzy, niestety, była nieprzenikniona.

– Pomyśl – mówiła dalej – co może począć ucziwa kobieta, gdy niefortunnym zrzędzeniem losu znajdzie się w ciężkiej opresji? Przypuśćmy, że owdowieje, a ma do wyżywienia całą gromadkę drobiazgu. Ani pranie i łatanie cudzej bielizny, ani nawet prostytutka nie przyniosą jej tyle, ile trzeba, by umiłowane pisklęta nie płakały z głodu. Ale oto ta sama kobieta potrafi sporządzać wodę różaną o niezrównanym zapachu... posiada też stary rodzinny sekret fabrykacji znakomitego różu do warg. Dowiaduję się o tym i... opłacam za nią czynsz, kupuję maleństwu smaczny obiad, a potem puszczam jej w dzierżawę zacny kramik w Galerii czy sklepik na moście Notre Dame, załatwiam na koniec co trzeba ze stosowną władzą, i voila! Moja protegowana staje się dostawczynią najmodniejszych perfum albo handluje wonnymi rękawiczkami z Italii. Rzecz jasna, nie jest już biedna. Odplaca się też z nawiązką, pomagając mi w tym lub owym – z wdzięczności, ma się rozumieć. No i obie odnosimy z tego korzyść. Pojmujesz teraz, jak to się kręci? Któż inny przyjdzie z pomocą ubogiej niewieście w nieszczęściu? Księża? Bankierzy? Król? Od nich spodziewać się możesz najwyżej więzienia za długi, miejsca w Salpetriere i dożywotniej deportacji! Co innego, gdy taka kobieta ma mnie za przyjaciółkę. – Spojrzenie, które posłała mi przy tych słowach, było dobrotliwe i zarazem zaborcze. Przypominała kolekcjonerkę cennej porcelany, obejmującą w posiadanie rzadko spotykany bibelot.

Zobaczyłam za oknem gromadę żebraków drżących z zimna na mrozie i śniegu. Była wśród nich niewidoma kobieta, a obok druga – pokryta strasznymi wrzodami.

– Patrz i ucz się – szybko powiedziała wróżka. – Oto los tych, co nie mają dość sprytu, by zapewnić sobie znośną egzystencję. Policja dziś pewnie urządzi na nich obławę. – Zadrżałam. A gdybym i ja znalazła się wśród tych biedaków? Istniała przecież taka możliwość. Nie miałam

już teraz odwagi skakać do rzeki.

Powóz natrafiwszy raptem na szczególne nierówności gruntu zaczął trząść nami niemiłosiernie, tak że trzeba się było trzymać. Moja towarzyszka na tę chwilę zamilkła. Dopiero gdy droga nieco się wyrównała, podjęła przerwany wątek:

– Jak już powiedziałam, daję ludziom więcej aniżeli król. Bogactwo, niezależność, szczęście. Nie patrz na mnie, jakbym mówiła od rzeczy! Mój Boże, nie umiałabym zliczyć wszystkich, którym okazałam pomoc. I jak znaczna jest ta pomoc! Jednym kupuję domki, innym opłacam czynsze, a osieroconym biedactwom znajduję intratne zajęcia. Zostaje taka pokojówką w przyzwoitym domu, a nawet damą do towarzystwa u najznakomitszych osób, pod warunkiem że sama pochodzi z dobrej rodziny. Wszystkie te dziewczyny to dziś moje wierne przyjaciółki i pomocnice. Jakże są mi wdzięczne! A jaką ja mam satysfakcję! Tak jest! Trzeba sobie pomagać i tym sposobem zdobywać bogactwo. Widzisz więc, że uprawiam filantropię. – Wyniosły ruch ręką w stronę widocznej za oknem ulicy, której ciasną gardzielą zamkniętą dwoma rzędami starych kamienic z trudem posuwał się teraz nasz powóz, był gestem dumnej posiadaczki całego świata.

– Jestem filantropką, która pomaga kobietom. Umożliwiając im zrobienie fortuny, sama się bogacę. Ty też się o tym przekonasz.

Na razie byłam przekonana, i to z każdą chwilą coraz bardziej, że musiałam całkiem zwariować, skoro słucham bredzenia wariatki, co chce ze mną dobić jakiegoś bezsensownego targu. Jednakowoż... dobrze się tego słuchało. W miarę jak ta siedząca vis a vis fantastka zaczynała budzić moją ciekawość, coraz wyraźniej opuszczała mnie myśl o samobójstwie. Zastąpiło ją pytanie: o co chodzi w tej łamigłówce?

– Powiedziałaś przed chwilą, że ludzie skłonni są kupować jedynie to, czego chcą, powinnaś zatem wiedzieć, że wszystko, co posiadam, to filozofia, którą ojciec pozostawił mi w spadku. On sam nazywał ją skarbem, ale że to skarb bez ceny, nikt go ode mnie nie kupi. Trudno nawet o takiego, który by go wziął za darmo. Do interesów zaś nie mam żadnego zmysłu.

– Ach, masz za to talent, moja droga! Ponadto, cóż za szczęśliwa okoliczność!, taka jaka jesteś, niewątpliwie do końca życia pozostaniesz dziewicą, przeto interes z tobą zapowiada się na długie lata, nie tak jak z tą głupią Marie-Marguerite, która już zrujnowała sobie przyszłość... – urwała, spoglądając na mnie bacznie. Musiałam mieć nietęgą minę, myślałam bowiem o wuju.

– Powiedz no mi – zlustrowała mnie z góry na dół – jesteś wszak dziewicą, prawda?

– Już nie – wyznałam z niechęcią. Uspokajająco poklepała mnie po ręku. Nawet to jej

współczucie miało kupiecki posmak, ale co tam. Tak długo nie zaznałam niczyjego współczucia. I ten jej powóz... doprawdy wspaniały. Zaczynałam myśleć o niej ciepłej.

– O, to interesujące! Tym lepiej. Dużo lepiej. Czekają nas długie i świetne lata współpracy. Nauczę cię wszystkiego, co powinnaś umieć, urządzę jak trzeba, a potem opracujemy projekt spłaty twoich zobowiązań. Wkrótce już będziesz bogata... dobre wina, piękne stroje, własny powóz...

– Co takiej jak ja po pieniądzach? Nie pragnę tego wszystkiego! Ja... nie! Nie wiem, czego chcę! – wykrzyknęłam, zaciskając z całych sił powieki, by powstrzymać te głupie łzy. Mój Boże, próbowałam popełnić samobójstwo, a ona mi mówi o nowych sukniach! Jakby mi to mogło wystarczyć. Była to tak wielka zniewaga dla mojej inteligencji, że stała się przysłowiową kroplą przepełniającą czarę mej goryczy. Za kogo ona mnie bierze? Czy jestem pospolitą idiotką, którą można kupić za koronkową szmatkę albo sznurek pereł? Pochyliła się naprzód i dotknęła mego kolana. Jej czarne oczy przybrały nagle inny wyraz.

– Zaufaj mi, moja droga. Zgódź się, a dam ci to, czego pragniesz: uczynię cię piękną. – Popatrzyłam na nią ze zdumieniem. Wyglądała normalnie. Dostrzegłam w jej twarzy odrobinę napięcia, nie była to jednak w żadnym razie twarz osoby obłąkanej.

Czyś ty ślepa?, pomyślałam. Czym chcesz mnie skusić? Ja – pięknnością? To niemożliwe.

– Niemożliwe? Nie dla mnie – odpowiedziała wprost moim myślom. – Potrafię stworzyć cię od nowa, a dzięki mojej sztuce staniesz się pożądana dla każdego mężczyzny, o którym ci się zamarzy. Taka jak ty dziewczyna już teraz ma z pewnością obiekt uwielbienia, który nawiedza jej sny. Będzie twój, moja droga, jeśli tylko się ze mną sprzymierzysz. Świadczyłam takie przysługi wielu damom, które dziś żywią dla mnie wdzięczność. – Na moment stanął mi w oczach Andre Lamotte, trubadur spod okna, ale zaraz przypomniało mi się to światło, którym zajaśniało jego oblicze na widok mej pięknej siostry. Co tam, głupie mrzonki.

– Nie pragnę żadnego mężczyzny – oświadczyłam, na co wróżka z wyraźnym powątpiewaniem pokręciła głową.

– A więc idźmy dalej. Każdy nosi w sercu jakieś pragnienie. Powiedz mi, za czym tęsknisz, a będziesz to miała. I wiedz, że wszystko jest w mojej mocy. Zwierz mi się, moja mała, bo przecież myślisz o czymś, nieprawdaż? – Widziałam, że pilnie obserwuje grę uczuć na mojej twarzy, w miarę jak przed oczami przesuwały mi się wspomnienia ostatnich wydarzeń: „zaślubiny” na wieży, nienawiść, bezsilna złość, gorzka i straszna jak trucizna.

– Pragnę zemsty.

– Tylko tyle? – parsknęła zduszonym śmiechem. – O, moja droga, cóż łatwiejszego nad zemstę? W tym dopiero jestem specjalistką.

– Powiedział, że nikt mi nie uwierzy, nikt mnie nie będzie słuchał.

– Ja słucham. Po to właśnie przychodzi do mnie tyle kobiet. Jaki mężczyzna wysłucha kobiety? Ale ja, ja jestem uchem Paryża. Myśl o mnie jak o Temidzie.

– Powiedziałam, że mu za to zapłacę, a on tylko śmiał się ze mnie!

– Ach, moje drogie, utalentowane dziecko! Nic już więcej nie mów. Przyjmij moją propozycję, a będziesz miała swą zemstę. Krwawą i tak słodką, że aż ci się przeje. Wierz mi, mało jest w życiu rzeczy dających tak pełną satysfakcję, jak unicestwienie wroga.

– Chcę go zrujnować, chcę jego śmierci.

– Zgoda – powiedziała, opadając na poduszki. Znalazłyśmy się teraz przy Porte Saint-Denis. Tę okazałą konstrukcję z żółtego kamienia, naśladującą rzymski łuk triumfalny, wzniesiono ku chwale Ludwika Wielkiego. – Teraz się rozumiemy. – Powóz skręcił w lewo, w długie i ciasne uliczki Villeneuve, po czym wjechał w rue Beauregard. Po obu jej stronach stały w dużych od siebie odstępach nowo pobudowane wille, jedno – lub dwupiętrowe, ogrodzone wysokimi murami, znad których wyzierały nagie gałęzie drzew. Ogrody. Po rozmiarach łukowatych bram można też było wnosić, że za tymi murami mieszczą się powozownie i stajnie. Służące właśnie zaczynały otwierać ciężkie okiennice, pojawili się pierwsi pełni nadziei przekupnie. „Hubki i krzesiwa, hubki!” – wołał obszarpany człowieczek w resztkach kapelusza i podartych nogawicach. „Śmierć szczyrom! Gwarantowany środek!” – przekrzykiwał go człowiek z żerdzią, z której przywiązane za ogony zwisały żywe, czy raczej martwe dowody skutecznego działania trucizny.

– Tutaj nie robi majątku! – parsknęła cichym śmiechem wróżka. – Nic, nic – powiedziała szybko, widząc moją pytającą minę. – To tylko taki nasz sąsiedzki żarcik.

Zatrzymaliśmy się w kupie śniegu, która zaczynała już tajać; z powozu natychmiast zeskoczył lokaj, by otworzyć wrota na dziedziniec.

– Oto i mój dom – oznajmiła wróżka. – Za tym murem mam ogród, bardzo wytworny. Teraz tego nie widać, ale w lecie! Uroczy, i jaka cudowna zieleń. Od czasu do czasu wydaję tu małe przyjęcia. Obok pawilonu rozstawia się wtedy namioty, a w nich podaje przekąski i napoje orzeźwiające. Mam kilka takich namiotów, wiesz, czysty jedwab w prześliczne różnokolorowe

pasy. Myślę sprowadzić z Italii parę słodkich kupidynków dla przyozdobienia fontanny. Czyż nie będzie to w najlepszym stylu? – Nawet te zwykłe sentymentalne zwroty nabierały w jej ustach dziwnie grzesznego brzmienia. Lokaje wynieśli nas z powozu i postawili na schodach. Omal nie upadłam, pośliznąwszy się na oblodzonym stopniu, ale zapobiegła temu gospodyni, która mocno ujęła mnie pod ramię i tak poprowadziła do mieszkalnej części rezydencji za znanym mi, już salonem. Madame przystanęła, szukając w kieszeni kluczy.

– Wiesz, moja droga – powiedziała, otrzepując mokry śnieg z butów – teraz gdy jesteśmy już przyjaciółkami... Myśl o mnie w ten sposób, dobrze? „Protektorka i protegowana” to brzmi tak oficjalnie! A więc jako przyjaciółka będziesz bywać na moich zimowych kolacjach z muzyką. Mówię ci, są przemiłe. Trzeba cię przedtem jednak trochę oszlifować. Bywają u mnie mądry ludzie z samych najlepszych sfer. – Wyjąwszy ozdobny klucz, otworzyła rzeźbione drzwi z ciężkiego dębu i wprowadziła mnie do środka. Natychmiast pojawiła się pokojówka w schludnym fartuszku i białym czepku, by odebrać płaszcz swojej pani.

– I cóż, przyszłoby ci do głowy, że dwukrotnie przeżyłam bankructwo? – szczebiotała dalej madame, gestem zwracając mi uwagę na eleganckie otoczenie. – Mój mąż stracił po kolei dwa sklepy jubilerskie. Ha, więzienie za długi, jedym słowem, ruina. O, doświadczyłam najgorszego! Cóż było robić? Musiałam coś wymyślić, zwłaszcza że zawsze kochałam się w ładnych rzeczach. Całe szczęście, że już z mlekiem matki nabyłam tych umiejętności, dzięki którym żywię dziś dziesięcioro domowników i robię, co mi się podoba.

Pokoje położone za czarnym salonem nie miały w sobie ani krzty tajemniczości, były za to wygodne i niesłychanie przytulne. Wprost z zaśnieżonego dziedzińca weszliśmy do jadalni rozkosznie nagrzaną ciepłem buchającym z wielkiego marmurowego kominka. Na podłodze rozpościerał się mięciutki dywan. Turecki. Stojący pośrodku stół przykryty piękną brokatową materią, spod której wзираły tylko jego rzeźbione nogi, otaczała istna armia stosownych krzeseł o wysokich oparciach i miękkich siedzeniach wyściełanych ciemnym aksamitem. Na ścianie między dwiema masywnymi szafami wisiała para przepysznych gobelinów; jeden z nich przedstawiał skruszoną Marię Magdalenę, drugi ofiarowanie Jezusa w świątyni. Na dywanie bawiło się dwoje malutkich dzieci pod opieką piastunki; dzieląca je różnica wieku nie mogła wynosić więcej niż rok. Zza drzwi dobiegały okrzyki starszej dzieciarni. Na obramowaniu kominka sennie wylegiwało się kilka ogromnych kotów. Z równie sennym wyrazem twarzy spoczywał w fotelu obok Antoine Montvoisin, drugi mąż mojej świeżo pozyskanej „przyjaciółki”. Ten blady wymizerowany człowiek miał na sobie szlafrok, głowę zaś przykrytą serwetką. Nie poruszył się na mój widok – najwyraźniej nie życzył sobie żadnej

prezentacji.

Z kuchni dochodziły smakowite wonie i pokrzykiwania służby, niósł się szczepek przesuwanych rondli, co nieomylnie świadczyło o zaawansowanych przygotowaniach do obiadu. Poczułam nagle, że umieram z głodu. Widoczny tu wszędzie luksus, a zwłaszcza rozrzutne szafowanie opałem wywarły na mnie wrażenie. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: oto dom, w którym są pieniądze. Jednak dopiero później, gdy już nieźle poznałam swoją protektorkę, nabrałam pojęcia o rzeczywistych rozmiarach jej dochodów: przewyższały one roczne wpływy najbogatszych arystokratów, prawie dorównując krociowym dochodom samego ministra.

W pewnej chwili przebiegła nam drogę dziewczyna, którą już tu kiedyś widziałam: Marie-Marguerite, pasierbica wróżki, córka jej męża z pierwszego małżeństwa. Od razu zauważyłam, że jest ode mnie wyższa. Niosła właśnie ojcu filiżankę gorącej czekolady. O, za taką filiżankę bez wahania zaprzedałabym duszę najgorszemu z diabłów. Nie uszło to oczywiście bystremu oka madame Montvoisin, bo na jej wargach zagościł uśmiech.

Nic już nie mówiąc, wprowadziła mnie do gabinetu, w którym natychmiast rozpoznałam pokój oglądany w naczyniu wyroczni. Pod wszystkimi ścianami stały starannie pozamykane szafy, a rozsunięte kotary z czerwonego aksamitu ukazywały maleńkie okienko, teraz białe od mrozu. Naprzeciw okna za parą czarnych od sadzy andironów⁵, którym nadano kocie kształty, płonął ciepły ogień. Na ozdobnym biureczku dostrzegłam kilka ciekawych drobiazgów – na wpół wykreślony horoskop, miniaturową srebrną rączkę, kałamarz w postaci satyra oraz bursztynową kocią główkę. Błyszczała na stercie luźnych papierów tak intensywnym blaskiem, jakby odbijała światło z jakiegoś niewiadomego źródła.

– Usiądź tutaj. – Madame Montvoisin wskazała wyścielany zydel przy biurku. Miałam nadzieję, że nie słyży, jak okropnie burczy mi w brzuchu. Czując doniosłość chwili, za nic w świecie nie chciałam jej sprofanować czymś tak pospolitym. – Zanim rozpoczniemy współpracę, musimy porozumieć się w paru sprawach. – Chwalić Boga, nic nie słyżała. – W pierwszym roku zapewnię ci spanie, jedzenie i odpowiednie stroje. Do tego dochodzi szkolenie i niewielka kwota na drobne wydatki. Ty będziesz mi oddawać wszystkie swoje zarobki. – Wyjęła zza dekoltu kluczyk, którym otworzyła jedną z szaf stanowiących główne umeblowanie gabinetu. W środku zobaczyłam rzędy zielonych teczek oznaczonych kolejnymi literami alfabetu. Zdjęła z półki teczkę z literą „P”, a potem jeszcze jedną; na tej widniała opaska z napisem „kontrakty”.

⁵ andirony – para metalowych podpórek na kłody w kominku, zwanych też „wilkami”. Tu mają one kształt kotów.

– Jeśli po roku szkolenia wykażesz odpowiedni postęp, otrzymasz na własność ładny apartament, który będziesz mi spłacać przez pięć lat, oddając ponadto dwadzieścia pięć procent wszystkich swoich dochodów – położyła na biurku wyjęty z teki egzemplarz „kontraktu”. Był on już spisany ręką prawnika, pozostawało tylko wypełnić puste miejsca. Pamiętam, że jej przezorność wzbudziła mój podziw. I ten porządek, ta organizacja! Parała się zabobonem, a działała jak prawnik lub wielki kupiec. Nie, La Voisin w niczym nie przypominała starej wiedźmy z opowieści o czarownicach.

– Będziesz mi też świadczyć pewne niewielkie... usługi związane z moją profesją, takie jak doręczenie wiadomości i drobnych przesyłek – znów ułożyła usta w to swoje dziwaczne „V”. – Lecz poza tym nasze partnerstwo ogranicza się już tylko do twych zawodowych poczynań. W odpowiednim czasie zaproponuję ci taką samą umowę, jaką zawieram z innymi, to jest wynagrodzenie stanowiące pewien procent opłaty pobieranej od danego klienta. I oczywiście, wszelką pomoc dotyczącą dalszej twojej nauki i pracy. To już będzie całkiem za darmo. Twoje imiona chrzestne, kochaneczko? – spytała, maczając pióro w brzuchu satyra. – Podaj mi je w pełnym brzmieniu. – Mrużąc nieznacznie oczy wypełniła pierwszą rubrykę, po czym jakby coś sobie przypomniała.

Nieprawda. Nigdy nie zapomniała o niczym, ale to zrozumiałam dopiero później. Dla niej liczył się głównie efekt. Wszystko, co robiła La Voisin, musiało odznaczać się perfekcją, jak również mieć zawsze właściwą oprawę. Przypominało to ów ceremoniał, z jakim wielki mistrz sztuki kulinarnej zwykł serwować słynną specjalność kuchni.

– No, właśnie! – wydała lekki okrzyk. – Zanim posuniemy się dalej, musisz przysiąc, że nasza umowa oraz wszystko, co usłyszysz w tym domu i w trakcie szkolenia, pozostanie ścisłą tajemnicą.

Byłam już doprawdy przeraźliwie głodna. Czulałam, że zaczynają trząść mi się ręce, a z twarzy odpływa cała krew.

– Obleciał cię strach? – roześmiała się w głos. – Czyżbyś sobie uroiła, że każę ci własną krwią podpisać ten kontrakt? Nie! Nie teraz powinnaś się lękać, ale wtedy gdy stałaś na moście. Nie słyszałaś, co spotyka samobójców? Naprawdę byś chciała, żeby twoje zwłoki wystawiono na widok publiczny w podziemiach Chatelet, a gdy wreszcie doczekają się identyfikacji, by je jeszcze bardziej zhańbiono, wieszając za nogę na szubienicy, gdzie wisiałyby dopóty, dopóki ciało nie odpadnie od kości? Mnie na twoim miejscu ta myśl właśnie najmocniej by poruszyła. No, już ci to teraz nie grozi. Od dziś stajesz się członkinią mojej tajemnej rodziny.

Chwilę przeglądała zawartość zielonej teki oznaczonej literą „P”, aż znalazła kilka czystych stron. Wzięła pierwszą i napisała u góry: „Pasquier Genevieve, 10 grudnia 1674”.

– Członek rodziny ma wobec niej obowiązki – stwierdziła konfidencyjnie. – A te obowiązki to lojalność, wdzięczność i... dyskrecja. Wszystko to przypomina konfesjonał, a my same... cóż... spowiedników. To prawda, jesteśmy prawie jak księża. Ludzie przynoszą nam wszelkie swe małe tragedie... bywa, że w tej samej sprawie przychodzi kilka różnych osób. Rozumiesz, nie wolno ci ujawnić ani słowa z tego, co usłyszysz. Musisz wiedzieć, że tajemność i zaufanie to podstawa profesji wróżbity... – ponieważ akurat w tym momencie zaczęłam osuwać się ze stołka, spojrzała na mnie z nowo rozbudzonym zainteresowaniem. – Och, musisz pewnie być głodna! Odbądźmy już tę przysięgę i uczcijmy ją drobną przekąską. – Głód tak mi doskwierał, że gotowa byłam zaprzysiąc wszystko, jednak w miarę jak padały kolejne słowa przysięgi, na imię wielkiego księcia piekieł Radamantusa, na Lucyfera, Belzebuba, Satanasa, Jauconilla, coraz bardziej nękał mnie strach, że zemdleję, nim dojrnę do ostatniej pozycji tego nie kończącego się rejestru piekielnych mocy. Gorzej – że wpadnę głową prosto w końskie kopyto służące La Voisin za kadzielnicę. Przysięgi, nawet te składane diabłu, stanowczo powinny być krótsze.

Nareszcie! Nareszcie po dłuższym szperaniu w szafach moja protektorka wydobyła z którejś spore pudło marcepanów uformowanych w wymyślne kształty, butelkę słodkiego wina i dwie szklaneczki.

– Wiesz, jak to jest – powiedziała tonem usprawiedliwienia – dzieci! Wszystko trzeba trzymać pod kluczem, inaczej nic by się nie uchowało. No, no, nie tak szybko, bo cię zemdli. Cztery w zupełności wystarczą. – Powtórnie napelniła mą szklaneczkę, marcepany zaś zamknęła w szafie. – Jeszcze kęs tych słodkości, a nie smakowałby ci obiad.

Wino sączące się w me puste trzewia było jak płynny ogień. Wszystko widziałam teraz podwójnie. Dwie panie La Voisin jednocześnie podniosły szklaneczki, aby spełnić toast. Ja też podniosłam dwie swoje. Wypiłyśmy za odwieczną sztukę przepowiedni.

– Niechaj trwa i kwitnie ta wspaniała sztuka! – zawołała La Voisin. – Przyjemna, zyskowna i całkowicie legalna! Ach, zaczynasz karierę w szczęśliwej epoce. Król własnym dekretem ogłosił, że nie ma już zabobonów. Koniec procesów o czary, koniec płonących stosów. Żyjemy dziś w innych czasach, w świecie nauki, prawa i rozumu. Jednak nawet i w tym świecie niewiastom trzeba niekiedy pozwolić na małą niezgodę z rozsądkiem, my bowiem, jako istoty proste i nie oświecone, nie umiemy się bez tego obejść. – Wstała, by odstawić do szafy butelkę

i szklanki.

Była to już inna szafa. Wypełniały ją półki zastawione dziwnymi flakonikami, każdy opatrzony schludną etykietką. Co w nich było? Poczułam, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– Co ci jest? – zaniepokoiła się La Voisin, która zamknąwszy szafę odwróciła się właśnie w moją stronę. – Pozieleniałś jakoś wokół ust. A niech mnie! Nie powinnam cię była przerażać tym gadaniem o stosach. Nic się nie martw. Moje praktyki musiał uznać za legalne nawet najwyższy sąd dla heretyków, sami uczeni doktorzy z Sorbony. Ich było wielu, ja broniłam się sama. Byłam jeszcze bardzo młoda, ale już wtedy wiedziałam, jak na takich podstarzałych świętoszków działa elegancka suknia i zacny biuścik. Ach, te uprzedzenia! Spodziewali się pewnie zobaczyć głupią, odrażającą staruchę. Ja tymczasem wykazałam im czarno na białym, jak sprzeczne z logiką byłoby czynienie mi zarzutu z praktykowania astrologii. Czyż nie ucząją jej sami na tym swoim fakultecie? Jego magnificencja rektor Sorbony zaprosił mnie potem do siebie i tak spelżył na niczym zakusy mych oskarżycieli z Towarzystwa Najświętszego Sakramentu. Z tymrektorem do dzisiaj spotykamy się na obiadach. Cóż to za kochany staruszek, a jakich ma kucharzy i podczaszych! Długo pamięta się te jego fety! – Nie mogłam powstrzymać podziwu dla mej protektorki, a zwłaszcza jej wspaniałej znajomości świata. Zapragnęłam i ja ją posiąść. Życie wśród książek wydało mi się raptem bardzo nudne.

La Voisin rozłożyła przede mną kontrakt, pokazując, gdzie mam umieścić podpis. Nie byłam w stanie przeczytać treści, gdyż papier za bardzo ruszał mi się przed oczami, zdołałam jednak przytrzymać go drugą ręką na czas wystarczający do zamoczenia pióra i naskrobania zamasytowanego podpisu zajmującego całą szerokość strony.

Moja świeżo upieczona partnerka chwyciła zaraz dokument i spojrzawszy na podpis roześmiała się z widoczną satysfakcją:

– Widzę przed tobą wspaniałą przyszłość. Ci, którzy wróżą z wody, są dziś wprost rozchwytywani, no i obracają się w najwyższych sferach. Wiedz jednak, że obrazy oglądane w wodzie same przez się nie są wiele warte, musisz więc nauczyć się sztuki interpretacji, dalej, fizjonomiki, czyli czytania z twarzy, i jeszcze stylu wypowiedzi, który przystoi wyroczni. Ach, z twoim wykształceniem, z twoją uczoną mową będziesz przyjmowana wszędzie, w najlepszych domach. Bardzo lubię wytworną klientelę, tacy dużo lepiej płacą. – Podniosła się, aby poprawić ogień. Pragnęłam z całego serca, by raz jeszcze zechciała otworzyć szafę z marcepanem, niestety, przyszło mi obejść się smakiem. – Kiedy już zaczniesz pracować – podjęła przerwany wątek – usłyszysz mnóstwo opowieści: o nieczułych i okrutnych mężach, o

tym, że klientce przytrafił się... hm... mały kłopot, że obecny kochanek nie budzi jej pożądania i że pragnie już kogoś innego. Tych wszystkich odsyłaj do mnie. Wyczytałaś z wody, że pomoc w swoich kłopotach znajdą przy ulicy Beauregard. Mogą to być zresztą kłopoty innego rodzaju: zła passa w kartach, za małe piersi, choroby miłosne czy wreszcie potrzeba zabezpieczenia ciała przed zranieniem na polu walki. Dowiedz się bowiem, że świadczę bardzo wiele poufnych usług, bez których nasz modny światek wraz z całym swym dobrym smakiem i kulturą niechybnie przestałby istnieć.

– Rozumiem – przytaknęłam z grzeczności. W istocie nie pojmowałam nic zgoła, gdyż z moim umysłem działo się to samo co z oczami.

– Wątpię, czy rozumiesz to akurat w tej chwili – parsknęła lekko. – Po prostu rób, co ci mówię, a obie będziemy zadowolone. A oto znak, po którym można cię będzie rozpoznać jako jedną z nas: kciuk i palec serdeczny razem, dłoń uniesiona do góry. Zapamiętasz, czy będę musiała jeszcze raz ci to później pokazać? Na koniec weź sobie do serca jeszcze jedno: dużo wody upłynie, nim naprawdę wejdiesz do grona wtajemniczonych, nie ulegaj więc bezpodstawnej pysze i nie próbuj mnie przechytrzyć, dobrze, moja droga? Doskonale. A teraz pozwól wziąć się pod ramię i kažemy podawać obiad. Nie, drzwi są tutaj, widzisz? – I tak oto w ciągu zaledwie jednego ranka przeniosłam się do krainy tajemnic i magii, której istnienia nawet nie przeczuwałam, choć leżała tuż za moim progiem.

Tego dnia La Voisin miała oko na wszystko: zręcznie rozładowała moją konfuzję na widok obfitości jadła, a zwłaszcza wspaniałości obiadowych potraw, jak również zakłopotanie z powodu podartej sukni. Kazała ją też naprawić uznawszy, że jest zbyt ładna, by godziło się ją wyrzucać. Była to rzeczywiście niebrzydka suknia, stosowna na czas żałoby, jakkolwiek uszyta nie z czarnej, lecz z szarej wełny. Szlachetną tkaninę zdobiły liczne aplikacje z czarnej jedwabnej wstążki. Ociężała po dobrym jedzeniu całe popołudnie przesiedziałam w halkach, czekając na zwrot mojej sukni w jednej z licznych komnat sypialnych pani domu. Wszystkie były ogromne i wisiało w nich dużo gobelinów. O tej porze madame przyjmowała klientów, musiałam więc pozostać niewidoczna. Przerzuciłam wyłożone na stoliku nocnym „Uwagi o miłosierdziu Bożym”, lecz że okazały się bardzo nudne, ośmieliłam się poszperać w szufladach. Ku wielkiej swojej satysfakcji znalazłam tam sporo interesujących rzeczy: tomik zatytułowany „Miłostki w Palais Royal”, flakonik z jakąś miksturą – uznałam ją za krople nasenne – dziwaczne metalowe narzędzia podobne do haczyków i szpilek, tylko znacznie większe, oraz ciężką stalową strzykawkę ze smukłym wydłużonym końcem. Była tam także sterta lnianych serwetek, a obok zwitek miękkiej owczej wełny. Zupełnie nie miałam pojęcia, do czego by to

mogło służyć. W chwili gdy zasiadłam na wielkim łożu, by osłodzić sobie czas oczekiwania pasjonującą lekturą dworskich miłostek, jakiś nagły hałas kazał mi je co szybciej odłożyć na miejsce.

Przerażona rozejrzałam się dookoła, by zaraz jednak stwierdzić z ulgą, że to tylko jeden z wszędobylskich ulubieńców gospodyni, wielki pręgowany kocur który właśnie opuścił swoje miejsce na szafie, gdzie uciał sobie małą drzemkę. Teraz pełnym gracji susem wskoczył na osłonięte kotarami łoże i z głośnym mruzeniem zaczął ocierać się łebkiem o moją rękę, najwyraźniej domagając się pieszczot. Podczas owej zabawy uderzyło mnie coś dziwnego: tak tu ciepło, a przecież na kominku nie ma ognia! W tym pokoju musiał znajdować się gdzieś ukryty piec. Uznałam to za kapitalny pomysł – sypialnie z reguły są tak przeraźliwie zimne!

Wstałam z łóżka i zaczęłam chodzić po pokoju, zaglądając za ciemne masywne meble. W pewnej chwili uniosłam zieloną, obficie udrapowaną kotarę osłaniającą wnętrze przed zimnem bijącym od zmarzniętych szyb i wyjrzałam na zaśnieżony ogród. Z białego puchu wyrastały równiutkie rzędy nagich, bezlistnych drzew; w samym środku wznosił się pawilonik z greckimi kolumnami i fontanną podtrzymywaną przez nimfy. Na tle zasnutego białą krajobrazu ich białe marmurowe ciała sprawiały wrażenie rzeźby wykutej w lodzie. Zgoła niestosownie wyglądał przy tym wąski i wysoki komin wystający zza pawilonu. Czyżby nawet ogrodowe kaprysy madame Montvoisin wyposażone były we wszelkie możliwe wygody?

Rezygnując z dalszych poszukiwań, postanowiłam powrócić do ekscytującej lektury, gdy przechodząc obok ogromnego gobelinu wiszącego za łóżkiem, poczułam wyraźną falę ciepła i jakiś osobliwy zapach. Uniosłam tkaninę i – tak, miałam rację! W ścianę wbudowany był niezbyt duży żelazny piecyk, wciąż jeszcze wydzielający resztki ciepła. Uznałam, że jak na piec jest to miejsce raczej dość dziwne, nie miałam jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, gdyż w tej właśnie chwili rozległo się pukanie i w drzwiach pojawiła się dziewczyna z tacą. Była to Maria-Marguerite, pasierbica madame. Stwierdziłam, że jest w moim wieku, tyle że wyższa i prostsza i – co z wielkim żalem musiałam przyznać – dużo ode mnie ładniejsza. Przyniosła czekoladę i ciasteczka, mówiąc, że przysyła je matka.

– Wolę zostać tu z tobą, niż siedzieć na dole – oznajmiła wesoło; zlizwała z warg resztki czekolady i z impetem zaatakowała kolejne ciastko. – Te zamaskowane damy są takie nudne! A to powiedz im to, a to tamto! O, kiedy wyjdę za mego chłopaka, na imię ma Jean-Baptiste, inaczej urządzę sobie życie. Zamieszkamy nad jego pasztecarnią, a ja przez cały dzień będę popijać kakao i bawić się z moimi dzieciątkami – Ańi myślę jeździć gdzieś incognito albo wpuszczać do domu obcych ludzi. Będę żyła tak, jak się godzi prawdziwej niewieście: to

mężczyzna ma się o mnie troszczyć.

– Dobry plan, jeśli ktoś ma szanse go zrealizować – powiedziałam dość cierpko, patrząc z zazdrością na jej piękne brązowe loki.

– Och, nie bądź smutna! Nic na to nie poradzisz, że nie masz powodzenia, ale zobaczysz, będzie ci się dobrze wiodło. Nieźle sobie zarobisz na tych wróżbach z wody, chociaż mnie strasznie to zawsze nudziło. Chcesz się pobawić kartami? – wyjęła z kieszeni talię sfatygowanych kart owiniętą w skrawek jedwabiu. – Dobrze! – rzuciła wesoło, układając je na łóżku w skomplikowaną figurę podobną do gwiazdy. Takich kart jeszcze nie widziałam. Zamiast serc czy dzwoneczków były na nich wizerunki rycerzy, wież, pustelników, tarcz słonecznych, królów i królowych. – O, doskonale! – wykrzyknęła Marie-Marguerite.

– Co doskonale? Jak się w to gra?

– To nie gra, głuptasie, to wróżba. Dla ciebie. Doskonały układ. Widzisz to słońce? Oznacza szczęście. A tu rychłe pieniądze. No, komu teraz powrózimy?

– Może kotu? – zaproponowałam. Parsknęła śmiechem i powtórnie rozłożyła karty.

– O, mój biedaku, wyszła ci trupia główka! Lepiej nie wytykaj nosa na dwór, bo skończysz jako potrawka w garnku ogrodnika!

Resztę popołudnia spędziłyśmy bardzo przyjemnie, zaglądając w przyszłość krewnych mojej towarzyszki oraz różnych dworskich dygnitarzy.

– Nie wolno tylko nigdy badać przyszłości króla – ostrzegła mnie Marie-Marguerite. – To zbrodnia stanu, za którą włączyliby cię koźmi, a potem poćwiartowali na placu de Greve.

Ha, widać zawód wróżbity nie jest tak znów bezpieczny, a ścieżka wiodąca do bogactwa usłana samymi różami. Czyhają na niej różne pułapki. Madame Montvoisin nie wszystko mi powiedziała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– No, mademoiselle, zobaczymy, czy jesteś bystra. Oto trzy karty: dziesiątka, dama i król. Kładę je teraz na stole do góry grzbietem. Gdzie jest dama? – O szyby gwałtownie siekł zimowy deszcz, przez co jadalnia La Voisin, pełna gobelinów, rozświetlona skaczącym na kominku ogniem, wydawała się jeszcze weselsza i tak rozkosznie przytulna. Spełniając polecenie magika, wskazałam żadaną kartę. – Żle! – usłyszałam. – Jeszcze raz! Ha, znowu źle! Patrz uważniej! – Karty z niewiarygodną szybkością migwały w wypielęgnowanych dłoniach siedzącego naprzeciw mężczyzny. Jeden z licznych kochanków La Voisin, tyle że jeden z ważniejszych, sądząc po krzątaniu, którą wywoływał wokół swej osoby. Cóż, nie tak łatwo przeniknąć skomplikowane stosunki panujące w tym dziwnym domostwie.

Le Sage – takie podawał nazwisko – nie imponował wyglądem. Ot, podstarzały jegomość w zrudziałej peruce i wymiętym samodziałowym kubraku; mógł się nawet wydawać niezręczny – póki nie widziało się jego przenikliwych oczu, a zwłaszcza dłoni: ich gładko-płynnych ruchów, ich zdumiewającej bieli i niebywałej zwinności palców.

– Mademoiselle, przydałyby ci się okulary! Wszak dama jest tutaj, w twoim rękawie, voila! – biała dłoń śmignęła obok mojej, zatrzepotała w powietrzu, po czym ozdobnym gestem położyła przede mną kartę.

Nauczyłam się już różnych sztuczek: potasować w pewien szczególny sposób, strzelić kartami, przełożyć – znów w ten oszukańczy sposób – nacisnąć, i oto wybrana karta niepostrzeżenie wślizguje się tam gdzie trzeba, czyli na początek talii. Wszystko to już opanowałam. Nieoceniona umiejętność dla wróżbitki. Mimo to Le Sage nadal pozostawał moim niedościgłym mistrzem. Wsunąwszy trzy karty do talii, począł je teraz tasować. Ach, jak on to robił! Karty tryskały spomiędzy palców na podobieństwo kaskady.

– Le Sage – błagam – naucz mnie tego!

– Znów błąd, mademoiselle. Nie powinnaś wydawać się nazbyt biegła w manipulowaniu kartami. To nie przystoi wróżbitce. Tu ważne jest co innego. Szczerść, pojmujesz, nawet jakby szczypta naiwności. Wielkie skupienie. Kładź karty bardzo powoli i długo przyglądaj się każdej. Jakbyś miała za chwilę przepowiedzieć Sąd Ostateczny. Kiedy następnym razem madame będzie wróżyć klientce, stań przy judaszu i zaobserwuj jej gesty. – Jak gdyby pointując swoją wypowiedź, znów przetasował karty, teraz dla odmiany jedną ręką.

Dom madame Montvoisin można by nazwać istną fabryką złudzeń. Za gobelinami kryły się

otwory do podglądania, z jadalni do salonu biegła specjalna rura, z której odzywały się głosy, w suficie bezszelestnie obracały się koła linowe poruszane z górnego piętra. W ciągu kilkudniowego pobytu w tym domu zdążyłam obejrzeć już seans spirytystyczny, podczas którego we właściwym momencie ukazała się widmowo biała ręka sprawnie opuszczona na czarnej nitce. A jednak czułam niejasno, że poza tym dzieją się tu rzeczy nie przeznaczone dla moich oczu. Choćby ta zamaskowana kobieta – blada ze strachu – którą szybko wprowadzono na górę. Po co? A dymiący piec w pawilonie ogrodowym? A te tajemnicze szafy w gabinecie madame, zawsze zamknięte na cztery spusty? Sama madame uciszała nieraz kpiny domowników, mówiąc: „Gdybyście naprawdę znali moją potęgę, nie śmielibyście tak sobie żartować!” Słowom tym towarzyszył ponury błysk w oczach.

Na co dzień byłam jednak zbyt zajęta, by rozmyślać nad tym, co naprawdę kryją w sobie ściany eleganckiej willi przy rue Beauregard. Od świtu do nocy poddawano mnie szkoleniu: znaki zodiaku, linie na dłoni, interpretacja kształtów, jakie przybiera rozgrzany воск, kiedy go wylać na wodę. Potem z kolei zaczęło się odczytywanie dobrych i złych znaków, studiowanie talizmanów i amuletów, w tym zwłaszcza kamieni – który z nich przywraca zdrowie, który przynosi szczęście bądź chroni przed trucizną. Chcąc zrobić odpowiednie wrażenie na przyszłych klientach, musiałam dobrze się tego wyuczyć, bowiem większość arystokratów składających wizyty wróżbitom sama studiowała okultyzm, każdy błąd zostałby więc od razu zauważony.

– No, Adamie, jak tam postępy? Czyż ci nie mówiłam, jaka jest bystra? – do jadalni wbiegła zaaferowana La Voisin, pożegnawszy ostatniego z długiej kolejki klientów.

– Jak zwykle masz rację, moja droga. I tym razem nie zawiodła cię twa rzadka umiejętność wykrywania talentów. Nie mówiąc już o samym pomysle, ten bowiem jest wprost genialny. Sposób, w jaki ta mała sznuruje usta, wypowiadając owe nieskończenie długie wyrazy, to, ach!, istne чудо! Któż by nie uwierzył, że ma przynajmniej sto lat? – La Voisin słuchała tych pochwał z nie tajoną satysfakcją. Nie wypadało mi teraz zrobić nic innego, jak zademonstrować me nowo nabyte umiejętności. Madame kazała służbie przynieść trochę wina i paterę ciastek, po czym usadowiła się w swoim fotelu u szczytu wielkiego stołu.

– Ach, jakże mnie to cieszy – wydała długie, zadowolone westchnienie. – Ale ty, mademoiselle, kwaśną jakoś masz minę? Gdzie twoja wdzięczność za całą tę bezcenną wiedzę, którą tak hojnie się z tobą dzielimy?

– Zgodziłam się na to za obietnicę, iż stanę się piękną, przedmiotem tęsknych męskich

westchnień, a nie karcianym szulerem.

– Ach, ty mała kapryśnico! Wszystko w swoim czasie! – roześmiała się La Voisin. – Poczyła już niezbędne przygotowania. Bo i pora cię stąd wyprawić. Dalsza zwłoka to ryzyko, że któryś z moich klientów może cię zauważyć. Ciebie zaś żywa dusza nie powinna oglądać, dopóki nie będziesz gotowa.

– Gotowa jak pieczyste? – zakpiłam.

– Jak dzieło sztuki. Staniesz się ukoronowaniem moich dotychczasowych osiągnięć.

– Naszych osiągnięć, moja droga – poprawił magik, dopijając wino. – Widziałaś się już z Lemaire'em?

– Tak, wszystko ułożone. Najpierw wizyta u niego, potem u krawcowej. Bouchet opóźnia się z genealogią. Powiada, że ostatnio dwór mu nie daje odetchnąć. Wspomniałam o tym... hm... małym długu, co jak mi się zdaje, znacznie wzmoże jego starania.

– Bouchet, ten specjalista od genealogii? Ten, który ulepsza pochodzenie osobom ubiegającym się o dworskie stanowiska?

– Wielki Bouchet, moje dziecko, prawdziwy geniusz. Jak widzisz, nie szczędzę kosztów. Musisz mieć tytuł, który podnosząc twą wartość, otworzy ci drzwi wielu domów. Pragnę ci bowiem zapewnić piękną klientelę. A że sama polubisz swą nową tożsamość, to ci gwarantuję. Co powiesz o „markizie de Morville”? Zaczny tytuł, nieprawdaż? A jaki wytworny! Zaczynij się do niego przyzwyczajać.

– Ale... ale, madame, uczynisz mnie ładną? Taką jak inne dziewczęta? Wszak mi to obiecałaś.

– Moja droga – czarodziejka wymieniła spojrzenia z Le Sage'em – obiecałam ci, owszem, że będziesz piękna i pożądana, nie mówiłam jednakże, iż staniesz się podobna do innych młodych panien. Wróżbitka nie może być istotą pospolitą. Jako wyrocznia musi roztaczać wokół siebie aurę tajemniczości, zachowywać dystans wobec pospólstwa, jakby sama była boginią. Adamie, przyniosłeś tę książkę?

Le Sage znanym mi już gestem magika wy dobył z kieszeni oprawną w skórę książeczkę. Szybko przeczuciwszy kartki zorientowałam się, że to podręcznik dobrych manier z czasów Henryka IV.

– Przestudiujesz to dziś wieczorem po lekcji z czarą wyroczni – oznajmiła La Voisin. – Chcę, abyś uchodziła za osobę z ubiegłego stulecia. Markiza de Morville jest zaiste wiekową damą.

– Nie chcę być stara! – zaprotestowałam gwałtownie.

– Nikt nie mówi, że masz być pomarszczoną staruchą. Markiza de Morville zachowała wieczną młodość dzięki alchemii – porozumiewawczo zmrużyła oko. Więcej nie było mi trzeba. Wszystko stało się jasne. Mroczna tajemnica. Magnetyzm. Ach, przedni dowcip, ani słowa! Ci wielcy arystokraci, którzy za nic w świecie nie wpuściliby za próg jakiegoś Pasquiera – finansisty! – nawet w czasach jego świetności, będą teraz na wyścigi składać zaproszenia jego córce, najgorszej szarlatance, jaką można sobie wyobrazić. Oto skutki bogactwa i nudy. Wyznaję, iż sama myśl o tym sprawiła mi rozkosz. Wieczorem napisałam w pamiętniku:

„Powiada wielki Plato, że demos niezdolny jest sam sobą rządzić, a to dlatego, że łatwowierność bierze w nim górę nad rozumem. Czy są więc do tego zdolni dumni przedstawiciele pierwszych rodów Francji, których cechuje całkiem taka sama naiwność? O, gdybym mogła podyskutować o tym z ojcem! Myślę, że podobnie jak ja uznałby markizę de Morville za pyszny dowcip. ”

Już następnego wieczoru, zaraz po wesołej uczcie, podczas której nie ustawały toasty za pomyślność mojej kariery, wpakowano mnie do powozu i zawieziono w miejsce, gdzie niczym poczwarka miałam ulec przeobrażeniu, by na koniec ukazać się zdumionemu światu w całej swojej nowej krasie.

Ocknęłam się w nieznanym otoczeniu. Przez otwarte okiennice jaśniało zimowe słońce, napełniając światłem wąską izdebkę. Któryś z rozproszonych promieni wyrysował złociste wzory na drewnianej podłodze koło łóżka... Żółte ściany pod skośną powalą poddasza weseliły oko różnokolorowymi bukietami kwiatów, w powietrzu unosił się zapach świeżej pościeli. Poduszka... uwierała, jakby ją wypchano cegłami, a pierzyna ważyła z tysiąc funtów... Moja głowa! W życiu mnie tak nie bolała! Najostrożniej jak tylko mogłam, spróbowałam nią obrócić. Moje ubranie wisiało na kołku, obok butów, ułożone w schludny stosik, leżały moje notatniki. Ktoś ubrał mnie w nocną koszulę i położył do łóżka. Ha, zawód wyroczni nie jest taki zły, pod warunkiem że nie trzeba ruszać głową. Rozległo się pukanie i do pokoju rażno wkroczyła młoda, hoża niewiasta w fartuchu i czepek; za nią z głębi domu nadpłynął zapach czekolady. Jęknęłam.

– No, obudziłaś się wreszcie! Powiedzże, jak to jest, kiedy ma się sto pięćdziesiąt wiosen?

– Całkiem tak samo, jak się ma ich piętnaście. Okropnie boli mnie głowa.

– Nie dziwota! Nigdy jeszcze moje oczy nie widziały osoby tak spitej na umór. Pewnikiem nie pamiętasz, jak cię tu przywieźli? No, przyniosłam ci lekarstwo na ból głowy. Sama warzę tę

miksturę i wiem, że w mig pomaga. Wypij to i wstawaj, czeka cię dziś pracowity dzionek. Masz wizytę u pana Lemaire'a, a potem u krawcowej, która weźmie ci miarę na suknię. Żywo, żywo! Koniecznie musisz to wypić! I niechaj to będzie dla ciebie nauczka. Skoro chcesz być wielką wyrocznią, nie wolno ci się upijać do nieprzytomności. Lepiej całkiem poniechaj wina, bo zdradzi ono wszystkie twe sekrety.

Kielich z dekoktem na ból głowy pachniał odrażająco. To prawda, lepiej na zawsze wyrzec się wina, jeśli tak ma wyglądać lekarstwo. Ha, trudno. Wypiłam to paskudztwo. Smakowało jak coś zdrapanego z dna błotnistej rzeki w samym środku lata.

– No ładnie, już po wszystkim. Gdybym tylko umiała nadać tej miksturze odrobinę znośniejszy posmak, jak nic zbiłabym na niej fortunę – oznajmiła kobieta. – Ubierz się teraz i zejdź na dół. Na twoją cześć przygotowaliśmy dziś czekoladę.

Ból głowy już ustępował. Podniosłam się z łóżka, ostrożnie wypróbowałam ręce i nogi, a stwierdziwszy, że nadal trzymają się ciała, ubrałam się i zeszałam na dół. Zdumiał mnie widok ogromnej komnaty. Była to na poły kuchnia, na poły apteka. Przyglądałam się wszystkiemu szeroko otwartymi oczyma, jako że nigdy dotąd nie widziałam takiego pomieszczenia. Przy ścianie z masywnych cegieł stały dwa różne piece: jeden szeroki z olbrzymim paleniskiem i drugi dziwnego kształtu – wąski i bardzo wysoki; tuż obok sterczało coś w rodzaju wieży zawierającej węgiel drzewny. Piec ten miał taką przemyślną konstrukcję, że można w nim było przez wiele dni podtrzymywać ogień bez wybierania popiołu. Wzdłuż ściany ciągnęły się wąskie stoły zastawione naczyniami ze szkła i gliny rozmaitych wielkości i kształtów. Niektóre były szczelnie zapieczętowane. Dwie dziewczynki, na oko dziesięcio-, dwunastoletnie, uzbrojone w lejek i chochlę, napelniały długie rzędy zielonych flakoników jakimś tajemniczym płynem czerpanym z miedzianego naczynia, które trzymała w rękach starsza wysoka kobieta. Widać było, że sprawuje nad nimi nadzór. Wokół paleniska, gdzie rozsiadł się okazały kocioł na żupę, obok zaś skromnie perkotał garnuszek z jakąś przedziwnie słodko pachnącą miksturą, krzątała się kuchenna dziewczka. Zamieszawszy łyżką w garnuszku, zajęła się podkładaniem drzewa do pieca, z którego buchnął nagle osobliwie cierpko-kwaśny zapach, idąc o lepsze z jakże miłą wonią czekolady. Ach, czegoż tam nie było! W kątach piętrzyły się skrzynie, jakieś rulony i pudła – z czym? Bóg raczy wiedzieć, za to na półkach można było oglądać przyprawiającą o dreszcze kolekcję jakichś obłych pomarszczonych stworzeń zamarynowanych w słojach niczym pikle. Wszystko to jednak bladło w porównaniu z niesamowitym stworem zwisającym na sznurach z sufitu. Owa fantastyczna istota miała włochaty tułów i cztery łapy, do tego zaś ogromne bocianie stopy oraz parę pierzastych, szeroko rozpostartych skrzydeł.

Gipsowe oblicze pokryte kępami koźlej sierści miało w zamierzeniu swego twórcy przypominać twarz ludzką. By zakończyć już ten opis, dodam, że na dziwnym piecu stał rondel z ciepłą czekoladą, a obok na półeczce pełny talerz świeżych rogalików, ani chybi prosto od piekarza.

– Widzę, że podoba ci się nasza harpia. Ładna, co? – odezwała się starsza z dwóch kobiet.

Była blada, wysoka i szczupła, na siwiejących włosach nosiła malutki czepek. Uderzyło mnie jej spojrzenie – mądre i przenikliwe. Jakby w życiu zbyt wiele widziała i starała się teraz zrobić z owej wiedzy możliwie najlepszy użytek. Przedstawiła się jako wdowa Catherine Trianon. „Mów mi La Trianon, jak wszyscy”. Pracujące pod jej kierunkiem dziewczynki z widocznym pośpiechem odłożyły lejek i chochlę.

– A ręce? – upomniała je natychmiast. – Zapomniałyście, że przed jedzeniem macie dobrze wyszorować ręce? Wbijcie to sobie do głowy, jeśli chcecie pracować w tym fachu. – Córki? Uczennice? Czym właściwie zajmują się te kobiety – alchemią? aptekarstwem? Upomniane dziewczynki jęły migiem napełniać miskę z ogromnego, stojącego w kącie zbiornika. Zaopatrzone były w poręczny kurek.

– Skąd wiadomo, że to „ona”? – spytałam wskazując harpię. Podbrzusze baśniowego stwora nie mówiło nic zgoła o jego płci, jako że wypychacz dyskretnie pokrył je opalizującymi piórami z kaczyczych skrzydeł.

– Bo wszystko w tym domu jest rodzaju żeńskiego. Inaczej być nie może – odparła ta ładniejsza, którą wcześniej poznałam na górze. Nazywała się La Dodee. Przyniosła właśnie kubki i zaczęła je ustawiać na jednym z uprzątniętych roboczych stołów.

– Pst! – ostrzegła ją starsza. – Na twoim miejscu nie byłabym tak skora do gadania, póki bym nie zobaczyła znaku. Powiedz – zwróciła się do mnie – zali na pewno jesteś jedną z nas? – Wykonała znak, którego mnie nauczono. – Jesteś i nie jesteś – powiedziała z namysłem. – Kiedyż to opuściłaś tamten świat? – Mimo że brzmiało to dziwnie, od razu zrozumiałam, o co jej chodzi.

– Dwa tygodnie temu.

– No, widać duża to zmiana. A co porabiałaś dwa tygodnie temu?

– Zamierzałam rzucić się do rzeki, no i znalazłam się tutaj – oznajmiłam rzeczowym tonem. Kobiety nie wydawały się tak poruszone, jak by można było oczekiwać. Pociągnęłam kolejny łyk czekolady. Była wyśmienita.

– Czy to mężczyzna? – pospiesznie spytała La Dodee. – Zwykle oni za czymś takim stoją. Nie jesteś chyba brzemienna, co? – O Boże, cóż za horrendalny pomysł! Czekolada przestała mi nagle smakować. Jakbym miała w ustach pełno trocin. Gospodynie spostrzegłszy moją minę, porozumiały się wzrokiem. – Nie martw się – pocieszyła mnie La Dodee. – Jakby co... jesteś teraz z nami. Tu, w naszym świecie, to nie kłopot. Chociaż co do kłopotów, to nie można powiedzieć, żeby nikt nam ich nie przyczyniał. Kto? Ano mężczyźni, ma się rozumieć. Żaden nie chce pogodzić się z myślą, że dwie kobiety mogą same prowadzić interes. „Macie zezwolenie? Pokażcie!” „A nie ukrywacie tu jakich przestępców, zbiegłych galerników, he?” „Niepodobna, byście żyły tak całkiem bez mężczyzn!” „Ależ tak, panie władzo”, mówimy, „a dokumenty też mamy w porządku. Obie jesteśmy wdowami, wszyscy znają nas tu i szanują. Nasi drodzy mężowie zostawili nam ten interes, no to go prowadzimy. Destylujemy perfumy i różne medykamenty” – mówiąc to ocieramy łzę z oczu, a potem wręczamy prezent: „Kropelka wody różanej dla pańskiej szanownej małżonki. Napije się pan z nami, sierżancie? Ach nie, my nie mamy do pana żalu, wszak wykonuje pan tylko swoje obowiązki!” I tak to jest. Pewnie, że protekcja też robi swoje, o, bo La Voisin ma duże wpływy. Dzięki temu żyjemy sobie jak chcemy. Bez chłopów.

– La Voisin mówi, żeś uczona – przerwała jej starsza. – Więc jak poprosiła, żeby cię tu przyjąć, tośmy powiedziały: „Dobrze, jeżeli umie czytać i liczyć, to pomoże nam uładzić rejestry.” – Spojrzałam na poutykane wszędzie sterty niechlujnych zapisków i ogarnęła mnie niechęć. Oj, nie zapowiadało się na to, abym miała spędzić tu czas jak poczwarka w zacisznym kokonie, czekająca jedynie chwili, kiedy przybierze postać olśniewającego motyla. – Narobiło się ostatnio trochę zaległości – mówiła dalej La Trianon. – Wielce nam się poszczęściło, pojmujesz? Zamówienia tośmy miały z całej Europy! Bo też nasze wyroby są pierwszorzędnej jakości, gwarantowane. Ani jeden klient nie miał jeszcze do nas pretensji. Ludzie znają naszą rzetelność. Dzięki, od razu wiedziałam, że zgodzisz się nam pomóc. Ty nam, my tobie, a La Voisin będzie troszczyć się o nas wszystkie. Ha, my to prawie jak towarzystwo dobroczynne. Witamy cię w naszym gronie! Jak to mawiała moja matka? Świadczyć dobro, a będziesz się miała dobrze!

No proszę, i ta mówi o filantropii. Przez całe życie nie trafiło mi się poznać tylu miłosiernych duszyczek, co teraz w ciągu paru tygodni. Rozmowę przerwał nam dźwięczny głos dzwonka. Pokój od frontu pełnił tu rolę sklepu, właścicielki udekorowały go mnóstwem tajemnych symboli astrologicznych, tak że przypominał salon okultysty.

– To pewnikiem aptekarz Jordain z dostawą! – La Dodee poderwała się z krzesła. – Dzięki

Bogu! – dobiegł nas od drzwi jej okrzyk. – Wszystko nam już wyszło, a tyle mamy zamówień!

Wróciła po chwili w towarzystwie dobrotliwie uśmiechniętego jegomościa. Niósł na ramieniu kilka powiązanych sznurem garnków, które ostrożnie złożył na największym stole.

– Oto są, moje panie, żywe i rażne. A cóż to tak pięknie pachnie? Czyżby czekolada?

– Wypita – burknęła La Trianon, przecinając powróż. Zdjąwszy pokrywkę, zlustrowała krytycznym okiem zawartość jednego z garnków. Zajrzałam i ja, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Garnek pełen był żywych ropuch.

Upragniona przemiana z poczwarki w motyla nie była, niestety, dziełem chwili. Dokonała się w trakcie całej serii wizyt na tyłach pracowni modnej coiffeuse-bouquetiere nie opodal Porte Saint-Denis. Miejsce to było – kolejnym ogniwem łańcucha filantropijnych przedsięwzięć madame Montvoisin. Wydziwiano tu nade mną tak okropnie, że w końcu zaczęłam płakać. Moja twarz, mój chód, moja postawa były, ach! nie do przyjęcia. W każdym razie nie u światowej damy. Niepodobieństwo, aby tak mogła wyglądać! Pewien zbankrutowany maestro od tańca (siedział aż po uszy w kieszeni madame) obejrzawszy mnie orzekł, iż jedną nogę mam krótszą, niezwłocznie posłał przeto po szewca, któremu polecił zrobić specjalny but z odpowiednio podwyższoną podeszwą. Naurągawszy następnie memu kręgosłupowi, zawezwał gorseciarkę. Straszliwa konstrukcja wykonana przez nią ściśle według wskazówek mistrza okazała się istnym narzędziem tortur: składała się głównie z szerokich stalowych prętów sięgających mi aż do karku.

– Gotowe – oświadczył maestro, kiedy mnie zaszyto w ten pancerz, ściskając z taką siłą, że łzy pociekły mi z oczu. – Wiesz, co powiedziała ta stara wiedźma? „Ma być tak, żeby nie poznała jej rodzona matka”, i na Boga, ja tego dokonam! – Byłam zdruzgotana.

– Ale jak mam się z tego wydostać? – zapytałam z rozpaczą.

– Nijak – odparł spokojnie, jakby rzecz rozumiała się sama przez się. – Każdego z mych uczniów zaszywam w taki gorset. Żaden też nie wychodzi z niego dniem ni nocą, dopóki nie osiągnie prawdziwie królewskiej postawy. Nie trać ducha. Kości masz wciąż jeszcze miękkie.

– Ach, cóż to za brwi! Rosną ci dziko jak chwasty albo i gorzej! – narzekała coiffeuse-bouquetiere, wrywając mi włoski znad nosa.

– Czy wy nie umiecie zrobić nic takiego, co by nie bolało? – jęknęłam. Wszak cierpiałam już męki z powodu obolałego krzyża i poranionych żeber, a teraz jeszcze to!

– A ty nie znasz przysłowia: „Chcąc być piękną, trzeba cierpieć”? Szczęście, że masz choć ładną cerę, bez żadnych śladów po ospie. Bo tylko mężczyźni wolno mieć trochę takich śladów. Mówi się nawet, że to mu dodaje dystynkcji. Spójrz na króla! Twarz ma poznaczoną ospą, a uchodzi za wzór elegancji.

Ależ tak, ona ma rację! To, co zwykłemu śmiertelnikowi wytyka się jako skazę, możnemu arystokracji przydaje jedynie pikanterii. Olśniła mnie nagle myśl, że jeśli markiza de Morville będzie wystarczająco bogata, no i wpływowa, potrafi stworzyć swą osobą nowy ideał piękna. Na tym polega sztuczka La Voisin! Ponieważ nawet ona nie posiada cudownego eliksiru zdolnego przekształcić brzydactwo w prawdziwą piękność, postanowiła rzecz odwrócić: zmienić nie mnie, tylko ludzi, a ściślej, ich sposób widzenia mojej osoby. I to oni obwołają mnie boginią. Ha, pomysłowa sztuczka, godna ręki mistrza iluzji.

Na ulicy czekał na mnie ten sam zdezelowany fiakier, z którego usług kilkakroć już korzystałam. Zdążyłam się więc przyzwyczaić, że jednooki woźnica w niegdyś czarnym, a obecnie wyrudziałym płaszczu nigdy nie żąda zapłaty. Tym razem zdarzyło się coś niezwykłego: pomagając mi przy wsiadaniu, stary najwyraźniej się zawahał. Mrużył przy tym swe jedyne oko i oglądał mnie od stóp do głów, jak gdybym była kimś obcym.

– No, no patrzcie ludzie – mamrotał pod nosem. – To samo ubranie... musowo i ta sama panna... A przecie już ci to nie ten gargulec... Nieźle wyglądasz dziewczyno, wcale nieźle, ja ci to mówię!

Na skrzyżowaniu ulic musieliśmy nagle stanąć, dały się bowiem słyszeć okrzyki forysiów poprzedzających poszóstny bogato złożony powóz. Konie gnały wyciągniętym kłusem, rozpryskując dookoła fontanny błota. Czarna maź lała się na przechodniów, którzy pierzchali w popłochu.

– Z drogi! Z drogi! – rozległy się inne głosy. Z wąskiej gardzieli przeciwległej uliczki z taką samą szybkością wytoczył się drugi ekwipaż ciągniony przez cztery potężne gniasze. Usłyszałam dzikie rzenie koni, wściekłe przekleństwa i ogłuszający łoskot, gdy dwa rozpędzone pojazdy gwałtownie utknęły w miejscu ze szczepionymi kołami, lokaje zaś natychmiast wzięli się za łby, żądni krwawej zemsty za zniewagę wyrządzoną czci swoich panów.

– A to ci heca! – parsknął mój woźnica. – Tośmy tu ugrzęźli na amen, póki nie oczyszczą drogi.
– Umundurowani lokaje chwycili za szpady i lżąc przeciwników najgorszymi słowami, rozpoczęli regularną bitwę. W jednej chwili zebrał się tłum gapiów. Aż pod niebo wzbił się radosny

okrzyk, gdy z pierwszego powozu wyskoczył właściciel, który wywłókłszy na ulicę pasażera drugiego pojazdu, jął go tego okładać laską.

– Ty głupcze, drogo mi za to zapłacisz! Masz przed sobą ambasadora Anglii! – sapnął z oburzeniem napadnięty.

– Tym cięższe należą ci się baty, zdradziecki Angliku! – wrzasnął agresor, zadając dyplomacie dobrze wymierzony cios laską. Wkrótce przesłoniły mi ich postacie rozjuszonych służących. Po chwili spośród okrzyków „A moi! A moi!” i „przeklęty szaleniec!” dał się słyszeć szcęk dobywanej stali.

– O, do licha, policja! – syknął mój woźnica. – A tu ani się ruszyć. – Zauważyłam, że wyraźnie skurczył się w sobie, chowając podbródek w kołnierz płaszcza. – Prędej, opuść zasłonę! – Sam również opuścił na oczy rondo starego kapelusza. Zerkając zuchwale przez szparkę, dostrzegłam teraz niebieskie mundury i białe pióropusze paryskich policjantów. Na końcu oddziału biegł sierżant, łatwy do rozpoznania po swych czerwonych pończochach. Kiedy już udało im się na tyle odepchnąć gapiów, żeby utorować przejście, zobaczyłam jeszcze jednego funkcjonariusza. Był to żyłasty, ciemnowłosy mężczyzna średniego wzrostu, w stroju zamożnego mieszczanina. Uderzył mnie zwłaszcza jego ostry profil. Nosił się jak człowiek nawykły do rozkazywania, a jednak... Jednak uniżonym gestem zdjął kapelusz i skłonił się nisko wciąż trzymającym się za bary arystokratom, z których ten ubrany w kubrak cudzoziemskiego kroju i kosztowny, acz wyraźnie tracący prowincją płaszcz wydawał się odrobinę bardziej wyczerpany. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, obaj adwersarze natychmiast zjednoczyli się przeciwko intruzowi. Pod wpływem straszliwych gróźb miotanych pod jego adresem żyłasty mężczyzna nie zwlekając zebrał się do odwrotu; jeszcze wycofując się rakiem, nie przestawał składać ukłonów jaśnie wielmożnym panom. Policji pozostało rozprawić się z lokajami.

W chwilę potem usłyszałam okrzyk:

– Hej, woźnico, wolnyś? – Z tłumy wyłonił się nie kto inny, lecz znany mi już funkcjonariusz. Co prędzej opuściłam zasłonkę.

– Wiozę pasażera.

– Zatem pójdzie do domu piechotą. Kapitan Desgrez rekwiruje cię wraz z powozem do swej dyspozycji.

– Ale to dama! – obruszył się mój woźnica.

– Oho, Latour, odkąd to wozisz damy? – widać dobrze znał mego stangreta. – Pewien jestem, że owej „damie” nie zrobi różnicy mały objazd via Chatelet, nie uważasz? – rozklekotany powozik zakołysał się pod jego ciężarem. – Ho, ho, a więc to naprawdę dama i w dodatku całkiem urodziwa – stwierdził, sadowiąc się naprzeciwko. – A sądząc po rumieńcu, nie z tych, co stanowią stałą twą klientelę. Mademoiselle, pozwoli pani, że się przedstawię: kapitan Desgrez z paryskiej policji. Ufam, iż przez ten objazd nie zanadto zbcoczy pani z drogi. Wolno wiedzieć, dokąd się udajesz?

Bez namysłu zaczęłam trąkotać w ten charakterystyczny sposób właściwy młodym praktykantom z paryskich sklepów:

– O, monsieur, wracam do mojej dobrodziejki, madame Callet. Zna ją pan może? Prowadzi taki zacny sklep z wytworną galanterią! Właśnie zawoziłam przesyłkę do Hotel Tubeuf. – Fiakier ruszył wreszcie z miejsca. Desgrez, wydobywszy notes i ołówek, pograżył się w pisaniu raportu o zajściu. Kiedy skończył, jął mi się bacznie przyglądać.

– Ładna suknia jak na podręczną z galanterii – zauważył bezceremonialnie.

– Prawda, że ładna? Prawie nie noszona, choć kupiłam ją w Halach, uważasz, monsieur, na starzyźnie! – Nie byłam w ciemną bita. Wiedziałam, skąd służący i cała paryska biedota biorą swoje „pańskie” stroje. Mimo że lepiły się od brudu, i tak pasowały do ich kondycji jak wonna róża do kozucha.

– A pamiętasz, który to był fripier⁷? – Desgrez mówił cicho, ale w jego głosie wyczułam groźbę. Zaczęłam się obawiać, że w tej ciasnej przestrzeni gotów usłyszeć bicie mego serca.

– Ano ten koło kolumny, gdzie na szyldzie jest małpka z lusterkiem. – Długą chwilę patrzył mi prosto w twarz, na co szeroko otworzyłam oczy, starając się im nadać wyraz naiwnej szczerości. On sam miał twarz wąską, niewątpliwie inteligentną, oraz ciemne, surowe oczy. Gdybym nie wiedziała, że to policjant, wzięłabym go za kleryka – albo inkwizytora.

– Może i prawda – mruknął jakby do siebie. – Suknia leży nie najlepiej... ale te żałobne kolory, te jedwabne wstążki... – Czułam, że intryguje go zwłaszcza sięgające pasa rozdarcie, które nadal było widoczne, choć zszyto je nader starannie, a wstążki tak przesunięto, by ukryć ile się da. Cóż, kiedy to człowiek logiczny, a więc bardzo, bardzo niebezpieczny. Zbliżaliśmy się już do Chatelet od strony ulicy Pierre-a-Poisson, gdzie mieściła się część sądowa tego wielkiego

7 fripier (fr.) – kram, stragan.

więzienia-fortecy. Pod ścianą ciągnął się długi rząd stołów zavalonych tysiącami ryb. Cała armia handlarzy głośno zachwalała swoje karpie, płocie oraz dziesiątki innych słodkowodnych gatunków, wykrzykiwała ich ceny, targowała się z gęstym tłumem klientów tak pochłoniętych wypatrywaniem najlepszej sztuki, że aż niebacznym na przeciskający się wśród nich pojazdem. Rybi fetor bił tu pod niebiosa. Pod stołami w stertach gnijących odpadków uwijały się gromady szczurów.

– Proszę mi powiedzieć, mademoiselle, czy ta suknia nie była wilgotna, gdyś ją kupowała?

– Wilgotna? O nie, suchotka jak pieprz. Niechże pan dotknie. Wstążki ani ździebko nie odstają, a i na wełnie nie uświadczy pan jednej plamki. – Ujęłam w palce tkaninę rękawa i podsunęłam mu ją przed oczy. Boże, kłębiło mi się w głowie, zameldowali, że zaginęłam, dali policji mój rysopis! Na to, żeby sprawa poszła ad acta, nie ma co liczyć... Rodzina Pasquier jest na tyle ważna, żeby wywołać skandal, jeśli zaczniesz narzekać na opieszałość policji... Będą węszyć... Lecz mimo tych obaw jakiś głos śpiewał mi w duszy: „Ten policjant mnie nie poznał! Zmieniłam się! Powiedział, że jestem ładna!”

– Hmm... interesujące – mruknął tymczasem Desgrez. Powóz stanął właśnie na obszernym dziedzińcu Chatelet.

– Czy z moim ubraniem coś jest nie w porządku? – zagadnęłam go z udanym zaniepokojeniem.

– Och nie, bynajmniej – skłamał gładko. – Wszystko w najlepszym porządku. Au revoir, miła panienko z galanterii. Być może jeszcze kiedyś się spotkamy. Ufam, iż nie ominie mnie ta przyjemność.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Policjanci zajęci czyszczeniem muszkietów poderwali się na widok kapitana Desgreza, on jednak, nie odpowiadając na ich przepisowy salut, przemierzył całą długość olbrzymiej wartowni z takim wyrazem twarzy, jakby nikogo nie widział.

– A tego co ugryzło? – zdziwił się jeden z funkcjonariuszy. Odłożył na bok długi wycior i sięgnąwszy do kieszeni wydobyl z niej talię kart.

– Z Desgrezem tak zawsze, kiedy jest na tropie – wyjaśnił sierżant. – Nie ma się czym przejmować.

– Ha, źle wróżę temu, kogo zwęszył! – skwitował sprawę jego rozmówca, zabierając się do rozdawania kart.

Przez otwarte drzwi głównej kartoteki dobiegł podniesiony głos Desgreza (dostało się archiwście!), a w chwilę potem stanął w nich sam kapitan niosący pod pachą przewiazaną sznurkiem teczkę. Policjanci odprowadzili go wzrokiem aż do gabinetu komendanta.

– O, Desgrez, wejdz, bardzo proszę! Właśnie zamierzałem po ciebie posłać – powitał go pan de La Reynie. Miał dziś na sobie szkarłatną szatę, regulaminowy symbol swojego urzędu. Mówił jak zwykle tonem niezmiernie uprzejmym, nie podniósł się jednak z krzesła, w dalszym ciągu studiując rozłożone na biurku zeznania dwóch fałszerzy monet. Przesłuchiwano ich oddzielnie, toteż porównanie protokołów ujawniało sporo sprzeczności, które szef policji skrupulatnie zaznaczał, wnioski zaś zapisywał w swoim słynnym czerwonym notatniku; krążyły słuchy, że nie rozstaje się z nim nawet w sypialni. Sprawa wyglądała na poważną. Zanosilo się na skandal sięgający ministra skarbu... niewykluczone, że jest w tym coś więcej, kto wie, czy nie zdrada stanu, myślał pan de La Reynie. Oczyma wyobraźni widział już minę ministra Louvois, swego zwierzchnika, kiedy przedłoży mu raport.

– Monsieur de La Reynie... – wyrwał go z zadumy głos Desgreza. Kapitan zdjął kapelusze i uklonił się komendantowi.

– Oho, Desgrez, widzę po twoich oczach, żeś złapał jakiś ważny trop. Powiedz mi... czy chodzi o to, co masz w teczce?

– Panie komendancie, fałszerz znany jako Latour pojawił się znów w Paryżu.

De La Reynie odłożył notatnik.

– Tak? – zapytał z widocznym zainteresowaniem. – Igra z ogniem ten szubienicznik.

– Co ciekawsze, wiozł swoim fiakrem dziewczynę ubraną w sukni pewnej denatki. Nazywała się... – Desgrez sięgnął po notatnik: »Genevieve Pasquier. Zaginiona." – Położył na biurku sporządzony przez krawcową szkic sukni, z którego sfrunął skrawek ciemnoszarej kosztownej materii. – Wszystko się zgadza: tkanina, przybranie, w dodatku suknia ta została paskudnie rozdarta, co widać, chociaż naprawiono ją bardzo starannie.

– To sprawa zamknięta, Desgrez. Znaleziono wszak ciało w rzece.

– Tak, monsieur, jednak ta suknia... nie ma na niej żadnych śladów wody. Wstążki nie odstają od tkaniny. Gdyby nie rozdarcie, wyglądałaby jak nowa.

– Chcesz więc, bym wznowił sprawę na podstawie podejrzenia...

– O morderstwo – wszedł mu w słowo Desgrez. – Zbyt często doprawdy ludzie giną w tym mieście bez śladu. Szczególnie często zdarza się to przy okazji spraw spadkowych... Ta dziewczyna, Genevieve, odziedziczyła po ojcu dość znaczną posiadłość ziemską, na którą bardzo liczył jej braciszek. Chciałbym poprowadzić dalsze śledztwo.

– Bardzo dobrze, pochwalam twoją gorliwość. Chcę cię jednak prosić, byś rzecz tę odłożył na później, teraz bowiem mam dla ciebie sprawę znacznie większej wagi. Doszły mnie słuchy, że madame de Brinvilliers wyfrunęła w końcu z tej swojej angielskiej kryjówki. Wiadomo ci przecież, że na owej damie ciąży oskarżenie od chwili jej skandalicznej ucieczki z Francji. Najwyższy czas się tym zająć – na twarzy pana de La Reynie pojawiła się nagle zawziętość.

– Ale... jej pozycja... Louvois jest niewątpliwie poinformowany, że... że cieszy się ona protekcją wysoko postawionych osób...

– Czy i nam blask tytułów ma zaćmiewać wzrok i sumienie? To tylko dworakom się zdaje, że powinny istnieć dwa prawa: jedno dla nich, drugie dla reszty śmiertelników. Mnie nie oślepi niczyj splendor, możesz być tego pewien. W tym królestwie musi obowiązywać jedna sprawiedliwość, inaczej czeka je zguba. Madame de Brinvilliers popełniła zbrodnię i jej pozycja w niczym nie zmieni tego faktu. Ta kobieta z premedytacją truła kolejnych krewnych, aby ich pieniędzmi opłacać kaprysy swoich kochanków. Gdyby była kobietą z ludu, jej prochy dawno by już uleciały z wiatrem. Wydobądź ją bodaj spod ziemi, Desgrez, i przywieź do Paryża. Na egzekucję.

– Gdzie ostatnio widziano madame de Brinvilliers?

– W Dover. – Pan de La Reynie wyjął z szuflady raport swych angielskich szpiegów i podał go Desgrezowi. – Mam tu też nazwę statku, który wywiózł ją z Anglii. O, jest: „Jaskółka". Zaczynij

od kapitana. Weź go na spytki, a potem przesłuchaj pasażerów; znajdziesz w tym raporcie kilka nazwisk. Podejrzewam, iż nasza dama zechce ukryć się w którymś z zagranicznych klasztorów, takim wszelako, gdzie mówi się po francusku. Jeśli to się potwierdzi, melduj, a już ja zawiadomię władze kościelne i postaram się o ich placet. Dadzą nam go w końcu... Sam król wydał odpowiedni rozkaz, bowiem i on uważa, że stałaby się rzecz niewybaczalna, gdyby madame de Brinvilliers udało się uniknąć zasłużonej kary. Przecież to najgłośniejsza trucicielka w dziejach naszego królestwa.

– Istnieje jednakowoż pewna trudność. Zgromadzenie religijne to azyl, do którego nie tak łatwo przeniknąć.

– Cóż to za trudność dla człowieka tak zręcznego jak ty, Desgrez! Postaraj się tylko nie zostawić śladów, które mogłyby postawić króla w kłopotliwej sytuacji... Powierzam ci tę sprawę. Rób, co chcesz, tylko sprowadź tu tę zbrodniarkę.

Desgrez skłonił się w milczeniu, przyrzekając jednak sobie w duchu, że nie zapomni o dziewczynie w szarej sukni. Przed zwrotem teczki do archiwum nabazgrał na niej notatkę: „Callet, galanteria”. Kiedy wróci do sprawy, odwiedzi to miejsce. W tym punkcie trzeba będzie wznowić dochodzenie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Na Boga, zimną masz krew, dziewczyno! – powiedział z uznaniem woźnica. Pomógł mi wysiąść z fiakra i podprowadził do drzwi małego laboratorium La Trianon. – Sprytnie odwiodłaś go od tego domu! Jakbyś urodziła się do takich rzeczy. Mówiłaś nawet podobnie jak pewna panienka ze sklepu z bielizną. Znam ją, pracuje przy Aubry-le-Boucher. Teraz to już i mnie świta, co takiego O n a w tobie widzi. No, no, tylko tak dalej, a sama kiedyś będziesz królową.

Królową? Czyją? – zadałam sobie pytanie, ale odłożyłam je na później wraz ze wszystkim, czego się dowiedziałam. Przyda się na przyszły użytek.

Wieść o spotkaniu z policjantem bynajmniej nie ucieszyła moich gospodyń.

– Latour, musisz J e j o tym powiedzieć! – zaczęła zawodzić La Dodee. – Trzeba zaraz zabrać stąd dziewczynę. Kto wie, czy nie naprowadziła na nas samego Desgreza! Wielki Boże!

– Uspokójcie się, kobiety! Powiadam wam przecie, że wywiodła go w pole! Wziął ją za podręczną u bieliźniarki. Przysięgnę na krzyż, że tak myśli. Sprytna jest ta mała, oj, sprytna!

– Musimy mu chyba uwierzyć na słowo – ponuro westchnęła La Trianon w parę godzin później. Siedziałyśmy wszystkie trzy przy kolacji, tym razem zimnej.

– No cóż, niedługo dowiemy się, jak jest. La Reynie migiem bierze się do rzeczy. Mogą tu być choćby jutro. A u niego krótka droga od aresztu do szubienicy.

La Reynie? Przecież to nazwisko, które znalazłam na strzępku wyjętym z martwej dłoni babci! Zapisałam je nawet w notatniku.

– Kim jest ten de La Reynie?

– Nie wiesz? – zdziwiła się La Trianon. – Wszak to nowy Komendant Generalny Policji. Najniebezpieczniejszy człek w całym Paryżu. A niebezpieczny dlatego, że nieprzekupny. Odpowiada tylko przed Louvois i samym królem.

W głowie rozpętała mi się burza. Myśli galopowały po niej jak szalone w kilku naraz kierunkach. Babcia tuż przed śmiercią napisała jakiś list... Zaadresowała go do samego szefa policji... Co było w tym liście, że ktoś wyrwał jej papier z ręki, że postanowił go zniszczyć? A co działo się z babcią, kiedy zostawiłam ją samą? Czy nie zauważyłam wtedy czegoś podejrzanego... chociażby jakiegoś drobiazgu?... Usilnie próbowałam przypomnieć sobie wszystkie wydarzenia owego popołudnia, nic mądrego jednak nie przychodziło mi na myśl z

wyjątkiem... szelestu tafty... Usłyszałam taki szelest, gdy otworzywszy drzwi do sypialni, zastałam babcię w agonii. A co robią moje gospodynie, że tak dokładnie znają obyczaje szefa policji? Musi to być coś więcej niż tylko warzenie miłosnych napojów i przepowiadanie przyszłości. Koniecznie trzeba się tego dowiedzieć.

– ... zupełnie jakby nikt w tym mieście nie zarabiał na życie uczciwą pracą! – biadoliła La Dodee. – Dobrze chociaż, że obławy na żebraków i prostytutki nastroczą temu policjantowi tyle roboty, że nas nie ma już czasu się czepiać. Ha, ale czy godzi się golić głowę biednej dziewczynie, a potem trzymać ją w lochu za to samo, co robią wielkie damy? Te otrzymują przecie za to nagrody! Królewska metresa opływa w zaszczyty, a każdy jej bękart ma tytuł. Czemuż to jakiś policjant ma pilnować czyjejs moralności? Kto mu dał takie prawo?

– Król, moja droga – powiedziała ostro La Trianon. – Radzę ci nie zapominać o tym.

– Czyli że powinniśmy dziękować rodzinie najjaśniejszego pana... mam na myśli takie osoby jak Monsieur – stwierdziła La Dodee. Monsieur, książę Orleanu, był młodszym bratem króla Ludwika. Używał różu i muszek, a na bale chadzał w kobiecym przebraniu. Pierwszą żonę księcia otruli ponoć jego męscy kochankowie. Póki żył Monsieur, Ludwik nie miał odwagi konsekwentnie karać śmiercią ludzi tych samych co brat obyczajów, choć tak stanowiło prawo.

Aluzja była dość czytelna. Spojrzałam teraz na te dwie kobiety całkiem innym okiem. A więc to tak. Czyjeś jedno słowo mogło je zdradzić, a ich sposób życia groził śmiercią. To, że wyglądały i zachowywały się tak zwyczajnie, właściwie sprawiło mi zawód. Na podstawie zasłyszanych plotek wytworzyłam sobie zgoła inny obraz takich kobiet. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby miały brody albo chociaż nosiły stroje jak z komedii.

– Zatem wy... jesteście... hm?

– Dobrze wychowane panny nic nie wiedzą o takich rzeczach – ofuknęła mnie La Trianon. – Myślałam, że i ty nią jesteś.

– O nie, mnie nie wychowano na grzeczną panienkę. To, co mówisz, pasuje do mojej siostry. Ona ma złote włosy i śliczna jest jak obrazek.

– Ano często tak bywa – westchnęła La Dodee. – Mój ty Boże, dziwną jakoś masz minę. Chcesz nas o coś spytać?

– No, hm... czy... czy to prawda, że... czy można mieć dzieci bez... hm... mężczyzny? – Moje pytanie wprowadziło obie kobiety w niebywałą wesołość.

– Udało się to tylko Najświętszej Dziewicy – wykrztusiła wśród śmiechu La Dodee.

– Wszystko, co gadają ludzie, to kłamstwa – potwierdziła La Trianon. – Nazywają nas hermafrodytami, ale to wcale nie znaczy, że z nas jakieś wybryki natury. Nic podobnego. Jesteśmy prawdziwymi kobietami, cała różnica w tym, że umiemy obejść się bez mężczyzn, a ich to okrutnie złości. Zjedz jeszcze jedno jajko, moja droga. Błado coś wyglądasz, chociaż grubo posypali cię tym pudrem.

– To przez ten gorset, w który mnie zaszyli. Boże, jak okropnie bolą mnie plecy! Jakby ktoś je przypiekał żywym ogniem. Tak przy tym jestem sztywna, że boję się przewrócić i połamać kości.

– O, ale już wyglądasz dużo prościej. Doprawdy, widać znaczną poprawę – stwierdziła La Trianon.

– Aha – przytaknęła jej towarzyszka. – Spostrzegłyśmy to od razu, aleśmy nic nie mówiły, by przypadkiem nasze pochwały nie przewróciły ci w głowie.

– Kazali mi spać w tym pancerzu, a ja przysięgłam ich słuchać. Bo zrobiłabym wszystko, byle tylko wyglądać jak inne dziewczyny, ale teraz okrutnie cierpię i proszę, byście go rozcięły. – Miałam za sobą dzień obfitujący w ciężkie przeżycia. Poczułam, że po twarzy spływają mi łzy, zgoła bez powodu.

– Och, nie prosz nas o to, spróbuj wytrzymać. Mamy tu coś takiego, co łącno pomoże ci zasnąć. Musisz tylko obiecać, że w dzień tego nie tkniesz. Widzisz, Ona do końca życia by nam nie darowała, gdyby twój talent poniósł przez nas jakiś uszczerbek – wyjaśniła Le Dodee, patrząc na mnie ze współczuciem. Od początku wydała mi się osobą nader litościwą.

– Słuchaj, dziewczyno... – odezwała się La Trianon – ty nam zadałaś pytanie, odpowiedz teraz na moje. Poznają po twojej mowie, że pochodzisz z dobrej rodziny. Co ty tu robisz? Czemuż to zadajesz sobie tyle bólu, godzisz się zność poniżenie, aby wejść w ten nasz świat, o którym nic zgoła nie wiesz? Nie lepiej byłoby czytać księgi staremu ojcu albo haftować ornaty? Tyle jest wygodnych klasztorów dla bogatych panien... – Jej słowa przywiodły mi znów na pamięć wszystko, co mnie spotkało, i na chwilę zamilkłam. Błądząc wzrokiem po jej wąskiej, zaciętej twarzy, po włosach surowo ściśniętych czepek, spojrzalam w końcu w ciemne prastare oczy, zbyt stare jak na jej wiek, i powiedziałam:

– Szukam zemsty. Nienawidzę pewnego mężczyzny, a Ona obiecała uczynić mnie silną, ażebym mogła go zniszczyć.

– Jednego tylko nienawidzisz? – uśmiechnęła się La Trianon. – Jakaś ty młoda!

Po kolacji zdjęły z półki kilka butelek i pomieszawszy w kielichu ich zawartość, dały mi to do wypicia. Prawie od razu poczułam, że mieszanina zaczyna działać. Po ciele rozpełzła mi się rozkoszna słabość, myśli płynęły powoli i sennie. Ból zniknął, jakby go nigdy nie było.

– No, jak się czujesz? – dopytywały się me towarzyszeki.

– Cudownie. Co było w tym napoju?

– Och, to i owo, ale głównie opium. Pamiętaj, za dnia nie wolno ci go zażywać.

– Ha, teraz dopiero zauważyłam, jak tu ładnie... – siedziałyśmy w dziwnym saloniku pośród tajemnych symboli astrologicznych, diagramów i horoskopów. – Spójrzcie na te świece... wokół ich płomyków tworzą się maleńkie krążki światła... można by pomyśleć, że to czyjeś twarze...

– I to ma być dziewczyna, co wykołowała Desgreza? Patrząc na nią teraz, trudno w to uwierzyć.

– Desgrez... Kim on właściwie jest?

– Kim? To główny oficer śledczy i prawa ręka La Reyniego, który sam nie ma zwyczaju zadawać się z pospółstwem. On tylko wydaje rozkazy, a Desgrez dokonuje aresztowań. Strzeż się tego człowieka, jeśli kiedykolwiek jeszcze zdarzy ci się z nim spotkać. Pamiętaj, że może wtedy wyglądać całkiem inaczej. Podobno lubuje się w przebraniach – twarz La Trianon mówiła wyraźnie: z nim nie ma żartów.

– Patrzcie, jak ten dym wznosi się w górę... niczym błękitna niteczka... Można by zawiesić tu świece... Albo girlandy. Tak, koniecznie powinnyście tu mieć girlandy... Są takie wesołe... a czerni... Nie lubię czerni... Jest brzydka.

– Jeśli myślisz, że sklep nasz powinien wyglądać wesoło, to się mylisz. Tu musi być tajemniczo. Właśnie to przyciąga klientów, każe wracać im do nas po taki czy inny napój bądź horoskop. Zawsze kiedy wkraczasz w nieznane, w świat rzeczy nadprzyrodzonych, musi oblecieć cię dreszczyk. O, czaszka by nam się przydała albo i cały szkielet. Dopiero ze szkieletem to miejsce wyglądałoby jak trzeba. Drzwi by się nie zamykały – wzrok La Dodee powędrował w stronę pustawego kąta tuż za przesłoniętą wnęką. Oczyma duszy widziała już chyba, jak pięknie taki kościotrup mógłby wypełnić to miejsce.

– Powiedzcie... – zagadnęłam je trochę sennie; w całym ciele czułam rozleniwiające ciepło – czy La Voisin jest skrycie taka jak wy? Czy też jest... hm... hermafrodytą?

– Ona? A skądże! – prychnęła La Dodee. – Ona co dzień ma innego chłopca! Taka jest. Wybiera ich sobie jak melony na targowisku, a potem paraduje z nimi przed tym swoim głupim staruchem. Kogo tam nie ma! Od książąt do takich, co nawet nie wiedzą, kto ich spłodził. Teraz akurat gustuje w magikach, ale do niedawna wybierała samych takich, co się parają alchemią. Ma też podobno romans z jednym katem, ale to już mniej może romans, a bardziej interes.

– Więcej szacunku – upomniała W La Trianon. – Ściany mają uszy – spojrzała na mnie. Wyraz mojej twarzy musiał ją uspokoić, bo rozpoczęła dłuższą przemowę: – Wszystkie należymy do jednego wielkiego bractwa, lecz nie każda może dostąpić pełnego wtajemniczenia. Niektórym do końca życia przyjdzie pozostać w pierwszym kręgu, tym najbardziej odległym od środka. Są to stworzenia słabe i dość płochliwe. Wystarcza im zbierać okruchy z naszego stołu. Z tobą jest inaczej, na tobie Ona położyła rękę, dlatego słuchaj, co ci powiem. My, adeptki starożytnej wiedzy jesteśmy w tym mieście paniami życia i śmierci, a Catherin^e M^ontvoisin jest spośród nas największa. Największa wśród nas, człowiek – ona Jest naszą królową – wraz z ostatnimi słowami twarzy La Trianon jeszcze bardziej stwardniała, a oczy zapłonęły uniesieniem. W^oczkała Naśle wydało mi się, że jakiś wir wciąga mnie w otchłań szaleństwa i że żadna siła nie uchroni mnie przed zatonięciem. Ta wąta trawka rozsądku, moje notatniki, na nic się tu nie zda.

Tej nocy dręczyły mnie dziwne koszmary. Uciekałam przed jakimś człowiekiem bez twarzy. We wszystko to zamieszana była moja matka, która nagle urosła do niebywałych rozmiarów i stała się odrażającym monstrem. Ulice Paryża utworzyły jakąś zwariowaną plataninę, nie kończący się labirynt bez wyjścia... Biegłam wciąż przed siebie, szukając czegoś... cennego przedmiotu, który zgubiłam? utraciłam? Czułam na karku oddech człowieka bez twarzy, wiedziałam, że chce ukraść mi tę cenną rzecz, z chwilą gdy tylko ją znajdę. Poczułam, że jest w pobliżu... gdzie? Co to właściwie było? Jakiś dom? Obejrzawszy się, zobaczyłam swego prześladowcę: stał nade mną jak góra, w rękę trzymał nóż. Wzdrygnęłam się cała i gwałtownie otworzyłam oczy. Wpatrzona w ciemność uprzytomniłam sobie, że leżę na żelaznych prętach, a gorset miażdży mi kości. Ból sączył się przez nie niczym żrąca ciecz. Po omacku wyciągnęłam rękę i znalazłam przy łóżku opróżnioną do połowy butelkę pozostawioną tu przez moje towarzyszkę. Wypiwszy jej zawartość, zapadłam się znowu w morze przedziwnych snów. Śniłam tak aż do rana.

Nazajutrz powóz La Voisin zawiózł mnie do nowego mieszkania, gdzie miałam pozostać około tygodnia, póki madame nie upewni się co do tego, że Desgrez naprawdę został wywieziony w pole.

– Niech cię to nie dziwi, moja droga – tłumaczyła mi La Dodee, pakując moje notatki do tobołka; wsunęła do niego także szczodrą porcję nasennego syropu w dobrze zakrytym słoju. – W gruncie rzeczy nie należysz jeszcze do naszego grona. My składałyśmy przysięgę, którą każda adeptka musi przypieczętować krwią. Nauczono nas także znosić tortury, byśmy w razie czego umiały milczeć. Nie wolno zdradzać swoich sióstr. A ty? Ty nie możesz wytrzymać nawet w ciasniej ściśniętym gorsecie.

Była to prawda. Tępy ból atakował całe moje ciało w każdej dosłownie pozycji – nie mogłam leżeć, stać ani usiąść. Na domiar złego podwyższony but pocierał mą koślawą stopę, a mięśnie nóg nie nawykłe do nowej równowagi piekły żywym ogniem.

Moje kolejne schronienie okazało się pokoikiem na poddaszu dużego domu na przedmieściu Saint-Antoine. Mieszkała tu ponura stara czarownica zwana La Lepere. Nie wiedziałam dokładnie, czym się zajmuje, sądząc jednak po dochodzących z dołu odgłosach tudzież zapachach, nie mogło to być nic przyjemnego. Nigdy już nie zobaczyłam jednookiego woźnicy. Dowiedziałam się dopiero później, że wysłano go do Rouen, gdzie otrzymał koncesję na wypożyczanie popularnych podówczas krzesel na noszach. Wizytę złożyła mi natomiast nieznamiona szwaczka, przynosząc używaną suknię w kolorze butelkowej zieleni z wulgarnie żółtym przybraniem. Nadawała się bardziej do włoskiej farsy niżli na ulicę, toteż wzbudziła we mnie natychmiastową nienawiść. Szwaczka, nałożywszy mi to szkaradzieństwo, zaczęła je dopasowywać. Moja szara suknia gdzieś zniknęła. Przypatrująca się tym zabiegom La Lepere nie przestawała narzekać:

– Juźci ta nasza Jaśnie Wielmożna sklep może se otworzyć z tego, co ma z tych swoich spekulacji! Mój ty Boże, nic tylko zabawy, elegancka klientela i pieniążki! A jej wciąż mało. Mało i mało. A tu człowiek haruje jak wół i złamanego sou nie ogląda. Bo ja to mało że zmówię pacierz za każdego ze swoich nieboraków, ale i kościelnemu coś wsunę, by dopilnował pochówku. Niechże go pogrzebią, mówię, po chrześcijańsku, choćby i w rogu, ale na cmentarzu. A ona czego się nie tknie, to jej się zmienia w pieniądze! – Łypnęła kosym okiem najpierw na mnie, potem na krawcową, która klęcząc u moich stóp zaznaczała obręb wstrętnej sukni, po czym oznajmiła z satysfakcją: – Dobrze, że choć za ciebie przyzwolicie mi płaci, moja ty panno ni z mięsa, ni z pierza! Skąd to pochodzisz, że gadasz tak z wysoka, chociaż wcale mi na wielką panią nie wyglądasz?

– Spoza miasta – powiedziałam krótko; wzięła mnie na nią złość.

– Oho, wszystkie tak mówią. Ty żeś taka sama jak tamte. Bo i czemu miałabyś się od nich

różnić?

Odczułam ogromną ulgę, kiedy wreszcie uwolniłam się od jej lamentów. Wśród wszystkich wiedzń Paryża tej akurat wiodło się najgorzej. Dobrze było znaleźć się znów pod czystym grudniowym niebem, nawet siedząc w niezbyt wygodnej „winegretce”, czyli ciągniętej przez człowieka dwukółce. Zarówno nazwę, jak i budowę pojazd ten wziął od wózka, którym niegdyś rozwożono ocet. Czułam się tym lepiej, że swoje żółto-zielone obrzydlistwo udało mi się całkiem ukryć pod starym samodziałowym płaszczem. W wąskich uliczkach zimny wiatr wyprawiał istne harce, świszcząc i wyjąc w kominach. W jednym ręku ściszałam tobolek z całym moim ruchomym dobytkiem, drugą musiałam trzymać kapelusz. Jego szerokie rondo wraz z grubym szalem omotanym wokół twarzy czyniły mnie niemożliwą do rozpoznania. Mężczyzna przy dyszlach „winegretki” miał na nogach jedyne rodzinne buty; popychająca ją od tyłu żona owinęła nogi szmatami sięgającymi potężnych łydek wyzierających spod warstwy podkaszanych spódnic. Żebracy, którzy próbowali zbliżyć się do mnie z wyciągniętą ręką, przerywali w pół drogi swoją mozolną wędrówkę po oblodzonym bruku, zniechęceni wylewającym się z jej ust potokiem wyzwisk. Kończył się on zawsze jednakowo: „A nie łaska zarobić na życie, ty wszawa hołoto?” Ulice roiły się od kobiet z koszami i lokajów w liberiach – kupowano produkty na świąteczne stoły, drzewo na opał i świece, posłańcy spieszyli doręczyć zaproszenia bądź kurtuazyjne bileciki z życzeniami wesołych świąt. Od czasu do czasu nadjeżdżał powóz, na którego widok przechodnie przywierali plecami do murów. Wąziutkie uliczki były miejscem dość niebezpiecznym: łatwo tu było o śmierć lub kalectwo. O tej porze roku szczególnym popytem cieszyły się krzesła na noszach, jako że tragarze mogli je wnieść aż do domu, unikało się zatem unurzania atlasowych trzewików w śliskim błocie. Mijając Saint-Nicholas-des-Champs zobaczyłam wychodzącego z kościoła mężczyznę w bramowanym futrem kubraku. O kilka kroków przed nim szła dama rzucająca się w oczy przez swój szkarłatny płaszcz oraz białą futrzaną mufkę. Kiedy podjechał jej powóz, dama, nie obdarzając intruza ani jednym spojrzeniem, pozwoliła pomóc sobie przy wsiadaniu. Powóz ruszył, a ja w tejże chwili rozpoznałam arogancki profil kawalera de Saint Laurenta, mego wuja. Boże, gdybyś był sprawiedliwy, pomyślałam, poraziłbyś piorunem tego potwora! Wuj obrócił się na pięcie i jego szydercze spojrzenie prześliznęło się po „winegretce”; nim zdążyłam pochylić głowę, spotkały się nasze oczy. Ogarnęła mnie fala ślepej paniki, a wraz z nią uczucie upokorzenia. Dość, nakazałam sobie surowo. On cię nie poznaje i nie pozna. Gdy powtórnie spojrziałam w tę stronę – już zniknął.

– A więc tak dziś wygląda córka madame Pasquier, ta mała dziewczynka, która nie wierzyła w

diabła! Co takiego robi ta dziewczyna, że sama La Voisin zamawia dla niej suknię? – Uczyniwszy sekretny znak bractwa, La Vigoreux, żona krawca, u której swego czasu zastawiałam na życzenie matki mnóstwo rozmaitych rzeczy, wprowadziła mnie do znanej pracowni przy rue Courtauvilain. W środku wesoło płonął ogień: siedzący obok czeladnik obrzucał końskim włosiem długi obręb atłasowej sukni w kolorze burgunda. Na ogromnym stole jak zwykle leżały centymetry, poduszeczki z igłami i wielkie nożyce. Sam mistrz, Mathurin Vigoreux, miał niebawem powrócić od klientki, której zawiózł świąteczną suknię.

– Uczę się zarabiać na życie – wyjaśniłam. Gospodyni pomogła mi zdjąć płaszcz, który zawiesiła na kołku, a ujrzawszy moją suknię, wybuchnęła śmiechem.

– Mam nadzieję, że nie w takim stroju, chyba że twa patronka zamierza otworzyć stragan na jarmarku w Saint-Germain, gdzie prezentować będziesz kostiumy z komedii.

– Mojej sukni przytrafił się wypadek – sarknęłam.

– O tak, imaginuję sobie, że musiał to być wypadek, odkąd mi doniesiono, że córka pana Pasquiera zniknęła akurat w chwili, gdy znana stała się treść jego ostatniej woli. Wiem, gdyż była tu policja po dokładny opis jej żałobnej sukni. Odetchnęłam, kiedy zidentyfikowali ciało, wydawało się bowiem, że na tym koniec. Orzekli, że to samobójstwo z rozpacz. Córka była niezmiernie przywiązana do ojca. Świetnie, pomyślałam, przestaną mnie nachodzić. Gdzie tam! Wrócili, a weszli gorzej niż szczury po kuchni. Zdaje się, że przy ciele ofiary nie znaleziono ubrania. Wiesz pewnie, że w Chatelet wieszka się je nad zwłokami. No, ale kiedy obejrzeni skrawek materiału wycięty przeze mnie z resztki, doszli do wniosku, że suknia była kosztowna, więc ktoś ją zwyczajnie ukradł. – Przyjrzała mi się uważnie i dodała: – Zmieniłaś się od czasu, kiedy cię ostatnio widziałam. Jesteś teraz szczuplejsza, starsza i trzymasz się dużo prościej. No i twarz. La Voisin zrobiła coś z twoją twarzą, mam rację? Przed chwilą prawie cię nie poznałam. Jakie ma wobec ciebie plany? Nie zadawałaby sobie przecie tyle trudu, gdyby... gdyby nie liczyła... hm... na jakiś profit.

– Mam wejść do interesu – powiedziałam ostrożnie. Lepiej zbyt wiele nie mówić.

– I zarazem zejść z oczu kochającej rodzinie, nieprawdaż? To oczywiste. Jesteś wszak dziewczyną, która kocha życie, w dodatku dużo mądrzejszą od innych. Powiedz mi, Genevieve, co to za interes? Bo chyba nie destylacja wody różanej? Do tego nie potrzebowałabyś czarnej atłasowej sukni za tysiąc skudów!

– Mam przepowiadać przyszłość. Umiem wróżyć z wody.

Roześmiała się na to tak głośno, że aż czeladnik, brzydki młodzieniec z twarzą poznaczoną głębokimi dziobami, podniósł na chwilę oczy. Nawykły widać jednak do humorów żony pryncypała, zaraz znowu pilnie zajął się robotą.

– Ha, i to ty, która sama nie wierzysz w przepowiednie?! Pewnego razu przed laty popatrzyłaś mi hardo w oczy mówiąc, że wszystkie wróżby to oszustwo. Mnie by do głowy nie przyszło, że możesz zostać wróżbitką, a przecież znam cię od dziecka.

Miałam o czym dumać, gdy La Vigoreux zdejmowała mi miarę, a potem rozłożyła przede mną materiał. Z tych dumań nie wyrwał mnie nawet rysunek przedstawiający dość niezwykłą suknię: hiszpańską krynolinę ozdobioną niewielką kryzą.

„W obliczu irracjonalności człowiek musi poszerzyć zakres logiki, poddać jej kryteriom to, co nielogiczne. W świecie, którym rządzi rozum, w którym wszystko przebiega zgodnie z zasadami rozsądku, jest to jedyne wyjście. ”

– Spójrz w lustro. I co teraz powiesz? – w głosie La Voisin dźwięczała wylewna jowialność. Działo się to późnym popołudniem w Wigilię Bożego Narodzenia. Dom mojej patronki zaczął już wypełniać się gośćmi: wszyscy byli członkami jej osobliwego „towarzystwa”. Dobiegające z kuchni smakowite zapachy wystawnej kolacji doprowadzały mnie niemal do obłędu; pościłyśmy od wielu godzin, jako że o północy wszyscy mieli przystąpić do stołu Pańskiego. Bo trzeba ci wiedzieć, drogi Czytelniku, że w tych czasach powszechnego zepsucia, kiedy to rozpustnicy nawracali się dopiero na łożu śmierci, a żołnierze i wolnomyslnicy prawie nigdy, nie kto inny, lecz właśnie paryskie wiedźmy najgorliwiej przestrzegały praktyk religijnych. Regularnym uczestnictwem w nabożeństwach mogli równać się z nimi jedynie król i jego świta. Oba te kręgi jednakowo lekcewały Pismo Święte, oba też bardziej wierzyły w diabła niżli w Pana Boga. Że jednak bez Boga nie ma też i diabła, wiedźmy przykładnie paliły Najwyższemu świeczkę, jednak w tym, co dotyczyło spraw ziemskich, wołały odwoływać się do niższej instancji.

Tak więc całe towarzystwo zdążyło już wyznać grzechy przed ojcem Davotem z kościółka Zwiastowania Najświętszej Marii Panny stojącego u zbiegu ulic Beauregard i Bonne Nouvelle. Sam ów szacowny duszpasterz miał przyłączyć się do nas po nabożeństwie, kiedy to już wolno nam będzie rzucić się na owe specjały, których skoncentrowane wonie przyprawiały obecnie o grzeszne pokusy. Tymczasem dostarczono moją nową suknię. Podobno aby z nią zdążyć, trzeba było wynająć trzech pomocników do szycia i zaangażować jedną z najslynniejszych w Paryżu hafciarek. Wszystko to razem wzięwszy, muszę przyznać, że panował prawdziwie świąteczny

nastrój.

– Nieźle, wcale nieźle – zgodnie orzekły La Trianon i La Dodee, widząc mnie stojącą przed lustrem w sypialni patronki. Jego prostokątna tafla ujęta była w ramy, tak że wyłaniające się z niej odbicie, malarsko wycieniowane migotliwym blaskiem płonących świec, żywo przypominało stary zabytkowy portret. Takie właśnie atlasowe suknie w najgłębszym odcieniu czerni, bramowane czarnym aksamitem i naszyte setkami czarnych paciorków nosiły przed półtora wiekiem owdowiałe małżonki arystokratów. Na jej gorsie poniżej sztywnej kryzy lśnił ciężki srebrny krucyfik; klejnot ów pożyczono mi do czasu, aż stać mnie będzie na własny. Fryzura podobnie odbijała ducha minionej epoki, ułożono ją bowiem ściśle według podobizny Marii de Medici. Odrzuciwszy przejrzysty welon spływający spod obszytej dżetami czapeczki, zbliżyłam twarz do lustra: pilno mi było poznać to swoje nowe oblicze. Było widmowo blade i naznaczone wysiłkiem, z ogromnym bowiem trudem starałam się przewyciężyć bolesny ucisk żelaznego gorsetu. Wszystko to nadawało mojej twarzy wygląd jakiejś niesamowitej bezcielesnej maski. Zawieszona w głębokiej czerni ponad białą plamą antycznej koronki zdawała się dokądś płynąć. Była to twarz tak bardzo mi obca, że z trudem rozpoznawałam swe rysy pod warstwą białego pudru. Czy naprawdę moje są te wysokie, sztucznie wygięte brwi i to dziwne spojrzenie szarych oczu? Jakby w przebraniu młodości kryła się mądrość stulecia. Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że na swój sposób jest to twarz bardzo piękna. A reszta? Moje plecy, choć nadal zakute w żelazne pręty, zdawały się uginać pod ciężarem wieku. Uzupełnienie mego nowego wizerunku stanowiła hebanowa laska, prawie dorównująca mi wysokością, ze srebrnym pierścieniem i pękiem czarnych jedwabnych wstążek. Poza tworzeniem odpowiedniego efektu pomagała mi utrzymać równowagę, maskując też pozostałości mego utykania. Ach, wyglądałam doprawdy na osobę z ubiegłej epoki, której za sprawą istic diabelskiej sztuki dane było zachować cały urok młodości! Ogarnął mnie zachwyty: cóż za efekt! Stałam się chodzącą tajemnicą. I całkiem nową osobą.

– Nie do wiary! – kręcił głową Le Sage, wodząc wzrokiem ode mnie do La Voisin, jakby to, co widzi, nie mieściło się w jego imaginacji.

– Mówiłam ci przecież – czarne oczy mojej dobrodziejki rozgorzały triumfem. – Od początku wiedziałam, że tak będzie. Naprawdę jest doskonała. A ty, czy załatwiłeś wszystko?

– A jakże! Odwiedziłem wczoraj hrabiego de Bachimont. Ach, wymyśliłem piękną historyjkę, jak to odkryłem naszą markizę na poddaszu klasztoru Urszulanek, gdzie to biedactwo, rzecz jasna, przymierało głodem. Oczywiście zaczął od razu nalegać, abym mu ją sprowadził, zanim ty położysz na niej rękę. Hrabia grzęźnie po uszy w długach, a tu zaświtała mu nadzieja, że

dzięki markizie de Morville otworzy sobie dostęp do takich miejsc, gdzie dotąd nie udało mu się zaciągnąć pożyczek.

– Bardzo sprytnie! – pochwaliła go La Voisin. – Pamiętaj – zaczęła mnie pouczać – ani słówkiem hrabiostwu o tym, że cokolwiek cię ze mną łączy. Oni nie należą do naszego grona, rozumiesz? Powiązani są z kawalerem de Vanens i jego kręgiem. Wszystko to są alchemicy posiadający w Lyonie swoje laboratorium. Jak tylko wprowadzą cię do lepszych domów, zerwij z nimi, byle ostrożnie. Nie należy wzbudzać podejrzeń...

Rady mojej patronki przerwał raptem dobiegający z parteru harmider.

– Znowu! – krzyknęła La Voisin rzucając się do drzwi. – A bodaj go piekło! – Oboje z nie odstępującym jej Le Sage'em pędem pognali na dół.

– Zostaw to, przestań! – usłyszałam wrzask Margot, po którym rozległo się zawodzenie dzieci, jakiś huk i odgłosy tłukących się naczyń. La Trianon i La Dodee również pospieszyły na dół, poszłam więc i ja w ich ślady, ostrożnie wymacując nogą każdy stopień; przy nowym środku ciężkości schody stanowiły dla mnie największe niebezpieczeństwo. Zanim dotarłam na miejsce, kłótnia osiągnęła już apogeum. Wszystkie szafy w gabinecie madame stały otworem z wyważonymi zamkami, podłoga wyglądała jak pobojuwisko: pełne jakichś dziwaczych diagramów księgi mieszały się tu z mnóstwem butelek, na szczęście zakorkowanych. Pośród tego wszystkiego La Sage łoił na oślep laską Antoine'a Montvoisina, którego starała się bronić jego córka, Marie-Marguerite, bezskutecznie odcinając rozjuszonego magika od całkiem bezbronnej ofiary. Ofiara ta wciąż jeszcze przyciskała do swej kościstej piersi kilka ksiązek ze zbioru madame.

– I cóż ty chcesz z nimi zrobić, głupcze? – piskliwie krzyczała błada z pasji La Voisin.

– Wrzucić do ognia, spalić to diabelstwo! Dość mam twoich brudnych interesów! Lepsza uczciwa kromka chleba niżli uczta, którą cię raczy sam diabeł!

– Z ciebie najskorszy biesiadnik, byle ktoś ci te uczyty zastawiał! Kto wyciągnął cię z więzienia za długi, ty mazgaju? Kto karmi dziesięcioro gąb, z których twoja zawsze jest największa? Czy ty w życiu coś dla mnie zrobiłeś? Co ty w ogóle umiałeś zrobić poza zaprzepaszczeniem każdego przedsięwzięcia? A kiedy mnie się poszczęściło, znieść tego nie możesz! Odlóż moje grimoires, bo przysięgam, nie dożyjesz jutra!

– Pewnie! Myślisz, że nie wiem, czym się zajmujesz mimo swych pięknych słówek i tych wielce wytwornych przyjaciółek? Myślisz, że nie wiem, po co ci ten piec za gobelinem i ten

okropny pawilon? Czy owym wrażliwym damom, które spraszasz tam, do ogrodu, nic to nie przeszkadza, że pływają sobie po trupach? Widać nie, bo to takie same pozłacane monstra jak i ty!

– Pozbieraj to, słyszysz? – wycedziła lodowatym tonem, stając nad nim jak góra. Kiedy chudy człowieczek w poplamionym szlafroku jął pełzać jak płaz po podłodze, zbierając rozrzucone książki, jego córka ze wstydu odwróciła oczy. La Voisin spostrzegła nagle, że stoję w drzwiach.

– Słyszałaś coś?

– Nie – zaprzeczyłam. Co za los tak wpaść z deszczu pod rynnę! Stało się dla mnie jasne, że zamieniłam tylko jeden nienormalny dom na drugi, ani trochę nie lepszy. Czy w tym barbarzyńskim mieście naprawdę nie ma nikogo, kto by żył uczciwie? Nie mówiąc już o tym, że po rezydencji największej paryskiej więdźmy można by się spodziewać czegoś lepszego od takich karczemnych awantur. Wielkiego ceremoniału, tajemniczości, a tu co? Płaski, pospolity banał.

– To dobrze – rzuciła tylko. – Widzę, że szybko się uczysz. Margot, idź przypilnować kolacji. Nie pozwolę, by jakikolwiek mężczyzna zepsuł mi taki wieczór. – Słowom tym towarzyszyło pogardliwe spojrzenie na małżonka, który w tej właśnie chwili wytarł nos w rękaw szlafroka.

Ludzie często indagują mnie o to, jak biesiadują czarownice. Czy jedzą ludzkie mięso? A może przylatują na miotłach? Wszystko to są przesady. Powiem więc, że jedna w drugą miały na sobie najmodniejsze suknie, eleganckie płaszcze i kaptury, przybyły zaś po prostu pieszo, ponieważ odległość od kościoła Zwiastowania do rezydencji La Voisin była bardzo niewielka. Można było odbyć taki spacer. Reszta doborowego towarzystwa składała się z osób tyleż szacownych, co światłych i świetnie wychowanych. Byli więc adwokaci, jeden architekt, wielu księży i zakonników, jedni w habitach, inni bez. Przyszedł zaufany spowiednik, ojciec Davot z parafii Zwiastowania i oczywiście Le Sage, ostatni oficjalny kochanek madame.

Na pięknie nakrytym stole płonęły białe świece w srebrnych kandelabrach (mówię to tym, którzy spodziewali się czarnych). Podano szynki wędzone w dymie anyżkowym, kapłony i kaczki w pikantnych sosach, zupę o niezrównanym bukicie oraz mnóstwo pasztecików i słodczy, których wyrafinowany wykwint mógł zadowolić najbardziej nawet wybredne podniebienie. Cała zastawa była srebrna z wyjątkiem kilku ogromnych waz na zupę wykonanych ze szlachetnej, prześlicznie malowanej porcelany. Właśnie przy zupie zdarzył się mały incydent. Stojąca za krzesłem gospodarza Margot trąciła go łokciem w ramię akurat w chwili, gdy podnosił do ust pełną łyżkę. Cała jej zawartość wylała się oczywiście na

śnieżnobiały obrus. Żona natychmiast posłała nieszczęśnikowi brzydkie spojrzenie, on zaś zerknąwszy najpierw na służącą, potem na zaplamiony obrus, polecił odnieść do kuchni swoją nie tkniętą zupę.

– Dam ją na pożarcie szczurom – warknęła zgryźliwie Margot.

Z wyjątkiem owego drobnego zgrzytu cały wieczór udał się wprost wspaniale. Ojciec Davot dobierał sobie każdej z potraw, a Le Sage, przebrawszy nieco miarę w picciu, zaczął śpiewać. Gościem honorowym byłam ja w nowym wcieleniu, postanowiłam więc dobrze odegrać swoją rolę. Nałożywszy na talerz kawałek nadziewanego ostrygami kapłona w sosie kaparowym, uznałam tę potrawę za „nazbyt wielką nowinkę”, po czym jęłam ją porównywać z jakże prostym a zdrowym jadem w czasach króla Henryka IV, kiedy to poprzestawało się na wrzucaniu wszystkiego do jednego garnka. Zapal, z jakim ubolewałam nad żalonym upadkiem obyczajów, sprawiłby prawdziwą rozkosz mojej zmarłej babci. Wypróbowałam przy tym cały arsenał używanych niegdyś zwrotów słownych, jak również gestów, co spotkało się z ogromnym podziwem zgromadzonych przy stole biesiadników. Ponieważ po raz pierwszy w życiu dane mi było stać się obiektem hołdów, odurzyło mnie upajające uczucie satysfakcji. Jakie interesujące i jakie zabawne są te czarownice, myślałam. O ileż barwniejsze jest ich życie od nudnej egzystencji pospolitych niewiast! Ów nastrój sprawił, że pozwalałam im raz po raz napełniać swoją szklaneczkę. W pewnej chwili słysząc swój głos, doznałam wrażenia, że słyszę babcię. Ale to ja sama stałam się babcią, wchłonęłam w siebie całe jej wnętrze. Ta cicha obecność zmarłej przyniosła mi wielką pociechę. Czułam się cudownie. Przy najbliższej sposobności kupię sobie papugę, postanowiłam.

Tej nocy odniosłam pierwszy ze swych niezliczonych triumfów. Dopiero o świcie opróżniono ostatnie flaszki, odśpiewano ostatnie pieśni, pogaszono dopalające się świece. Różowy brzask zaczął przepędzać ciemność znad Porte Saint-Denis, gdy w wynajętym krześle opuszczałam dom swej protektorki. Wstawał nowy dzień. Ogarnęła mnie nieopisana radość, gdy pijany uczestnik jakiejś nocnej biesiady stanął jak wryty na widok zawoalowanej czarnej damy i z niekłamanym zachwytem zaczął pożerać ją wzrokiem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Płonąc chęcią sprawdzenia mej nowej osobowości, już w następnym tygodniu dałam nurka w świat zubożałej szlachty i podejrzanych cudzoziemców. Było takich tylu w Paryżu, że przypominali chmarę zgłodniałej szarańczy. Wszelkimi sposobami próbowali czepiać się dworskiej klamki, nie przebierając w środkach zdolnych pomóc im w pobiciu konkurentów. Wszystko tu było na sprzedaż; żadna cnota nie miała dość wysokiej ceny, by ktokolwiek wahał się ją zamienić na doraźną korzyść. Najszczęśliwszym spośród tego grona udało się dochrapać takiego źródła dochodów (obecnych i przyszłych), jak pobór podatków lub względy dziedziczek bogatych fortun; ci, którym wiodło się gorzej, sprzedawali swoje ruchomości bądź za pieniądze świadczyli usługi policji. Wszyscy, rzecz jasna, z utęsknieniem wyczekiwali lepszych czasów. W owej grze o przyszłość liczyły się zarówno dobre maniery, jak i umiejętność stwarzania pozorów, lecz był to zaledwie warunek wstępny; aby wspiąć się o szczebel wyżej, trzeba było czegoś więcej. Urody? Owszem, ładny profil i zgrabna figura uchodziły za pewną zaletę, niezbyt jednak istotną. Większą od niej wartość miały plotki o rychłym spadku lub wybitnym powodzeniu w kartach, największą zaś związek z królem, choćby te rzekome koneksje były cieńsze od pajęczyny. Łatwo zrozumieć, że w tych bezpardonowych zmaganiach o popularność – o to, by zostać zauważonym, dać powód do pięciominutowych bodaj plotek – niesłychaną przewagę zyskiwała kobieta licząca sobie sto pięćdziesiąt wiosen, która w dodatku potrafiła czytać przyszłość, a czasami po długich namowach niechętnie godziła się rozstać z pudełeczkiem cudownej maści.

– Ach, wieczna młodość to istne przekleństwo – zwierzyłam się hrabinie de Bachimont nad resztkami wystygłego ragout; jej pokojówka, pełniąca zarazem funkcje kucharki, ochmistrzyni i pośredniczki między swoją panią i właścicielem lombardu, myła właśnie talerze przed kolejnym daniem. – Ponadto – dodałam niechętnie – formuła sporządzona została przeszło sto lat temu... Doprawdy, nie mam pojęcia, czy ta maść jeszcze podziała.

– Ależ madame, pani cera... tak biała i bez śladu zmarszczek... – zauważyła hrabina. Nie oparła się też pokusie dotknięcia mego policzka.

– Ach, madame, wszak to bladość grobu. Dawno przekroczyłam granicę czasu danego ludzkiej istocie... Prawdziwe szczęście, że mój drogi małżonek, markiz, nie dożył dzisiejszego upadku obyczajów - musnęłam powieki chusteczką, tak jednak, by nie rozmazać cienia, który nadawał moim oczom nader interesujący wyraz: jakby spoglądały z głębi studni. Hrabina de Bachimont nabyła słoiczek maści.

– Słyszałem, madame, że czytasz przyszłość z wody – zagrzmiał hrabia, gdy uprzątnięto już resztki kolacji. Mętne światło na wpół wypalonych świec litościwie skrywało pustkę wynajętych apartamentów. Aha, sprzedali meble. Prędko dokonałam kalkulacji: to, co za nie dostali, wystarczy najwyżej do końca roku, po czym będą musieli wrócić do Lyonu, trzeba więc działać szybko. Poczułam pod stołem rękę hrabiego: próbował mi ją wsunąć pod spódnicę. O, nie! Szybkie działanie, owszem, ale nie w tym kierunku.

– Droga markizo – pochylił się ku mnie siedzący naprzeciw lekarz nazwiskiem Rabel – czyż dar, o którym mowa, nie jest... hm... właściwy tylko młodemu dziewczętom?

– O, doktorze, po dziewięćdziesiątce zainteresowanie sprawami płci mija... całkowicie i bezpowrotnie – zdecydowanie odsunęłam rękę hrabiego – i... by tak rzec... zyskuje się powtórne dziewictwo. Wtedy to pojawił się u mnie ów talent.

– Hm – chrząknął uczonym tonem – no tak, to wyjaśnia sprawę. Lecz proszę mi powiedzieć, czyżby owa formuła niejednakowo odmładzała wszystkie części ciała?... Oznaczałoby to zatem, że... hm... nie jesteś, pani... wszędzie równie młoda. Wszak po nabyciu formuły od Nicolasa Flamela twój opat sporządził regenerujący napój, a ty go wypijałaś, pani, czyż nie?

– Ze skruczą wyjawiam dziś grzech, za który dawno już otrzymałam absolutio, wiedz jednak, drogi doktorze, iż rzeczona formuła dotyczyła nie napoju, lecz maści. Abbe⁸ większą jej część zużył na siebie. Nazbyt wielkim był samolubem, by najpierw pomyśleć o mnie, która poświęciłam dla niego nadzieję Raju. Aplikując mi pozostałość, rozpoczął od głowy, tak więc w pewnej chwili preparatu brakło... – przyłożyłam do oczu chusteczkę. – Pojmuje pan zapewne, że ani druga partia maści, ani następne nie działały już tak silnie jak pierwsza.

Byłam bardzo zadowolona z tych upiększeń, które nader kunsztownie, jak uznałam, wplotłam w historyjkę o cudownej maści. Z czegoż, jak nie z twórczości, umysł ludzki czerpie największą satysfakcję? Ułożyłam twarz w wyraz tragicznej zadumy.

Towarzystwo cmoknęło ze współczuciem. Jakież to samolubny postępek! Tak ładną dziewczynę uczynić wiecznie młodą tylko w połowie! Zaczęłam się zastanawiać, jak by tu jeszcze rozwinąć opowiastkę, tok myśli przerwał mi jednak doktor Rabel, prosząc o przepowiednię. Poczułam się w swoim żywiole.

– Muszę mieć do tego absolutną ciszę – oznajmiłam głosem wyroczeni. – Świece należy ustawić kręgiem w równej odległości od czary, by ich płomienie nie mąciły obrazu. – Kazałam poprawić obrus, a potem przynieść mą dziwną torbę (oczywiście czarną), w której

8 abbe (fr.) – duchowny posiadający święcenia kapłańskie.

przechowywałam okrągłe szklane naczynie wraz z odpowiednią podstawką. Wszyscy rzucili się wypełniać moje rozkazy. Cały ten ceremoniał służył tylko wywołaniu wrażenia, naprawdę bowiem żadne obrazy nie były mi potrzebne. Do skonstruowania wiarygodnej przepowiedni wystarczyły w zupełności informacje dostarczone mi przez sieć donosicieli madame Montvoisin i umiejętność czytania z rysów twarzy, w której dobrze mnie wyszkoliła. Gdyby jednak w naczyniu pojawił się jakiś obraz, byłby to pożądany dodatek służący ładnemu przyozdobieniu całości.

Rozpostarłam na stole kawałek krwistoczerwonej tkaniny pokrytej mnóstwem kabalistycznych znaków, ustawiłam na niej naczynie wyroczni i zażądałam wody. „Absolutnie czystej”. Przejęta pokojówka musiała ją precedzić przez pięć warstw cieniutkiego muślinu, dopiero wtedy, posługując się rzeźbionym lejkiem sprawiającym wrażenie, że wykuty jest z litego srebra, wlałam wodę do magicznej czary. Bardzo długo deliberowałam nad wyborem mieszadełka: szklane? Z głową smoka? A może to w kształcie węża? Czułam skupione na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Nareszcie podziwiano mnie, ba! wielbiono! La Voisin dotrzymała obietnicy. Radość i duma były mi do głowy jak wino.

Wymruczałam śpiewną inkantację, zamieszałam wodę pałeczką i... poczułam znane już, choć wciąż niepojęte rozluźnienie całego ciała... jakby znikły gdzieś wszystkie nerwy... W naczyniu począł formować się obraz.

– O, monsieur Vanens, to bardzo interesujące. Widzę pana wraz z hrabią de Bachimont. Pan coś sprzedaje... ach, wygląda to na sztabkę srebra... kupujący?... tak, rozpoznaję w nim królewskiego urzędnika. Hm... podpisuje teraz jakiś papier. – Sprzedaje mennicy fałszywe srebro, jest wszak alchemikiem, czy też to prawdziwe srebro, tyle że kradzione? Nie mogłam rozpoznać charakteru transakcji, pozostawiłam więc interpretację wyobraźni moich słuchaczy.

– Udało się – wychnęła hrabina. Tak blisko przysunęła twarz do czary, że zaparowała szkło oddechem.

– Na Boga, to sukces, formuła działa! – wykrzyknął kawaler de Vanens. – Mennica – dodał krótko. Aha, więc to jednak fałszerze. Z pewnością znajdą się niebawem w więzieniu, gdzie przyjdzie im spędzić spory kawał czasu. Tego już im nie powiedziałam. Nie poprosili mnie o drugą wróżbę, a ja też nie kwapiłam się patrzeć w naczynie, skąd mogły popłynąć złe dla nich wieści. Obrazy przyszłości sprawiają pewien istotny kłopot: ich znaczenie nigdy nie jest całkowicie jasne. Przypomina to zagłądanie do pokoju przez okno: widać, ale nic nie słychać. Ludzie wchodzą, wychodzą, rozmawiają, ale o czym? Co działo się tam przed chwilą? O co

chodzi? Toteż najważniejszą, ale i najtrudniejszą rzeczą jest interpretacja. Nie wtajemniczonym widzenie przyszłości wydaje się bardzo przyjemne: wie się wszystko z góry, można więc wygrać każdy zakład; wyprowadzić się z domu, zanim stanie w ogniu, korzystnie sprzedać ziemię i tak dalej. Cóż, nie tak to wygląda. Większość z nas nie pojmuje nawet tego, co dzieje się w teraźniejszości, jakże więc mamy zrozumieć przyszłość, i to odsłaniającą nam się ledwie na mgnienie oka?

Wieczorem zasiadłam do spisania oglądanych ostatnio obrazów, zaopatrując je w daty, nazwiska pojawiających się osób oraz sugestie co do przypuszczalnego terminu spełnienia się danej wróżby. Nawet wizje wymagają racjonalnej analizy.

„Obrazy te – napisałam – nasuwają interesujące pytanie, a mianowicie: jaką ukazują przyszłość?

1. Obiektywną, a więc absolutną i niezmienną, czy 2. Prawdopodobną, to znaczy możliwą pod warunkiem, że dane wydarzenie bądź wydarzenia potoczą się dalej zgodnie z ich obecnym biegiem.

Jeśli założenie 1 jest prawdziwe, oznacza to, że Bóg, tworząc świat, dokładnie wyznaczył całą jego przyszłość, w tym także losy wszystkich żyjących, ergo, wolna wola nie istnieje."

Odłożyłam pióro i przyjrzałam się napisanym zdaniom. Na papierze wszystko wyglądało dobrze, tworząc spójną logicznie konstrukcję, dającą się porównać z logiką geometrii Euklidesa. Ład i logika pomagają oswoić się z nieznanym.

„Wniosek 1 a (płynący z punktu 1): Bóg mógł stworzyć świat, a następnie pozostawić go samemu sobie, tak jak postępuje zegarmistrz ze skonstruowanym przez siebie mechanizmem.

Ad 1 a: Jeśli Bóg nie może ingerować w bieg wydarzeń i losy świata, znaczy to (1 b): że nie jest wszechmocny. Wszechmoc jednak już z definicji stanowi niezbywalny atrybut Istoty Boskiej, jeśli więc prawdziwe jest założenie 1, to Bóg taki, jakim Go dziś pojmujemy, nie istnieje (wniosek 1 c). Jeśli zaś Bóg istnieje, lecz postanowił powstrzymać się od wszelkich ingerencji (patrz wniosek 1 a), to w rezultacie tego, co zostało powiedziane, prawdziwy jest również wniosek 1 c."

No proszę, doszłam do pozycji libertyńskich, pomyślałam. A niech tam, co za różnica.

Zaczęłam teraz analizować założenie nr 2: „Jeśli założenie 2 jest prawdziwe, znaczy to, że istnieje wolna wola, czyli Bóg pozwala człowiekowi dokonywać wyborów, a więc i kształtować przyszłość. Dzieje się tak albo dlatego, że Bóg nie jest wszechmocny (1 b), albo

dlatego, że (2a): istnieje łaska, ergo, istnieje i Bóg." Te sprzeczne konkluzje stały się dla mnie nie lada zagadką. A przecież racjonalne myślenie powinno nas zawsze prowadzić do prawdy! Doszłam w końcu do przekonania, że mogę na te okoliczność przeprowadzić tylko jeden racjonalny sprawdzian, a to:

- „1. Wywołać obraz mojej przyszłości.
2. Aktem mojej woli postarać się o zmianę przebiegu wydarzeń.
3. Sprawdzić, czy obraz przyszłości uległ zmianie."

Lecz mimo licznych i usilnych starań nie udało mi się przywołać żadnego obrazu w jakikolwiek sposób związanego z moją przyszłością.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Inspektora Moreau zdumiał widok powozów i krzeseł stłoczonych przed skromną posesją wdowy Bailly. W poszukiwaniu zbiegłych złoczyńców i dezertarów posprawdzał już nowych lokatorów wszystkich pensjonatów w swojej dzielnicy, jak również pokoi oddanych w najem. Uwinął się z tą inspekcją w ciągu przedpołudnia, tu jednak zanosilo się na dłuższe oczekiwanie. Szacowna wdowa natychmiast powiadomiła policję o swojej nowej lokatorce, którą sama uznała za osobę dość tajemniczą. Rozmowy z sąsiadkami i młodszą córką gospodyni, ponurą pryszczatą dziewczyną, upewniły inspektora co do tego, że tajemnicza kobieta nie jest prostytutką. Poza godzinami przyjęć nie odwiedzali jej żadni mężczyźni, a klientów wpuszczano jedynie do salonu, gdzie nie mogło być mowy o żadnych poufałościach, jako że konsultacje odbywały się za parawanem ledwo zasłaniającym dwa krzesła i dużą ozdobną wazę; wdowa z najwyższym szacunkiem nazywała tę wazę "naczyniem wyroczni".

Cóż, póki zajmuje się tylko przepowiedniami, wszystko w porządku, prawo tego nie zabrania. By się o tym przekonać, Moreau ukrył pod płaszczem pół tuzina łyżek z herbem pewnego bardzo znamienitego rodu, nie uznał też za stosowne przywdziać błękitnego munduru ani białego pióropusza. Po długim wyczekiwaniu (próbował je sobie skrócić drobiazgową inspekcją parawanu) Pomalowanego w coś żywo przypominającego straszliwe jakieś narośle, które domorosły artysta najwyraźniej uważał za kwiaty) pozwolono mu wreszcie zająć miejsce przy stole z magiczną wazą. Siedząca naprzeciw osoba była drobną wykwintną kobietą ubraną w żalobną suknię, bardzo, jak stwierdził, kosztowną.

– Czyżbyś i ty, madame, doświadczyła bolesnej straty? – zagaił, wydobywając chusteczkę.

– Ach, utraciłam drogiego małżonka. Świętej pamięci markiz uległ wypadkowi na polowaniu. Wciąż mi się zdaje, że wszystko to stało się wczoraj, choć ów tragiczny wypadek zdarzył się w istocie szóstego sierpnia. Dzień ten ognistymi zgłoskami wrył się w mą nieutuloną w żalu pamięć. – Akcent miała wytworny, a jej retoryka świadczyła o wykształceniu. Wszystko wskazywało na to, że należy do wyższej sfery. Tylko czy jako mężatka mogła przebywać w klasztorze? Moreau wiedział z innych źródeł, że tam właśnie mieszkała w sierpniu. Postanowił wyjaśnić tę sprzeczność za pomocą zręcznej indagacji.

– Tak niedawno? Współczuję, madame. Wielki to ból, zwłaszcza że świeży. Niewiele miesięcy upłynęło od sierpnia. – Markiza uniosła swoje długie rzęsy. Twarz miała pokrytą grubo białym pudrem, tak że nie sposób było oszacować jej lata. W szarych oczach zamigotały łzy.

– Panie Moreau – westchnęła – za sprawą mej niezmiernej wrażliwości odczuwam tak swoją tragedię, jakby wydarzyła się wczoraj, atoli mój drogi biedaczek Louis naprawdę dokonał żywota szóstego sierpnia roku Pańskiego 1548 – wypowiadając te słowa, musnęła powieki koronkową chusteczką.

Moreau pozostał nieporuszony, choć omal nie parsknął śmiechem. Wyborna z niej szarlatanka! Szybko rozpoczął długą opowieść o swoich niedolach – oczywiście zmyśloną – specjalnie robiąc przerwy w tych miejscach, w których każda co bardziej występna wróżbitka niechybnie zaoferowałaby mu jakiś znachorski napój, czarną mszę albo coś jeszcze gorszego. Madame de Morville tymczasem wysłuchiwała go z widocznym współczuciem, a potem zapadła chyba w rodzaj półtransu z oczyma utkwionymi w czarę. Wydawało się, że ujrzała tam widok, który wprowadził ją w rozbawienie, powiedziała bowiem z osobliwym uśmiechem:

– Panie Moreau, całe to brzemie zmartwień, które dziś cię przytłacza, zniknie wkrótce, jakby go nigdy nie było. Czeka pana pochwała z ust osoby, którą wielce szanujesz, powiększą się też twe dochody.

– Ach, ale mnie dzisiaj strasznie potrzeba pieniędzy – desperackim tonem łągał dalej Moreau. – Jeśli nie zwrócę wierzycielom pewnej kwoty, wsadzą mnie do więzienia. Powiedz, pani, czy nie znasz kogoś, kto by mi pożyczył pod zastaw? – wydobył kradzione łyżki.

Madame de Morville prześliznęła się po nich wzrokiem:

– Los chce, byś odniósł te rzeczy tam, skąd pochodzą – powiedziała zniżonym głosem. – Jeśli je zastawisz, fortuna odwróci się od ciebie, drogi panie Moreau.

Święta prawda, pomyślał inspektor. Jak dotąd nie miał nic do zarzucenia tej kobiecie. Wszystkie jej rady były wyjątkowo rozsądne, a poza tym całkowicie zgodne z prawem. Uścił należność i wrócił na posterunek spisać raport.

„Markiza de Morville, zamieszkała u wdowy Bailly przy rue du Pont-aux-Choux. Kobieta w nieokreślonym wieku, która za umiarkowaną opłatą udziela inteligentnych porad naiwnym prostytutkom. Nie sprzedaje środków mających wywołać miłość, to jest proszków ani substancji podawanych na dnie kielicha, nie kieruje klientów do osób uprawiających zakazany proceder. Nieszkodliwa.” Posypując zapisany papier piaskiem zastanawiał się, kiedy i za co może otrzymać przepowiedzianą pochwałę od pana de La Reynie. Wiedział, że takie myśli to czysta głupota, a jednak nie mógł się ich pozbyć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Początek moich sukcesów przypadł na okres pobytu w pensjonacie przy rue du Pont-aux-Choux. Właścicielka tego skromnego acz bardzo szacownego lokum była przekonana, że przyjechałam prosto z klasztoru Urszulanek – na wieść o odziedziczeniu niewielkiego spadku. To, że zatrzymałam się właśnie u niej, przypisywała zaletom swojej niezrównanej kuchni i pierzyn. Arystokratyczny rodowód markizy de Morville, a zwłaszcza spełniona przypadkiem przepowiednia dotycząca małżeństwa jej starszej córki wywołały u madame Bailly niesłychany respekt dla mojej osoby. Dzięki temu awansowałam na pierwszą pozycję wśród lokatorów pensjonatu, zajmowaną dotąd przez zatabaczonego opata o brązowych oczach smutnego spaniela, który swoje skromne dochody uzupełniał tłumaczeniem nieprzyzwoitych utworów z włoskiego na francuski.

Po krótkotrwałym namyśle wdowa zdecydowała się przyznać markizie de Morville dodatkowy przywilej: wolno mi było teraz przyjmować klientów w jej saloniku, za malutkim parawanem niezdarnie pomalowanym przez drugą córkę domu, niezamężną. Madame Bailly za niewielką opłatą zgłosiła moją obecność policji, która zbadawszy prowadzoną przeze mnie działalność, uznała ją za uczciwą, w tym przynajmniej sensie, w jakim uczciwe może być mało chwalebne, jakkolwiek całkiem legalne oszukiwanie naiwnych.

Większość klientów odwiedzałam wszelako w ich domach, wynajmując za pośrednictwem chłopca kuchennego krzesło albo fiakra zależnie od pogody i odległości. W ciągu zaledwie tygodnia poznałam salony trzech mało znaczących osób, skierowałam też do La Voisin dwie damy niezadowolone z niewiernych kochanków oraz człowieka poszukującego rodzinnych skarbów zakopanych gdzieś przez stryjecznego dziadka jeszcze za czasów Frondy. Zaczynałam na tyle już orientować się w zaletach kuchni kilku wytwornych domów, że mogłam je porównywać, uznałam się przeto za osobę obytą w świecie. Mimo tej niewątpliwej poprawy mojej sytuacji życiowej nadal unikałam jednak miejsc publicznych, w których mogłabym się natknąć na mego wuja lub brata. Bałam się zdemaskowania i tego, że korzystając z prawa mężczyzn, pozbawią mnie wszystkiego, co zdobyłam, nie wyłączając wolności.

Pod koniec stycznia obliczyłam, że markiza de Morville zarobiła całe trzydzieści osiem skudów, co jak na nowicjuszkę było kwotą wcale pokaźną. Postanowiłam spotkać się z La Voisin, by przedłożyć jej rozliczenie i przy okazji zdać sprawę z przebiegu mej pierwszej prawdziwej pracy. Umyśliłam sobie spotkać się z nią przed kościołem zaraz po niedzielnej mszy. Tak więc na początku lutego, w pewien bardzo mglisty i chłodny ranek, wyruszyłam do

Villeneuve.

Zimowe słońce przebiło właśnie gęstą zasłonę mgły, a w wąskich uliczkach Villeneuve wciąż jeszcze słyhać było bicie dzwonów, gdy spod skromnego portalu kościoła Zwiastowania wylał się strumień rozplotkowanych wiernych. Torując sobie drogę pośród z wolna rozpraszającego się tłumu zauważyłam, że poprzedza mnie wielka przygarbiona starucha w czarnym szerokim płaszczu i rzucającym się w oczy kapeluszu z mnóstwem krzykliwych ozdób. Bez pardonowo posuwała się naprzód, dźgając zbyt wolno idących bądź nieuważnych potężną laską ze złotymi okuciami. W jej jaskrawo wymalowanej twarzy zwracały uwagę oczy – jarzyła się w nich złośliwość. Pomyślałam, że to pewnie czarownica, i że zaczynam je powoli rozpoznawać. Ciekawe, co to za jedna?

Moja patronka prezentowała się jak zwykle elegancko w dobrze skrojonym żakiecie z mocno dopasowaną talią i kapturze obszytym drogim futrem. Odrzuciwszy do tyłu misternie haftowaną opończę, stała przed kościołem naciągając perfumowane rękawiczki z cieniutkiej gienzowej skórki. Na widok wymalowanej staruchy sunącej w jej stronę jak galeon na pełnych żaglach przez twarz La Voisin przemknął wyraz głębokiej niechęci, co widząc tamta rozdziawiła usta w domyślnym uśmiechu.

– Ach, jakże dziś ma się nasza droga La Voisin? – usłyszałam jej głos – Ufam, że świetnie. A jak tam szanowny małżonek? Wciąż jeszcze żyje? – po tych słowach, rada z własnego dowcipu, roześmiała się na całe gardło. La Voisin, ściągając z niesmakiem wargi, oddaliła się szybko, nie zaszczycając starej ani jednym słówkiem. Ta znów zaczęła przepychać się w stronę kościoła, gdzie miała widać coś do załatwienia. La Voisin, wciąż jeszcze z lodowatą miną, dostrzegła mnie w odległości kilku kroków i niecierpliwym gestem rozkazała mi czekać na siebie za rogiem, z dala od rozgadanej cizby.

– Ach, ta okropna baba! Masz trzymać się od niej z daleka! I cóż cię tu sprowadza, u licha? Idź do mego domu, tam porozmawiamy. I wejdź bocznymi drzwiami.

Nieco tym urażona przeszłam pieszo niewielki kawałek drogi dzielący mnie od jej willi. Drzwi otworzył monsieur Montvoisin jak zwykle ubrany w ten sam stary szlafrok. Był chyba jedynym mieszkańcem tego domostwa, który nie uczestniczył w przedpołudniowym nabożeństwie.

– Wejdź – powiedział krótko i poczłapał z powrotem do jadalni; towarzyszyła mu ruda kotka z dwojgiem podrośniętych kociąt. – Pewnie chcesz usiąść – dodał jeszcze, sadowiąc się w fotelu. Kotka natychmiast wskoczyła mu na kolana, zaś jedno z kociąt zajęło miejsce na jego ramieniu.

– Dobrze wyglądasz – zauważył po chwili milczenia. Zlustrował całą moją postać przycupniętą

na wskazanym mi krzeselku z prostym i przez to mało wygodnym oparciem. – Widać dobrze ci się powodzi. – Czule pogłaskała rudą kocicę, która w odpowiedzi zaczęła donośnie mruczeć. – Mniej dziś przypominasz podtopionego szczura niż w dniu, kiedy cię poznałem.

Milczałam pełna głębokiej urazy. Genevieve Pasquier nigdy nie mogła przypominać podtopionego szczura. Osoba z dobrej rodziny absolutnie nie może tak wyglądać bez względu na to, w jak niefortunnych znajdowałaby się okolicznościach. W długim pokoju pełnym rzeźbionych kredensów i krytych brokatem krzesel zapadła przytłaczająca cisza.

– O, o n a, kiedy ją poznałem, była piękną kobietą, najpiękniejszą w świecie. Zakochałem się w niej do szaleństwa. Imaginujesz to sobie? Do szaleństwa. – Utkwił wzrok w ścianie, jakby wiszący tam gobelin mógł mu udzielić odpowiedzi. Ja nie. W żaden sposób nie mogłam wyobrazić sobie tego wymizerowanego, wiecznie nie ogolonego człowieczka w roli czulego kochanka, który szepce wybranej słodkie słówka albo przy dźwiękach mandoliny śpiewa jej serenady. – Kazałem zrobić pierścionek – mówił dalej Montvoisin – ... szmaragdy i perły. Kiedy go zobaczyła, jakimż blaskiem rozbliły jej oczy! Jest wprost stworzona do noszenia szmaragdów... Sprawia to jej karnacja... Ty nie... Twa skóra miałaby przy nich żółtawy odcień... Tak... tobie by pasował naszyjnik z szafirów. Szafiry przetykane diamentami. Twoja skóra byłaby wtedy jak śnieg, a oczy nabrałyby barwy... szarość z odcieniem błękitu...

Jego słowa budziły we mnie dziwną odrazę, on sam również. Wypowiadał je tak, jakby na wół drzemał, jakby wszystko to mówił przez sen. Na piętrze zaczął się jakiś ruch: rozległ się tupot nóg, coś potoczyło się po podłodze, dały się słyszeć krzyki dzieci.

– Dzieci... wierzyciele wypędzili je na ulicę... – mówił dalej Montvoisin tym samym sennym tonem lunatyka. – Zabierając mnie do więzienia, spostrzegli u niej ten pierścień. „Oddaj to”, wrzasnął któryś i zdarł jej pierścionek z palca. Oczy Catherine stały się w owej chwili czarne jak studnia pełna trucizny, jak burzowa chmura o północy, niosąca w sobie piorun, co tylko czeka, by zabić. „Zapłacicie mi za to” – powiedziała. Zaczęli się z niej śmiać. I wiesz, co się z nimi stało? Nie żyją, mademoiselle. Pomarli wszyscy co do jednego. A ze mnie ta kobieta wyssała soki życiowe. Jestem jak zeschnięty liść, jak stare zasuszone jabłko... – drzwi salonu otworzyły się z trzaskiem i stanęła w nich La Voisin. Z głębi domu nadpłynęło łomotanie do tylnych drzwi. Margot, Nanon, kucharka i pozostali domownicy powrócili z kościoła.

– Antoine, nie życzę sobie, byś zanudzał naszą małą markizę. Mademoiselle, proszę do gabinetu. Przyniosłaś rozliczenie?

– Tak, madame. – La Voisin pozostała w swojej ciepłej opończy, ogień bowiem wygasł i w

pokoju panował dotkliwy chłód. Zaczęła tylko powoli zdejmować długie rękawiczki, ściągając je ostrożnie, palec po palcu. Miały wyszukany kolor – szafirowy – i takąż woń; po krótkiej chwili wypełniła ona cały pokój.

– Ach, ten Antoine! Bezużyteczny jak mój stary kocur. Ani to nie łowi szczurów, ani nie płodzi kociąt. Nie mam pojęcia, dlaczego obu ich jeszcze trzymam... – otworzyła szafę i po krótkim szperaniu wśród teczek zdjęła z półki tę oznaczoną literą „P”.

– Trzydzieści osiem skudów, no, no! – oczy jej załśniły na widok złota. – Dobrze się sprawiłaś, ani słowa! – Nagle przyjrzała mi się bacznie, jakby chciała przeniknąć mnie wzrokiem na wylot: – A nie zatrzymałaś sobie czegoś, co?

– Nie, madame, oto rozliczenie. Papier, pióro i atrament. To za wynajęcie krzesła, a tu... kupiłam parę grubych pończoch. Ten nowy but strasznie ocierał mi stopę. – Raz jeszcze z upodobaniem zerknęła na kupkę monet, po czym zabrała się za sprawdzanie mojego wykazu.

– A za cóż to płaciłaś La Trianon?

– Za napój nasenny. Gorset sprawia mi nieznośny ból.

– Ból? A pewnie! Ten ból jest ci potrzebny. Umocni w tobie wolę zdobycia bogactwa. Mówię ci, zaniechaj opium. Miast je zażywać, uzbrój duszę nienawiścią i pragnieniem zemsty. Pamiętaj: ty albo ten człowiek, taki masz wybór. Opium tylko osłabi ci wolę – przekreśliła tę pozycję grubą kreską. Postanowiłam, że z kolejnych wpływów zostawię pewną część dla siebie, a zakup opium będę odtąd trzymać w tajemnicy. Teraz już nie potrafiłam się bez niego obejść.

Opium uśmierzało ból, tłumilo lęki, które dopadały mnie nocą, było mym jedynym lekarstwem na żal i złe wspomnienia. La Dodee nic nie powie, leży to przecież w jej interesie. Jestem teraz dobrą klientką. Moja patronka podniosła na mnie oczy – wciąż bowiem stałam, podczas gdy ona siedziała za biurkiem, wpisując jakieś dane do teczek.

– Dama taka jak ty – powiedziała – koniecznie powinna mieć pokojówkę. – Słowom tym towarzyszył fałszywy uśmiech, także i w głosie madame wyczułam wyrachowanie. – Kto ci teraz sznuruje gorset? Służąca tej głupiej wdowy?

– Jej młodsza córka pomaga mi się ubierać.

– Pozwól mi zobaczyć te pręty. Hmm... Wciąż jeszcze jesteś przygarbiona. Ta dziewczyna nie ma dosyć siły, żeby cię dobrze ścisnąć. Sypiasz w tym nadal, nieprawdaż?

– Gdyby było inaczej, nie byłby mi potrzebny żaden nasenny napój – pozwoliłam sobie na

trochę sarkazmu. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, tylko że przy tej okazji ukazała jakby za dużo zębów.

– Ściągaj te żelaza mocno, a wkrótce się ich pozbędziesz. Znam pewną dziewczynę chyba w sam raz dla ciebie. Przyda ci się taka pokojówka. – Wcale mi się to nie podobało. Przydziela mi swego szpiega, by mnie utrzymać w ryzach. Boi się, że niedługo mogę się stać niezależna. Uznałam za stosowne zmienić temat.

– Ta kobieta pod kościołem, madame... Czy ona jest jedną z nas?

– Można tak chyba powiedzieć, jeśli ująć rzecz najogólniej – skrzywiła się na wspomnienie doznanej zniewagi. – Nazywa się Marie Bosse. Nie sądzę jednak, byś znalazła w niej pokrewną duszę. Nie umie czytać ani pisać, a dodaje tylko na palcach. I owszem, uprawia tajemne sztuki, lecz brak jej jakiegokolwiek talentu do interesów. Oczywiście pożera ją zazdrość. Bo to nie ja, tylko ona powinna była zostać Wybranką, tak sobie imaginuje. Ha, ha, tylko kto by ją chciał wybrać? Nie dość, że jest lekkomyślna, to jeszcze pije jak szewc. W dodatku była żoną jakiegoś handlarza końmi – glos La Voisin nabrał nagle snobistycznych tonów. Jak to dobrze, pomyślałam sobie, że moja patronka umiała wynieść swe rzemiosło na wyżyny prawdziwej elegancji! O nie, bynajmniej nie miałam ochoty zawierać bliższej znajomości z wulgarną wdową po jakimś handlarzu końmi.

– Madame, nie powinnaś tak bez końca rozpaczać po swym dawno zmarłym małżonku! O ileż młodziej wyglądałabyś, droga markizo, gdybyś tylko chciała nosić stroje w świeżych barwach! Przywdziej kolory wiosny! – podstarzały opat rodem z Prowansji przysunął się do mnie tak blisko, że poczułam na karku jego zatabaczony oddech. Wdowa Bailly natychmiast przestała rozlewać zupę i spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Zbyt jestem stara, by ulegać próżności tego świata. Wszystko to marność, o którą nie dbam – prychnęłam z pogardą, lecz w mym sercu zagościła wiosna. Po raz pierwszy w życiu zapragnęłam nowej sukni. I żeby była ładna.

– Nie dbasz więc nawet i o te marności, z którymi co dzień liczniejsze rzesze przychodzą za ten parawan? – Stawiając owo dwuznaczne pytanie, abbe nadał głosowi leniwie niedbałe brzmienie, ręką zaś wskazał stojący w kącie parawan; salon madame Bailly służył też zarazem za jadalnię. Jaki to okropny człowiek, zachnęłam się w duchu. Ci Prowansalczycy do końca życia nie przestają uganiać się za kobietami. To już doprawdy jakiś nałóg. Leży taki na łożu śmierci i jeszcze potrafi oświadczyć się pielęgniarcze!

– To moje dzieło miłosierdzia. Wszystkie swe siły poświęcam niesieniu pomocy bliźnim –

oświadczyłam z mocą, udając przy tym niezmiernie zajęętą rozłamywaniem rogalika.

– Pani markiza potrafi zdziałać cuda! – pospieszyła mi z odsieczą madame. – Cóż za człowiek żeni się z moją córką! W jego sklepie bławatnym pracuje aż kilku pomocników. Ma szczęście moja Amelie! A wszystko dzięki pani markizie. – Zarumieniona Amelie skromnie spuściła oczy, zaś Brigitte, młodsza panna Bailly, ponura i bez posagu, rzuciła jej spojrzenie pełne urazy. Pozostali stołownicy, cała kolekcja zrujnowanych cudzoziemców i prowincjuszy, z wyraźną niecierpliwością czekali na zakończenie tej przedłużającej się przerwy w posiłku.

– Ha, nie ma rady, tak czarującej gospodyni muszę uwierzyć na słowo – skapitulował abbe. Madame Bailly splonęła rumieńcem zadowolenia i wzięła się znowu do nalewania zupy. W pokoju rozległ się miarowy szczeł łyżek. Monsieur Dulac, notariusz, podjął przerwana opowieść o bulwersujących wypadkach na wielkim jarmarku w Saint-Germain; właśnie otwarto go na okres przedświąteczny, czyli aż do Palmowej Niedzieli.

– ... dochodzimy do rue de la Lingerie, a tam istne pobojuwisko! Stragany porozbijane, jakaś kobieta handlująca lemoniadą krzyczy, że ma złamaną rękę, a na ziemi ogromna kałuża. Tyle zostało z całego towaru. Niech zginę, jeśli lżę! Taką sobie urządzili zabawę pewien młody wicehrabia i jego kompan, obaj pijani na umór. Puścili konie galopem między stragany i dalejże wywijać bronią! Poprzewracali wszystko, co na drodze! Mało brakowało, bym został zabity! Imaginujecie to sobie? Omal mnie nie zabito!

– Trzeba ci było wybrać się tam wieczorem, monsieur Dulac. Dopiero wtedy na jarmark ściąga wytworne towarzystwo, w drodze z opery – zauważyła madame Bailly, gestem nakazując dziewczynie do wszystkiego, że ma już zbierać talerze po zupie.

– Uhm, tak jakbyś ty to wiedziała najlepiej! – syknęła Brigitte jadowitym szeptem.

– Ale też i ceny są wieczorem dwa razy wyższe – odparł notariusz – musiałbym zatem ograniczyć się wyłącznie do zwiedzania, a tak za jedyne dwa sou oglądałem jakże cudowne stworzenie! Rzadkość z dalekich Indii. Nazywa się szop.

– O, a jak wygląda? Czy może przypomina smoka? – dopytywała się Amelie.

– Nie, ani trochę. Ma sierść podobną do wilka i wielki ogon, cały w pręgi. Jadowity zaś podobno jak wąż, tak mówią, o, bo też i Indie to kraina wielce niebezpieczna. Rosną tam ponoć żarłoczne pnącza, które udusiwszy człowieka, potrafią wypić z niego krew za pomocą długich wydrażonych wici. – Całe towarzystwo z wyjątkiem Brigitte wzdrygnęło się z przerażenia.

– O! – wykrzyknęła młodsza panna Bailly – a czy w Saint-Germain mają może na pokaz z

jedno takie pnącze? Cudownie byłoby zobaczyć je w porze karmienia!

Nie wypadało już teraz zrobić nic innego, jak tylko wybrać się w kilka osób na jarmark, by jeszcze tego wieczoru zobaczyć zarówno szopa, jak i wytworne towarzystwo. Powóz wynajęła szczodra markiza de Morville, której miłosierna działalność przynosiła wszak stale rosnący dochód.

– Uwielbiam przejażdżki prawdziwym powozem – entuzjazmowała się Brigitte, kiedy o zmierzchu ruszyliśmy na lewy brzeg Sekwany ku rozległym terenom opactwa Saint-Germain. Amelie zmiażdżyła siostrę spojrzeniem.

– Gdy się pobierzemy, droga panno Bailly, zawsze będziesz mieć powóz na zawołanie – oznajmił właściciel sklepu bławatnego, ociężały mężczyzna w średnim wieku, wtłoczony niczym korek między narzeczoną i jej siostrę.

– Och, cóż za oddanie, jaka elegancja! Wzruszające! – westchnęła madame Bailly. – Ale z pana galant, monsieur Leroux!

– Czyż można postąpić inaczej, gdy ma się do czynienia z tak młodą i czarującą osóbką? – rzekł abbe ściśnięty z kolei między mną i wdową. Nie zdecydował się jeszcze, za czyją kibić wsunąć ukradkiem rękę. Napotkawszy w chwilę później twarde pręty i chłód po mojej stronie, a piski i chichoty po drugiej, skłonił się ku tej łaskawszej.

– Spójrzcie! Zapalają latarnie! – wykrzyknęła Brigitte. Koło rogu ulicy stał na drabinie człowiek, a za ustawioną obok barierą policjanci.

– Najzacniejsza inwestycja pana de La Reynie – oznajmił kupiec bławatny. – Wkrótce cały Paryż nawet o północy będzie równie bezpieczny jak wasze sypialnie, drogie panie. Wzmocniono warty, tak więc znikną niebawem z ulic żebracy i rzezimieszki przynoszący dotąd hańbę naszemu wspianiałemu miastu. Żyjemy zaiste w stuleciu cudów...

Na skrzyżowaniu ulic powóz nasz zmuszony był przystanąć, by przepuścić wytworny ekwipaż od góry do dołu wymalowany w herby, pełen zamaskowanych dam i kawalerów. Opera się skończyła. Wtedy to pod dopiero co zapaloną latarnią spostrzegłam świeżo wydane obwieszczenie policji naklejone na kilku starszych. Aha, spis ostatnio zakazanych książek. Zabrania się je posiadać, drukować, kupować i sprzedawać. Winnym tych przestępstw grożą najsurowsze kary etc. Moje rozmiłowane w skandalach oko szybko prześliznęło się po prohibicach w poszukiwaniu czegoś ciekawego. „Obrona Reformacji” – nie, nudny protestantyzm. „Filozoficzne refleksje o łasce” – jansenizm, jeszcze nudniejsze. „Uwagi o

zdrowiu państwa" nieznanego autora podpisującego swe prace pseudonimem „Kato”. Ależ to d'Urbec, uczoney przyjaciel Lamotte'a. A więc taki los spotkał twój reformatorski traktat. Oto do czego doprowadziła cię teoria geometryczna, która miała uzdrowić finanse królestwa. Ścigają cię, biedaku, jeśli już teraz nie przebywasz gdzieś na wygnaniu. Nie wiedzieć czemu poczułam się tak, jakbym właśnie wróciła z pogrzebu.

– Zakazana książka to istny rarytas dla zbieracza, droga pani markizo. – Tę ad hoc sformułowaną uwagę wygłosił abbe, który pochwyił kierunek mego spojrzenia. Znasz się na rzeczy, stary rozpustniku, pomyślałam, wszak z tego właśnie żyjesz.

– Ten, kto posiada takie książki, nie lepszy jest od zdrajcy narażającego na szwank całość królestwa – orzekł monsieur Leroux.

– Tydzień temu na placu de Greve łamali kołem jakiegoś zdrajcę – wtrąciła się Brigitte. – Wszyscy mówią, że było to piękne widowisko przy blasku pochodni, cóż, kiedy mamam nie pozwala mi chadzać na egzekucje.

– Nie przystoi młodej panie chodzić na nocne egzekucje bez eskorty – powiedziała stanowczo jej matka.

– To prawda – poparł ją pan Leroux. – Taka rzecz nie przystoi żadnej niewieście z pozycją. Ja, ma się rozumieć, będę zawsze osobiście eskortować moją małżonkę podczas tak godnych polecenia widowisk. Podnoszą one moralność – stwierdził, ściskając rękę Amelie.

– Na owych zakazanych publikacjach można zbić duże pieniądze – rzucił mimochodem niegodziwy abbe, najwyraźniej chcąc myśl tę podsunąć kupcowi. Bacznie obserwował tamtego podczas przejażdżki, co pozwoliło mu wyciągnąć odpowiednie wnioski.

– Pieniądze? – powtórzył pan Leroux z żywym zainteresowaniem. – O, chyba jednak nie takie duże – dodał prędko.

– Kiedy „Le colloque atoreux” umieszczono na indeksie, cena książki wzrosła od razu z dwudziestu soldów do dwudziestu liwrów. Dziś nie da się nabyć już ani jednego egzemplarza. Gdyby jednakowoż pojawił się jakiś, trzeba by dać za niego trzydzieści liwrów, jeżeli nie więcej – przez oblicze opata przemknął ironiczny uśmiech.

– Dwadzieścia... trzydzieści liwrów? Zdumiewające. Zatem zwrot kapitału... – kupiec pogrążył się w kalkulacjach.

– A jest jeszcze przykład ojca Dupre, który napisał anonimowy list do policji, denuncjując w nim swój własny traktat atakujący jansenizm. Było to dzieło nudne i zgoła nieoryginalne.

Gdyby nie ów donos, nikt by nie kupił ani egzemplarza, a tak cała edycja rozeszła się w ciągu miesiąca i to po cenie dziesięciokrotnie przewyższającej pierwotną. – Abbe z niemiłym uśmiechem pochylał się w stronę kupca, by stwierdzić konfidencyjnym szeptem: – Grunt to mieć potężnego patrona.

– Ale... ale to skandal! – wykrzyknął monsieur Leroux, dając wyraz swemu oburzeniu. – Choć patrząc na tę rzecz z innej strony, można w niej dostrzec godną pochwały ambicję. Dużo to lepsze od upokorzenia płynącego z poniesionego fiaska. – Wyraz satysfakcji na jego twarzy nieomylnie świadczył, iż on sam w żadnym ze swych przedsięwzięć nie poniósł fiaska oraz że mecenas wybitnej osobistości w pełni uświęca każdy zgoła rodzaj interesów.

Podczas tej rozmowy powóz nasz zdołał się już przebić przez Pont Neuf, choć na chwilę trzeba było zwolnić przejazd z powodu tłumu zebranego wokół podwyższenia, na którym jakiś człowiek popisywał się wielkim kunsztem w wrywaniu zębów. Dzięki oświetlającym podwyższenie pochodniom wszystko widać było jak na dłoni. W chwilę potem zostawiliśmy powóz wśród mnóstwa innych pojazdów ustawionych rzędami przed wejściem na jarmark, sami zaś, pokonawszy kilkanaście wiodących w dół stopni, wkroczyliśmy w kryte dachem alejki prastarego targowiska. Było ono tak stare, że grunt zapadł się znacznie poniżej poziomu ulic, jakby nie wytrzymał naporu tych milionów stóp udeptujących go dziesiątki i setki lat. Długie rzędy kramów oświetlonych tysiącami świec wabiły zwiedzających w wąskie przejścia zwane „uliczkami” – piekarzy, szewców, złotników, zależnie od oferowanych towarów. Sprzedawcy lemoniady, czekolady pitnej i słodczy chórem wykrzykiwali swoje ceny. Tam gdzie handlowano żywnością, unosiły się pomieszane wonie przygotowywanych potraw. W oczekiwaniu na wytwornych gości w wielu z nich pod wieczór ustawiano stoły; wabiły teraz oko bielą lnianych obrusów i blaskiem płonących kandelabrow.

My poszliśmy uliczką de la Mercerie obejrzeć meble oraz rzadką porcelanę z Indii i innych krajów Azji. Amelie niestrudzenie wydawała radosne okrzyki na widok każdego przedmiotu, który rada byłaby widzieć w swoim domu po ślubie. Rozwieszone wszędzie afisze reklamowały „piece a ёсгйеаих”, „sztukę na tablicach”; stosując ten wybieg jarmarczni komedianci unikali oskarżeń o łamanie prawa, jako że wyłącznie paryskim teatrom przysługiwał przywilej słowa mówionego. Tu zastępowano je dialogiem wypisanym na wielkich tablicach, które zmieniano w miarę biegu akcji. Na chwilę przystanęliśmy za plecami dwóch wytwornisiów w pastelowych jedwabiach targujących się z kupcem o jakąś wagę. Drgnęłam cała, gdyż jeden z nich wydał mi się z tyłu podobny do wuja... czy jednak miał on taki płaszcz?... toteż odczułam niebywałą ulgę, gdy obróciwszy się ukazał nam swe oblicze:

Bogu niech będą dzięki, to nie kawaler de Saint-Laurent! Podczas gdy moja kompania podziwiała wystawione nie opodal klejnoty, koronki, srebra oraz różnokolorowe góry wszelakich owoców i łakoci, mnie wciąż jeszcze ciarki biegały po skórze; co chwila rozglądałam się na boki, jakby z ciemności miało się nagle wyłonić jakieś straszne, budzące odrazę paskudztwo.

Tam gdzie uprawiano hazard, stali ludzie w dziwacznych kostiumach, zachwalając szczególne uroki owych spelunek; nas także próbowali skłonić do wejścia. Krzyki sprzedawców mieszały się z przytłumionymi odległością dźwiękami pieśni, klawikordu i fletów dobiegającymi z jakiegoś teatru. Po co ja tu przyszłam? Ktoś może mnie przecież rozpoznać, myślałam zdjęta nagłą paniką. Znajdą mnie... odbiorą mi wszystko... Stawiałam kroki jak w transie, prawie nie zauważając otoczenia.

Minął nas wystrojony bogacz w asyście czterech lokajów w liberii.

– A to ci dopiero! – szepnął mi do ucha abbe. – Musiało się tu dzisiaj zgromadzić zaiste najlepsze towarzystwo. Nawet kieszonkowcy wyglądają jak ludzie z najwyższej sfery. – Przymilny ton jego głosu wydał mi się nieprzyzwoicie poufały i to przywróciło mi przytomność. Bacznie rozejrzałam się dookoła – i rzeczywiście! Zobaczyłam czyjąś białą rękę w koronkowym mankiecie, która szybkim jak mgnienie oka ruchem wycofała się z kieszeni grubego jegomościa zajętego eskortowaniem dwóch podstarzałych niewiast.

– Ooch! Cóż za boskie kolczyki! – wykrzyknęła Amelie, ciągnąc pana Leroux w rzęsiście oświetloną uliczkę zwaną l'Orfeverrie, gdzie prezentowano wszelką możliwą biżuterię. Przechadzało się tędy wiele zamaskowanych kobiet w asyście swoich galantów. Co chwila czyjąś dłoń obciążona elegancką rękawiczką wskazywała ten czy inny przedmiot.

– Spójrz, drogi przyjacielu, jaka urocza broszeczka – dobiegł nas wysoki, wytwornie modulowany głos. Musiał to być głos wykształconej arystokratki, może damy dworu?

– Należy do ciebie, moja droga – odpowiedział galant. Nabył upragniony klejnot i z ukłonem wręczył go swemu bóstwu.

– Sprawileś mi wielką przyjemność, drogi przyjacielu, ach, czuję się jednak zmęczona.

– Pozwól zaproponować sobie coś orzeźwiającego. Diuk de Vivonne utrzymuje, że całe towarzystwo powinno skosztować nowego napoju. Podają go nie opodal w tureckim stoisku. Podobno cudownie ożywia zmysły.

– Panie Leroux – wykrzyknęła Amelie – pójdźmy i my tam zaraz! – Narzeczony, któremu pilno

było odwrócić jej uwagę od niebezpiecznie drogich błyskotek, skwapliwie zgodził się zadośćuczynić skromniejszemu życzeniu wybranki.

Idąc w ślad za zamaskowaną parą, trafiliśmy do tureckiego pawilonu, gdzie zajęliśmy miejsca obok wejścia, przy jednym z biało nakrytych stołów wypełniających całe obszerne pomieszczenie. Nad głowami gości płonął ogromny acz dosyć zwyczajny kandelabr. Kelnerzy w ogromnych turbanach i bufiastych szarawarach roznosili budzące ogólną ciekawość mosiężne tace zastawione mnóstwem maleńkich emaliowanych naczyń. Wszędzie unosił się dziwny zapach mocno przypominający swąd palonego korka – ha! to pewnie ten turecki napój! – za późno było już jednak rejterować, nie uchybiając zasadom dobrego tonu.

– Och, och, mój drogi – mimo panującego zgiełku do uszu mych dotarł przenikliwy głos zamaskowanej damy – nie godzi się doprawdy, byśmy siedzieli tak blisko pospółstwa! – Madame Bailly i jej córki pochłonięte kontemplowaniem koronkowych ozdób i koafiur zasiadających tuż obok dam nie zwróciły na to uwagi, ale rozbawiony abbe rzucił mi wymowne spojrzenie. – Ta kobieta na przykład, o tam, – mówiła dalej nieznajoma – wszak to nie kto inny jak mademoiselle de Brie, ta komediantka z Theatre de la rue Guenegaud. Rozpoznaję ją z całą pewnością po tej okropnej sukni i płaszczu z trenem. Przysięgnę, że strój ten jest własnością trupy albo może kupiła go na starzyźnie.

Przeniosłam wzrok na bardziej elegancką część sali, by się przyjrzeć inkryminowanej sukni. Wbrew złośliwym słowom wrogo usposobionej damy prezentowała się bardzo wytwornie, a nosiła ją wysoka kobieta w aksamitnej masce, zatopiona w ożywionej konwersacji z galantem, którego twarzy nie mogłam dostrzec, odwrócony był bowiem tyłem. Widziałam tylko zawadiacko przekrzywiony kapelusz z mnóstwem piór, spod którego spływały aż do ramion misterne pukle, i aksamitną błękitną opończę podbitą szkarłatnym jedwabiem, malowniczo udrapowaną na jednym ramieniu. Kobieta wydawała się w równym stopniu ożywiona, co i zafascynowana swoim rozmówcą. Zauważyłam, że figura tej damy ma już za sobą najlepsze lata, lecz śladów wielkiej niegdyś urody nie mogła przesłonić nawet czarna maska.

– To me najlepsze dzieło. Napisałem je wyłącznie po to, by na jego tle twa uroda i talent tym większym zabłyśły blaskiem – dotarły do mnie słowa galanta. Cóż za świetna scenka! Starsza wpływowa aktorka i młody dramaturg, któremu pomaga w karierze. Jak ten młodzieniec jej schlebia!

Przyniesiono nam wreszcie budzący tyle zachwytów rarytas – okrzychaną turecką kawę. W miniaturowych naczynkach ujrzelśmy trochę czarnej i tak gęstej cieczy, że na tle białej emalii

przypominało to łyżkę dziegciu. Nie, nie wyglądała zachęcająco. Nikt z nas nie chciał wszelako zostać poczytanym za nieobytego prostaka, niejedno bowiem już dziwo oglądały dziś nasze oczy. Podziwialiśmy egzotycznego szopa, co prawda na rysunku, bo żywy egzemplarz zdążył już niestety zdechnąć, widzieliśmy też człowieka o dwóch głowach, z których jedna była drewniana. Czy ktoś mógłby się teraz przyznać, że ów smolisty napój obwołany największą atrakcją tegorocznego jarmarku wydaje mu się paskudny?

Pan Leroux pierwszy podniósł do ust swoje naczynie, czujnie obserwowany przez wpatrzoną w niego jak w tęczę Amelie.

– Nadzwyczajna – oznajmił. – Trochę jak przypalony karmel – uzupełnił swoją opinię, nim ostrożnie zaczerpnął drugi maleńki łyżek.

Jego narzeczona ujęła czarkę prawdziwie wyszukany gestem podpatrzonym u dam siedzących obok.

– O, ma pan zupełną rację, panie Leroux! Kawa jest nadzwyczajna – wykrzyknęła, jakkolwiek słowom tym przeczył mimowolny grymas.

– ... nie widzę tu nikogo znaczniejszego. Jak można mówić, że to najmodniejsze miejsce? Jego miłość księżę miał zapewne na myśli inny jakiś pawilon – nadpłynął ku nam wysoki głos damy dworu. Basowa odpowiedź jej towarzysza utonęła w brzęku naczyń. – Kimś znacznym mogłaby być najwyżej ta zawoalowana osoba w czarnych jedwabkach, o tam, obok opata, gdyby nie towarzystwo tych niemożliwych mieszczan...

Teraz i ja pociągnęłam łyk kawy. Nawet spod olbrzymiej ilości cukru nadającej napojowi konsystencję ciągliwego syropu przebijał jego wyjątkowo gorzki posmak.

– Chodźmy, mój aniele – powiedział dramaturg tonem głębokiego niesmaku; najwyraźniej on też usłyszał to samo, co ja. – Ta wiejska szlachta z prowincji wypłoszyła stąd całe dworskie towarzystwo. Nikt prawdziwie wytworny więcej się tu nie pokaże – wykwinnym gestem podał ramię swojej towarzyszce. Ta ujęła w dwa palce długi tren płaszcza i tak predefilowali przed obliczem zamaskowanej damy. Zanim zniknęli w wyjściu, rozpoznałam tego galanta! Ach, wryła mi się w pamięć jego twarz, każdy jej szczegół, poczawszy od wywoskowanych wąsów, skończywszy zaś na tych brązowych lokach opadających aż na koronkowy kołnierz, które jednak – jak teraz uznałam – zawdzięczał chyba użyciu gorących żelazek. Andre Lamotte, piękny a ubogi rycerz z rue de Marmousets, miał się widać dziś znacznie lepiej.

– O rety, jaki przystojny kawaler – zauważyła Brigitte – ale – dodała bystro – ta dama jest o

wiele dla niego za stara.

– To dramatopisarz Andre Lamotte – powiedziałam niedbale, czując, że drży we mnie każdy nerw. Czy sprawił to ten czarny napój?

– Och, pani markiza tyle wie o ludziach z towarzystwa! – westchnęła madame Bailly.

– Lamotte... Lamotte... – powtórzył w zamyśleniu opat – uhm, znam to nazwisko. Przed Bożym Narodzeniem byłem w Theatre de la rue Guenegaud i widziałem tam... jakże nazywała się ta sztuka? Nie schodziła z afisza przez kilka tygodni... Ach, już wiem: „Osmin”. Była to rzewna historia tureckiego księcia umierającego z miłości do pięknej chrześcijanki, której twarz czasem tylko ukazuje mu się w oknie... – abbe przerwał, by posłać mi tęskne spojrzenie. – Wie pani chyba, markizo, że mężczyzna potrafi skonać z płomiennej miłości – dodał, próbując położyć mi rękę na kolanie. Sprzeciwiłam się temu stanowczo.

– Mój Boże, jakie to romantyczne! – westchnęła Amelie.

– Miała pewnie blond włosy i płeć jak płatek róży – cierpko zauważyła Brigitte. – Czyż nie tak wygląda każda dama z romansu? Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś umarł dla takiej, co ma pryszcze.

Zajęta sączeniem resztek gorzkiego napoju poczułam przyływ ożywienia. Myśli płynęły mi szybciej, wyostrzyły się moje zmysły. Cudowny ten napój, myślałam, koniecznie muszę go zdobyć. W smaku nie jest najlepszy, ale za to jak działa! Miesiąc w uzdrowisku nie dałby memu ciału tyle siły, a myślom takiej jasności. I wtedy to powiedziałam sobie, że muszę mieć Andre Lamotte'a. Postanowiłam zdobyć go za wszelką cenę. Używając każdego sposobu, jaki tylko znają czarownice.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zaledwie w jakiś tydzień później przy ulicy Pont-aux-Choux potajemnie zjawił się doktor Rabel, wytworny szarlatan poznany u hrabiostwa de Bachimont. Pilno mu było zapytać o swoją przyszłość, absolutnie jednak nie przy świadkach. No i nie bez powodu. Już pierwszy obraz, który ukazała mi czara, odsłonił przede mną prawdę: doktor Rabel był trucicielem dość systematycznie wyprawiającym na tamten świat swych pacjentów – za pieniądze, ma się rozumieć. Poszukałam drugiego obrazu i ujrzałam swego gościa w roli zaufanego doradcy jakiegoś bogatego cudzoziemca. Zmuszony będzie nagle wyjechać z Francji, powiedziałam, ale zdobędzie bogactwo na którymś z zagranicznych dworów.

– Tak, tak. Wiem, kim jest ten cudzoziemiec, rozpoznaję go z opisu. To król Anglii. Ha, a więc zostanę nagrodzony! Czeka mnie fortuna! – patrzył teraz na mnie z jeszcze większym respektem. – I ty, madame... To najlepszy dowód... Dowód, iż szatan naprawdę działa na tym świecie, ty zaś jesteś z nim w przymierzu. Inaczej nie zjawiłabyś się w moim życiu, tak mroczna i tajemnicza, nie mówiłabyś o nagrodzie za moje... uczynki. – Twoje zbrodnicze uczynki, dopowiedziałam w myślach. Ogarnął mnie niesmak na widok jego uszczęśliwionej miny. Pomyślałam, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego, że nawet jako ewentualny uczestnik mego eksperymentu mającego na celu zbadanie struktury przyszłości jest mi także całkiem nieprzydatny. Taki człowiek absolutnie nie byłby zainteresowany jakąkolwiek zmianą obrazów, które ujrzałam w naczyniu. – Diabeł... – jakimż marzycielskim tonem wyrzekł to słowo! – Kiedy go poznałaś? Czy możesz mi go ukazać? Czy ofiarowując ci ów nadprzyrodzony dar widzenia przyszłości zażądał od ciebie duszy? – Zaczynał drażnić mnie ten jego bełkot.

– Jeżeli nawet, to mnie nic o tym nie wiadomo – odparłam niedbale, próbując stłumić irytację. – Jestem jedynie owocem niefortunnych zabiegów alchemicznych... Zwyczajną dziewczyną z dobrej rodziny... zdradzoną przez ukochanego... nieudanym eksperymentem – zerknęłam na swego słuchacza. Wydawał się zdruzgotany tym, co powiedziałam. Pójdzie sobie, niedobrze. Nie powinnam go całkiem zniechęcać, ostatecznie pieniądze, które mogę od niego wyciągnąć, nie są rzeczą do pogardzenia. – Oczywiście – dodałam szybko – nie mogę twierdzić, że mój były kochanek, opat, nie trzymał z diabłem, w chwili gdy sporządzał ową maść.

– Tak, tak – zaczął mamrotać mój klient. – Większość opatów tak czyni... tak, to zrozumiałe... – Jak dla kogo, pomyślałam. – Nie musiała wiedzieć, to kobieta... – bełkotał dalej. – Jednakże być w zмовie z diabłem nawet pośrednio to też coś... diuk na pewno... tak... Moja droga markizo, musisz pozwolić, bym wprowadził cię w tajny krąg ludzi, którzy będą tobą

niezmiernie zainteresowani... ha! Ty i ja... Świat oniemieje z podziwu!

Uf. Najpierw fałszerze srebra, teraz truciciel, a w perspektywie bogaci wielbiciele diabła. Niezbyt to miła perspektywa. Ci znudzeni dworacy parający się czarną magią są na tyle potężni, że potrafią być niebezpieczni nawet bez pomocy swego suwerena. Widać było wyraźnie, że ta moja profesja staje się z każdym dniem bardziej skomplikowana. Całe szczęście, powiedziałam sobie, że mam kogoś, kto może mi udzielić światłej rady. Muszę przy najbliższej okazji porozmawiać z La Voisin. Wcale mi się nie uśmiecha kończyć jako ofiara kultu szatana, którą jego pomyleni wyznawcy zechcą złożyć mu na ołtarzu w czasie jakiejś głupiej ceremonii.

„5 marca 1675. Dlaczego ludzie tak uparcie próbują nawiązać kontakt z diabłem? Jeśli nie ma Boga, nie ma i szatana, więc wszystkie ich wysiłki to głupota i strata czasu. A jeśli Bóg istnieje, to w imię czego ktokolwiek o zdrowych zmysłach może pragnąć przymierza z tak nędzną i podrzędną kreaturą, jaką jest diabeł? Nie tylko przeczy to logice, ale świadczy o nader złym smaku." Pozostałą część strony zapełniłam portretami Lamotte'a.

– Na twoim miejscu wcale bym się tym nie martwiła – powiedziała czarownica z rue Beauregard, obracając w palcach kocią główkę z bursztynu. Za oknem, choć to była już wiosna, kłębiły się tumany przenikliwie zimnej mgły, ale tu, w gabinecie madame, gdzie na kominku huczał wielki ogień, panował niemal upał. Stojąc przed jej biurkiem, czułam pot spływający po krzyżu. Spojrzenie La Voisin mówiło, że dziwią ją moje opory i że robię się chyba... krnąbrna.

– Ofiarą składaną podczas czarnej mszy – zaczęła mi tłumaczyć – bywa czasem najwyżej nowo narodzone dziecko, zwykle jednak wystarczy jakieś zwierzę bądź po prostu trochę ludzkiej krwi. Ty w ogóle nie wchodzisz w rachubę, jesteś na to o wiele za stara. W najgorszym razie mogą cię poprosić, abyś posłużyła za ołtarz, ale i do tego lepsza jest dziewica: łatwiej jej przywołać diabła. Kiedy taką mszę odprawia się na czyjąś intencję, a tym kimś jest kobieta, ona sama zazwyczaj ofiarowuje się służyć za ołtarz, chyba że z jakiegoś powodu zażąda zastępstwa. Mężczyźnie do tego celu zawsze potrzeba kobiety, to oczywiste. Ale z jej strony jest to usługa całkowicie dobrowolna, bo zresztą jak inaczej dałoby się ustawić kielich?

Parsknęła zduszonym chichotem i zapatrzyła się w ogień, jakby coś zgoła innego zaprzątnęło jej myśli. Po chwili dopiero ułożyła usta w ów dziwny kanciasty uśmieszek podobny do litery V.

– Tak więc nie masz się czym trapić – rzuciła pobłażliwym tonem. – Cokolwiek zrobią tamci, udawaj znudzoną, niby że to dla ciebie nie pierwszozna. Nie takie widywałaś rzeczy.

Przekonasz się potem, jak to wpłynie na twoje interesy: pójdą od razu w górę. O, bo kult diabła jest dziś w wielkim świecie szalenie modny. Tańce, gry hazardowe, a nawet prowadzenie wojen, wszystko to już przejadło się jaśnie wielmożnym. Nowość, tego im trzeba! – Odłożyła bursztynową kocią główkę. Gest ten w jakiś sposób dał mi do zrozumienia, że konsultacja skończona. La Voisin podniosła się ze swego fotela, podczas gdy ja wciąż jeszcze stałam przed zarzuconym mnóstwem przedmiotów biurkiem. Ze sterty na wpół ukończonych horoskopów mrugnęła do mnie kocia główka. Liczne kolorowe buteleczki i parę oznaczonych literami rejestrów walczyły o lepsze z czystymi kartkami papieru, piórem, wreszcie wulgarnym satyrem mieszczącym w brzuchu atrament. – Ach – powiedziała od drzwi, patrząc na mnie przez ramię – gdybyś zobaczyła ojca Guibourga, koniecznie mu przypomnij, że zalega z ostatnią płatnością.

Tak uzbrojona do boju już w następnym tygodniu znalazłam się w przepysznym pałacu księcia de Nevers, członka potężnego rodu Mancinich, siostrzeńca nieżyjącego kardynała Mazariniego. Diuk, który jak się dowiedziałam, po amatorsku parał się czarną magią, żywił gorące pragnienie zawarcia bliższej znajomości z diabłem. Gotów był uczynić wszystko, byle ujrzeć go na własne oczy. Nawet wśród równych stanem cieszył się szczególnym mirem: nie co dzień przecież spotyka się kogoś, kto wpadł na pomysł ochrzczenia wieprza. Tego wieczoru w salonie księcia zebrano się niezbyt liczne acz interesujące towarzystwo. Był więc między innymi diuk de Brissac, jeden ze słynnych adeptów alchemii, który przez cały wieczór rozprawiał o Paracelsusie i „La clavicule Salomon”, co spotykało się ze zrozumieniem kilku obecnych alchemików, mnie jednak strasznie nudziło. Doktor Rabel zdążył mnie już poinformować, że de Brissac, przepuściwszy fortunę na hazard i hulanki, zmuszony jest żyć z łaski księcia de Nevers jako stały rezydent jego pałacu. Senna ze znużenia siedziałam więc między doktorem i perorującym Brissakiem, słuchając drugim uchem rozmowy pana domu z włoskim wróżbitą nazwiskiem Visconti, skądinąd ulubieńcem samego króla. Tym, co interesowało księcia, były szczególnie silne jakoby wpływy szatana w Italii.

– Można tam zobaczyć rzeczy ekstraordynaryjne, o których w Paryżu nawet się nie śniło. Powiedzże mi, warto w tym sezonie wybrać się w podróż do Rzymu?

– Italia, wasza miłość, bliższa jest Inkwizycji niżli diabłu – odparł dość chłodno Włoch. – Dawanie wiary każdej najfantastyczniejszej opowieści leży w interesie Świętego Oficjum, Italczyki zaś wskutek powszechnej ciemnoty wierzą każdemu słowu inkwizytorów. I tak tworzy się opinia o szczególnej mocy szatana w tym kraju. Nie, mości książę, jeśli chcesz zobaczyć diabła, równie łatwo znajdziesz go w Paryżu.

– Ach, mam ci dziś do pokazania inne cuda. Chcę usłyszeć o nich twoje zdanie, które cenię

sobie wielce. Zwłaszcza od czasu, gdyś tak trafnie przepowiedział ostatnią wiktoryę jego królewskiej mości nad Holendrami! Powiem ci zatem, że mam pod swoim dachem niebywały fenomen, córkę pewnej jasnowidzącej. To dziecko potrafi w lustrze czyjeś sekretne myśli, imaginujesz to sobie? Ostatnio zaś odkryłem jeszcze większe cudo, tę oto starą kobietę w czarnym stroju... – zniżył głos do szeptu. Poczułam na sobie chłodne spojrzenie Włocha. Był szczupły i smagły, lat około dwudziestu pięciu, ubrany z najwyższą elegancją. Policzki oblał mi gorący rumieniec; byłam zadowolona, że welon na spólkę z grubą warstwą ryżowego pudru skutecznie ukrywają me prawdziwe rysy. A więc o to chodzi! Pojedynek dwojga wróżbitów. Pokonam tego modnisa, powiedziałam sobie, dufna wiarą młodości, jako też wspomnieniem niedawnych sukcesów. Wszyscy oni to przesadni głupcy. Nawet ten Włoch.

Po krótkiej chwili przyprowadzono ładną dziewczynkę, z wyglądu dwunastoletnią. Kiedy ustawiono przed nią lustro, całe towarzystwo stłoczyło się wokół stołu. Po licznych inkantacjach i kilku nieudanych próbach odczytania myśli wysoko urodzonych spektatorów mała wybuchnęła płaczem.

– Powinieneś był przewidzieć, książę, iż będzie to próba daremna – odezwał się Visconti. – Wszak tylko dziewice mają dar czytania w lustrach, ta zaś dziewczynka została zdeprawowana w twoim własnym domu – popatrzył księciu prosto w oczy. Pilnie przyglądałam się twarzy pana de Nevers, ale nawet powieka mu nie drgnęła.

– Inna sprawa, gdy mamy do czynienia z fenomenem powtórnego dziewictwa zachodzącym w podeszłym wieku – wtrącił uczonym tonem doktor Rabel.

– Powtórne dziewictwo? – parsknął śmiechem włoski wróżbita. – Połowa paryskich oblubienic wiele by dała, byle osiąść na to sposób. – Pyszałek z tego Włocha, orzekłam w duchu. Jeszcze zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni.

– A oto drugi mój fenomen, odkryty szczęśliwym trafem przez naszego uczonego kolegę, doktora Rabela, markiza de Morville żyjąca długi czas w ubóstwie w klasztorze zgromadzenia sióstr Urszulanek. Ma ponad sto lat i jest ofiarą niefortunnego wypadku w pracy pewnego alchemika. – Wypowiedziawszy te słowa, diuk de Nevers poufale pochylił się nad uchem Włocha: – Chcę usłyszeć, co o niej myślisz.

– Pani sługa, madame – rzekł dwornie młodzieniec, składając mi wyraźnie przesadny ukłon.

– Cieszę się, mogąc w pańskiej osobie poznać tak znamienitego adepta wielu nauk – odpowiedziałam staroświeckim zwrotem zasłyszczanym w podobnych okolicznościach od babci. Czasem odwiedzali ją jacyś goście.

– Masz, pani, głos młodej kobiety... gdybyś jeszcze zechciała nieco unieść welon... – Tak więc nadeszła moja chwila. Dla wzmożenia efektu bardzo powoli uniosłam zasłonę, jednocześnie nakazując sobie spokój w starciu z ironią mojego rywala. Całe towarzystwo wydało pełne zdumienia westchnienie. Nawet ironia Viscontiego ustąpiła miejsca uznaniu. Ach, bo też efekt był przedni. Upiorna bladość (puder) oblicza w połączeniu z siną barwą ust (róż o fioletowym zabarwieniu) czyniły mnie dość podobną do nieźle zakonserwowanych zwłok lub jeśli kto woli, świeżo powstałej z martwych nieboszczki.

– Pani twarz, madame, jest... młoda i piękna – powiedział miękko Włoch – chociaż mówisz i chodzisz jak stara kobieta. – Mimo woli poczułam do niego sympatię: uznał mnie przecież za piękną! Nasze spojrzenia nagle się spotkały. – Ale oczy... oczy masz odwieczne – zakończył.

– Więc? – niecierpliwiał się de Nevers.

– To oszustka – wycedził Visconti. W salonie dało się słyszeć chóralne „ach”. Wciągając cię na czarną listę, Włochu, przyrzekłam mu w duchu. Wkrótce się tobą zajmę. – Nie jest wcale taka stara, jak twierdzi – mówił tymczasem mój rywal. – Jakikolwiek był ten wypadek, który sprawił, że twarz jej zachowała młodość, zdarzył się on dużo później. Markiza ma nie więcej niż lat dziewięćdziesiąt, no, najwyżej sto. – Dobrze. W pierwszej potyczce mogę odnotować remis. Przygotujmy się teraz do drugiej.

– Ale jej przepowiednie są nadzwyczajne – oświadczył doktor-truciciel – wiercie mi, wprost ekstraordynaryjne. – Kazałam przynieść wody, polecając oczyścić ją pięć razy. Ha, była już przygotowana. W pracowni alchemików nietrudno o destylowaną wodę. Na dzwonek księcia niezwłocznie zjawił się służący z pękatym dzbanem. Zaczęłam rozkładać swoje przybory starając się, by każda czynność robiła na widzach jak największe wrażenie. Cały czas czułam na karku wzrok Viscontiego.

– A teraz, monsieur Visconti, przepowiem ci przyszłość, ty zaś potwierdzisz, jeśli powiem prawdę. – Wymruczałam inkantację, zamieszałam wodę, na koniec obdarzyłam publiczność kilkoma tajemniczymi spojrzeniami. Niechaj domyślają się ich mrocznych znaczeń. Obraz w czarze wyłonił się prawie natychmiast: zobaczyłam ciemną nawę jakiegoś kościoła, a potem zamaskowaną kobietę. Weszła drzwiami od ulicy, rzucając za siebie ukradkowe spojrzenia. Po chwili zdjęła maskę, przystanęła obok misy z wodą święconą i zanurzyła w niej palce. Nie zauważyła skrytej w cieniu twarzy młodego Włocha powleczonej smutkiem bezgranicznej tęsknoty. Rozpoznałam na szczęście ten kościół.

– Panie Visconti, oto co ci powiem. Płoniesz miłością do pięknej kobiety, którą ujrzałeś w

południowym krużganku kościoła Świętego Eustachego. Będiesz tam teraz czyhał z nadzieją, że uda ci się znowu ujrzeć jej oblicze bodaj przez krótką chwilę. Dama ta jest osobą zamężną, ty zaś bezwstydnie ją ścigasz. – Przerwałam, ciesząc się już z góry zdumieniem swego przeciwnika, i raz jeszcze popatrzyłam w czarę. W wodzie działa się coś dziwnego. Obrazek nagle się zmienił, sam z siebie, bez żadnego udziału mojej woli. Tak przecież być nie powinno. Czyżby mój talent wymykał się spod kontroli? Jaka jest tego przyczyna? Czy to możliwe, bym go nadużyła? A opium? Może to sprawka opium? Chociaż... co mi to właściwie szkodzi, pomyślałam, skupiając znów uwagę na obrazku. To, co zobaczyłam, było dość zabawne. Zerknąwszy na towarzystwo stwierdziłam, że wszyscy skupili się przy mnie, z wrażenia wstrzymując oddech.

– Strzeż się, monsieur Visconti – żartobliwie pokiwałam palcem tuż przed jego osłupiałą twarzą. – Ona wyznaczy ci schadzkę... każe, byś zjawił się o umówionej porze w ogrodach Tuileries, ty jednak spotkasz tam przebraną pokojówkę, która będzie odgrywać swoją panią. Zapamiętaj to ostrzeżenie. Powiesz mi potem, czy moje naczynie ukazało prawdę. – Młody człowiek straszliwie poczerwieniał, towarzystwo zaś ryknęło śmiechem.

– Dobrze ci tak, Primi! – wykrztusił w końcu de Brissac.

– Musisz przyznać, że zadała ci mistrzowskie cięcie! – Ja zreflektowałam się nagle, że najmniej chyba ze wszystkiego potrzebny mi jest nieprzyjaciel w najbliższym otoczeniu króla. Muszę dać Viscontiemu szansę na wyrównanie rachunku.

– Monsieur Visconti, słyszałam o panu cuda. Mam prawo prosić, byś teraz ty dał pokaz swych umiejętności, odkrywając moją z kolei przyszłość.

– Doskonale, madame. Najpierw określe twój charakter za pomocą metody grafologicznej, a potem odczytam twe dalsze losy z rysów twarzy, jako że w dziedzinie fizjonomiki jestem, nie chwając się, mistrzem.

– O tak, to prawda – powiedziała półgłosem któraś z dam. – Byłam u komtesy de Soissons, kiedy nasz mistrz powiedział kawalerowi de Rohan, że na twarzy wyryty ma szafot. Zakochana w kawalerze madame de Lionne gwałtownie protestowała utrzymując, że to najpiękniejsze oblicze na świecie, ale rację miał jednak Visconti.

Jako próbkę charakteru pisma wręczyłam Włochowi jedno zdanie: „Rozum jest koroną ludzkiego umysłu.” Wydawał się rozbawiony.

– Pani markiza ma bystry dowcip, a wyostrzyła go sobie mnóstwem filozoficznych lektur...

– Co prawda, to prawda – westchnęłam. – Gdyby ludzie zdolni byli pojąć śmiertelną nudę żywota trwającego półtora wieku, sami nigdy by się nie nudzili. Już od kilku dziesiątków lat nie mam absolutnie nic do czytania.

– Uczęszcza pani do kościoła, aczkolwiek raczej niezbyt często, jak na tak pobożną i sędziwą damę, w dodatku długoletnią rezydentkę klasztoru. – Teraz mnie z kolei wypadło się zdenerwować.

– Dalej – powiedziałam. Przyjrzał się mojej twarzy uważnie to z tej, to z tamtej stronv.

– Czoło – zaczął, kiwając głową jak mędrzec – jest szerokie, co świadczy o inteligencji. Nos zdradza stanowczość i dumę. Jest to nos zdobywców, takich jak Cezar. W tym wypadku śmiało można mówić, że ma on starożytną linię, noblesse de Γεπέε. Dostrzegam wszelako jeden punkt słaby, ten zbyt mały i wąski podbródek. Zgubi cię sentymentalizm, droga markizo. Cała twarz ma kształt serca, co znaczy, że nasza markiza stworzona jest do miłości, przed czym jednak powstrzymuje ją duma. Przypuszczam, pani, iż handlujesz ową maścią pozwalającą ci zachować wiekuiłą młodość?

– Panie Visconti, jak ci nie wstyd tak znieważać świętą pamięć mojego małżonka! Ja i handel, cóż za dziki pomysł! Przypomnij sobie własną matkę, nim powiesz rzecz tak okropną! – Wygłosiłam tę tyradę w sposób wyjątkowo dobrze imitujący gniewne zrzęczenie starej damy.

– Resztę – oznajmił Visconti – powiem już markizie na osobności, gdyż ani w mej intencji, ani interesie nie leży ambarasowanie czcigodnych niewiast. Teraz, markizo, dam ci tylko jedną radę: strzeż się osób, z którymi trzymasz.

– Ach – westchnęli widzowie; widać słowa te wywarły na nich wrażenie.

– Bądź też ostrożna, gdy ktoś obcy proponuje ci jadło lub napitek. – Doskonale, pomyślałam, wszystko to są ogólniki, Visconti zaś triumfuje. To dobrze. Nie będzie mi już nieprzyjazny. On tymczasem wstał i pochyliwszy się nad stolikiem, szepnął mi do ucha: – Zuchwała z ciebie dziewczyna, ale dzielna, a ja nie miałem serca cię demaskować. Chyba prawie już się w tobie zakochałem. A musisz wiedzieć, że gustuję w całkiem innych kobietach, wysokich i jasnowłosych. Ale ty... ty, drobna i krucha jak dziecko, masz w sobie dzielność wszystkich rycerzy, którzy kiedykolwiek próbowali wywalczyć sobie królestwo.

Mimo pudru poczułam, że na policzki wypełza mi krwisty rumieniec. Goście znów wybuchnęli śmiechem przekonani, że markiza de Morville otrzymała nieprzystojną propozycję.

– Ach, ten dzisiejszy świat! Wszak to świat samych grzeszników! – wykrzyknęłam z żarem,

potrząsając laską i mierząc nią w Viscontiego.

– Dlaczego sędziwe osoby zawsze są tak źle usposobione? – zapytał z leniwym uśmiechem. – I cóż za pożytek z remedium, które wygładzając skórę, nie przepędza spod niej złych humorów?

Tego wieczoru wygłosiłam jeszcze wiele przepowiedni, a matce dziewczyny, która zaszła w ciążę z kochankiem tuż przed zaręczynami z kandydatem na męża wybranym jej przez rodziców, zaleciłam wizytę u La Voisin. Nie wiedziałam dokładnie, co właściwie w takich sprawach robi moja patronka, jednak już od pewnego czasu zaczęłam podejrzewać, że może tu w grę wchodzić coś jeszcze poza talizmanem bądź proszkiem z suszonego serca gołębia. Mimo to nie miałam pojęcia, co naprawdę dzieje się z tymi zamaskowanymi kobietami wysiadującymi w jej poczekalni. Widziałam tylko, że są blade, napięte i że każda bardzo starannie unika wzroku pozostałych.

Pod koniec wieczoru de Nevers w uznaniu moich zasług kazał wręczyć mi sakiewkę srebra. Lokaj, który ją przyniósł, miał ochotę coś z niej sobie uszczknąć, podobnie Rabel, ale i tak zostało mi sporo, zwłaszcza że sprytnie ukryłam połowę zawartości, zanim doktor zdążył ją przeliczyć. Wcale się nie zdziwiłam, gdy w tydzień później nadeszło zaproszenie od marszałkowej de Clerambaut, wychowawczynie dzieci księcia Filipa, brata najjaśniejszego pana. Sam Monsieur cieszył się opinią niezłego astrologa. Miałam udać się do Palais-Royal.

Dość mam czerni, powiedziałam sobie, patrząc tego wieczoru w skromny kwadracik lustra. Zmęczyło mnie to udawanie starej damy, to wpatrywanie się w wodę aż do bólu oczu i te ciągle kłamstwa. Mogłabym uchodzić za ładną, gdybym miała suknię w barwach wiosny – taką, jak mówił opat. I odpowiednio skrojoną – żeby widać było haftowaną halkę i ani kawałka butów. Te wytworne damy wcale nie są takie piękne, w każdym razie nie wszystkie. Stroje mają piękne. A ja jestem już prawie prosta, może nawet zupełnie – przynajmniej tak to wyglądało w przyćmionym świetle pojedynczej świecy stojącej obok lusterka. Nie, nie jestem ani taka chuda, ani taka znów mała.

Jak bardzo brakuje mi teraz Marie-Angelique, dumalam smętnie. Teraz, kiedy najbardziej by mi się przydała. „Naprawdę chcesz mieć nową suknię, siostrzyczko? – zapytałaby. – Och, chodźmy więc do Au Paradis na Pont au Change pooglądać rysunki modnych toalet. Mają tam też najładniejsze materiały i można je wszystkie zobaczyć już po uszyciu. Kiedy będę bogata, kupię sobie peniuar z tej prześlicznej indyjskiej bawełny i do tego aksamitne pantofelki, takie jak te, które niedawno widziałam w sklepiku naprzeciwko.” Marie-Angelique żyła zakupami, nawet będąc całkiem bez pieniędzy. Gdyby była przy mnie, zapomniałabym o swoich

metafizycznych troskach, zaczęłabym się cieszyć rzeczami, gromadzeniem nowych nabytków. „Za bardzo trapisz się, siostró – powiedziałaaby Marie-Angelique. – Kupimy ci parę ładnych kolczyków. W nowych kolczykach każda dziewczyna czuje się od razu odmieniona.” Może i słuszną filozofię życia wyznaje moja piękna siostra. Wyobrażałam ją sobie, jak gra wieczorami na klawesynie, a tłum zachwyconych kawalerów składa jej hołdy. Jakie to szczęście urodzić się piękną... otrzymać od losu darmowy przywilej. Tak, to prawdziwy luksus.

Napracowałam się tego wieczoru wróżąc wielu osobom; teraz czułam ogromne zmęczenie w całym ciele. Połknęłam pełną łyżkę opiumowego syropu i znów zapatrzyłam się w lustro. Uważaj, mówił mi rozum, pamiętaj, przed czym przestrzegaly cię czarownice. Gdy przestaniesz kontrolować swoje wizje, one posiadą ciebie; skończy się na tym, że postradasz zmysły. I oto w głębi lustrzanej tafli zaczął się jakiś ruch. Zbliżały się ku mnie czyjeś miniaturowe sylwetki... ja... ja wcale tego nie chciałam, a jednak... Nie patrz, mówiłam sobie i... nie mogłam oderwać od nich wzroku. Zapragnęłam nagle wejść tam do środka... między owe niewyraźne kształty, stopić się z nimi w jedno... Pośród brokatowych kotar ukazał mi się Lamotte. Siedział na brzegu wielkiego łoża. Miał rozpiętą koszulę... widziałam białą skórę nad wypukłością obojczyka i miejsce na szyi, gdzie tętniła krew. Pochylił się naprzód i zdjął koszulę. Boże, jaki on piękny! Jak urzeczona wpatrywałam się w jego nagą pierś ocienioną uroczym puszkciem delikatnych włosków... falowała miarowym oddechem... Andre... Przysunęłam twarz do lustra, tak że pokryło się mgiełką. W łóżku coś się poruszyło. Rozpoznałam białe kobiece ramię, krągłość barku, burzę jasnoblonde włosów... Po co, po co mi to było potrzebne! Czy tak właśnie samowolne wizje przywodzą człowieka do zguby? Odsłaniając rzeczy, które łamią serce?

Czułam, jak lży złością słone ścieżynki żalu w pokładach białego pudru. Czy odstręczyłam od siebie Andrego wtedy... owego dnia... bo wydałam mu się zbyt przemądrzała? Czy to, że starał się mnie oczarować, było tylko aktem łaskawej galanterii wobec nieszczęśliwej brzyduli? Pewnie! Inaczej być nie mogło. O, Genevieve Pasquier, byłaś tylko szczeblem, po którym chciał wspiąć się troszeczkę wyżej ku tej cudownej a nieosiągalnej twarzy, ku swemu aniołowi w oknie... A gdyby tak teraz się z nim spotkać? Gdybym wyglądała przy tym jak królowa? Wziąć od La Voisin trochę poudre d'amour i wsypać mu go do kubka? Śmiać się, wygadywać czarujące głupstwa, przewracać oczami jak inne damy?... Dostyc, Genevieve, nie bądź głupia. Choćbyś stanęła na głowie, Andre Lamotte i tak nigdy nie będzie twój. Zażyłam drugą łyżkę kordiału – i obraz zniknął.

– Madame – w drzwiach stała Brigitte. Przyszła pomóc mi się rozebrać. Nie byłam w stanie uporać się sama z tymi dziesiątkami guziczków i haftek ani wypłatać z obręczy wszytych w

obszerną halkę. Nareszcie udało mi się pozbyć tego wszystkiego i zostałam w samej tylko koszuli i gorsecie. Miał on przód z filigranowej siatki o płaskich oczkach zapinanej w środku na haczyki, tył składał się z długich stalowych prętów ściągniętych mocną sznurówką.

– Brigitte, pomóż mi, muszę zdjąć ten gorset.

– Ależ madame, sama kazała mi pani ścisnąć go coraz mocniej.

– Rozwiąż mnie, mówię, bo skonam! Muszę znów poczuć się sobą, niech się dzieje, co chce!

– Madame, na koszuli widać pełno śladów rdzy – oznajmiła Brigitte, rozwiązując sznurówkę.

Zdażyłam pomyśleć, że wyciśnięte ze mnie siódme poty nadgryzły już nawet tę niemiłosierną stal i... padłam jak długa na podłogę.

– O Boże, ratunku! – krzyknęłam. Mięśnie odzwyczajone od wysiłku przez tak długo noszoną stalową podporę osłabły i całkiem odmówiły mi posłuszeństwa. Nie było mowy, abym o własnych siłach mogła stanąć czy choćby usiąść. Czułam się jak stworzenie pozbawione kręgosłupa, jak robak. Przerażona Brigitte zawołała matkę; wspólnie udało im się w końcu zawlec mnie na łóżko. Leżałam na wznak w ciemności wpatrzona w niewidoczny sufit, czując przelewające się po ciele fale gwałtownej gorączki. Z mroku wyskakiwały poplątane obrazy... moja przeszłość, terażniejszość, przyszłość mieszały się z sobą i cały ten napowietrzny korowód sunął przede mną coraz szybciej w jakimś obłąkanym tańcu...

– Ha, już chyba ślimak ma lepszy kręgosłup. – To sen. Takie dziwne te sny. Teraz śni mi się La Voisin. Jaka wielka! Ma chyba z tysiąc metrów wzrostu i stoi jak góra koło mego łóżka w zakurzonym podróżnym płaszczu i szarym kapeluszu. Góra w kapeluszu z piórami?

– Wystarczy na chwilę wyjechać i już wszystko idzie w rozsypkę. Wracam z Lyonu i co widzę? La Filastre ukrywa pieniądze, a Guibourg podnosi stawkę. Co on sobie myśli? To przecież ja, ja narałam mu cały interes. Ten niewdzięcznik Le Sage też nie lepszy: komu jak komu, ale żeby mnie podkradać klientów?! Dobrze chociaż, że mała Pasquier zachowuje się jak należy, mówię sobie, a tu masz! Leżysz zwinięta w kłębek i umierasz z miłości. Nie odwzajemniona miłość – też mi powód! Lekarzu, ile jeszcze razy trzeba jej puścić krew, żeby gorączka spadła?

– Jeszcze raz i powinno wystarczyć – dobiegła mnie czyjaś odpowiedź. Z bardzo daleka.

– Dobrze. Natnij jej teraz piętę. Nie chcę, by miała widoczne ślady. – Poczułam, że ktoś unosi pierzynę, usłyszałam głosy i kroki jakichś ludzi. – A teraz, mademoiselle, podasz mi nazwisko tego człowieka, który tak rujnuje moją inwestycję.

Dziwaczny jakiś ten sen. I dlaczego nie leżę w swoim łóżku u madame Bailly?

– Gdzie jestem? – zdaje się, że zadałam to pytanie.

– Przestań mnie denerwować! Nie wspominaj mi tej wścibskiej baby! Nie wiesz, że węszy dla policji?! Dość miałam kłopotów z wywiezieniem cię od niej tak, żeby nie złapała wiatru! Nazwisko, mademoiselle, prędkiej! Wiem, że na imię mu Andre. Andre i co dalej? Mów! Lamotte?! Lamotte, ten dramatopisarz?! O, jakaś ty głupia! Z nim nie dorobiłabyś się żadnej przyszłości! Takie nic! Słuchaj, ty niemądra duszyczko, i weź sobie do serca, co ci powiem. Brissac dojrzał już do zerwania. Wiem, że wciąż kłóć się z Neversem. Z Brissakiem szybko rozwiniesz interes, ma tytuł. Jest przy tym chciwy jak diabli. Niech no tylko zobaczy, ile zarabiasz, a będziesz go tu miała w mgnieniu oka. Wyobrać cię też potrafi nie gorzej niż ten Lamotte, ile tylko zechcesz. W dodatku to alchemik, możemy więc liczyć na dostawy... mniejsza o to. Że też ci przyszło do głowy zakochać się w najambitniejszym żigolaku, jakiego zna Paryż! Mówię ci, zakochaj się w Brissacu, z tego będziemy coś miały...

– Brissac jest odrażający... – wyszeptalam.

– A ty myślisz, że stać cię na grymasy? Zapamiętaj sobie: weszłaś w interes, więc pożegnaj się z wrażliwością. Na to nie ma tu miejsca. A jak już weszłaś, koniec, stąd nie ma odwrotu. Niech no cię tylko przydybie twój kochający braciszek, a wiesz chyba, co się z tobą stanie? Skorzysta ze swego prawa i zabierze cały twój dobytek. Ty zaś na jego wniosek pójdziesz do klasztoru, gdzie czeka cię dożywocie. Mało to występków masz już na sumieniu? Widział to kto, żeby panna z zacnej rodziny sama mieszkała, sama zarabiała na życie? I to jeszcze jako wróżbitka! Dla policji będzie to skandal jak się patrzy. Teraz dają ci spokój, bo myślą, że jesteś wdową, no i cieszysz się naszą protekcją. Nie myśl, że będzie tak i wtedy, kiedy strzeli ci do głowy pożegnać się z nami i uciec. Wyjdz tylko spod moich skrzydeł, a póki życia nie zobaczysz już bożego świata, to ci gwarantuję!

W miarę jak krew z mojej pięty płynęła do miski chirurga, ogarniała mnie coraz większa słabość, równocześnie jednak zaczęła mi wracać przytomność. Zobaczyłam malutkie okienko z widocznym w nim skrawkiem błękitu i ukośny sufit opadający przy łóżku prawie do podłogi. Wiedziałam już teraz, gdzie jestem: w willi La Voisin, w malutkiej sypialni na poddaszu.

– A teraz słuchaj, co masz robić. Jutro wstaniesz, włożysz gorset i pojedziesz do Palais-Royal. Zobowiązań trzeba dotrzymywać. Pamiętaj: jeśli zbijesz fortunę, kupisz sobie Lamotte'a na zabawkę, jeśli nie... powiem brutalnie: człowiek, którego nienawidzisz, wysika się na twój grób. Sama widzisz, że nie ma przed tobą innej drogi, jak tylko wspinać się w górę.

– Nienawidzę tego gorsetu. Nie wytrzymam w nim już ani chwili.

– Nie wytrzymam? Takie słowa nie istnieją. Jednak poczawszy od jutra możesz go na noc zdejmować. Musisz wzmocnić sobie kręgosłup, bo taki jak teraz nie na wiele się przyda. A wiesz, że już jesteś prostsza, nawet bez gorsetu.

Prostsza? Powieki miałam coraz cięższe, a pokój zdawał się zapadać w jakąś otchłań. Byłam damą prościutką jak strzała, chodziłam po ogrodzie otaczającym przepyszny pałac, zrywając świeżo rozkwitłe róże. Słyszałam męski głos wzywający mnie po imieniu. Mogę być piękna. Mogę być bogata i kochana. Róże... Tak. Potrzebna mi różowa suknia.

W małym salonie Palais-Royal płonęły setki świec, odbijając się w licznych lustrach; spotęgowany ich odbłask wracał ku złoconym ścianom, w których zapalał tysiące iskier. Najdostojniejsi goście zasiadali na krzesłach krytych brokatem, pomniejsi musieli komentować się miejscem na solidnym zydłu przybranym ozdobną frędzlą. Pozbawione pozycji płotki stały czy raczej czujnie krążyły wśród krzesel, z szacunkiem przysłuchiwały się rozmowom, gotowe w stosownym momencie przymilić się zręcznym pochlebstwem. Marszałkowa ukryta za wachlarzem – bez którego, zima czy lato, dworska dama nie mogła się obyć – parsknęła w pewnej chwili przekornym śmieszkiem.

– Ależ droga hrabino – zwróciła się do towarzyszki – mówi się, że markiz de Seignelay całkiem stracił dla ciebie głowę!

– Nie odpowiadam za to, komu się podoba na mnie patrzeć. Rzecz w tym, czy ja na niego patrzę. A markiz, musisz przyznać, ma w sobie coś niewątpliwie mieszczańskiego, chociaż trudno orzec, jaka sprawia to cecha.

– Pewne tylko, że ma ją po ojcu, tym okropnym Colbercie. Cóż za hańba, że nasz król tak chętnie mianuje ministrami ludzi znikąd... Co do markiza jednak, czyż nie jest to uroczy młodzieniec, doskonały pod każdym względem? No i oczywiście nadzwyczaj majątny...

Pewnie! – pomyślałam. Musi być taki. Gdyby można mu było zarzucić najdrobniejsze uchybienie konwenansom, małą niezręczność słowną czy wreszcie najmniejszą bodaj skazę w stroju lub na urodzie, jaśnie wielmożni oczywiście zamknęliby przed nim swe salony. Nieomylnym bowiem świadectwem dobrej krwi jest wygląd, jedyne dobro, jakie sama wyniosłam z ulicy des Marmousets. Tego nie da się kupić ani podrobić. Dlatego La Voisin nie może się beze mnie obejść. Nikt w żadnym salonie nie poczyna markizy de Morville za oszustkę. Ogarnęło mnie zadowolenie, a wraz z nim wrócił mi zapal do pracy.

- Cokolwiek złego myślisz o Colbercie, chyba nie zaprzeczysz, że Louvois jest o niebo gorszy.
- Minister kontra minister, uśmiechnęłam się w duchu.
- Ach, Louvois! – wykrzyknęła ze śmiechem druga dama. – Ten dopiero ma posturę lokaja!

Do rozmowy włączył się jakiś arystokrata w zielonych aksamitach. Jego obuwie na przesadnie wysokich krwistoczerwonych obcasach stanowiło ostatni krzyk mody, spopularyzował je bowiem sam Monsieur.

- Słyszałem, że Louvois desperacko stara się poprawić aparycję. Ponoć godzinami wystaje przed lustrem, radząc się różnych znawców, w którym miejscu przypiąć sobie wstążki. – Obie damy wybuchnęły śmiechem: Louvois krygujący się przed lustrem! Ten okrutnik i mściwiec, którego jedno słowo mogło zniszczyć, którego pacholek, La Reynie, uzbrojony w tajne królewskie pełnomocnictwa, tylko czeka, by aresztować każdego, kogo wskaże wszechmocny zwierzchnik. Wyobraziłam sobie, co by to było, gdyby Louvois pojawił się teraz tu, w tym salonie. Jak uprzejmie witaliby go ci sami szydery! Jak niskie byłyby ich ukłony, a jak szerokie uśmiechy! I jaką salwą śmiechu pożegnaliby ministra, ledwo by zamknął za sobą drzwi. Czy sam zainteresowany niczego się nie domyśla?

Ten wieczór nie należał jednak do ministra. Jego bohaterami mieli być dwaj okultyści – amator i profesjonalista – z których każdy postanowił zadziwić rywala.

- Słyszałem – powiedział jakiś starszy, nie znany mi jegomość – że ktoś sporządził horoskop, dysponując jedynie charakterem pisma.

– Komuż to udała się taka sztuka? – zapytała komtesa de Gramont, której akcent wciąż jeszcze zdradzał angielskie pochodzenie. Wysoka i jasnowłosa, poruszała się po salonie z tą absolutną pewnością siebie właściwą kobiecie święcie przekonanej, iż jest przedmiotem westchnień połowy obecnych mężczyzn. O jej mężu mówiono, że to nie tylko rozpustnik z nosem arlekina, ale i okrutny zazdrośnik.

- Osobiście wierzę, iż sztuki tej dokonał Primi Visconti – oświadczył opat de Hacqueville.

– Visconti! To amator – skrzywił się neapolitański duchowny. Mówił z bardzo mocnym akcentem włoskim. – Jego przepowiednie nie są poparte konieczną ku temu wiedzą, tylko ja bowiem jestem początkiem i źródłem tej szczególnej sztuki, co zamierzam dziś zademonstrować.

- Brawo, ojczyźnie Pregnani! – zawołał podstarzały jegomość. – Pokaż nam swą sztukę i zaćmij nią sławę rodaka! – A więc to jest Pregnani, rywal Viscontiego. Primi ma przed sobą bardzo trudny

orzech do zgryzienia. Ojciec Pregnani zdobył bowiem nie lada rozgłos przepowiadaniem rezultatów końskich gonitw bogatym arystokratom. Gdy przystąpił do sporządzenia horoskopu na podstawie samej tylko próbki pisma, asystowali mu wszyscy obecni; ja również z niejakim zainteresowaniem śledziłam jego poczynania.

Ale to markiza de Morville wyniosła z owego wieczoru najwspanialszą korzyść. Sprytna stara dama kompletnie podbiła serca kilku pań obeznanych z tajnikami wróżbiarstwa, pozwalając każdej z nich własną metodą interpretować oglądane przez siebie obrazy. Przy okazji rozgorzał niezwykle gorący spór o pierwszeństwo chiromancji nad sztuką czytania z samego kształtu dłoni i palców, tak że nawet komtesa de Gramont przestała flirtować z ojcem Pregnanim i przyłączyła się do dyskusantek, markiza zaś pod koniec wieczoru otrzymała od niej zaproszenie, o którym dotąd mogła zaledwie marzyć. Pani de Gramont, chcąc zaskarbić sobie łaski coraz bardziej zropaczonyj monarchini, postanowiła dostarczyć królowej jeszcze jedną wróżbitkę, jako że jej wysokość ustawicznie korzystała z usług całej chmary osób tej profesji. Teraz markiza de Mondlle, najnowsze odkrycie modnego Paryża, miała udać się do Wersalu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– To twa pierwsza wizyta u dworu – powiedziała z ukontentowaniem La Voisin. Siedziała w fotelu, pozwalając kotom ocierać się o spódnicę. Mnie zaofiarowała zydel. Awansuję, pomyślałam. Pewnego dnia zaproponuje mi krzesło. – Wystarczyło zajrzeć w twoją przyszłość, by zyskać pewność, że zajdziesz bardzo wysoko – stwierdziła moja protektorka. – Masz jeszcze ochotę na kawałek marcepana? – Nie musiała mnie dwa razy pytać. Wzięłam największy. Uśmiechnęła się w taki sposób, że najchętniej zamieniłabym ten kawałek na mniejszy, było już jednak za późno. Zresztą strasznie lubiłam marcepan. – Mogę służyć ci wszelką radą, ma się rozumieć. Bywałam nieraz na dworze, w Saint-Germain, Fontainebleau, Wersalu, ale być w apartamentach królowej... ho, ho! Zrobiłaś zaiste ogromny krok naprzód i to bardzo, bardzo szybko. Jestem z ciebie zadowolona. – Skończyłam już jeść marcepan i zaczęłam myśleć o następnym. Nie będę patrzeć na tę tacę, postanowiłam.

La Voisin podniosła się nagle, aby podsyć ogień, który prawie już wygasł. Kiedy odwróciła się plecami, co prędzej pochwyciłam znów kawałek kuszącej słodkości. Tym razem mały, tego nie zauważy. Ona tymczasem wyjęła z szafy któryś ze swoich rejestrów i coś w nim zaczęła sprawdzać.

– Baw się dobrze pośród wielkich tego świata, moja droga – powiedziała, odkładając go na półkę. – Pamiętaj, że zawsze gotowa jestem pomóc tobie i twoim klientom, w razie gdyby potrzebowali... hm, moich małych a poufnych usług. – Usiadła i oczy jej się zwięziły, kiedy zlustrowała tacę. – No więc którego to dnia masz być w Wersalu? – podjęła znów konwersację, jak gdyby nie dostrzegła żadnego ubytku. – Chciałabym za twym pośrednictwem dostarczyć tam pewną niewielką przesyłkę. I jeszcze o jednym muszę ci przypomnieć... cóż, myślę o tobie jak matka, która pragnie jedynie twego dobra... nigdy, ale to nigdy nie okazuj cienia słabości tym jaśnie wielmożnym. Wierz mi, to są wilki w owczej skórze! Niech no wyczują w tobie najlżejszą niepewność, od razu pożrą cię żywcem! Bądź harda! Tylko bezczelność popłaca! Musisz ich oszołomić, to jest właśnie to, czego pragną! Zawsze też polegaj jedynie na sobie i własnym rozumie. Żadnym przyjaźniom nie ufaj. W gnieździe żmij znalazłabyś więcej życzliwości aniżeli na dworze Króla Słońce. – Zważywszy na to, kto mi tych przestrożg udzielił, zrobiły na mnie wrażenie.

– Będzie ci potrzebna dworska suknia – nagle zmieniła temat – z tym jednak trzeba się wstrzymać, póki bardziej się nie wzbogacisz. Na razie musi ci wystarczyć to, co masz. Ale może chciałabyś zobaczyć moją? – zapytała ze śmiechem. – Hafty i przybrania ma wprost

niezrównane. Cóż, musi tak być, skoro sama ta suknia kosztuje pięć tysięcy liwrow. – Z jakich to okazji bywała na dworze? Doprawdy interesujące. Bo przecież nie z chęci oglądania króla w kąpielu. Zgodnie ze zwyczajowym ceremoniałem monarcha kąpał się publicznie.

W sypialni otworzyła szafę wypełnioną rzędami toalet starannie owiniętych w muślinowe pokrowce. Unosząc jeden do góry, pokazała mi jedwabne cudo w odcieniu porannej zorzy, z którym pięknie współgrało seledynowe podbicie. Spod kolejnej osłony wykwitła istna tęcza taftowych halek.

– O, jakie piękne! – westchnęłam z udanym zachwytem. Wiedziałam, w czym rzecz: chce zaostrić mój apetyt na luksus. Nietrudno to było odgadnąć, widząc jej chytre spojrzenie.

– Musisz wiedzieć, że kobiety naszej profesji są mile widziane na dworach całego świata z wyjątkiem, rzecz jasna, nieokrzesanych prostaczek jak ta wulgarna La Bosse. Uważaj na swe maniery i pamiętaj o moich radach, a wkrótce i ty będziesz mieć tuziny takich toalet.

– A taką? Tę z czerwonego aksamitu? – z szacunkiem dotknęłam przepysznej materii, której rąbek wysunął się spod pokrowca; złotą nicią wyhaftowano na niej dwugłowe orły.

– Takiej nie dorobisz się nigdy – stwierdziła poprawiając pokrowiec. Zabrzmiało to kategorycznie. Zanim suknia zniknęła mi z oczu, zdążyłam dostrzec jeszcze wspaniałe koronki w kolorze morskiej zieleni. – Ta szata to symbol władzy. Zdobyć ją można tylko w jeden sposób: zostając królową. – Przechyliwszy głowę, wpiła we mnie błyszczące oczy w najgłębszym odcieniu czerni; patrzyła z takim namysłem, jakby mnie widziała po raz pierwszy. – Oho, zastanawiasz się nad tym, co, moja droga? Patrzy ci to z tych szarych oczu, a więc słuchaj. Na zdobycie korony rozumu masz z pewnością dosyć; przyznaję, niewiele jest takich, ale to jeszcze nie wszystko. Aby zostać dobrą czarownicą, trzeba charakteru, a tobie całkiem go brakuje. Nie muszę więc z obawy przed tobą nie sypiać po nocach. Co ty na to? – rzuciła kpiąco, z trzaskiem zamykając szafę.

Pomyślałam sobie o stoikach. Przed oczami pojawił mi się pan Descartes. Oto postawiono mi ciężki zarzut: nie jesteś dość szalona, aby zostać dobrą czarownicą. Mój ojciec, który tak kochał paradoksy, byłby tym ubawiony.

Pukanie do drzwi przerwało mi wątek myśli.

– Madame, na dole czeka już ta dziewczyna, co kazała ją tu pani sprowadzić, i małżonek wrócił właśnie z paczką.

– Dziękuję, Margot, to świetnie. Ile sztuk przysyła nam Samson?

– Cztery, madame. Tutaj będzie je pani suszyć, jak zwykle?

– Ma się rozumieć. Przynies paczkę. – Spojrzała na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby chciała się o czymś upewnić. – Nie mam żadnych sekretów przed tą naszą małą markizą – oświadczyła żartobliwym tonem. – A węgle w sam raz się wyżarzyły. – Miałam więc rację myśląc, że ten piec za gobelinem służy jakimś specjalnym celom.

Gdy Margot wyszła z pokoju, La Voisin oznajmiła mi nowinę:

– Znalazłam ci ładniutką i sprytną pokojówkę. O dworze wie wszystko. Nie tylko dostarczy ci wszelkich informacji o osobach tam poznanych, ale co równie ważne, ustrzeże przed kompromitacją. Przy braku doświadczenia zawsze należy się z tym liczyć, a już na dworze szczególnie. Wystaw sobie choćby taki przykład: pukasz do drzwi, miast w nie zaskrobać. Cóż to byłoby za hańba! Ta mała zawsze ci podpowie, gdzie trzeba skrobać, a gdzie pukać... którym klientom otwierać własne drzwi do połowy, a którym na oścież. Wszystko zależy od rangi. Na dworze najważniejsza rzecz to hierarchia i etykieta. W tym nie wolno ci popełnić błędu, to sprawa najwyższej wagi. Aha, zacznij zaraz zapuszczać paznokiec na małym palcu lewej ręki. Wszyscy dworacy tak robią, gdyż ów paznokiec potrzebny jest właśnie do skrobania w drzwi – urwała. Po krótkiej pauzie podjęła z wyraźnym ukontentowaniem: – Bardzo to szczęśliwy przypadek, że natknęłam się na tę dziewczę... Służyłaby pewnie do dzisiaj u La Grande Mademoiselle, gdyby nie zadała się z jednym hultajem. No ale pobyt w Salpetriere bardzo rychło przywiódł ją do skruchy, tak więc posłała mi słówko. A ja z czystej życzliwości, ach to moje zbyt szczodre serce!, wyciągnęłam ją stamtąd, a teraz pomagam dziewczynie ułożyć sobie życie od nowa.

Wydało mi się to nader interesujące, zgodnie bowiem ze znaną mi praktyką istniał tylko jeden sposób, aby taka dziewczyna mogła opuścić więzienie: zamienić je na dożywotni pobyt w koloniach.

Wynikało z tego, że wpływy La Voisin sięgają nawet „szpitali” i więzień. Tak czy inaczej, zdobyła jeszcze jedno posłuszne narzędzie, które ślepo wykona każdy jej rozkaz. Będę miała przy sobie szpiega, który nie omieszka donieść swej dobrodziejce o każdym moim kroku. Ach, ta filantropia! Niezły z niej sposób na życie!

– Tak, madame, jesteś doprawdy zbyt hojna. – Dotarł do niej dwuznaczny sens tej wypowiedzi, spojrzała więc na mnie dość ostro, zaraz jednak zajęła się mężem, który właśnie wszedł do sypialni.

– No, jesteś wreszcie! W głowie się nie mieści, jak można się aż tak guzdrać! Ile trzeba czasu

na przejście tych paru kroków? Zupełnie jakby Samson mieszkał na drugim końcu miasta! – Antoine Montvoisin raz przynajmniej wziął rozbrat ze swym ulubionym szlafrokiem. Miał dziś na sobie mocno sfatygowany ubiór z szarego samodziału, na głowie zaś zżartą przez mole perukę z koziego włosia, na której tkwił szeroki kapelusz z żałośnie obwisłym rondem.

– Kazał mi... hik!... długo czekać – odrzekł słabym głosem. Nie zważając na zniecierpliwienie żony, która odsłoniła już piecyk, stał nadal jak uosobienie słabości; jego wątłą postacią raz po raz wstrząsała cichutka czkawka.

– Odpakujże je wreszcie i rozłóż na blasze! Tylko uważaj, żeby z nich nie kapąło jak ostatnim razem. I na miłość boską, zrób coś z tą piekielną czkawką!

– To ty ją... hik!... wywołałaś, więc jeśli rani twe uszy... hik!... sama miej sobie za złe. Następnym razem zachowaj ten ropuszy proszek... hik!... dla swoich klientów...

– Jak śmiesz znieważać moją profesję, skoro z niej żyjesz! Och, jakie mokre! Będą schły całe wieki! Nie mogłeś to powiedzieć Samsonowi, by dał nam trochę starsze? – uwijała się koło pieca całkiem jak skrzętna gospodyni sporządzająca zimowe zapasy. Mnie zrobiło się słabo, gdy dotarło do mej świadomości, co znajduje się w paczce przysłanej przez owego Samsona, głównego kata Paryża i zarazem kochanka La Voisin. Były to ludzkie ręce.

– Czy ten zapach nie przeszkadza ci, madame... tutaj, w sypialni? – próbowałam mówić spokojnie, jakby takie rzeczy nie robiły na mnie wrażenia, ale głos mój brzmiał ciszej niż zwykle. Może i prawda, że nie stworzono mnie na czarownicę.

– O, nie jest wszak gorszy od woni wędzących się szynek. Poza tym... tak pachnie dostatek, ten zaś zapach nie sprawia mi żadnej zgoła przykrości. Co to, to nie. O, pardon, widzę, że zzieleniałaś. Chcesz usiąść? – Nim to zdążyła powiedzieć, już ciężko opadłam na łóżko.

– Oj, tylko mi nie zaplam dywanu! – zaniepokoiła się La Voisin. – Weź nocnik! Mój ty Boże, i ciebie posyłać na dwór! Słaba wciąż jesteś jak kurczak.

– Po... po co one? – wyjąkałam.

– Ręce chwały? Mając taką rękę, możesz odnaleźć ukryte skarby. Połowa dworu nosi je przy sobie, zaszyte w damskich sukniach bądź męskich kieszeniach. Zapewniają wygraną w karty i inne gry hazardowe. Nie musisz się aż tak krzywić! Jak się je dobrze wysuszy, wyleci z nich całe paskudztwo i zrobią się malutkie. Skurczą się i zwiną, rozumiesz? Kupuję te ręce od kata, ci ludzie i tak już nie żyją. I to nie ja ich zabiłam! Król to uczynił albo jego sądy. Czemuż by z tego nie mieć niewielkiego profitu? Myślę, że czyniąc, co czynię, tworzę ze zła coś dobrego. A

że zarabiam na rzeczy, która bez tego całkiem by się zmarnowała? Bo wiem, ile znaczy gospodarność. Nic nie powinno się marnować! Ucz się ode mnie, a potrafisz ludzkie zło i niegodziwość obrócić na swoją korzyść!

Czy starożytni Rzymianie umieli zaradzić mdłościom? Trudno dociec. Nie mówiąc już o tym, że na pewno żaden z rzymskich mędrców nie próbował wymiotować, mając na sobie taki gorset.

– Antoine, przytrzymaj jej głowę, bo zachłapie tę porządną suknię, która kosztowała mnie tyle pieniędzy! Oj, mademoiselle, kompletnie brak ci zimnej krwi! I ty pragniesz zemsty? Ty byś nawet muchy nie zabiła! Doprawdy nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam drugiego takiego mazgaja! Całe szczęście, że znalazłam ci tę pokojówkę, bo inaczej już po tygodniu wśród jaśnie wielmożnych wilków byłby z tobą koniec – z hałasem zatrzaskała piecyk.

Antoine Montvoisin litościwie podał mi ramię i sprowadził ze schodów, mruczając:

– Może sobie być potężna, ale... hik!... we mnie dusza mocno trzyma się ciała. Wytrzymałość to... hik!... wielka zaleta. Ale tobie radzę... hik!... nie sprzeciwiać jej się. Nie wprawiaj jej w gniew, a gdyby już tak się stało... hik!... przyda ci się dobra rada. Staraj się... hik!... mieć przy sobie odtrutkę, a w jej braku pij dużo mleka... hik! gdy smak zupy wyda ci się, hik!... dziwny. Sam stwierdziłem... hik!... że mleko działa najskuteczniej, chociaż... hik!... pozostała mi po nim ta przekłeta czkawka. Mówię ci to, ponieważ... hik!... dostrzegam w tobie więcej przyzwoitości... hik!... niżli w kimkolwiek innym.

Tej nocy znów miałam sny dziwne i straszne. Byłam w ogromnej, bogato złoconej jadalni i wraz z eleganckim towarzystwem siedziałam przy pięknie nakrytym stole, biorąc udział w błyskotliwej konwersacji. W świetle płonących kandelabrow migotała srebrna zastawa, talerze i półmiski kusiły mnogością różnorodnych potraw. Jedną z nich był smakowity pasztet. Któryś z panów zatopił w nim nóż, chcąc odkroić kawałek dla swej towarzyszki. Pasztet jęknął ludzkim głosem.

– Och, jakież on wstrętne! – wykrzyknęła dama. Jej towarzysz pośpiesznie wycofał nóż, a ja zobaczyłam z przerażeniem, że miejsce cięcia wzbiera żywą krwią.

– Lepiej by zrobili, gdyby nie zapraszali na obiad takich rzeczy. Trzeba mieć trochę taktu – zauważył z niezadowoleniem jakiś kawaler cały wystrojony w koronki. Lokaj nalał mi tymczasem do pełna kielich zielonego kordiału. Był dziwnie gęsty.

– Och, ja już dziękuję – powiedziałam. – I tak już za dużo wypiałam. – Za dużo. Za dużo. Czy

znam kogoś przy tym stole? Rozejrzałam się i oto z trzech stron spojrzeli na mnie trzej przyjaciele z rue des Marmousets: Lamotte, obwieszony wstążkami, Gryfon w jakichś jasnych aksamitach i wreszcie d'Urbec, widmowo blady w swych czarnych jak noc jedwabkach.

– Powiedz mi, mój drogi – zagadnął go Gryfon – czy ten pasztet pisze coś do druku?

– To już nie wystarczy ci, że mówi? – sarknął d'Urbec na swój ostro-zgryźliwy sposób. W jego czarnych, dziwnie zapadniętych oczach błyszczało gorzkie szyderstwo. Pomyślałam, że się zmienił. Przedtem nie dostrzegłam w nim goryczy.

– Monsieur Lamotte, wyjdźmy już z tego przyjęcia – poprosiłam błagalnym tonem. Nie byłam tego pewna, wydawało mi się jednak, że to on mnie tu przyprowadził.

– Ani mi się waży wychodzić! – krzyknął mężczyzna zajądający ostrygi. – Ty płacisz za obiad!

– Ale ja nie mogę... – zaczęłam z rozpaczą, lecz piskliwy głos którejś z kobiet zagłuszył moje protesty.

– Musisz! – wrzasnęła. – Co ty sobie myślisz? – Całe towarzystwo zaczęło nagle klócić się o to, kto pokryje koszty obiadu. Klótnia z każdą chwilą stawała się gorętsza.

– Mademoiselle Pasquier – odezwał się zniżonym głosem Lamotte – nie mogę jeszcze stąd wyjść. Właśnie przygotowuję sobie jutrzejsze śniadanie – mówiąc to, zaczął napychać kieszenie jadłem. – Zgodnie z przywilejem poety. – Zgarnął jeszcze z tuzin rogalików, które ukrył pod stołem, a potem wziął malutką serwetkę i zawinął w nią wagę z zupą, co uczyniwszy, wsunął ją sobie za koszulę. D'Urbec tymczasem wpatrywał się we mnie z jakimś szczególnym skupieniem: jego wzrok zdawał się widzieć wszystko.

– Panią ta rzecz denerwuje, mademoiselle – stwierdził, przykrywając własną serwetką krwawiący pasztet. – Choć gdybyś uważniej przeczytała szósty rozdział mych „Uwag o zdrowiu państwa”, nie dziwiłby cię ten widok. Chodźmy stąd, póki czas. Za chwilę od tej ich klótni wszystko tu stanie w płomieniach. – Między zwaśnionym towarzystwem posypały się pierwsze ciosy, od których talerze pospadały ze stołu, a płonący kandelabr potoczył się po obrusie, siejąc dziesiątki iskier. D'Urbec ujął mnie pod ramię i umknęliśmy w ciemność. Nikt nas nie zauważył.

Spocona z przerażenia leżałam bez ruchu, tęsknie wyczekując świtu. Co te moje sny mogą znaczyć? Czy w ogóle sny mają jakieś znaczenie?

W tydzień później pędziłam do Wersalu wielkim powozem marszałkowej zaprzężonym w szóstkę doborowych siwków. Naprzeciw, ściskając pudło na kapelusze, siedziała moja nowa

pokojówka, zuchwała dziewczucha o włosach barwionych henną, a z nią jeszcze dwie osoby: zaufana pokojówka marszałkowej oraz któraś z jej ubogich krewnych pełniąca obowiązki damy do towarzystwa. Sama madame i mademoiselle d'Elbeuf zajmowały miejsca po obu mych bokach. W niewielkiej odległości od pałacu, tuż przy rozwidleniu traktów, skąd uchodzi odnoga do Marly, dobiegły nas z tyłu okrzyki i ostre strzelanie z bicz. Pokojówka madame wychyliła się z okna, aby sprawdzić, kto jedzie.

– Ile koni? – zapytała jej pani. Gdyby ich było cztery, nadjeżdżający powóz nie mógłby żądać przed nami pierwszeństwa.

– Sześć – zameldowała pokojówka.

– A barwy? Jakie barwy noszą ludzie?

– Błękitno-srebrne. To powóz madame de Montespan.

– A zatem proszę bardzo! Każ woźnicy zjechać, bo inaczej znajdziemy się w rowie. – Zaledwie nasz powóz zdołał przystanąć na porośłym trawą poboczu, przetoczyła się z hukiem olbrzymia kareta; spienione konie gnały pełnym cwałem, wzbijając spod kopyt strumienie błota. Mignęły mi w oknie twarze trzech kobiet i blada twarzyczka chłopca. Ujechaliśmy za nimi chyba milę, gdy znów przyszło nam się zatrzymać. Kareta pani de Montespan stała na środku drogi, forysie w błękitno-srebrnych liberiach kłócili się ostro z woźnicą, a dwie rozsłochane pasażerki załamywały ręce nad sponiewieranym ciałem ubogiego przecinacza winorośli zmiażdżonego przez rozpędzony powóz. Nieszczęśnik dźwigał widać na plecach wiązkę tyczek, które leżały teraz rozsypane po całej drodze. Na poboczu stała milcząca rodzina. Z okna powozu wychyliła się pulchnawa blondynka o wydatnym nosie i trochę cofniętym podbródku.

– Wsiadajcie, mówię! I na cóż te sentymentalne jęki! Czysta hipokryzja! Gdyby nie stało się to na waszych oczach, łzy byście nie uroniły! Wszak forysie ostrzegli tego człowieka. Każdy wie, że dama z moją pozycją jeździ szybko. Ten ekwipaż mógłby ścigać się z wiatrem! – Jedna z jej towarzyszek wytarła nos, druga zaczęła zawodzić jeszcze głośniejsze. – Bądźcie cicho! – krzyknęła zirytowana właścicielka powozu. – Tego tutaj zgubił jego tupet! Skoro taki zuchwalec nie usuwa się z drogi, podróżny ma wszelkie prawo jechać dalej, na nic nie zważając.

– To pani de Montespan – szepnęła moja pokojówka. A więc to jest najnowsza królewska maitresse en titre, awansowana do owej rangi z pozycji maitresse en delicat w chwili, gdy La Valliere, dotychczasowa oficjalna faworyta, po tysięcznych upokorzeniach zmuszona była usunąć się do klasztoru.

– Zawinili twoi słudzy, a ty ich nawet nie skarcisz? – wystąpiła z zarzutem ciemno ubrana dama stojąca nad trupem biedaka. Zwróciła zapłakaną twarz w stronę lokajów i krzyknęła ostro: – Nędznicy! Gdybym ja była waszą panią, mielibyście się z pyszna!

– Ten chłopiec w powozie to diuk du Maine, najstarszy syn pani de Montespan – szeptem poinformowała mnie pokojówka. – Dama w czarno-szarym stroju to pani de Maintenon, wychowawczyni dzieci madame, ta druga zaś to markiza d'Hudicourt. – Markiza ciągle szlochała. Na drodze zebrał się już tłum, który usłyszawszy ostrą wypowiedź pani de Maintenon, zaczął wznosić na jej cześć okrzyki:

– Niech żyje madame de Maintenon, brawo!

– Bądźcie tak dobre, moje panie, i wsiądźcie do powozu! – rozkazała madame de Montespan. – Chcecie, by mnie tu ukamienowano? – Jej towarzyszki wszakże póty nie godziły się jechać dalej, póki królewska faworyta nie oddała im własnej sakiewki dla rodziny zabitego biedaka. Wtedy dopiero wsiadły do powozu, który zaraz też ruszył z kopyta.

– Mój Boże! – jęknęła dama do towarzystwa. – Temu człowiekowi oczy kompletnie wyszły z głowy! Zaraz po przyjeździe będę musiała wypić filiżankę czekolady, inaczej tego nie zniosę!

– Taka czułość wobec kogoś obcego stanowczo jest nie na miejscu – stwierdziła lodowato mademoiselle d'Elbeuf. – Nie było to w końcu rozmyślnie zabójstwo.

Przez resztę podróży siedziałam cicho.

Przed oblicze najjaśniejszej pani wprowadziła mnie mademoiselle d'Orleans, księżna de Montpensier.

– Chcę wiedzieć, jakiej płci będzie moje dziecko – oznajmiła jej wysokość ciężką francuszczyzną z wyraźnie hiszpańskim akcentem. Trzymając w ręku półotwarty wachlarz z kości słoniowej, siedziała w ogromnym fotelu obitym brokatową materią wykończoną na brzegach złotą frędzlą; nogi fotela – z litego srebra – powleczone były grubą warstwą pozłoty. Przyglądałam się królowej z ciekawością. Miała lat około czterdziestu, lecz wrodzona słabość kompleksji uczyniła ją przedwcześnie przywiedłą. Zbyt wiele królewsko-książęcych dynastii wycisnęło piętno na twarzy i ciele tej niskiej jasnowłosej kobiety o żółtej cerze i wyłupiastych oczach, której dziwaczne rysy przywodziły chwilami na myśl nieledwie oblicze chimery. Żaden z pochlebnych portretów monarchini nie oddawał, rzecz jasna, tych defektów. Ha, było się czemu dziwić, bowiem świta miłościwej pani sprawiała również niezwykle wrażenie. Tworzyło ją kilka hiszpańskich dam dworu, surowych i ciemno ubranych, trójka ulubionych karłów –

dwóch niższych ode mnie mężczyzn o dużych głowach i krzepkiej budowie ciała oraz filigranowa kobietka, której zgrabna figurka dziwnie kontrastowała z pomarszczoną twarzą – wreszcie dobre pół tuzina płaskopyskich kudłatych piesków, ogromnej zresztą brzydoty.

– Co dnia proszę Boga o drugiego syna – uzupełniła swą wypowiedź jej wysokość. Nie widziałam u niej oznak brzemienności, mój osąd mógł być jednak mylny – brakowało mi w tych sprawach doświadczenia. Trzeba będzie zaufać naczyniu. Zaczęłam szukać wzrokiem odpowiedniego stołu. Olbrzymi salon bił w oczy przepychem, bogactwem złocień, boazeriami z rzadkich gatunków drewna zdobnymi w kunsztowne intarsje, pięknymi kształtami mebli wykonanych ze szlachetnych metali, a jednak... mimo owych wspaniałości wydawał się zimny i osobliwie jakoś pozbawiony duszy. Dlaczego? Po chwili to zrozumiałam. Apartamenty królowej były takie jak ona sama. Nigdy nie przemknęło przez nie bodaj tchnienie rozumu czy wiedzy. Tej hiszpańskiej księżniczce słusznie należałby się tytuł jednej z najgłupszych kobiet Francji, tak płaskie i bez polotu były jej słowa i myśli. Snując te rozważania, nie przestawałam rozglądać się za stolikiem i wreszcie go wypatrzyłam. Był to sprzącik z litego srebra, tym lepiej wpadający w oko, że wisiał nad nim ciemny gobelin niewątpliwie hiszpańskiej proveniencji. Kiedy wskazałam go ręką, służba natychmiast przyniosła mi srebrny zydeł pięknie inkrustowany złotem, z wygodnym, miękko wyściełanym siedzeniem. Przywiozłam z sobą jedno ze swych najładniejszych naczyń, które kazałam napęlić wodą, sama zaś rozpostarłam kawałek czerwonego płótna z tajemnymi znakami Kabały i z ogromnym namaszczeniem przystąpiłam do wyboru mieszadełek. Podczas inkantacji i mieszania wody kilkakrotnie zauważyłam, że jej królewska wysokość spogląda na mnie z aprobatą i nagle domyśliłam się powodu owej łaskawości. Wszystkie stłoczone koło stołu damy nosiły staroświeckie krynoliny nie bardziej hiszpańskie od mojej. Co więcej, połowa obecnych była ode mnie tylko nieco wyższa, tę drugą ja trochę przewyższałam wzrostem. Pasowałam przeto doskonale do całej tej kolekcji hiszpańskich dziwolągów, które wciąż jeszcze tworzyły najbliższe otoczenie królowej po tylu latach spędzonych przez nią we Francji.

Obraz, który ujrzałam, nie ukazywał miłościwej pani w bardziej zaawansowanej ciąży ani jej przyszłego dziecka. Nie miałam odwagi o tym mówić. Zamieszawszy wodę po raz drugi, poprosiłam królową, by dotknęła dłońmi naczynia. Zobaczyłam ją teraz złożoną jakąś niemocą; obok w wazonie stał bukiet późnowiosennych kwiatów. Wiedziałam już, co powiedzieć:

– Wasza królewska wysokość, z żalem mówię te słowa, wiedz jednak, miłościwa pani, że późną wiosną ciężko zachorujesz i utracisz dziecko.

– Co takiego? Ja muszę mieć drugie dziecko! Wiesz, czym ta okropna kobieta, ta obmierzła La

Montespan trzyma przy sobie mojego małżonka? Swoją młodością i dziećmi! Ja jestem królową, a kto rządzi w moim pałacu? Ona! Mój Boże, za późno już żałować La Valliere! Ta przynajmniej wstydziała się swych uczynków. A teraz... grzech jest dużo gorszy, gdyż król uprawia cudzołóstwo z kobietą zamężną... z tą... tą bezwstydną ladacznicą, która jeszcze śmie się tym chełpić! O, ta nierządna dziewczka stanie się przyczyną mej śmierci... – przeszła nagle na hiszpański, którego nie rozumiałam, a damy dworu rzuciły się ją pocieszać. Nie, tutaj nie zrobię fortuny, pomyślałam. Niestety, nawet przy najlepszych chęciach nie byłam w stanie zakomunikować jej wysokości nic dobrego. Składając głębokie ukłony, zaczęłam wycofywać się w stronę wyjścia.

Z drzwi prowadzących na korytarz wyłoniłam się już krokiem w miarę majestatycznym (przynajmniej taką miałam nadzieję), akcentując każdy mocnym stuknięciem wysokiej laski. W podobnym do cichego szeptu szeleście mojej czarnej sukni zaczęłam powoli zstępować z szerokich schodów biegnących w dół przepysznej klatki schodowej z różnobarwnego marmuru. Wiodła ona od apartamentów królowej do ciągnącego się pod nią szerokiego korytarza. On również miał ściany z marmuru. Kłębił się tu tłum lokajów, turystów, tragarzy dźwigających dostojne osoby w krzesłach – zupełnie jak na głównej ulicy dużego miasta. Jedyne różnica polegała na tym, że uliczki Wersalu błyszczały marmurami i złotem, jakby człowiek już znalazł się w raj.

Pałac w Wersalu rzeczywiście do złudzenia przypominał miasto, w którym rolę ulic pełnią korytarze. Podróżowanie w krzesłach było tu rzeczą nader uzasadnioną, zwłaszcza dla kobiet, którym ciężkie toalety, cienkie atlasowe pantofelki oraz ciasno zasnurowane gorsety pozwalały przejść pieszo nie więcej niż dwadzieścia kroków. Korytarze nie zawsze były na tyle czyste, by nie żał ich było zamiatać elegancką suknią, której koszt równał się nieraz rocznemu dochodowi tysiąca włościańskich rodzin; dworacy przyparci potrzebą natury oddawali jej hołdy gdzie popadło – pod ścianami i w każdym nieodległym kącie. Osoba usadowiona w krześle widziała wokół siebie jedynie ciżbę ludzką złożoną z lokajów we wszelkich możliwych barwach, zwiedzających z kraju i zagranicy, którzy przybyli tu podziwiać publiczne pomieszczenia pałacowe, żołnierzy, petentów i szarlatanów. Najdziwniejsze, że wszystko to – a więc meble, żywność, chmary dworaków, ciekawskich, służących, kucharzy, aktorów – można było w mgnieniu oka spakować, załadować na wozy i ruszyć do innej królewskiej rezydencji, jeśli władca miał taki kaprys. Miejscem tych bardzo częstych sezonowych przenosin nie był tylko nigdy Paryż, prastara stolica królów Francji; Ludwik XIV już nawet Palais-Royal scedował bratu. Z tego też powodu paryscy stajenni wyhodowali nową i dość niebezpieczną

odmianę ciężkich pociągowych koni, które pełnym galopem potrafiły pokonywać drogę z Paryża do Wersalu, Saint-Germain, Marly i Fontainebleau. Moja babcia mawiała, że to grzech, bo król zwyczajem dawnych władców powinien mieszkać w Luwrze pośród ludu swojej stolicy. Że była to jednak idea bardzo niemodna, nie włączyłam jej w system poglądów pani markizy de Morville.

Z markizą łączyła mnie teraz dosyć już bliska znajomość. Rozgościła się na stałe w mojej głowie; we dnie pozwalała sobie komentować każdy mój postępek, a i w nocy, gdy nie mogłam zasnąć, ciągle miała coś do powiedzenia. Ta bystra, a przy tym obdarzona krewkim temperamentem dama już to kuła mądre aforyzmy, już to wymyślała na mój użytek budujące opowiastki rzekomo z własnego dzieciństwa. Nie szczędziła mi przykrych uwag na temat mego charakteru tudzież wróżbiarskich praktyk, nieustraszenie obnażała nicość moralną dworaków, a słysząc o mych kłopotach, cmokała tylko z ironią. Kiedy już wcśnięto mnie w gorset i te niedorzeczne obręcze wszyte w dzwonowatą halkę, markiza co prędzej zamykała Genevieve w szafie. „Teraz siedź tam! – mówiła. – Czekanie dobrze ci zrobi. W moich czasach ludzie zmuszeni byli czekać o wiele dłużej niż dzisiaj, a przecież nie tracili dobrych manier.” Co rzekłszy, z godnością ruszała naprzód, mocno postukując laską, z niedwuznacznym zamiarem powiedzenia światu, co o nim myśli: już ona wyprostuje jego kręte ścieżki!

I oto zbrojna w swój uszczypliwy krytycyzm szła teraz przez korytarze Wersalu – drobna, przygarbiona postać rodem z minionej epoki, z twarzą tajemniczo przesłoniętą żalobnie czarnym welonem. Pokręciła nosem nad brzydkim zapachem unoszącym się w korytarzu, zgromiła wzrokiem bezwstydnie obnażone biusty dwóch młodych dam i tak głośno prychnęła na widok z wiejska odzianego paniątka, świeżo widać przybyłego z prowincji, że nieszczęśnik oblał się rumieńcem.

– Ha! W moich czasach mężczyzna zdejmował kapelusz przed szlachetnie urodzoną damą! Teraz dotyka go tylko, jakby mu przyrósł do głowy – rzuciła pod adresem smukłego młodzieńca o oliwkowej cerze ubranego w bufiaste spodnie z czarnego welwetu i szary jedwabny żakiet zdobny bogatym haftem. Spostponowany kawaler odpowiedział jej hardym spojrzeniem. Aha, Visconti, królewski wróżbita. Markiza ani trochę nie przejmowała się innymi przedstawicielami uprawianej przez siebie profesji, a już zwłaszcza Viscontim. Ten młodzik ustępował jej doświadczeniem przynajmniej o sto lat z okładem.

– Witam, panie Visconti. Swą drugą próbą odzyskałeś cały mój szacunek. – Włoch, który zdjął już kapelusz, zatoczył nim teraz kilka wielce skomplikowanych kręgów, czemu towarzyszył dworski ukłon.

– Moja droga markizo, niezmiernie się cieszę, iż szczęśliwe zrządzenie losu pozwoliło mi panią spotkać! Moce, którymi władam, mówią mi nieomylnie, że właśnie wysłaś od królowej, przedmiotem zaś konsultacji była ciąża miłościwej pani.

– Jakież to dziwne! Moje moce to samo mówią mi o tobie. Przypuszczam, żeś jej przepowiedział upragnionego syna.

– Nie, ponieważ straciłbym reputację po jej kwietniowym poronieniu.

– Bardzo mądrze, Visconti. Daleko zajdziesz.

– To już się stało, moja ty mała sekutnico. Dowiedz się, że onegdaj brałem udział w królewskim petit coucher. Czyś już zzółkła z zazdrości? Aczkolwiek pojąć niepodobna, z jakiej przyczyny najdostojniejsi nobile tego królestwa godzą się płacić sto tysięcy skudów za przywilej oglądania miłościwego króla na nocniku! Wy, Francuzi, musicie być niespełna rozumu! Żeby król zmuszony był siedzieć na nocniku, czy ma taką potrzebę, czy jej nie ma, bo wymaga tego obyczaj! Więcej w tym zysku niż obyczaju.

– Monsieur Visconti, mówisz jak zadufany cudzoziemiec. Wszystko, co czyni nasz monarcha, jest samą doskonałością, nie wyłączając posiedzenia na nocniku podczas wieczornego rytuału udawania się na spoczynek.

– O, bynajmniej nie kwestionowałem doskonałości owego aktu! Powiedz mi lepiej, czy nadal sprzedajesz to odmładzające mazidło, skoro już wspięłaś się, pani, na tak niebotyczne wyżyny?

– Zajęci konwersacją zdążyliśmy dotrzeć do cour de princes, części pałacu zamieszkiwanej przez księżąt. Długi korytarz kończył się tu wielkimi drzwiami prowadzącymi wprost do ogrodów. Dwaj lokaje przytrzymywali je właśnie przed swym chlebobawcą; eskortował on jakąś damę do czekającej na zewnątrz caleche, zapewne w celu odbycia ogrodowej przejażdżki.

– Wolę przepowiadać przyszłość; większy mam na to popyt... Och, kto to jest?!... – dziękowałam Bogu, że twarz zasłania mi welon, albowiem markiza de Morville nagle pierchła; na jej miejscu stała teraz osłupiała Genevieve.

– Diuk de Vivonne, brat La Montespan. Jej zawdzięcza całą swą potęgę. Ale księcia musisz przecież znać? Chodzi ci pewnie o tę osobkę u jego boku. Śliczna, nieprawdaż? To La Pasquier, najnowsza metresa de Vivonne'a, na razie nieoficjalna. Piękne odkrycie, nie sądzisz? Płotka głosi, że pochodzi z nizin... są nawet tacy, co mówią, że jest córką jakiegoś piekarza, możliwe jednak, że to tylko zazdrość... Naprawdę nie słyszałaś opowieści o tym, jak to książę sprzątnął ów skarb kawalerowi de la Riviere? Czysty skandal! Wygrał tę damę w karty, a mam niezbite

dowody, że podczas gry oszukiwał! Ha, przywiózł ją tu pewnie dla podziwiania widoków. Diuk de Vivonne to znany koneser kobiecych wdzięków. Mówi się, że podarował jej powóz i do tego małą willę przy rue Vaugirard.

Osobą, którą ujrzałam, była moja siostra, Marie-Angelique. Cóż, La Voisin dawno przepowiedziała jej taką przyszłość. Było to owego skwarne go popołudnia przed wielu laty, kiedy po raz pierwszy znalazłam się w czarnym salonie przy rue Beauregard. Toteż nie sam widok mojej pięknej siostry u boku bogatego kochanka tak mną wstrząsnął. Przeraził mnie strój jego książęcej mości: brokatowy płaszcz koloru nieba i ogromna jasnoblond peruka ułożona w misterne pukle.

Po wizycie u najjaśniejszej pani cały dwór oszalał na moim punkcie. Znudzeni, zatroskani, ambitni – wszyscy ubiegali się o mnie z jednakową pasją, mężczyźni i kobiety, księżne i pokojówki. Poznałam wszystkie ich sekrety – obawy, namiętności, przywary, wśród których nie ostatnią była chciwość. Rozeszły się plotki, że znam niezawodny sposób na wygraną w karty. Teraz dopiero rozpoczęło się oblężenie! Moje ponure ostrzeżenia – wygłaszane możliwie tajemniczym szeptem – iż na owym sekrecie „cięży przekleństwo, a ujawnienie go grozi śmiercią”, odnosiły jedynie ten skutek, że obiecywano mi złote góry („dam ci wszystko, zastawię całą swoją biżuterię!”), ba! roznamiętnieni petenci gotowi byli nawet ryzykować życiem. Inna z kolei plotka przypisywała mi de facto nieśmiertelność, jako że urodziłam się ponoć już w starożytnym Rzymie. Wzięło się to chyba z tego, że któregoś razu nazbyt może obficie cytowałam Juwenalisa. Moim wędrownikom po korytarzach Wersalu towarzyszyły teraz trwożne szepty; już nawet zaprawieni w bojach wojacy cofali się na widok czarnej postaci z ogromną laską. Fakt ten nie uszedł uwagi mojej pokojówki, która natychmiast włączyła się do akcji. To aroganckie stworzenie o chytrze rozbieganych oczach postępowało teraz za mną w postawie najwyższego respektu udając, że moje nadprzyrodzone moce budzą w niej świętą grozę. Miałam powody sądzić, że za mymi plecami bierze wysokie łapówki od rozgorączkowanych amatorów sekretu madame de Morville. Całe szczęście, że stara dama miała nad nią przewagę dobrych stu trzydziestu lat życia, w przeciwnym bowiem razie ta kuta na cztery nogi istota ani chybi położyłaby rękę na wszystkim.

Cały swój wartościowy dobytek – w postaci filozoficznych zapisków i gotówki – trzymałam w zamkniętej kasetce, nigdy nie rozstając się z kluczem. I tak narodziła się pogłoska, jakobym była w posiadaniu klucza do tajemnej komnaty skrywającej największe marzenie alchemików: wiedzę o tym, jak sporządzić kamień filozoficzny! Zamek, w którym mieściła się owa komnata, znajdował się podobno gdzieś aż w Ziemi Świętej.

Nie godziłam się oczywiście zdradzić żadnego ze swych sekretów. Mieszkałam teraz w wynajętym pokoiku na poddaszu zatłoczonego zajazdu w wiosce noszącej tę samą nazwę co pałac. Po dniu spędzonym na dworze zasiadałam do dalszej pracy: posługując się specjalnym szyfrem uzupełniałam listę klientów i spis przepowiedni, nade wszystko zaś łamałam sobie głowę nad prawdziwym znaczeniem moich wizji.

– Madame, czy musisz tak co dzień ślęczeć nad rachunkami? – dziwiła się Sylvie, szcztokując mi wieczorem włosy. – Gdybym to ja zbierała takie żniwo, o, choćby i połowę tego co ty, aniby mi się śniło tak siedzieć wieczorami w domu! Poszłabym na tańce albo pofiğlowała sobie z tym urodziwym kawalerem, co to chciał wczoraj kupić twój karciany sekret.

– O, to by zrujnowało moją reputację. Wszak cała moja profesja zasadza się na tajemniczości i lęku, a one nie towarzyszą takim, co flirtują bądź chodzą na tańce.

– Ale co tak wciąż piszesz, powiedz – zaczęła się do mnie przymilać.

– Cóż, postanowiłam się wzbogacić, to zaś wymaga solidnych podstaw. Rozumiesz: logiki i rejestrowania faktów. Starożytni Rzymianie...

– O, do kaduka, znowu ci nudni Rzymianie! Czasami już nawet ja zaczynam wierzyć, że jesteś tak stara, jak mówią. Bo czy młoda kobieta obracająca się stale pośród tylu młodych piękniśoiów, nie mówiąc już o bogatych starcach, ślęczałaby co wieczór nad rachunkami? Najlepszy sposób na zdobycie bogactwa to dobrze wyjść za mąż za takiego, co ma pieniądze. Albo też znaleźć zakopane skarby. Niepodobna, by sama kobieta mogła się dobić fortuny. Byłaby to rzecz, jak mówią, przeciwna naturze.

Rozsznurowała mi gorset i pomogła przywdziać nocną szatę, niesłychanie zresztą wytworną. Istna piana koronek pokrywała przepięknie haftowaną tkaninę, która sama też wyglądała jak utkana z najcieńszych pajęczych nitek. Wszystko, co teraz miałam, było naprawdę ładne. By jednak powiedzieć prawdę, stroje markizy de Morville były mi najzupełniej obojętne, przynajmniej dopóki miałam swoje książki; to La Voisin chciała przyzwyczaić mnie do luksusu, chytrze argumentując, że odpowiedni ubiór wywiera wrażenie na klientach, ergo jest inwestycją tyleż sympatyczną, co i przynoszącą profit. Jej rzeczywistą intencją było stworzenie pokusy, która na dobre wciągnie mnie w tryby owych słynnych „filantropijnych” interesów. Nigdy nie pojęła jakże prostej prawdy: że największą dla mnie pokusą jest możliwość obserwowania niezwyklej galerii ludzkich charakterów, że czuję się dzięki temu tak, jakby los chciał mi wynagrodzić samotne dzieciństwo i to, że zmuszona byłam kryć się w najciemniejszych kątach, gdy na rue des Marmousets przybywali goście.

Jedyną suknię, jakiej naprawdę pragnęłam, zmuszona byłam uszyć po kryjomu. Materiał dostarczył mi pan Leroux, kupiec bławatny, dodam, iż po długotrwałych targach. Ponieważ nie była to bynajmniej toaleta odpowiednia dla sędziwej markizy, musiałam dobrze ją ukryć przed wścibskim wzrokiem szpiegów mojej protektorki. Tak, była to różowa suknia dla młodziutkiej dziewczyny, którą kilka lat jeszcze dzieli od dwudziestki. Drapowana dołem spódnica odsłaniała taftową halkę w kolorze kości słoniowej. Haftowany w kwiaty staniczek przypominał wiosenny ogród. O, La Voisin strasznie kręciłaby nosem na tę suknię, a ja... Ja pragnęłam przechadzać się w niej po oranżerii pod ramię z Andre Lamotte'em, by wśród upajającego zapachu kwiecica słuchać jego wyznań: „Jakaś ty piękna! Nie pojmuję, jak mogłem tego nie widzieć! Cały czas wypatrywałem w oknie niewłaściwej twarzy. Ach, byłem głupi!” To ja byłam głupia, ale choć zdawałam sobie z tego sprawę, za nic nie potrafiłam wyrzec się swoich urojeń. Powiedziałam sobie, że muszą się spełnić. Muszą, bo ja tak chcę. Za pomocą magii, pieniędzy, wszystko jedno, jakim sposobem...

– Jak wielką chcesz zbić fortunę? – wyrwał mnie z zadumy głos Sylvie.

– Niewiarygodnie wielką. Zamierzam obalić to twoje prawo natury, które samotnej kobiecie nie pozwala zdobyć bogactwa – powiedziałam głośno, w duchu zaś dodałam: tyle, żeby po zemście na wuju pozostało mi jeszcze trochę; chcę odplacić całemu światu za to, co ze mnie uczynił...

– Ha, zacznij więc już od jutra. Hrabina de Soissons może stać się twą stałą klientką sądząc po tym, jak często biega do wróżbitów. Po południu, kiedy cię nie było, przysłała tu ślicznego pazia, całego we wstążkach. Ach, gdybyś widziała ten jego rumieniec, gdy zaczęłam poprawiać podwiązkę!

Hrabina de Soissons, czyli Olimpia Mancini, była jedną z siostrzenic nieżyjącego kardynała Mazariniego. Była również wdową, do czego, jak głosiła plotka, sama przyłożyła ręki.

– Uważaj, żebyś nie wpadła w kłopoty, wprowadzając urodziwych paziów w zawilości prawa natury – ostrzegłam Sylvie.

– A cóż to za kłopot? W razie czego madame Montvoisin w mig sprawę załatwi.

– Chyba nie mówisz o tym, co ja mam na myśli?...

– O rety, na jakim ty żyjesz świecie? Chyba na księżycu! Madame Montvoisin świadczy najlepsze usługi w całym mieście! Wszystkim ją polecam. Bezpiecznie i bez rozgłosu. Nie tak jak inne. Popelni taka błąd, i voila! ciało ląduje w rzece. Nasza madame nie robi błędów. U niej jesteś pewniejsza niż w rękach królewskiego chirurga. Również i te, co należą do jej

organizacji, to najlepiej wyszkolone osoby w Paryżu; tylko takie pracują na jej zlecenie. Do madame chodzą wszystkie damy z towarzystwa. Jak bez tego mogłyby prowadzić to swoje wesołe życie dworskie? Ale ty powinnaś to wiedzieć, sama wszak podsyłasz jej sporo klientek.

O, Genevieve, jak mogłaś być aż tak ślepa! La Voisin to nie ty, jej nie fascynuje sama tylko zabawa w oszustwo! Jak mogłaś uwierzyć, że te ogromne sumy, które bierze twoja opiekunka, to zapłata za śmieszne błahostki? Byłam wstrząśnięta. Prawdziwa działalność La Voisin odbywała się tuż przed moim nosem, a ja nic nie widziałam! Catherine Montvoisin dostarcza niebu arystokratycznych aniołków, a jej wróżby to zwykła zasłona dymna. Za to, co robi, grożą tortury i śmierć – jej samej, jej pomocnicom, a także tym, które korzystają z jej usług. Wszystko stało się teraz jasne, wszystko zrozumiałam. Co znaczą te dziwne ukradkowe sygnały i te przerażone twarze... Za lśniąca fasadą galanterii, drogich kamieni, wytwornych toalet i aksamitnych maseczek zobaczyłam nagle sieć milczących kobiet związanych najmocniejszym ze wszystkich spoiw: strachem przed denuncjacją, w tym również przed groźbą wzajemnego szantażu. Fryzjerki, producentki pachnideł, krawcowe, wszystkie one tworzą sekretną organizację przynoszącą krociowe zyski; sieć ta pokrywa całe miasto na podobieństwo jakiejś fantastycznej pajęczyny. „Masz kłopot, moja droga? Znam zręczną kobietę, która w mig cię od niego uwolni. Nikt się o niczym nie dowie. ” A ja tkwię w samym środku owej pajęczyny.

– A La Bosse? – zapytałam, zdmuchując świecę.

– To brudas. Chodzą do niej tylko sprzedajne dziewczki.

Tej nocy nie pomogło mi nawet opium. Sen uparcie nie przychodził. Przewracając się z boku na bok po rozburzonej pościeli, wciąż czułam niesamowite ciepło emanujące z piecyka za gobelinem, widziałam tragiczne oczy przerażonych kobiet w poczekalni, słyszałam wstrętny śmiech mego wuja. Śmiał się, bo był mężczyzną, mógł więc robić wszystko, na co mu przyszła ochota.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Gdy tylko Rada Królewska zakończyła posiedzenie, Ludwik XIV wymknął się bocznymi drzwiami, by uniknąć spotkania z tłumem petentów czyhającym przy wejściu do sali obrad. Tak więc kiedy z owych drzwi wyłoniła się dostojna procesja, złożona jednakowoż z samych tylko ministrów w urzędowych perukach i szerokich kapeluszach z piórami, na korytarzu rozległ się chóralny jęk zawodu. Wskutek zręcznie przeprowadzonego manewru, który nieco opóźnił wyjście Colberta, markizowi de Louvois udało się zająć pozycję na samym czele pochodu. Ten wszechwładny i bezlitosny zwierzchnik wojska i policji był mimo swej wysokiej rangi stałym obiektem złośliwych krytyk ze strony wytwornego towarzystwa, ku czemu sam dawał powód swoim fatalnym strojem. To, że z gruba ciosane rysy nadawały mu niefortunny wygląd woźnicy, zawdzięczał już tylko naturze.

– Monsieur de Louvois... – La Reynie wystąpił naprzód, jakby dopiero co przybył i nie kazano mu czekać. Taki był rozkaz zwierzchnika.

– O, jesteś, to doskonale – skwitował ten fakt Louvois. Nikt chyba nie słyszał, by kiedykolwiek zaniechał swego rozkazującego tonu. – Omówiłem sprawę z najjaśniejszym panem w cztery oczy. Król wyraża uznanie tobie i twoim ludziom za szybkie ustalenie miejsca pobytu wiadomej osoby, komunikuje ci również za moim pośrednictwem, iż sprawą tą interesuje się osobiście, i to w najwyższym stopniu. Madame de Brinvilliers absolutnie nie może umknąć królewskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Została już skazana in absentia, waszym zadaniem jest teraz sprowadzić ją do Paryża na zasłużoną egzekucję. Przy użyciu wszelkich możliwych środków.

– Tak jest, wasza ekscelencjo. – Z wolna odłączyli się od tłumu, zgoła nie myśląc o tym, jak wielki stanowią kontrast. Louvois w swoim z lekka frywolnym obuwiu na wysokich obcasach, z przeładowaną ozdobami laską, La Reynie w statecznym stroju szefa policji, jak przystało na służbową wizytę w Wersalu. Przystanęli w jednej z obszernych antykamer z dala od ludzkich uszu.

– Coś jeszcze muszę ci powiedzieć – cicho odezwał się Louvois. – Krążą uporczywe plotki, jakoby przedstawiciele pierwszych rodów Francji mieli pewne powiązania z podziemnym rynkiem trucizn, który jak nam wiadomo, musi działać w Paryżu. Jego królewska wysokość bardzo się obawia, że te opowieści mogą rzucić cień na całe nasze królestwo, a nade wszystko umniejszyć chwałę jego panowania. Jak dotąd zbrodnię trucicielstwa udowodniono jedynie

owej markizie. Król życzy sobie teraz wdrożenia rozległego śledztwa w celu ustalenia jej ewentualnych pomocników bądź sprzymierzeńców. Tylko wtedy położymy kres plotkom, gdy zdołamy udowodnić, ku wspólnej naszej satysfakcji, że markiza działała w pojedynkę i że stanowi ona odosobniony przypadek zwyrodniałego monstrum.

– Zgadzam się z tym całkowicie, ekscelencjo – powiedział de La Reynie – ale jeśli się okaże, że tak nie jest? – Louvois oddalił się bez słowa.

Jakkolwiek do Paryża wrócił dopiero nocą, La Reynie natychmiast pchnął posłańca do domu Desgreza.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Przed komtesą de Soissons trzeba mieć się mocno na bacności – oznajmiła Sylvie, sznurując mi gorset. – Uf! Czy naprawdę chcesz się tak ścisnąć aż do samej góry? Wystarczy, że włożysz na siebie ten gorset, a już trzymasz się całkiem prosto, przynajmniej mnie się tak widzi... Hm, co to ja chciałam powiedzieć? Aha! Tylko się jej nie naraż. Te italskie damy to same trucicielki. Taak... Włoska specjalność to nie tylko choroba... Hrabia de Soissons zmarł przed dwoma laty w bardzo podejrzanych okolicznościach, żeby już nie wspomnieć o paru innych osobach z otoczenia tej damy. A jej siostra, księżna de Bouillon, jest taka sama, możesz mi wierzyć. Co z tego, że ten jej salon niby taki wielce wytworny! Jak ktoś ma w sobie krew Mancinich, to wiadomo... Tak, tak, księżnej podobno bardzo chce się zostać wdową. Nie rób takiej zdziwionej miny. Skąd wiem, to wiem, mam swoje sposoby. Tylko że one dwie mogą ci zapewnić wielkie powodzenie... o, wiem, że i bez tego jesteś w modzie, od kiedy przepowiedziałaś przyszłość królowej, ale z hrabiny możesz mieć stałą klientkę. Jak ją zadowolisz, zbijesz fortunę, bo zaczną cię zapraszać wszystkie te ambitne intrygantki, jak zginiesz... żaden z tego pożytek ani dla ciebie, ani dla mnie, dlatego mówię ci, uważaj, nie zrób przypadkiem jakiegoś fałszywego kroku.

Komtesa de Soissons, ciemnowłosa kobieta o dziecięco zadartym nosku i wydłużonej twarzy przypominającej pyszczek chytrej lisiczki, przyjęła mnie w swoich wersalskich apartamentach. Mierząc wielkoświatową miarą, trzeba by je uznać za malutkie, jednak jak na Wersal były nie tylko wyjątkowo obszerne, lecz i nadzwyczaj dobrze usytuowane; większa część dworzan, nawet ci najwyżsi rangą, tłoczyła się jak śledzie w beczce w swoich ciasnych i niewygodnych pokojach. No a już samo wyposażenie apartamentu – intarsjowane i złożone mebelki, puszyste kobierce, jedwab na obicia – odznaczało się rzeczywiście legendarnym zbytkiem.

– Chcę wiedzieć, czy... czy wróci do mnie kochanek... ktoś niesłychanie dostojny. – Hrabina zadała to pytanie szeptem, tak by nie usłyszała go jej świta. O nieba! Jeszcze jedna chce przespać się z królem! Były takich setki – bogatych i biednych. Zubożałe rodziny szlacheckie z prowincji wysupływały ostatnie sou, by zaprezentować na dworze co ładniejsze córki; arystokratki, zamężne i niezamężne, ofiarowywały wysokie łapówki za pozycję damy dworu królowej bądź jakąkolwiek inną, byle tylko dawała szansę znalezienia się w polu widzenia króla. Aby to osiągnąć, nieustannie knuły jakieś spiski, montowały przymierza, traciły fortunę na zakup lubczyków i środków służących rzucaniu uroków. Kiedy tylko spojrzenie monarchy zaczynało wędrować w poszukiwaniu nowości, natychmiast wzrastał ruch w interesie. Jedna

noc z królem była jak wygrana na loterii. Po dwóch lub trzech cały dwór giął się w ukłonach przed szczęśliwą wybranką. „Oto nowa faworyta” – rozlegały się szepty mężczyzn, zazdrosne zaś rywalki z zimną ostentacją co prędzej odwracały upudrowane twarze. Czarodziejska przemiana czyniąca ze zwykłej śmiertelniczki istotę boską trwała dopóty, dopóki promienisty wzrok Króla Słońce nie padł na nowy obiekt. W owej chwili czar pryskał. Wystarczyła jednak najkrótsza chwila na szczycie, by cała rodzina parodniowej bogini zdążyła doświadczyć mnogich dobrodziejstw – w postaci urzędów, tytułów oraz pensji z królewskiej szkatuły. Nie do pozazdroszczenia był jedynie los eks-faworyty. Wszyscy znali dzieje La Valliere, wszyscy też jej współczuli. Biedna kobieta! Jeszcze nie tak dawno cieszyła się tytułem księżnej, a dziś z ogoloną głową tkwi zamknięta w przesiąknięch wilgocią murach klasztoru Karmelitanek, pozbawiona dzieci, beznadziejnie odcięta od świata. Cóż za nieszczęsna odmiana losu! Zdaniem kaznodziejów przeciwnie – niezwykle wprost budująca.

Obraz w naczyniu, jakkolwiek bardzo wyrazisty, był dla mnie niezbyt jasny.

– Nie bardzo rozumiem, co to znaczy – wyznałam szczerze.

– Madame, widzę panią w powozie. Jest ciemno. Powóz pędzi, co koń wyskoczy. Liczni jeźdźcy oświetlają drogę pochodniami.

– Ha! Nocna schadzka! I to bez wątpienia w Marly! Więc odzyskam jego miłość! – Niech ci będzie, uśmiechnęłam się w duchu.

– Przy tak pomyślnej wróżbie chciałabyś może, pani, użyć środków wspomagających nadejście tej szczęsnej chwili? Znam pewną kobietę na rue Beauregard, która może ci w tym doradzić i usłużyć...

– Co? Mój Boże, więc i ty także jesteś od La Voisin! I pomyśleć, że nie podejrzewałam tego ani przez chwilę! Śmiechu warte! – opadła na fotel, parszkając dosyć wątpym śmieszkiem, jakby wbrew jej własnym słowom nie było to jednak zbyt zabawne. – Doprawdy, trochę już tego za dużo. Gdzie spojrzeć, wszędzie tylko ludzie La Voisin! – Znowu pochyliła się ku mnie: – Powiedz mi jeszcze... – głos jej brzmiał lekko, lecz był to jedynie pozór; znałam już to dworskie opanowanie: – Powiedz, jaka przyszłość czeka panią de Montespan? Dobrze ci za to zapłacę.

Po raz drugi rozłożyłam swe przybory i zatopiłam wzrok w wodzie.

– Ciekawe, bardzo ciekawe... Widzę panią de Montespan w powozie... najwyraźniej opuszcza dwór... szaleje przy tym ze złości. Powóz pędzi w stronę Paryża... cały załadowany skrzyniami.

Jest ich mnóstwo. – Spojrzałam teraz na drogę: w koleinach stało pełno wody, na przydrożnych drzewach widać było nabrzmiałe sokami pąki.

– Tak, to rzecz pewna. Madame de Montespan zostanie wydalona z dworu i według wszelkich oznak nastąpi to już niebawem.

– Wspaniale! – wykrzyknęła hrabina. – Jakże się cieszę! La Montespan upadnie, a ja, ja przejmę całą jej władzę! – Na chwilę zamilkła. Powoli na jej usta wypłynął chytry półuśmieszek: – Komu to zamierzasz wróżyć zaraz po mnie? – spytała niedbałym tonem.

„Uwaga, niebezpieczeństwo!” – szepnął mi rozum. Aby odwieść hrabinę od dalszej indagacji o mą klientelę, przybrałam maskę dewocji:

– Mamy czas pokuty i żalu za grzechy, zaniechałam więc wszelkich przepowiedni – oznajmiłam tonem pełnym namaszczenia. – Aż do dnia Zmartwychwstania Pańskiego pragnę każdą godzinę poświęcić jedynie modlitwie. – Zbliżał się akurat Wielki Tydzień, wymówka była więc niezła. Żadnych wróżb aż do Wielkiejnocy – czy ktokolwiek mógłby mi to mieć za złe? Zwłaszcza że w Wersalu, zgoła odwrotnie niż w Paryżu, zachowywanie pozorów nabożności było zarówno oznaką dobrego tonu, jak i nakazem mody. Za to swoje kłamstwo musiałam później odsiedzieć tyle nabożeństw, że dorównałam chyba gorliwością Marie-Angelique, mojej siostrze. Co się tyczy hrabiny de Soissons, jej spojrzenie zdawało się mówić: „Więc nie powiesz mi, bardzo dobrze. Myślę, że się rozumiemy.”

Kiedy w ślad za tłumem dworzan, ich lokajów i pokojówek wychodziłam w niedzielę z kaplicy, przystąpił do mnie jakiś nieznajomy.

– Madame – zagaił, z trudem przeciskając się obok lokaja dźwigającego klęcznik księcia de Conde – czy możemy pomówić? Sądzę, że przydałaby mi się... hm... pani przepowiednia. – Przyjrzałam mu się uważniej. Nie wyglądał na człowieka zasięgającego porad wróżbity. Uderzyła mnie jego prowincjonalna wymowa, łącznie z niewątpliwie południowym „r”. – Wiem, że masz, pani, wpływy – mówił dalej. – Widziałem cię w towarzystwie największych wielmożów. Przez wszystkie owe jakże fatalne dni, które przyszło mi spędzić w tych korytarzach, widzę, jak wielkie otaczają cię tłumy. A teraz jeszcze dowiaduję się od twojej pokojówki, że znasz, madame, księżnę de Vivonne. – Zgromiłam wzrokiem Sylvie, dumnie paradykującą o dwa kroki z tyłu z moją książką do nabożeństwa. Znowu kramarzy wpływami. Ile wzięła od tego człowieka, któremu najpewniej nie będę w stanie w niczym pomóc?

– Obawiam się, że diuszesa de Vivonne nie użyje swoich wpływów za mniej niż tysiąc pistoli, a i za tę kwotę co najwyżej przekaże komuś petycję. Nie ma pan żadnej gwarancji, że

kiedykolwiek dotrze ona do rąk króla. Dużo lepiej byłoby przedłożyć ją osobiście jego królewskiej mości. – Mówiąc to, z góry wiedziałam, że stojący przede mną petent skazany jest wyłącznie na niepowodzenie. Sam jego staroświecki, wyraźnie tracący wsią ubiór mówił, że to podupadły szlachetka z prowincji: zbyt płaskie obcasy, kiepskie guziki, żadnych koronek pod szyją ani przy mankietach. I jeszcze ta peruka! Siedziała mu na głowie, jakby jej się nie chciało. Całości obrazu dopełniały bardzo nędzne pióra na kapeluszu, smętnie zwisające nad ogorzałym policzkiem. Klasyczny hreczkosiej – jak z komedii.

– Nie mam już czasu, droga pani, a zresztą tyle dni strawiłem nadaremnie... Próbowałem zbliżyć się do króla, gdzie tylko można: kiedy wysiadał z karety, przy wyjściu z kaplicy, przy drzwiach do sali narad... Cóż, nie mam ani stroju, ani postawy dworaka, nie potrafię przepchnąć się przez tłum. To mnie zawsze ktoś odsunie na bok! Sam najjaśniejszy pan przecież mnie nie dostrzeże. A ja muszę zyskać posłuchanie! Muszę wręczyć królowi tę petycję, inaczej syn mój będzie zgubiony!

A więc nie chodzi o zdobycie urzędu ani zabezpieczenie spadku. Już choćby z tego powodu sprawa zaczynała być interesująca, w dodatku sam nieznajomy wzbudził we mnie trochę współczucia. Nie wie, biedak, ilu ludzi całymi miesiącami wyczekuje sposobnej chwili na wręczenie królowi petycji i ile ich to kosztuje. Przekupują lokajów, aby tylko zdobyć informację, którędy miłościwy pan uda się do kaplicy, napychają kieszenie dworakom, aby zyskać sobie ich poparcie, kupują dworskie stroje, płacą bająnskie sumy za lichy pokoik w zajezdzie i zdzierają dziesiątki par butów, a i tak nie zawsze potrafią na koniec dopiąć swego. Tylko prowincjusz może sobie wyobrazać, że istnieje jakikolwiek inny sposób załatwienia sprawy.

– Czego dotyczy pańska petycja, monsieur... ?

– Honore d'Urbec, do usług. Z prowansalskiej gałęzi d'Urbeców. – Zamaszyście powiał kapeluszem, po czym złożył przede mną głęboki ukłon. Na moment zapało mi oddech: to nazwisko! D'Urbec, wszak to przyjaciel Lamotte'a! Ten człowiek musi być jego krewnym.

Nazwisko jest przecież tak rzadkie, że nie może to być nikt inny. Jednak przyjaciel Lamotte'a miał inną wymowę – paryską.

– Czy to stary ród? – spytałam uprzejmie.

– O, ośmielam się powiedzieć, madame, że nasz rodowód sięga starożytności – mój rozmówca poparł swoje słowa szerokim gestem obu dłoni. Temat był mu widać bliski, bo mówił z coraz większym ożywieniem, a w miarę jak ponosił go zapal, jego południowy akcent stawał się

coraz silniejszy. – Wzmianki o d'Urbecach pochodzą już z czasów Juliusza Cezara, choć wtedy oczywiście inaczej pisano to nazwisko. Nasi przodkowie walczyli pod wodzą Karola Wielkiego i brali udział w wyprawach krzyżowych. Gdyby dawnej sławie nazwiska dorównywały choć w połowie majątności, zajęlibyśmy miejsce pośród kilku największych rodów Francji. W sensie moralnym zajmujemy zresztą to miejsce... przynajmniej w oczach ludzi umiejących dostrzegać prawdziwe wartości... – Pomyślałam, że mój petent to nie tylko marzyciel, ale i urodzony gawędziarz, jednym słowem, typowy Prowansalczyk. Starszy pan zamilkł, zmrożony moim ostrym spojrzeniem. Musiałam go chyba speszyć. – Powiem ci coś jeszcze, madame, ty zaś sama zdecydujesz, czy życzysz sobie dalszego ciągu naszej konwersacji. Otóż rodzina d'Urbeców utraciła swój szlachecki status za czasów mojego dziadka, który wdał się w rzemiosło i handel. Obłożono nas wtedy podatkiem, tym samym więc zdegradowano do poziomu pospółstwa.

– Postanowiłam kontynuować naszą konwersację, monsieur d'Urbec, jednak nie tutaj, na tym korytarzu. Mam teraz umówione spotkanie, którego nie mogę odwołać, spotkajmy się zatem po obiedzie w Gaju pod Kopułami, gdzie można usiąść i pomówić obszerniej. O tej porze roku nikt tam nie zachodzi, będziemy więc mieli spokój.

– O której godzinie? – zapytał, wyjmując z kieszeni okazały zegarek jajowatego kształtu, niezmiernie wyszukany, chociaż staroświecki. Zaskoczył mnie tym chronometrem, jako że zupełnie nie pasował on do jego stroju. Prócz godzin wskazywał chyba jeszcze fazy księżyca.

– Powiedzmy, o trzeciej. Czy odpowiada to panu? Wcześniej niestety nie będę wolna. – Co powiedziawszy, udałam się na poszukiwania, stałam się już bowiem wzorem większości tutejszych dworzan bezwstydną łowczynią darmowych obiadów.

Okryte pąkami drzewa uginały się od podmuchów rzeńskiego wiosennego wiatru, toteż wysiadając z krzesła w Gaju pod Kopułami, gratulowałam sobie przezorności, która kazała mi pomyśleć o ciepłym szalu. Starszy d'Urbec, który czekał już pod łukiem pierwszej kopuły, zdjął na mój widok swój wyrudziały kapelusz.

– Teraz gotowa jestem słuchać, panie d'Urbec – powiedziałam, siadając na kamiennej ławie. Muszę tu wyznać, że interesowało mnie wszystko, co mogło bodaj pośrednio dotyczyć Andre Lamotte'a, a więc i jego znajomości, tu zaś nadarzała się taka okazja. Co się tyczy samej rodziny d'Urbeców, zrujnowała ją namiętność do hazardu, której uległ dziadek pana Honore. Po zastawieniu, a potem utracie wszystkich majątności ten ekscentryczny jegomość oddał się drugiej swej pasji, to jest budowie teleskopów i innych precyzyjnych mechanizmów, którą

niebawem udało mu się przekształcić w doskonale prosperujący interes. Zaczął zaopatrywać flotę w niezawodne zegary okrętowe, arystokratów natomiast w wykwintne kieszonkowe cacka. Bardziej wierni szlacheckim tradycjom członkowie rodziny poczytywali to jemu i sobie za despekt.

– Wszyscy moi synowie odziedziczyli talent do mechaniki – mówił Honore d'Urbec – ale Florent... w nim dostrzegałem coś więcej. Może i byłem w błędzie, jednakowoż zdawało mi się, że to on jest nadzieją całej rodziny. Prawda, że głowę miał gorącą, ha! tak jak i my wszyscy!, ale żeby doszło aż do tego... Mój Boże, taka hańba! Obiecujący młodzieniec zwrócił uwagę bogatego wuja, który – jako że był ojcem samych córek – wziął na siebie koszty jego wykształcenia. Florent wyjechał więc do Paryża, by tam studiować prawo.

– Musi pani wiedzieć, madame, że mój szwagier to człowiek innego niż my pokroju. Prostack z niego, ale że jest poborcą podatków, wie dzie mu się doskonale. Największym jego pragnieniem było posiadanie dziedzica, któremu mógłby przekazać swój urząd. Mnie w owym czasie wiodło się znacznie gorzej z tą różnicą, że Bóg nie poskąpił mi synów. Tak więc zgodziłem się powierzyć Florenta opiece wuja. Sama rozumiesz, madame, iż była to dla niego szansa. Wykształcenie, pieniądze, studia w Paryżu. Dlaczego utalentowany chłopiec miałby przez całe życie być jedynie zwykłym zegarmistrzem? Marzyłem – tu pan d'Urbec westchnął – marzyłem dla niego o czym innym. Że zdoła na tyle się wybić, by przedłożyć królowi petycję o rehabilitację nazwiska i przywrócenie d'Urbecom ich dawnej szlacheckiej pozycji. Który ojciec nie chciałby tego dla syna? Aż tu nagle dochodzą mnie słuchy, że chłopak popadł w złe towarzystwo i że zaniedbuje się w nauce. Ha, myślę sobie, pewnie przez kobiety, no i to pomieszkiwanie w tawernie, gdzie aż roi się od lekkoduchów, tych różnych pisarzy bez zajęcia... Szwagier wściekł się na niego i zagroził zerwaniem wszelkich stosunków. Trzeba było działać. Tak więc dwa tygodnie temu zjechałem do Paryża. Chciałem dać synowi reprimendę i nakazać, by we wszystkim słuchał wuja. Przyjeżdżam i co zastałem? Kwatery opieczętowana przez policję, a mój Florent w areszcie! Czegom ja nie robił, żeby się chociaż dowiedzieć, jakie mu stawiają zarzuty! Chodziłem na policję, do prawników, gdzie tam! Nic mi nie powiedzieli. Odnalazłem w końcu jednego z przyjaciół Florenta, protegowanego diuszesy de Bouillon. Od niego dopiero usłyszałem, że mój syn otrzymał wyrok na podstawie podejrzenia o autorstwo wywrotowej książki podpisanej pseudonimem „Kato”. Ach, cóż za absurd! Rzecz całkiem niepodobna do mojego chłopca. Znam go przecież, jest taki sam jak ja. Mój Florent nie wstydziłby się pisać o tym, w co wierzy, pod własnym nazwiskiem! Żaden d'Urbec nie kryłby się po opłotkach, zwłaszcza protestując przeciw złu. My zawsze walczyliśmy z

otwartą przyłbicą. O, przed laty mój ojciec... – pan d'Urbec gwałtownie urwał. No tak, pomyślałam, wiadomo już, po kim Florent odziedziczył te swoje cechy. Cała rodzina to gorącogłowi pomyłenci, jak to południowcy. Sami rewolucjoniści, a pewnie też i wolnomyśliciele.

– Musiała nastąpić pomyłka – kontynuował d'Urbec. – Typowy casus błędnie ustalonej tożsamości. Wiedziałem jednak, że póki nie znajdę prawdziwego „Katona”, nie będę mógł podjąć żadnych kroków. Bóg wie, ile trzeba by na to czasu, a paryski wymiar sprawiedliwości działa niezwykle szybko. Śledztwo już się odbyło. Codziennie chodziłem do Chatelet, aby zdobyć jakieś informacje. No i dowiedziałem się w końcu, że syn mój został skazany na dożywotnie galery! Potworność! Monstrualna pomyłka sądowa! Teraz jedynie sam król może ten błąd naprawić. Cóż, kiedy czas płynie, ja jestem bezsilny, a położenie mego syna staje się z każdym dniem gorsze. Wysłano go już wraz z innymi skazańcami do Marsylii. Ilu z nich przeżyje sam tylko ów marsz w łańcuchach? Jak długo Florent wytrzyma przy wiosłach? Madame, bywałem w Marsylii i na własne oczy widziałem cierpienia tych nieszczęsnych ludzi, galerników. Mrą, madame, dziesiątkami, padają jak bydło. Jakie szanse ma tam ktoś taki jak Florent, student prawa! O, gdyby był wagabundą lub parał się rozbojem na drogach, byłoby dużo lepiej. Tacy są tam siłą; popierając się nawzajem, żyją kosztem słabszych współwięźniów. Madame, błagam, musisz mi pomóc! Wystarczy, że zyskam dostęp do króla, do księcia de Vivonne, który jest głównym dowódcą galer, czy choćby do jakiejś wpływowej damy, której interwencja u najjaśniejszego pana bądź u księcia...

– Obawiam się – weszłam mu w słowo – że aby postąpić tak, jak pan mówi, a więc wyjednać przychyłność kilku kolejnych pośredników, trzeba by więcej pieniędzy, niż twój bogaty szwagier zbiera w ciągu roku. Nie znasz obyczajów wielkiego świata, skoro liczysz na triumf sprawiedliwości nie poparty złotem. – Przejrzałam jego petycję: nie skłoni ona sędziego, aby przyznał się do pomyłki, jeżeli oskarżyciele przedstawili mu jakiegokolwiek konkretne dowody. Co znaleziono w kwaterze Floriana? Co zeznali Gryfon i Lamotte?

– Jakie dowody świadczą o związku twego syna z tym buntowniczym utworem?

– Ach, żadne, madame! To wiem na pewno, przekupiłem bowiem jednego urzędnika... Nie mają innych dowodów poza samą książką, która znalazła się na indeksie z rozkazu głównego komendanta policji, niejakiego de La Reynie, oraz donosu płatnego informatora mieszkającego w tej samej co Florent tawernie. Ów konfident nie cieszy się opinią wiarygodnego. Nie ufał mu nawet sędzia orzekający w sprawie, tak powiedział mi ten urzędnik. Niestety, przy oskarżeniu o zdradę stanu wystarczy podejrzenie, a wspomniany utwór, jak słyszę, nosi wszelkie tego

znamiona. Przepowiada bowiem rychły upadek państwa wskutek ruiny finansów... tylko nie sądz, madame, że m go czytał – dodał z pośpiechem, rozglądając się nerwowo na boki. Po chwili znów zwrócił ku mnie zatroskane oblicze: – Ten Lamotte powiada, że raz jeden udało mu się odwiedzić Florenta w więzieniu. Mój syn w czasie śledztwa nie przyznał się do niczego, Lamotte zaś przysięga, że w kwaterze Florenta nie znaleziono nawet jednego egzemplarza owej książki, żadnych zapisków, słowem, nic zgoła. Dowodzi to więc tego, co mówiłem: casus błędnie ustalonej tożsamości!

– Mówi pan, że się nie przyznał? Więc może jest nadzieja. Trzeba nadal zabiegać o doręczenie petycji, monsieur d'Urbec. Mam pewien pomysł, jak tego dokonać. Stań w miejscu, gdzie apartamenty króla łączą się z Salle des Gardes. Sala ta jest tak długa i szeroka, że tłum otaczający miłościwego pana nieco w tym miejscu rzednie. Tam uda ci się zbliżyć do króla.

– Przedni pomysł! Czemuż to nikt inny mi go nie podsunął? Tysięczne dzięki, madame! Czy mogę jakąś kwotą odwdziżyć ci się za łaskawą pomoc?

– O tym nie może być mowy. Przypuszczam, że to interesowne stworzenie, myślę o mej pokojówce, już i tak nadszarpięło twe zasoby. Ja okazuję ci pomoc jedynie w imię sprawiedliwości. – Pan d'Urbec złożył mi ukłon, po czym oddalił się pieszo, grzęznąc po drodze w wiosennych roztopach, Sylvie zaś przywołała moich tragarzy, zabawiających się nie opodal grą w kości.

Tego dnia aż do późnego wieczora snułam marzenia czy raczej śniłam na jawie. Wyobraziłam sobie oto, iż siedzę z Andre Lamotte'em przy kolacji, popijamy wino, a on nie szczędzi mi pochwał.

– Moja droga, jakimże zręcznym sposobem ocaliłaś d'Urbece! Żałuję doprawdy, że mnie to nie przyszło do głowy! Ach, uwielbiam tak błyskotliwe kobiety! A jeśli jeszcze do tego jest piękna! Rozum tak rzadko idzie w parze z urodą... Lokaju, nalej burgunda, a wyjmij ze schowka tego najlepszego! Genevieve, wypijmy za twoją przyszłość! – Otrząsnęłam się z marzeń, kiedy wyimaginowana para podniosła w górę kielichy. Dość tych bzdur, Genevieve Pasquier! Przypomnij sobie słowa babci: Te, co ulegają głupim urojeniom, zawsze bardzo źle kończą. Ha, ale czy babcia miała prawo tak mówić? Czy sama nie szlochała niegdyś nad „Astree”?

„5 kwietnia 1675. Co za szaleństwo każe mi pragnąć Lamotte'a, który nigdy, nigdy mnie nie zechce? Wystarczy uwierzyć w demony, żeby zawładnęły duszą. Czy pragnę go dlatego, że jest piękny, czy dlatego, że kochał Marie-Angelique, a zatem gdybym go zdobyła, oznaczałoby to, iż jestem równie piękna jak ona? Bo na pewno powodem tego nie jest jego umysł. Och, to ten

jego urok! Na samo wspomnienie przenika mnie ciepło. Dzięki Andreemu świat i życie wydają się cudownie proste. Pragnę stać się częścią jego świata, tego świata beztroskiej prostoty... " Napisawszy te słowa drgnęłam nagle, jakby ręki mej dotknęło coś zimnego. Popatrzyłam w ciemność nad płomykiem świecy i oto z mroku wybiegło ku mnie kpiące spojrzenie głęboko zapadniętych oczu. Wydawało mi się, że zobaczyłam ducha Florenta d'Urbece.

Tego wieczoru, kończąc swe zapiski, które Sylvie wolą nazywać „rachunkami”, powiedziałam, wręczając jej pewien list:

– Zawieziesz go jutro rano do Paryża. Znasz kościół Jezuitów na rue Saint-Antoine? Idź tam i wrzuć list do skrzynki przy konfesjonale.

– A co w nim jest? – spytała bezwstydnie, przerywając czyszczenie mych ubrań.

– Dla ciebie sztuka srebra. A jeśli chcesz wiedzieć więcej, proszę! Nie jest jeszcze zapieczętowany. – Wzięła list i zaczęła czytać go bardzo mozolnie, poruszając wargami przy każdym słowie.

– Ooch! Nieładnie! Denuncjacja? Kim jest ten Kato, że donosisz na niego policji? Ach, zamiast ożenić się z tobą, jak obiecał, umknął wraz z kompletem twych srebrnych łyżek! No, no, przyjechałaś za nim do Paryża, taki świat drogi, a ten łotr zdążył już zadać się z inną. Widzi mi się, że niezła z niego kanalia... „wysoki, rudy, zarost na brodzie brązowy, szrama na policzku"... A żyje z „pisanie pamfletów pod fałszywym nazwiskiem” O, i do tego jeszcze bierze pieniądze od Wilhelma Orańskiego! A to dopiero paskudnik!

– Taki czy siaki, stanowi całkowite przeciwieństwo pana d'Urbece, który włosy ma ciemne, wzrostu zaś jest średniego.

– Oho, szczwana z ciebie sztuka! Casus błędnie ustalonej tożsamości, co? Opóźni to trochę sprawę. No a jeżeli dotąd nie wzięto go na tortury i nie wyśpiewał im jeszcze nazwiska drukarza, kto wie, mogą go nawet puścić. Jeżeli, ma się rozumieć, ich duma przez to zbytnio nie ucierpi. – Spojrzała na mnie chytrze spod przymrużonych powiek: – Nie wiedziałam, że znasz tego d'Urbece! Czyżbyś miała do niego słabostkę?

– Wcale go nie znam! – powiedziałam szybko.

– To niby skąd wiesz, jak wygląda?

– Cóż, przypuszczam, że podobny jest do swego ojca, więcej nic nie wiem.

– Kiepska więc będzie sprawa, jeżeli okaże się trafem, że jest akurat rudy – stwierdziła

cynicznie Sylvie, po czym zdmuchnęła świecę. Głos jej brzmiał nieco przekornie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Konny posłaniec rozwożący pilne rozkazy z Paryża wyruszył z fortu Saint-Jean już o świcie. Kiedy w drodze do Arsenału znalazł się na ulicy du Pont, wszechpotężny fetor, którego nie zmogło nawet przenikliwie zimne powietrze, omal nie zwałił go z konia. Bił od galer zakotwiczonych w tym miejscu na zimowe leże. Duma francuskiej floty, wąskie, podłużne statki, na których służbę poczytywali sobie za honor synowie najpierwszych rodów, w niczym nie przypominały teraz swego letniego wcielenia. Na pokładach nie było orkiestr, a jedwabne bandery odpoczywały w ładowniach. Złoto-szkarłatne woluty zniknęły pod płótnem ogromnych namiotów rozpiętych od dziobu aż po rufę nad rzędami wiosłarskich ławek. Widok ten przywodził na myśl coś jakby owadzi kokon kryjący w sobie monstrualnych rozmiarów ważkę. Przed oczami jeźdźca kolejno przesuwwały się nazwy: „L'Audace”, „La Superbe”, „L'Heroine”...

Zaledwie ciemne niebo zaróżowił zimny rumieniec brzasku, gdy z owych kokonów wykluły się setki galerników. Za dnia uwalniano ich z łańcuchów, którymi każdej nocy przykuci byli do ławek. Teraz skutych parami uzbrojeni halabardnicy pędzili nadbrzeżem do pracy w rozmaitych miejskich warsztatach. Zimą każdy sam musiał zarobić na łyżkę strawy. Nawykły do tego widoku jeździec prawie go nie zauważył. Dostarczywszy do Arsenału pierwszą przesyłkę, skierował się w stronę elegantszej części Marsylii, gdzie zimą rezydował kapitan galery „Superbe”. Właśnie ukończył śniadanie, kiedy lokaj zaanonsował posłańca; miał na sobie jedwabny pikowany szlafrok, a zamiast peruki haftowaną czapeczkę z futrzanym otokiem.

– No, no – mrucał na poły do siebie, czytając pismo Głównego Dowódcy Galer – wygląda na to, że ktoś ma wpływowych przyjaciół w Wersalu. Florent d'Urbec... Przypomnij no mi, Vincent, który to? Czy ja go kiedy widziałem? – Vincent, najwyraźniej też galernik, o czym świadczyła ogolona głowa i pozbawione brwi czoło, odpowiedział po chwili namysłu:

– To chyba ten nowy na siódmej ławce. Ten, co to płacze.

– Ach tak, już wiem. Ten, co tak dobrze naprawia zegary. Lubię mieć na statku zręcznych rzemieślników. Na tym d'Urbecu zarobiłem już niezłą sumkę – obrzucił posłańca lisim spojrzeniem. – Ci dworacy! Żadnego zrozumienia dla potrzeb floty! Cóż oni sobie myślą? Mam pozbywać się ludzi, którzy są mi niezbędni? Na letnią kampanię załoga musi być w komplecie. Nie widzę powodu, bym miał kogoś wypuszczać właśnie teraz, a już na pewno nie takiego rzemieślnika! Głównemu Dowódcy wystarczy, że go zwolnię, a że trochę później? Mała

różnica. – Kapitan złożył irytujące pismo i otworzył następne. Zapoznawszy się z treścią, odprawił lokaja. – Vincent – skinął na galernika – idź zaraz do poganiacza. Niech powiadomi tego tu więźnia – stuknął palcem w pismo – że jak dostanę sumę równą cenie tureckiego niewolnika na jego miejsce, to go puszczę.

Pierwsze tygodnie wiosny upłynęły załodze „Superbe” na manewrowaniu okrętem, co miało zaprawić nowych galerników do pracy przy wiosłach. Zakończywszy ćwiczenia, „Superbe” dołączyła do innych jednostek królewskiej floty biorących udział w wyprawie przeciw korsarzom z północnych wybrzeży Afryki. Trwało – to aż do jesieni. Galernicy, przykuci teraz na stałe do swoich ławek, wiosłowali bez wytchnienia niekiedy przez dziesięć, dwanaście godzin. Aby nie za szybko wyzionęli ducha, poganiacze co jakiś czas karmili ich chlebem maczanym w winie. Mimo to pod koniec lata trzydziestu sześciu poszło za burtę.

D'Urbec postanowił z początku nie wypełniać rozkazów dowództwa galery; uznał, że bierny opór pozwoli mu zachować przynajmniej wolę i rozum. Cóż, kiedy z każdym tygodniem widział coraz wyraźniej, że ciągły głód i bolesne uderzenia batem odnoszą zamierzony przez tamtych skutek. Nie potrafił już teraz dłużej niż przez minutę skoncentrować myśli, a jego zainteresowania ograniczały się wyłącznie do dziennej racji chleba. Nocami dygotał z zimna pod gołym niebem, niezdolny zmrużyć oka pośród nie milknącego brzęku łańcuchów: stłoczeni wokół przestępcy drapali się nieustannie, żarci przez wszy i inne plugastwo. Kiedy wreszcie uświadomił sobie, że sam stał się czymś niewiele lepszym od bestii z dwiema rękami i że niczym nie różni się teraz od otaczających go złodziei i opryszków, załamała się jego wola. Zaraz też dopadła go grasująca po statku gorączka. Postanowił umrzeć.

Nękania majakami umysł podsuwa mu przed oczy chaotyczne strzępy wspomnień. Paryż. Przyjaciele. Końska zagroda przed domem na wsi... W pewnej chwili usłyszał, że ktoś o nim mówi:

– Jeszcze jeden z gorączką, poruczniku.

– ... szpital ich tylko dobija. Przesuń go do burty... Zahartuje się, zobaczysz...

Brzęk łańcucha, czyjeś słowa: „Rusz się, no!” i znowu obrazy, obrazy. Szyld nad drzwiami: „Zegary. D'Urbec i synowie”. Ojciec w zniszczonym ubraniu – zawsze nosił używane rzeczy – macha na pożegnanie. Dylizans rusza – do Paryża. Szczupła, drobna dziewczyna o szarych oczach ściska w rękę łacińską książkę. Tylne drzwi wielkiej rezydencji, a w nich przerażona twarz pokojówki: „Monsieur, ona nie żyje”... „Ależ jeszcze niedawno miała się dobrze”... „Ach, monsieur, ona skoczyła do rzeki”... Przestań o tym myśleć, nakazał mu rozum, zanim opuściła

go przytomność.

Aby zwalczyć gorączkę, kapitan zwiększył rację żywności i kazał wydać wioślarzom mięso. D'Urbec, wychudły, poparzony od słońca, z oczami jak czarne dziury w pokrytej bąblami twarzy, siedział teraz przy lżejszej części wiosła; jego ramiona i barki nabierały stopniowo nieludzkiej siły, siły galernika.

– Wytwornie mówisz – zauważył szynkarz okrętowy, odmierzając mu rację cienkiego wina. – Kim byłeś przedtem?

– Studiowałem prawo – w oczach d'Urbece odbiła się tępa desperacja.

– Akurat coś dla mnie – ucieszył się szynkarz, który w czasie zimowych postojów zajmował się również paserstwem i oszustwem. – Mam klienta, który potrzebuje dla córki świadectwa ślubu. Z datą sprzed roku... Rozumiesz chyba, co mam na myśli? Gdybym ci tak dostarczył stosowny pergamin i pieczęcie, umiałbyś porządnie wypisać taki certyfikat, zaopatrzywszy go we wszystkie urzędowe zwroty?

– Umiałbym. To nic trudnego.

– No a testament? Tytuł własności?... Znam ludzi, którzy dobrze by zapłacili. Podjąłbyś się?

– Owszem – odrzekł student prawa, który pragnął niegdyś zreformować państwo.

Dopiero następnej wiosny, bardzo brudny i wychudzony, mógł opuścić Marsylię i wyruszyć pieszo do Paryża. Ubrany był w rządowe łachy całkiem nie na swoją miarę. Dobrze chociaż, że bezkształtny, niegdyś czarny kapelusz skutecznie krył jego ogoloną głowę; braku brwi, niestety, nijak nie dało się ukryć. Na ramieniu miał wypalone litery GAL, na szczęście też niewidoczne pod szorstką, połataną koszulą i krótkim kubrakiem z porozpruwanymi szwami. Wiedział teraz o wiele więcej, lecz była to wiedza boleśnie gorzka: ile rozcieńczonego morską wodą wina da się wypić, nim trzeba je będzie zwrócić, czym przekupić poganiacza, by zgodził się zmniejszyć dzienną porcję batów, ile wynosi cena Turka i że znacznie łatwiej zarobić fałszując dokumenty niż naprawiając zegarki. W koszulę zaszyte miał dwie swoje najcenniejsze rzeczy: papier przywracający mu wolność oraz oblepiony brudem, wytarty na zgięciach list od ojca. Aby go otrzymać, zapłacił słońcą łapówkę. Jeden zwłaszcza fragment tego listu stanowił dla niego tak wielką zagadkę, że głowił się nad nią bez końca: „Pewna wielkoduszna i utytułowana dama ze znacznymi wpływami u dworu pomogła mi ten cud zdziałać. ” Kim może być ta kobieta? – mamrotał do siebie cicho. Ci, których mijał po drodze, brali go za wariata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Na krótko przed Wielkanocą wróciłam do Paryża, bo choć w Wersalu nastąpił teraz zastój w interesach, paryskim wróżbitom powodziło się nie gorzej niż zwykle. W Paryżu obrzędowe rygory religijne nigdy nie przeszkadzały temu, co stanowiło tu główną treść życia – dobrej zabawie, uciechom i przyjemnościom. W czasie pakowania Sylvie nie omieszkła zerknąć w mą na co dzień zamkniętą kasetkę i aż głośno wciągnęła oddech na widok okazałej kupki złotych luidorów.

– O rety! – pisnęła cicho. – Toż to prawdziwa fortuna! Mnie by tyle już wystarczyło. Z tym można by całkiem wycofać się z interesu.

– Wszystko to weźmie La Voisin – odparłam, zamykając skarbcezyk.

– A dla nas nic? Ani trochę? Nawet na parę nowych sukien czy choćby wyjazd do Vichy, żeby napić się zdrowej wody i poznać przystojnych panów? O, tak wszystko zabierać to już rozbój! Chciałabym ja być na miejscu naszej madame. Tak sobie patrzę i liczę, że jak pododawać tylko to, co ma od kobiet, które dla niej pracują, musi rocznie wyciągać ze sto tysięcy skudów czystego zysku. – Sylvie przymknęła oczy, jakby już czuła w ustach rozkoszny smak owej sumy. W porównaniu z bajecznymi zarobkami madame, przewyższającymi dochody najmożniejszych rodów królestwa, sumka zamknięta w mym kuferku – roczne wpływy rodziny prowincjonalnego arystokraty – zmalała do zgoła nieznaczących rozmiarów.

– Cóż, umowa to umowa – przecięłam jej narzekania, ostrożnie schodząc po rozchwierutanych stopniach.

– Czasami myślę, że jak na starszą damę jesteś trochę zanadto naiwna – orzekła moja pokojówka, posapując pod ciężarem tobołków z całym naszym dobytkiem.

W Wielką Niedzielę zaraz po nabożeństwie wybrałyśmy się na rue Beauregard. Cały dom przeniknięty był wonią tuzina mięsnych potraw przygotowywanych właśnie w kuchennej fortecy – nareszcie koniec monotonii długich tygodni postu. W pokojach każda rzecz aż lśniła święteczną czystością. W kredensie pyszniły się świeżo wypolerowane srebra, dywany zdawały się grubsze od długiego trzepania, a na rzeźbionych meblach najbaczniejsze oko nie wypatrzyłoby ani pyłka. Marie-Marguerite, która spiesznie przebiegła przez pokój, miała na sobie nowiutką suknię i czepek, a jej biały fartuszek obszyty prześliczną koronką mógłby wprawić w ekstazę moją siostrę. Uwielbiała kiedyś takie rzeczy. Tylko Antoine Montvoisin nie ukazał się naszym oczom w nowym stroju – leżał na górze złożony jakąś niemocą. Udałam się

do gabinetu madame razem z Sylvie, która wniosła za mną szkatułkę.

– Kwaśną jakoś masz dzisiaj minę – powitała mnie La Voisin. – Rozchmurz no się, czy liż źle ci było w Wersalu? Czyż życie nie jest przyjemne? Pomyśl, że odtąd może być tak już zawsze, jeśli tylko zechcesz słuchać mych wskazówek. I pamiętaj, że to ja cię stworzyłam! – Przeliczywszy rozłożone na biurku monety, otworzyła swój pękaty rejestr. Czekałam ze wzrokiem utkwionym w bursztynową kocią główkę; jak zwykle mrugała do mnie znad wielkiej sterty wykresów opatrzonych mnóstwem kabalistycznych znaków. – Czy to aby wszystko? – spytała nieufnie.

– Tak, madame. Jeśli życzysz sobie rozliczenia, jest tutaj – skinęłam na Sylvie, która podsunęła jej zaraz otwartą kasetkę. La Voisin z wyrazem nagłego zaniepokojenia pochwyciła pierwszy z brzegu notatnik, kiedy jednak przerzuciła strony, niepokój ustąpił miejsca uldze.

– Wszystko zaszyfrowane! Doskonale! Widać nawet i w tobie odzywa się czasami jakiś zdrowy instynkt. Wiedz, że moje książki nigdy nie opuszczają tego miejsca. Szafy kazałam wyłożyć stalą, a zamków takich jak moje nie znajdziesz w całym królestwie. Zapamiętaj, że pierwszy nasz obowiązek to ochrona incognito klientów. Ich sekrety także zabieramy ze sobą do grobu. Tym stoi cały nasz interes.

– Który? Wróżby czy spędzanie płodu?

– O nieba, cóż za przemiana! Wystarczy liznąć życia w wielkim stylu, a już zachciewa nam się rebelii? No tak, te najlepiej wychowane najrzadziej zdobywają się na wdzięczność. Młoda jesteś i nie masz żadnych zobowiązań, podczas gdy ja karmię dziesięcioro ludzi. Rozważ to sobie, moja droga!

– Zarabiasz, madame, lepiej niż minister.

– Ale też kosztem większych trudów i starań, moja ty mądralo. Chciej tylko uczyć się ode mnie, a ja ci pokażę, jak rozwijać wielkie przedsięwzięcia. Korzystaj z mojej wiedzy, a będziesz kiedyś tak samo bogata jak ja. – Zatrzasnęła rejestr i poszła zamknąć go w swojej fortecy. Któryś z kotów ocknął się z drzemki przy ogniu i zaczął ocierać się o jej nogi. Przyszło mi nagle do głowy, że tyle tutaj kotów, a żaden nie jest czarny! Gdzie jak gdzie, ale w domu czarownicy można by się ich przecież spodziewać, tu zaś kręciły się koty wszelkiej maści, bure, pręgowane, rude, szare, białe, a nawet jeden o osobliwie różowym zabarwieniu sierści, wszystkie z wyjątkiem czarnych. Można by pomyśleć, że coś je raptem wymiotło, przyjmując, że kiedyś tu były. Ich właścicielka tymczasem żywo obróciła się w moją stronę, jakby powodowana nagłą a rewelacyjną myślą, tylko że ja, sama nie wiem czemu, nie uwierzyłam w

jej szczerość. Wszystko to – gesty, słowa, uśmiechy – wydało mi się dobrze zaplanowane.

– Pomyślałam właśnie – powiedziała nieco wymuszonym tonem – że przydałby ci się już teraz lepszy adres. Pokoik w tanim pensjonacie to nie miejsce dla największej w tym roku sensacji Wersalu. Co byś powiedziała na niewielki a wytworny apartament? Albo może nawet cały domek? Rozumiesz, gdzieś na uboczu. Wytworna klientela lubi dyskrecję, wiem to po swojej. Wystaw sobie, że tym wysoko urodzonym najbardziej odpowiada wcale nie mój salon, ale ten zaciszny ogrodowy pawilonik. Słyszałam, że w Marais wkrótce zwolni się uroczy domek... – Domek? Tak szybko?, pomyślałam ze zdziwieniem. Nie wygląda mi to na samą tylko czystą wielkoduszność. Może widząc me wysokie loty złąkała się, że za prędko wyrwę się spod jej skrzydeł?

– Domek jest może trochę przyciasny – mówiła dalej La Voisin – ale za to jaka dzielnica! Będziesz miała i wytworny adres, i bardzo dyskretne tylne wyjście. Aha, musisz mieć także lokaja. Tym się nie martw, znajdę ci świetnego sługę. Dziwi cię to, co mówię? Cóż, prawie już dojrzałaś, by cię awansować. Myślałam uczynić to po roku, ale jesteś taka utalentowana! A Wielkanoc to też jakby początek nowego roku, nieprawdaż? No a skoro tak się rzeczy mają, zostaniesz dziś na obiedzie. Stosowna to okazja, żeby uczcić twój zaszczytny awans!

Było coś takiego w jej sposobie bycia, od czego zrobiło mi się zimno. Obraziłam ją! Gniewa się na mnie!, myślałam w panice. Nie dożyję przeprowadzki do nowego domu. Cała ta opowiastka to podstęp obmyślony jedynie po to, żeby mnie zatrzymać na obiedzie. Czyż nie przed tym właśnie ostrzegał mnie stary Montvoisin? Nie lepiej było się opanować, poczekać stosowniejszej chwili? Czy musiałam dziś akurat wypaplać, że znam prawdę o jej praktykach? Jeszcze parę lat i byłabym wolna, a teraz co? Obiad. Obiad u trucicielki. Przyjmując jej zaproszenie czułam, że na czoło biją mi zimne poty.

– Och, świetnie! Zatem świętujemy. – Spokojnie, Genevieve, myślałam gorączkowo. Uśmiechaj się i udawaj spokój. Za nic nie okazuj, że znasz jej zamysły. Może sprawa przyschnie. Może madame puści twe słowa w niepamięć, może złość jej minie...

Już podczas naszej rozmowy zaczęli nadciągać goście. Zgromadzeni w czarnym salonie i przyległej jadalni wymieniali teraz powitalne okrzyki i ukłony. Dostrzegłam wśród nich Le Sage'a w nieodłącznej szarej pelerynie, La Trianon i La Dodee w nowiutkich jasnych toaletach zdobnych taką obfitością wstążek, jakby każdy ich szew puścił kielki, jak zwykle skwaszoną La Lepere, tym razem wyrzekającą na katar, ojca Mariette, młodego i bardzo modnego duszpasterza, La Pelletier, całą w taftowanych fioletach, tych samych, z których szyła swe

słynne saszetki, oraz jeszcze trzy znane mi czarownice – La Debraye, La Deporte i La Deslautiers. Reszta towarzystwa składała się z kobiet i mężczyzn w różnym wieku, duchownych, kupców, pamflecistów, satanistów, alchemików oraz różnych utytułowanych osób o dosyć wątpliwych rodowodach. Jako ostatni zjawił się dziwny, mocno przygarbiony staruch z rozpustną gębą i nosem pokrytym siecią czerwonych żyłek. Jakkolwiek nosił sutannę, towarzyszyła mu kochanka – kobieta o pobrużdżonej twarzy i osobliwie pustych oczach. Był to osławiony abbe Guibourg, znany celebrant czarnych mszy; mówiono o nim, że płaci złotem za ludzkie płody, kupuje też noworodki pozostawione przez matki w paryskich przytułkach. Całe towarzystwo cofnęło się nagle o parę kroków, jakby wejściu tej niesamowitej pary towarzyszył zimny podmuch wiatru.

– La Trianon, czy była już u was madame Brunet? – usłyszałam rozbawiony głos La Pelletier. – Szaleje za Philibertem, tym flecistą! Mówię ci, chce go zdobyć za każdą cenę!

– Nie ona jedna! – parsknęła La Trianon. – Mam dwie klientki jednakowo na niego łase. Coś mi się zdaje, żeśmy wszystkim trzem sprzedały ten sam poudre d'amour! No cóż, którejś pewnie uda się zdybać to bóstwo, no i dobrze, bo w ten sposób, między nami mówiąc, my wszystkie zachowamy twarze.

– Może, ja jednak wierzę, iż to mój proszek okaże się najsilniejszy – oznajmiła z zawodowym spokojem La Pelletier.

– Nie licz na to! – zachnęła się La Trianon. – Za bardzo polegasz na wyciągu z kogucich jąder...

– ... Ależ moja droga, powinien był mieć szklaną maskę – dobiegły mnie czyjeś słowa z drugiego końca salonu. – Podczas tego wszystkiego wydobywa się tyle gryzącego dymu! Nic dziwnego, że się udusił...

– ... Owszem, poudres de succession przynoszą jej duże pieniądze, wątpię jednak, czy długo to potrwa. Ona jest tak nieostrożna... i taka wulgarna... – strzępy rozmów wpadały mi jednym uchem i uchodziły drugim. Prawie nie rejestrowałam ich treści, z każdą chwilą bowiem ogarniała mnie coraz większa panika.

– Cóż, La Bosse popada w nałóg... powinna stanowczo wycofać się z interesu...

– ... najlepiej, kiedy wszystko dzieje się jawnie, mówię ci, moja droga, to najpewniejsza strategia. – Drgnęłam, uświadomiwszy sobie, że La Trianon do mnie kieruje te słowa.

– O, tak, tak. Sama widzę, jakie to mądre – odpowiedziałam szybko, ale czy z sensem? Miałam nadzieję, że tak. Ze strachu mój głos nabrał piskliwych tonów. Bałam się, że wszyscy usłyszą

gwałtowne bicie mego serca.

Zupa wydawała się czysta. Musiałaby chyba zmętnieć, gdyby coś w niej było? Margot sama przyniosła z kuchni wielką wazę, którą umieściła obok na kredensie. Ale czy teraz, rozlewając tę zupę, nie stoi trochę za blisko swej pani? Czy ręka La Voisin nie zawisła na chwilę nad jednym z talerzy?

– Jedzże, moja droga – uśmiechnęła się do mnie madame. – Taka jesteś blada. Zupa dobrze robi na rumieńce. – O tak, zwłaszcza twoja zupa. Gasi je ostatecznie, tak jak likwiduje wszystkie przypadłości twoich nieszczęsnych klientów. Cóż było robić? Podniosłam łyżkę do ust.

– Wyborna – oznajmiłam. Ach, jak nienaturalnie wyostrzony miałam w tej chwili zmysł smaku! Czy naprawdę wyczułam w zupie coś jakby... metalicznego? A może to tylko sól?

Na stole pojawiło się drugie danie: królik duszony w winie, cebulki i och!... grzyby! Zaraz... Był chyba taki cesarz rzymski, którego pozbyto się za pomocą trującego grzyba? Tak, dokonała tego Mesalina.

– Co za smak, a jaki zapach! – westchnął siedzący naprzeciw ojciec Mariette. – Twój kucharz, madame, to artysta. – Wzdrygnęłam się w widoczny sposób; La Voisin przewierciła mnie wzrokiem na wylot. Wszystko tylko nie grzyby, myślałam ze zgrozą, za nic ich nie tknę. Nie sposób opisać, jaką wyrazistość potrafi nadać jedzeniu strach. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się z taką precyzją wyróżniać smaku każdego z najdrobniejszych składników potrawy – wina, czosnku, ziół. Cały ów bukiet smaków i aromatów był niewiarygodnie rozkoszny, nieledwie odurzający. Odurzający? Czyżby sos?... Trudno, stało się. Teraz, Genevieve, możesz sobie użyć do woli... co za różnica? I tak jest to twój ostatni obiad w życiu.

– ... Te grzybki... kurki, czy tak?... cóż za niezrównana delikatność – mówił któryś z gości. Mnie przypominały trupie główki. Czy to dzięki nim właśnie sos nabrał tego niespotykanego smaku? Nie ma się co dziwić, że to dla mnie taka nowość... ten smak czuje się tylko raz w życiu.

– Skosztuj grzybków, droga markizo. Zostały wszak przygotowane specjalnie na twoją cześć. – Czy w głosie La Voisin nie usłyszałam szyderstwa? Czy ten jej uśmiezek nie jest zbyt wymuszony?

– O, z przyjemnością. Są pyszne. – Tak, to na pewno grzyby. Smak mają... nieopisanie wytworny... Modlitwy... jak brzmią te modlitwy, które słyszałam dzisiaj podczas mszy? Pozwoliłam im przepływać mimo uszu. No i nic nie pamiętam... wszystko wyleciało mi z

głowy. „Ojciec nasz”... czy tak to idzie? Modlitwa nie odnosi skutku, kiedy jej słowa nie są wypowiedziane we właściwym porządku... Czy ja w ogóle mam duszę? O, jak gorąco pragnęłam w tej chwili posiadać duszę nieśmiertelną albo chociaż wierzyć, że ją mam, nawet gdyby to nie była prawda. Tak bardzo nie chciałam umierać. Wino.

Toasty. Za wspaniałą sztukę Le Sage'a. Za mój triumf. Pij, Genevieve, pij do dna. To twój ostatni wieczór.

– O nieba, madame, jak ten sukces poszedł ci do głowy! Le Sage, Mariette, zanieście ją na górę! – Spoczęłam na łożu w ogromnej sypialni z tym... z tym przerażającym gobelinem. Już samo to nie wróżyło nic dobrego. Zielono-złoty baldachim zataczał mi nad głowę coraz szersze kręgi, czerwona ściana zachybotwała, a potem i ona zaczęła wirować. Tu umrę. Dobrze, niech tak będzie. Już nawet nie mogę unieść głowy. Zamknęłam oczy i czując, że odpływam w nieskończoność, zmówiłam jedyną modlitwę, jaką zdolna byłam sklecić: – Boże, nie wiem, czy istniejesz, ale jeśli mam duszę, to ją przyjmij.

Między popołudniem a zmierzchem zaczęły mnie nawiedzać krótkie przebłyski świadomości. Z odległego kąta ciemnego pokoju niosły się czyjeś szepty:

– Cicho. Jesteś pewien, że ona...

– Spita w trupa. Nie bój się, nic nie słyszy. – To Le Sage.

– On z dnia na dzień słabnie. Oczy mu tak zapadły i strasznie kaszle. Nie mogę tego znieść.

– Jeszcze tylko trochę, moja droga... wkrótce się pobierzemy.

– Mówię ci, że tego nie wytrzymam! Czuję się rozdarta na strzępy.

– O, ty ma królowo o wzniosłej duszy! Czy sprawia to miłość do mnie oraz twe gorące pragnienie przypieczętowania naszego związku czy też wyrzuty sumienia z powodu tego nędznego mizeraka, twego męża? Co ci się stało, że zaczynasz tchórzyć? Wszak sama tego chciałaś. Ja tylko rzuciłem urok.

– Jest zbyt okropny. Musisz go odczynić! – teraz rozpoznałam ten głos. To ona, La Voisin.

– Odczynić taki urok? Nikomu się to jeszcze nie udało.

– Wykop to, rozumiesz? Wykop, mówię! Nie mogę patrzeć, jak ten człowiek marnieje w oczach! – Na ów rozpaczliwy okrzyk gwałtownie uniosłam powieki, szczęściem powracająca przytomność umysłu kazała mi je zaraz zamknąć. Leżałam cichutko, starając się nawet nie drgnąć.

– Ty mnie wcale nie kochasz, skoro boisz się podjąć nawet tak niewielkie ryzyko. Wiedz, że kochały mnie kobiety dużo większego ducha. Łącząc swe siły moglibyśmy władać całą Europą, a co osiągnęłaś sama?

– Daleko więcej od ciebie, ty niewdzięczniku, ty miernoto! Czyje wpływy ocaliły cię od galery? Widziałeś drugiego skazańca, który uciekłby stamtąd inaczej niż tylko w całunie? A tobie się to udało! Bo dzięki moim wpływom u dworu ktoś postarał się o to, byś został na brzegu w Genui. Jeśli zdaje ci się, że stało się tak przypadkiem, toś głupi! I uważaj: umiałam cię stworzyć, potrafię i zniszczyć! A teraz ruszaj, ruszaj, mówię! Masz wykopać tę rzecz choćby z piekła i tu mi ją przynieść! Sama odczynię urok! I cóż zrobił ten człowiek, że tak nim gardzisz? On tylko sprawił mi zawód, a ty? To ty stale mnie zdradzasz, a ja głupia wciąż wracam do ciebie i błagam o jeszcze! I co, może to nie miłość? Pewnie, że miłość, i to granicząca ze ślepotą! Ostrzegam cię, Adamie, nie przeciągaj struny, bo przysięgam, drogo mi za to zapłacisz! – Usłyszałam skrzypnięcie krzesła i odgłos kroków.

– Bardzo proszę. Pójdę po to, skoro tak mało ci na mnie zależy. Nie myśl tylko, że moi pomocnicy będą ci nadal zapewniać te... drobne dostawy.

– Są w tym mieście inni alchemicy... Obejdę się bez ciebie, ty... ty szarlatanie! – Mój umysł nadal spowijała mgła. Ściany zszarzały nagle i znikły.

Ocknęłam się wśród ciemności. Tylko na ścianie na wprost łoża jaśniał nikły krąg światła nad jedynym płonącym kandelabrem, bezsilny wobec czającej się w kątach grubej warstwy mroku. Z pieca za gobelinem ział okropny zapach palonej zgnilizny. Na stoliku pod kandelabrem leżał otwarty grimoire, magiczna księga uroków i zaklęć.

– A, poruszyłaś się wreszcie! W życiu nie widziałam tak pijanej istoty! Bałaś się, że zamierzam cię otruć, co? Niepotrzebnie. Gdy postanowię to zrobić, niczego się nie domyślisz! – La Voisin, ubrana w dziwnie surową czarną suknię, której nigdy dotąd nie widziałam, stanęła w kręgu światła. Pełgające płomyki świec nadawały przerażające piękno jej mrocznej twarzy okolonej chmurą czarnych loków.

– Mam szansę zbić na tobie fortunę – mówiła dalej – czy więc mogłabym własną ręką zniszczyć takie źródło dochodu? Nigdy – stwierdziła z przekonaniem. Usiadła, składając dłonie na podolku.

– No i przecież jesteśmy przyjaciółkami! Wiesz chyba, że tylko między kobietami może istnieć prawdziwa przyjaźń. Tylko my umiemy pomagać sobie nawzajem. W związku kobiety z mężczyzną zawsze on ją wykorzystuje. Panowie świata potrzebują nas po to, byśmy karmiły

ich dumę i kieszeń. Między nami jest całkiem inaczej, sama to chyba widzisz? My, które do niczego nie mamy prawa, chcąc się czegoś nauczyć, wydzwignąć z nędzy, zdobyć pozycję, możemy to osiągnąć tylko wspólnie: wspierając jedna drugą. Ale pamiętaj: twym prawdziwym wrogiem potrafi być też tylko kobieta. Dla mężczyzny jesteś na to zbyt mało warta. Szkoda zachodu! I tu tkwi właśnie ich słaby punkt, pojmujesz? Dzięki temu my, czarownice, zdobyłyśmy władzę nad światem, którym rządzą oni, mężczyźni. Umiemy wykorzystać te ich słabe punkty. No, jak się czujesz? Pewnie boli cię głowa?

Cieniutkie krążki dymu znad świec szybowwały w ponurą ciemność zalegającą przestrzeń pod sufitem... Byłam takim krążkiem. Czułam się straszliwie chora.

– Chyba zaraz umrę.

– Dobrze ci tak. To cię odoczy upijania się przy ludziach. Czy w takim stanie miałabyś dość rozumu, aby zażyć odtrutkę, gdyby ktoś chciał cię uśmiercić? Nawet kot wie, że jak pada, trzeba umykać pod dach. – Słyszac, że o nim mowa, szary kocur, największy ze wszystkich, wskoczył swojej pani na kolana. – Nie, mademoiselle, nie jesteś ty jeszcze gotowa – dobiegł mnie szept, a może tak mi się zdawało? Ostatnim dźwiękiem, co do którego mam pewność, było basowe mruczenie zadowolonego kota.

Obudziłam się rankiem w szarym pokoiku pod nawisłą powalą poddasza. Całą tę część domu zajmowała służba. Strasznie czymś podniecona Sylvie gwałtownie szarpała mnie za ramię.

– Zbudź się, madame, prędziej! Cały Paryż aż huczy od nowin! Sprawdziła się twa przepowiednia, jesteś sławna! Mamy dzisiaj trzy wróżby w mieście i jeszcze więcej na dworze! O, chętnych są teraz tuziny, wszyscy najwyższej rangi. Ci dopiero zapłacą! Tobie za przepowiednie, a madame za proszki. Wszystkie będziemy bogate!

– O Jezu!... Nie krzycz tak, głowa mi pęka... Co to za nowiny?

– Sama to przepowiedziałaś i nie wiesz? Król wydalil z dworu madame de Montespan. Siedzi teraz w Paryżu, liżąc rany, a jej rywalki ostrzą sobie szpony.

Jęknęłam i usiadłam. Zdawało mi się, że zamiast głowy mam na karku nadęty świński pęcherz. Wystarczy dotknąć, a pęknie.

– Jak... to się stało? – z trudem wydobyłam z siebie głos.

– O, bardzo dziwnie, wprost zdumiewająco! Podczas wielkanocnego kazania ojciec Bossuet publicznie napiętnował króla za grzech cudzołóstwa i odmówił mu udzielenia komunii, a tu jego królewska mość miał zaraz nazajutrz jechać do Flandrii na wojnę. Co tu robić? Król nie

może wszak stanąć do walki bez rozgrzeszenia i błogosławieństwa! Podobno błagał, aby tę wyprawę ksiądz uznał za separację, tak jak to już raz było. No, ale wtedy miał do czynienia z ojcem Lachaise, który nie był tak srogi jak wielebny Bossuet. Ten za nic nie dał się przekonać. „Rzuć tę kobietę, z którą popełniasz podwójny grzech cudzołóstwa, jest bowiem zamężna, ty zaś masz małżonkę!” Wszystkim niezamężnym damom przybyło teraz nadziei. Ha, gdybym ja tak znalazła się blisko króla, już ja bym się postarała, żeby mnie zobaczył! Cóż, pewnie nie nadarzy się taka sposobność, chyba że... – O nieba! Więc i ona wierzy w magiczną siłę zaklęć i lubczyków! A można by się spodziewać, że choć te, które nimi kupczą, będą nieco mądrzejsze. Gdzie tam, jest wprost przeciwnie.

Kiedy już ubrana zeszałam na dół, od razu rzuciło mi się w oczy, że moja patronka wcale nie podziela entuzjazmu Sylvie. W pokoju były jej dzieci. Dwaj najmłodszy chłopcy (nie wyrosli jeszcze z sukienek ani dobrze nie umieli chodzić) zawzięcie wrywali sobie piłkę. Ich dziesięcioletniemu bratu matka przykazywała właśnie odnieść jakąś paczkę do laboratorium La Trianon. Marie-Marguerite, przechodząca akurat przez pokój ze śniadaniem dla ojca, posłała macosze złe spojrzenie.

– No proszę! Pani markiza zdecydowała się podnieść! – wykrzyknęła madame na mój widok. – Witam cię, o illustrissimal Tve słońce zablęzło nam wreszcie na niebie!

– Co cię ugryzło? – ból głowy nie czyni człowieka gładkim w obejściu.

– Jak śmiesz! – syknęła z groźbą w oczach. – Jak śmiesz mącić pośród mych klientek, a mnie przysparzać kłopotów! Czy wysyłając cię w świat kazałam ci to robić? – Za mocno bolała mnie głowa, bym miała wysilać się na dyplomację.

– Robiłam jak najdokładniej wszystko, co mi kazałaś. Jeżeli coś ci się nie podoba, to może powinnaś lepiej mnie informować, a nie rzucać mi piaskiem w oczy! – warknęłam.

– Z hrabiną de Soissons znamy się od lat. Jak śmiesz kraść mi klientelę?

– Ja?... Nic podobnego. To ona mnie wezwała. Gdy ją odesłałam do ciebie, po prostu wybuchnęła śmiechem. – Wargi madame przybrały kształt cienkiej kreski.

– Po jakie lichy przepowiedziałas upadek madame de Montespan? Nie twój interes! – krzyknęła. Mimo bólu głowy nietrudno mi się było zorientować, że również i markiza de Montespan jest jej klientką. Co za los znaleźć się między tymi dwiema kobietami! Nikomu nie można by już gorzej życzyć.

– Hrabina zapytała mnie o jej przyszłość i taki obraz ujrzałam w naczyniu.

– W naczyniu! W naczyniu! Zapomniałaś, czego cię uczyłam? Nigdy nie mów klientce, co czeka inną osobę! Och, ty głupie stworzenie! Teraz i jedną, i drugą będziesz mieć przeciw sobie! – Nie ja, tylko ty. Przeciw tobie się zwrócą, pomyślałam. Dlatego się wściekasz. Jej złość tymczasem doszła już chyba do zenitu. Była jak naładowana chmura, z której zaraz polecą pioruny. Kiedy indziej byłabym tym przerażona, ale teraz? Przeżyłam już własną śmierć, toteż wszelki strach mnie opuścił. Odpowiedziałam jej takim spojrzeniem, że aż się cofnęła, nadal jednak nie przestając wrzeszczeć: – Kraść mi klientki! Wysoko się nosisz, ty! Kto cię wyciągnął z rynsztoka?! Odpowiadaj! – Wszyscy obecni w pokoju porzucili swe zajęcia i co prędzej nastawili uszu.

– Nie był to rynsztok, tylko rzeka, a ja jeszcze się w niej nie znalazłam – wycedziłam z możliwie najwyższą precyzją.

– A, prawda! Studiowałyśmy filozofię! Gdzie do nas takiej prostaczce, co pomogła nam wspiąć się w górę! O, bo my znamy łacinę i grekę, całkiem jak panowie świata! My to nie byle kto! A jakże! Prawie La Matignon po kądzieli! Tak, tak, kłaniaj się krwi Matignonów w tej małej ladacznicy, może znajdzie się w niej jaka kropelka!

– Nie waż się obrażać mojej matki! Ty... ty wstrętna stara wiedźmo!

– Wiedźmo?! No to ci powiem, że pośród tych wiedźm więcej znajdziesz czci i honoru niżli wśród Matignonów. Ja zrobiłam z ciebie to, czym dziś jesteś! Rozumiesz?! To mnie zależało na tobie, to ja ocaliłam cię od śmierci! Ja cię stworzyłam, więc należysz do mnie ciałem i duszą! Jak myślisz, dlaczego udało ci się uciec, co? Dlaczego drzwi były otwarte? I skąd ja się wzięłam nad rzeką, by cię powstrzymać przed skokiem w śmierć? Twoja kochająca matka miała wobec ciebie inne plany. Ach, ledwo przeczytali testament, w te pędy zjawiała się u mnie! „Po co masz płacić za pogrzeb – zaczęłam jej tłumaczyć. – Wypuść dziewczynę spod klucza, a pozbędziesz się wszelkich kłopotów. Ślad po niej zaginie. Wszyscy pomyślą, że umarła, ciebie zaś nikt nie będzie podejrzewał o jej śmierć.” Szkoda, że nie widziałaś tego błysku w oczach twojej matki. Tak wygląda chciwość. „I nie musisz mi nic płacić. Niepotrzebna ci rzecz, po którą przyszłaś. To samo możesz mieć za darmo.” Za darmo! Ach, jak roześmiały się jej oczy! Pieniądze! Dla Matignonów tylko one się liczą. Twoja matka nie cofnęłaby się przed niczym, byle tylko zagarnąć twój spadek po ojcu, uznała jednak, że korzystniej będzie przystać na moją propozycję. Bo taniej. Gospodarna osóbką, to jej trzeba przyznać! Czcigodna krew Matignonów! Tacy sami oni zresztą, jak i wszyscy ci jaśnie wielmożni, co tu przychodzą, możesz mi wierzyć na słowo. Ale ty, ty, którą Bóg obdarzył tak wielkim i rzadkim talentem, ty, którą żywię i odziewam...

Czułam, jak krew zastyga mi w żyłach. To prawda, myślałam, ona mówi prawdę! Bo oto wszystko ułożyło się teraz w spójną całość, jakby brakujące części łamigłówki nagle wskoczyły na miejsce. Ale mój umysł wciąż jeszcze wzdrygał się przed ową prawdą.

– Udowodnij to – zażądałam.

Ochłonęła już z gniewu. Stała bez ruchu, mierząc mnie chłodnym spojrzeniem swych ciemnych oczu.

– Chodźmy do gabinetu. Pokażę ci zapisy dotyczące twojej matki. – Powlokłam się za nią z uczuciem rosnącego odrętwienia. Tak. Przedostatni wiersz pod nazwiskiem mojej matki brzmiał: „Przyszła po proszek spadkowy dla córki.” I data: dzień po śmierci ojca. Ostatni wiersz: „Odeszła z niczym.” Od tej pory matka nie składała już wizyt przy rue Beauregard.

– Nie wiedziałam... przez myśl mi nie przeszło – wyszeptalam zimnymi wargami, opierając się o ścianę, by nie upaść. O prawdo, jaka bywasz wstrętna, gdy przychodzi nam spojrzeć ci w twarz. Bodaj bym cię nigdy nie poznała!

La Voisin nadal nie spuszczała ze mnie oczu. Dostrzegłam w nich chyba przeblysłk złośliwej satysfakcji.

– Wierzę ci – powiedziała zniżonym głosem – bo i skąd niby miałaś wiedzieć? Powiedz mi... – głos jej nabrał teraz łagodnie sugestywnych tonów – kiedy hrabina zapytała cię o panią de Montespan, jaki obraz zobaczyłaś w naczyniu?

– Zobaczyłam, że madame opuszcza dwór w wielkim pośpiechu. Jej powóz, któremu towarzyszyło czterech konnych, zmierzał w stronę Paryża. – Trzęsły mną dreszcze, bolały oczy, twarz miałam mokrą od łez.

– No i wczoraj właśnie tak się stało... hm. Wytrzymaj nos, masz – podała mi haftowaną chustkę, którą wyjęła z rękawa. – Teraz ja cię o coś zapytam. – Zadzwoiła na służbę, a kiedy zjawiła się Nanon, kazała jej napełnić czarę.

Formujący się w wodzie obraz błyszczał złotem. Madame de Montespan ubrana w suknię ze złotogłowi i pokrytą złotym haftem i diamentami królowała we wspaniałym fotelu w otoczeniu licznych dam dworu. Wszystkie stały lub siedziały na zydlach. Dostrzegłam w ich gronie znaną mi już wychowawczynię dzieci madame. Po chwili do komnaty wkroczył mężczyzna w przepysznym stroju. Jego ciemną twarz o wyraźnie hiszpańskich rysach znaczyły ślady po ospie. Król.

– Widzę panią de Montespan całą w złotogłowi i diamentach. Madame podejmuje jego

królewską wysokość. Obecne są przy tym damy dworu.

– No, to już lepiej. Weź się teraz w garść, masz spotkania, a i na mnie czekają klienci. Cała ulica zastawiona już powozami. O, do licha! Lucien jeszcze nie wrócił, będę musiała wysłać Philippe'a!

Trzynastoletni Philippe, gburowaty i bardzo opasły wyrostek, nie zwykł był plamić się żadnym zajęciem, teraz i on jednak musiał stawić się na rozkaz matki. Mimo że mówiła przyciszonym głosem, nie umknęło mi żadne słówko, ucho mam bowiem wyjątkowo dobre.

– Pójdiesz zaraz do mademoiselle des Oeillets na rue Vaugirard. Powiesz, uważaj!... Powiesz, że madame Montvoisin jest w mocy odmienić przyszłość jej pani w taki sposób, że zabłyśnie ona znowu olśniewającym blaskiem. I wracaj natychmiast. Jeśli nie zobaczę cię przed kolacją, przez cały miesiąc nie dostaniesz nic słodkiego. – Poczekała, aż chłopiec wyjdzie i dodała z wyraźnym niesmakiem: – Ten jest synem Antoine'a. Co za leniwe ladaco! Ach, wszystkie moje dzieci sprawiają mi zawód. Znacznie więcej spodziewam się po tobie. Pamiętaj: jesteś moja z wyboru. Ja cię stworzyłam. Beze mnie byłabyś niczym. Teraz idź i umyj twarz. Markiza de Morville nie może wyglądać jak strach na wróble. – Kiedy podniosłam się z miejsca, powiedziała jeszcze: – Od dziś udawaj, że wtedy tylko widzisz przyszłość, kiedy zainteresowana osoba dotknie naczynia własną ręką. To uchroni cię przed naleganiami tych wszystkich, którzy pragną poznać cudzą przyszłość, w tym również przyszłość swych wrogów. Nie wolno im w tym pomagać. Ci wrogowie mogą też być przecież naszymi klientami, ty zaś nie jesteś dość sprytna, aby nie paść ofiarą intryg. Zajmowanie się losami osób trzecich zawsze wywołuje intrygi. No, idź już i przyjdź za tydzień. Powinam mieć dla ciebie wtedy dobre wieści. Narzędzie zemsty, które ci przyrzekłam, już wkrótce znajdzie się w twoich rękach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– O, drogi ojcze, jakąż ulgę sprawiasz mej duszy. – Drobną blondynką w jasnoblękitnej atłasowej sukni jeszcze niżej pochyliła swą kształtną postać nad klęczącym u jej stóp mężczyzną; ów elegancki duchowny żarliwie przyciskał do ust białą rączkę wzruszonej damy. Markiza zadrżała nagle i uchwyciwszy wolną dłonią brzegi szala, zacisnęła go szczelniej na swej falującej piersi. Poczuła na ramionach gęsią skórę. Czy sprawił to chłód tej kamiennej ławki w odległym zakątku klasztornego ogrodu, czy może jakieś złe przecucie, nagle drżenie niespokojnej duszy?

– Kiedy dwa serca płoną do siebie tak czystą tęsknotą jak nasze, nie może to być grzechem. Jak długo... jak nieskończenie długo wielbiłem cię z oddali, ma luba markizo. Ach, ocalić twą duszę dla Boga, bodaj kosztem własnego potępienia!... – abbe potoczył wzrokiem ku niebu. Oczy miał koloru jesiennego miodu. Jak niezwykle pociągająco wygląda jego wąska twarz w zapadającym zmierzchu... jego smągła skóra... I ten bijący od niego zapach! Co to za woń? Kadzidło? Markizie kojarzyła się ona z niebem i sprawami ducha, przywodząc zarazem na myśl tę rodzącą się ostatnio namiętność... tak czystą i świętą... Ujęła obie dłonie klęczącego i pociągnęła ku sobie na ławkę.

– Czy... czy muszę wyznać wszystko?

– Jedynie przed Bogiem – wyszeptał gorąco abbe. – Tu, na ziemi, nikt nie musi wiedzieć. Spisz wszystko na papierze, o pani moja, błagając Tego, który króluje w niebiesiech, by w dobroci swojej raczył wybaczyć ci grzechy. Potem zapieczętuż ten dokument i przybądź z nim do mnie. Wspólnie rzucimy w ogień ów papier. Niechaj dym, który z niego powstanie, zanieś nasze modlitwy przed oblicze Boga. Czyż nie jest On Nieskończonym Miłosierdziem? – ujął rękę markizy i przyłożył ją sobie do piersi. – Oto moje serce. Nie wolno ci wątpić w jego szczerość. Biję ono tylko dla ciebie...

W szybko zapadającym mroku oczy markizy błysnęły ogniem; owładnęło nią gwałtowne pragnienie, radosne i szalone. Ach, cóż z tego że ma już czterdzieści lat? Nie osłabła w niej zdolność do kochania! I to jej zniewalający magnetyzm, jej nieodparty urok kazały temu smukłemu mężczyźnie, temu wytwornemu światowcowi, przemierzyć tyle, tyle kilometrów, by odnaleźć ją tu, na wygnaniu, w jej smutnej klasztornej samotni... Pomieszane wołanie zmysłów i duszy o to, co ziemskie i o to, co boskie, biło jej do głowy niby odurzający opar.

– Nie broń mi swych ust – poprosił.

– Tak – wytchnęła. Zamknięte w jego uścisku, ciało jej stało w ogniu. Ach, młodość jeszcze nie minęła! Nadal gorzej w niej namiętność. Czuła, że przeszłość rozplywa się i znika, tak jak w słońcu nika plama cienia. O, tak, uwolni się od wszystkiego, co minęło, wyzna grzechy, a potem jako nowa, czysta istota ucieknie z tym mężczyzną, który sprawił, że krew znowu tętni jej w żyłach gorącym rytmem młodości.

– Jutro – szepnął jej do ucha, muskając oddechem odsłoniętą szyję. Przeniknął ją dreszcz rozkoszy. – W zajeździe „Pod Zamkiem” przy drodze z Liege. Nie mogę doczekać się chwili, kiedy ach! wezmę cię w ramiona.

Tej nocy markiza de Brinvilliers prawie nie zmrzyła oka w swej ciasnej klasztornej celi. Przez wiele godzin trudziła się nad spisaniem pełnego katalogu grzechów, dokładnie wyszczególniając ich rodzaj: sodomia, kazirodztwo, usiłowanie morderstwa, morderstwa popełnione. Skrupulatnie uszeregowała nieboszczyków: wrogowie, którzy narazili jej się w taki czy inny sposób, nieznajomi, którzy niechcący stanęli jej na drodze, krewni, których śmierć pozwoliła jej po nich dziedziczyć. Pełna lista zajęła szesnaście stronic. .

Kapitan Desgrez wrócił do swojej kwatery w zajeździe „Pod Zamkiem”.

– I cóż, kapitanie, jak poszło? – spytał policjant przebrany za lokaja.

– Jutro markiza dobrowolnie wyjdzie poza obszar klasztoru z pisemnym zeznaniem w rękę – odrzekł fałszywy opat. Jego „sługa” gwizdnął z uznaniem.

– Dobra robota, kapitanie! Zaiste genialny to podstęp!

– Muszę się umyć – powiedział Desgrez, przeciągając palcem po opinającej szyję koloratce.

– W rzeczy samej wonieje pan jak żigolo. Co to za diabelstwo?

– Żona gdzieś to kupiła... gdzieś przy rue Beauregard. Skropionej tym osobie podobno nie sposób się oprzeć.

– Dba pan o szczegóły, kapitanie, żadnego nie pomijając, trzeba to panu przyznać!

– Taki mam obowiązek. – Desgrez usiadł przed kominkiem i w zadumie zapatrzył się w ogień.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wieści z Wersalu wydatnie przysporzyły mi klientów. Przed pensjonatem ustawiał się teraz co dzień rząd powozów i krzeseł, czyniąc całą ulicę prawie nieprzejezdną. Do południa przyjmowałam u siebie, po południu sama składałam wizyty w co elegantszych dzielnicach. Zaproszenia słały mi damy, którym z różnych powodów nie pozwalano wyjść z domu, te, które nie chciały, by je widziano u wróżki, wreszcie osoby chore, wśród których zdarzały się i wariatki. Wszystkie były bogate.

Tego dnia pozostała mi już tylko jedna wizyta u nieznajomej klientki zajmującej uroczy domek na rue Vaugirard, w nowej, bardzo szykownej dzielnicy położonej przy drodze do Wersalu. Na ulicy czekała już pokojówka, która szybko wprowadziła mnie do środka dyskretnie ukrytym tylnym wejściem; widać było, że respekt przed sławną i tajemniczą markizą de Morville wprawia ją w lekkie drzenie. Pomyślałam, że i tu pewnie zazdrosny małżonek nie tylko zabrania żonie składania wizyt, lecz i nie pozwala przyjmować gości. Pokojówka poprowadziła mnie na piętro, gdzie ujrzałam ogromną sypialnię z biało-złotą boazerią i kunsztownie rzeźbionym marmurowym kominkiem. Zauważyłam także wspaniałe draperie i wytworne obicia mebli, a na podłodze bajecznie drogie kobierce. Moja klientka siedziała na olbrzymim łożu zdobnym w szkarłatne kotary, lecz że odwrócona była tyłem, w pierwszej chwili zobaczyłam tylko wykwintny negliż i upięte złociste włosy. Na wysokiej półce ustawionej przed jednym z okien kolorowa papuga pracowicie rozłupywała ziarnka. Ogromnie przypominała ptaka zmarłej babci.

– Ouk! – wrzasnęła nagle. – Piekło i potępienie! Ogień i siarka! – To brzmiało już całkiem swojsko.

– Zamilcz, ty paskudne stworzenie! – skarciła ją pani. Odwróciła się na odgłos moich kroków, ukazując prześliczną twarz i zaczerwienione powieki. Marie-Angelique!

– Och, jesteś wreszcie, pani! Ty, która widzisz przyszłość, ty, której przepowiednie ocaliły tyle ludzkich istnień, zechciej i mnie ocalić! O, madame, masz przed sobą najniezwyklejszą istotę pod słońcem!

Bez słowa postawiłam swoje rzeczy obok toaletki i uniosłam welon. Marie-Angelique zaczęła wpatrywać się we mnie oczami okrągłymi ze zdumienia.

– Wszak ja cię znam, pani... – powiedziała po długiej chwili. – Mój Boże, twoja twarz jest wiernym wizerunkiem mojej zmarłej siostry. Tylko że ona miała skrzywiony kręgosłup, ty zaś

trzymasz się prosto.

– Rozsznuruj ten piekielny gorset, a mój grzbiet zaraz się wykrzywi, zobaczysz, Marie-Angelique.

– Ty żyjesz! Wiedziałam, byłam tego pewna! – podbiegła, aby mnie uściskać, i nagle przystanąła w miejscu, jakby jej brakło odwagi.

– Ach, te twoje sto pięćdziesiąt lat! Jakie to robi wrażenie! Dech zapiera! I nie tylko mnie! Podziwia cię cały Paryż! Boże, jakaś ty modna! Czy wiesz, co znaczy dzisiaj przepowiednia madame de Morville? Od tego zależy reputacja. To jak mieć odpowiedniego krawca czy hafciarkę. Jakaś ty do tego doszła?

– Cóż, uczyłam się, siostrzyczko. Wstąpiłam do terminu u dobrego mistrza.

– Och, Genevieve! – Marie-Angelique wybuchnęła śmiechem. – Z iluż to kabał musiałam cię dawniej wyciągać, a ty znów popełniasz szaleństwa! Nie, nikomu o tym nie powiem, bądź spokojna, masz na to moje słowo. – Położyła mi ręce na barkach i odsunawszy się na długość ramienia zaczęła oglądać mnie ze wszystkich stron, bynajmniej nie ukrywając, że bawi ją moja osobliwa aparycja. Po chwili jednak wesołość ją opuściła. – Byłaś może w domu? Powiedzieli ci?

– Nie, nie byłam tam od dnia mojej ucieczki.

– A więc jednak uciekłaś! Bo wiesz, mnie się tak od razu wydawało. To znaczy, od kiedy zobaczyłam, że zniknęły te malutkie książeczki, które zawsze chowałaś na strychu. A potem w Chatelet nie znalazłam twojej sukni nad zwłokami, nie było jej tam na pewno, przeszukałam przecież wszystkie haki! Mówiłam nawet o tym temu kapitanowi. Monsieur Desgrez wydawał się bardzo zainteresowany brakiem sukni. No i nie mogłam uwierzyć, że te zwłoki to twoje ciało, pojmujesz, stopa! O tym też powiedziałam kapitanowi. Ach, ani przez chwilę nie przestałam wierzyć, że jeszcze cię kiedyś zobaczę. Bo ty taka już jesteś, sama wiesz, że wracasz nawet spod ziemi! – Pochłonięte rozmową usiadłyśmy razem na łóżku.

– Ale jak ty znalazłaś się tutaj, Marie-Angelique? Czy to prawda, co mówią, że utrzymuje cię sam książę de Vivonne? – Na twarzy Marie-Angelique odbiło się zakłopotanie.

– Och, Genevieve, pamiętasz historię Isabelle porwanej przez sułtana Konstantynopola? Ona znalazła w tym związku prawdziwą miłość, tyle że okupioną kosztem ciężkich wyrzutów sumienia... Ze mną jest zupełnie tak samo. – Westchnęła. – Mimo że przecież spłaciłam wszystkie nasze rodzinne długi, czy raczej uczynił to mój ukochany, mój piękny książę, na mą

prośbę. – Smętnie pokiwała głową. – Wiesz, siostrzo, ja dopiero niedawno zrozumiałam, że ta moja uroda to przekleństwo. Też całkiem jak w tej powieści. Mówię ci, jestem przeklęta – otarła łzy wierzchem dłoni. – Pewnie nie słyszałaś, co zrobił nasz braciszek? Ogłosił mnie zmarłą i nawet urządził mi pogrzeb! – znów ciężko westchnęła. – Jakież to mieszczańskie i jakie upokarzające! – Zerwała się z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju, wylewając przede mną całą swą udrękę.

– Czasami, kiedy uda jej się wymknąć z domu, zagląda tu pokojówka naszej matki. Od niej wiem, że Etienne nazwał mamą rajfurą i kazał ją zamknąć w dawnej komnacie babci. Siedzi tam jak w więzieniu. Etienne wciąż gardłuje, że już on się postara zmyć plamę na honorze rodziny Pasquier, oczywiście krwią księci de Vivonne. Ach, nie szczędzi mu tysięcznych impertynencji! Z początku mój ukochany śmiał się tylko mówiąc, że gdyby nasz brat był człowiekiem światowym, siedziałby cicho i korzystał z profitów płynących z wysokich koneksji. Ale teraz... Bo oto w zeszłym tygodniu zdarzył się pewien incydent. Gościliśmy w łoży pana de Vivonne niewielkie grono jego przyjaciół, no i w połowie arii mademoiselle Lenoir jeden z nich zaczął dowcipkować z tej uciesznej wrzawy, jaką wyczynia nasz brat. Żebyś widziała to spojrzenie, jakim przeszył mnie wtedy książę! Powiedział, że ma już dosyć całej tej niesmacznej awantury. I co ja mam teraz począć? Dlatego tak mi pilno poznać swoją przyszłość! Wystaw sobie, że nikt z moich dawnych przyjaciół nie chce nawet ze mną rozmawiać... a książę nie życzy sobie, abym składała wizyty... i przez cały ubiegły miesiąc nic mi nie kupił... nawet pary nowych pantofelków. Już i papuga babci wciąż tylko grozi mi piekłem – usiadła obok mnie na łóżku i zaczęła histerycznie szlochać.

– Posłuchaj! – powiedziałam ostro. – Posłuchaj i przestań płakać. Wszystko, co mówisz, to jeszcze nie koniec świata. Głowa do góry! Nie masz wprawdzie pozycji maitresse en titre, jesteś jednak kochanką bogatego człowieka, jednego z największych panów Francji. Znając jego reputację, nie mogłaś chyba sobie wyobrazić, że będzie to coś trwałego? Słuchaj, co do ciebie mówię! Musisz być dla niego czarująca i żądać w zamian klejnotów. Będziesz miała z czego żyć, gdy cię rzuci. Sprzedaj tę głupią złotą tabakierkę, którą widzę tu koło łóżka, i te równie głupie ozdóbki na toaletce, które jak się domyślam, dostałaś zamiast brzęczącej monety. Pozbądź się wszystkich błahostek i kup sobie za to rentę. Kiedy przyjdzie starość, będziesz niezależna.

– Ach, Genevieve, wszak to miłość... uczucie tak wzniosłe, tak święte... Czyż godzi się je podle wykorzystywać?

– Nie bądź głupia, siostrzyczko! Wiesz, że nadal jesteś piękna, więc miej oczy otwarte. Może

trafi ci się kto inny.

– O, jak możesz myśleć, że umiałabym się zdobyć na taką interesowność! Kim bym się stała?... i co stałoby się ze mną? Już teraz boję się nawet zajrzeć do kościoła. Aniołowie, święci, wszyscy mnie potępiają. Nie mam prawa przystąpić do komunii. A jeśli utracę jego miłość, znajdę się na ulicy... Kto mnie zechce? Umrę bez niego...

– W każdej chwili możesz zamieszkać ze mną.

– Z tobą? A ciebie kto utrzymuje? Czy on by mnie przyjął? A ty... nie byłabyś zazdrosna?

– Utrzymuję się sama, siostrzyczko.

– Jak? – spytała. – Wrózeniem? I nie wstydzisz się tego? Kobieta, która sama zarabia na życie, traci pozycję, w oczach świata staje się istotą upadłą.

– Powiedz mi, Marie-Angelique, co jest rzeczą bardziej wstydliwą: siedzieć na jakimś poddaszu przymierając głodem i czekać na księcia z bajki, czy wziąć się samej do pracy? Cóż, ciężko mi czasem na sercu, gdy pomyślę, że ja, Genevieve, nie jestem pięknym Kopciuszkiem, tylko jego brzydką przyrodnią siostrą, ale też dzięki temu prawdziwiej widzę swoje szanse. Wiem na pewno, że u mnie nie zjawi się żaden książę. – Dlaczego gdy wypowiadałam te słowa, stanął mi przed oczami Andre Lamotte i jego wytworne wąsy? Doprawdy zjawił się nieproszoney.

– I nie chcesz mieć klejnotów? Ani dzieci? – spytała Marie-Angelique. Widać było wyraźnie, że uważa mnie za dziwaczkę.

– Chcę być panią siebie – głos mój brzmiał wojowniczo. Uśmiechnęła się do mnie przez łzy:

– O, droga siostrzyczko! Zawsze byłaś taką dzikuską! Ani rusz nie chciałaś przyjąć do wiadomości, że są pewne rzeczy, których świat oczekuje od panienki bądź już dorosłej kobiety. Ale ja, ja zawsze pragnęłam tego, co przystoi każdej uczciwej niewieście: domu, dzieci... – Podeszła do półki, gdzie siedziała papuga, i łagodnie wyciągnęła do niej rękę. Ptak, wydając miękkie, gruchające dźwięki, jał ochoczo wspinać się na jej ramię i pieszczotliwie skubać rozluźniony złocisty loczek.

– Klejnotów też zawsze pragnęłaś.

– Lubię piękne rzeczy. Cóż na to poradzę, tak mnie wychowano. Ty też lubisz książki pisane przez zmarłych Rzymian, bo tak cię wychował ojciec. A poza tym, sama powiedz, czy dotyk jedwabiu nie jest przyjemniejszy od muślinu? – wyjęła z kieszeni kawałek jakiejś słodkości i podała papudze.

– Oj, Marie-Angelique, ty się nigdy nie zmienisz! Mam ci powróżyć?

– Ty? Jak możesz to umieć? Musisz być przecież oszustką.

– Wcale nie, siostrzyczko. Pamiętasz naszą wizytę u wróżki na rue Beauregard? Pamiętasz tę dziewczynkę, co widziała obrazy w wodzie? Otóż ja też wtedy widziałam te obrazy i madame to zauważyła. Choć nie wiem, skąd u mnie ten dar, ani nie pojmuję jego istoty, jednak go posiadam. W dniu, kiedy uciekłam z domu, ta wróżka znalazła mnie na Pont Neuf, a potem zaczęła uczyć profesji. – Wstałam i podeszłam do złotego stołka po pozostawioną tam moją kaletkę spoczywającą na pięknie haftowanej poduszce.

– I pomyśleć, ile ja pieniędzy wydałam na jasnowidzów i astrologów! – pokręciła głową Marie-Angelique. Ustawiłam naczynie na toaletce; natychmiast uformował się w nim obraz.

– Siostro, widzę cię przy nadziei! A jak prześlicznie wyglądasz! Pięknie ci z tymi rozpuszczonymi włosami! Tak, na pewno! I stanie się to już wkrótce!

– Och, to cudownie! – z radości zaczęła klaskać w ręce. – Skończą się moje kłopoty! Książę będzie zachwycony, odzyskam jego miłość! Hojniej mnie zaopatrzy, będzie też dla mnie miłszy! Jakaż to wspaniała nowina! Powiedz mi, Geneviève, co urodzę? Chłopca czy dziewczynkę?

Powtórnie zamieszałam wodę i spojrzałam w małą szklaną czarę. Zobaczyłam... zobaczyłam, że woda przybiera kolor krwi. Siłą nakazując sobie spokój, zdobyłam się na wykręt:

– Obraz... obraz nie chce się ukazać. Pewnie dlatego, że... że to za daleka przyszłość.

– Ach, mniejsza o to! Chłopiec czy dziewczynka, oboje jednakowo będę kochać! – Przy pożegnaniu długą chwilę trzymałyśmy się w objęciach. Marie-Angelique przysięgła, że wkrótce znowu mnie zaprosi, ja zaś przysięgłam sobie, że zrobię wszystko, by nie doszło do tego, co ujrzałam w naczyniu. Ten obraz musi się zmienić!

Na ulicy czekała wynajęta przeze mnie „winegretka”, a człowiek przy dyszlu obficie raczył się tanim winem, chcąc pokrzepić nadwątlone siły. Od pensjonatu wdowy Bailly, położonego na drugim brzegu rzeki, dzielił nas spory kawał drogi. Kiedyśmy tam dotarli, słońce zniknęło już za horyzontem. Przed drzwiami ktoś czekał w krześle, obok odpoczywali tragarze. Na mój widok mężczyzna powstał. Był to jegomość okazałej tuszy, ubrany w prawniczą togę bramowaną zwyczajnym lnianym płótnem.

– Madame de Morville? Pozwól, pani, że się przedstawię. Nazywam się Geniers, conseiller au parlement, a przychodzę prosić o poufną audiencję – z niskim ukłonem wręczył mi

zapieczętowany bilet. Po zdjęciu pieczęci zobaczyłam znajome pismo:

„Przyjmij tego człowieka. Wysłuchaj go. On jest twym narzędziem zemsty. La Voisin”

– Proszę wejść – powiedziałam, gdy otwarto przed nami drzwi. Mój gość poza okazałą tuszą odznaczał się również wydatnym nosem. Na głowie nosił ciemną, dużych rozmiarów perukę. W pokoju wskazałam mu wielki fotel przed kominkiem; sama usiadłam naprzeciw.

– Madame – rozpoczął – masz przed sobą człowieka w głębokim strapieniu. By nie nudzić cię długą opowieścią, powiem, że poślubiłem uwielbianą kobietę, dużo od siebie młodszą, która jednakowoż z własnej nieprzymuszonej woli wyznawała mi szczerą miłość. Niebawem stwierdziłem wszelako, że ta ubóstwiana istota zdradza mnie z pewnym awanturnikiem, który mieni się kawalerem de Saint-Laurent – urwał i ciężko westchnął. Mój wuj!

– I? – zachęciłam go, by mówił dalej, nie okazując przy tym cienia emocji.

– Cóż, madame, jestem tylko zwykłym sługą prawa. Powodzi mi się nie najgorzej jak na moją miarę, nie mam jednak ani takiej pozycji, ani też protekcji, które pozwalałyby mi wyzwać uwodziciela mej żony. Szermierz też ze mnie nietęgi, no i ma się już swoje lata. Co tu mówić, ludzie śmieją się ze mnie w kułak. To boli, madame, piekielnie. Piastunka mojej córeczki poradziła mi odwiedzić pewną osobę na rue Beauregard, która, jak mówiła, może ulżyć mojej rozpacz. Poszedłem do owej słynnej devineresse, choć idąc tam czułem się jak skończony osioł. Zaoferowała jakowyś proszek, który miałby mi przywrócić miłość żony. Gdy jednak poprosiłem o coś silniejszego, pojmujesz, madame, zaczęła się śmiać. „Po cóż ryzykować własnym życiem za śmierć nędznego uwodziciela? Poza tym sama śmierć, w dodatku szybka, to nic strasznego. Nie lepiej sprokurować zemstę, która potrwa dłużej? Większa z niej satysfakcja!” Sobie tylko wiadomym sposobem, pewnie za sprawą swej tajemnej wiedzy, wykryła, że hrabia de Marsan jest w posiadaniu długów karcianych kawalera de Saint-Laurent. Hrabiego teraz także naciskają jego wierzyciele, rad by więc odsprzedać komuś weksel za pół ceny, to jest pięć tysięcy ludwików, wie bowiem dobrze, iż kawaler nigdy nie zgromadzi sumy potrzebnej na pokrycie swego długu. „Niech pan kupi ten weksel, monsieur Geniers, powiedziała mi wróżka, a potem wsadzi łotra do więzienia za długi. Do końca życia będą go tam gryźć szczury. Pomyśl, monsieur, jak wielkiej doznasz przyjemności wiedząc, co znosi ten nikiemnik. Ciemność, szczury, powolne przymieranie głodem, a wszystko to potrwać może ładnych parę lat.” „Pięć tysięcy ludwików, mówię, toż to fortuna. Z trudem mógłbym zebrać połowę tej sumy.” A na to wróżka: „Jest pewna osoba, która podobnie jak pan nie żywi miłości do owego kawalera. Ona dostarczy ci drugą połowę, pod warunkiem że utrzymasz jej nazwisko

w tajemnicy. Rozumiesz, jej honor nie może na tym ucierpieć. " No i oto jestem, madame. Zechciej mi pomóc, a owa kanalia nigdy już nie ujrzy słońca. Przysięgam ci to uroczyście.

– Skoro tak, pomogę panu. Mogę dostarczyć żadaną sumę, jednakowoż pod pewnym warunkiem.

– Tak? – napięcie w jego głosie zdradzało tłumioną pasję.

– Że będzie mnie pan regularnie informował o jego cierpieniach. Ja także chcę się nacieszyć tą zemstą – powiedziałam cicho.

– Madame, jesteś aniołem, niebo mi cię zsyła!

– Aniołem to może niezupełnie, lecz do tego, o co nam chodzi, dość będzie mojej skromnej osoby. – Kiedy ustaliliśmy miejsce i czas następnego spotkania, monsieur Geniers oddalił się tym samym ciężkim krokiem, ale oczy... oczy miał już inne. Zapowiedź okrutnej zemsty nadała im blask młodości. Po jego wyjściu ja także wydałam głębokie westchnienie ulgi. Zemsta! Nareszcie zemsta! La Voisin chętnie udzieli mi pożyczki. Im większe będą moje długi, tym mocniej będzie mnie trzymać w garści. Powodzenia, drogi wujaszku. Myślałam o czymś gorszym, ale i to wystarczy. Gnij aż do śmierci w więzieniu i kłaniaj się ode mnie szczerom, kiedy raczą wbić w ciebie zęby.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Teraz! – wykrzyknęła La Voisin. – Pozwalam ci odjąć ręce od oczu i wyjrzeć przez okno. To ten domek w środku. Chciałam być świadkiem twego zaskoczenia, kiedy zobaczysz, jakie to cacko. – Jej powóz, który właśnie przed chwilą skręcił w rue Charlot, stanął przed schludnym piętrowym domkiem z kamienną fasadą i spadzistym łupkowym dachem, pod którym najpewniej mieścił się stryszek.

– Ma jeszcze i tę zaletę, że jest już umeblowany, i to całkiem nieźle. Właściciel musiał nagle wyjechać z miasta. Ach, był uszczęśliwiony, kiedy mu powiedziałam, że biorę wszystko od ręki. Pewnie, że byłoby lepiej, gdyby sama ulica miała więcej stylu. Tu wszędzie nowe domy stoją obok bardzo starych, taka trochę zbieranina, jednak ogólnie rzecz biorąc, dzielnica jest bez wątpienia elegancka. Tak więc na razie musisz się tym zadowolić. – Lokaj mojej protektorki pomógł nam wysiąść z powozu i podprowadził pod wejście. Drzwi z ciężkich dębowych desek nabito takim mnóstwem mosiężnych ćwieków i innych kutych ornamentów, że mogłyby chyba wytrzymać nawet uderzenie tarana. Na tych wrotach pasujących raczej do jakiejś warownej fortecy widniała śmiesznie delikatna mosiężna kołatka w kształcie misternej kokardy łączącej dwa pęki równie nedorzecznych kwiatków, dla odmiany wykutych z żelaza. Okien parteru strzegły metalowe okiennice także nadzwyczaj masywne, teraz zamknięte na głucho. Wszystko to dziwnie nie pasowało do górnej połowy elewacji – lekkich rzeźbionych ornamentów z jasnożółtego kamienia, skośnej płaszczyzny dachu, zgrabnych, strzelistych kominów. Ten osobliwy kontrast był tak uderzający, że zaskoczył nawet Sylvie, toteż wymieniliśmy kilka zdumionych spojrzeń.

– Tę kołatkę musimy oczywiście usunąć – oświadczyła La Voisin, która przechyliwszy głowę, w zamyśleniu przyglądała się odrzwiom. – Nie pasuje ani do twej osoby, ani profesji. Tu trzeba czego innego... czaszka? Hm, nie, w złym guście... O, smok będzie doskonały. A wiesz, ile tu jest różnych udogodnień? O nic sama nie musisz się martwić. Ten były właściciel parał się przemysłem, a że musiał z dnia na dzień porzucić swoje przedsięwzięcie, zostało ci po nim to i owo. Na przykład te okiennice. W loszku są też znaczne przybudówki, a w alkwie za łóżkiem świetna stalowa skrytka.

Przekręciła wielki klucz w zamku. W nozdrza uderzyła nas woń kurzu. W salonie widać było oznaki pospiesznej ucieczki: z powyciąganych szuflad wyzierały porzucone rupiecie, inne leżały w kątach lub walały się po podłodze.

– Brakuje wjazdu dla powozu – mówiła dalej La Voisin. – Ten, który widzisz obok, należy do twego sąsiada. Jest za to z tyłu skrawek ogrodu. Ale powóz i tak lepiej dzierżawić, większa wygoda, gdy ktoś inny zajmuje się końmi – kopnęła leżący na podłodze męski trzewik z dziurawą podeszwą. – Ten salon będziesz musiała urządzić inaczej, ma się rozumieć. Stolik z naczyniem do wróżby można by postawić... tutaj. A ściany pomalować... hm, na czarno? Jak myślisz?

– Na czerwono ze wzorem w dawnym stylu – odparłam bez namysłu; czułam już przyszlą atmosferę tego miejsca. Sylvie promieniała.

– O, masz doprawdy wspaniałe wyczucie stylu! – wykrzyknęła madame. – To tak bardzo w duchu Henryka IV! Miło po tych wszystkich prostaczkach mieć do czynienia z osobą, która w lot chwyta istotę rzeczy! O, jak tylko cię zobaczyłam, zaraz powiedziałam: w tej dziewczynie kryją się ogromne możliwości.

Dom miał niewiele pomieszczeń, wszystkie były jednak duże i przestronne, nie wyłączając antykamery przeznaczonej na użytek służby. W na wpół pustym salonie uwagę przyciągał olbrzymi kominiek ujęty w ramy ozdobnej sztukaterii, która biegła aż do sufitu. Z okien od ogrodu ledwo sączyło się światło, przesłaniała je bowiem gęstwa dziko wybujałej roślinności. Za salonem znajdowała się kuchnia, w której oprócz wysokiego pieca stał wielki rożen; zaopatrzony był w zmyślny mechanizm kołowy wprawiany w ruch przez ciężarki działające jak wagi zegara. W pokoju na piętrze – pełniącym funkcję stołowego i sypialni – panował jeszcze gorszy nieład niż w salonie. Stół obiadowy leżał na podłodze, drzwi garderoby kołysały się na zawiasach. Wyciągnięta spod łóżka skrzynia na pościel ziała otworem niczym wygłodniała paszcza jakiejś krwiożerczej bestii, kotary wisiały krzywo, jakby ktoś je rozsunął desperackim szarpnięciem. Ten sam ktoś bezceremonialnie zgarnął całą pościel na podłogę. Pewnie trzymał coś pod materacem.

– No, a teraz spójrz na to – przerwała mą zadumę madame. – Patrz, jaka to urocza alkowa – ustawiła się w taki sposób, by móc śledzić mój wyraz twarzy. Jej oczy były nieprzeniknione. W przeznaczony do spania części pomieszczenia zobaczyłam ślicznie rzeźbioną balustradę oddzielającą od reszty pokoju łóżko oraz znajdującą się za nim obszerną niszę z wąskim oknem. Było tam biurczko, nad nim zaś... zawieszona na ścianie wspaniała półka na książki! Ach, z miejsca oczarował mnie ten gabinecik! Coś w sam raz dla mnie – nadal wszak kochałam książki i filozofię. Starłam się udawać obojętność, ale ona, La Voisin, dobrze wiedziała, że już złapała mnie w sidła. Wiedziała, że gdy tylko zobaczę tę półkę, zgodzę się na wszystkie warunki.

– Rozumiem, madame, że masz zamiar dopisać mi to do kontraktu?

– Owszem, ale przy twych zarobkach spłata pójdzie ci migiem. Zresztą każda kobieta interesu tak czy inaczej potrzebuje własnego domu – dodała wygładzając spódnicę. – Znalazłam ci także idealnego lokaja. Nie tylko jest nadzwyczaj krzepki, ale i w godny podziwu sposób małomówny. No, przy porządkowaniu domu musisz mieć jeszcze kogoś do pomocy, przyślę ci więc na parę dni Margot. To już bez żadnych dodatkowych opłat.

– Zgoda – powiedziałam. – Pomówmy teraz o cenie. Jaki procent mych dochodów powinnam ci odtąd wpłacać? – Uśmiech madame stał się lekko enigmatyczny.

Samo przewiezienie moich ruchomości z pensjonatu wdowy Bailly nie nastęczało żadnych kłopotów, bo miałam ich dość niewiele, natomiast doprowadzenie domu do stanu używalności okazało się zadaniem nadszodziejnie trudnym; wymagało to pomocy wszystkich służących, bez których La Voisin mogła się chwilowo obyć, oraz nowego lokaja, potężnego zaiste osiłka. Aha, też pewnie obiekt „filantropii” naszej madame, pomyślałam na widok jego barczystej sylwetki przesłaniającej niemal całe odrzwia. Widoczna siła ramion, jak również ogolona głowa przybysza, skrzętnie skryta pod starym kapeluszem, wymownie świadczyły, że ów Gilles to zbiegły galernik, przedstawiciel ostatniej kategorii ludzi. Taki człowiek do końca życia będzie musiał ukrywać wypalone na ramieniu piętno. Nie może oczywiście podjąć pracy u żadnego z praworządnych obywateli, groziłaby mu bowiem denuncjacja, w którym to wypadku wróciłby natychmiast tam, skąd przybył, postradawszy za karę stopę. Ha, trudno się dziwić, że taki ktoś potrafi dotrzymywać tajemnic. Na dobrą sprawę obecność Gilles'a mogła niepokoić, na mnie jednak widok olbrzyma flegmatycznie pykającego długą fajkę pośród tego piekielnego rozgardiaszu, zamiatania, mycia, malowania, wynoszenia i wnoszenia mebli, działał dziwnie uspokajająco.

– Jeden to nie dosyć – zauważył nieoczekiwanie, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Pardon, Gilles? Co mówiłeś? – skończyłam właśnie ustawiać swe nieliczne książki. Kilka razy zmieniałam układ, aby jak najefektowniej wyeksponować oprawy.

– Jeden to nie dosyć. Mówiłem madame. Jeden do pilnowania domu, drugi do jazdy z panią. Dwóch na kłopoty. Same kobiety w domu, kiepsko. – Był to najwidoczniej koniec wypowiedzi, pyknął bowiem raz jeszcze i w milczeniu utkwiał oczy w okno. Unoszące się z fajki niebieskawe kółko otoczyło mu głowę dymną aureolą.

– Madame, przyszedł... hm... ktoś jest przy drzwiach. Mówi, że przysyła go madame Montvoisin. – Sylvie, która na chwilę oderwała się od szorowania kuchni, wygładzała na lekko

oszołomioną. Gilles z wolna odwrócił się od okna i przez jego kamienne oblicze przemknął niespieszny uśmiech.

– Kiepsko – oznajmił.

– Co? Ja wydaję ci się kiepska? Jak śmiesz! – obruszyła się Sylvie. – Wiedz, że jestem zaufaną powiernicą madame, a pracuję u niej dużo dłużej niż ty! Kiepska! Cóż za bezczelność!

– Sylvie, nie o to chodzi – próbowałam zażegnać nieporozumienie. – Gilles chciał powiedzieć, że potrzebny nam jeszcze jeden strażnik. Może to ten, którego przysyła madame Montvoisin?

– Nie wydaje mi się, madame. Tego, co tam stoi, ciężko opisać.

– Więc go tu wprowadź. Madame Montvoisin nigdy nic nie robi bez przyczyny.

Gdy jednak po chwili Sylvie ponownie stanęła w drzwiach, za jej plecami nie dostrzegłam oczekiwanego osiłka; ściśle mówiąc, nie dostrzegłam tam nikogo.

– Madame, to jest monsieur... ee... Mustafa. – Z nagłej konsternacji wybałuszyłam oczy. Monsieur Mustafa był znacznie ode mnie niższy, co tu dużo mówić, był karłem mierzącym niewiele ponad dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Wyglądał jak postarzałe dziecko, co gorsza, złośliwe i do cna zepsute. Tym, co odróżniało go od pięcioletniego, niezbyt wyrosniętego chłopca, były siedmiodniowe chyba bokobrody oraz ciemne, bardzo stare oczy. Na ramieniu wisiał mu tobolek, jak gdyby miał zamiar zaraz się do nas wprowadzić.

– Pogap się tak jeszcze, to ci oczy wyleżą – odezwał się chrapliwym głosem starca, brzęczącym zgoła niesamowicie w jego ustach.

– Pardon, monsieur Mustafa, powiedziano mi, że przyjdzie strażnik, spodziewałam się zatem kogoś większego. – Monsieur Mustafa z całkowitym spokojem wspiął się na moje najlepsze krzesło, założył nogę na nogę i zaczął nimi bujać w powietrzu.

– Ja też spodziewałem się kogoś większego – impertynencko zlustrował mnie od stóp do głów.

– I co? Utarłem ci nosa?

– Ale z ciebie grubianin! – odcięłam się z oburzeniem.

– Grubiaństwo czyni mnie większym. Zwraca uwagę ludzi, inaczej łatwo by mnie mogli przeoczyć.

– Racja! Sama stosuję czasem tę metodę. Lecz pomijając grubiaństwo, jakie masz kwalifikacje?

– O, mam ich dziesiątki, co ja mówię, setki! Posiadam na przykład wspaniały ekwipunek w postaci tureckiego kostiumu, który zawdzięczam uprzejmości pani markizy de Fresnes, miałem

bowiem honor nosić jej tren. Działo się to w czasach, gdy czarnoskóre karły uchodziły za ostatni krzyk mody. O, dobre to były czasy! Wystarczyło przyciemnić trochę skórę sokiem z włoskiego orzecha, zawiązać turban, i gotowe! Jadło się, piło i chodziło do teatru – urwał i głosem wytrawnego tragika jął recytować Corneille'a: – „Zwij się Cydem. Niech wszystko przed tobą upada. Niechaj Toled uklęknie, niech zadrży Grenada”⁹... – Strofom dramatu towarzyszyły szerokie aktorskie gesty. – Tak, madame, wielkość mego ducha predestynowała mnie do roli królów, ciało atoli... sama widzisz. Przed wspomnianym już mauretańskim rozdziałem mego życiorysu objeżdżałem jarmarki przebrany za przedwcześnie dojrzałe dziecko. Ha! Akurat przeciwnie niż ty, sędziwa damo. „Malutki Jean-Pierre, cudowne dziecko” – obwieścił tonem jarmarcznego zapowiadacza.

– Skoro tak dobrze ci było u markizy, dlaczego ją opuściłeś? – spytałam podchwytliwie, biorąc się pod boki.

– Nie ja ją opuściłem. To jej małżonek, pan markiz, na gwałt wyprawił mnie z domu. Gdy jej wysokość królowa urodziła ciemnoskóre dziecko, zapotrzebowanie na mauretańskich karłów bardzo spadło. Wszystkie paryskie karły z dnia na dzień potraciły pracę. Wielu popadło w pijaństwo... mogło tak stać się i ze mną, gdyby nie pewne umiejętności, dzięki którym zawsze spadałem na cztery łapy.

– Jakież to umiejętności? – zaczynało mnie już drażnić to gadatliwe stworzenie.

– A takie! – Nie uchwyciłam ruchu małych dłoni, trwał bowiem krócej niżli mgnienie oka. Ledwie mogłam zauważyć śmigające mi przed nosem noże, tak błyskawicznie wbiły się w ścianę, tworząc na niej wzór podobny strzałce busoli. – Kiedy mam na głowie turban, mogę ukryć jeszcze kilka noży – wyjaśnił z chłodnym zadowoleniem Mustafa. Sylvie wpatrywała się w niego oczami okrągłymi ze zdumienia, nawet Gilles wyjął z ust fajkę.

– Angażuję cię – powiedziałam krótko.

– Dobrze. Będę nosił za tobą tren, przez co dodam stylu twojej osobie. Kiedy zaś nie jestem potrzebny... umiem sprytnie schować się w kącie. Dobrze wiedzieć, co w trawie piszczy. Umiem niepostrzeżenie doręczyć list komu trzeba, jak również opróżnić sakiewkę, operując od dołu... Wszystko dla ciebie, madame, cały jestem do twoich usług.

– Przepraszam, drogi Mustafu. Nie doceniłam twoich możliwości.

– Markiza i taka grzeczna? Madame, teraz dopiero widać, że pochodzisz z dobrej rodziny.

– Mustafafo, pozwól sobie powiedzieć, że jesteś osobą równie okropną, jak miłą, ale i ja taka jestem. Myślę, że się dogadamy.

Nazajutrz rano otrzymałam bilecik doręczony przez pazia w błękitno-srebrnej liberii. Papier był bardzo drogi, a wybity na nim herb należał do markizy de Montespan. Zaproszenie, a właściwie wezwanie do jej paryskiej rezydencji przy rue Vaugirard opiewało na dzień następny. Byłam w nie lada rozterce. Nie odmawia się oficjalnej, choć chwilowo oddalonej faworycie, ale jak powiedzieć o tym La Voisin? Może znów wpaść we wściekłość z zazdrości o swoją cenną klientkę. Postanowiłam w końcu nic jej nie mówić.

Sylvie, układając mi włosy przed tą ważną wizytą, udzielała mi równocześnie szczegółowych informacji dotyczących domu i jego mieszkańców. W rezydencji przy rue Vaugirard zamieszkują dzieci madame de Montespan, których ojcem jest sam monarcha. Przez kilka ubiegłych lat sprawę tę utrzymywano w tajemnicy, teraz już mówi się o tym jawnie. Na ich wychowawczynię zaangażowano ubogą przyjaciółkę madame, wdowę Scarron, podniesioną później do godności markizy de Maintenon w uznaniu dla jej wiernej służby. „Ale wyobraź sobie – mówiła Sylvie – że przez wszystkie te lata, kiedy ukrywano królewskie dzieci, pani de Maintenon musiała udawać, że mieszka całkiem gdzie indziej, mimo że przez cały czas przebywała na rue Vaugirard.” To właśnie tutaj, w tym domu, La Montespan postanowiła przeczekać okres królewskiej niełaski, który sięgał już teraz miesiąca. Obserwując w lustrze zręczne dłonie Sylvie przekształcające me niesforne loki w stylową koafiurę madame de Morville, nie przestawałam deliberować nad swą nader delikatną sytuacją.

– Sylvie, ale ty nie mów nic La Voisin, dobrze? Ona sama zamierzała złożyć wizytę madame de Montespan. Znasz ją przecież, wiesz, jak potrafi się wściec, kiedy myśli, że ktoś jej zabiera klientów. Ja nie starałam się o tę wizytę, sama wiesz, że mnie wezwano.

– Och, była wściekła onegdaj, gdy ją powiadomiłam o sprawie, a ja na to: „Lepiej, że to moja pani, a nie ta okropna La Bosse i jej karty albo Bóg wie jaka chiromantka. A tak cała rzecz zostanie w rodzinie, jak to mówią, i wszystko wróci do pani, madame.” Od razu się uspokoiła. No i widzisz, jak dbam o twe interesy? Bo im ty wyżej się wzniesiesz, tym i mnie będzie lepiej. Chciałabym ja mieć twój dar! Powiadam ci, ani dnia nie byłabym pokojówką! No ale La Voisin wyczytała z mojej dłoni, że nie jest mi pisane pozostać do końca życia służącą, i to mnie napawa otuchą. Kiedyś i ja będę taką panią jak ona, ach, będę jeździć powozem, jeść i pić tylko to, co najlepsze. Dlatego wpierw pomagam tobie. Ona mi wytłumaczyła, że taka jest kolej rzeczy. Dbaj o ludzi, a ludzie zadbają o ciebie. Weźmiesz dziś grzebyki z diamentami?

– Tak, Sylvie, wyjmij wszystko, co jest w kuferku. Te dworskie damy wcale nie cenią skromności. One mierzą twą wartość tym, co masz na sobie. Tak, wezmę perły i broszkę. I oczywiście mój srebrny krucyfiks.

– Ho, ho, bardzo to ładnie wygląda. Jesteś kubek w kubek jak stary portret – odstąpiła krok do tyłu, by nacieszyć oko własnym dziełem.

– Lepsza byłaby dzisiaj koronkowa kryza, a nie ta lniana – sarknęła markiza de Mondlle gderliwym tonem starej damy. – Mam nadzieję, żeś ją przynajmniej świeżo wykrochmalila! Jeżeli rzecz jasna wart jest cokolwiek twój krochmal! O, w moich czasach krochmal był krochmalem, nie to co dzisiaj!

– Ty chyba naprawdę lubisz być tą okropną starą damą.

– Sylvie, bez takich poufałości! Ja jestem tą okropną starą damą i radzę ci o tym nie zapominać. Markiza de Morville to prawdziwe monstrum.

Po krótkiej chwili na ulicę wysunęła się chyłkiem czarno zawoalowana, niesamowita starucha budząca postrach w całym sąsiedztwie. Tren niósł jej turecki karzeł, lokaj zaś o twarzy zbiegłego przestępcy co prędzej poskoczył do powozu otworzyć drzwiczki. Zaraz potem czarny ekwipaż bez herbów potoczył się w stronę ulicy Vaugirard, niknąc w lekkiej wiosennej mgiele.

Salony przy całej rue Vaugirard odznaczały się wykwintną elegancją, w rezydencji madame de Montespan zbytek wszelako bił w oczy, jak przystało domowi, który w każdej chwili może dostąpić zaszczytu odwiedzin swego monarchy. Nawet w antykamerach wisiały jedwabne gobeliny, a krzesła i stoły z rzadkich gatunków drewna zdobiły kosztowne intarsje. We wszystkich kątach stały olbrzymie kandelabry, w których bez przerwy płonęły dziesiątki świec. Kiedy wprowadzono mnie na piętro, w reprezentacyjnym salonie ujrzałam cenne malowidła w ciężkich złożonych ramach. Była tu Wenus przed lustrem w otoczeniu chmary kupidynków, Zeus pod postacią byka porywający Europę oraz na honorowym miejscu wielki portret Króla Słońce. Zaraz za salonem biegły drugie marmurowe schody; na kolejnym piętrze wypadało nam przejść przez pokój szkolny, gdzie zobaczyłam dwóch chłopców. Starszy, sześć-, może siedmioletni, był tym samym, którego widziałam w powozie podczas pierwszej mej podróży do Wersalu. Młodszy, mimo że mógł sobie liczyć co najwyżej cztery latka, nosił miniaturową replikę stroju przeora pewnego bardzo bogatego opactwa i zgodnie z wolą królewskiego ojca już teraz pobierał dochody płynące z tego beneficjum. W chwili gdy starszy z malców podszedł z wypracowaniem do ciemno ubranej guwernantki, spostrzegłam, że utyka na jedną nóżkę.

Matka zarówno tych chłopców, jak i jeszcze trójki młodszych dzieci spoczywała na złożonym łożu w zaciemnionej sypialni. Z zimnym okładem na czole i przylepionymi do szyi mokrymi kosmykami ciemnobłond włosów wyglądała zaiste jak obraz skrajnej rozpacz.

– Madame, przyszła wróżka.

– Ach, to podłe monstrum, co przepowiedziało mi banicję! Każ jej podejść bliżej, niechże ją zobaczę! – podciągnąwszy ciało do pozycji półleżącej, odrzuciła kompres i wbiła we mnie oczy w przedziwnym odcieniu akwamaryny. Dostrzegłam w nich wyrachowaną, złośliwą inteligencję; wrażenie to potęgował jeszcze lekko cofnięty podbródek, a zwłaszcza usta, małe i bardzo wąskie. Wydawały się przeraźliwie zimne. Wykonałam głęboki dyg, całkiem jak przed królową.

– Jak śmiałaś na spółkę z hrabiną de Soissons wystawić mnie na urągowisko?! – niebieskawozielone oczy stwardniały nagle niczym diamenty w głowie bazyliuszka.

– Madame, jest mi niezmiernie przykro, lecz doprawdy nie leżało to w mych intencjach. Powiedziałam uczciwie to tylko, co zobaczyłam w naczyniu.

– Hrabina de Soissons to suka! Zazdrosna intrygantka! Brzydka, podstarzała Włoszka, która myśli, że potrafi zyskać względy króla! Wielka Mancini! Kimże oni są, ci Mancini! Zwykli parweniusze! We mnie płynie krew Mortemartów, bardziej starożytna niżli krew Burbonów. Burbonowie przy mojej rodzinie to zaledwie też parweniusze. Rozumiesz, jak wielkiej dopuściłaś się zbrodni? – w przyływie świętego oburzenia usiadła teraz na łożku. – Dla jakiejś Mancini uczyniłaś pośmiewiskiem kobietę z rodu Mortemartów! – głos jej ociekał szyderstwem. – Jak śmiesz grać po jej stronie, jak śmiesz tak mnie znieważać?! Wciąż jestem dość potężna, by cię zniszczyć! Ach, czyliż takie nic jak ty może mieć pojęcie o mej potędze? Wiedz, ty nędznico, że powrócę do Wersalu w złocie i diamentach, a ciebie... ciebie każę spalić żywcem na placu de Greve! – twarz jej poróżnowiała z wściekłości, słowa padały coraz szybciej. Matko Boska, to jeden z jej słynnych napadów furii. Co gorsza, zwykle w takich razach dotrzymuje słowa. Zaczęłam gorączkowo myśleć.

– Wiem, że wrócisz, madame, bo to z mych własnych ust wyszła również i ta przepowiednia. Moje naczynie zawsze mówi prawdę, co mogą potwierdzić wszyscy paryscy wróżbici. Czy nie wolałabyś mieć go do swoich usług, miast oglądać mnie na placu de Greve?

Nie wiem, co takiego powiedziałam, że jej pewność siebie wyraźnie osłabła. Aroganckie oblicze powlokło się nagłą bladością.

– Znasz La Voisin – powiedziała tonem konkluzji, podnosząc do twarzy upierścienioną rękę. Czując, że zyskuję przewagę, potwierdziłam.

– Tak, znam ją.

– Jak dobrze ją znasz? – głos madame był nienaturalnie spokojny. Znów czułam, że gdzieś tu tkwi niebezpieczeństwo, tylko w czym?

– Jestem... hm... można powiedzieć... jej partnerką w interesach.

– Powiedz mi zatem, jaki cel chciała osiągnąć, ujawniając przepowiednię o mej banicji najpierw hrabinie de Soissons, a mnie dopiero potem?

– Nie miała w tym żadnego celu. Mnie poproszono o wróżbę i ja to powiedziałam.

– O, La Voisin zawsze ma jakiś cel na widoku!

– Jeśli życzysz sobie, madame, mogę zaraz spojrzeć w naczynie.

Zerwała się raptem z łóżka i zaczęła krążyć po sypialni, wlokąc za sobą długi tren peniuaru.

– Wiem, co było jej celem! – wykrzyknęła przystając. – Chciała przypomnieć mi o swojej sile! Mój Boże, ależ ona jest chytra! Rzuciła na mnie urok, a ten urok kazał mi cię tu sprowadzić! Musi to być zaiste potężny urok, bo dlaczego, ty nędzne stworzenie, ani na chwilę nie schodzisz mi z myśli? Dlaczego co noc śni mi się śmiech tej jędzy, hrabiny de Soissons? Tak, to La Voisin cię przysłała, opatrzwszy wpierw swoim szatańskim zaklęciem! Chce, byś przepowiedziała mi przyszłość, a wie, czego się boję! Klasztornego więzienia, jego ciemnych murów! To czeka odsuniętą faworytę! – wyjrzała na ulicę i twarz jej nagle obwisła jak oblicze starej kobiety. – Boże, jakie to straszne... nigdy już nie zaczerpnąć świeżego powietrza, nigdy nie przejechać się powozem, nigdy nie ujrzeć dzieci... Utracić włosy, moje piękne włosy... ileż to nowych fryzur wprowadziłam w modę... moją biżuterię, toalety, grę w karty, teatr! A przecież tak wzbogaciłam ten dwór swoim gustem. Gustem Mortemartów, ich dowcipem. – Zaczęła raptem krzyczeć na mnie, jakbym to ja właśnie była przyczyną jej klęski.

– Wiesz, ilu poetów i malarzy zyskało dzięki mnie sławę? Ile cudownych posągów powstało za moją sprawą? Otaczałam nas pięknem, siebie i jego, i wszystkiego mam się teraz wyrzec? Ach, krążą koło mnie tłumy żarłocznych harpii i każą żałować za grzechy, czynić pokutę! Pokutę? Za co? A on nie powinien się kajać? Czyliż nasz grzech nie Jest wspólny? Przez te siedem lat urodziłam mu pięcioro dzieci, podsuwałam inne kobiety, gdy zachciało mu się odmiany, zabawiałam swoim dowcipem, kiedy było mu nudno, a tak jest prawie bez przerwy! Ciekawe, czy też kiedy przyszło mu na myśl, że nudzi się z własnej winy, ponieważ to on jest piekielnie

nudny! – zaczęła wpatrywać się we mnie takim wzrokiem, jakby się chciała upewnić, czy aby dobrze rozumiem jej głęboką pogardę dla pozbawionych polotu mężczyzn. – Gdybyśmy żyli w Turcji, byłabym drugą małżonką sułtana, wszyscy by mnie szanowali! O, powinnam była wiedzieć, na co się zanosi, kiedy odmówił mi tytułu księżnej. Moja przyszłość jest przesądzona! Zostanę żywcem pogrzebana! I ty, ty masz mi to powiedzieć. Tego chciała La Voisin, przysyłając cię do mnie. Na co czekasz, bierz swoją czarę i mów, mów, ty straszna żałobna maro!

– Muszę usiąść, madame. – Oczywiście nie zaproponowała mi krzesła. Żyjąc w świecie, gdzie wyznacznikiem szacunku wobec gościa był rodzaj wskazanego mu krzesła, potrafiła kiedyś posadzić na stołkach diuszesy, markizom zaś kazała stać przez cały wieczór. Jak widać, nawet w niełasce nie wyzbyła się swojej pychy.

– Trudno, skoro musisz. Mój Boże, żeby taka kreatura siedziała w mojej obecności! Jakże nisko upadłam!

Zacząłam powoli rozkładać swoje przybory: kabalistyczne płótno, pałeczkę z głową smoka, krótkie aromatyczne świece o nader osobliwej woni, na koniec uroczyście ustawiłam zamknięte naczynie z wodą. Kazałam madame dotknąć czary, aby „przywołać obraz”, słowem, wykonałam wszystkie swe dobrze wypróbowane sztuczki podnoszące „magiczny” efekt. Obraz pojawił się w wodzie, ale trudno mi go było zrozumieć. Ktoś ubrany w szaty liturgiczne odprawiał jakieś nabożeństwo. Gdzie? Nie miałam pojęcia, co to za kaplica. Na ścianie wisiał krzyż... ach, odwrócony do góry nogami. Na krótko mignął mi profil celebranta... Teraz już wiedziałam. Wystarczyło spojrzeć na ten nos poznaczony odrażającą siatką sinych żyłek, by rozpoznać w jego właścicielu złowrogą postać z wielkanocnego przyjęcia u La Voisin. Abbe Guibourg postawił gdzieś trzymany w ręku kielich mszalny. W migotliwym świetle otaczających go kręgiem wysokich czarnych świec nie od razu dostrzegłam, że za ołtarz służyłono nagiej kobiety przykryte białym ręcznikiem. Dookoła tłoczyło się wielu ludzi, nie sposób było jednak dojrzeć ich twarzy. Z mroku wysunęła się niewyraźna postać kobiety trzymającej na rękach nie całkiem uformowane ciało martwego urodzonego dziecka. Guibourg rozciął maleńkie gardło i spuścił krew do kielicha... tak samo postąpił z ciałkiem, tnąc je wzdłuż niczym rybę.

– Boże – wyszeptalam głucho – to czarna msza. – Ohydny ów widok pozbawił mnie tchu, słyszałam oszalałe bicie własnego serca. Kobieta, która przyniosła trupka, powoli odwróciła głowę i zobaczyłam twarz La Voisin.

– I co? Co widzisz? – przynaglił mnie niespokojny głos zza pleców.

– Madame, proszę nie dmuchać na szkło, zmącisz obraz! – warknęłam; ucisk na ramieniu zelżał, poczułam, że się odsuwa.

Obleśny abbe kończył teraz obrzydliwie poufałą ceremonię z nagą kobietą w roli ołtarza. Z odrazą patrzyłam na to białe nalane ciało wijące się w gwałtownych spazmach. Takim też mimowolnym ruchem odrzuciła włosy zasłaniające dotąd jej twarz... Kobietą, w której intencji odprawiono tę wstrętną mszę, była madame de Montespan. To ona służyła za ołtarz.

Podniosłam wzrok i ujrzałam jej twarz nad sobą – próbowała wraz ze mną patrzeć w wodę. Jej oczy... była w nich jakaś nieposkromiona żarłoczność. Zaciśnięte usta wydawały się teraz czerwieniejsze... jak usta ludożercy, który właśnie skosztował czyjejś krwi...

– Madame bierze udział w jakiejś ceremonii... – zaczęłam.

– Powiedz, zostanę księżną?

– ... jest to jakaś... tajemna ceremonia, mająca na celu przywrócenie do łask... – starałam się jak najdelikatniej przedstawić sprawę. Kiwnęła głową z pełnym zrozumieniem. Wiedziała. Musiała robić to już nieraz. A ja musiałam wziąć głęboki oddech. O, przepowiadanie przyszłości zupełnie przestało mnie bawić, przynajmniej w tym momencie. Boże, do czego doszłam! Dworskie intrygi, trucizna, a teraz czarna msza. Żyję jak królik w legowisku węża. Zapraǳnęłam się nagle wykapać.

– Proszę poczekać, spróbuję spojrzeć dalej w przyszłość. – Serce wciąż tłukło mi się nieprzytomnie, bałam się, że słychać je w całym pokoju. Po raz drugi zobaczyłam madame podejmującą króla. Gors jej sukni błyszczał od diamentów. Ujęła stojącą na kredensie srebrną karafkę i zaczęła nalewać wino... dostrzegłam nieznaczny ruch dłoni i do jednego z kielichów posypał się jakiś proszek... Zobaczyłam, jak piją to wino, jak się oboje śmieją, jak twarz króla czerwienieje z nagłego požądania...

– Odzyskasz, pani, w pełni względy króla. Widzę, jak podejmujesz go w swoich komnatach. Miłościwy pan obsypuje cię podarunkami, obdarza ogromną władzą. Szaleje z namiętności.

– Tak, tak – dobiegł mnie znowu jej ponury szept – ale kiedy? Jak długo mam na to czekać?

– Mogę to wywnioskować jedynie z liści czy kwiatów pojawiających się w mojej wizji... zamieszam jeszcze raz wodę... spójrzymy... Wygląda na to, że w połowie lata, gdy król powróci z wyprawy do Flandrii. – Na powierzchnię wypłynął teraz kolejny obraz: madame de Montespan w swojej słynnej robe battante, eleganckiej sukni bez talii. Spopularyzowała ten

model, anonsując nim swoje ciążę; była to zarazem triumfalna manifestacja odzyskanej władzy.

– Proszę się nie martwić, madame. Znow zakosztujesz, pani, najwyższej potęgi i... urodzisz królowi dziecko. Będzie ono znakiem pojednania.

– Ach, dobra wróżko, niebo mi cię zsyła! Spełniasz me najgorętsze pragnienia!

Niebo? Chciałaś chyba powiedzieć „piekło”? Król Francji to głupiec, marionetka w rękach mrocznych kreatur, wyznawców i krzewicieli przesądu. Jak do tego doszło? Dzięki swym ohydnyom praktykom ludzie ci zdobywają władzę nad prawie wszechmocną kobietą; dostarczają jej afrodyzjaków, którymi ona dla zaspokojenia swych ambicji regularnie poi króla. Wystarczy jedno ich słowo, by miejsce afrodyzjaku zajęła śmiertelna trucizna. Taki jest prawdziwy klucz do władzy. Jak to mówiła La Voisin? „Rządzimy światem mężczyzn poprzez ich słabości. ” Losy królestwa Franków trzyma w rękach nie jego monarcha, ale czarownica z rue Beauregard.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– I któż temu uwierzy – sceptycznie pokręcił głową La Reynie.

– Tę kobietę łączą więzy pokrewieństwa z połową paryskich sędziów... do tego jej pochodzenie, uroda, delikatność... a nam pozostaje to tylko... – dotknął stojącej przed nim czerwonej kasetki. Zawierała ona jedyne dowody winy oskarżonej markizy de Brinvilliers: parę jej rodzinnych dokumentów, kilka buteleczek ze sproszkowanym arsenikiem oraz opatrzoną własnoręcznym podpisem przestępczyni listę zbrodniczych uczynków, rezultat owocnej wyprawy Desgreza do klasztoru w Liege. Komendant wybrał na chybił trafił jedną stronicę i zaczął studiować przerażający rejestr. W wyłożonym ciemną boazerią gabinecie panował przytłaczająco duszny upał, jak zwykle w połowie lata. La Reynie czuł z irytacją, jak spod grubej peruki miarowo kapią mu na kark krople potu i łącząc się w strumyki spływają dalej po plecach. Na kołnierzu i pod pachami uniformu stojącego przed biurkiem Desgreza też widniały wilgotne plamy. Szef nie zaproponował mu krzesła.

– Że też po trzech miesiącach przesłuchań to wciąż jedyne dowody, jakimi dysponujemy! Tak, Desgrez, ona nadal wszystkiemu przeczy. Czytając niektóre raporty mam wrażenie, że jest obłąkana. Kompletnie. Przez ostatnią dobę był z nią abbe Pirot i zobacz, co pisze.

Desgrez wziął podany dokument i zaczął czytać:

– „Markiza zachowuje pozory zimnej arogancji, zdarzają się wszelako momenty, kiedy oczy zaczynają jej gorzeć jak u demona, a z gardła dobywają się inne głosy. Niczego mi nie wyznała, chociaż ją zapewnilem, że ocali tym sposobem duszę od potępienia"... – Desgrez przerwał w tym miejscu i pozwolił sobie na żarcik: – Sądzę, panie komendancie, że po niedawnych doświadczeniach markiza nie żywi szczególnego zaufania do opatów. – La Reynie nie zdobył się na uśmiech; nadal wertował wyznanie oskarżonej, porównując je z zapiskami w swym czerwono oprawnym notatniku.

– Nie ma jednakże powodów do obaw, że markiza wymknie się katu – odezwał się znowu Desgrez.

– Nie to mnie martwi – ton La Reyniego świadczył, że zaabsorbowany jest inną myślą. – Gnębią mnie pytania, na które wciąż nie mamy odpowiedzi: kto dostarczał jej trucizn? Komu jeszcze ich dostarczał? Kto poza owym dostawcą ma swój udział w jej odrażających zbrodniach? Paryż aż huczy od plotek. Być może udało nam się uchwycić ledwie ostatnie ogniwo jakiejś większej konspiracyjnej struktury. Ona tymczasem wciąż milczy, a jutro będzie

po wszystkim... koniec wszelkich pytań.

– Czy mam przez to rozumieć, że osobiście poprowadzi panquestion extraordinaire?

– Takie jest życzenie Louvoisa. Sam król żywo interesuje się sprawą. Na podstawie tego hm... dokumentu... który tak sprytnie udało ci się wydobyć, przygotowałem sobie własną listę pytań.

Kamienne ściany głębokiego lochu ziały wilgocią; nawet w lipcu panował tu nieustający chłód. Obok gorącego pieca leżał siennik, gdzie osłabłą ofiarę przywracano do przytomności przed kolejną sekwencją pytań. Przesłuchanie trwało. Po jednej stronie stołu siedział urzędnik sądowy sporządzający oficjalny protokół śledztwa, po drugiej lekarz ze środkami trzeźwiącymi i butelką mocnego trunku.

– Trzeci raz do pełna – beznamiętnie zakomenderował de La Reynie, na co pomocnik kata wlał trzeci ogromny dzban wody w stożkowaty wlot rury wetkniętej w usta markizy. W rozciągniętym na koźle nagim ciele nikt by się nie dopatrzył jego niegdyś delikatnych kształtów, tak już rozděła je woda.

– Twój kochanek, Saint-Croix, komu jeszcze dostarczał trucizny? – zapytał szef policji. Odpowiedział mu skrzyp pióra protokolanta i głuchy jęk markizy.

– Można kontynuować – stwierdził lekarz, dotknąwszy jej pulsu.

– Jakie jeszcze osoby płci obojga zaopatrywał w trucizny? – powtórzył nieustępliwie La Reynie.

– Skąd mogę wiedzieć? Wiem tylko, że mnie jedną kochał. Och, miał tuziny klientów, tak, miał ich mnóstwo. Ale mi o nich nie mówił, a teraz nie żyje.

– Wiem, że znasz ich nazwiska! Podaj mi je!

– Wy podli oprawcy, chcecie, żebym pękła! Tyle już dzbanów wody wlaście w to moje drobne ciało! Zhańbiłeś mnie, arystokratkę, nie wybaczę ci tego, ty kanalio – głos jej brzmiał ledwo słyszalnie. La Reynie zmuszony był pochylić się nad leżącą.

– Nazwiska, madame.

– O, znam ich wiele – wyszeptwała. – Mogłabym pociągnąć za sobą pół Paryża, gdybym tak postanowiła, ale nie, nie podam ci żadnych nazwisk. Wy, policjanci, żyjecie jedynie po to, by niszczyć wszystkich, którym musicie się kłaniać. O, nie uczynię ci tej satysfakcji! Wiesz, kto ja jestem, podły nikczemniku? D'Aubray! – oczy jej rozgorzały szaleńczą furją.

– Czwarta doza – rzucił komendant z twarzą twardą jak kamień. Po siódmej markiza nadal

uparcie milczała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kiedy zgodnie z moją przepowiednią madame de Montespan powróciła latem do łask, wybuchła niesłychana sensacja, ja zaś stałam się ozdobą najwykwintniejszych salonów. W ciągu roku, który minął od tego czasu, rzadko zdarzało mi się jadać u siebie czy nocować we własnym łóżku. Wytworne panie domu dosłownie wrywały mnie sobie z rąk; każde wydarzenie towarzyskie należało przecież uświetnić mym słynnym już teraz dowcipem. I tak w jasne od słońca popołudnie 16 lipca 1676 roku znalazłam się wraz z całym towarzystwem w oknie wychodzącym na plac de Greve, wynajętym za ogromną sumę przez jedną z moich patronek. Niebawem rozpocząć się miało widowisko uznane powszechnie za egzekucję roku, nic więc dziwnego, że wszystkie balkony i okna z widokiem na szafot, a nawet te wzdłuż trasy przejazdu skazanej osiągnęły ceny daleko wyższe niż zwykle. Cały plac i przyległe ulice wypełniało pospólstwo; ci spośród arystokratów, którzy nie zdążyli wynająć miejsca w oknie, zmuszeni byli komentować się własnym powozem, skąd widok był znacznie gorszy.

– Taka kara za otrucie nudnego męża – westchnęła fundatorka okna. – Ten La Reynie jest doprawdy nazbyt okrutny... O, patrzcie! Księżna de Carignan, tam, w powozie! – wykrzyknęła machając chusteczką. Przez kilka minionych tygodni mówiło się tylko o markizie de Brinvilliers. Sama hrabina de Soissons udała się do więzienia Conciergerie, przywodząc z sobą całą grupę spektatorów ciekawych zachowania skazanej w drodze na ostatnie w życiu nabożeństwo. Markiza wszakże, jednakowo daleka od skruchy tak przed wejściem, jak i po wyjściu z kaplicy, okrutnie wykpiła niezdrową ciekawość hrabiny i zaraz zniknęła w celi. Teraz cały Wersal zjechał na plac de Greve oglądać budujący spektakl; stanowił on pożądaną odmianę po szarzyźnie dworskich rozrywek – wciąż tych samych festiwalach wodnych, teatrach i grze w karty.

– Gdy ta niegodziwa kobieta uleci z dymem, zacznę doprawdy lżej oddychać – oznajmił towarzyszący nam opat.

– Skłonna jestem twierdzić, że ciężiej, skoro w powietrzu unosić się będą jej prochy – zauważyłam cierpko. Nade wszystko nie znoszę hipokryzji. Nasza gospodyni wydała okrzyk rozbawienia:

– Ach, przedni dowcip, markizo! To prawda! Każdy z nas może wraz z powietrzem wchłonąć odrobinę jej zła, nawet ty, drogi ojczu. – O, do licha, tylko patrzeć, a po dworze zaczną krążyć kolejny dowcip. Zaczynałam mieć już dosyć własnych bonmotów; powracały do mnie jak

zużyty towar opatrzonej cudzą etykietką.

Ryk tłumu pod oknami obwieścił wszystkim, że zbliża się wreszcie dwukołowy wóz ze skazaną; jechał wprost z katedry Notre Dame, gdzie markiza de Brinvilliers odbywała amende honorable. Słaba po rannej torturze wodnej, leżała teraz na stercie słomy i drzewa, tej samej, na której już wkrótce miały być spalone jej zwłoki. Przyciskając do piersi krucyfiks, toczyła dookoła dzikim spojrzeniem przerażonych oczu, które woda niemal wysadziła z orbit. Miała na sobie zwykłą koszulę skazańca, a na rozpuszczonych włosach mały muślinowy czepek. Za nią stał kat z olbrzymim dwuręcznym mieczem, teraz litościwie skrytym przed jej wzrokiem. Pochylony nad leżącą spowiednik nawoływał ją widać do opamiętania, jego słowa jednak ginęły w zgiełku. Otaczający dwukółkę oddział łuczników starał się powstrzymać napierającą cizbę, lecz mimo ich wysiłków wóz bardzo powoli posuwał się naprzód. Skazana, która wciąż rzucała głową na obie strony, wypatrzyła teraz jeźdźca skrytego dotąd wśród łuczników i wytknęła w jego stronę dwa palce ułożone w znak diabelskich rogów. Spowiednik zdwoił swe wysiłki, ona zaś szybko odwróciła głowę, by nie widzieć jadącego przy wozie mężczyzny.

– O, to Desgrez, tam, na koniu! – zauważył jeden z towarzyszących nam panów. – Ten to już zawsze musi dopilnować sprawy aż do końca.

– Desgrez? Ach tak, ten policjant, co to zdybał markizę w jej kryjówce. Mówi się, że śledził ją całe lata, i to w różnych przebraniach. No i w końcu wy dobył z niej wyznanie.

– Sprytny diabeł, nie ma co! Niewielu policjantom udaje się schwytać truciciela bądź trucicielkę. Większość tych zbrodni uchodzi płazem.

– Gdyby nie truciele i lekarze, wszyscy dożywalibyśmy wieku Matuzalema – zażartował małżonek mej gospodyni, hrabia de Longueval, śmiejąc się hałaśliwie z własnego dowcipu.

– Zaiste pewnie by tak było... Jak myślisz, hrabio, czy kat zetnie ją jednym ciosem? Chętnie założę się o pięć ludwików, że będzie musiał poprawić.

– Ha, przyjmuję zakład. Widzę tam Samsona we własnej osobie, a ten jednym uderzeniem pozbawi głowy nawet wołu. Kimże jestem, bym miał odmawiać przyjęcia pięciu ludwików, skoro sam mi je ofiarowujesz?

Kat powiódł już markizę na szafot; przez krótką chwilę stała, wodząc wzrokiem po wypełnionych głowami oknach. Wydało mi się, że na moment spotkały się nasze spojrzenia. Zaraz potem Samson obciął jej długie włosy i założył na oczy opaskę. Ja też zamknęłam swoje; otworzyłam je dopiero wtedy, gdy dobiegł mnie głuchy łoskot. Stało się. Łucznicy, dźgając

dookoła halabardami, odepchnęli ludzi z miejsca u stóp szafotu, gdzie szybko wzniesiono olbrzymi stos z drzewa i słomy nasączonych oliwą. Na jego szczycie ułożono obie części ciała i przytknięto do słomy zapalone pochodnie.

– Łatwo przyszło mi te pięć ludwików – roześmiał się hrabia de Longueval. – Mówiłem, Samson jest niezawodny! Jemu ręka nigdy nie zadrży. Podobno na tę intencję przed każdą egzekucją zamawia mszę. – Dał się słyszeć brzęk monet przechodzących z ręki do ręki, a po nim kapryśny okrzyk madame de Longueval:

– Mówcie, co chcecie, drodzy przyjaciele, ale ja umieram z głodu. Chodźmy na kolację, tu i tak nie ma już na co patrzeć. Będzie się tak palić przez całą noc – umysł hrabiny pozbawiony był takiej cechy jak zdolność do kontemplacji. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam z okna, był widok Desgreza na czele oddziału broniącego przystępu do stosu. Kaprys tłumu uczynił już z markizy męczenniczkę. Pomyślałam, że kapitan będzie musiał spędzić tu całą noc; niełatwo mu przyjdzie powstrzymać tych ludzi od kradzieży ziemskich szczątków trucicielki, które później sprzedaliby jako relikwie. Zgodnie z wyrokiem królewskiego sądu prochy markizy miały być wrzucone do Sekwany, cechą zaś Desgreza była nie tylko wytrwałość, ale i to, że rozkazy miał zwyczaj wypełniać co do litery.

Tłum z wolna zaczął się rozpraszać, mimo to wciąż zagradzał nam drogę do stojącego w pobliżu powozu. Przedsiębiorczy chłopak od drukarza, zręcznie przepychając się przez ciżbę, zachwalał najnowszy rymowany pamflet z opisem wszystkiego, co się dziś zdarzyło, jak również pełną listą zbrodniczych występków kobiety, której zwłoki w tejże chwili obracały się w popiół. Pomyślałam nagle o babci. Przez pamięć o niej kupię ten pamflet!

– Hej, chłopcze, pokaż, co tam masz. – By zwrócić jego uwagę, zaczęłam wywijać laską.

– „Nadzwyczajne zbrodnie i egzekucja madame de Brinvilliers” z ilustracjami, za jedyne dwa sou, babciu. Gwarantowana przyjemność! – wrzasnął ulicznik.

– O, muszę to mieć! – zawołała stojąca w pobliżu dama.

– Chłopcze, chodź tu zaraz! – zakrzyknął jakiś jegomość. Wokół wyrostka natychmiast zrobił się ścisk. Ludzie jeden przez drugiego zaczęli rozchwytywać pamflet. Zanim chłopak zdążył podejść do mnie, jego torba świeciła pustką.

– Nie martw się, babciu, mam tego pełną skrzynkę, zaraz ci przyniosę. – Skrzynia stała tuż obok pod sklepieniem najbliższej bramy. Podeszłam. Oprócz dzisiejszego były w niej jeszcze inne tanie pamflety, jak również używane książki. Pilnował jej człowiek szczelnie owinięty

czarnym płaszczem; twarzy nie mogłam dostrzec, zasłaniał ją bowiem czarny kapelusz z nisko opuszczonym rondem. Dość dziwny był to ekwipunek jak na tak ciepły wieczór. Mogło to świadczyć tylko o jednym: ów człowiek nie chce być rozpoznany.

– O, widzę, że masz także książki.

– Tylko parę, babciu. Sama sobie popatrz. – Zajrzawszy do skrzyni znalazłam w niej kilka cienkich tomików zatytułowanych „Satyra na Parnas” po dziesięć sou egzemplarz. Odrzuciłam welon, aby zerknąć do środka. Pyszne! Dowcipnie rymowana libella na dworskie miłostki, a ile pikantnych szczegółów! Na policzki wybiły mi rumieńce. Człowiek w czarnym płaszczu wycofał się tymczasem w cień bramy, czułam jednak na karku jego spojrzenie; wprost przewierało mi skórę. Nagłe zakłopotanie kazało mi co prędzej opuścić welon. Dla niepoznaki chwyciłam nie patrząc drugą książeczkę, by ukryć pod nią niecną satyrę. Śmiały mi się do niej oczy.

– Te dwie i dzisiejszy pamflet. – Pospiesznie rzuciłam chłopcu złotego ludwika i uciekłam do swego towarzystwa.

– Och, cóż to za paskudztwo. Mam na rękach plamy z atramentu! – wykrzyknęła madame de Corbon, sadowiąc się w powozie. – Proszę cię, mój przyjacielu, zechciej zwinąć ten pamflet i schować do kieszeni. – Jak też zwinęłam mój egzemplarz i razem z książką wsunęłam do kaletki. Będzie co czytać. Zapowiadał się miły wieczór.

– O, madame de Morville, jak sprytnie! Ma pani w tej torbie istną aptekę. Można wiedzieć, jakim to tajemnym celom służy zawartość owych buteleczek? – Madame de Corbon była jak zwykle irytująco wścibska, jednakowoż w takiej akurat chwili, jak powrót z egzekucji trucicielki, lepiej było nie wzbudzać podejrzeń.

– Chcąc jako tako obracać się w towarzystwie, my, starzy ludzie, zmuszeni jesteśmy czasem uciec się do pomocy sztucznych środków, nie tak jak wy, młode istoty – powiedziałam, przybierając swój najbardziej sowy wyraz twarzy. – Oprócz chustki i buteleczki perfum mam tu jeszcze pewien pokrzepiający kordiał, a także nieco różu do pokrycia owej ziemistej bladeści, która jest skutkiem mego nieszczęsnego życia ponad czas wyznaczony ludziom. Tak długo nie pozwala mi ono zaznać kojącej ciszy grobu. – Widząc, że madame de Corbon zajęła się oglądaniem słoiczka z różem, zaproponowałam towarzystwu łyчек swojego kordiału.

– O, dziękujemy, madame de Morville – wymówił się w imieniu wszystkich hrabia de Longueval. – Każdemu jego raj, jak powiadają, nieprawdaż? – rzucił sentencjonalnie, puszczając w obieg błyszczącą złotem tabakierkę. – Ja osobiście wolę coś bardziej ożywczego

od tego kordiału, madame, bez urazy. – Hrabina zażyła szczyptę tabaki, madame de Corbon poszła za jej przykładem. Ha, dobrze, że nie wiecie, co to za kordiał, bo pewnie zmienilibyście zdanie, uśmiechnęłam się w duchu. Korzystając z chwili gdy towarzystwo przyłożyło do nosów chustki, pociągnęłam sobie z buteleczki.

– Wygląda pani na senną, madame. – Zaczynało już wkradać się we mnie znajome uczucie... jakby życie zwalniało bieg. Jednocześnie odpływały gdzieś okropności dzisiejszego popołudnia.

– Wspominam swą młodość. Czy wie pani, madame, że byłam obecna na słynnym turnieju, podczas którego odszedł na zawsze król Henryk II? Byłam wtedy ledwo rozkwitłą dziewczyną. Ach, co to był za król! Urodziwy, a jaki romantyczny... choć oczywiście nie do tego stopnia, co nasz dzisiejszy monarcha. – Rozpoczęła się przyjemna dyskusja o tym, jak mierzyć rycerskość wielkich postaci historycznych. Owładnięta błogim uczuciem zamroczenia słuchałam tego jak muzyki, kojącej, bo pozbawionej wszelkiej treści. Prawie żałowałam, że powóz tak szybko znalazł się przed głównym wejściem do Hotel Soissons.

– Pani nie gra, markizo? – uniosła brwi hrabina de Soissons, gdy złożyłam jej uszanowanie. Miała dziś na sobie atłasową toaletę w kolorze bezchmurnego nieba, której głęboki dekolt zdobił poczwórny naszyjnik z wielkich pereł przedzielonych w równych odstępach diamentami. Wszystko tu odznaczało się bajecznym przepychem: złote ściany salonu, wykładane kością słoniową stoliki do gry, królewski fotel, w którym zasiadała pani domu. Rezydowała u szczytu największego stołu, mając u stóp chmarę drzemiących i baraszkujących z sobą piesków. Na stołach piętrzyły się dziesiątki tysięcy skudów, gracze bowiem woleli posługiwać się złotem, aniżeli używać liczmanów. W miarę jak kupki złotych monet zmieniały właścicieli, rozlegały się szloch czy ekstatyczne okrzyki. Stoicyzm był cechą rzadko spotykaną u graczy obojga płci. Jedynie markiz de Dangeau wyraźnie odbijał od otoczenia. Siedział w milczeniu, tylko jego rysie oczy uważnie śledziły partnerów, a ręce z wprawą tasowały karty. Należał do tych, którzy grą zarabiali na życie, aczkolwiek głośno nie wypadało o tym mówić. Widać było, że kieruje się nie emocją, lecz przemyślaną taktyką – bez sztuczek w rodzaju znaczonych talii czy ukrytych w rękawie figur. Tu i ówdzie za plecami graczy stali ludzie pomniejszej rangi, bankierzy i finansisci, gotowi w każdej chwili poręczyć za swych patronów. Do stołu zapraszano czasami kogoś spoza świetnego towarzystwa, pod warunkiem że jego powierzchowność świadczyła o jakiejś takiej pozycji i że potrafił szastać pieniędzmi z taką samą niedbałą beztrząską, jak czynili to prawdziwi arystokraci.

– O nie, madame, nie gram – odparłam w odpowiedzi na pytanie hrabiny. – I bez tego dobrze

się bawię, podziwiając te wspaniałe stroje, które nosicie dzisiaj wy, młodzi ludzie. – Zamilkłam, bo właśnie któryś z mężczyzn wydał przeraźliwy okrzyk i rwąc sobie włosy wybiegł z salonu. – W moich czasach obyczaje nie były tak łagodne – stwierdziłam, nawiązując do tego incydentu. – Przegrany mógł wyzwąć zwycięzcę na pojedynek. Ulice przed salonami, gdzie szlachta grywała w karty, były często śliskie od krwi.

– Mądrze zrobił nasz król, zakazując karcianych pojedynków – zauważyła hrabina – bo i z gry mamy większą przyjemność, i przy stole tych samych partnerów.

– Też tak myślę – zgodziłam się uprzejmie.

– Nasza markiza jest niebywale dyskretna – wtrąciła swoje trzy grosze komtesa de Longueval, która jak zwykle musiała brać udział w każdej konwersacji. – Wie wszak z góry, jak ułożą się karty, ale nic nie chce mówić. Czy dlatego nie grywa pani z nami, madame?

– Tak nakazuje mi honor – powiedziałam surowym tonem. Jak gdyby troska o honor spędzała sen z powiek komukolwiek z tu obecnych! Te damy nie miały oczywiście pojęcia, dlaczego bardziej od wygranej oplaca mi się wędrownka między stolikami: słuchałam plotek. Pomagały mi one nieraz ubarwić blahe, beztreściwe obrazy, które bardzo często pojawiały się w moim naczyniu.

Madame de Soissons obdarzyła mnie ironicznym uśmiechem, po czym powróciła do gry. W drugim końcu salonu dostrzegłam diuka de Vivonne, tego nicponia, który tak zawrócił w głowie mojej siostrze, że stał się słońcem jej życia. Jaśniał teraz cały blaskiem swego bogactwa i złocistą zielenią brokatowego płaszcza. Przy tym samym stole siedziała jego diuszesa – grali w baseta.

Poszłam powoli naprzód, łowiąc uchem fragmenty rozmów.

– Król tak się wtedy rozgniewał, że aż odwołał przyjęcie...

– Na te damy, którym chciał okazać względy?

– Tak, bo popełniły wielki błąd. Po co pobiegły sprawdzać, ile wydał na te wachlarze? Łaska królewska jest wszak bezcenna...

– A ja słyszałam, że właśnie nabył je za bezcen i że wcale nie były z kości słoniowej, tylko jakiejś zwykłej... – poszłam dalej, uznawszy tę paplaninę za bezużyteczną. Wydało mi się, że w tym wielkim salonie zrobiło się raptem strasznie gorąco, czułam, że zaczynają bić na mnie poty. Puder mi się rozpuści, nie powinni mnie tu widzieć całej w pąsach. Chcąc sprawdzić, jak wyglądam, zerknęłam w jedno z wiszących na ścianach wielkich lusterek. To, co w nim ujrzałam,

sprawiło, że doznałam mdłości i zawrotu głowy. Osoby widoczne w lustrze także grały w karty, ale... o Boże!... byli to zupełnie inni ludzie. Stoliki stały inaczej, a towarzystwo miało na sobie nie znane mi stroje. Nigdzie nie widać było modnych dziś bufiastych spodni, zdobnych wstążkami kaftanów ani długich, ciemnych peruk mężczyzn. Kobiety także nie miały podwójnych rękawów z drapowaną górą, spod której zwisa podrękawek. Niesamowite towarzystwo w lustrze nosiło obciste stroje z mnóstwem koronek i zarówno panie, jak i panowie mieli na głowach jednakowo białe peruki. Męskie wyglądały na mniejsze od tych, które dziś noszą lokaje, i związane były z tyłu wstążką. Co to za obraz? Skąd się wziął? Nie pojawił się na moje żądanie, nie widziałam, żeby się formował, on był tam, po prostu był...

Drżąc na całym ciele, odwróciłam oczy od przerażającego lustra. Przy stoliku siedziała jakaś dama. Jej roześmiana twarz z kilkoma przyklejonymi muszkami odbijała się w szklance białego wina. To odbicie... przybrało nagle formę trupiej czaszki. Co się dzieje?, pytałam samą siebie, oddychając z coraz większym trudem. Ze ściany wciąż spoglądało na mnie to niesamowite towarzystwo, czaszka w szklance wina śmiała się bezgłośnie... Brakowało mi tchu. Od stolika pod lustrem płynęły strzępy konwersacji:

– ... madame de Lionne właśnie wprowadziła się do tego domu, no i siedzi rano przed lustrem, a tu na toaletkę zaczynają z sufitu spadać robaki. Co u licha? Żeby wyjaśnić zagadkę, kazała otworzyć sufit.

– I co, co tam znaleźli?

– Dobrze już rozłożoną ludzką głowę. Madame zawiadomiła policję. Oficerowie śledczy złożyli więc wizytę wielmożnemu panu de Penautier, receveur general du clergd, który jako ostatni mieszkał w tym domu.

– Strata czasu.

– Właśnie. Powiedział, że interesuje się anatomią, a ta głowa służyła mu do badań. Próbką anatomiczna. Kiedy mu się znudziła, kazał zamurować ją w podłodze w pokoju nad gotownią. No i nic mu nie mogli zarzucić. Czyje słowo bardziej się liczy, pana de Penautier czy takiego parweniusza jak La Reynie? A wiecie, co się o tym mówi w mieście?...

– ... doprawdy? Czy to możliwe?...

– Nawet bardzo możliwe. Kiedy pan de Penautier otruł poprzedniego receveur general Langwedocji, by samemu kupić jego urząd, lokaj, który przynosił truciznę, zaginął bez wieści.

– Zatem była to jego głowa!

– Wydaje się to wielce prawdopodobne, nieprawdaż? Ciało bez głowy, choćby nawet wypłynęło na powierzchnię, nie można wszak zidentyfikować.

Poczułam, że się duszę. Wybiegając na korytarz, zerknęłam jeszcze za siebie: cała tafla lustra powlokła się krwią.

– A więc i ty, madame, jesteś zdania, że gra bez wielkich pieniędzy nie ma sensu? – wycedził czyjś męski głos. Drgnęłam. Z przyćmionej alkowy wyłoniła się ociężała postać tego ponurego rozpustnika Brissaca. Znienacka przyparł mnie do ściany swoim wstrętnym cielskiem. Z jego przedwcześnie pomarszczonej twarzy biło wyuzdanie.

– Byłaby z nas para dobrych partnerów. – Jego oddech cuchnął zgniłą rybą. Odwróciłam się od niego jak najdalej.

– O czym pan mówi? Nie łączy nas nic wspólnego.

– Ależ tak, łączy. Ja potrzebuję pieniędzy, ty zaś znasz numery, które padną w loterii. – Spróbowałam się wyprostować, aby spojrzeć na niego z pogardą i... pośliznęłam się nagle na marmurowej posadzce.

– Jeśli chodzi o szczęście w grze, znam kobietę, która...

– Ha! Myślisz, że nie próbowałem? Zawiodło mnie wszystko, łącznie z czarną mszą. – Roześmiał się głośno, owiewając mnie znowu swym obrzydliwym oddechem. – Powiem ci coś w sekrecie, markizo. Wszystko to jest tyle warte, co niedzielne pacierze ojca Bossuet. Bóg nas opuścił. Szatan również. Nawet sam abbe Guibourg nie jest w stanie przywołać mi diabła, i co ty na to? Jego szatańska wysokość chadza sobie, gdzie chce. Ale ty, ty jesteś prawdziwa. Obserwowałem cię, słuchałem twych przepowiedni, widziałem, jak się sprawdzają.

Milczałam z twarzą pełną niesmaku.

– Połącz się ze mną, a sprawię ci rozkosz, jakiej nigdy jeszcze nie zaznałaś... – Przygniótł mnie całym ciężarem do ściany i pewnie nie udałoby mi się obronić przed jego uściskiem, na szczęście w tej samej chwili rozległ się przymilny, starannie modulowany głos księcia de Nevers:

– Madame, zgubiła pani laskę. – Brissac opuścił ręce i błyskawicznie odwrócił się w stronę diuka. De Nevers z ukłonem zdjął kapelusz i podał mi laskę; upuściłam ją podczas szamotaniny z Brissakiem.

– Madame rozważa korzyści płynące z partnerstwa, które właśnie jej zaproponowałem –

oznajmił ten łotr takim tonem, jakby się nic nie stało. – Pod twoim prześwietnym patronatem, księżę.

De Nevers uniósł brwi.

– Rad jestem niezmiernie, że nie pragniesz monopolizować sobie jej cennej wiedzy o rzeczach przyszłych – przez twarz przemknął mu protekcyjny uśmiezek. Oczy, zdradzieckie oczy Mancinich, kryły się za ciemnymi półprzymkniętymi powiekami.

– Zaofiarowałem się madame, że przywrócę jej młodzieńcze namiętności – Brissac ociekał wprost miodem. – W ogniu mych uczuć stopnieją lody, którymi skute jest dziś jej serce.

– Monsieur de Brissac, rozbudzając we mnie miłość, unicestwiłbyś zarazem to, na czym tak ci zależy: mój dar prorocstwa. Dla zyskania mych względów musisz więc zaproponować inny towar wymienny. Monsieur de Nevers, dziękuję za uprzejmość, do widzenia panom. – Odwróciłam się wyniośle i odeszłam.

– Nie można pozwolić, by ją dopadł kto inny – usłyszałam szept Brissaca.

– Masz całkowitą rację... Mógłby ją nakłonić do zagładania w cudze sekrety... Lepiej, żeby nasza przyszłość pozostała zakryta...

Mam więc następnego potężnego wroga! Znów zrobiło mi się nieznośnie duszno. Podeszłam do otwartego okna i opierając łokcie na parapecie, zaczęłam wdychać wieczorne powietrze. Gromada psów buszowała w ulicznym rynsztoku. Przejechał powóz wiozący starszego jegomościa w asyście dwóch lokajów. A w bramie naprzeciwko... stał mężczyzna w czarnym płaszczu i nasuniętym na twarz kapeluszu. Ten sam, którego już dziś widziałam! Wciąż stojąc nieruchomo jak posąg, zerknął w moje okno i na krótki, przerażający moment spotkały się nasze oczy. Jednym ruchem zatrzęsłam okno i pognałam co sił do salonu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Kiedy powóz madame de Soissons odwiózł mnie późnym wieczorem do domu, doznałam zatrważającego uczucia: coś złego wisiało w powietrzu, jakiś przytłaczający ciężar... zewsząd skradała się ciemność, jakby mnie chciała połknąć. I to lustro... Nieproszona wizja zupełnie mnie rozstroiła. Zwłaszcza że nie miałam pojęcia, co oznacza ani kogo dotyczy. Jeden z konnych forysiów oświetlił pochodnią wejście, lokaje przywołali mą własną zbrojną eskortę. Natychmiast zjawił się Gilles, który poprowadził mnie do domu. Cienie zdawały się żyć. Czy naprawdę w mroku ulicy coś się poruszyło? Czy mignęła mi jakaś postać? Ktoś mnie śledzi – teraz już byłam tego pewna.

– Czemu tak drżysz, madame? Czy ci zimno? Zaraz przyniosę twój ciepły peniuar. Nie jesteś czasami chora? – W głosie Sylvie słychać było niepokój.

– O, Sylvie, mam złe przeczucie. Stanie się coś strasznego. Nie wiem gdzie ani kiedy, ale będzie to rzecz potworna. O Boże, lustro, lustro nad toaletką! Zakryj je czymś! Prędeż! – Bałam się, że lada chwila z tej krwawej tafli zaczną się wyłaniać postacie... Kiedy Sylvie zarzuciła na lustro którąś z moich halek, ostrożnie dotknęłam płótna. Chciałam przekonać samą siebie, że jest suche, że ta krew to tylko złudzenie, chociaż, ach!, wygląda tak prawdziwie! Wprost widziałam ściekające po powierzchni krople.

– Co robisz, madame? Co tam widzisz? – dopytywała się zaniepokojona Sylvie.

– Krew. A przedtem w pałacu Soissons widziałam też dziwne postacie. Ja... ja ich nie wzywałam. Zakryj wszystkie lustra, nie mogę... nie chcę widzieć tych obrazów. Wiesz, natknęłam się dziś na Brissaca. Obaj z Neversem knują chyba jakiś spisek. Obawiam się, że chcą mnie wykraść albo co... A kiedy wysiadłam z powozu, poczułam, że ktoś jest na ulicy, ktoś mnie śledzi.... – skuliłam się na łóżku z rękami splecionymi wokół kolan. Trzęsły mną niesamowite dreszcze.

– Brissac? Jego się nie bój. Prawda, że to wstrętna pijawka i nicpoń, ale niegroźny, póki ma do czynienia z silniejszym. Brissaca bać się trzeba wtedy, kiedy ma pieniądze. Póki jest goły, będzie się do ciebie łąsił. Uspokój się, zaraz zakryję lustra i posprawdzam wszystkie drzwi i okna.

– Nie odchodź, Sylvie, boję się zostać sama. – Odmierzyłam dawkę kordiału do srebrnego kubeczka, który zawsze miałam pod ręką. Tak na wszelki wypadek. W oczach Sylvie odbiła się podejrzliwość:

– Ile dziś już wypiałś tego kordiału?

– Trochę po egzekucji. Krzyż mnie bolał...

– I trochę zeszłej nocy, żeby zasnąć, i odrobinę po południu, bo obiad był nudny, a wcześniej jeszcze troszkę, bo wytrzymałaś się w powozie jadąc z Marais i łupało cię w plecach. Madame, wszystkiemu winna ta mikstura. La Dodee wiedziała, co mówi, każąc mi cię obserwować. Masz halucynacje, to pewne.

– Jakim prawem kazała ci mnie obserwować? Nie jej interes! Wszyscy tylko mnie śledzą! U kogo pracujesz? U La Dodee czy u mnie? – spiorunowałam ją wzrokiem.

– U ciebie, ale ty wiesz doskonale, że dostajesz tę tinkturę wbrew zakazom madame Montvoisin. A jeśli przez picie opium zniszczysz swój dar prorocstwa, kto okaże się winowajcą? Kogo madame ukarze? La Dodee i mnie, żeśmy nic nie mówiły. Na twoim miejscu bardziej lękałabym się naszej madame niż wymagowanych strachów w tej ciemnej ulicy. Co będzie, kiedy tu przyjdzie i zobaczy zakryte lustro? Ja tam wolę spokojnie skrobać sobie swój serek – oświadczyła, przechodząc na drugą stronę łóżka, gdzie zaczęła strzepywać prześcieradło i klepać poduszki. Miałam teraz całe mnóstwo poduszek z najlepszego gęsiego puchu. Poszewki też były piękne: na cieniutkim płótnie widniały haftowane herby de Morville'ów. Prześcieradła wyglądały podobnie. A brokatowe kotary wokół łóżka! Te dopiero cieszyły oko kolorem morza, w którym przegląda się słoneczne niebo! Wszystko za własne pieniądze. Ilekroć spoglądałam na ten swój dobytek, nie mogłam się oprzeć uczuciu satysfakcji.

– Przecież niewiele biorę. To przez te plecy, wiesz sama.

– Hm, uwierzę w to, co mówisz, jak pokażesz mi tego, kto cię śledzi.

– Spróbuj zobaczyć kogoś, kto skrycie za tobą łązi! – warknęłam, mrużąc gniewnie oczy. Że też ma czelność mnie obrażać! Kto jak nie ona powinien najlepiej wiedzieć, że dawkuje ten kordiał bardzo ostrożnie. Nie jestem rozpróżnioną damą, co z nudów łyka opium, chcąc zafundować sobie parę godzin miłych iluzji.

– Aha, zwłaszcza jeżeli ten ktoś istnieje tylko w czyjejś głowie. Krwawe lustro! Dobre sobie.

Podbiegłam do okna.

– No i co teraz powiesz? – wyszeptałam, uchylwszy okiennicę. – Czy to także wytwór mojej wyobraźni? – Ulicę spowijała nieprzebita ciemność bezksiężycowej nocy, tylko tu i ówdzie w oknach wysokich kamienic z za opuszczonych żaluzji błyskały słabe ogniki świec. Ale naprzeciwno pod sklepieniem bramy... w mętnym świetle latarni zainstalowanej na rozkaz pana

de La Reynie majaczyła nieruchoma postać w czarnym płaszczu i wielkim, zasłaniającym twarz kapeluszu.

– Och! – z ust Sylvie wyrwał się okrzyk. Była teraz nie tylko zaskoczona, ale i wstrząśnięta. – I ty go już dziś widziałaś?

– Dwa razy. Najpierw krótko po egzekucji, a potem podczas przyjęcia u madame de Soissons. Wychyliłam się z okna, a on stał na ulicy. Widział mnie. Jestem pewna, że mnie śledził.

– Kto go nasłał, jak myślisz?

– Może diuk de Nevers, wszak to człek bez skrupułów. Uliczni zabójcy, rzeźmieszki, porywacze to wszystko jego znajomi. Może zrobić, co tylko wyroi mu się w głowie. Dla takich jak on nie istnieje prawo boskie ani ludzkie.

– Zapominasz o diable. Jego się boją ci libertyni. Dlatego książę lękałby się narazić madame, a już na pewno nie w tak łatwy do wykrycia sposób. Wie, że madame jest potężniejszą od niego adeptką. Jutro zawiadomię ją przez Mustafę, a tobie nie wolno ruszać się z domu, póki ten tam sobie nie pójdzie... Ach, słuchaj! Nadchodzi jakaś kompania... – Z oddali dobiegł nas brzęk tłuczonej latarni, stukot kopyt i sprośna piosenka wyśpiewywana przez dwa źle zestrojone pijackie głosy.

– Dobra robota! Liczy się podwójnie, jak zgasisz ją pierwszym rzutem!

– Panowie arystokraci – szepnęła Sylvie. – Kto inny zaraz by uciekł. Bałby się strażników, że go capną za to rozbijanie latarni.

– Patrz, mamy tu jeszcze jedną! – wzniosł się ku nam z ciemności czyjś arogancki okrzyk. – Ha, a pod nią imć pan strażnik ulicznych świateł. Czyż nie wygląda jak gnom? Z drogi, wieśniaku, jeśli nie chcesz, bym ci obił boki! Ta gra idzie o dużą stawkę. Jeszcześmy jej nie skończyli.

– Duchy ciemności przeciw światłu cywilizacji, co? Nierówna to walka. Głupi prostacy pragnący stłamsić światło rozumu będą zawsze przeważać nad tymi, którzy je rozpalają. – Głos wydał mi się znajomy, nie umiałam go jednak powiązać z osobą.

– Ośmielasz się mówić tak do mnie, ty uliczny śmieciu? – Złowiłam okiem błysk szpady w rękę szarżującego jeźdźca, lecz czarno ubrana postać zręcznie uskoczyła w ciemność.

– Madame, odejdz od okna, bo cię powołają na świadka! – wyszeptała Sylvie, ciągnąc mnie za rękaw peniuaru. Wszystkie okoliczne okna pozostały ślepe i głuche.

– Cicho! – zdmuchnęłam świecę, by mnie nie widziano z ulicy. W tej samej chwili z mroku wyskoczył ciemno ubrany mężczyzna. Mignęło mi jego wyciągnięte ramię. Nastąpiło potężne szarpnięcie za uzdę, rozległ się brzęk uprzęży, stukot kopyt i rozpaczliwe rżenie konia. Przerazone zwierzę stanęło dęba, zachwiało się i runęło, pociągając za sobą jeźdźca. Zaraz też coś ciężkiego trafiło w latarnię; na leżących posypał się deszcz iskier wraz z płonącym knotem i rozpalonymi kawałkami wosku. Drugi jeździec zeskoczył z konia i pobiegł towarzyszowi na ratunek.

– Philippe, cały jesteś w ogniu, wstawaj że szybko! – zaczął tłumić płomienie kapeluszem.

– Sacrebleu! Zaplątałem się w pułsisko!

– Gdzie ten łotr? Już ja go dopadnę, choćbym miał całą noc nie spać! – głos kawalera brzmiał groźnie. Towarzyszyl mu brzęk dobywanej szpady.

– Mój pióropusz... spójrz, istna ruina. Au! Moja noga! Kostka chyba pęknięta. Ale przysięgam, że mu nie daruję! Złapię tego zbroja! Nie mógł daleko uciec... – sądząc po odgłosach, Philippe z pomocą towarzysza zdołał dosiąść konia. Rozległ się stukot kopyt: ruszyli.

– Stać, panowie! Jesteście aresztowani.

– Ha, straż... nie, to policja... Nie macie prawa nas zatrzymywać. Jesteśmy wszak stroną poszkodowaną! Jakiś łotr dopuścił się na nas napaści.

– Madame, dokąd biegniesz?

– Sylvie, ja chyba znam tego człowieka. – Mówiąc to byłam już w połowie schodów. Sylvie i Gilles biegli za mną.

Nawet przez masywne deski słyszałam czyjś ciężki, urywany oddech. Ktoś krył się pod sklepieniem bramy oparty plecami o wrota. Gdy je otworzyłam, jak toból zwałił się do środka. Gilles bez słowa wciągnął go głębiej, po czym równie bezszelestnie zamknął drzwi i założył sztabę. Klótnia na ulicy wyraźnie przybierała na sile.

– ... za rozbicie trzech latarni ulicznych, o to was oskarżamy! Nie gadajcie, jakbyście nie wiedzieli! Niewiniątka!

– Wiesz, łotrze, do kogo mówisz?

– Jak nie pójdziecie po dobroci, posiedzicie bezterminowo w Bastylii, macie na to moje słowo!

– No, monsieur d'Urbec, niezwyczajną wybrał pan sobie porę, by opryskać krwią moje progi – zwróciłam się do leżącej u mych stóp postaci.

– Widać moje rany okazały się śmiertelne, panno Genevieve Pasquier – dobiegł mnie znajomy głos – jako że ze zmarłymi spotykamy się dopiero na tamtym świecie.

Z ulicy dały się słyszeć głosy i stukot kopyt: panowie arystokraci odjeżdżali pod strażą policji.

– Wrócą tu jutro – odezwała się Sylvie. Aby lepiej słyszeć, zgięła się wpół, wcisnąwszy prawie głowę między mnie i d'Urbece. – Dość tego, Sylvie, nie stój tutaj. Kiedy się upewnisz, że są już daleko, niech Gilles weźmie latarnię, tylko ją czymś owińcie, a ty zetrzyj krew sprzed domu. Nie chcę, żeby te ślady sprowadziły nam na kark policję.

– Tak jest, madame.

– A pan, panie d'Urbec, nie ma racji sądząc, że nie żyje. Jesteś jedynie ranny. Zauważyłam to w chwili, gdy rzuciłeś kamieniem w latarnię. W tym stanie nie mogłeś daleko uciec; musiałeś poszukać jakiegoś ciemnego kąta. Płynął stąd prosty wniosek, że znajdę cię w odrzwiach. Czy rozumowałam prawidłowo?

– Mademoiselle Pasquier, logika zawsze była twą dominującą cechą. Nie mogłem być jednak pewien, że mnie rozpoznałaś – spróbował się podnieść.

– Zdołasz wejść na górę o własnych siłach?

– Zdaje mi się... zdaje się, że nie. Chyba uderzyłem się w głowę padając, gdy tak raptem otworzyłaś drzwi.

– Gilles cię poprowadzi. Oprzyj się o niego i uważaj na schodach, bo ciemno.

W sypialni – już przy zapalonych świecach – Gilles rozciął rannemu koszulę, a ja wzięłam się do tamowania krwi. D'Urbec raz tylko zamrugał oczami, gdy mocniej przycisnęłam dwa kłęby podartego płótna do jego piersi i boku. Mimo mych wysiłków krew wciąż buchała strumieniami z obu ran; przeciekała mi między palcami, tryskała na peniuar, lała się na podłogę. Wciąż jeszcze nie krzyknął, choć po nierównym oddechu i bolesnych syknięciach można było poznać, że cierpi. Pomarańczowy płomień świecy oblewał drżącym blaskiem sine piętno na jego ramieniu. Czy wtedy krzyczał? Czułam, że stojący za mną Gilles chłonie wzrokiem całą tę scenę.

– Dużo krwi – odezwał się nagle – ale to nic groźnego. Ostrze jak czysto weszło, tak i wyszło. Odgięło się na zębrze i nie trafiło w żaden ważny organ. Służąc w wojsku widywałem gorsze rzeczy. Jak tylko nie wda się gangrena, raz-dwa się z tego wyliże.

– To i w wojsku też służyłeś, Gilles? – spytałam zdziwiona. Pomyślałam, że ten był galernik

jest człowiekiem pełnym niespodzianek.

– O, wiele razy – odrzekł z niezmaconym spokojem. – W grenadierach, w muszkietierach, w piechocie, chociaż nie powiem, żebym gdzie długo popasał. Co najwyżej parę tygodni. Ludzie tam tępi i nieużyci, a gratyfikacje przy zaciągu marne. Starczy ledwie na tyle, żeby przez miesiąc nie trzeźwieć. A mnie się widzi, że za afekt dla króla i armii więcej by się należało. Ha! Miast podziękować za to człowiekowi, zafundowali mi niegorszą kurację morską powietrzem. – D'Urbec, nie mogąc powstrzymać śmiechu, chwycił się za bok, pograżając przy okazji i moją rękę w lepkiej czerwonej mazi.

– Masz szczęście, przyjacielu, że cię nie rozstrzelali – sapnął.

– Od takich jak ty patriotów wymaga się dzisiaj nawet ofiary życia. – Gilles parsknął zduszonym śmiechem i zaczął zakładać bandaż. Przychwyciłam spojrzenie d'Urbece: ślizgało się po złożonych ornamentach balustrady, luksusowych draperiach i obiciach.

– Nie tak mocno – jęknął w pewnej chwili. Zauważyłam, że ogromnie się zmienił. Był teraz znacznie chudszy i zarazem bardziej muskularny. Przy mocno zaciśniętych szczękach kości policzkowe rysowały się jeszcze wyraźniej. Oczy... pod oczami leżały głębokie cienie. Czarne, niegdyś kędzierzawe włosy płasko przylegały do czaszki. Nie golił się chyba od tygodni. Nie pozostało w nim nic ze studenta. Tamten umarł, a jego miejsce zajął ktoś obcy: silny, ponury, pełen gorzkiej wiedzy o życiu.

– Musi być mocno, bo się otworzy – odparł krótko Gilles, kontrolując gotowy już opatrunek. Sylvie przyniosła miskę z wodą, więc zaczęłam myć ręce, czując cały czas na sobie spojrzenie d'Urbece.

– Mademoiselle, muszę prosić cię o wybaczenie za to moje brutalne najście.

– Miałaś szczęście, że trafnie odgadłaś, kim jestem. Co byś zrobił, panie d'Urbec, gdyby twój domysł okazał się błędny?

– Ja nie zgaduję, mademoiselle. Moje myślenie opiera się na czystej kalkulacji, a wypływające zeń wnioski są niezawodne. Jak w geometrii. – W blasku świecy jego oczy wydawały się smoliste czarne. Prędko odwróciłam głowę.

– Skoro tak dobrze pan kalkuluje, po co było mnie śledzić?

– Ba! Każda naukowa teoria wymaga weryfikacji. Sama przyznasz, że to zgoła niecodzienny przypadek, aby czyjeś nadpsute zwłoki, które oglądało się w grobie, powróciły do życia w tak spektakularnej formie.

– Pan... pan widział mój pogrzeb?

– Owszem, i muszę ci powiedzieć, że był dosyć nędzny. Nie miałaś nawet trumny. Owiniętą w całun wrzucono cię do wspólnego grobu, pojmujesz, do grobu dla samobójców. Ktoś odmówił jedną zaledwie modlitwę. Była przy tym tylko twoja siostra w towarzystwie jakiegoś podejrzanego księżyny. – Poczułam się raptem dziwnie poruszona: dlaczego, na Boga, właśnie on uznał za stosowne przyjść na mój pogrzeb?

– Madame, wiedziałam, że jesteś stara, ale... nieżywa? Naprawdę byłaś martwa? – wyjąkała drżącym głosem Sylvie.

– O, całkiem martwa – potwierdziłam.

– Alchemia – poparł mnie d'Urbec. – Nie ma dziś dla niej rzeczy niemożliwych. Żyjemy wszak w stuleciu cudów – wlepił w Sylvie kpiące spojrzenie, mówił teraz jednak dużo ciszej. Nie czuł się chyba najlepiej.

– Teraz rozumiem, madame, dlaczego tak ukrywasz swą przeszłość... Ten twój abbe... musiał to być potężny nekromanta – powiedziała z trwożnym podziwem Sylvie.

– Nie, sprawiedliwość należy się tu komu innemu. To madame przywróciła mnie do życia, choć doprawdy nie lubię o tym mówić.

– Madame... – powoli wyszeptała Sylvie. Żrenice jej szeroko otwartych oczu stały się na chwilę ogromne i czarne jak noc. Widać było, że nad czymś deliberuje. – Powiedz – poprosiła, przechylając głowę i patrząc na mnie zwężonymi nagle oczyma – czy to bardzo boli, kiedy się jest martwą?

– Ach, skądże! Kiedy się umrze, nic nie boli... trudno jest dopiero zmartwychwstać. No i wiesz, te grobowe szaty wydają tak odrażającą woń pleśni!

W oczach d'Urbeca zamigotało rozbawienie, kącik ust uniósł się w górę. Wydawał się jednak z każdą chwilą bledszy, nawet w tym przyćmionym świetle.

– Monsieur d'Urbec, pan chyba kiepsko się czuje?

– Cóż, nie czułem prawie bólu, dając prztyczka w nos tym złotym młodzieńcom i policji... Teraz gdy emocje opadły, stał się on bardziej dolegliwy. Trafnie to odgadłaś, o pani mądra, Ateno o szarych oczach. Powiedz, masz tu dla mnie trochę miejsca na noc? – jego głos przeszedł w ochryply szept.

– Mam, panie d'Urbec, i mam coś jeszcze. Ten oto kordiał, który w mig uśmierzy twe

cierpienie – odmierzyłam mu sporą dozę ze stojącej przy łóżku butelki.

– Ach, to zaiste wspaniała mikstura – westchnął po chwili, z taką uwagą wpatrując się w pustą szklaneczkę, jakby na jego oczach przekształcała się ona w węża. – Myśli mam hm... całkiem mętne, za to ściany zaczynają błyszczeć. Zali myślę się sądząc, że ów cudowny kordiał pomaga też i takim, co wstali z martwych? – Spojrzałam na niego hardo, co nie wywarło na nim żadnego wrażenia, oczy miał już bowiem zamknięte i zaczynał osuwać się z krzesła. Chyba dałam mu za dużą dozę. Na jego uśpionej twarzy osiadł wyraz głębokiej melancholii. Nieoczekiwanie, i jakże głupio!, pozwoliłam się ponieść fali współczucia.

– Gilles?... – nic więcej nie musiałam mówić.

– Tak, z towarzyszem niedoli chętnie podzielę się łóżkiem. Na „La Fidele” bywało ciasniej. – Bez trudu przeniósł wiotkie ciało d'Urbece na swoje wąskie łóżko. Złożywszy je nogami do wezłowia, by zostawić sobie trochę miejsca, zauważył z pewnym zdziwieniem:

– Padł od tego kordiału jak od obucha. Ty, madame, musisz być chyba ze stali, skoro tyle go pijesz i nic nawet po tobie nie znać.

– Bo widzisz, Gilles, my, zmartwychwstańcy, jesteśmy pod tym względem dużo silniejsi od zwykłych śmiertelników. – Gilles zerknął na mnie bystro, niespiesznie zlustrował zdjętą podziwem twarz Sylvie – sam miał przy tym osobliwą minę – po czym z ukłonem powiedział mi dobranoc.

– Madame, wciąż jeszcze nie śpisz, czy coś ci jest? Znowu źle się czujesz? – dobiegł mnie z ciemności głos Sylvie. Sypiała u stóp mego łóża na składanym łóżeczku; na dzień wsuwało się je pod spód.

Leżałam bezsennie, wpatrzona w płomyk samotnej świecy w srebrnym lichtarzyku obok łóżka. Dalej, za strefą cieni przyczajonych pośród ciężkich kotar, rozciągało się morze ciemności tak ogromne, że ginęło w nim niebo i wszechświat. Ile znaczy maleńki krążek światła w nieskończonym mroku... taki kielkujący pączek blasku, świetlisty i kruchy jak ludzka nadzieja...

– Serce – powiedziałam. – Tak strasznie mi bije. Podaj mi kordiał.

– Nie, madame, dosyć już dzisiaj wypijaś. Więcej ci nie wolno.

– Ale ja chcę, rozumiesz? Kto tu jest panią?

– Ty, madame – potulnie zgodziła się Sylvie. – Ale, ale – dodała żywo – zapomniałaś dziś

porobić zapiski w książce z rachunkami. Zawsze przecież to robisz – paplała dalej, najwyraźniej próbując odwrócić mą uwagę od kordiału. Do licha! Czy ja jestem malutkim dzieckiem lub zdziecinniałą staruszką? – Zaczynij pisać, to i sen cię zmorzy. Ja przy rachunkach zaraz bym zgasła jak zdmuchnięta świeczka. – Ach, znowu świeczka. I po cóż je w ogóle zapalać, skoro ciemność jest tak uparta? Bronimy się przed nią, a ona powraca. Rozległ się szelest. Sylvie podniosła się z łóżka. Słyszałam, jak szuka czegoś po omacku.

– Madame, tu jest twoja kasetka, a tu torba z kluczykiem. Zrób te rachunki. Przecież nigdy nie opuszczasz ani dnia.

– No dobrze – westchnęłam ciężko – daj mi to wszystko. – Szukając klucza do kasetki, który zawsze nosiłam przy sobie, wysypałam na łóżko całą zawartość torby. Sylvie już znowu spała, o czym świadczył jej równy oddech. Ma szczęście, potrafi zasnąć wszędzie i o każdej porze. Żadnych wyrzutów sumienia, żadnych zmartwień. Odnalazłam wreszcie kluczyk: sznurek wplątał się w okładkę jednej z nabytych dziś książek. Teraz dopiero wpadł mi w oko pseudonim autora: „Kato”. No proszę, zamiast dzieła któregoś z wielkich Rzymian kupiłam jeden z produktów nielegalnej drukarni Gryfona. „Uwagi o zdrowiu państwa”, ten tak bardzo niebezpieczny traktat, że sam monsieur d'Urbec zmuszony był się go wyprzeć. Przyjrzałam się teraz „Satyrze na Parnas”. Wydrukowano ją rzekomo w Rotterdamie, ale czy na pewno? Wyszczerbione „s”, niewyraźne „f”... tak, to ta sama prasa. Zdezelowana maszyna Gryfona. Otworzyłam dzisiejszy pamflet: znów ta sama czcionka. Gryfon działa więc nadal, a d'Urbec dostarcza mu tekstów. Pisze teraz libelle, bo łatwiej je sprzedać. Kogo dziś obchodzi zdrowie państwa? Co innego sekrety alkowy, zwłaszcza tak wymyślne. Te interesują wszystkich. Cofnęłam się myślą do chwili, kiedy kupowałam książki. D'Urbec był tam wtedy; pilnował skrzyni, gotów w razie czego uciec. Nic dziwnego. Gdyby go teraz złapano, byłby to już jego koniec. Zawisłby na szubienicy za samą zawartość skrzyni. Podniosłam wtedy welon, a on mnie rozpoznał i poszedł mým tropem. Dlaczego, po co? Impuls? D'Urbec nie ulega impulsom. To rzecz przeciwna jego naturze. Ale przecież przyszedł na pogrzeb, podczas gdy mój rodzony braciszek nie raczył się pofatygować... Pewnie! Czy wschodząca gwiazda palestry mogłaby splamić swą szacowną dostojność czymś tak niestosownym jak pochówek samobójczyni? Zaraz, zaraz, kiedy to odbył się ten mój pogrzeb? Czy d'Urbec był już wtedy pamflecistą? Bo jeśli tak, jego zainteresowanie moją osobą mogło być czysto profesjonalne. Mogło? Było! Czy na pewno? O, biedna Genevieve, cóż za idiotyczna sytuacja! Nawet nie wiesz, kiedy odbył się twój pogrzeb. Czy on płakał?, zdjęła mnie nagle ciekawość. Dlaczego właściwie chcę to wiedzieć? Czemu wydaje mi się to takie ważne? Co, d'Urbec z twarzą zalaną łzami?

Niemożliwe. Nie sposób sobie tego wyobrazić. Pewnie robił notatki, jak zwykle chłodno i skrupulatnie. Przecież on zamiast serca ma w sobie mechanizm. Jak zegar. Aleś ty głupia, Genevieve. D'Urbec nie widuje się już chyba z Lamotte'em. Lamotte jest teraz modny, zbyt modny, by chciał się zadawać z jakimś pamflecistą, byłym skazańcem, choćby i uwolnionym od kary. Lamotte to pieścidełko bogatych kobiet; jest teraz pewnie stałym bywalcem salonów, czyta swoje dzieła wytwornemu towarzystwu. Wyobraziłam go sobie, jak popija wino w alkowie jakiejś modnej damy, śmieje się z jej powiedzonek, schlebia wpływowym przyjaciółom... Piękny Lamotte, czarujący uwodziciel. Nigdy go nie zdobędę.

Tak, Genevieve, niekiedy w głupocie przechodzisz samą siebie. Lamotte? Nie zbliżyłaś się do niego ani o krok – to tak tytułem podsumowania tych chytrych planów, co wylęły się w twój bujnej wyobraźni. Zamiast olśniewającego galanta masz teraz w domu tego wyrachowanego d'Urbeca. Na domiar złego nie wyrzucisz go za drzwi, bo rozczulasz się nad biedaczkiem: ach, odniósł rany na twoim progu! Myślisz, że on o tym nie wie? O, do licha, do licha! On tę całą rzecz ukartował. Po co? Wszystko wskazuje na to, że obmyśla nową libellę. Ależ tak, o to właśnie chodzi! Nagle stało się to dla mnie tak jasne, jakbym już ją nabyła. Nowe dziełko spod prasy Gryfona. Nierówny druk, szczerbate „s”, paskudny drzeworyt z ornamentem z samych węży i trupich czaszek. „Ujawnione sekrety niesławnej prorokini, markizy de Morville. Straszliwe okropności przy rue Charlot.” Jutro wstanie i od razu pójdzie do drukarza. Tym odwdzięczy ci się za otwarcie drzwi! Już dawno wszystko sobie zaplanował. O, niech to lichy! – wezbrała we mnie złość na siebie. Że też tak się dałam podejść. I to jeszcze mężczyźnie.

Świeca przygasła. Nalałam sobie odrobinę kordiału i czekając chwili, gdy wszystkie me członki przeniknie znajome uczucie ciepła, wzięłam do ręki książeczkę o zbrodniach markizy de Brinvilliers. Atrament trochę się rozmazał; na ilustracji przedstawiającej Samsona z uniesionym mieczem widniało dwóch katów i dwie klęczące kobiety. Szafot unosił się w powietrzu; twórca drzeworytu celowo pominął nogi pomostu, by łatwiej mu było wyrzeźbić postacie stojących wokół strażników. Dwie egzekucje, ta druga jak odbicie w lustrze... Jak spoglądające sobie w oczy prawda i złudzenie. Ach, widać kordiał zaczyna działać. Z dużym trudem udało mi się odczytać rymowany podpis pod obrazkiem. Jakie haniebne rymy: „W zaciętej pysze, chcąc posiąść ich złoto, męża, brata i ojca truje oto”... Plus jeszcze bratową i własną córkę, co ujęto w strofę równie nieudolną. Nie, to nie może być dzieło d'Urbeca; tak nisko by przecież nie upadł. Zainteresował mnie kochanek markizy, niejaki Saint-Croix, alchemik dostarczający swej lubej wszelkiego rodzaju trucizn. Twardy to musiał być człowiek. Myśleć o ślubie, wiedząc, że fortunę wybranki zawdzięczać będzie zupie z arszenikiem,

którego sam jej dostarczył! Nie każdy by się na to zdobył.

Wyobraziłam sobie tych dwoje. Intymna kolacja, płoną świece, w kącie przygrywa kapela złożona ze skrzypków w barwach markizy. Ona, drobna postać w przepysznej żółtej toalecie odsłaniającej piękne ramiona, nachyla się przez stół do kochanka, by szepnąć mu czułe słówko. Kawaler Saint-Croix prezentuje się równie wspaniale w błękitnych jedwabiach zdobnych pianą koronek i ogromnej fryzowanej peruce, która zwężając twarz, nadaje jego rysom szlachetne wyrafinowanie.

– Jeszcze wina, najdroższy? – pyta markiza, kiwając białym paluszkami na lokaja. Po chwili delikatna rączka podaje kochankowi napelniony puchar.

– O, są w nim chyba kawałeczki korka. Zechciej skosztować, moja luba, sama zobaczysz, że mam rację – Saint-Croix z wyrazem najgłębszego uwielbienia wyciąga ku damie srebrny, misternie rytowany puchar.

– Ach, czuję się jakaś słaba. To z radości na myśl o naszym tak już bliskim ślubie. Muszę zażyć parę kropelek kordiału, mój ukochany – szczupła rączka znika w fałdach sukni w poszukiwaniu skrytej tam odtrutki.

– Jakie to dziwne! I ja czuję się podobnie! Gorąco tu jakoś. Lokaju, otwórz okno. – Dłoń w koronkowym mankiecie sięga do wewnętrznej kieszeni kubraka.

Zatęskniłam nagle za starą damą o pomarszczonej twarzy. Babciu, moja kochana, tak bym chciała ci o tym opowiedzieć. Staralabym się jak najudatniej imitować głosy tych dwojga, by usłyszeć twój zduszony śmieszek. A potem papuga zaczęłaby śmiać się twoim głosem i wrzeszczeć: „Piekło i potępienie wiekuiste! Ogień i siarka!” Ty powiedziałabyś wtedy: „A nie mówiłam ci, Genevieve, że dziś bogacą się jedynie niegodziwcy? Nie tak to było za czasów Frondy. Nam nie brakowało herosów. Znasz ten fragment Apokalipsy?... ” Sięgnęłabyś po Biblię i zaczęła mi czytać o strasznych karach sądzonych grzesznikom... A papuga tańczyłaby na drążku, pokrzykując: „Piekło! Piekło i potępienie!”

Ale wtedy, gdy babcia umarła, ptak krzyczał co innego: „Pij! Pij!” Zrobiło mi się nagle zimno, bo... cała ta scena stanęła mi przed oczami z jakże okrutną jasnością. Ach, tyle czasu nie dopuszczałam do siebie tej myśli, a przecież wystarczyło tylko połączyć wszystko w całość. Szklaneczka po kordiale na podłodze... Mówili, że to atak serca. Ale sprytny ptak musiał słyszeć, jak ktoś powtarza „pij, pij”-. – Ktoś, komu się wydawało, że babcia to głucha i tępa starucha, więc nie rozpozna trucizny. Ten ktoś, działający w gorączkowym pośpiechu, otworzył staruszce zaciśnięte usta, by wlać jej do gardła zawartość szklaneczki. Broniła się biedna jak

mogła, zbrodniarz był jednak silniejszy. Wyrwał z kurczowo zamkniętej dłoni list zaadresowany do głównego komendanta Policji. Wiedział, że przed domem czeka już powóz, a słysząc na schodach moje kroki, co prędzej uciekł... słyszałam przecież szelest tafty...

Babcia, od lat przykuta do łóżka pośród swoich libelli, pogrążona, zda się, bez reszty w lekturze dworskich nowinek i skandali, wykryła swymi bystrymi oczyma to, czego nie domyśliłam się ja ani nikt inny: że choroba ojca wcale nie była chorobą. Musiał być systematycznie truty. Babcia podejrzewała, w jaki sposób podają mu truciznę, dlatego próbowała zawiadomić policję. Miała rację; najlepszy dowód, że ktoś – osoba w taftowej halce – postanowił zmusić bezbronną staruszkę do wypicia trucizny. Bał się, że ujawni zbrodnię mężobójstwa. Mój umysł w popłochu cofał się przed ową przeraźliwą prawdą, nic z tego... Martwe ciało babci, papuga z dzikim łopotem przelatująca z karnisza na kopułę łóżka, cała ta scena uparcie tkwiła mi przed oczami. Była jak senny koszmar, z którego nie sposób się zbudzić. Ile buteleczek arszeniku, ciemirnika, tojadu, „trutki na szczury" kryło się w matczynej alkwie pośród słoiczków rózu i innych upiększających kosmetyków? Dosyć, dosyć. Dosyć? – odzywał się rozum. – Bądź logiczna. Światły umysł nie może przeczyć logice. Niestety. Powiedziałam „niestety", bo zgodnie z wszelką logiką pozostawała do rozstrzygnięcia już tylko ta jedna kwestia: skąd matka brała truciznę? Czy z rue Beauregard? Znów ogarnęły mnie dreszcze. Nie odważę się o to spytać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Madame – obudził mnie szept Sylvie. Świtało. – Usunęliśmy krew sprzed domu. Ślady biegną teraz od środka ulicy do rogu i tam nikną. Można pomyśleć, że w tamtą stronę odszedł.

– Doskonale. Po południu wynajmiemy krzesło, odeślemy go do domu i po kłopotcie. – Głowa zaczynała mi doskwierać, w żołądku na dobre zagnieździły się dziwne jakieś bóle.

– Mądrze robisz, madame. Niech tam już jego przyjaciele wołają chirurga. Wiadomo, jakie to ryzyko. Miejmy nadzieję, że policja nie uwierzy tym przyłapanym kawalerom. Bo jak dadzą im wiarę i zaczną przeszukiwać domy w całej okolicy, to nas ani chybi aresztują za ukrywanie zbiega.

– Że też de La Reynie musi wyznaczać tak surowe kary za te swoje latarnie – westchnęłam. – Chociażby gdyby tego nie robił, na ulicach już po miesiącu byłoby czarno jak w smole.

Przywdziawszy gorset i krynolinę, zasiadłam w salonie gotowa na przyjęcie pierwszego klienta. Gdy jednak rozległo się pukanie, od razu jakoś wydało mi się niezwykajne. Z nagłej krzątanimy na górze nietrudno było wysnuć wniosek, że Sylvie i Gilles musieli coś zobaczyć z okna. Zaraz też ktoś znowu zakolał w drzwi: „Otwierać, policja!” Jakbym sama tego nie wiedziała.

– Mustafa, otwórz im, ale powoli. Nie ma pośpiechu – poprawiłam wazę na stoliku, opuściłam welon i przybrałam odpowiednią pozę. Miałam nadzieję, że zaskoczy ich trochę widok egzotycznego karła w haftowanych tureckich szarawarach, turbanie z pióropuszem i czerwonych pantoflach z zadartymi noskami.

– Proszę wejść! – zawołałam chłodnym tonem wielkiej damy. Mustafa tymczasem złożył przybyłym ceremonialny ukłon. Na moment stracili rezon. Dobrze. Każda chwila zwłoki mogła być na wagę złota.

– To ta wróżka... zbieg podobno zmierzał do tego domu – szepnął sierżantowi jeden z jego podwładnych.

– Jestem markiza de Morville, a dom ten stanowi mą własność. Witając panów proszę o wyjaśnienie powodu, który was do mnie sprowadza. – Moja chłodna etykietalność i to, że nie okazałam śladu trwogi, nieco ich przyhamowały. Gdybyż wiedzieli, jak drżą mi kolana! Całe szczęście, że mogłam siedzieć.

– Markiza... Może nie powinniśmy... ?

- Wszystkie domy bez wyjątku. Rozkaz Desgreza.
- Poszukujemy uciekiniera. W nocy rozegrała się tu jakaś burda. Jej trzeci uczestnik...
- O, żałuję, że nic nie słyszałam. Zawsze już o ósmej wypijam kubek silnej nasennej tinktury.
- Osobliwy zbieg okoliczności, że tyłu pani sąsiadów ma zwyczaj zażywać środek nasenny właśnie o godzinie ósmej! Czy zechciałybyś, pani, podnieść welon, byśmy mogli dokonać identyfikacji?
- Ależ oczywiście, panowie. – Dziwna atmosfera salonu, turecki karzeł, pochlebny tytuł „panowie”, wszystko to musiało wywrzeć na nich wrażenie, bo zastygli w oczekiwaniu. Teraz pozostało mi jeszcze efektownie odegrać scenę podniesienia zasłony. Dobrze! Na widok mej trupio bladej twarzy wszyscy jednocześnie nabrali oddechu. Sprawilo mi to jak zwykle dużą satysfakcję.
- Rozumiem, iż życzyście sobie przeszukać mój dom? Jako samotna kobieta, i to samotna od niepamiętnych czasów, wdzięczna jestem panom za ochronę. Ów niegodziwiec mógł wszak chyłkiem przedostać się do moich piwnic, powierzam się tedy waszej opiece.

Popatrzyli po sobie, po czym skinęli głowami. Wyjawszy klucz do piwnicy z wiszącej u boku sakiewki, wręczyłam go sierżantowi. Cała grupa wybiegła teraz na zewnątrz tylnym wyjściem; rozległ się łoskot otwieranych drzwi do piwnicy, a po nim odgłos kroków na wąskich kamiennych schodkach do loszku. Niech szukają. Znajdą tam tylko grube pokłady kurzu.

- Mustafo, prędko na górę. Ja tu na nich zaczekam. Spróbuję ich jeszcze przez chwilę zatrzymać.

Karzeł bez słowa skinął głową i pomknął na piętro. Powoli podniosłam się z krzesła i wzięłam głęboki oddech. Ach, cóż za nieznośny ból głowy! Na domiar złego coś okropnie piekło mnie w żołądku i cała dygotałam z zimna. Przypadkiem spojrzałam w tym momencie na swój piękny turecki dywan i... o zgrozo!, na czerwonym tle orientalnie zawilego wzoru zobaczyłam plamę... rozprysniętą plamę zaschłej krwi. Jak bity trakt wiodły od niej pojedyncze krople rozsiane po szkarłatnych pędach i listkach. Biegły aż do schodów, gdzie urywały się nagle, tu bowiem zmyto je z podłogi. A niech to lichu! Zebrawszy całą swoją zimną krew, ustawiłam się w miejscu, gdzie owe zdradzieckie ślady rysowały się najwyraźniej. Tu znieruchomiałam z twarzą ułożoną w nieprzeniknioną białą maskę.

- I cóż, panowie, czy nic już nie grozi mnie i temu spokojnemu sąsiedztwu? – Sierżant zajęty otrzepywaniem pajęczyn z mankietów munduru posłał mi złe spojrzenie.

– Na górę! – warknął. Z wolna ruszyłam za nimi, ale dopiero wtedy, gdy już dostatecznie wysforowali się naprzód, by nie dostrzec niebezpiecznej plamy.

– Proszę dalej, panowie. Nie mamy i tu żadnych tajemnic – powiedziałam uprzejmie. Sylvie dygnęła z szacunkiem. Dziękowałam Bogu, że nie mieszkamy w wynajętych apartamentach. Siedzibę markizy, nawet i fałszywej, rewiduje się zawsze z większym respektem. Tak się też stało. Roztrąciwszy ubrania nagą szpadą, poszturchali nią po ściankach garderoby, otworzyli skrzynię na pościel, w której znaleźli tylko poskładane koce, wyciągnęli łóżeczko Sylvie, wreszcie skrupulatnie przeszukiwali każdy fałd kotary koło łóżka.

– Pod łóżkiem jeszcze coś widzę. Co to takiego?

– Druga skrzynia na pościel. Jeśli panowie sobie życzą, każę ją zaraz wyciągnąć. – Moja służba stała w pogotowiu. Z szeroko otwartych ocząt Sylvie patrzyła sama niewinność. Sierżant kilkakrotnie dźgnął skrzynię szpadą, po czym machnął ręką: nie warto.

– Zajrzemy jeszcze tam... do pokoju lokaja. – Nastąpiło ogólne poruszenie, kiedy spod łóżka Gilles'a wydobyło wiadro zakrwawionych szmat. W tejże chwili do antykamery wpadła Sylvie, czerwona aż po linię swych zuchwale ufarbowanych włosów.

– Ach... moja miesięczna przypadłość... nie miałam czasu uprać... madame wydaje mi tyle poleceń... – policjant badający zawartość kubła kopnął go z widocznym obrzydzeniem.

– Nikogo tu nie ma... żadnych śladów... Spróbujmy w tym domu na rogu.

– Dziękuję wam, panowie, za uprzejmość. Wykazaliście doprawdy wielką dbałość o mą porcelanę i meble. – Sierżant tak gładko przyjął ofiarowaną mu gratyfikację, że nie dało się wprost dostrzec, gdzie znikła. Poszłam przodem, by zasłonić krwawą plamę swoją obszerną suknią; pożegnałam policjantów życzeniami owocnych poszukiwań.

Teraz dopiero, nim jeszcze Gilles zdołał założyć drzwi sztabą, napadły mnie konwulsyjne dreszcze. We wszystkich kościach czułam przeszywające bóle... zdawało mi się, że za chwilę umrę.

– Madame, już sobie poszli, nie trzeba się tak denerwować...

– Sylvie... jestem ciężko chora... pomóż mi wejść na górę. – Opadłszy bez sił na posłanie, wyszeptałam: – Gdzie... gdzie on?...

– Pod łóżkiem. Wpakowaliśmy go do skrzyni.

– Boże, wyciągnijcie go stamtąd! Pewnieście go zabili.

– Skądże, madame; zakneblowaliśmy go tylko, bo strasznie jęczał. A kordiału wziąć nie chciał z obawy, że przestanie być panem siebie. Dzielny z niego człowiek, madame. Teraz rozumiem, że mógł się spodobać takiej jak ty kobiecie. Mnie też wielce się on podoba...

– Nie pleć... podaj mi kordiał i wyciągnijcie zaraz tego człowieka spod mojego łóżka – trzęsącą się ręką wlałam do szklaneczki pozostałą zawartość flakonu. Ostatnia dawka. Czując jak ogień w mych wnętrznościach gaśnie, musiałam w końcu powiedzieć sobie bez ogródek, że ten kordiał to dla mnie coś więcej niż tylko środek na poprawę samopoczucia. Teraz już nie mogę się bez niego obejść. A to oznacza, że nie mogę istnieć bez La Trianon, bez pomocy całego „filantropijnego” towarzystwa madame Montvoisin. Nieubłagana logika podsuwała mi równie bezlitosny wniosek: siedzę w garści Ciemnej Królowej zupełnie tak samo jak La Montespan, jak moja matka, którą przywiodła do tego nieszczęsna żądza bogactwa. Mój Boże, zdawało mi się, że słyszę śmiech La Voisin, tak głośny, jakby tu ze mną była: „No wiesz, moja mała markizo! Żeby tak mądrej dziewczynie dopiero teraz udało się w tym połapać?” Do licha, do licha, po tysiącokroć do licha! – miotalam się w bezsilnej złości. Gilles tymczasem wyciągnął już skrzynię i zaczął podnosić wieko.

– Twoje koronki, madame, kryza. – Byłam półrozebrana, moja kryza spoczywała w pudle. Nie zdążyłam doprowadzić się do porządku: Gilles z pomocą Mustafy posadził już w skrzyni wymizerowaną postać.

– No, no – wyszeptał d'Urbec, kiedy wyciągnęli mu z ust moją drugą najlepszą chustkę – to dla mnie całkiem nowy sposób składania wizyt w kobiecej alkowie. Obawiam się tylko, że nie sprzyja on konwersacji. Wątpię, czy byłbym zdolny dorównać krasomówstwem bywalcom przesławnego salonu madame de Rambouillet. O, do pioruna, Ateno, widzę, żeś opróżniła ten flakon.

– Madame nagle zachorowała – ofuknęła go Sylvie. Spostrzegłam, że d'Urbec trzyma się oburącz za bok, a krew tryska przez jego zaciśnięte palce. Widać rana musiała się otworzyć. Twarz zupełnie mu poszarzała, mimo to nie przestawał świdrować mnie wzrokiem.

– Przekroczyłaś swoją dzienną dawkę, co?

– Nie pański interes, d'Urbec – uniósłszy głowę z poduszki, rzuciłam mu wściekle spojrzenie, lecz natychmiast uświadomiłam sobie, że znowu chybiłam celu, bo policzki mam zalane łzami, a oblicze madame de Morville diabli wzięli. Kiedy wreszcie przestanę się ośmieszać? – Sylvie – zawołałam – daj mu gorzałki i niech ta krew nie kapie tak na moją skrzynię. – Mówiąc to myślałam zarazem, że mój welon i szpilki do włosów leżą na łóżku, że mam rozluźniony gorset

i nie dopiętą suknię. W ustach czułam paskudny smak goryczy. Tak się ośmieszyć przed obcym! Co tam obcym! Przed jakimś przeklętym pamflecistą!

– Jeśli ośmielisz się mnie opisać, przysięgam, że cię zabiję – wyszeptałam.

– Miałbym tak ci się odwdziżyć za gościnność, za to, że przeze mnie naraziłaś się na niebezpieczeństwo? – powiedział cicho. – Uwierz, że pozostały mi resztki dobrych manier, mimo że... e... kłopotliwa sytuacja finansowa zmusza mnie obecnie do pisania libelli. Ponadto – dodał – nie jestem zdolny o własnych siłach wydostać się nawet z tej skrzyni, a co dopiero pędzić do drukarni. Zechciej na koniec wziąć pod uwagę pewną obiektywną oczywistość, moja uczona Ateno: sąsiedzi mają twój dom na oku. Będą bacznie oglądać każdy przyjeżdżający tu powóz i każdego, kto cię odwiedza. Sąsiedzka spostrzegawczość niepomiarowo wzrasta, ilekroć policja wyznaczy nagrodę. Dopóki więc nie będę zdolny sam wymknąć się z tego domu pod osłoną mroku, będziesz musiała znosić niepożądanego gościa.

– D'Urbec, jestem pewna, żeś to sobie wszystko zaplanował – westchnęłam. Kiedy jednak dźwignięto go ze skrzyni, przykazałam Sylvie, aby ludzie madame przemycili nam środki opatrunkowe i jakiś materac. Niech z tym wejdą od tyłu i dopiero po zmroku. D'Urbeca wynoszono już z mojej sypialni, gdy dobiegł mnie jego szept:

– Masz rację, zaplanowałam to sobie, ale swoim zwyczajem przesadziłam.

– No tak, mademoiselle, moje obawy w końcu się spełniły. Domyślam się, w czym tkwi przyczyna kurczenia się twoich dochodów! Pewnie cichcem sprawiasz prezenty temu nicponiowi. – Ciemna Królowa z irytacją poprawiła się w swoim obszernym fotelu. Białe światło ranka z trudem torowało sobie drogę przez wąskie okienko gabinetu; z kuchni mimo wczesnej pory niósł się już rażny szczeł garnków, gdzieś na piętrze kwiliło niemowlę. La Voisin nie zdążyła jeszcze przywdziać dziennego ryszunku. Głowę jej spowijał turban, a wyniosła postać tonęła w peniuarze z wzorzystej indyjskiej bawełny, co razem wzięwszy, nadawało jej z lekka egzotyczny wygląd. Zza pleców madame wychynał nagle wielki szary kocur, ostrożnie próbując przesiąść się z oparcia fotela na jej ramię. Kiedy go z siebie strząsnęła, zauważyłam, że bez gorsetu jej kształty sprawiają wrażenie stanowczo już zbyt obfitych. Za to oczy nic się nie zmieniły: ich ostre spojrzenie nadal przewiercało mnie na wylot.

– „W końcu”? Taki zwrot nie pasuje do sytuacji, bo d'Urbec nie jest moim kochankiem. Nie kupiłam mu też dotąd nic więcej poza jedzeniem i jakimś medykamentem. Nie mogę go jednak wyrzucić, czego zresztą bardzo żałuję. Zapewniam cię, madame, że jedynie kiedy śpi, przestaje wprawiać mnie w furję. Dom jest za mały, by mogła się w nim zmieścić jeszcze jedna osoba, w

dodatku tak gadatliwa.

– Aha, wyrzekasz na niego, żeby mnie zmylić! Nie myśl, że dam się oszukać, nie jestem taka głupia. Boże, wpierw Marie-Marguerite, a teraz ty! Tamtej przynajmniej udało mi się w końcu podsunąć coś bardziej obiecującego niżli ten jej pasztetnik. To magik, jest nadzieja, że coś z niego będzie, ale ten twój! Jak można przyjmować pod swój dach nędznego pamflicistę, byłego galernika! Kogo ty utrzymujesz! Lepiej, o wiele lepiej byś zrobiła, słuchając moich rad. Trudno, baw się tymczasem, a kiedy znudzisz się tym darmozjadem, przyjdź do mnie. Znajdę ci coś lepszego, człowieka, który pomoże ci zbić fortunę. A do tego czasu uważaj: nie próbuj wygadać na mój koszt zachciankom swego pieszczoszka – z trzaskiem zamknęła opasły rejestr. – I pamiętaj – dodała – jeśli zajdziesz w ciążę, policzę ci zwykłą stawkę. Nie cieszy mnie ten d'Urbec, widzę jednak, że będę musiała go znosić do czasu, aż ci obrzydnie.

Doskonale wiedziałam, co kryje się pod tą łaskawą tolerancją: oczywiście strach przed policją. Ktoś obcy, człowiek, o którym nie wiadomo, co myśleć, wplątał się nagle w misterną strukturę jej sieci. Gdyby stawiając sprawę na ostrzu noża zmusiła mnie do oddalenia d'Urbeca, miłość do niego mogłaby mnie uczynić na tyle niepoczytalną, że wyz byłabym się wszelkich środków ostrożności. Istniała też groźba, że gdyby teraz odszedł, mogliby go zobaczyć sąsiedzi. Każda z tych hipotetycznych sytuacji groziła policją, torturami, ujawnieniem całego jej królestwa. O, ale La Voisin zawdzięczała swą karierę rzadkiej umiejętności stąpania po rozżarzonych węglach! Nie mogłam powstrzymać podziwu dla jej opanowania. W jak dokładnie przemyślany sposób przeprowadziła całą tę rozgrywkę: najpierw przekorny uśmieszek, potem kontrolowany wybuch złości, na koniec macierzyńska rezygnacja. Prawdziwy popis niezawodnej taktyki, nic tylko się uczyć. Zerknęłam w stronę szaf, gdzie za zamkniętymi drzwiami przeżyły się szeregi skrupulatnie oznaczonych flakoników pełnych wszelakich trucizn. Nie, jeszcze na to nie pora. Teraz potrzebna mi jest jej pomoc – dla d'Urbeca. Dopiero kiedy cały i zdrowy pójdzie sobie z mego domu, wytoczę działa do następnej bitwy. Muszę zresztą zdobyć pewność, nim w ogóle zdecyduję się coś zrobić... na razie mam jedynie podejrzenia. Trzeba poczekać. Ona umie cierpliwie czekać, więc i ja się tego nauczę. Uśmiechaj się, Genevieve. Niech nie zacznie podejrzewać, że wiesz to, co wiesz.

– Z pewnością nie ciąża sprawia mi teraz kłopot – stwierdziłam w odpowiedzi na jej supozycję.
– Przez ostatnie dwa dni d'Urbecowi bardzo się pogorszyło. Gilles twierdzi, że potrzebny jest chirurg. Czy mamy kogoś takiego... ?

– Kilku. Pomyślmy... Dubois? Nie. Hmm... Najlepszy będzie chyba Chauvet. Ci nasi chirurdzy specjalizują się raczej w wyprawianiu pacjentów na tamten świat, a nie odwrotnie, wynieść zaś

ciało z twego domu byłoby piekielnie trudno. Za wąski ten ogród, wszystko widać. Zakopiesz go w piwnicy, to wylęgną się takie roje much, że nie opędzisz się od nich w salonie, a to zaraz wzbudzi podejrzenia. Ludzie zawsze i wszędzie skłonni są podejrzewać najgorsze, taka już ich natura. Wezwiemy Chauveta. Lepiej, żeby ten twój d'Urbec wyzdrowiał i porzucił cię dla jakiej innej.

Chirurg zjawił się pod wieczór, w porze gdy wytworne towarzystwo zazwyczaj wychodzi do teatru. Ubrany był jak dandys, a jego pomocnik nosił lokajską liberię. Musiał mieć bezbłędne wyczucie najświeższej mody, bo śmiało mógł uchodzić za któregoś z mych najwytworniejszych klientów. Na górze zdjął piękny płaszcz i równie elegancką koszulę, a w ich miejsce przywdział gruby fartuch. Ledwie rzuciwszy okiem na rozgorączkowanego pacjenta, dotknął jednym palcem jego rany i oznajmił:

– Tak jak myślałem. Trzeba to otworzyć i wypuścić ropę. O, te nielegalne pojedynki! Wciąż to samo! – fuknął z irytacją. – Madame, ma pani w kuchni duży stół, by ułożyć na nim rannego?

– Tak, monsieur.

– To dobrze. Będziemy operować natychmiast. – Ruszył na dół, rzucając po drodze rozkazy: – Więcej świec, migiem! Rozpalcie wielki ogień, ma być gorąco! Zasłoń okna, za blisko tu do sąsiadów. Ruszaj się, człowieku! Przyrzekłem tej starej wiedźmie z rue Beauregard, że go nie uśmiercę!

– Ateno, Ateno, słuchaj! – gorączkowo wyszeptał d'Urbec. – Nie chowaj mnie jak psa na tym swoim przeklętym podwórzu – mówił dalej z pośpiechem, kiedy pochyliłam się nad nim. – Wyślij moje szczątki rodzicom. Zawsze wyrzekali na moje fatalne maniery, chcę raz chociaż zrobić coś przyzwoicie.

– Tak, d'Urbec, przysięgam. Na obu naszych ojców, twego i mego.

– Jeszcze coś, Ateno... Nie mogę odejść, nie wyznałszy ci całej prawdy. Ojciec opowiedział mi o bardzo wpływowej wdowie, która pomogła mu doręczyć królowi petycję. Ja... długo, bardzo długo głowiłem się nad tym, co nią kierowało... miałem na to dużo czasu... Wiedz, że śledziłem tę damę... Obserwowałem markizę de Morville i przekonałem się, że... że jest niezmiernie inteligentna, ale też wyrachowana... wszystko, co robi, ma swą przyczynę. Dopiero w chwili, gdy przez czysty przypadek zobaczyłem cię bez tego śmiesznego welonu, zrozumiałem wszystko... Stało się dla mnie jasne i to, kim jesteś, i kim była autorka anonimowego listu, w którym oskarżyła pewnego łotra o kradzież jej łyżek i wianka.

– To nic wielkiego, d'Urbec...

– Mam na imię Florent, błagam, mów mi po imieniu. Myślałem... że pewnego dnia... poproszę cię o całkiem inną łaskę... myślałem, że... może nie wzgardzisz mną z powodu tego piętna... ale teraz...

– Nie mów tak, proszę... wszystko jeszcze obróci się na dobre... – Byłam chora ze wstydu. Jakież niskie motywy przypisywałam temu człowiekowi, jak źle go oceniłam! On przecież już dawno okazywał mi serce, a ja nie zdobyłam się na to nawet teraz. To haniebne.

– Dzięki tobie przynajmniej umieram wolny, a nie na pokładzie „Superbe”. Bo wiesz, nawet wuj się mnie wyparł. Bastylia, powiedział, nie przynosi nikomu ujmy, tam można spotkać ludzi z najlepszych rodzin, ale galery?! O, nie! Pobyt na galerach to rzecz poniżej wszelkiej godności. Powiedział, że już lepiej wolałby własnoręcznie założyć mi pętlę na szyję. No i widzisz, Genevieve, jaki ze mnie nędznik? Nie stać mnie było nawet na przyzwoite więzienie – urwał. Po szarzielonej twarzy spływały mu wielkie krople potu. – Przyrzeknij mi... nie w piwnicy. Nie na podwórzu. Nie w rzece. Lamotte przechowuje trochę mych pieniędzy. Dajcie je rodzinie, niech zamówią mszę za moją duszę. Oni nie mają ani grosza. Jeśli nie przeżyję operacji, wezwij zaraz Lamotte'a. Mieszka w pałacu Bouillon. Przysięgnij.

– Przysięgam ci, Florent.

– Przysięga Rzymianina?

– Tak. Przysięga Rzymianina.

Kiedy Gilles wraz z pomocnikiem chirurga zataaszczyli go do kuchni, usiadłam i zaczęłam płakać. Mam więc szansę zobaczyć Lamotte'a, pod warunkiem że stracę d'Urbece. Boże, jakie to wszystko beznadziejne...

– Gdzież jest ta głupia starucha? – usłyszałam z dołu głos chirurga. – Mówiłem przecież, że potrzebne mi dwie kobiety! Ktoś musi mi świecić! Wy nie, wy macie mi go trzymać! – Weszłam do kuchni, ocierając łzy z twarzy. – Gdzie się, u licha, podziewasz? – naskoczył na mnie Chauvet. – Umiesz tylko jęczeć i szlochać? Nie wyszłaś ty spod ręki naszej madame! Te, które ona szkoli, potrafią odciąć człowiekowi głowę i śmiać się przy tej robocie. Widziałem na własne oczy. Weź to! – wetknął mi do ręki srebrny kandelabr z tuzinem płonących świec. – Puder ci ścieka – stwierdził, zerknąwszy na mnie, i nagle jał uważniej przyglądać się mojej twarzy. – I to czarne paskudztwo koło oczu. – Bezceremonialnie przeciągnął mi palcem po policzku, po czym zbliżył ów palec do własnego oka.

– Ha, a więc liczymy sobie sto pięćdziesiąt wiosen, co? – wyszeptał z kpiącym uśmiechem. – Bardzo bym się zdziwił, gdybyś miała więcej niż szesnaście – perorował dalej uważając, by nie słyszał tego nikt poza mną. – Dobrze, niech ci będzie, ty diaboliczko, miej sobie, ile chcesz. Wiedz, że cię podziwiam. Nigdy jeszcze nie widział dziewczuchy, która by się czegoś dorobiła innym sposobem niż tylko kładąc się na wznak. Pamiętaj o mnie, kiedy zostaniesz królową. Znam swoje rzemiosło i umiem milczeć, a dobry chirurg każdemu może się przydać. – Widząc moje zgorzenie, roześmiał się głośno: – Zaczna damo, tracę przez ciebie cenny czas, a z niego życie ucieka! – szybkim ruchem zerwał bandaż. Ranny zawył. – Milcz, do diabła! Chcesz nam ściągnąć na kark policję? Podajcie mi skalpel. Mam ostatnio niezłą praktykę. W ciągu tygodnia trzy takie rany jak ta. Migiem się z nią uwinę – skalpel węzowym ruchem wniknął w obrzmiące ciało. Z otwartej rany trysnął strumień krwi pomieszanej z ropą. – Świetnie! – skonstatował chirurg. D'Urbec zemdlał. Skalpel raz jeszcze zagłębił się w ciało, po czym monsieur Chauvet otarł narzędzie o fartuch, na koniec zaś polał ranę jakimś płynem.

– Co to takiego?

– Gorzałka. Najprzedniejsza marka. Działa lepiej niż rozpalone żelazo i szybciej niżli gorąca oliwa – splunął na ręce i również wytarł je w fartuch. – Zapłatę biorę tylko w gotówce – oznajmił, wkładając swą wytworną koszulę zdobną w mnóstwo koronek i karbowanych riuszek. – Żadnych weksli. – Zapłaciłam, jak sobie życzył.

– Czy będzie żył?

– Nic teraz nie mogę powiedzieć. Będzie albo nie będzie, pewne jest jedno: nic więcej nie da się zrobić. No, Jacques, zbieraj się szybciej, mamy jeszcze huk roboty. Potrwa to pewnie do rana.

– To samo? – spytałam, podając mu laskę.

– Nie, ta będzie łatwiejsza. Poród. Oczywiście w wielkiej tajemnicy. Musimy się spieszyć. O północy na Place Royale będzie czekał powóz. Znów pewnie powiozą nas z zawiązanymi oczami. Takie zwyczaje ma to jaśnie państwo. Z łóżka zdejmują prześcieradła, a herby na kotarach zakrywają płótnem, żeby ich broń Boże nie rozpoznać. Następnego dnia widzę taką pacjentkę w karecie. Błada jak śmierć, ale do opery jedzie. Udaję, że się nie znamy, ma się rozumieć. Dziwny to świat. Sama zdążyłaś to już chyba zauważyć... eh... sędziwa damo?

– I mnie wydaje się on dziwny, monsieur. O, bo kiedyś bywało inaczej! W dobrych czasach króla Henryka nigdy by się nie zdarzyło to, o czym mówisz! – Rzucił mi rozbawione spojrzenie i zdjawszy kapelusz złożył uroczysty ukłon. Pożegnałam go równie uroczystie.

– Dobrej nocy, monsieur, i... bądź ostrożny.

– Nie martw się, zacna damo. Siedzę w tym interesie dłużej niż ty. – Co rzekłszy, wyszedł na ulicę, gdzie w ciemności czekał jego powóz.

Tej nocy, czuwając przy posłaniu d'Urbece, długo i bezskutecznie łamałam sobie głowę, jak by tu dotrzymać danych mu obietnic i nie ściągnąć na siebie gniewu La Voisin. Nie wpadłam na żaden mądry pomysł, bo patrząc na przeraźliwie smutną twarz Florenta, słuchając, z jakim trudem oddycha, mogłam tylko bez końca zadawać sobie jedno pytanie: coś ty narobiła, Genevieve? Takaś niby mądra, taka inteligentna, a co osiągnęłaś? Przywiodłaś do śmierci tego biedaka, który nigdy nie wyrządził ci żadnej krzywdy. Powiedzieć, żeś głupia, to mało. Tylko potwór może rozkochać w sobie człowieka na jego zgubę – oskarżałam się gorzko z twarzą zalaną łzami. Gdy powieki opadły mi ze zmęczenia, usłyszałam cichy szept Sylvie:

– Ale ją wzięło, co?

– Dobrze jej to zrobi – doszła mnie ledwo słyszalna odpowiedź Gilles'a. – Jużem myślał, że ma w piersi kawałek lodu. Szczęście, że odezwało się w niej serce. Lepiej pokieruje ono tą jej maszynką do myślenia. Do kaduka! Sam poczuje się odtąd bezpieczniejszy!

D'Urbec przespał całe dwa dni, myślałam już, że umiera. Chirurg nie przyszedł po raz drugi, co mnie zresztą wcale nie zdziwiło. Sama też przecież pozostawiłam go swemu losowi: nadal przyjmowałam klientów i chodziłam na przyjęcia, jakby się nie działo nic złego. Rankiem trzeciego dnia otworzył oczy:

– Poślij po Lamotte'a – poprosił słabym głosem.

Kazałam Mustafie zanieść bilecik do pałacu Bouillon, poleciwszy mu wprzód przywdziać turecki kostium. Po południu – odpoczywałam akurat w sypialni, bez gorsetu i w samej tylko luźnej sukni z haftowanej indyjskiej bawełny – do pokoju wpadła rozgorączkowana Sylvie.

– Madame, madame! Ktoś na ciebie czeka! Powiadam ci, na całym świecie nie znajdziesz drugiego tak urodziwego mężczyzny! Ach, gdybyś widziała jego wąsy, jego aksamitny płaszcz! Boże, jak elegancko przerzuca go sobie przez ramię! I te jedwabne pończochy! O, same jego łydki przyprawiają mnie o palpacje!

– To Lamotte, Sylvie. Podaj mi czepeczek.

– Och, te twoje loki! Za nic nie chcą się porządnie ułożyć! – wykrzyknęła, upinając me niesforne włosy w schludny węzełek, by je zmieścić pod malutkim koronkowym czepek, który zwykle nosiłam w domu. Ukończywszy pracę, cała roztrzepotana jak ptaszek sfrunęła na

dół po gościa.

Po Lamotcie znać było lata tłuste. Przybrał na ciełe, a jego żywiłowa niegdyś galanteria przekształciła się w olśniewającą elegancję dobrze urodzonego kawalera. Z tym wszystkim był teraz piękniejszy niż kiedykolwiek. Chociaż jego wrodzony urok przybrał obecnie postać świadomego kunsztu, nie przestał być ani odrobinę mniej skuteczny. Stanąwszy w drzwiach uniósł wysoko brwi, jednak wywołane mim widokiem zaskoczenie natychmiast rozpląnęło się w uśmiechu.

– A więc to ty jesteś sławną markizą de Morville! No tak! Jasne i logiczne! Absolutnie zgodne z absurdalną logiką tego świata – skłonił się nisko, zamiatając piórami podłogę. – Witam panią, madame de Morville!

– I ja pana witam, monsieur Lamotte. Pański przyjaciel Florent d'Urbec leży obok i bardzo pragnie pana ujrzeć.

– Mógłbym powiedzieć, że ma pecha, ale na Jowisza! prawdziwy z niego szczęściarz! Gdybym to ja kiedyś wpadł na podobnie śmiały pomysł zyskania względów mojego Anioła z Okna!

– On umiera, panie Lamotte.

– Mój Boże, nie miałem pojęcia... W twoim bileciku nie było o tym mowy! – na jego urodziwej twarzy odmalował się wyraz szczerzej troski. W chwilę później, wstrząśnięty widokiem spustoszeń, jakie choroba poczyniła w twarzy i ciełe jego druha, krzyknął na mnie z furią: – Jak to! I ty nic dla niego nie zrobiłaś? Na miłość boską, poślijże po lekarza, póki nie jest za późno!

– Nie mogę, panie Lamotte. Każdy legalnie praktykujący lekarz zgłosi taką ranę policji. A, i jeszcze jedno. Nie widziałeś mnie, rozumiesz? Musisz zaprzysiąc dyskrecję, chyba że chcesz, bym po raz drugi umarła. Widziałeś jedynie markizę de Morville.

– Mademoiselle Pasquier, w co ty się wplątałaś? – zapytał, patrząc mi w oczy.

– Wierz mi, lepiej, żebyś nie wiedział. Poprzestańmy na tym, że twój przyjaciel potrzebuje pomocy, a ja przechowując go, ponoszę spore ryzyko. – Ach, nie tak to sobie wyobrażałam! Miałam wreszcie przed sobą mego wysnionego Andre, lecz jak smutne, jak odległe od mych marzeń było to nasze spotkanie.

– Lamotte... jednak przyszedłeś – wyszeptał d'Urbec, próbując podnieść głowę.

– Jak mógłbym nie przyjść, drogi przyjacielu! Czyżbyś aż tak źle o mnie myślał? Przybiegłem natychmiast, gdy tylko otrzymałem wiadomość.

– Te pieniądze, wiesz... masz je?

– Podwoilem sumę.

– To dobrze. Proszę, byś przesłał je moim rodzicom. Nie do domu! Matki nie ma teraz w Aix. O tej porze roku zawsze składa wizytę swojej siostrze. Ciotka mieszka w Orleanie. Adres: ulica deBourgogne, u wdowy Pirost. Dopilnujesz, bym miał przyzwoity pogrzeb? Chodzi mi o matkę, tyle choć jestem jej winien. Przestań – jął szeptem uspokajać Lamotte'a, który wybuchnął płaczem. – Wszystkiemu winien nieszczęsny zbieg okoliczności. Kto by pomyślał, że zginę przez taki głupi przypadek? Napatoczyło się dwóch ulicznych awanturników, i tyle. Żeby to choć byli jacyś moi wrogowie! Cóż, zdarza się... Powiedz Gryfonowi, że nie wrócę. Dzięki mademoiselle Pasquier przynajmniej nie umieram na galerach, co dla mojej rodziny byłoby hańbą wiekuistą.

– Powiem im, że umarłeś godnie – z przejęciem wyszeptał Lamotte. Usiadł przy posłaniu i ujął dłoń przyjaciela. Siedział tak wiele godzin z twarzą zalaną łzami, nasłuchując płytkiego oddechu chorego, który zapadł w niespokojną drzemkę.

Przez kilka następnych dni w stanie d'Urbece nie zaszły żadne zmiany na lepsze ani na gorsze. Gorączka trochę mu spadła, wciąż jednak leżał niemal bez ruchu z półprzymkniętymi oczami, które ożywały tylko na mój widok.

Był sierpień, w interesach panował wyjątkowy zastój. Pewnego szczególnie parnego ranka, gdy siedząc w salonie zżymałam się w duchu, że z powodu d'Urbece nie mogę udać się do Fontainebleau w ślad za dworem, ktoś gwałtownie załomotał w drzwi. Czyżby klient? Co prędzej wetknęłam pod stół Tacyta, który jakoś nie budził dziś we mnie większego zainteresowania, opuściłam welon, szybko strzepnęłam kurz z czary i poleciłam Mustafie otworzyć drzwi.

- Zejdź mi z drogi, chłopcze! – usłyszałam podniesiony głos kobiety. – O! Cóż to za okropność! On ma zarost! A, jesteś, diabolic! Widzisz ją, Marie-Claude? Siedzi tam cała w czerni! A nie mówiłam, że trzeba nam jechać bez zwłoki?

– Święta racja, Jeanne-Marie. O, i ja czułam pismo nosem. Teraz widać, że wszystko, cośmy słyszały, to sama prawda. – Dwie drobne osóbkę w zakurzonych strojach podróży wtargnęły nagle do salonu. Ich energia, niestety, wydawała się odwrotnie proporcjonalna do wzrostu. Towarzyszył im chłopiec, który zaraz za progiem zrzucił z siebie stertę bagaży.

– Chodźmy, Marie-Claude, on musi być na górze, tak jak nam mówił ten człowiek...

– To znaczy kto? – zapytałam zagradzając schody własnym ciałem.

– Kawaler de la Motte, który przybył do nas z wieścią, że syn mój umiera wskutek śmiertelnych ran odniesionych w obronie honoru pewnej wysoko urodzonej damy – odparła oschle niższa z dwóch przybyłych. – Przywiózł też pieniądze, jakoby od mego syna. – Obie mówiły z wyraźnym południowym „r”, mocno przeciągając samogłoski. Dobry Boże, to matka d'Urbece, a ta druga to jego ciotka. Obie absolutnie okropne. Teraz do pełni szczęścia brakuje mi już tylko jego dziadka i ulubionego brytana.

– Ka... kawaler de la Motte?

– Tak. Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego oglądały moje oczy. Ważna osobistość. Zaufany przyjaciel mego siostrzeńca – oznajmiła ciotka d'Urbece. – Mówił o pojedynku, ale ja tam wiem swoje. Musiała to być jedna z tych dworskich intryg, o których tyle się czyta. Najpewniej jakiś spisek. Pojedynek to rzecz niepodobna do naszego Florenta, co innego udział w ważnym spisku. Powiedziałam nawet wtedy do siostry: „Kto wie, czy go nie zakuli w żelazną maskę?”, a ona na to: „Bardziej prawdopodobne, że wykrył, kim jest człowiek zwany Żelazną Maską. Znam swego syna, zawsze musi wtrącać się w nie swoje sprawy. A te pieniądze na pewno nie są jego, nie ma wszak grosza przy duszy. Nie, to zapłata za nasze milczenie. No, ale już ja się za to wezmę! Dowiem się wszystkiego!” Tak więc te pieniądze, te judaszowe srebrniki, postanowiłyśmy wydać na najbliższy dyliżans do Paryża.

– Wolnoż spytać, jak odnalazły panie mój dom? – głos miałam chłodny, chociaż krew biła mi do głowy.

– Och, na powozie, który przywiózł kawalera, rozpoznałam herby Bouillonów – odparła ciotka.

– A kiedy przybyłyśmy do Paryża, wystarczyło delikatnie wypytać ludzi w Hotel Bouillon i... – Wyobrażam sobie, jak delikatnie, pomyślałam cierpko.

– A teraz, ty bezwstydną rozpustnicą, prowadź nas do Florenta, bo jak nie, to zawiadomię policję o twoich niecznych sprawkach. Jest w Paryżu odpowiednie miejsce dla takich jak ty niegodziwych kobiet, które młodych a niedoświadczonych mężczyzn z lubością przywodzą do ruiny! – oświadczyła madame d'Urbec. Wyglądała na święcie przekonaną o swoich racjach.

– Zrób to, madame, a człowiek, który leży na górze, umrze w więzieniu za udział w burdzie ulicznej przed moim domem – powiedziałam mściwie, patrząc na nią spod zmrużonych powiek.

– Wiedz, że właśnie ja go ocalałam.

– Niedorzeczność! Przetrzymujesz tu Florenta d'Urbece, swego kochanka, którego podstępnie

zwabiłaś pod swój dach – zaatakowała mnie ciotka. W tym momencie doznałam olśnienia: Lamotte! Wszystko to jego sprawka! A żeby go diabli wzięli! Tak to jest powierzyć najprostszą misję człowiekowi, który para się pisaniem dla teatru! Od razu powstanie z tego dramat, koniecznie z romansiem i krwawą intrygą. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego tak rączo pognął do Orleanu, zanim jeszcze d'Urbec zamknął oczy. Może tu, w Paryżu, miał nudne obowiązki towarzyskie, z których chciał się wykręcić pod jakże dogodnym pretekstem: ostatnia przysługa umierającemu! Ani chybi jakiś kiepski wieczór literacki w Hotel Bouillon, pomyślałam złośliwie. Tak czy inaczej, pojechał z pieniędzmi do Orleanu. Zobaczyłam całą tę scenę tak wyraźnie, jakbym sama w niej brała udział. Lamotte, o, przepraszam, nowo kreowany kawaler de la Motte, podbija swym wdziękiem obie starsze damy. Spełniając ostatnie życzenia przyjaciela, chce pozostawić w pamięci madame d'Urbec jak najlepsze wspomnienie o synu. I nagle ponosi go imaginacja. Strząsając z oka łatwą łzę, zaczyna snuć awanturniczą opowieść, pełną intryg, romansów i spisków, w którą już po chwili sam zaczyna wierzyć. Upiększa oczywiście prawdziwą sytuację d'Urbeca, dodaje mu świetne widoki na przyszłość, pojedynek i Bóg wie co jeszcze. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby wymyślił na dodatek zakopane skarby czy wielką konspirację przeciwko królowi. Oczywiście! Szkoda tylko, że cały ten galimatias odbija się teraz na mnie.

– Zanim pójdziemy na górę, muszę to i owo wyjaśnić. La... ach... kawaler de la Motte nie powiedział paniom całej prawdy.

– Och, tak jest zawsze, gdy w grę wchodzi dworskie intrygi z udziałem najwyższej postawionych osób – stwierdziła matka d'Urbeca – ale ja nie spocznę, póki nie dowiem się prawdy! – groźnie pokiwała palcem tuż przed moim nosem. Po skórze przeszły mi ciarki, pomyślałam bowiem, że to bardzo prawdopodobne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Tego popołudnia Wielka Wiedźma pozbyła się już nawet gorsetu; ubrana w samą tylko lekką suknię z indyjskiej bawełny siedziała w zacienionym pokoju tuż za swoim czarnym salonem. Mimo że dla ochrony przed palącym słońcem szczerlnie zasłonięto wszystkie okna, i tu doskwierał obezwładniający sierpniowy upał. Widziałam, jak spod turbanu kapią jej na szyję uparte kropelki potu. Złożywszy na podnóżku stopy w haftowanych tureckich pantoflach, pólleżała w wielkim fotelu, a na mój widok apatycznym gestem wskazała stojące naprzeciw krzesło. Z piętra niosły się przeraźliwe dźwięki dziecięcego rożka i głuchy łoskot torturowanego bębenka, jednak cały ten harmider zdawał się wcale nie przeszkadzać małżonkowi mej gospodyni, który z otwartą książką na kolanach spokojnie drzemał sobie w kącie.

– Chcesz wody pomarańczowej? – La Voisin zwilżyła swe spocone skronie i wyciągnęła ku mnie rękę z flakonem. Po pokoju rozeszła się odrzucająco słodka woń pachnidła.

– Dziękuję, bardzo chętnie. – Przetarłam rozgrzaną twarz aromatycznym płynem, czując z ulgą lekki dotyk chłodu na policzkach. La Voisin otworzyła wachlarz i zaczęła chłodzić sobie szyję.

– A więc masz gości... Och, te dzieci, głowa mi pęka! Antoine, Antoine! Tak, do ciebie mówię, obudź się wreszcie! Idź i każ Louise wyprowadzić dzieci do ogrodu. Muszę tu omówić z markizą coś ważnego, a nie słyszę nawet własnych myśli.

– Ładni mi goście! Stosowniej byłoby nazwać to inwazją – powiedziałam ponuro, otwierając swój wachlarz.

– A cóż one takiego robią?

– W tej chwili? Gotują cielęce nóżki. Jakiś okropny wywar na galaretkę. Wyobraź sobie, madame, że od razu po przyjeździe wynajęły meble, które wpakowały mi do pokoi, a później kazały przyprowadzić powóz i wybrały się po zakupy, zabierając ze sobą Gilles'a. Nawiozły tyle żywności, że już prawie nie mieści się w kuchni! Ja, jak wiesz, wolę sprowadzać jedzenie z gospody... jeśli nie korzystam z zaproszeń. Boże, cały mój salon cuchnie teraz czosnkiem!

– Galaretką z cielęcych nóżek jest bardzo zdrowa. A co on na to?

– Czuje się ośmieszony. Powiedział, że doskonale potrafi wyzdrowieć bez cielęcych nóżek i dlaczego akurat jego muszą spotykać takie rzeczy.

– Gdy kosztem tylu wysiłków udało mu się w końcu zalec w mieszkaniu samotnej i jakże

interesującej kobiety, prawda? – Pani Wiedźma schowała się za wachlarzem, ale i tak usłyszałam jej zduszony chichot. – Skoro tak cię to złości, czemu się ich nie pozbędziesz?

– Bo zagroziły, że oskarżą mnie o prostytutkę.

La Voisin zacięła usta i z trzaskiem zamknęła wachlarz.

– Nie wiedzą, głupie, że igrają z ogniem – powiedziała, nie podnosząc głosu. – Jesteś więc jedną z tych młodych a niegodziwych „miejskich niewiast, co zastawiają pułapki na młodzieńców z dobrych rodzin, by skłonić ich do małżeństwa”, co? – zacytowała znaną wersję oskarżenia. – Mogę wszystko to załatwić jednym słowem.

– Nie chcę, aby i on przy tym ucierpiał. Umrze, jeśli go zamkną w więzieniu.

– A! Więc jednak się w nim kochasz, chociaż tak temu przecyzysz!

– Nie. I nie Kocham żadnego mężczyzny. Zapłaciłam jednak chirurgowi, a nie lubię na darmo wyrzucać pieniędzy. – Z aprobatą kiwnęła głową, a potem ułożyła wargi w ten swój spiczasty uśmiezek.

– Żadnego z wyjątkiem Lamotte'a – stwierdziła chyba tylko po to, by zobaczyć, jak oblewam się rumieńcem zakłopotania. – No, no, nie chowaj się za wachlarzem. Wszystkie kobiety w Paryżu szaleją dziś za Lamotte'em. Sama nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zabawić się z tym pieszczoszkiem przez jedną albo i dwie noce, choć doprawdy żadna z tego dla mnie korzyść. Ma się rozumieć – dodała – że każda amatorka tego kawalera musiałaby skrzyżować szpady z diuszesa de Bouillon, a to niemałe ryzyko. Księżnej bardzo podoba się rola protektorki młodego poety. Dobrze mi o tym wiadomo, bo to jedna z moich najlepszych klientek. – Oho, a więc otrzymałam ostrzeżenie.

– Myślę, że i sam Lamotte musi teraz bardzo się pilnować.

– Cóż, taka jest cena sławy. Za to też Kochany jest namiętnie... co drugi wtorek, gdy monsieur de Vendôme udaje się na pole walki. Są tacy, co mu zazdroszczą.

– Mam nadzieję, madame, że nie wszyscy oni są zarazem twymi klientami.

– Tylko niektórzy, moja droga. Nie wściubiaj jednak nosa w nie swoje sprawy. Pomówmy o czymś ważniejszym. Otóż myślę, że dla dobra twojej dalszej kariery najlepiej byłoby wyjść za mąż – sięgnęła po srebrny dzwoneczek leżący obok niebieskiej butelki z wodą pomarańczową.

– Margot, przynieś nam lemoniady, od tego upału doprawdy można umrzeć! – Poczułam, że żołądek zwija mi się w kłębek. Na myśl o małżeństwie czy o lemoniadzie? – I dodaj dużo

cukru! – zawołała La Voisin. – Wiesz, że lubię słodką! – W ostatnich czasach ciągle przybierała na wadze. Pewnie od tych słodyczy. – Widzisz, moja droga – podjęła przerwany wątek – póki uchodziłaś za sędziwą dziewicę, byłaś zupełnie bezpieczna, ale gdy rozejdą się wieści, że masz u siebie mężczyznę, możesz stać się przedmiotem szantażu, i to ze strony ludzi znacznie niebezpieczniejszych niż te dwie głupie baby. Jak wyjdiesz za męża, groźba ta ustanie, a ty będziesz mogła robić, co ci się żywnie podoba.

Na chwilę zajęła się sobą: zwilżyła kark kropelką wody pomarańczowej, natarła nią sobie miejsce powyżej dłoni i zaczęła wachlować strefę pod biustem.

– Mogę ułożyć ci bardzo korzystne małżeństwo, w którym zachowasz całkowitą niezależność. Tak. Najlepiej zrobić to w chwili, gdy uznasz, że czas już pozbyć się z domu d'Urbea. Wesele szybko wybije ci go z głowy, zobaczysz.

Uśmiechnęłam się mile, udając, że nie mam nic przeciwko temu. Lepiej niech tak myśli, niż żeby miała pozbywać się d'Urbea po swojemu. Tyle choć jestem mu winna.

– Tak – powiedziała zadowolona, że tak gładko jej ze mną poszło – naprawdę uważam, że musisz już teraz wyjść za męża. Powiesz, że mógłby to być ktokolwiek. Nie. Szkoda byłoby tak lekkomyślnie dysponować własną osobą. Zawsze warto rozejrzeć się za kimś, przez kogo można coś zyskać. Dla wróżbitki na przykład dobrą partią będzie alchemik. Były ksiądz, który zatrzymał sobie szaty liturgiczne, także bardzo pomaga w interesach.

Owszem, jeśli się jest czarownicą, pomyślałam cierpko. Dobrze wtedy mieć w rodzinie takiego, który w razie potrzeby potrafi odprawić czarną mszę. Rozległ się zachęcający brzęk srebrnych kubeczków – to Margot przyniosła lemoniadę. Montvoisin, który po spełnieniu rozkazu żony zdążył już powrócić do swojej drzemki, teraz wyprostował się czujnie. Przyszło mu trochę poczekać, aż Margot obsłuży La Voisin i mnie, ale w końcu otrzymał swój kubek. Opróżnił go jednym haustem, co uczyniwszy, wytarł sobie usta w rękaw.

– Ty jednak możesz mierzyć znacznie wyżej – mówiła dalej madame głosem słodkim jak lemoniada. – Powinnaś pomyśleć o człowieku z pozycją... kimś takim jak... Brissac. On byłby dla ciebie idealnym mężem.

– Brissac?! – omal nie oblałam się lemoniadą. – Dlaczego akurat on, na miłość boską? Skąd myśl, że odpowiadałby mu taki układ?

– Brissac nigdy nie mieszkał ze swoją diuszesa, i to ona go odstawiła, czemu zresztą wcale się nie dziwię. Ciężyłby jej tylko jak kula u nogi, rozumiesz? – pochyliła się ku mnie z dziwnie

szerokim jak na nią uśmiechem. – A teraz popadł w ostateczną nędzę. Jest zdesperowany, więc jego arogancja wyraźnie się ulatnia. Można powiedzieć, że z każdym dniem bardziej. Pożarł się z Neversem, wskutek czego stracił już nawet dach nad głową. Chwilowo zamieszkał z pewnym... hm... drugim arystokratą, który wkrótce też będzie miał go dosyć. Tak się jednak składa, że obu ich trzymam w ręku. To ja płacę za wynajęcie tego ich apartamentu i mebli. Wiesz, uważam Brissaca za... za inwestycję. A rozważając z kolei twoją przyszłość, przewiduję, że mi się ona opłaci. Widzę na to doskonały sposób. Moja droga, postaraj się tylko prawidłowo rozegrać swoją kartę, a ta jego zimna diuszesa... może całkiem zniknąć z horyzontu. Pamiętaj, że Brissac posiada mniej lub bardziej autentyczny tytuł... chociaż teraz akurat zdarzyło mu się tak już nisko upaść, że gotów go przehandlować... w zamian za twoje pieniądze. Liczy, że dzięki tobie może wygrać w karty. Cóż by ci szkodziło mu w tym pomóc? Dla ciebie zaś ważne jest to, że nie musisz z nim sypiać. I bardzo dobrze, bo podobno w łóżku cuchnie gorzej niż sam Louvois. Pójdzie swoją drogą, a ty swoją. Nie tylko wzbogacisz się na tej spółce, ale i zyskasz ochronę przed policją. Czyż to nie idealna sytuacja?

Doszłam do wniosku, że cały ten pomysł musiał wykluc się w głowie Brissaca. Tylko co tak zaślepiło La Voisin, że nie widzi, czym mi to grozi? Pieniądze? Ile? Ile spodziewa się dostać, jeśli to małżeństwo dojdzie do skutku?

– Brissac... – powiedziałam powoli. Już nawet wymawiając to nazwisko, czułam w ustach paskudny posmak. – Taka jestem zaskoczona, że... że musisz mi pozwolić całą tę rzecz przemyśleć...

– Tylko nie myśl zbyt długo. Wiecznie nie będzie biedny. Teraz akurat napadła go chętka, żeby wygrywać w karty, dlatego tak się tobą interesuje, ale to się może zmienić.

Strasznie mi się to wszystko nie podobało. Nie musiałam spoglądać do naczynia, żeby wiedzieć, jak ułożyłoby się moje małżeństwo z Brissakiem. Niech no tylko wzbogaci się moim kosztem, a zaraz zapragnie nowej oblubienicy z odpowiednio wysokiego rodu. Potem chyłkiem odwiedzi Królową Wiedźmę, kupi od niej jakiś drobiazdek z tej zawsze zamkniętej szafy, a ja będę musiała pilnie baczyć na to, co piję. Chyba że sama wykonam pierwszy ruch.

Jakby czytając w moich myślach, La Voisin uspokajająco poklepała mnie po ręku.

– Nie martw się, moja droga. Wdowa z tytułem ma się niemal równie dobrze jak żona. Pamiętaj, że przez to małżeństwo zyskasz bardzo wysoką pozycję... tam już nie dosięgnie cię żadne prawo. Wiesz przecież, że o tobie myślę i że twoje dobro przede wszystkim leży mi na sercu. Ha, uważam cię prawie za własną córkę!

– I ja bardziej nie ufałabym własnej matce – poparłam te słowa odpowiednim spojrzeniem znad wachlarza. W mych szeroko otwartych oczach malowała się dziecięca szczerłość.

Po powrocie do domu już za progiem buchnęła mi w nozdrza przemożna woń czosnku i cielejących nówek.

– Czy przyszły jakieś zaproszenia? – zapytałam z nadzieją. Mustafa przecząco pokręcił głową.

– Nie, był tylko ktoś z wizytą u pana d'Urbeca. Przyniósł mu wielką skrzynię – wyciągnął wachlarz z za szerokiej tureckiej szarfy i zaczął leniwie przeganiać duszne powietrze sprzed swego oblicza. – Madame, życzę ci miłej zabawy na górze! – zakpił, gdy byłam już w połowie schodów. Ledwo weszłam do swego pięknego niegdyś pokoju, zagraconego dziś mnóstwem pożyczonych mebli, dopadła mnie ciotka d'Urbeca:

– Nareszcie, nareszcie mój biedny siostrzeniec przemówił ze swego łoża boleści! – wykrzyknęła z większą niż zwykle emfazą, mnie zaś stanął przed oczami d'Urbec uparcie odwrócony twarzą do ściany; zirytowany ciągnął krzątaniną wokół swej osoby, przeważnie milczał jak zaklęty. – A pierwsze słowa, które wybiegły z jego bladych ust, poświęcone były tobie, madame! Och, oczyścił cię z wszelkich zarzutów!

– Doprawdy?

– O, jakże mogłam podawać w wątpliwość twoje miłosierdzie! Obwiniać tę, która naraziła na szwank największy skarb kobiety, własną reputację, by ocalić bohatera z rąk nędznych zabójców, którzy uknuli spisek na jego życie! Madame, jesteś świętą! – A to dopiero! D'Urbec doszedł widocznie do wniosku, że nie da się inaczej obalić istniejącego mitu, jak tylko fabrykując w jego miejsce jakiś inny, jeszcze ciekawszy. – Ależ to zupełnie jak powieść – westchnęła ciotka, krzyżując dłonie na sercu.

– O tak, w rzeczy samej – wyrwało mi się. W tejże chwili jednak obie nastawiłyśmy uszu, bo z antykamery doszedł nas gniewny pomruk:

– Przecież mówię ci, matko, że nie mogę! Nie przełknę już ani łyżki. Utopisz mnie w tym bulionie!

– Florent, co to za skrzynia tutaj przy drzwiach? Twoja?

Wetknęłam głowę do antykamery i omal nie parsknęłam śmiechem. D'Urbec podparty poduszkami mierzył wściekłym wzrokiem matkę siedzącą na brzegu łóżka z potężną miską zupy. Bohater dworskiego spisku karmiony bulionem z cielejących nówek – co za hańba! Na mój widok spłonął rumieńcem; pewnie słyszał tyradę ciotki.

- Wydaje się pan zaambarasowany, monsieur d'Urbec – stwierdziłam nieco uszczypliwie.
- Jedynie dlatego, że z braku sił nie mogę złożyć ukłonu należnego twej randze, moja droga markizo. – Mówił cichym głosem, musiał jednak czuć się znacznie lepiej, skoro powróciła mu ironia.
- Kto przyniósł tę pakę? Czy to znów dostawa żywności?
- Przyszedł Gryfon zobaczyć, jak się miewam, i pożegnać, nieprawdaż, mamó? – Mała kobietka z wyrazem najwyższej niechęci wzniosła oczy w górę, po czym z hałasem odłożyła łyżkę.
- Bardzo to chwalebne, że podtrzymujesz stare przyjaźnie, ale dlaczego musiałeś przyjąć pełną skrzynię skandalicznych druków w charakterze prezentu pożegnalnego, to już całkiem nie na mój rozum. Takie rzeczy powinny leżeć na dnie Sekwany, tam jest ich miejsce – oświadczyła surowo.
- Prezent pożegnalny?
- Tak, Gryfon zwija interes. Mówi, że tutaj ryzykuje z każdym dniem bardziej, a zyski ma coraz mniejsze. Znalazł sobie kupca na drukarnię, jakiegoś wydawcę jansenistycznych traktatów, a sam wyjeżdża do Rotterdamu, gdzie jak mówi, każdy może drukować, co mu się podoba. No i przyniósł mi podarunek: rzeczy, których nie może zostawić swemu następcy ani przeschmuglować za granicę.
- Nie ma co, ładny prezent. A myślałam, że to twój przyjaciel.
- To samo i ja powiedziałam – fuknęła madame d'Urbec, przytakując mi skinieniem głowy. – To skandal obarczać czymś takim chorego człowieka!
- Chciał dobrze – zaczął bronić przyjaciela d'Urbec. – To bardzo chodliwy towar... – znacząco zawiesił głos. Zrozumiałam. Gryfon zostawił mu tę skrzynię, aby miał z czego żyć, gdy wyzdrowieje. Na moment spotkały się nasze spojrzenia: lepiej już nic nie mówić. Matka nie powinna wiedzieć, jakim to zajęciem para się ostatnio jej syn. Po co pozbawiać ją złudzeń?
- Pewnie Lamotte, to znaczy kawaler de la Motte, powiedział Gryfonowi, gdzie cię szukać.
- Ostatnio zaiste wyjątkowo interesuje się mą osobą – stwierdził z westchnieniem d'Urbec.
- O, to jest przyjaźń, którą warto pielęgnować! – wtrąciła się jego matka. – Ten kawaler wiele może dla ciebie zrobić. Oj, Florent, Florent, przestań wreszcie zadawać się z byle kim. Czas najwyższy posłuchać matki. Zawsze mówię, że odpowiednie przyjaźnie bynajmniej nie

wymagają ani trochę więcej wysiłku niż znajomość z ludźmi bez znaczenia. Chodzi mi o twoje dobro, mój synu, o to, że tak lekkomyślnie marnujesz swój talent. Pamiętaj, tobie nie wolno już popełniać błędów.

– Tak, matko. – W głosie d'Urbece brzmiała rezygnacja.

– I nie mów do mnie tym tonem! Ty nie wiesz, co to znaczy znaleźć się twarzą w twarz z tą twoją nadętą wujenką, z tym jałowym kijem od miotły! Ach, te jej pozy, ten jej wymyślny kapelusz! A jak to stąpa w tych swoich jedwabnych pantofelkach! Jakby brzydził ją dotyk ziemi, po której chodzi kto inny! Ostatnim razem, gdy natknęłam się na nią u bławatnika, to nawet lokaj, co niósł za nią tren, uważał się za coś lepszego! Trzeba ci było słyszeć, co wygadywała ta jędza! „Mam nadzieję, że rozumiesz naszą sytuację, droga siostró... Nie możemy utrzymywać żadnych stosunków z twoim synem po... po tym, co zaszło. Uwierz, że nikt tak nie ubolewa z tego powodu jak ja. Tyle lat łożyliśmy na jego edukację, i wszystko na nic... Cóż, może i nie mieliśmy prawa spodziewać się za to wdzięczności, ale mógł choć pomyśleć o naszej pozycji.” Jej pozycja! Myślałby kto! – parsknęła wściekle madame d'Urbec.

Dalszym jej wywodom położył kres Mustafa, który zaanonsował przybycie kawalera de la Motte, pozwalając sobie przy tym sparodiować wytworną gestykulację gościa. Ledwo to uczynił, gdy do pokoju wkroczył sam kawaler, wnosząc z sobą ów wszechogarniający entuzjizm, odporny, zda się, i na upał, i na przemożną woń czosnku.

– Wielka to radość znaleźć cię w lepszej kondycji! – wykrzyknął na widok d'Urbece. – Ach, miłość macierzyńska! Czyż to nie najcieńszy medykament? Madame, dokonała pani cudu! – D'Urbec tylko łypnął na niego okiem, za to jego matka zaróżowiła się z wdzięczności. – A co tu tak rozkosznie pachnie czosnkiem? – urok Lamotte'a zaiste sycił powietrze niczym rześka woń pomarańczy.

– To nasz stary rodzinny sekret! – wyjaśniła rozpromieniona madame d'Urbec. – Wszystkie moje dzieci od małości uwielbiają ten niezwykle odżywczy bulion. Jemu też zawdzięczają zdrowie.

– Wielkie nieba, jak to miło, że zechciał nas pan odwiedzić, drogi kawalerze! – zaświergotała jej siostra, wpływając do antykamery. Zaraz też jak spod ziemi wyrosła Sylvie i zaczęła odkurzać meble; zajęła przy tym stanowisko zapewniające jak najlepszy widok niezrównanych łydek wspaniałego gościa. – Cóż za prześliczne trzewiki! – skomplementowała go ciotka. – O, my w Orleanie rzadko widzimy coś równie eleganckiego! – Trzewiki kawalera de la Motte, zaopatrzone w wysokie czerwone obcasy i jedwabne kokardy, nader korzystnie uwydatniały

boski kształt jego przesławnych łydek. Równie olśniewająco prezentowała się reszta: spodnie i kaftan z złotego jedwabiu wykończone prześliczną koronką oraz przepyszna peruka, cała ufryzowana w mocno skręcone loki. Musiała kosztować krocie, sporządzono ją bowiem z prawdziwych jasnoblonde włosów. Całości dopełniał olbrzymi kapelusz z piórami.

– Wpadłem na chwilę, póki jestem w mieście, zobaczyć, jak się dziś miewasz – poinformował d'Urbeca. – Straszliwie jestem zajęty otatnimi czasy... ach, te obowiązki... W Fontainebleau próbuję mą nową sztukę, która niebawem będzie prezentowana przed dworem, jadę więc się upewnić, czy wszystko idzie jak trzeba. Będzie to ostatnia lekka komedia przed sezonem zimowym; później już sceną niepodzielnie zawładnie tragedia... ach, same te ponuro brzmiące strofy i nieszczęśliwe królowe. Mówi się wprawdzie, jakoby pan Racine przygotowywał jakoweś cudo, które swą świetnością zaćmić ma wszystko inne, aliści jak dotąd wciąż odczytuje w salonach drobne jakieś fragmenty, a dzieła jak nie było, tak nie ma. Pisze i pisze, tylko że nic nie kończy. Moim zdaniem wyczerpał już cały swój talent. Stąd też pewien jestem, iż następna tragedia, którą niedługo sam zaprezentuję światu, nie będzie miała konkurencji. – Stwierdziwszy, że panie wpatrują się w niego jak w tęczę, uśmiechnął się z satysfakcją.

– Powiedz mi, d'Urbec, co jest w tej skrzyni za drzwiami? Coś od Gryfona?

– Nie mylisz się, przyjacielu. Czy wiesz, że on nas opuszcza?

– Słyszałem, słyszałem. Pozwól mi zaspokoić ciekawość... chciałbym zobaczyć, co też zostawił ci w spadku! – zakrzyknął Lamotte, wybiegając z pokoju. Pociągnął za sobą zarówno Sylvie, jak i obie starsze damy.

– Do diabła, ten człowiek ma w sobie magnes na niewiasty – syknął Florent.

– Aha, to pamflety – doszedł nas zza otwartych drzwi głos Lamotte'a. – Ten na madame de Brinvilliers napisany jest nadzwyczaj nędznym wierszem. ... „Człowiek zabija siebie i rodzinę na oczach poborecy podatków”... to już znam, stara rzecz. O, tu widzę coś nowego! „Piekielna machina wykryta w tulońskim porcie. Konspiracja zdrajców... próby wysadzenia w powietrze flagowego okrętu królewskiej floty... nadzwyczaj pomysłowy zapalnik uruchamiany przez mechanizm zegarowy”... – po tych słowach rozległ się okrzyk przerażenia.

– Zamknijże się, do licha! Och, ten Lamotte! Wciąż wyrasta, gdzie go nie posieją! – jęknął d'Urbec. Spróbował podnieść się z łóżka, stwierdził jednak widać, że to na nic. – Genevieve, błagam cię, idź tam, zagadaj czymś matkę! Czuję, że zaraz dojdzie do katastrofy. Niechże Lamotte schowa gdzieś przed nią ten pamflet.

Co prędzej udałam się do własnej sypialni, było już jednak za późno. Lamotte usadowiony na łóżku beztrósco zabawiał panie szczegółami zbrodniczego spisku przeciw zakotwiczonym w Tulonie okrętom jego królewskiej mości. Błada jak śmierć madame d'Urbec z całych sił zaciskała ręce. – Nie lękaj się, madame – wykrzyknął Lamotte, który mylnie zinterpretował jej uczucia. – Królewska policja rychło wykryje zdrajców. Zginą, nim się obejrzysz.

– Dosyć, Lamotte! Madame d'Urbec źle się poczuła... pewnie z przepracowania. Proszę, madame, zechciej tu usiąść...

– O, dobry Boże, to on, on to zrobił! Tylko mój Olivier mógł czegoś takiego dokonać! Czemuż wszyscy moi synowie potrafią jedynie sprawiać kłopoty! Muszę natychmiast tam jechać!

– Gilles – szepnęłam mu do ucha, kiedy wrócił z winem – wynieś tę skrzynię... wiesz dokąd.

– Tak jest, madame. – W piwnicy za półkami z winem kryły się drzwi do niewidocznej części lochu...

– Pakujmy się, Marie-Claude. Musimy zdążyć na dzisiejszy dylizans, jeżeli jeszcze nie odjechał – wyjąkała madame d'Urbec. Spoczywała w moim najlepszym fotelu w stanie bliskim omdlenia; siostra wymachiwała nad nią wachlarzem.

– Ależ drogie panie, służę powozem mojej patronki. Lokaje zajmą się bagażem i odwiozą was na stację dylizansów o każdej dogodnej wam porze. Przynajmniej tym mogę usłużyć szlachetnej matce mego drogiego przyjaciela – oświadczył z ukłonem Lamotte. Starsza dama obdarzyła go spojrzeniem, w którym wdzięczność zaczynała mieszać się z zakochaniem.

– Madame d'Urbec, czy mogę być w czymś pomocna? – spytałam, usunąwszy z twarzy i głosu wszelkie ślady emocji. Drobną osóbką przesiadła się nagle na wynajęty fotel i wybuchnęła płaczem. Po chwili wydobyła z rękawa wielką chustkę, otarła oczy i zaczęła wyrzucać z siebie potok słów przerywany kolejnymi atakami szłochu:

– Och, madame, cóż osoba z twoją pozycją... elegancka... wiodąca tak beztróski żywot... w tym pięknym domu... wśród tylu drogocennych rzeczy... – przerwała, by wysiąkać nos – cóż ty, niewiasta bez zobowiązań, możesz wiedzieć o cierpieniach matki? Bóg obdarzył mnie sześciu synami i każdy jakby się zawziął wciąż tylko sprawiać mi ból. A to podatki! A to religia! A to polityka! Stare prawo! Nowe prawo! Wszystko, o czym w dobrym towarzystwie mówić nawet nie wypada! Ach, w każdym z tych moich synów siedzi jakieś lichy, co go podjudza do złego! To już takie nasze rodzinne przekleństwo po przodkach ze strony ojca! Ach, Boże, lepiej byłoby mieć same córki!...

Zawodziła tak dłuższą chwilę, całkiem nie bacząc na piekielny chaos rozpętany gorączkowym pakowaniem rzeczy, wreszcie schowała chustkę i poszła pożegnać syna. Kiedy znów wyłoniła się z antykamery, oczy miała już suche.

– Madame de Morville – zwróciła się do mnie – wiem, że zostawiam syna w najlepszych rękach. Niech cię Bóg błogosławi za twe miłosierdzie. Meble możesz w każdej chwili zwrócić tapicerowi. Warsztat przy rue de Charonne, tuż za wałami. Poślij słówko, a zaraz po nie przyjadą. Oto rachunek, nie daj im się okpić. – Zupełnie już pochłonięta czekającą ją nową batalią, pospieszyła do drzwi, pozostawiając na kuchni gotujący się garnek cielejących nóżek. Zostaliśmy sami z d'Urbekiem.

– Tak oto odchodzi moja matka, a wraz z nią wszystkie moje oszczędności – westchnął, unosząc głowę znad poduszki.

– Nic się nie martw, Florent. Dopilnuję, abyś miał uczciwy pogrzeb.

Obrzucił mnie ostrym spojrzeniem.

– Ani mi w głowie umierać. Uczynię też wszystko, by nie myśleć o tej tulońskiej aferze.

– Powiedz mi najpierw, o co tu chodzi. Mustafu, jeśli już koniecznie musisz podsłuchiwać, rób to w miarę dyskretnie – rzuciłam w stronę półotwartych drzwi. Czubek tureckiego pantofla zniknął mi z pola widzenia.

D'Urbec z westchnieniem popatrzył na własne ręce.

– Widzisz, mój ojciec mógłby być bogatym człowiekiem, gdyby miał bodaj szczyptę rozsądku. Jest doprawdy pierwszorzędnym mechanikiem, zwłaszcza zaś świetnie konstruuje zegary i do tego odziedziczył dobrze prosperujący warsztat. Ale on, wciąż bolejąc nad utratą rodowych dóbr i tytułów, woli marnować czas na takie głupstwa jak rodowody naszych przesławnych przodków oraz poszukiwanie donatorów na tyle lekkomyślnych, by dali się namówić na sfinansowanie tych jego fantastycznych mrzonek. Wciąż marzy mu się, że odzyska tytuł i oczywiście związaną z nim pensję. Gdyby nie mój starszy brat, cały interes już dawno by diabli wzięli, szczęściem Olivier trzyma to wszystko w garści. Moim zdaniem jest nawet lepszy od ojca w projektowaniu wszelkich mechanizmów, no a już zmysłem praktycznym na pewno bije go na głowę. Kiedy więc matka usłyszała o tej piekielnej maszynie z ekstraordynaryjnym zapalnikiem, natychmiast doszła do wniosku, że tylko Olivier może być jej twórcą. Zna wszak nasze rodzinne predylekcje, no i uwielbia dramaty. Wszyscy chyba zresztą mamy to w naturze...

– A co to za rodzinna klątwa? Poza tym, że potajemnie jesteście frondystami, a sądząc z kilku niebacznych słówek twojej gadatliwej ciotki, także i heretykami?

– Zreformowana religia nie jest dla mnie wcale herezją. Po drugie, dzięki memu zacnemu wujowi jestem pewnie lepszym katolikiem od ciebie, Genevieve, przynajmniej ostatnimi czasy. Wuj nieźle umiał zdyskontować swoje nawrócenie i bardzo się starał, bym i ja okazał się równie gorliwym neofitą.

– A ponieważ i tak w nic nie wierzysz, było ci wszystko jedno, jaką wyznajesz religię, nieprawdaż?

– Wierzę w mnóstwo rzeczy, mademoiselle Pasquier. W prawdę, sprawiedliwość, potęgę oświeconego rozumu ludzkiego...

– Nie są to, jak myślę, najpopularniejsze artykuły wiary. Nic dziwnego, że ciągle popadasz w jakieś tarapaty. Samych twoich poglądów wystarczy na nie najgorsze rodzinne przekleństwo.

Opadł na poduszki i leżał tak dłuższą chwilę, wpatrując się we mnie badawczo, po czym zaklął melancholijnie:

– Do diabła!

– O co chodzi? Chciałbyś jeszcze trochę bulionu z cielęcych nówek? W tym upale już się nie zsiądzie.

– Jesteś zakochana w Lamotcie, prawda? Nie musisz się tego wstydzić, wszystkie kobiety za nim szaleją, tylko... no cóż... miałem nadzieję, że... może nie podzielasz powszechnych gustów... – szybko odwróciłam oczy od jego zawiedzionej twarzy.

– W nikim nie jestem zakochana i... mam dzisiaj ważne spotkanie – usłyszałam własne słowa, wykonując strategiczny odwrót.

Dzień następny przyniósł taki sam upał. Kiedy późnym popołudniem wracałam do domu z dalekiej wizyty na przedmieściu, zdawało mi się, że cały Paryż, znużony gorącem, drzemie za opuszczonymi żaluzjami. W domu czekała na mnie ogromna wiązanka żółtych róż... Zaczniemy jednak od początku.

Domowników zastałam w salonie. Mustafa nie przestawał pracować wachlarzem, Gilles, siedząc na stołku koło drzwi do kuchni, polerował srebra, Sylvie zaś cerowała pończochy, zajmąwszy mój najlepszy fotel. Wszyscy słuchali d'Urbea, który owinięty togą z prześcieradła (jako że nie miał szlafroka), czytał im coś na głos.

– Nie dość że nikt z was nie uznał za stosowne mi otworzyć, to jeszcze... O, a od kogo to? – przerwałam rozpoczętą reprimendę, dostrzegłszy nagle górę żółtego kwiecia. Sylvie na mój widok co szybciej opuściła fotel i pobiegła do kuchni, skąd wróciła ze stołkiem.

– Nie czytaliśmy biletu. Postanowiliśmy być dyskretni – odparł d'Urbec. Wyglądał lepiej, ale coś się w nim zmieniło. Nadal wodził za mną spojrzeniem, teraz jednak zaprawione było ono chłodną ironią.

– Całe szczęście, żeście tego nie zrobili. – Wciągnąwszy z powrotem rękawiczki, ostrożnie wydobylam z pudełka elegancki bilet z bogatym grawerunkiem. Potrząsnęłam nim lekko, zdając sobie przy tym sprawę, że d'Urbec z uwagą śledzi każde moje poruszenie. A niech tam.

– Och! To od Brissaca! – każda myśl o nim budziła we mnie niesmak. – Widzę, że nowiny szybko się rozchodzą. – Rzuciłam tę uwagę pod adresem Sylvie, ta jednak tak pilnie wpatrywała się w jajko do cerowania, jakby lada chwila coś miało się z niego wykluć. – Ha! Lawendowe wstążki... wygląda to na robotę La Pelletier... W takim razie nie jest to nic groźnego. Najpewniej proszek miłosny – przeciągnęłam palcem po delikatnych płatkach i na rękawiczkach osiadło mi kilka zielonkawych kryształków. – Parszywiec! Sylvie, obwiąż sobie twarz mokrą chustką i wytrzep te kwiaty gdzieś za domem. Lubię żółte róże, więc ich nie wyrzucę.

– Zdaje się, droga markizo, że więcej dziś wiesz o świecie niż w czasach, kiedy to ukradkiem czytywałaś Petroniusza.

– Życie nas uczy, monsieur d'Urbec – powiedziałam sentencjonalnie, odprowadzając wzrokiem Sylvie, która biegiem wyniosła bukiet. – Proszki miłosne, proszki spadkowe, pięknie pachnące włoskie rękawiczki... Dzisiejszy wielki świat nie jest dla naiwnych... bojaźliwi również nie mają w nim czego szukać. – Znów napotkałam jego uparte spojrzenie. Te podbite czarnym cieniem oczy wyraźnie mnie taksowały.

– Rozumiem, że interesuje się tobą diuk de Brissac. Powinnaś jak ognia wystrzegać się bliższych znajomości z ludźmi tego pokroju. – Wyrzekł te słowa spokojnie, bez emocji. – Brissac to splukany utracjusz, który systematycznie rujnuje swoje kochanki i... innych przyjaciół. Jako zawodowy publicysta wiele wiem na ten temat, z przyjemnością też służę ci wszystkimi szczegółami. – Coś naprawdę musiało się w nim zmienić.

– No cóż, zacny panie publicysto, polegam na twej obietnicy, że powściągniesz profesjonalne zainteresowanie osobą, u której znalazłeś gościnę, dlatego powiem ci szczerze, czego chce ode mnie Brissac. Umyślił sobie potajemnie się ze mną ożenić. Jego stan posiadania ogranicza się

obecnie do dwóch koszul, wszystkie zaś wydatki zależą od mojej patronki. Jestem absolutnie pewna, że nawet na te róże musiał u niej zaciągnąć pożyczkę. Żywi nadzieję, że pomogę mu się odkuć; że dzięki moim proroczym wizjom odegra w karty wszystko, co przepuścił.

– A jego obecna małżonka nie ma nic przeciwko tym planom? Ha, zaczynam domyślać się powodu, dla którego tak pragniesz zostać drugą diuszesa de Brissac. Nęci cię, jak sędzę, piękny nagrobek, który otrzymasz od swego utytułowanego małżonka, gdy tylko jego szkatuła przestanie świecić pustkami.

– Co? To skąpe ścierwo? Musiałabym ten nagrobek zamówić sobie zaraz po ślubie i sama za niego zapłacić! – roześmiałam się w głos, biorąc wazon z kwiatami z rąk Sylvie i stawiając go na kredensie. – Jak myślisz, któremu z rzeźbiarzy powinnam zlecić wykonanie? Warinowi? A może wyszedł już z mody?

– Genevieve, czyżbyś dlatego musiała przyjmować propozycję Brissaca, że ja zepsułem ci reputację?

– Sama ją sobie zepsułam, otwierając przed tobą drzwi. To była moja decyzja. A za mąż postanowiłam nie wychodzić. Sama dam sobie radę. – Zauważyłam, że mocno zacisnął szczęki. Chwilę milczał, po czym powiedział żartobliwym tonem, który jednak nie wydał mi się szczery:

– Gdyby oświadczyły człowieka z jedną koszulą na grzbiecie nie były czymś jeszcze śmieszniejszym od oferty właściciela dwóch koszul, niezwłocznie poprosiłbym cię o rękę. Uważam to za jedyny honorowy sposób naprawienia wyrządzonej ci krzywdy. Jednakowoż w istniejącej sytuacji mogę błagać cię tylko o dwie rzeczy: primo, o jeszcze parę dni cierpliwości, secundo, o pożyczanie pióra, papieru i atramentu.

Kiedy poszłam spełnić jego prośbę, usłyszałam pytanie Sylvie:

– Co pan chce zrobić, monsieur? – była wyraźnie wstrząśnięta.

– Sylvie, przygotuj się na historyczny moment. Będiesz świadkiem położenia fundamentów pod przyszłą fortunę domu d'Urbeców – odparł posępnym tonem, zgoła nie pasującym do treści owej wypowiedzi. Przyniosłam mu papier, pióro i atrament. W pokoju zapadła pełna napięcia cisza, cięższa, rzekłbyś, niżli to duszne powietrze. D'Urbec ujął pióro i chwilę coś pisał.

– Oto denuncjacja – oświadczył. – Zaniepokojony włoski duchowny zwraca uwagę odpowiedniego inspektora policji na pewien niemoralny utwór, który powinien zostać co rychlej zakazany, obraża bowiem nie tylko uczucia przyzwoitych ludzi, ale i samą religię. Ten

prześmiewczy i jakże skandaliczny paszkwil nosi tytuł „Satyra na Parnas”. Gryfon zostawił mi dwieście egzemplarzy owego sprośnego dziełka, w sam raz na załątek przyszłej fortuny. Oficjalne wciągnięcie go na indeks podniesie cenę egzemplarza z dwudziestu sou do dwudziestu liwrów, co daje w sumie całe dwa tysiące. Pomnożyć taką kwotę w tym mieście błyskawicznych fortun to doprawdy fraszka, wystarczy mieć głowę na karku. Mnie zaś zmienne koleje losu przyniosły jak dotąd jedną tylko, za to nieocenioną korzyść: wiem, jak powstają nieczyste fortuny. Wiem również, jak szybko pokrywają się wielce szacowną patyną. Tak więc, madame de Morville, niebawem stanę się bogaty, tak bogaty, że kupię mojej matce powóz z czwórką koni i do tego kapelusz zdolny przyprawić o apopleksję moją zacną wujenkę. Sobie zaś na powrót kupię miejsce w świecie, może nawet lepsze od tego, którego mnie pozbawiono – zakończył, posypując piaskiem papier. Zapieczętował list woskiem, po czym wręczył go Sylvie: – Bądź tak dobra i zanieś to tam, gdzie trzeba. Ty wiesz, gdzie zostawia się takie listy. – Spojrzała na mnie pytająco, więc kiwnęłam głową.

– Idź, Sylvie, wszystko w porządku. Może pan liczyć na naszą dyskrecję, monsieur d'Urbec.

– Dziękuję. – Nagle się go przestraszyłam: tej jego determinacji, dziwnego wyrazu twarzy. Tak wygląda człowiek zdolny do wszystkiego.

Patrząc mi w twarz, oddał Sylvie pióro i atrament z prośbą, by odniosła je na miejsce. Przy tym ruchu prześcieradło osunęło mu się z ramienia, odsłaniając fragment galerniczego piętna. Nie zdążyłam uciec wzrokiem. D'Urbec zauważył, na co patrzę, i jego spojrzenie stało się nagle zawzięte.

– Nie umiem wróżyć z wody, Ateno, pozwolę sobie jednak coś ci przepowiedzieć. Przyjdzie czas, że mnie zapragniesz, musisz tylko wpierw się przekonać, że Lamotte nie jest dla ciebie partnerem, że nie dorównuje ci umysłem.

– A czemuż to miałabym chcieć akurat któregoś z was?

– Czyżbyś zapomniała, że nie jestem głupi? Twoje oczy... one cię zdradziły. Powiedz, czy wzięłaś mnie pod swój dach tylko po to, aby sprowadzić tu jego? O, wiem, że mogłaś to sobie ułożyć. Umysł masz zdolny i do większych intryg. Ciekaw jestem tylko, które to jego przymioty tak nieodparcie przyciągają twoje szare oczy. Czy to te jedwabne pończochy? A może jego okropne wiersze? Ach, już wiem! To z pewnością owo cielece spojrzenie, którym darzy każdą napotkaną kobietę! No dobrze, ty mała jędzo! Jak trochę dojrzejesz, będziesz wiedziała, gdzie mnie znaleźć.

– Panie d'Urbec, jest pan wstrętny! – krzyknęłam, by ukryć upokorzenie. Że też tak łatwo mnie

przejrzał. – I czego ty chcesz ode mnie? Mam rzucić wszystko i iść za tobą? Być nikim? Czyż nie zaryzykowałam dla ciebie wszystkim, co posiadam? Mało ci tego? Boże, cóż za straszne stworzenia z tych mężczyzn! Czy naprawdę musicie posiąść zaraz na własność wszystko, co przypadkiem wpadnie wam w oko? Nawet ten Brissac, śmieszny i żaloszny satanista, śmie proponować mi spółkę, wiedząc, jak odrażającym jest indywiduum!

Twarz mu zbielała, oczy zapłonęły gniewem.

– Genevieve Pasquier – krzyknął – pożałujesz jeszcze tych słów, przysięgam! – Jego gniew natychmiast rozbudził we mnie sprzeciw. Wyzywająco popatrzyłam mu w twarz i wzruszyłam ramionami.

– No proszę, mamy więc zapowiedź zemsty. Że też każdy dziś marzy tylko o zemście. Coś ci powiem, panie d'Urbec. Mnie to pragnienie związało z Królową Ciemności, no i widzisz, przestałam wachać róże. Ciekawe, dokąd ciebie ono zaprowadzi. Ja przynajmniej mam i powód, i odpowiedni obiekt. Jest takie monstrum, które stokrotnie zasłużyło na mą nienawiść, ale ty? Ty za cel obierasz sobie kobietę, która tym tylko zawiniła, że wyświadczyła ci dobro. Powiem ci, przyjacielu, że dziwnie jakoś działa twój sławetny umysł. Wedle jakiego kryterium wybiera on osoby warte twojej zemsty? Koniecznie musisz mi to kiedyś wyjaśnić.

Nie odzywał się do mnie dwa dni. Trzeciego pożyczył od Sylvie igłę z nitką i z zabawną pedanterią starego kawalera zacerował swą jedyną koszulę, z której po wielokrotnych praniach udało się w końcu usunąć ślady krwi.

– Pójdę już – poinformował mnie zwięźle. – Po skrzynię przyślę później, kiedy znajdę sobie jakieś lokum.

– Nie masz gdzie mieszkać? – ogarnął mnie nagle niepokój. Był tak wychudzony i wciąż gorączkował. Teraz też stojąc w drzwiach wyraźnie się ślaniał. Nietrudno było się domyślić, że tylko duma trzyma go na nogach.

– Mieszkałem na tyłach drukarni Gryfona, on zaś z rodziną zajmował piętro. Obawiam się, że jansenści mogą nie być aż tak uprzejmi.

– Powiedz... Czy cię jeszcze zobaczę?

– Ależ oczywiście! Przejedziemy się po Cours-la-Reine w czwórkę koni. Do zobaczenia, madame de Morville. Nie wachaj żadnych kwiatów.

Uciekłam na górę, Ach, te głupie łyzy! Zupełnie bez powodu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W pierwszych dniach jesieni powrócił dwór. Pogoda wciąż była piękna – złocista i ciepła. W świetliście jasnym powietrzu panował ów przedziwny spokój, który nagle pęka jak zdmuchnięty wraz z nadejściem pierwszych jesiennych deszczów. Lamotte i d'Urbec zniknęli z mojego życia. Florent zgodnie z zapowiedzią przysłał po swoją skrzynię, sam jednak już się nie pojawił. Zwróciłam meble, kazałam wyrzucić wygotowane kości i na nowo pograżyłam się w pracy. W interesie znów zaczął się szalony ruch. Fama niosła, że kochliwy Król Słońce rozgląda się za nową metresą, dwór wrzał więc od intryg.

– Śmieje się ze mnie cała ta przeklęta zgraja! – wrzasnęła na mój widok madame de Montespan. – Precz, precz, wynoście się wszyscy! Moja przyszłość to nie wasz interes! Prędeż, bo przysięgam, że każę was powywieszać! Wciąż jeszcze mam swoje wpływy, radzę to sobie zapamiętać! – zionąc furią jak rozwścieczony demon, porwała brązowego kupidyńka i cisnęła nim w którąś z nieszczęsnych służących. Ogarnięte paniką damy dworu co prędzej wzięły nogi za pas. Złoto-biały salon opustoszał. La Montespan chwyciła się za głowę, wydała głuchy jęk i usiadła. Aha, kolejny napad bólu głowy. – No, poszli sobie wreszcie. Mów prędko, czy to tłuste bezguście, madame de Soubise, zajmie moje miejsce? – Cały dwór wiedział o zainteresowaniu króla księżną de Soubise, znał również umówiony sygnał, którym zawiadamiała ona monarchę o nieobecności męża. Kiedy owa tycjanowska piękność wkraczała do salonu zdobna w swoje słynne szmaragdowe kolczyki, dawał się słyszeć ożywiony szmerek, a wszystkie spojrzenia kierowały się na Króla Słońce. Co złośliwi płonęli wtedy szczególną uciechą na widok zwężonych oczu madame de Montespan błyskających furią znad wachlarza. Przewidywano rychły już koniec jej faworów. Niech żyje nowa maitresse en titre.

Ukradkiem zerknęłam na swą klientkę: mimo bólu głowy jej przedziwne oczy koloru akwamaryny nadal jaśniały wściekłością. Na szczęście tym razem obraz w naczyniu był dla niej pomyślny.

– Madame, bądź spokojna. Triumf twej rywalki długo nie potrwa. – Słyszac to tak nisko zawisła nad czarą, że jej oddech zamglił szklane ścianki. – Wraz z kolejną ciążą madame de Soubise straci urodę, król zaś wszelkie zainteresowanie dla jej osoby.

– Straci urodę? – w głosie La Montespan zabrzmiała złośliwa radość. – W jaki sposób? Czy twe naczynie o tym mówi?

– Całkiem wyraźnie, madame. Utraci jeden z przednich zębów.

– Ach! – odetchnęła głęboko. – Ja zęby mam bardzo mocne. Przykra to rzecz – dodała z ironią – że tyle tych biedaczek traci uzębienie, wydając na świat potomstwo. Mnie sam Bóg widać przeznaczył do władzy, skoro dał mi tak zdrowe zęby – błysnęła nimi w uśmiechu, rozchylając uróżowane wargi. Prawda, zęby miała białe, drobniutkie i ostre jak u goblina.

– Twa uroda i dobry gust, madame, nie mają sobie równych – powiedziałam, chcąc ją uspokoić.

– Przysięgam, że nie będzie go mieć żadna inna i obietnicy dotrzymam. – Jeszcze przed chwilą furia wrzała w niej jak w kotle, teraz zaczynała cichnąć pod napływem dziwnej łagodności. Nie bardzo wierzyłam w tę zmianę nastroju.

– Wszyscy szanują cię, madame, za to, że zawsze dotrzymujesz słowa – nie omieszkałam jej zapewnić.

– Pani de Soubise nie wie nawet, jakie ma szczęście, że jej ten ząb wyleci! Żadna inna nie zajmie mego miejsca, nie odbierze mi tytułu diuszesy. Niedoczekanie. Czy twoja czara pokazuje, kiedy go dostanę? – Ha, tytuł książęcy! To był jej punkt honoru i zarazem najczulsze miejsce. Nie wiedziała o tym, co wiedzieli wszyscy, ale nikt nie śmiał jej tego wyjaśnić: nie doczeka się tytułu księżnej, którym król obdarowywał zwykle faworytę, gdyż musiałby w takim razie podnieść do rangi księcia również jej małżonka. Ludwik nie mógł i nie chciał tego uczynić, sprawa była więc nader prosta. La Montespan tymczasem uznała ją za sprawdzian swojej władzy nad królem; wierzyła, że miłość każe mu w końcu złamać wszelkie precedensy i że jakimś sposobem uczyni ją księżną, nie wynosząc do owej godności jej starego męża.

Wspomniany małżonek, wygnany przez swego królewskiego rywala na prowincję, nadal szalał tam z gniewu. – Ksieni z Fontevrault jest zdania – podjęła znów La Montespan – że zważywszy na me zasługi dla Korony, powinnam wkrótce już zostać diuszesa. – Przełożona klasztoru Fontevrault była jej rodzoną siostrą i jedyną podporą duchową.

– Ksieni mądrze przewiduje.

– Lecz nie tak niezawodnie jak twoja czara. Powiedz mi zatem, co mówi o moim książęcym stołku. – W jej uśmiechu czaiła się groźba.

– Nic, madame. Naczynie jest puste. Często tak bywa, gdy coś ma się zdarzyć dopiero w dalekiej przyszłości. Może po odsunięciu madame de Soubise?

– A ja ci mówię – syknęła, patrząc na mnie spod zmrużonych powiek – że zdobędę ten stołek wszystko jedno za jaką cenę. – Nie miałam zamiaru przeczyć, chociaż zaglądając w jej przyszłość, ani razu nie widziałam książęcej mitry.

– Madame, sama twa wielka uroda jest dostateczną gwarancją najpomyślniejszej przyszłości.

Wygięła brwi w łuk i wstała:

– Może pani odejść, madame de Morville. W antykamerze czeka na ciebie mademoiselle des Oeillets. – Jedwabna sakiewka mile zaciążyła mi w rękę, mimo że mademoiselle des Oeillets uszczknęła już z niej swoją dolę. Znakomicie. Przy takich dochodach uwolnię się wkrótce od Królowej Wiedźmy.

Tego dnia – było to niedzielne popołudnie – przybyłam na rue Beauregard jako ostatnia z protegowanych La Voisin składających jej sprawozdanie. Czekając w przedpokoju na swoją kolej, próbowałam odpędzić nudę drobiazgowym studiowaniem misternych mosiężnych okuć wokół klamki, gdy nagle drzwi się otworzyły. Drgnęłam ze zdziwienia, słysząc wypowiedane do kogoś słowa mej patronki:

– ... przestań wreszcie zawodzić. Ucz się od naszej małej markizy. – W drzwiach ukazała się La Voisin w surowej sukni, koronkowym fartuszką i takimż czepku, prowadząc pod łokieć zapłakaną La Lepere.

– Pracuje ledwo dwa lata, a widzisz, jaki zbiera profit? To dlatego, że robi, co jej każe.

La Lepere z przygnębioną miną podreptała do wyjścia, madame zaś poprosiła mnie do gabinetu.

– Znowu pożyczka – westchnęła. – Ach, ale to cała ja. Niedługo pewnie wszyscy święci przejdą na moje utrzymanie. Dobrze, że choć ty sprawujesz się świetnie. Ostatnio gdzie się obróć, tam o tobie słyszę. Przyniosłaś rozliczenie?

– Oczywiście, madame.

– No, no – uśmiechnęła się, przerzucając moją zieloną książeczkę – zarabiasz o niebo lepiej, odkąd pozbyłaś się całej tej prowansalskiej menażerii. O, i bardzo rozsądnie kontrolujesz swoje wydatki. Widzę duży postęp. Przy tych dochodach wkrótce już spłacisz dom. A wszystko dlatego, że mnie słuchasz, nie tak jak ta głupia La Lepere. Powiesz pewnie, że za miękkie mam serce. No cóż, przyznaję ci rację, ale taka już moja natura. Muszę opiekować się swoimi ludźmi, inaczej nie potrafię. – Wyczułam, że za chwilę coś mi powie. Pewnie będzie to znowu „rada” nie do odrzucenia. – Ostatnio bardzo ciepło o tobie myślę – uśmiechnęła się macierzyńsko. – Bo też masz niebywały wprost talent do interesów. Zaiste, to, co osiągnęłaś, można nazwać prawdziwym sukcesem. Ty nigdy nie staniesz się kimś takim, jak ta stara płaczka La Lepere. No, ale chciałam powiedzieć ci o czym innym. W przyszłym tygodniu

urządzam małą uroczystość z okazji powrotu dworu. Jeśli pogoda się utrzyma, zabawimy się w ogrodzie, jest tam jeszcze tyle pięknych kwiatów! No i ta nowa fontanna z posążkiem. Pawilon bardzo przez nią zyskał, nie uważasz? – tak perorując podeszła do okna. Widać stąd było fontannę tonącą wśród gęstych paproci i ostatnich w tym roku lili. Stojący pośrodku misy marmurowy kupidynek trzymał wielki dzban wody, która srebrzystą kaskadą oblewała jego pulchne nóżki. Popołudniowe słońce kładło złotą poświatę na białych kolumnach pawilonu, skąd ukryte w środku krematorium wypluwało wciąż kłęby czarnego dymu. – Odkąd dwór wrócił, interes kręci się jak rzadko – stwierdziła La Voisin, z upodobaniem przyglądając się ciemnej kolumnie dymu sięgającej, zda się, błękitnego nieba.

Odwróciła się od okna, najwyraźniej przechodząc nad tym do porządku.

– Zapowiada się miłe przyjęcie – oznajmiła. – Przybędzie wielu mych starych przyjaciół. Za parę dni otrzymasz zaproszenie. Już bym je wysłała, ale rytownik strasznie się jakoś opóźnia. Większość zaproszonych pewnie już znasz. Będzie duża grupa naszych, parę kobiet od La Bosse, oczywiście wielu moich klientów, a także kilku wybranych adeptów nauk tajemnych. No i ma się rozumieć kapela skrzypków, będą bowiem tańce... Och, nie rób takiej miny! Czyżbyś myślała, że zaczniemy płaść nago przy księżycu? Nie, moja droga, to nie sabat! Dajże spokój – z niesmakiem machnęła ręką – mogę sobie być czarownicą, nie zapominaj jednak, że przede wszystkim jestem paryżanką. Zobaczysz, jaką suknię przyniosą mi jutro hafciarki! A ci skrzypkowie to najlepsza kapela w całym mieście. Wiesz, u kogo służą? Sam Monsieur zwalnia ich na ten wieczór. Listy gości też by się nie powstydzil żaden najwytworniej szych salon. Jest na niej mnóstwo osób ze dworu. Będzie też Brissac, nadarza ci się zatem doskonała okazja do konwersacji, mam nadzieję, że jej nie przegapisz. Nie wątpię, że on potraktuje cię z najwyższą galanterią, tak jak jestem pewna, że to doskonały mąż dla kobiety, która wie, jak z nim postępować.

– Z całym szacunkiem, madame, tak potrzebny mi mąż jak żabie lokaj.

– Ha! Dowcipnie to ujęłaś! Nic dziwnego, że odnosisz salonowe sukcesy – parsknęła lekkim śmiechem, sadowiąc się w swoim brokatowym fotelu, mnie zaś każąc stać nadal. Od tej wesołości zrobiło mi się zimno w żołądku. – Cóż, moja droga – mówiła dalej, obrzucając mnie pobłażliwym spojrzeniem – możesz nie pragnąć męża, ale go potrzebujesz. Nie chcesz chyba, by twój brat położył na tobie rękę, że już nie wspomnę o wuju. Pamiętaj, że we wszystkim, co dla ciebie czynię, chodzi mi wyłącznie o twoje dobro. – Własne również, skomentowałam w duchu, starając się równocześnie przybrać w miarę zgodliwy wyraz twarzy. – A teraz bądź tak miła i usiądź – łaskawie wskazała mi wąskie, pozbawione poręczy krzeselko naprzeciw biurka.

– Możesz mi wierzyć, że mąż to doprawdy nic strasznego. Siedzi sobie, a kiedy trzeba, podpisuje dokumenty, bo niestety, dla prawa mąż jest równie ważny, jak nieważny jest dla nas, kobiet. Ja, wyobraź sobie, nie zdecydowałabym się żyć bez męża. Z wszystkimi, których miałam, było mi bardzo wygodnie. Prawda, że trzeba ich karmić, i to obficie. Mąż zawsze musi być syty. Nic tak nie uspokaja jak dobry wikt. Ty naturalnie będziesz musiała wynająć dobrego kucharza, niewielka to jednak cena za taką pozycję w świecie, dzięki której zyskasz nietykalność.

– Wątpię, czy Brissac zechce tylko jeść i siedzieć w kącie. Jest ruchliwy jak karaluch, wszędzie go pełno. Intrygi, kochanki, szastanie pieniędzmi... niech no tylko poczuje coś w kieszeni.

– Moja droga – La Voisin matczynym gestem położyła rękę na mojej – wiesz przecież, że uważam cię za swoje najwspanialsze dzieło. Czy proponowałabym ci ten alians, gdybyś nie była tak mądra? Na potulnych kobyłach niech sobie człapią bojaźliwi starcy, jeździec z fantazją zawsze woli konia pełnej krwi, chociaż to nieraz strasznie narowista, można powiedzieć, półszalona bestia. Ja tam wierzę, że szybko osiodłasz Brissaca, bo przewyższasz go inteligencją. A pomyśl, co możesz osiągnąć z nim w parze! O, ależ to będzie para! Groźna, błyskotliwa, a jaka modna! Wy dwoje rozbłyśnicie na paryskim niebie niczym kometa! A potem! Pomyśl o swojej przyszłej potędze! Nie ma nic cenniejszego nad władzę – zapalała się coraz bardziej, jej czarne oczy gorzały ogniem. We mnie jednak te jej wielkie plany budziły akurat tyle dobrej woli, co kamień magnetyczny w igle. I nagle zrozumiałam: ona przeżywa drugą młodość. Widzi we mnie siebie, odrodzoną Królową Ciemności, taką, jaką sobie wymarzyła... Ten jej ideał ma u boku nie zbankrutowanego jubilera, ale utytułowanego satanistę, obdarzonego tą samą, co i ona, mroczną inteligencją. Marzył jej się równy partner. Podstępny i niebezpieczny. Zrozumiałam, że tym, co ją zaślepia, jest niepohamowana ambicja. Dlatego w intrygach przechodzi już samą siebie. Tylko dokąd ją to zaprowadzi? Brissac... cóż za ohyda.

– Postaram się jak najlepiej rozegrać z nim sprawę, wiesz jednak, madame, że nie mam talentu do flirtu. Nie umiem trzepotać rzęsami ani schlebiać mężczyźnie, tak by mu się zdawało, że jest ode mnie mądrzejszy. Zawsze mówię, co myślę. Nie jestem też urodziwa w męskich oczach.

– Kochanie, Brissac nie szuka urody, on goni tylko za pieniędzmi. Nie musisz z nim flirtować. Najlepiej wspomnij mimochodem, w czyich to salonach ostatnio bywałaś, pokaż, jak patrząc w szklankę wina rozpoznajesz zakryte karty, daj mu wreszcie do zrozumienia, że gdy nie czujesz się szczęśliwa, twój dar prorocstwa zaczyna zawodzić. Och, sama zresztą potrafisz go podejść. Niech wie, że nie dasz się kupić za kilka marnych pocałunków i że ciężko mu będzie dobić z

tobą targu: twój talent ma wysoką cenę! – zamknęła księgę rachunkową, a widząc, że wciąż nie jestem przekonana, zakończyła z wymuszonym uśmiechem: – Jesteś tak sprytna, moja droga... słuchaj mnie tylko, a wszystko będzie dobrze.

Tej nocy w żaden sposób nie mogłam zasnąć. Mój umysł kręcił się jak koło młyńskie, rozdrabniał przeszłość na fragmenty i rzucał mi je przed oczy: Wielka Wiedźma i jej rejestr. Brissac odrażający jak uosobienie plugastwa. Lamotte... piękny nie do opisanego w swym złotym jedwabnym stroju. Ojciec na łożu śmierci, a przy nim papuga babci wykrzykująca wciąż te same słowa: „Sprawiedliwość! Ogień i siarka!” Marie-Angelique zalewająca się łzami w swojej luksusowej sypialni. Para ciemnych zapadniętych oczu, ich taksujące spojrzenie – oczy d'Urbece... idące w ślad za mną tak jak wtedy... I słowa: „Pożałujesz... pożałujesz...”

Nazajutrz wraz z porannym kubkiem kakao otrzymałam list. Papier był gruby i kosztowny, a pieczęć, o dziwo, nie naruszona.

Trudno wprost było uwierzyć, że oparła się wścibstwu Sylvie. Teraz za to czułam jej oddech na ramieniu. Otworzywszy list zobaczyłam znajomy charakter pisma, równe rzędkie dzieciennie okrągłych liter:

„Najdroższa Siostrze!

Szczęście moje jest pełne. Właśnie powróciłam z Fontainebleau. Nigdy dotąd nie okazywano mi tyle czułości i względów. Otrzymałam w prezencie przepiękną szmaragdową kolbę, a mój przyjaciel nie szczędzi mi zapewnień, iż jestem panią jego serca. Jakaż to niezwykła łaskawość ze strony tak wielkiego człowieka, potomka starożytnego rodu! Dziś już nie wątpię, że mimo braku odpowiedniego pochodzenia i rangi wkrótce zostanę jego maitresse en titre.

I jeszcze coś, Droga Siostrze. Twoje proroctwa są niezawodne, więc pierwsza się o tym dowiesz. Niebawem dane mi będzie żywe świadectwo mego powrotu do łask. Czekam teraz tylko stosownego momentu, by podzielić się z moim ukochanym tą cudowną i jakże radosną tajemnicą. Przyjdź cieszyć się wraz ze mną, jak tylko uda ci się znaleźć wolną chwilę. Jestem w domu w środy.

Twa kochająca siostra Marie-Angelique”

– I co? – niecierpliwiła się Sylvie, która mimo usilnych starań nie zdołała na tyle wyciągnąć szyi, by zapoznać się z treścią listu.

– Sprawdziła się moja kolejna przepowiednia. Proszę cię, zakryj dziś lustro, miałam fatalną noc.

– Madame, może choć na dzisiejsze przyjęcie włożysz tę śliczną różową suknię? Ani razu jeszcze nie wyjęłaś jej nawet z pokrowca. A tak ci do twarzy w tym kolorze! Robisz się znów prawie młoda, jeśli wolno mi tak powiedzieć. O, gdyby to mnie ktoś miał się oświadczyć, na pewno wystroiłabym się w tę suknię! – Sylvie rozłożyła na toaletce kilka kościanych szpilek i zaatakowała szczotką me zmierzwione loki. Przemknęło mi przez myśl, że to nawet dobrze czasami zasłonić lustro, przynajmniej nie widzę kwaśnej miny Sylvie, gdy te moje włosy nie chcą ułożyć się tak, jak powinny: po bokach loki, z tyłu schludny koczek skryty pod czepkiem. W niecierpliwych pociągnięciach szczotki wyczuwałam rozdrażnienie. Ha, trudno. Sztywno wyprostowana na złożonym krzeselku usiłowałam wymyślić jakiś sposób, który pozwoliłby mi wykręcić się zarówno mej patronce, jak i Brissacowi. Ciekawe, ile jej obiecał za skojarzenie tego małżeństwa, oczywiście z moich oszczędności... Madame nie ma wszak zwyczaju oddawać przysług za darmo. A jednak... mimo wszystko jest w niej coś, co można nazwać poczuciem honoru, aczkolwiek brzmi to osobliwie. Nigdy nie zauważyłam na przykład, żeby cokolwiek ukradła, a nie da się tego powiedzieć o bardzo wielu tak zwanych przyzwoitych ludziach. Co innego morderstwo. Pod tym względem, owszem, jest taka sama jak inni, tyle że robi to czyściej i schludniej. Jej nigdy by się nie zdarzyło zostawić czyjejs głowy pod podłogą. Uznałaby to za niechlujstwo przynoszące ujmę jej rzemiosłu. Na tym właśnie polega różnica między profesjonalistą i amatorem. Ha, w każdej dziedzinie bywają wszak mistrzowie i partacze. Zamknąwszy swe dumania ową konkluzją, powiedziałam:

– Madame wybrała mi partnera, który nie dba o to, czy jestem młoda czy stara, rozumiesz? On ładnych kobiet ma na pęczki. Brissac to rozpustnik, który kocha tylko pieniądze, a jego największym pragnieniem jest przymierze z diabłem. Niestety, wciąż nie udaje mu się wytropić miejsca pobytu Jego Szatańskiej Mości! Na takim człowieku wrażenie może wyrzeć jedynie osoba bogata, silna i tajemnicza. Niech mu się zatem zdaje, że noszę w kieszeni ten upragniony adres Belzebuba! O, i musi dobrze się o mnie potargować! Tak mi powiedziała madame, a ona wie, co mówi. Dlatego przygotuj mi tę szarą jedwabną suknię z dużym wycięciem i nie przypinaj do niej wstawki. Tym razem zamierzam pokazać biust. Wyjmij też całą moją biżuterię: perły, ten rubinowy krucyfiks, kolczyki z diamentami i wszystkie bransolety. Powiedz Gilles'owi, że ma przypiąć szpadę i pistolet.

– A co z fryzurą? Weźmiesz Welon?

– Nie, ułożysz mi włosy w nowym stylu pani de Montespan, wiesz jak: szesane do tyłu i spiętrzone w loki. I żadnych ozdób poza jedną czerwoną różą. Madame powinno się to spodobać.

– O, masz doprawdy niezwykle wycucie! Czerwona róża przy czarnych włosach! Zachwycający efekt! A przy tym czerwień to symbol bogactwa i namiętności. Któryż mężczyzna się temu oprze?

– Brissac. Jego symbole ani ziębią, ani grzeją. Nie szkodzi. Liczy się to, co wspólnie potrafimy zdziałać. – Sylvie odłożyła szczotkę, ja zaś obserwując ją spod oka, pogratulowałam sobie w duchu: świetnie, teraz La Voisin otrzyma odpowiedni raport. – Jeszcze jedno! – wykrzyknęłam.

– Oczywiście poniesiesz mi chustkę, włoż więc tę żółtą jedwabną suknię. Mustafa ma przyozdobić swój turban z diamentem, niech także przypnie egretę. Chcę mieć wielkie wejście. Zjawimy się tam dopiero wtedy, gdy większość gości będzie już obecna.

Pogoda dopisała, toteż gdy mój powóz z wolna przeciskał się pośród ekwipaży i krzeseł stłoczonych wokół willi przy rue Beauregard, świat tonął w aksamitnie fioletowym mroku. Był to już jeden z ostatnich tak łagodnych wieczorów tej jesieni. Niektóre ze stojących w ulicy pojazdów nosiły herby starych arystokratycznych rodów, inne przywiozły znanych satanistów, jeszcze inne zwykłych poszukiwaczy uciech. Przyjęcia u La Voisin słynęły zarówno z doskonałej kuchni, jak i doborowego towarzystwa; i jedno, i drugie mogło zadowolić najbardziej wyrafinowane gusty. Mijaliśmy więc eleganckie powozy dzierżawione podobnie jak mój za miesięczną opłatą, a obok nich fiakry i krzesła wynajęte tylko na tę jedną noc; ich pasażerami byli nierzadko zdesperowani petenci, próbujący za wszelką cenę ukryć swoją rozpaczliwą sytuację. Przyjęcie takie jak to było dla nich szansą. Spotkanie z właściwą osobą czy inny szczęśliwy przypadek nieraz w jednej chwili potrafiły odwrócić koło fortuny, tak że wszelkie kłopoty zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rozmyślając nad tym doszłam do wniosku, że Francja to nic innego, jak jedna ogromna piramida dworów. Każdy z tych jaśnie wielmożnych, którzy na samym szczycie krążą wokół króla, ma osobistą świątę złożoną z trochę niższych rangą, tych z kolei otacza sfera jeszcze pospolitszych pieczeniarzy i tak dalej. Swoją dwór posiada też Pani Wiedźma. Tworzą go rozpustnicy, fałszerze, krzewiciele zabobonu, z których każdy toczy się już jak kamień ku ostatecznemu zatraceniu. Ale czy dwór ten różni się znów tak bardzo od Wersalu? I tu, i tam pełno takich samych pasożytów. Ciekawe, czym też przyjechał ten oberwaniec Brissac?

Siedziba najwyższej z paryskich wiedźm przeistoczyła się na ten wieczór w wielki przybytek uciech. Otwarte na oścież drzwi czarnego salonu połączyły go z resztą przyległych, zbytkownie umeblowanych pokoi w imponującą salę recepcyjną. Pośród zastawionych delicjami stołów płonęły niezliczone rzędy świec. Z ogrodu dobiegały słodkie dźwięki muzyki. Między domem i pawilonem rozłożono ogromną podłogę do tańca osłoniętą rzędem pasiastych namiotów.

Wszędzie porozwieszano dziesiątki kolorowych lampionów. Moje przybycie wywołało prawdziwe poruszenie. Nawet najbardziej zblazowani dworacy i ludzie nawykli do mego widoku, wszyscy jak na komendę porzucili wytworne jadło i wlepili we mnie oczy. O tak, zrobiłam na nich wrażenie swoim egzotycznym karłem, pokojówką, olbrzymim, uzbrojonym po zęby strażnikiem! Trzymając w ręku swą słynną laskę ze srebrnym okuciem, kroczyłam powoli przez salon pełna satysfakcji z osiągniętego efektu. Czułam, że dzisiaj przeszłam samą siebie.

– Markizo... ach... jesteś... taka inna – La Pelletier, znana z upodobania do lawendowych wstążek, którymi miała zwyczaj zdobić swe saszetki z proszkiem miłosnym, z wrażenia zaczęła się jąkać. Abbe Guibourg w pierwszej chwili otworzył usta, tak że z kącika pociekła mu reszтка jadła, później zaś ułożył je w lubieżny uśmiech. Ludzie rozstępowali się przede mną. Czułam ich respekt, trwogę i podziw. Bo znałam przyszłość. Bo byłam narzędziem wszechwładnego fatum. Bo mogłam kiedyś zostać królową – tak, to było najważniejsze. Kto wie, czyje losy będą wtedy trzymać w ręku? Lepiej na wszelki wypadek już teraz pozyskać me względy. La Voisin w ognistoczerwonych atlasach, cała błyszcząca od diamentów, królowała pod pasiastą oponą namiotu. Otaczający ją tłum pochlebców i petentów usłużnie zrobił mi przejście.

– Madame – złożyłam jej niski ukłon – przyjęcie jest zachwycające! Prawdziwy to dla mnie zaszczyt, że mogę w nim uczestniczyć. – Skinęła głową z widocznym uznaniem dla mojej biżuterii, orszaku, jak również czerwonej róży.

– Droga markizo, nigdy jeszcze nie jaśniałaś takim blaskiem. Sądzę, że miałaś już sposobność poznać księcia de Brissac? – przeszła natychmiast do rzeczy, nie pozwalając mi zapomnieć, po co tu jestem. Brissac z kępami czarnego zarostu na nie ogolonej twarzy, przyodziany w błękitne, zżarte przez mole aksamity i paradną perukę modną na dworze rok temu, machnął kapeluszem, po czym dał wyraz swemu zadowoleniu z powodu tak nieoczekiwanego i jakże miłego spotkania. No, pogonię ja ci dziś kota, przyobiegałam mu w duchu, grzecznie odrzucając zaproszenie do tańca. Równocześnie otworzyłam wachlarz na wysokości biustu, co w umownym języku wachlarzy oznacza: „bądźmy dyskretni”.

– Taniec to przyjemność zarzucona przeze mnie dziesiątki lat temu – oznajmiłam. Zamknęłam wachlarz, tak by widoczna była tylko jedna przegródka, co znaczało „czystą przyjaźń”, i ukradkiem zerknęłam na swego „amanta”. – Taniec rozprasza energię wewnętrzną, ja zaś wolę ją koncentrować. – Zamknęłam teraz wachlarz zupełnie i pochyliłam go w prawo: „musimy porozmawiać poufnie”, zasygnalizowałam.

– Twa moc, pani, jest jedynie najbledszym cieniem twojej urody – wymamrotał Brissac. Odłączyliśmy się od tłumu i po chwili dotarliśmy do grotty, nie opodał melancholijnie jakąś szemrzącej fontanny. Siadając na nie ociosanej wiejską modą ławce, nie mogłam powstrzymać się od myśli, że dosyć to dziwne miejsce: z zewnątrz biały marmur opleciony zieloną koronką bluszczu, w środku krematorium na użytek całej „filantropijnej” organizacji madame Montvoisin. Idealny sztafaż dla zalotów satanisty. Po serii bzdurnych komplementów pod adresem mej łabędziej szyi i alabastrowych rączek poczułam na karku jego wstrętne palce. Przypominały oślizłego płaza. Zawsze w ten sposób odbierałam dotyk kłamcy. Odrażające.

Odsunęłam się jak najdalej, by nie czuć cuchnącego ciepłą zgnilizną oddechu i z trzaskiem zamknęłam wachlarz:

– Pomówmy szczerze, Brissac. Nie gustuję w płci męskiej, a i ty, jak mi wiadomo, niewielką czerpiesz przyjemność z obcowania z kobietą. Zaniechaj zatem prób oszołomienia mnie bogactwem swoich komplementów, jak również mistrzostwem miłosnych praktyk. Przyjmij do wiadomości, że ani twoja pozycja, ani osoba nie budzą we mnie dreszczu rozkoszy i że nie mam zamiaru zostać twoją maitresse en titre. Powinieneś być z tego zadowolony, bo przypuszczam, że moja osoba również nie wywołuje w tobie żaru namiętności, aczkolwiek może z nieco innych przyczyn. Stawiam sprawę jasno: jestem kobietą, którą może zadowolić jedynie małżeństwo, słucham więc twoich warunków. – Moja bezceremonialność sprawiła, że osłupiał. W jednej chwili opadła maska galanterii, odsłaniając prawdziwe jego cechy: chciwość, snobizm, a teraz jeszcze głęboko urażoną męską próżność.

– Małżeństwo z takim monstrem? – wykrzyknął. – Z czego wysnułaś wniosek, że mógłbym popełnić tak haniebny mezalians? – wyglądał, jakby chciał mnie uderzyć. Odsunęłam się jeszcze trochę i przygwoździłam go wzrokiem:

– Tak? A gdybyś mnie uwiódł, nie byłby to dla ciebie despekt? Ależ tak! Usłyszałbyś przecież: „Brissac sypia ze stuletnią babą o zdeformowanym ciele”. A może bardziej odpowiadałby ci inny komentarz: „Brissac rozbudził tak szaleńcze pożądanie w tej starej wiedźmie, że odda mu teraz wszystko. Chytra z niego sztuka!”

– Ty... ty nieokrzesa prostaczko! – wrzasnęła. Trafiłam w sedno. Czy ktokolwiek lubi się przyznawać do swoich niegodziwych planów? Widać też było wyraźnie, że mylnie zrozumiał sugestię La Voisin lub też zwyczajnie ją oszukiwał. Tak czy inaczej, z twarzą stężoną w grymasie szyderstwa przybrał znowu arystokratyczną pozę, prostując się na całą swą dosyć mizerną wysokość: – Najwidoczniej, madame, nikt nie zadał sobie trudu, by uświadomić ci

twój całkowity brak przymiotów, których człowiek taki jak ja oczekuje od swej małżonki: nieskazitelnego pochodzenia, młodości, niewinności, owej czulej słodczy pomieszanej z budzącym się pożądaniem...

– A przede wszystkim ładnego posagu, bez którego cała reszta niewarta jest funta kłaków – zakończyłam kpiąco.

– Owszem, majątek rodziny podobnie jak jej pozycja ma swoje znaczenie.

– A może, monsieur, nikt nie uświadomił panu, że nawet ze swym tytułem stanowisz bardzo już zużyty towar, jest więc rzeczą mało prawdopodobną, byś mógł ubiegać się o damę z jakiegokolwiek porządnej rodziny. Twoje obyczaje raczej wykluczają możliwość splodzenia potomstwa, a gdyby nawet, to znając krążące po mieście plotki, żeś zaraził włoską chorobą co najmniej połowę młodocianych sprzedawców lodu, nikt z pewnością by sobie nie życzył wnuków obarczonych ową dziedziczną przypadłością. Dodajmy jeszcze i to, że pieniądze, zwłaszcza cudze, przepływają ci przez ręce jak woda i że przynajmniej jedna z twoich kochanek zesłała z tego świata w nader podejrzanych okolicznościach. Lekkomyślnie roztrwoiłeś ojcowiznę, a dwór wyrzucił cię poza nawias. Wszystko to, pomijając już twój kult szatana, nie czyni cię pożądanym nabytkiem nawet w oczach najbardziej łasej na tytuły rodziny jakiejś małej mieszczałki, a co dopiero w oczach ludzi dobrze urodzonych. Tak, monsieur Brissac, nie chcą pana nawet mniejsi od ciebie. Skorzystaj z mojej rady i trzymaj się tej małżonki, którą już posiadasz. Bądź dla niej miły, to może wyznaczy ci pensję.

– Nie będę dłużej tego słuchał – powiedział, podnosząc się z ławki.

– Nie musisz, zanim jednak odejdziesz, przypomnij sobie, że dysponuję wianem większym niż królewskie, a co ważniejsze, ta moja fortuna powiększa się z każdym dniem, jest więc dużo trwalsza niż posag. Ja mam ochotę zostać diuszesa, ty zaś pragniesz się wzbogacić. Cóż może być dla nas rozsądniejszym wyjściem niż zawarcie partnerskiego układu pod płaszczykiem małżeństwa?

– Ty... ty nie jesteś kobietą, tylko... tylko jakimś zimnokrwistym monstrem!

– Ty też, tyle że dla odmiany zbyt gorąkokrwistym.

– Zniszczę cię za te zniewagi!

– Czyżby? I stracisz ostatnią szansę na fortunę?

– Mogę mieć tuzin lepszych od ciebie!

– Świetnie. Próbuje więc je pozyskać, a kiedy zmęczą cię rekuzy, wróć do mnie. Będę wtedy jeszcze bogatsza, ale też moje warunki nie będą już tak umiarkowane.

– Co? Twoje warunki? Jak śmiesz? Ja tutaj stawiam warunki, ty potworze, ty wynaturzona starucho! – z tymi słowy odwrócił się na pięcie i pognął z impetem w ciemność.

Omal nie parsknęłam śmiechem, widząc, jak w tym galopie uchodzi z niego cała nadęta dostojałość. Ha, trudno o lepszy rezultat tej rozgrywki: wystąpiłam z propozycją, zrobiłam więc to, czego chciała La Voisin, on zaś odmawiając, niechybnie się jej naraził. Może mu to wybaczy, skoro wiąże z nim jakieś nadzieje, na mnie jednak gniewać się nie ma prawa. Tak więc dopięłam swego: pozbyłam się Brissaca, nie tracąc jej względów, wspaniale!

– Ach, tutaj jesteś! Mów, jak tam wasze małe tete a tete! Jak poszło? – słowa mej patronki poprzedził donośny szelest jej taftowych halek.

– Brissac nie chce się zenić. Dałam mu do zrozumienia, że ceną mojej fortuny może być tylko małżeństwo, na co oświadczył, że jestem zbyt zdeformowana jak na jego żonę, w dodatku moje pochodzenie... tak niejasne... Zobaczysz, madame, zaczniesz szukać szczęścia gdzie indziej, a gdy mu się to nie uda, wróci! Nie muszę patrzeć w naczynie, aby mieć tę pewność.

Usta La Voisin przybrały kształt cienkiej kreski.

– Jeśli igrał sobie ze mną przez cały ten czas, to przysięgam...

– Och, madame, weź pod uwagę, że to mężczyzna! Czy po tych gorącogłowych, zmiennych i pozbawionych logiki stworzeniach można się spodziewać konsekwencji? Trzeba z nim delikatnie, jeśli mamy... przywieść go do posłuchu.

– Ha! Dumna jestem z ciebie, moja droga! Twój sposób myślenia tak się rozwinął, że to aż godne podziwu – powiedziała niemal dobrotliwie, powracając wraz ze mną do towarzystwa.

Przy stole z przekąskami natknęłyśmy się na La Lepere zajęta wpychaniem słodyczy do kieszeni sfatygowanego żakietu. Jej suknia wyglądała równie żałośnie. Ujrzawszy nas, spróbowała niezręcznie ukryć swoje poczynania.

– Ależ proszę cię, moja droga, weź jeszcze trochę rożków. Zjesz je ze smakiem na śniadanie – powiedziała La Voisin.

– Ach... kpisz sobie ze mnie. Nie wiem, czy twoi goście nadal by cię tak szanowali, gdybym im powiedziała... skąd bierze się ta soczysta zieleń tu dookoła – oznajmiła zaczepnie La Lepere, wpychając ręce do kieszeni. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Wara od moich łakoci!”

– A więc zazdrościsz mi już nawet moich ogrodników? No, no, kiedyś bywałaś bardziej wielkoduszna.

– Ach, madame – rozległ się piskliwy śmieшек jakiejś zamaskowanej damy – twoi ogrodnicy to istni cudotwórcy! Sama ci ich zazdroszczę. Wystarczy spojrzeć na te róże: ile wciąż na nich kwiatów! A te lilie, te chryzantemy! Dwa razy większe od moich! Błagam, zdradź mi swój sekret. – Stojące nie opodal przy fontannie z winem La Trianon i La Dodee obróciły się w naszą stronę i z uśmiechem skinęły głowami.

– Cóż, madame, wszystko zależy od tego, czy je dobrze karmisz – rzuciła lekko La Voisin.

– Czym więc należy je karmić? – dopytywała się zamaskowana dama.

– Każ swoim ogrodnikom sporządzić kompost z zepsutych ryb. Znajdą ich na targu, ile dusza zapragnie. Ten właśnie kompost działa takie cuda. – Pani Wiedźma ułożyła usta w swój kanciasty uśmieszek i ruszyła dalej. Znalazłyśmy się pośród drzewek winorośli obwieszonych lampionami i ciężkimi kiśćmi dojrzałych owoców.

– Catherine – odezwała się człapiąca za nami La Lepere – dobrze wiesz, że nie zawsze tak tu było. Posłuchaj rady starej przyjaciółki: zlikwiduj ten straszny ogród. Wyrósł na ludzkich kościach, to grzech.

– Mam go zniszczyć? Też coś! Nie bądź śmieszna! Ja lubię ten ogród i bardzo się cieszę, że nasze dworskie towarzystwo utrzymuje go w tak doskonałym stanie. Wiesz, że ten piec pracuje nieraz dniami i nocami? I bardzo dobrze. Ich też lubię... Wszystkich tych nie narodzonych malutkich arystokratów, dzięki którym tak pięknie kwitną moje kwiaty. A czy to nie uciecha oglądać tyłu szlachetnych rodziców płasających na prochach swoich dzieci? Tak, Margot, o co chodzi? W fontannie brakuje wina? Dolej tego tańszego bordeaux. Piją już tak długo, że nie zauważą różnicy. No, ruszaj! O czym to ja mówiłam? Ach tak, o ogrodzie. Lubię go i ani myślę cokolwiek tu wykopywać. – Na sekundę zapadła cisza; mąciło ją tylko głośnie brzęczenie owadów, których roje uwijały się wokół lampionów, tańcząc swój taniec śmierci.

– Catherine, to się źle skończy. Ty... ty kpisz sobie ze świata. Rzuć to wszystko.

– Tak? I co będę robić? Żyć w nędzy? Mam do wyżywienia dziesięć gąb i znacznie więcej takich, których muszę wspierać... ty sama do nich należysz. Połowa ludzi na tym świecie żyje z podobnych memu interesów, tyle że ja prowadzę swój lepiej niż inni.

– Lepiej, gorzej, zależy jak na to patrzeć – mruknęła La Lepère. Orkiestra zaczęła grać pawanę.

Nazajutrz po przyjęciu – była to środa – otrzymałam bilecik od pana Geniersa, partnera mojej

cichej zemsty. Kawaler de Saint-Laurent, nie uściwszy swych długów, został postawiony przed sądem i z zachowaniem całej obowiązującej procedury skazany na więzienie. Słał teraz stamtąd żalosne listy do pana Geniersa, żebrząc w nich o pieniądze na jedzenie i koce. Dobrze, jest nadzieja, że zostaniesz tam do końca życia, pomyślałam z trudną do opisania ulgą. Dotąd ciągle nękała mnie obawa przed jakimś przypadkowym spotkaniem. Bałam się, że mnie rozpozna. Wyglądało na to, że wszystko zaczyna się nam wreszcie układać – mnie i Marie-Angelique. Postanowiłam wpaść do niej przed wieczorem, zobaczyć, jak się miewa. Dziecko... Wsiadając do powozu zaczęłam rozmyślać o kupnie prezentu. Tak byłam tym pochłonięta, że nawet nie zauważyłam, kiedy ruszył. Jeżeli urodzi się dziewczynka, sprawa będzie prosta. Kupię jej śliczną sukieneczkę i oczywiście srebrną łyżkę, na której każę wyryć imię... Na rogu rue de Picardie powóz utknął w tłumie pieszych i krzesel – ciężki wóz wyładowany beczkami piwa zatamował ruch, wywołując straszliwe zamieszanie. Ciocia... Jakie to dziwne być ciotką... Ta zdumiewająca perspektywa przegnała mi z głowy wszystkie myśli o wuju. Słyszałam, że mój woźnica miota okropne przekleństwa, ale i one jakoś przepływały mimo uszu. Przypomniała mi się nagle ciotka d'Urbea: czy i ja taka będę? Wścibska stara dama wykarmiona lekturą romansów.... A może kiedy człowiek zostaje ciotką, mięknie mu nie tylko serce, ale i mózg? Ha, pożyczę od Marie-Angelique „Clelię” i zobaczę, czy wyda mi się teraz mniej głupia. Pomysł ten tak mnie ubawił, że wybuchnęłam śmiechem. Czułam na sobie spojrzenia przechodniów: zwariowała starucha! Wszyscy dookoła się pieklą, a ta siedzi w powozie i śmieje się sama do siebie!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Słowo daję, siostrzo, chyba już zawsze będzie mnie zdumiewał twój wygląd! – wykrzyknęła Marie-Angelique, gdyśmy całowały się na powitanie. – Popatrz, jak długą przebyłyśmy drogę od owej chwili, kiedy to stojąc za firanką, zerkaliśmy na kawalerów! Pamiętasz tego z mandoliną? A takiego nieśmiałego biedaka, całego we wstążkach, który przyprowadził z sobą przyjaciela, by mu dodawał otuchy? – szeleszcząc jedwabną suknią naląła nam kordiału z kryształowo-złotej karafki. Mimo warstwy rózu i bielidla widać było, że twarz ma opuchniętą, jednak ani jeden włoszek nie wystawał spod eleganckich grzebyków wysadzanych drogimi kamieniami.

– Wyglądasz mi na zmęczoną, Marie-Angelique. Czy coś się stało?

– O, Genevieve... – usiadła, ocierając oczy. – Powiedziałam wczoraj o dzieciątku jego księżęcej mości. I... i on go nie chce. Och, siostrzyczko, patrzył na mnie takim zimnym wzrokiem! Powiedział, że nie lubi brzemiennych niewiast, bo... bo jest w nich coś brzydkiego... są rozdęte i... i że teraz rozumie, dlaczego ostatnio wyglądam tak... no, zupełnie jak kobieta z gminu. Powiedział, że... jeśli prawdziwie go kocham, postaram się zachować dla niego urodę.

– Ależ Marie-Angelique, jesteś piękna jak zawsze! Nic się nie zmieniłaś!

– On mówi, że tak. I wiesz, podobno widuje madame de Ludres, tę bogatą, złośliwą kanoniczkę. Jest ambitna... elegancka... ma pozycję i... i nie jest rozdęta. Muszę zachować jego miłość, siostrzyczko, w przeciwnym razie będę zgubiona.

– Marie-Angelique, on chyba nie mówi ci prawdy. Myślę, że nie chce uznać tego dziecka ani łożyć na jego utrzymanie. Ale ty... ty powinnaś je urodzić, jeśli tego pragniesz. – Marie-Angelique nisko pochyliła głowę i otarła łzy wierzchem dłoni; wzdłuż policzka pozostała jej smuga wilgotnego pudru zmieszanego z czernidłem.

– Groził mi – powiedziała cicho. – Mówił, że jeśli nie zależy mi na naszej miłości tak, abym chciała mu się podobać, on... Ach, woli mnie widzieć w klasztorze albo w Salpetriere... jak pospolitą prostytutkę! niż... niż żebym miała paradować po mieście z jego bękartem. On to może zrobić, siostrzyczko, ma tak wielką władzę. Ja... Nigdy już nie zobaczyłabym swojego dziecka... O Boże, co począć? Pomyśl, odsunięta kochanka zamknięta w klasztorze! Dożywotnia pokuta za grzechy! A moje dziecko?... Bez matki... Jaki los czekałby to maleństwo? Nie, ja tego nie przeżyję, przysięgam, nie przeżyję! Bóg chce, bym umarła za moje grzechy! – rozszlochała się w głos, zwieszając głowę na kolana.

– Nie płacz, siostrzyczko – błagałam, tuląc ją do siebie – nie płacz, wszystko się jakoś ułoży. Bóg na pewno chce, abyś żyła, miała swoje dzieciątko i była szczęśliwa. – Patrzyłam na długie pasmo jej włosów, które wymknąwszy się spod grzebyka lśniło teraz złotem na czarnym jedwabiu mojej sukni, i myślałam z goryczą, że i ona, chociaż tak piękna, stała się ofiarą naszej matki. Ta matka zdradziła ją tak samo bezwzględnie jak mnie. – Nie bój się, moja kochana – zaczęłam ją pocieszać. – Mam dom, mam odłożone pieniądze. Zawsze możesz zatrzymać się u mnie i urodzić dziecko w tajemnicy. De Vivonne nigdy się o tym nie dowie. Spróbuj go oszukać. Na razie udawaj, że wciąż jeszcze nie możesz się zdecydować, a zresztą jest zbyt wcześnie na spędzenie płodu. Potem, gdy czas nadejdzie, powiesz mu, że byłeś u akuszerki i że już po wszystkim... Ja zajmę się dzieckiem, a ty będziesz je odwiedzać, kiedy zechcesz. Przecież to prawie tak, jakbyś chowała je sama. A dla mnie... dla mnie będzie to wielka radość.

– O, Genevieve, gdybyż to było możliwe! Ale on nie zechce tak długo czekać. Jeśli mu zacznę odmawiać, stracę go. Tyle jest kobiet, które przyjmą go z otwartymi rękami... bogatych, pięknych, dobrze urodzonych... Ja znalazłam się w świecie, w którym jestem nikim. Jedyne, co mam, to uroda. Muszę, muszę, na nowo obudzić w nim miłość, póki jeszcze całkiem nie wygasła. Nie widzę innego wyjścia – spojrzała na mnie oczyma pełnymi rozpacz. Pod plamami jaskrawego różu i rozmazanego pudru twarz miała białą jak płótno, ściągniętą grymasem niepokoju. – Powiedz mi – szepnęła – czy tam... tam gdzie się obracasz, słyszałaś coś o Longuevalu?

– Hrabia de Longueval? – powtórzyłam, chcąc się upewnić, bo na chwilę zamarło mi serce. Zbyt dobrze znałam tego człowieka.

– Tak. Ja... podano mi to nazwisko. Podobno... można tę sprawę załatwić.

– Siostrzyczko, Longueval cieszy się bardzo złą sławą. To ignorant i chciwiec.

– Powiedział, że zapłaci...

– De Vivonne obiecał zapłacić za... za twoją wizytę?

– Tak – wyszeptała odwracając twarz. – Nie gardź mną za to, Genevieve. Ja już sama siebie nienawidzę. – Widziałam, że jest chora ze wstydu.

– Marie-Angelique, czy ty wiesz, co robi Longueval? Każe sługom wyrzucać ciała... skutki swoich błędów... każe je zostawiać w ciemnych uliczkach za Bicetre i Szpitalem Miłosierdzia.

– Nie zawstydzaj mnie jeszcze bardziej... Moje biedne dzieciątko...

– Czy myślisz – starałam się powiedzieć to najdelikatniej, jak mogłam – że mówię o dzieciach?

Nie, Marie-Angelique! To kobiety, które oddają się w jego ręce, najczęściej kończą w tych zaułkach.

– Ale jego książęca mość mówił... – urwała nagle, szeroko otwierając oczy. – Genevieve, masz na to dowody?

– Siostrze, żyję teraz w świecie tak innym od tego, który znasz, że nie mieści się on nawet w twojej imaginacji. Wiem o wielu sekretnych sprawach. Kobiety zawdzięczające swą wysoką pozycję możnym panom, niewierne żony, odwiedzają... czasami parę razy w roku... pewne miejsce, które... które znam bardzo dobrze. Tam ktoś zajmuje się nimi w taki sposób, że nie powoduje to nic złego. Wychodzą żywe i zdrowe, by po pewnym czasie zjawić się znowu... kiedy po raz kolejny przytrafi im się drobny niewieści kłopot. W dobrych rękach to nic wielkiego, coś jakby wyjęcie drzazgi. Wierz mi, znam je wszystkie: aktorki, wielkie damy, niewierne małżonki. Takie kobiety umieją się o siebie troszczyć. Marie-Angelique, pozwól mi to wziąć na siebie. Błagam, nie idź do Longuevala. Przysięgnij, że tam nie pójdziesz!

– Ja... nie wiem. Nie znam się na takich sprawach – bąknęła wymijająco. – Tak mnie wychowano.

– Posłuchaj – powiedziałam twardo. – Obiecuj, że nie pójdziesz do tego człowieka. Wszystko za ciebie załatwię. Ty jedna pozostałaś mi na całym świecie. Pomyśl, Marie-Angelique, ty możesz jeszcze mieć dziecko, ale ja nigdy już nie będę miała drugiej siostry. Kiedy książę zacznie cię przypierać do muru, powiedz mu stanowczo, że chcesz pójść do La Voisin.

– Do tej wróżki! – aż zachłysnęła się ze zdumienia. – Więc takie jest jej prawdziwe zajęcie!

– Jedno z wielu – przed oczyma stanęły mi róże kwitnące na ludzkich prochach – mimo to jej można ufać: jest bardzo szybka, pewna i dyskretna. – Marie-Angelique zaczęła nagle drzeć na całym ciele.

– Boję się Genevieve, tak strasznie się boję! Pójdę za to do piekła.

– Ha, to spotkasz tam doprawdy świetne towarzystwo! Mój Boże, wystarczyłaby sama księżna de Tingry, żeby madame miała co robić, i to jak rok długi.

– Jak rok długi? Ja nigdy bym... Och, to straszne! – wyszeptwała ze zgrozą Marie-Angelique.

– Chcesz utrzymać przy sobie de Vivonne'a? No więc taka jest tego cena. I pamiętaj, nie wolno ci płakać. Znudzi się tobą, jeśli będziesz smutna. Cokolwiek robisz, rób śmiało.

– Ależ tak, chcę go zatrzymać, nie mam jednak środków do życia. No i... i on mnie kocha. Tak

mówi. Mówi, że nasza miłość to skarb tak wielki, że nie ma nań ceny. Zrobię to, muszę, nie mam innego wyjścia.

Ogarnął mnie żal. Nie zostanę ciotką. Nie będzie kaftaników na drutach, srebrnej łyżki ani odwiedzin. Czułam wciąż jeszcze w sobie ciepło, ale było to już tylko ciepło popiołów, w które obróciły się moje nadzieje. A wszystko przez tego marnego rozpustnika, łajdaka bez czci i wiary.

Jacyż to kłamcy z tych mężczyzn! Vivonne stał się dla mnie kolejnym tego dowodem. Marie-Angelique przyrzekła mi po wielokroć, że zrobi, jak jej kazałam. Pod koniec otarła oczy i jakby nabrała otuchy, więc jej uwierzyłam. Chociaż nie był to mój dzień wizyt na rue Beauregard, udałam się tam natychmiast.

Otworzył mi Montvoisin, ubrany jak zwykle w wyplamiony szlafrok i zżarte przez mole wełniane pantofle.

– Wszystkie są na górze. Interes – oznajmił, nie wdając się w dalsze szczegóły. – A ja popijam jej beaujolais – zwierzył mi się konspiracyjnym tonem – bo zapomniała schować karafkę! Często tak bywa, kiedy załatwia klientkę. Masz ochotę napić się odrobinę?

– Teraz nie. Boli mnie dzisiaj żołądek, ale dziękuję panu – pospieszyłam dodać, widząc jego wyraźnie zawiedzioną minę.

– O, tu jesteś, Antoine! Znowu spijasz moje dobre winko, he? Niech ci będzie, nalej sobie jeszcze szklaneczkę i ubieraj się migiem. Mam dzisiaj coś dla Guibourga, musisz to zaraz zanieść. – Na schodach ukazała się Margot ze zgrabną paczką starannie owiązaną sznurkiem. Teraz już znałam zawartość takich paczuszek. To wyglądało na duże, pewnie już blisko terminu. Może nawet madame musiała je zanurzyć w wielkiej mosiężnej misie stojącej zawsze przy łóżku na wypadek, gdyby płód okazał się żywy. – Świetnie... – La Voisin urwała nagle, dostrzegłszy moją obecność. – O, nasza markiza! Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Wszak to nie dzień twoich rozliczeń.

– Przyszłam umówić się z tobą, madame... chodzi o... o drobny niewieści kłopot...

– Co takiego? Ty?! A któż to taki, na miłość boską? Więc jednak d'Urbec?

– Nie chodzi o mnie, lecz o moją siostrę.

– Oho, piękna Marie-Angelique Pasquier. Wysoko frunęła. Tylko że ten Vivonne słynie z niestałości uczuć. Zdziwiłabyś się słysząc, ile kobiet kupuje proszek miłosny, by podsypać mu go do jedzenia. Twoja siostra dobrze by zrobiła radząc się mnie także w innych sprawach. Kto

za to płaci? Vivonne?

– Ja. Vivonne wysyła ją do Longuevala.

– Skoro tak, to albo jest głupcem, albo chce się jej pozbyć. Każdy wie, że Longueval to nieuk i partacz.

– Tak właśnie jej powiedziałam. – Ustaliłyśmy cenę. Podczas negocjacji wykazałam kamienny spokój.

– Siądźmy na chwilę, markizo. Powiedz mi, który to miesiąc? – Usiadłyśmy na wielkich jednakowych fotelach krytych kosztownym brokatem. Kiedy La Voisin ułożyła stopy na podnóżku, jej kostki w czerwonych jedwabnych pończochach wydały mi się mocno obrzmiałe. Przedtem jakoś tego nie dostrzegłam.

– Doprawdy nic jeszcze nie widać.

– O, to szkoda. Gdyby było większe, mogłabym posłać je Guibourgowi, a tobie obniżyć cenę. Dobrze płaci, zwłaszcza że ostatnio brak jest tych większych.

– Płaci? Za co?

– Och, nie bądź taka drobiazgowa. Wszak gdy mu je posyłam, już nie żyją. Abbe chrzci je oczywiście, choć twierdzi, że to bez znaczenia, skoro są już martwe. A potem... no, potem je wykorzystuje...

– Tak, oczywiście. Głupio coś marnować, kiedy można mieć z tego pożytek – stwierdziłam z chłodną rezerwą. Jaki pożytek? Po co komu ochrzczone zwłoki noworodka? Tylko jedno przychodziło mi na myśl: czarna msza, główna specjalność Guibourga. La Voisin uważnie obserwowала moją minę; interesowało ją widać wrażenie, jakie wywarła na mnie ta informacja. Czarne oczy Królowej Wiedźmy pozostały nieprzeniknione, jej spokojna rzeczowość nasuwała jednak podejrzenie, że poddaje mnie jakiejś próbie. Odprowadziłyśmy wzrokiem starego Antoine'a, który owinięty wyrudziałym płaszczem poczłapał do drzwi, dzierżąc pod pachą paczkę. Odczekałam, aż je za sobą zamknie, i spojrzałam na mą patronkę, myśląc o Marie-Angélique. Niestety, w które popadła, jest prostym rezultatem zdrady świadomie popełnionej przez naszą matkę. To matka wbiła jej do głowy taki ideał życia, a potem wystawiła na sprzedaż zupełnie tak samo, jak wystawia się konia na aukcji. Teraz do rejestru matczynych zbrodni przyjdzie mi dopisać jeszcze i to: śmierć nie narodzonego dziecka Marie-Angélique. Wielka Wiedźma musiała zauważyć dziwny wyraz moich oczu, nadal jednak patrzyła na mnie z niezmaconym spokojem. Pomyślałam, że teraz gdy oddaję w jej ręce także i

swoją siostrę, pora wreszcie zadać to ostatnie pytanie... Wygłosiłam je równym tonem, dbając zarazem o należyłą precyzję każdego słowa:

– Madame, zechciej mi powiedzieć, czy sprzedałaś mojej matce truciznę, którą podała memu ojcu i w ten sposób doprowadziła go do śmierci?

– Ciekawa byłam, kiedy o to spytasz! Długo jakoś zwlekałaś.

– Dopiero teraz przyszło mi to do głowy – skłamałam.

– Jak na osobę, przed którą przyszłość nie ma tajemnic, wykazujesz dziwną zaiste ślepotę wobec przeszłości! Odpowiedź na twe pytanie brzmi: nie. Nie sprzedałam trucizny twojej matce. Uczyniła to La Bosse.

– A więc to prawda! Mój ojciec został zamordowany, a ty, madame, wiedziałaś o tym od samego początku. – Odchyliła się w fotelu i długą chwilę patrzyła na mnie bez słowa.

– Twoja matka – powiedziała wreszcie – należy do tego rodzaju kobiet, którym nigdy nie sprzedaję trucizn. Musisz wiedzieć, że w zadawaniu śmierci jestem artystką. Sprowadzam ją sposobami niemożliwymi do wykrycia. Nie uznaję czegoś takiego jak śmiejąca się śmierć, witriol czy wydestylowany jad ropuchy. Dla swoich metod potrzebuję zatem odpowiednich klientek. Koniecznie musi to być osoba nie tylko odważna, ale też cierpliwa i subtelna. Taka, która doznała w życiu wiele bólu i pragnie już tylko zemsty. Taka kobieta daje mi pewność, że moje instrukcje wypełni co do litery. Ty na przykład nadawałabyś się wprost idealnie – zawiesiła głos, że jednak milczałam, mówiła dalej: – Wiesz, kto mnie skłonił do podjęcia tej... hm... działalności? Rewolucjoniści, ludzie Frondy. Myślisz pewnie, że byli to mężczyźni knujący spiski polityczne? Nie, to ich żony. Dzielne kobiety, które w czasie gdy mężowie zajmowali się wojowaniem, wychowywały dzieci, z powodzeniem doglądały majątku, słowem, radziły sobie ze wszystkim. A potem wracali ci pyszni mężczyźni i zaczynała się zwykła udręka: odbierali klucze, zaciskali sakiewki, nierzadko tłukli gdzie popadnie, grożąc na dodatek zamknięciem w klasztorze. I tak powstawały rachunki krzywd, które mogła wyrównać jedynie trucizna. Tak jest i dzisiaj. Te moje... drobne usługi pozwalają kobietom bronić się przed niewolą, rozumiesz? Gdybym żyła w lepszych czasach, handlowałabym pudrem i pachnidłami... Dzisiejszy nasz świat, niestety, jest zbyt niegodziwy, by mógł obyć się bez czarownic. Dlatego jestem bogata.

– Moja matka...

– Twoja matka nie była odpowiednią klientką. Mściwa, wściekła jędza. Kobiety jej pokroju nie

potrafią dozować środka. Spieszy im się, więc podają od razu wszystko, z takim skutkiem, że sprawa wychodzi na jaw. A potem nie wytrzymują tortur i zdradzają źródło. Gdybym nie umiała tego przewidzieć, dawno by się już skończyły me ogrodowe przyjęcia, wiesz? Odesłałam ją do Notre Dame de Bonne Nouvelle. Gdy jednak nie usatysfakcjonowały jej msze do świętego Rabboniego, wróciła, i wtedy ostatecznie odprawiłam ją z kwitkiem. Pomijając wszelkie zastrzeżenia, po prostu jej nie lubiłam. – Słuchając tej opowieści, czułam przeraźliwe zimno wkradające mi się do serca.

– Jednak to zrobiła. I po co? Wszak nic jej z tego nie przyszło.

– Tak też jej powiedziałam: „Nie truje się idealnego męża i to tylko dlatego, że ktoś inny nęci cię obietnicą powtórnego małżeństwa. Powinnaś się przynajmniej upewnić, jak naprawdę wyglądają finanse twego obecnego małżonka i na co możesz liczyć po jego śmierci, zamiast wiercić mu dziurę w brzuchu o te rzekome bogactwa ukryte jakoby za granicą. Uważaj, żebyś nie została nie tylko bez pieniędzy, ale i bez kochanka! Znam tego kawalera de la Riviere: opuści cię w tej samej chwili, kiedy wyjdzie na jaw, że nie śmierdzisz groszem. " Cóż, kiedy twoja matka nie ma też za grosz logiki. Wybiegła ode mnie jak furia. Wiedziałam, co może zrobić, ostrzegłam więc przed nią La Bosse. La Bosse widzisz... chwilami się zapomina. Starzeje się, niestety. Wystarczy, że zobaczy złoto i traci rozsądek. A gdyby jej powinęła się noga, byłby to koniec nas wszystkich... – A więc to tak. La Bosse... niby wielka rywalka, ale przecież łączy je współpraca. Czy zatem można powiedzieć, że La Voisin nie przyłożyła ręki do śmierci mego ojca? Nie. Jej ręce wcale nie są czyste. To za jej pośrednictwem nienawiść mojej matki znalazła sobie ujście.

– Co La Bosse sprzedała matce?

– Chciała ją przechytryć, dlatego z początku dała jej jakąś słabo działającą mieszaninę, ha, ale twoja matka okazała się jeszcze sprytniejsza. Wypróbowała tę rzecz na pacjentach szpitala dla ubogich, a potem poleciała do La Bosse z wielką gębą, że została oszukana. „Widzisz – powiedziałam wtedy La Bosse – trzeba było mnie słuchać i nie wdawać się w żadne konszachty z tą kobietą." Teraz już nie mogła się wycofać, więc za mą poradą dała twojej matce mydło z arsenikiem. Wyprana nim bielizna wywołuje na ciele owrzodzenia, takie jak włoska choroba. Wzywasz wtedy lekarza, a ten kończy dzieło, puszczając choremu krew tyle razy, że go wykrwawia na śmierć. A ile przy tym gada i jak uczenie! Nikt słowa z tego nie zrozumie, bo wszystko po łacinie. Tak więc, ściśle mówiąc, ojca twego zabił lekarz, choć bieg całej sprawie nadała matka. Weź to sobie do serca i strzeż się lekarzy – parsknęła ostrym, nieprzyjemnym śmiechem.

Śmiech ten zgrzytał mi w głowie jak żwir w butelce. I słowa, słowa... wciąż huczały mi w uszach. „Mydło z arsenikiem”... „wykrwawić na śmierć”... „mściwa jędrza”... Spojrzałam na swoje ręce: były tak zaciśnięte, że aż zbieleły mi kostki.

– Powiedz mi jeszcze tylko jedno...

– Tak? – twarz jej przybrała wyraz prawdziwie macierzyńskiej troski.

– Czy sprzedasz mi truciznę, bym i ja mogła się zemścić?

– O, długo czekałam na tę chwilę! Nareszcie, moja droga, jesteś jedną z nas.

Podniosła się z fotela i skierowała do gabinetu; poszłam za nią. Teraz z jej twarzy bił dziwnie beznamiętny spokój.

– Wcześniej czy później twoja matka po ciebie przyśle, jakżeby inaczej! Zawsze przecież zasięga porad każdej modnej wróżki. Gdy to nastąpi, musisz być gotowa. Musisz stać się dla niej karzącym ramieniem sprawiedliwego Boga – mówiąc to zdjęła z półki jeden z oprawnych w zieloną skórę rejestrów opatrzonych złotymi literami. – Zobaczmy... – mruknęła, przebiegając palcem po rzędkach schludnego pisma. – Pasquier... O nie! Wszak to litera „R”! Do licha, nie dość że grubieję w talii, to już i wzrok mi szwankuje! Niedługo pewnie będę musiała sprawić sobie okulary. Cóż, przed latami człowiek nie ucieknie, choćby się nie wiem jak starał. – Odłożyła na miejsce rejestr z literą „R” i wyjęła właściwy.

Rozłożyła księgę na biurku i zaczęła powoli przerzucać strony, zatrzymując się chwilami nieco dłużej przy niektórych hasłach. Udało mi się kilka odczytać, mimo że odwrócone były do góry nogami. Pajot: chce zawrzeć pakt z diabłem. Madame Perdnere: zakup proszków służących złagodzeniu charakteru męża. Wicehrabina de Polignac: trucizny przeznaczone dla La Valliere'a, zaklęcia i uroki na utrzymanie przy sobie kochanka i odnalezienie ukrytych skarbów, maść na powiększenie piersi.

Madame de Poulailion: stała nabywczyni wolno działających śmiertcionośnych środków. Nazwiska, życzenia, nazwy, rodzaje i ceny zakupionych trucizn. Afrodyzjaki, proszki do kielicha z hostią, białe msze do świętego Rabboniego, mediatora skłóconych małżeństw, czarne msze z kielichem pełnym krwi noworodka... Znów ceny, nabyte ilości i cele poszczególnych zakupów. Najkoszmarniejsze sekrety chlubnego panowania największego z królów skrzętnie spisane w grubej zielonej księdze.

– Pasquier, tu jest. Często prosiła o coś na odmłodzenie skóry... ale nie, taki krem działa zbyt słabo. Sposobność będziesz miała tylko jedną, a to, co nastąpi, nie może w żaden sposób

wiązać się z twoją wizytą. Najlepszy byłby środek do stosowania w cotygodniowych dawkach... Powinien gromadzić się w ciele, skutki zaś winny wystąpić dopiero po pewnym czasie, w przeciwnym razie twoja matka mogłaby nabrać podejrzeń – Pani Wiedźma zamknęła księgę. – Elixir młodości... płynny ekstrakt na przywrócenie urody... Tak, tego nam trzeba.

Wstawiła rejestr na miejsce i zamknęła szafę. Rozległ się gwałtowny syk wilgotnego drzewa na kominku; spomiędzy postaci dwóch żelaznych kotów buchnęły płomienie. Śpiący przy ogniu szary kocur natychmiast otworzył ślepią, przeciągnął się leniwie i ziewnął. La Voisin po krótkim przeglądzie wielkiego pęku kluczy odnalazła właściwy, po czym rozwarła na oścież drugą parę drzwi złoconej szafy. Zobaczyłam rzędy starannie oznaczonych butelek i buteleczek, wśród których rzuciły mi się w oczy zielone flakoniki z laboratorium dwóch mych znajomych aptekarek. Tych było najwięcej, wodząc jednak wzrokiem po półkach, odkryłam również inne rzeczy. Pudełeczka pełne obciętych włosów i paznokci. Słoiczki z jakąś nieznaną oleistą substancją. Czarne świece. Kilka woskowych figurek. Wielkie słoje, a w nich ręce chwały oraz inne, trudne do rozpoznania części ludzkiego ciała, czarne i pomarszczone jak wyschnięte grzyby. Suszone ropuchy i kogucie jądra... Uf. W zapadłej nagle ciszy usłyszałam bicie własnego serca.

– Śmiejąca się śmierć, to jad... – mruzczała La Voisin, przesuwając buteleczki – nie. Nazbyt znane objawy... destylowane ropuchy tak samo... Cykuta, jad żmii... – dokonawszy na koniec wyboru, wyjęła dwa flakoniki. – Myślę, że dla naszych celów najlepszy będzie jednak biały arszenik. Przyprawimy go olejkiem z róży, rozumiesz, to jakby szczypta poezji... – oznajmiła z zadowoleniem, biorąc do ręki pusty zielony flakon. Napełniwszy go zawartością dwóch pierwszych butelek, starannie dopasowała korek, ten zaś opieczętowała rozgrzanym woskiem ze świcy. – A teraz jeszcze odrobina luksusu – z chytrym uśmiechem omotała woskową pieczęć złotą nitką. – Ha, wygląda bardzo elegancko – orzekła, wkładając mi w dłoń swoje dzieło. Nie mogłam powstrzymać drżenia. – I pamiętaj: wymierzasz jedynie sprawiedliwość. W inny sposób jej nie uzyskasz. Będę czekać na wiadomość, że sprawa skończona.

Wychodząc od niej czułam słabość w całym ciele. Tak, dowiedziałam się wreszcie, kim naprawdę jest La Voisin. O, to nie amatorka ukrywająca w szafce słoiczek „trucizny na szczury”, to zawodowa trucicielka, kto wie, czy nie najlepsza w całej Europie. Wsiadłam do powozu z uczuciem beznadziejnego zamętu. Patrz, Genevieve Pasquier, do czego przywiodła cię żądza zemsty, huczał mi w głowie jakiś głos. Z osoby pokrzywdzonej przeistoczyłaś się w demona, runęłaś prosto w otchłań zła. Opadłam na siedzenie, ściskając w ręku flakonik z przyczajoną śmiercią. „To tylko sprawiedliwość”, powiedziała Królowa Ciemności. Tak. To

jest sprawiedliwość. „Za ciebie, ojczyźnie”, wyszeptalam bezgłośnie. Zrobię to. Woźnica trzasnął z bata, powóz ruszył. Za oknem przesuwały się senne ulice, powoli tracąc kontury w mglistym jesiennym zmierzchu. Tej nocy nawet kordiał bardzo długo nie mógł mnie uspić. Brałam jedną dozę po drugiej i gdy wreszcie zapadłam w sen, przyniósł mi tylko koszmary pełne spotworniałych twarzy i kształtów. A nad tym wszystkim grzmiał ironiczny śmiech Królowej Wiedźmy: „Nareszcie jesteś jedną z nas!”

Obudziłam się ciężko chora; następnego ranka też nie było mi lepiej. Godziny płynęły jak woda, nie sposób ich było odróżnić, bo niosły mi wciąż tylko jednakowy zamęt. Że jednak nawet najgorsze rzeczy z czasem powszednieją, w końcu i ja poczułam się na tyle normalnie, że ukryty w szufladzie toaletki zielony flakonik stał się czymś zwyczajnym, takim jak pudełeczko muszek bądź naparstek. Po tygodniu żywienia się samym opium (pozostało mi po tym puste spojrzenie głęboko zapadniętych oczu) trzeba było powrócić do rzeczywistości. Diuszesa de Bouillon urządzała wieczór towarzyski, którego główną atrakcją stanowić miała madame de Morville oraz jakiś astrolog. Pośród szumu salonowych rozmów, wymiany najświeższych plotek i dyskusji o okultyzmie, pracowałam bez chwili przerwy, przepowiadając przyszłość nie kończącej się kolejce chętnych. W pewnym momencie zaproszony astrolog przyprowadził do stolika księcia de Vivonne.

– Co też kryje przyszłość tak wielkiego galanta? – zapytał z wyraźnie złośliwym uśmiechem. I oto gdy cień de Vivonne'a padł na moje naczynie, woda przybrała kolor krwi.

– Wasza książęca mość mieć będzie wkrótce nową kochankę – powiedziałam cicho. Na szczęście poczytano mi to za dowcip; liczne podboje tego arcyrozpuśnika znane były dobrze w całym Paryżu. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale ja, ja już wiedziałam: Marie-Angelique mimo wszelkich danych mi obietnic poszła do Longuevala. Pozostawało mi już tylko ją odnaleźć, ale gdzie, gdzie ją zostawili?

Wracając do domu mimo woli penetrowałam wzrokiem mijane po drodze zaułki. O zwodnicza nadziejo, nie na darmo zwą cię matką głupich! W labiryncie ciemnych uliczek zalegających przestrzeń między głównymi arteriami Paryża nie zmieściłby się żaden powóz, piesza zaś wędrownica nocą groziła utratą zdrowia i życia. Zgłupiałaś ze szczętem, Genevieve, nie ma mowy o nocnych poszukiwaniach, przywołałam się do porządku. Postanowiłam nazajutrz skoro świt rozpocząć wędrowkę po szpitalach.

Następnego dnia jednak, zanim jeszcze zdążyłam wstać z łóżka, Sylvie wprowadziła do sypialni pokojówkę Marie-Angelique. Dziewczyna miała oczy zapuchnięte od płaczu, w rękę

zaś niosła klatkę.

– Ty wiesz, gdzie ona jest! – wykrzyknęłam wyskakując z łóżka.

– Sylvie, prędko! Moje ubranie! Jedziemy po nią!

– Kazała oddać ci tego ptaszka, jeśli nie wróci – powiedziała dziewczyna zdławionym głosem.

– Czekaliśmy na nią wczoraj do wieczora, jak było umówione, ale nie wróciła...

– Gdzie, gdzie ona jest, mów! – wciąż gwałtownie wyrzucałam i siebie słowa, Sylvie tymczasem znieruchomiła przy otwartej szafie.

– Nie mam pojęcia. Skąd to można wiedzieć? One tak zawsze... Nie mówią, gdzie idą, a potem... wracają albo nie wracają – drobna pokojówka otarła oczy wierzchem dłoni.

– One... ? O kim ty mówisz? – zapytałam powoli ze ściśniętym gardłem. Zaczynałam rozumieć.

– Cóż, madame, nie ona pierwsza... Ale ją lubiłam, naprawdę, bardzo ją lubiłam. Mademoiselle Pasquier nie pasowała do takiego życia, dobrze to widziałam. Była miłsza od tamtych, życzliwsza, lepsza, ale co ja mogłam? Poszła do księcia, drżąc cała, biedactwo. Powiedziała mu, że sama znalazła kobietę, która to robi, a on... On siedział za tym swoim wielkim biurkiem i nawet nie oderwał oczu od papierów. Słyszałam, jak powiedział takim grzecznym a zimnym tonem: „Mam nadzieję, że to nie La Voisin. Nie pozwolę wystawiać się na szantaż.” „Mój Boże – powiedziała ona – wszak ja ciebie kocham. Czyż taka rzecz mogłaby mi przyjść do głowy? Nigdy i za nic tak bym się nie zhańbiła.” „Oho, nie ma tak haniebnego postępuku, do którego kobieta nie byłaby zdolna – on na to. – Wiem to z własnego doświadczenia. A ty możesz powiedzieć z czystym sumieniem, żeś niczym się nie zhańbiła? Śmiem twierdzić, że uczyniłaś to już ze dwa razy.” Widziałam, jak zeszytniała, jak zacisnęła ręce. „No, no – on znowu – nie ma powodu rozpaczać. Gdybyś mnie prawdziwie kochała, nie podawałabyś w wątpliwość słuszności mego wyboru w wiadomej sprawie.” Pochyliła głowę i poszła... jak to jagniątko do rzeźni. „Bóg chce mnie pokarać śmiercią za moje grzechy – szepnęła, gdy odprowadzałam ją do powozu. – Oddaj ptaszka mojej siostrze. Obie nas przeżyje.”

– Madame, ona wiedziała. Skąd? Bóg raczy wiedzieć. Może miała takie przeczucie...

– Zaraz idę jej szukać. Najpierw w Chatelet, a potem w szpitalach. Czy zechciałabyś mi towarzyszyć? – zapytałam.

– Nie mam odwagi, madame. Nie mogę być tak długo poza domem. Mogłabym potem też zniknąć bez śladu. Księżę powie, że pojechałam do rodziny na wieś, i tyle. – Ma rację, pomyślałam. Przypomniała mi się głowa pod podłogą.

– Wybacz mi – powiedziałam cicho. Wydawała się tak wstrząśnięta mymi przeprosinami, że postawiła klatkę na podłodze i uciekła. – Sylvie – zapytałam, słysząc trzaśnięcie drzwiami – a ty, czy możesz pójść ze mną?

– Madame, chyba już zupełnie opuściła cię twoja sławetna logika. Komu policja przypisze spędzenie płodu, gdy zaczniesz dopytywać się o tę kobietę? Uznają nas za współniczki, a przez nas dojdą do La Voisin. Mnie nauczono zaklęcia, które chroni przed gadaniem na mękach, ale ty? Jak zniesiesz torturę wody albo buta? Nie wytrzymasz, powiesz wszystko, co ci każą. No i wszystkie zginiemy przez twą głupotę. Przestań rozczulać się nad przyjaciółką, która i tak jest zgubiona. Trudno. Ja tam nie mam ochoty kłaść głowy pod topór dlatego, że ktoś komuś spartaczył skrobankę. Nikogo nie znam, nic mnie to nie obchodzi – zakończyła twardo Sylvie. Miała przy tym minę... tak, minę wiejskiej gospodyni, która postanowiła ukręcić głowę podstarzałej kurze, doszedłszy do wniosku, że nie będzie już niosła jajek.

– Sylvie, ta kobieta to... moja siostra.

– Siostra? Toż ona nie ma więcej niż dwadzieścia lat! Nie powiesz mi chyba, że i twoja matka smarowała się owym cudownym mazidłem? A może nazywając ją „siostrą” mówisz tak ogólnie? – Osunęłam się na brzeg łóżka i ukryłam twarz w dłoniach.

– Nie, Sylvie. Ona jest moją rodzoną siostrą. Starszą. Nie mów madame, że ci powiedziałam... Nigdy by mi tego nie darowała... Pomóż mi, błagam! Marie-Angelique znaczy dla mnie więcej niż tysiąc matek! – W ciszy, co zapadła po tych słowach, długą chwilę słyszałam tylko, jak Sylvie nerwowo stuka czubkiem pantofla o podłogę.

– Do licha, panienko, aleś mnie oszukała! Sto pięćdziesiąt lat, dobre sobie! Chodziło mi po głowie, że kłamiesz, ale żeby aż tak! Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt to może ma, myślałam, bo to i ten ostry język, i te staroświeckie maniery... Pewnie to prawda, co mówi o tej maści na zmarszczki. Myślałam, że kiedyś może i mnie warto będzie tego popробować, skoro u ciebie działa takie cuda... No i masz ci los! Teraz pewno jeszcze mi powiesz, że i ów dar proroctwa to kłamstwo.

– Nie, Sylvie – wyjąkałam słabym głosem – ja naprawdę widzę przyszłość. Okłamałam cię jedynie co do wieku. Nie jestem stara, może tylko serce postarzało mi się przed czasem. – Czułam, że bacznie mi się przygląda; uniósłszy głowę, zobaczyłam jej twarz tuż nad sobą.

– Madame, posłuchaj mojej rady. Markizę de Morville trzeba dzisiaj zostawić w domu. Nie ma w Paryżu człowieka, który by jej nie rozpoznał. Skrócimy moją niedzielną suknię i będziesz udawać służącą. Nie, nie pokojówkę twojej siostry. Każda jej sługa zostanie od razu wzięta na

spytki jako współniczka. O tobie muszą myśleć, że nic nie wiesz. Tak dobrze odgrywasz starą damę, że i do tego przebrania potrafisz coś wymyślić.

Tak więc jeszcze tego samego dnia przed więzieniem Chatelet zatrzymała się rozklekotana dorożka, z której wysiadła kulawa sługa rodu Matignon. Jeden z policjantów sprowadził ją do ciemnych, zionących wilgocią lochów, gdzie przez trzy dni z rzędu wystawiano na widok publiczny każde bezimienne zwłoki znalezione na ulicach Paryża. Potworny smród omal mnie nie powalił, jakoś się jednak przemogłam, by ruszyć naprzód ku kamiennym marom. Leżące na nich ciała znajdowały się często już prawie w stanie kompletnego rozkładu, toteż wieszano nad nimi ubrania, by ułatwić identyfikację.

– A ta służąca była dobrze ubrana w dniu ucieczki?

– A jakże! Ukradła, ladaco, rzeczy mojej pani! Ale ta moja pani to święta niewiasta. Wygarbuje skórę, a potem wybaczy. Po chrześcijańsku.

– Ja tam bym nie był taki łaskaw. Jakie miała włosy? Jasne?

– Jasne, ale nie takie jak te... te są farbowane.

– W takim razie nie ma jej tutaj. Pewnie już zdążyła zbiec z miasta z jakim kochankiem. Twoja pani będzie chyba musiała znaleźć sobie inną pokojówkę.

Zanim dorożka dowiozła mnie przed główną bramę Hotel Dieu, mój krzyż pozbawiony nagle stalowych podpórek gorsetu zaczął mi doskwierać w najokropniejszy sposób. Każdy koślawy krok stawał się prawdziwą torturą. Pomyślałam na pociechę, że to jednak pewien postęp: nie mogłabym już wrócić do dawnego krabiego chodu, nie okupując tego nieznośną doprawdy męką. Jakiś żebrak uczynił na mój widok znak odwracający złe oczy. Dawniej nigdy się to nie zdarzało. No tak, odrzuciłam postawę, jak również strój i laskę madame de Morville, a zachowałam jej władcze spojrzenie! Co prędzej pochyliłam głowę, przybierając minę pokornej sługi.

Nie spodziewałam się znaleźć Marie-Angelique tak szybko... Stojąca przy wejściu na oddział kobiecy nowicjuszka od razu wskazała starą, mroczną salę z rzędami osłoniętych kotarami łóżek.

– Jest tam! – warknęła. – Czwarte łóżko z prawej. Idź, choć trudno doprawdy pojąć, po co ona rodzinie. Każda taka niechby lepiej szeszła. Ta twoja ma szczęście, że umiera! One zresztą często same chcą umrzeć, by ująć karze za dzieciobójstwo. O, ale kary boskiej nie unikną, tego możesz być pewna! – A ja wolę całe życie przestawać z czarownicami niż z tobą przez jeden

dzień, pomyślałam.

Marie-Angelique dzieliła łóżko z czterema kobietami; jedna już chyba nie żyła, druga majaczyła w gorączce wywołanej ciężkim porodem. Przy łóżku stał mężczyzna z notesem w ręku. Po błękitnym uniformie i białym kapeluszu z piórami nietrudno było rozpoznać, że to policjant.

– Ani kroku dalej! – z alkowy wysunął się krzepki, nie ogolony sierżant. – Nie widzisz, że ją przesłuchują? Będziesz musiała zaczekać. Ktoś ty? Jej pokojówka?

– Nie, panie. – Miała rację Sylvie, trzeba jak najszybciej zażegnać niebezpieczeństwo. – Przysłała mnie rodzina. Zbłądziła ta panna przez swój grzech, lecz kiedy znikła, jej brat wszystkich nas rozesłał na poszukiwania. Chce wybaczyć jej winy. Dobry z niego chrześcijanin, co prawda, to prawda.

– Brat? A któż to taki?

– Ano Etienne Pasquier, adwokat z rue de Marmousets, panie. – O, to mi się udało! Mój szacowny braciszek wplątany w taki skandal! Ależ się będzie nadymał, kiedy w domu zjawi się policja! Już widzę te wyniosłe miny, kiedy zaczną go pytać, czy to on sprokurował poronienie!

Sierżant tymczasem odwrócił się w stronę łóżka, pewnie chcąc się przekonać, jak postępuje indagacja. Marie-Angelique zdawała się nic nie słyszeć. Dopiero gdy policjant potrząsnął ją za ramię, gwałtownie otworzyła oczy. Z widocznym przerażeniem potoczyła dookoła wzrokiem, lecz i wtedy nie wydała głosu. Broni honoru tego łajdaka Vivonne'a. O siostró, on niewart był twej miłości. Powiedz im, powiedz im wszystko!

– Człek wie, że źle robią, a przecież im współczuje – mruknął sierżant. – Biedne dziewczyny. A ta jeszcze śliczna jak obrazek. I co? Nie dożyje wieczora. Ty, dziewczyno, nie myśl, żeśmy bez serca, bo nie pozwalamy jej spokojnie umrzeć. To dla nas jedyna sposobność, by dowiedzieć się, kto to zrobił. Wieszamy takie świnię.

– Niech wam Bóg dopomoże. – Policjant przy łóżku westchnął z irytacją, wyprostował się... i spojrzał prosto na mnie. Na mój widok nie zmienił wyrazu twarzy, ale ja zdrętwiałam. Boże, to Desgrez! Nie wolno mi było uciekać ani w żaden inny sposób okazywać strachu. Przez chwilę stałam jak ptaszek sparaliżowany straszliwym spojrzeniem węża. Odwagi, powiedziałam sobie. Starając się przybrać jak najgłupszą minę, pokuśtykałam w stronę łóżka, przesadnie kolebiąc całym ciałem.

– Czyśmy się już gdzieś nie spotkali? – spytał sympatycznym tonem.

– To służąca przysłana przez rodzinę, choć trudno pojąć, po co się troszczą o taką... – zajazgotała nowicjuszka, która znów pojawiła się w sali, niosąc dzban wody i kilka ręczników.

– Zdolność do wybaczenia to chwalebna cnota chrześcijańska – zauważył Desgrez, wciąż nie odrywając ode mnie oczu. Czułam, jak to jego spojrzenie przewierca mnie na wylot.

– Pozwólcie mi, panie, podejść ździebko bliżej. Wciąż nie mam pewności, zali to nasza panna – przemówiłam prostą gwarą paryskiej ulicy.

– Ależ my się znamy! Terminujesz u bieliźniarki!

– Teraz dostałam lepsze miejsce. Dużo dobrego jadła, a mniej roboty. – Do licha, cóż za piekielną pamięć ma ten człowiek! Wszak to chodząca kartoteka.

– W rezydencji... ?

– Pasquierów – pospieszył uzupełnić sierżant. Desgrez wysoko uniósł brwi.

– Hm, bardzo interesujące. Wyjaśnia to sprawę koronkowej bielizny. Z drugiej strony... dziwne, żeśmy ją w ogóle znaleźli. Powiedz mi, panienczko...

– Na imię mi Annette, proszę pana.

– Powiedz mi, Annette, czy to możliwe, aby ta tutaj kobieta była ową słynną La Pasquier?

– Ja tam nic o tym nie wiem. Tylko że to siostra mego pana.

– A zechciej mi powiedzieć, jakim sposobem znalazłaś się w domu Pasquierów? – Oj, nie podobał mi się jego ton. Sprawa zaczynała przybierać zły obrót.

– Mój narzeczony... no, znał on tam kogoś i tak załatwił mi miejsce – porozumiewawczo zmrużyłam oko. Desgrez zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Wyraźnie nie przypadły mu do gustu krzykliwe ozdoby mojej dosyć tandetnej sukni, przez twarz przemknął mu bowiem wyraz niesmaku. Wybredniś. Pospólstwo nie powinno widać jego zdaniem zdobywać pozycji przez łóżko. Ciekawe, czy i wobec bogaczy jesteś tak surowy, pomyślałam zjadliwie. Kto wie, czy widząc w powozie piękną La Pasquier, nie biłeś przed nią pokłonów. Nie mówiąc już o madame de Montespan.

Desgrez odciągawszy na bok sierżanta zaczął mówić coś zniżonym głosem, udało mi się jednak złowić kilka słów:

– ... ani pary z gęby o dzisiejszym... wygląda to na grubą sprawę... lepiej nie wścibiać nosa... niebezpiecznie... muszę zawiadomić komendanta...

Widząc, że chwilowo nie zwraca na mnie uwagi, podsunęłam się chyłkiem do łóżka.

– Powiedziała coś, kapitanie? – dobiegł szept sierżanta. Uklęłam przy Marie-Angelique i dotknęłam jej czoła. Było gorące jak ogień.

– ... od początku wciąż tylko majaczy... jakieś słowa bez związku... tak mówi ten ksiądz, co mnie wezwał... wyznała tylko, że spędziła płód... nie wydobył z niej nazwiska... teraz gdy wiem, kim ona jest, mam jednak pewne podejrzenia...

– To ja, Marie-Angelique, słyszysz mnie? Jestem przy tobie. Błagam cię, siostrzyczko, nie umieraj! Musisz wyzdrowieć! Co ja bez ciebie pocznę?

– Hej, ty! – usłyszałam nad sobą głos Desgreza. A jeśli stał tu już chwilę? Jeśli słyszał, że inaczej mówię? – Może kobieta coś z niej wyciągnie – powiedział tonem zachęty. – Spytaj, kto ją tak urządził.

Objąwszy trawione gorączką ciało mej nieszczęsnej siostry, wyszeptałam jedyne słowa, które mogły jej przynieść ulgę:

– Marie-Angelique, Bóg na pewno wszystko ci wybaczy. – Słyszając to uniosła powieki. – Żyj, błagam cię, moja najdroższa! Żyj dla mnie i dla tych, którzy cię kochają. – Przez moment zdawało mi się, że przemówi. Przysunęłam ucho do jej warg, nic jednak nie usłyszałam.

– I co? – szorstko zapytał Desgrez.

– O, panie, powiedziała jakieś nazwisko! Coś jakby „Longueval”.

– Hrabia de Longueval, no proszę! Stary rajfur. A już myślałam, że po ostatnim przesłuchaniu dał temu spokój i zajął się wyłącznie alchemią. Lebrun, trzeba zaraz złożyć wizytę panu hrabiemu. Idziemy. – Zanim odszedł, zdążyłam jeszcze usłyszeć jego rozkaz: – Sierżancie, idźcie za tą dziewczyną. Chcę wiedzieć o niej wszystko: dokąd chodzi i z kim się spotyka. – Serce we mnie zamarło; prawie tak jak serce Marie-Angelique.

– Nie masz tu co dłużej siedzieć, nie żyje – wyrwał mnie z odrętwienia czyjś głos. Zobaczyłam nad sobą starą posługaczkę.

– Słuchaj – syknęła poufnym szeptem, odsłaniając zepsute zęby – znasz tę rodzinę. Chcą zaoszczędzić sobie hańby wystawienia jej szczątków na widok publiczny, to niech zabiorą ciało... Mogę się postarać, żeby znikło... nie za darmo, ma się rozumieć.

– Tak, tak, pewnie, że chcą! Naprawdę możesz to zrobić?

– No, rzecz nie jest łatwa... zwłoki przestępczyni to łakomy kąsek... wielu chciałoby je dostać...

na przykład chirurdu...

– Na miłość boską, ile?

– Dwadzieścia skudów i ani sou nie ustąpię – chytrze oświadczyła stara.

– Dostaniesz, ile chcesz, tylko przysięgnij, że będziesz jej dobrze strzegła aż do przyjazdu rodziny.

– Toć dla mnie to nie pierwszyna, ma się swoje sposoby. Ino niech nie marudzą. Najdalej jutro do wieczora. Powiedz, że mają pytać o Marię. Pamiętaj: stara Maria z Sali Różańcowej.

Kiedy po wyjściu ze szpitala skierowałam się w rue du Marché Palu, usłyszałam za sobą czyjeś kroki. Przerazona rzuciłam się do ucieczki w stronę placu Notre-Dame; odgłos kroków utonął w ulicznym zgiełku, jednak dziwne mrowienie pod włosami mówiło mi nadal, że ktoś za mną idzie. Nie było się co ludzić; nie stracili mnie z oczu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Wiedziałam, że biec mi nie wolno, próbowałam więc udawać spokój. Z pozorną pewnością siebie minęłam rozwrzeszczanych tragarzy krzesel stłoczonych na placu przed katedrą i tak dotarłam do postoju fiaków. Tu bardzo donośnie oznajmiłam właścicielowi najtężej wyglądającego konia, że mamy przed sobą kawał drogi – jedziemy na przedmieście Saint-Honore. Mój głos niósł się daleko, ale ja prawie go nie słyszałam – tak łomotało mi serce. Miałam nadzieję, że zwiódłam tym sposobem policjanta, który usłyszawszy, dokąd jadę, zawróci złożyć meldunek. Niestety, już siedząc w powoziku, przekonałam się, że jestem w błędzie: poznany w szpitalu sierżant stawiał właśnie nogę w czerwonej pończosze na stopniach drugiego fiakra. Mój woźnica dość szybko dojechał do Pont Notre-Dame, tu jednak utknął w tłumie krzesel i pieszych szczelnie wypełniających wąską przestrzeń między dwoma rzędami eleganckich sklepów pobudowanych wzdłuż obu barier mostu. Zerknęłam za siebie, by stwierdzić z ulgą, że to samo spotkało mego prześladowcę: unieruchomił go wylewający się właśnie z galerii malarstwa zbity tłum wytwornych strojnisiów.

– Woźnico, zmieniłam zamiar. Zawieź mnie do pałacu Bouillon, a zapłacę ci tyle samo. A jak się pospieszysz, podwoję stawkę. – W odpowiedzi rozległo się dwukrotne trzaśnięcie z bicia i nasz podjezdek prawie z miejsca ruszył szybkim klusem, roztrzając grupę czeladników, którzy w nagłym popłochu jęli pierzchać na wszystkie strony. Znowu zerknęłam do tyłu. Ścigający nas fiakier wciąż tkwił tam, gdzie ugrzązł, a rozwścieczony sierżant wygrażał pięścią woźnicy. Doskonale, za chwilę stracił mnie z oczu. Naprawdę jednak odetchnęłam dopiero przed tylnym wejściem do pałacu Bouillon, gdy udało mi się wmieszać w tłum przekupek zaopatrujących w żywność kuchnię tej olbrzymiej rezydencji. Zręcznie kryjąc się za ich plecami, zdołałam niepostrzeżenie wśliznąć się do środka, skąd już sama, klucząc jak zajac, dotarłam do apartamentów jedyne go człowieka, który mógł mi udzielić pomocy.

Lamotte w czerwonym jedwabnym szlafroku i perskiej czapeczce udzielał właśnie ważnych instrukcji pomocnikowi kucharza.

– Uważaj, co do ciebie mówię. Po mięczakach monsieur L'Eveque dostaje wysypki, jednak zdaniem madame charakter przyjęcia wymaga wyłącznie bardzo lekkich, możliwie najlżejszych potraw. Nie wolno obciążać żołądków publiczności, robi się od tego senna, nieprawdaż? – zatrzepotał palcami w powietrzu, niejako unaoczniając tym gestem żadaną lekkość przysmaków. Trudno było oprzeć się refleksji nad losami wybrańców Fortuny. Oto Andre Lamotte z protegowanego poety awansował do rangi projektodawcy pałacowych przyjęć i nie

tylko. Stał się zaufanym człowiekiem do wszystkiego. Co to znaczy mieć dobry profil! W pewnych kręgach można zejść z tym bardzo daleko.

– Monsieur de la Motte, jakaś służąca chce się z panem widzieć. Powiada, że ma wiadomość od mademoiselle Pasquier. – Anonsujący mnie lokaj zdawał się nie żywić przesadnego respektu dla osoby świetnego kawalera. Lamotte, zerknąwszy w jego stronę, zobaczył mnie stojącą w uchylonych drzwiach salonu. Drugie ich skrzydło pozostało zamknięte.

– Oho, znam ja tę dziewczynę. Proszę cię, Pierre, abyś nie snuł niewczesnych domysłów na temat mademoiselle Pasquier, które całkiem niepotrzebnie mogłyby zdenerwować moje uwielbiane bóstwo. La Pasquier to jedna z wielu tych głupiotkich kobiet darzących mnie beznadziejną zgoła miłością, ja bowiem nie dbam o ich względy, przekładając nad nie jaśniejszy, szlachetniejszy, wyższy płomień uczuć. Jeśli więc o czymkolwiek chciałabyś powiadomić madame, postaraj się, by doszło do jej uszu, iż ona jedna niepodzielnie włada moim sercem, ona też tylko jest mą gwiazdą przewodnią i mużką. – Słowa swe podkreślił odpowiednim gestem, uderzając dłonią w haftowany jedwab dokładnie w miejscu nad sercem. Zauważyłam, że systematycznie przybiera na wadze. W ciągu ostatnich kilku miesięcy potrafił stać się jeszcze gładszy, a jego wąsy – rzecz niepojęta, jak tego dokonał! – chyba jeszcze wspanialsze. Ach, chcąc nie chcąc, musiałam podziwiać tę jego niebywałą zwinność, która pozwalała mu z istic kocią gracją przeskakiwać z buduaru do buduaru, zawsze o ten kroczek wyżej. Obecnie, po osiągnięciu pozycji stałego rezydenta pałacu Bouillon, wspiał się już na niebotyczne zaiste wyżyny. Jeśli coś ucierpiało podczas tej wspinaczki, to chyba nazwisko, które zyskawszy jedną sylabę, rozpadło się przecież na dwie części, a już na pewno jego fraza tragiczna, która zupełnie zamilkła. Od czasu triumfu „Osmina” nie napisał nic znaczącego dla paryskiej sceny teatralnej. Ale czyż nie rekompensowała tego niezwykła popularność, którą zdobyły mu jego zabawne epigramy i wdzięczne libretta do baletów? Odprawił teraz zarówno kucharza, jak i lokaja, najwidoczniej nie tracąc z pola widzenia faktu, iż ten ostatni ukrył się za drzwiami z niedwuznacznym zamiarem poznania prawdziwego charakteru mojej misji.

– Cóż to za wiadomość? – spytał niedbałym tonem i tak żałośnie, że nie mogło to umknąć uchu Pierre'a.

– Monsieur de la Motte, mademoiselle Pasquier padła ofiarą tragicznego wypadku. Leży teraz martwa w Hotel Dieu. Zaklinam pana na wszystko, co niegdyś było ci drogie, abyś pojechał tam ze mną! Pomóż mi zabrać jej zwłoki. – Zza drzwi dobiegł nas szelest: widać lokaj postanowił się oddalić, uznawszy słusznie, iż martwa piękność nie stanowi już żadnej konkurencji dla najbardziej nawet zaborczej kochanki. Lamotte utracił nagle całą swą udaną

beztroskę.

– Co... Co się stało? – wykrztusił ze szczerym strapieniem.

– To nie był wypadek – zaczęłam mówić teraz szybko i cicho. Kto wie, jak długo będziemy sami? – Ona... to było poronienie, które... które źle poszło. Czy możesz jej to wybaczyć? Ona sama, biedactwo, powiedziała, że Bóg żąda jej śmierci... – przerwałam ocierając oczy. Lamotte wydobyl wielką chustkę i głośno wysiakał nos. – Jesteś potrzebny, panie Lamotte, mnie i jej... Oddaj Marie-Angelique tę ostatnią przysługę! Obiecałam posługaczce szpitalnej pieniądze za wydanie ciała. Mężczyzny nie będą o nic pytać, jeśli poda się za członka rodziny, podczas gdy ja... mnie mogą posądzić o współnictwo z człowiekiem, który ją zabił. – W oczach Lamotte'a odbiło się zakłopotanie. Transport zwłok przestępczyni... Cóż to za rola dla rosnącego w sławę faworyta wyroczni w dziedzinie dobrego smaku, fcreatorki mód literackich i błyskotliwych karier!

– A jej rodzina? – zapytał. – Czy ta wasza rodzina tak dalece pozbawiona jest ludzkich uczuć, że nie chce jej nawet pochować?

– Mój brat już kilka lat temu ogłosił Marie-Angelique za zmarłą. O nie, on nie będzie próbował zabrać zwłok. To skąpiec. Żal by mu było pieniędzy na przyzwoity pogrzeb, gdyby nawet okoliczności jej śmierci nie poczytywał sobie za najgorszą hańbę. Rozumiesz, Etienne nade wszystko dba o własną szacowność. Ale ja mam pieniądze, wiesz przecież, i zadbam o pamięć mojej siostry... Postawię jej nagrobek, tylko musisz mi w tym pomóc. Pomyśl, kim była dla ciebie kiedyś...

Twarz Lamotte'a skurczyła się nagiej pojawiły się na niej zmarszczki. Wyglądał teraz jak stary człowiek.

– Moja młodość minęła, Genevieve. Ten, którym byłem niegdyś, umarł wraz z Marie-Angelique. Umarły, rozwiały się, zgasły marzenia o nieśmiertelnej sławie, o mym aniele w oknie... Czy ty to rozumiesz? Wiesz, kim dziś jestem? Pisuję wiersze do baletów!

– I jak gromkie zbierasz oklaski! Byłam w Saint-Germain na „Księżniczce z zakłętego zamku”.

– Ale moja tragedia, moja „Safo”... nigdy jej nie dokończę. Źródło mego natchnienia wyschło. A teraz jeszcze ta śmierć... jakże trywialna, jak pospolita... – gwałtownie przeciągnął dłonią po oczach i znowu wysiakał nos. – Gdybym o niej pisał, gdybym uczynił ją bohaterką swojej tragedii, umarłaby pięknie, szlachetnie! Włożyłbym jej do ręki srebrny sztylet, którym przebiłaby sobie serce, recytując klasyczne strofy na urwistej skale omywanej falami oceanu.

Ale wykrwawić się na śmierć... w jakimś nędznym szpitalu dla ubogich... – westchnął ciężko i ukrył twarz w dłoniach. Trwało to długą chwilę.

– Co mam zrobić? – spytał wreszcie, podnosząc głowę. – Stać się na to popołudnie skąpym, ograniczonym mieszczuchem? – Mocniej zacisnął szlafrok na swej zażywej piersi i podniósł się z krzesła. – Pierre, Pierre! – zakrzyknął, klaszcząc w dłonie. – Gdzież się ten łajdak podziewa? Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny. – Podeszedł do drzwi, gdzie ponowił nawoływania, po których dał się słyszeć tupot i do salonu wpadł zaspany lokaj.

– Pierre, moja przedpołudniowa peruka, ta najmniejsza, i strój żałobny. Bez czarnych szarf. Idę na pogrzeb w rodzinie mieszczańskiej, uważasz? – niedbale machnął ręką, jakby irytował go ów trywialny i bardzo nudny obowiązek. Złożywszy to oświadczenie, zniknął w jakimś pokoju za salonem; musiała to być jego garderoba lub sypialnia. Drzwi oczywiście pozostawił otwarte, toteż usłyszałam, jak mówi do lokaja: – Powiedz tej służącej, niech zaczeka. Wskaże mi drogę. – Cały Lamotte. Życie to dla niego scena. Któż lepiej umiałby odegrać rolę mieszczańskiego adwokata?

Drżałam skulona w kącie lekkiego powoziku, jednego z licznych ekwipaży pałacu Bouillon. Lamotte pozostawił mnie na rue du Sablon, w odległości przecznicy od szpitala. Drżałam, choć na dworze nie było specjalnie zimno. Jesienny wiatr przegnał tu i ówdzie deszczowe chmury znad skośnych dachów, otwierając w szarym niebie okienka błękitu zabarwione tym szczególnym czerwono-różowym poblaskiem, który mówi, że dzień z wolna, lecz nieuchronnie zmierza do swego kresu. Marie-Angelique lubiła takie dni. Ileż razy mi powtarzała, że nie godzi się narzekać na pogodę, która nam, dziewczętom, tak pięknie różowi policzki. Marie-Angelique... W perspektywie ulicy widziałam karawan; konie parskwały niecierpliwie, a ich woźnica, przywiązawszy do pudła zwinięte lejce, drzemał spokojnie na koźle.

„Nie dąsaj się w domu w taką pogodę, siostrzyczko! Wkrótce nadejdzie zima! – jej głos wciąż brzmiał mi w uszach tak wyraźnie, jakby siedziała tuż przy mnie. – Chodź, zażyjemy świeżego powietrza w ogrodach Palais-Royal i od razu minie ci ten zły humor. A może spotkamy tam kogoś interesującego?... ” Tak, Marie-Angelique, po raz ostatni zażyjemy wspólnie świeżego powietrza, a potem... potem odprowadzę cię na miejsce wiecznego spoczynku.

Ze szpitala wyłoniła się czarno ubrana postać. Lamotte. Szedł z nisko zwieszoną głową, jednak nawet i teraz pamiętał o statecznym kroku mieszczanina. Powoli, o, jak powoli, minął powóz... Strasznie długo tłumaczył coś woźnicy karawanu, który zaczął nagle dziko gestykulować. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy Lamotte wcisnął mu w rękę pieniądze. Zaciął konie i...

odjechał w tę samą stronę, z której przybył!

– Co się stało? Dlaczego nie wjechał na dziedziniec?

Lamotte bez słowa usadowił się naprzeciwko. Wciąż milczał.

– Nie pytaj – powiedział w końcu z twarzą jak żelazna maska.

– Przecież zapłaciłeś posługaczce, prawda? Czyśmy popełnili jakiś błąd? Dlaczego nie wydano nam ciała? – Lamotte rzucił komendę woźnicy, zamknął oczy i znieruchomiał. Kiedy wreszcie znowu przemówił, dobywał z siebie słowa z takim trudem, jakby to były kamienie.

– Ktoś zawiadomił twojego brata. Szczęście, że miałem tyle przytomności umysłu, by podać się za waszego kuzyna ze strony matki.

– I... co?

– Twój brat oświadczył, że to pomyłka. Miał kiedyś siostrę tego imienia, lecz zmarła już dawno temu.

– Tego się spodziewałam. – Tylko kto zawiadomił Etienne'a? Ha, musiała to zrobić policja. Któż inny byłby taki szybki? Lamotte ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać. Chwyciłam go za ramię:

– Powiedz mi, co z nią zrobili? Musisz mi powiedzieć! – wyszeptałam z rozpaczą.

– Ciało przestępczyni... – tylko tyle zdołał wykrztusić. Znowu szarpnęłam go za ramię. – Nie pytaj mnie o to – wybełkotał. – Nie każ mi mówić!

– Muszę wiedzieć! Nie mogę tak sobie odejść! – krzyknęłam. Podniósł na mnie zaczerwienione oczy:

– Teatrum anatomii w College Saint-Côme. Zakażenie po spędzeniu płodu wydało im się... interesującym przypadkiem! Mój Boże, przypadek! A ja wciąż widzę ją w oknie, widzę jej przepiękne lazurowe oczy, jej uśmiech! Czy ty to rozumiesz? Nic z niej nie zostało, nic! Pocięli ją na kawałki ci uczeni rzeźnicy! W imię postępu nauki! Chwyciłem za gardło chirurga z tego szpitala: „To nie maszyna! – krzychałem – ona była istotą ludzką, obdarzoną duszą nieśmiertelną! Nie mieliście prawa!” „Przykro mi, monsieur – on na to – ale co się stało, to się nie odstanie.” I wyrwał mi się, jakbym był groźnym szaleńcem. Cóż, chyba rzeczywiście zachowałem się jak człowiek niespełna rozumu... Głupiec! Uroiłem sobie, że ucałuję ją na pożegnanie... ten jeden jedyny raz. Chciałem wraz z nią pożegnać własną młodość, rozumiesz to, Genevieve? Czy pragnąłem zbyt wiele? Jeden pocałunek, tylko jeden... Ha, ale to przecież

era postępu! Nie ma w niej już miejsca na gesty... romantyczne, śmieszne, beznadziejne gesty! Ci z lancetami mają pierwszeństwo.

Mój Boże, moja piękna siostra rozebrana na kawałki jak rzeźne zwierzę. Pozbawiona wszystkiego, nawet grobu... Nie będzie miejsca, gdzie mogłabym się wypłakać. Zdawało mi się, że wszystkie moje kości po kolei pękają z głuchym trzaskiem, że szpik z nich wycieka i pozostaje sama tylko skorupa. Pusta jak ja.

Lamotte przez całą drogę rzucał jakieś słowa bez związku. Dopiero słysząc znajome odgłosy na pałacowym dziedzińcu – turkot powozów i pokrzykiwania służby – wziął się w garść: wytarł zapłakaną twarz i przyglądał palcami swe niegdyś tak zabawne wąsy.

– A dziś wieczorem zasiądę przy jednym stole z kimś wcale nie lepszym od tej świni, która ją zabiła. Kimże jestem, skoro i ja nurzam głowę w tym samym korycie!

– Czy dobrze się pan czuje, monsieur?

– Nie. I nie poczuje się dobrze ani dziś, ani już nigdy. – Powóz pozostawił nas przy reprezentacyjnym wejściu, od którego wiodły szerokie marmurowe schody. Lamotte prześliznęła się wzrokiem po rzeźbionych balustradach i złożonych odrzwiach z miną skazańca, który już za chwilę będzie musiał wejść do sali tortur. – Mademoiselle Pasquier, wstąp do mnie na chwilę. Proszę... opowiedz mi o niej. Ja... chyba się uduszę... brak mi tchu. – Twarz miał tak bardzo zmienioną cierpieniem, że nie potrafiłam mu odmówić. Długo szliśmy przez nie kończące się korytarze i otwartą dla zwiedzających paradną część apartamentów, by na koniec znaleźć się w malutkim mieszkaniu Lamotte'a na tyłach wielkiej budowli. Po drodze mogłam przekonać się naocznie, ilu lokatorów mieszczą w sobie przepastne trzewia rezydencji diuszesy de Bouillon. Gnieździli się tu protegowani poeci i inni przedstawiciele świata sztuki, sieroty i dalecy krewni, jak również chmara pieczeniarzy uczepionych swoim zwyczajem pańskiej klamki. Wszyscy oni tworzyli miniaturowe królestwo z własnym podziałem na klasy i własnym dworem udatnie imitującym Wersal, tyle że w zmniejszonej skali. I tu, i tam trzeba było jednakowo schlebiać, tak samo zabiegać o łaski, unikać ciosów nożem w plecy (albo je zadawać) i bezustannie piąć się w górę. A jednak ci ludzie uważali siebie za szczęśliwców. O nie, pomyślałam, wolę już pozostać modną czarownicą. Mogę przynajmniej wchodzić i wychodzić frontowymi drzwiami wszędzie, gdzie mi się podoba.

Lamotte minął swój salon i wprowadził mnie do niewielkiego, bogato złożonego pokoju zastawionego rzędami półek. Książki! Na biurku i dookoła dwóch kusząco wygodnych foteli piętrzyły się sterty manuskryptów, rekwizytów teatralnych i pamiątek. Na wąskim łóżku w

alkowie leżał ciśnieły w pośpiechu szlafrok.

– Oto moja kryjówka – szerokim gestem wskazał zatłoczone wnętrze. – Nawet ona rozumie, że trzeba pozostawić lwu jego jaskinię. – Poszperawszy chwilę w miniaturowym kredensie, wydobył z niego karafkę i dwie szklaneczki.

– Poza tobą nie mam nikogo na świecie, z kim bym mogła pomówić o Marie-Angelique – zwierzyłam mu się, biorąc z jego rąk pełną szklankę. – Kto znał jej dobroć, jej słodycz? Ta uroda była jej przekleństwem. – Zakrztusiłam się nagle. Gorzałka okazała się piekielnie mocna. Lamotte ponownie nappełnił moją szklaneczkę, nie zapominając o własnej.

– Nie, to nie uroda, to rodzina była jej przekleństwem! Wybacz mi te słowa, mademoiselle, ale wasz brat to jakieś wynaturzone monstrum. Miast serca ma w piersi kamień – zapatrzył się w swoją szklaneczkę, jakby i jemu jawiły się na dnie obrazy przeszłych czy przyszłych zdarzeń. – Wielu jest dziś takich. Gdybym miał pióro Moliera, uczyniłbym z twego brata postać komiczną. Czyż nie taka jest rola sztuki? Ośmieszyć potwora, by wydał się ludziom znośniejszy, a nasze banalne smutki przekształcić w wielką tragedię, tak by inni płakali wraz z nami. – Zakręcił resztką trunku, znów sięgnął po karafkę i utkwiał wzrok w moich oczach. Gdy wreszcie przeniósł spojrzenie gdzieś poza wąskie okienko, wydało mi się, że jest daleko, w jakimś innym czasie i miejscu. – Dwie siostry jak dwie białe róże rozkwitły w ciemności wrogiej ich życiu – powiedział stłumionym głosem. – Wciąż widzę wasze twarze tam w oknie i te ukradkowe spojrzenia zza uchylonej firanki. Była moją księżniczką z zamkowej wieży... Wyobrażałem sobie, jak czyta romanse i czeka na swego księcia. – Pociągnął znów łyk ze szklaneczki i dopełnił moją. – O, mademoiselle Pasquier, śniłem, że to ja jestem owym księciem, choć byłem tylko synem skromnego tapicera.

Mocna gorzałka i miękki fotel zrobiły swoje: ból ulotnił się z moich powykręcanych kości. Poczulałam wreszcie łzy na policzkach. Lamotte podał mi własną chustkę i nalał sobie kolejną porcję trunku.

– Pisałem jej o... swych marzeniach. Wierszem. Układałem fantastyczne plany i pisałem... pisałem po całych nocach w świetle mojej jedynej świeczki... Marzyła mi się wielkość, chciałem stać się sławny, a przynajmniej tak znany, abym mógł bywać w jej domu... waszym domu... – Wypił teraz kolejno jeszcze kilka szklaneczek i przesiadł się na łóżko zarzucone mnóstwem zmiętych koszul, nocnych strojów i otwartych książek. Zgięty niemal we dwoje, z twarzą ukrytą w dłoniach, wyrzucił z siebie ze szlochem: – O, byłem wtedy inny! Dla niej zdobyłbym się na wszystko... stałbym się tym, kogo by zapragnęła. Mój anioł... a teraz nie ma

nawet grobu. Powiedz – spytał nagle, unosząc głowę – czy ona czytała moje listy?

Czy miałam powiedzieć mu prawdę? Nie, drogi Andre. Widzisz, moja siostra żądała od mężczyzny dużo więcej, niż ty kiedykolwiek byłbyś w stanie jej zaofiarować. Ćwiczo ją do tego od urodzenia. To ja ratowałam twe wiersze od ognia. To ja oddałabym wszystko, aby choć jedna linijka twojej poezji została napisana dla mnie. Które z nas dwojga było głupsze? Skłamałam, bo ogarnęła mnie litość.

– Nigdy nie rozstawała się z twymi listami. Nosila cały ich zwitek na piersi, by je odczytywać po wielekroć.

– Wiedziałem! Mylił się ten cynik. „Serce przepelnione miłością widzi prawdę”, powiedziałem mu kiedyś, a on mnie wyśmiał. Kładł mi do głowy, że jestem głupi i śmieszny, bo nie kieruję się rozumem; zniechęciłem go za to. „Gdybym ja miał wybierać – powiedział – wybrałbym młodszą. Ma bystrzejszy umysł i wierne serce.” Był w błędzie, ale już teraz potrafię mu to wybaczyć. Ten jego rozum zatruwa mu tylko obraz świata i to on najgorzej na tym cierpi. Nie, teraz już nie żywię do niego niechęci.

Cynik? Mogło tu chodzić tylko o d'Urbea. Dlaczego na samą myśl o nim naszła mnie przelotna fala smutku i wyrzutów sumienia, nawet teraz gdy pijana mocnym trunkiem, bólem straty, bliskością mego wysnionego Lamotte'a, słuchałam jego intymnych zwierzeń? Mocniejsze od tego wszystkiego było jednak tkwiące we mnie od dawna, długo tłumione pożądanie. Było jak demon uwięziony latami pod ziemią, który nagle z całą swą skumulowaną mocą wydobywa się na powierzchnię. Wstydziałam się jego podszeptów, lecz zarazem słuchałam chytrych argumentów. Pragniesz tego mężczyzny, mówił. Nie teraz, nie w takiej chwili, próbowałam oponować. To byłaby zdrada wobec Marie-Angelique. Więc ją zdradź, przecież i tak już nie żyje. Precz ode mnie, wstrętna pokuso! Podniosłam się, by nalać sobie trunku – karafka stała na stoliku. Przy okazji stwierdziłam, że ledwo trzymam się na nogach.

– Pociesz mnie, Genevieve. Zimno mi, tak zimno, jakbym już leżał w grobie – jęknął Lamotte. Prawda, całym jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Zniechęcił mnie za rękę. Straciłam równowagę. Szklaneczka z traskiem rozbiła się o połogę, a ja zatoczyłam się w stronę łóżka. Złapał mnie w locie i posadziwszy sobie na kolanach, zamknął całą w uścisku. Położyłam głowę na jego ramieniu, a on zaczął czule gładzić mnie po włosach. Jak zrozpaczone dziecko. Czułam na karku wilgoć jego łez.

– Pociesz mnie, Genevieve – powtarzał. Jego dłoń ześliznęła się z mej szyi na piersi. Była taka ciepła, tak bardzo ludzka.

– Nie w ten sposób – zaprotestowałam dość słabo, próbując wciąż jeszcze pokonać w sobie demona. Twarz Lamotte'a przylgnęła do mojej piersi... Ach, ten dotyk szorstkiego policzka przyprawił mnie o gęsią skórę i chyba na dobre pozbawił resztek woli. Mam wreszcie swego pięknego rycerza. To on, to ten, do którego wzdychałam z okna. Tak, mam go, ale za jaką cenę! Przebiegł mnie dreszcz.

– Czujesz me łzy? – wyszeptał, mocząc ciepłą wilgocią moje obnażone piersi. Była w jego głosie jakaś... profesjonalna nuta. Uważaj, on doskonale umie przewycięzać skrupuły kobiet, podpowiadał mi rozum. Genevieve, on wykorzystuje chwilę twojej słabości. Chcesz go, kusił demon. Korzystaj z okazji. Myślisz, że los da ci jeszcze kiedyś takiego mężczyznę?

– Ja... ja nie mogę! Przestań, na miłość boską! Nie chcę zajść w ciążę, przeraża mnie sama myśl o tym, zwłaszcza teraz gdy...

– Jakaś ty gładka... jaka bielutka... Istna śmietanka. – Jego ręka wpełzła mi pod spódnicę. – Taka ciepła... żywa... ludzka...

– Nie, nie – powiedziały moje wargi, ale nie serce. Serce objęło mi się o żebra. Uwolniony demon triumfował. Zadrżałam z rozkoszy, kiedy dłoń Lamotte'a sięgnęła zamierzonego celu.

– Moja piękna... – wybełkotał, przewracając mnie na łóżko. Poczułam na sobie jego ciężar. – Niczego się nie lękaj... przez te lata... odkąd straciłem ją z oczu... poznałem tysiące sztuczek... umiem zadowalać damy... bez ryzyka. Nie musisz bać się... niczego... – Zapinki od mego stanika rozprysnęły się po podłodze. Wokół mnie jak rabata różnokolorowych kwiatów piętrzyły się zmięte spódnice i halki. Strach zniknął. Rozpłynął się w nieznanym uczuciu radosnego uniesienia. Jego ręce i usta wędrowały po całym moim ciele, ale oczy miał szczelnie zamknięte. I nawet gdy już zdobył ostatnią twierdzę, to nie mnie trzymał w ramionach... To ją, Marie-Angelique, pragnął przywołać do życia pieszczotą rąk, mocą swojej wyobraźni, żarem namiętności. Ach, jakież był piękny, nawet z tą mokrą twarzą ściągniętą grymasem żalu.

– Andre! – wyszeptałam, gdy namiętność przywiodła nas do szczytu.

– Angelique! – krzyknął, wycofując się i plamiąc nasieniem pościel. Nie uczynił mnie brzemienną, dotrzymał słowa, ale to ją posiadł, nie mnie. A jednak widząc, jak powoli zapada w sen z twarzą jakże spokojną i pełną wdzięczności, wcale nie żałowałam tego, co się stało.

Nadal czułam ciepło w całym ciele. Myliłeś się, wuju, pomyślałam z triumfem. Najpiękniejszy mężczyzna świata płakał wraz ze mną, prosił, bym mu się oddała, sprawił mi rozkosz i jest mi wdzięczny. Wiedz, że przeżyłam chwilę bezgranicznego szczęścia. A ty smaż się w piekle. W

tej chwili Andre Lamotte jest mój, reszta się nie liczy. Nie dbam o to.

– Andre, Andre – szepnęłam mu do ucha – nie śpij. Twoje przyjęcie, diuszesa. Trzeba wstawać – potrząsnęłam jego ramieniem. Natychmiast otworzył oczy.

– O, to ty, Genevieve. – Wymieniliśmy długie spojrzenie, myśląc o tym samym. – Dziękuję ci, moja droga. Co mogę teraz dla ciebie uczynić? Czym taki jak ja nędzarz może odwdzińczyć się tobie, która ocalałaś znikome resztki jego jestestwa?

– Pomóż mi najpierw trochę wygładzić suknię, a potem ją włożyć. I wezwij krzesło, żebym mogła wrócić do domu. No i pamiętaj o kolacji. Powinieneś dziś tryskać dowcipem.

– O Boże, przyjęcie! Diuszesa! – wykrzyknął, jakby dopiero teraz uświadomił sobie sytuację. Mnie tymczasem udało się nieco wygładzić niedzielne halki mojej pokojówki.

– Jestem pewna, że nawet ona nie weźmie ci za złe nic nie znaczących igraszek z jakąś przypadkiem poznaną służącą. Miałaś wszak dzień wolny. Wymknę się teraz bocznym wyjściem, tak że nikt nie będzie podejrzewał nic ponad to, o czym mówię.

– Pomyślałaś o wszystkim. – Powiedział to z wyraźnym przerażeniem. – Jakaś ty opanowana... wprost nieludzko. Przypomniał mi się nagle ten piekielny kalkulant, d'Urbec. On też zawsze jest taki... diabło rozsądny. – Znowu ten d'Urbec. Dlaczego na myśl o nim wnętrzości zwijają mi się w kłębek?

– Andre, ja wiem, że tą, której pragnęłaś, była Marie-Angelique. Chcę, abyś wiedział, że nie roszczę sobie żadnych pretensji do twojej osoby czy względów. Nie sprawię ci żadnych kłopotów. Pragnę, byś pozostał moim przyjacielem, i tylko o to cię proszę.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem. Wyglądał w tym momencie dziwnie staro. Pod oczyma wystąpiły mu ciemne kręgi, junackie wąsy obwisły, cała postać zrobiła się nagle ciężka, jakby raptem dały znać o sobie skutki zbyt wygodnej egzystencji. Widać już było po nim, że powoli nadciąga wiek średni, który wkrótce nada jego ciału leniwą ociążałość sybaryty.

– Masz serce prawdziwego mężczyzny i jego poczucie honoru – powiedział cicho. – W tym świecie zła i fałszu, gdzie kobiety to wściekłe zazdrośnice, gdzie każdy dworak z uśmiechem wbije ci nóż w plecy, jesteś szlachetnym wyjątkiem. Dlatego bardzo wysoko będę sobie cenił twą przyjaźń. D'Urbec był jednak ode mnie mądrzejszy! Ja, cóż, tańczę, jak mi zagra samolubna bogata kobieta. Ufam, że ty, Genevieve, znajdziesz kiedyś mężczyznę, który okaże się godny twego wielkiego serca.

Tylko poeta potrafi pleść takie górnolotne głupstwa, powiedziałam sobie, kiedy tragarze

postawili krzesło pod drzwiami mojego domu. Wciąż trwało we mnie ciepłe wspomnienie naszej bliskości. No i zatrzymałam sobie jego chustkę.

Śmiertelny smutek przylgnął do mnie tamtej długiej jesieni; przesłaniał cały świat jak mgła i jak ona nie pozwalała się przepędzić. Wszystko przypominało mi Marie-Angelique. Uciekałam od sklepów, bo na widok ładnej koronki, sztuki brokatu czy srebrnej broszki pojawiała się zaraz myśl: O, to by się spodobało Marie-Angelique! Muszę jej o tym powiedzieć... Bez niej wydawanie pieniędzy przestało być przyjemnością. Duch mojej zmarłej siostry zdawał się nawiedzać już nie tylko sklepy, ale i wszystkie alejki publicznych ogrodów Paryża. Wciąż widziałam nas obie na wiosennym spacerze: dwie młodziutkie dziewczyny, które niby to podziwiają róże, lecz ukradkiem zerkają na wytwornych spacerowiczów. „Popatrz, siostrzyczko, jaki prześliczny kapelusz! Dobrze mu się przyjrzyj. Kiedy będę bogata, kupię sobie taki sam. O, jak myślisz, komu też posyła owo ogniste spojrzenie ten dziarski oficer w szkarłatnym płaszczu? Czyżby to do mnie robił oko?” „Kiedy będę bogata, kupię sobie takiego oficera – wpadłam jej w słowo kpiącym, słodko-kwaśnym tonem. „Och, Geneviève – parskała śmiechem – ależ z ciebie uroczy błazenek! Kupimy sobie dwóch, chcesz?” Jej śmiech dźwięczał mi w uszach wszędzie, dokąd gnała mnie moja tęsknota... na śliskich od deszczu ścieżkach, pośród stert zeschniętych liści, w pustych, milczących pawilonach. Jakby tam się ukryła, jakbym mogła ją tam odnaleźć.

Zaczęłam teraz sypiać do południa i dłużej. Służba szeptem odprawiała klientów: madame ciężko zachorowała. Po południu błąkałam się bez celu po ogrodach Palais-Royal bądź Tuileries, a kiedy zmęczyło mnie chodzenie, brałam powóz i kazałam wozić się po mieście albo jechać do Wersalu, tylko po to, by w pół drogi zmienić zamiar i wrócić do domu. Interesy przestały mnie obchodzić. Nawet i papuga, jedyna moja pociecha, całkiem osowiała. Z nastroszonymi piórkami tkwiła na swojej wysokiej grzędzie, nie chcąc wydać głosu ani przyjąć ode mnie okruszków chleba. Pewnego razu, osłonięta grubym welonem, wynajęłam krzesło i kazałam się zanieść do swojej dawnej dzielnicy. Na rue des Marmousets tragarze na mój rozkaz tyle razy musieli przystawać, że uznali mnie za wariatkę – trzeba było podwoić im stawkę. Nasz ciemny wysoki dom nic się nie zmienił; po obu stronach gotyckiego portalu tak samo jak kiedyś tkwiły dziwnie przycupnięte maskaronki. W pewnej chwili zobaczyłam brata: wyszedł z domu, dźwigając pod pachą ogromną tekę dokumentów, i skierował się w stronę Pałacu Sprawiedliwości. Zatrzymałam tragarzy dokładnie w tym miejscu, gdzie niegdyś widziałam Lamotte'a z dwoma jego przyjaciółmi. Prawie miałam nadzieję, że gdy spojrzę w okno, zobaczę wśród rozchylonych kotar dwie nasze białe twarzyczki.

– Przejdźcie koło gospody „Pod Trzema Kominami”, a potem zawróćcie obok „Pomme de Pin”
– poleciłam tragarzom. – Nie musicie przystawać, chcę tam tylko zobaczyć otwarte drzwi. – Te drzwi, w których po raz pierwszy ujrzałam wszystkich trzech przyjaciół: młodych, roześmianych i pełnych nadziei. Jeden z tragarzy postawił nosze i wymownie popukał się w czoło.

Po dwóch tygodniach nastąpiło to, czego należało się spodziewać. Przed południem zbudziło mnie mocne szarpnięcie za ramię. Niczym zjawa ze złego snu wisiała nade mną groźna postać czarownicy z rue Beauregard; za jej plecami kręciła się Sylvie z miną winowajczyny.

– Wstawaj i bierz się do roboty! Co ty sobie myślisz! Nie po to się o ciebie troszczę, żebyś po całych dniach wylegiwała się w łóżku! Jego królewska mość ostatnio znów jest do wzięcia, a wszystkie dworskie damy na gwałt chcą się dowiedzieć, co im przyniesie przyszłość. I przy tak wysokiej fali ty, głupia, nie raczysz zarzucić sieci!

Wymamrotałam jakieś usprawiedliwienie, lecz wprawiło ją to tylko w większą irytację.

– To szczyt głupoty wpadać w melancholię z powodu nieszczęścia, na które nic już nie można poradzić. Zarabiaj pieniądze, wystaw jej pomnik! Twoje życie toczy się dalej! Musisz opłacić służbę, utrzymać dom, a i u mnie masz jeszcze długi! A jeżeli ten wstrętny eliksir od La Trianon tak już wypalił ci mózg, że nie jesteś w stanie pracować, proszę bardzo, możesz z sobą skończyć, wolna droga! Wlej w siebie nawet tę całą butelkę, chcesz? – Sylvie z przerażeniem w oczach spróbowała chyłkiem usunąć flakon, lecz jedno spojrzenie La Voisin przygwoździło ją do miejsca.

– Mój mózg nie poniósł żadnego uszczerbku, ty... ty wiedzmo! Mogę wypić sto takich butelek i jeszcze będzie dwa razy lepszy od innych! – z wściekłości usiadłam na łóżku.

– I tyle też pewnie wypijaś!

– Będziesz mi tu mówić, że się kończę? Jeszcze zobaczymy! Ja przynajmniej nie opijam się winem co wieczór i nie śpiewam sprośnych piosenek na dwa głosy z katem!

– Ha, czyżbyś uważała, że wytworniej jest opijać się opium? A co do kochanków, biorę sobie takich, na jakich akurat przyjdzie mi ochota. Wiedz, że oprócz katów miałam też i hrabiów, nie mówiąc już o wicehrabiach. Stać mnie na to, wiesz? Bo jestem potężna. Ty natomiast jesteś tak wielkim tchórzem, że boisz się nawet zostać diuszesa! O, pardon, zapomniałam, że z ciebie wielka a-rys-to-kratka... Pewnie dlatego uznajesz za stosowne wdawać się w miłosne ekscesy jedynie z członkami rodziny, co?

– Zabiję cię za to! – wrzasnęłam. Jednym susem wyskoczyłam z łóżka i rzuciłam się na nią. Zręcznie cofnęła się o parę kroków; załśniło wydobyte z rękawa złowrogie stalowe ostrze.

– Podejdz bliżej, złotko! Zaraz się przekonamy, kto tu padnie trupem – w jej czarnych oczach błysnęło wyzwanie.

– Przysięgam, że to uczynię!

– Próżny trud – stwierdziła z całkowitym spokojem. – Lepiej byś zrobiła uśmiercając swojego wuja, on to bowiem wprowadził Marie-Angelique w wiadome towarzystwo. Po co? Żeby mieć kieszonkowe na drobne wydatki. Ciebie też chciał usunąć z tego świata; przeszkadzałaś mu w położeniu łapy na wszystkim, co pozostawił ci ojciec.

– Skąd to wiesz?

– Zapominasz, że nie ty jedna potrafisz wywahać cudze sekrety. Twój wuj również był moim klientem. Kiepsko jednak płacił, dlatego wcale mi go nie brak. Poślij mu do więzienia koszyk mych wybornych pasztecików i skończ z nim – wsunęła nóż do rękawa. Rozległ się lekki szczęk, gdy ostrze wskoczyło na swoje miejsce w ukrytej pochwie. Dźwięk ten wywarł na mnie osobliwe wrażenie: był taki... metodyczny. Jak stuk zamykanej księgi rachunkowej. Do diabła, fuknęłam w duchu, znów tańczę, jak mi ona zagra! Wiedźma! Doskonale wiedziała, jak podnieść mnie z łóżka i zmusić do pracy. Musiała jeszcze przed przyjściem zaplanować całą tę kłótnię. Kiedyż się wreszcie nauczę przeciwstawiać jej manipulacjom?

– Wiesz... jesteś okropna!

– A ty to nie? – zadrwiła, przekornie przechylając głowę i kładąc ręce na biodrach. – No, ale przynajmniej wylazłaś z tego barłogu. Sylvie, ubierz ją w tę szarą jedwabną suknię!, a ja tymczasem zejdę zobaczyć, czy Nanon przygotowała nam już niespodziankę. – Patrzyłam z bezsilną złością, jak znika w kuchni. Przeklęta, żeby ją diabli!... Wiedźma! Żeby ją... ach, już to mówiłam. Nie szkodzi. Niech więc ją porwą dwa razy.

Z dołu nadleciał zapach... jakby palonego korka.

– Sylvie, co to takiego? Czyżby kawa? – szelest taftowych halek po drugiej stronie parawanu obwieścił powrót czarownicy; ona też udzieliła mi odpowiedzi:

– A jakże, turecka. Ostatnio namiętnie pijam kawę. Przyprowadziłam Nanon, aby zaparzyła ci pełny dzbanek, zaraz nam poda. Ja też napiję się odrobinę. Mówię ci, bardzo polubiłam kawę.

– Kawa dla mnie? Przecież to taki wydatek...

– Pewnie, że nie jest tania – La Voisin weszła za parawan sprawdzić, ile jeszcze czasu zajmie Sylvie zasznurowanie gorsetu i nałożenie mi halek – ale jakże ożywczo działała na umysł! Twój musiał już tak rozmięknąć, że pozostała z niego sama papka, dlatego do zaparzenia zużyłam całe ćwierć funta. Nie bój się, zaraz cały ten zakup dopiszę ci do rachunku. – Sylvie zajęła się teraz żmudnym zapinaniem niezliczonych guziczków przy mojej jedwabnej sukni.

– Och, ale mam włosy – jęknęłam – istna rozpacz.

– Ściągnij je z tyłu w koczek, Sylvie – zarządziła La Voisin. – Pod czepek wystarczy. Markiza dziś nie wychodzi, będzie przyjmować w domu – wycofała się zza parawanu, pozostawiając Sylvie dokończenie mojej toalety. Umilkł natrętny szelest tafty, rozległ się brzęk porcelanowych naczyń. Wyłoniwszy się z ubieralni, zobaczyłam na stole dwa dymiące dzbanuszki oraz dwie białe filiżanki. La Voisin Zdażyła już zająć mój najlepszy fotel.

– Nie rozumiesz moich uczuć – zaczęłam, siadając naprzeciw. – Moja siostra nie żyje... – pokojówka madame, Nanon, z ogromną wprawą zaczęła operować dwoma dzbanuszkami naraz, napełniając filiżanki równocześnie kawą i mlekiem – ... moja piękna siostra... A sprawcą jej śmierci jest...

– Wiem, wiem, księżę de Vivonne. Nie ona pierwsza i nie ostatnia. Ale jeśli marzy ci się zemsta, to wybij ją sobie z głowy. On ma nie tylko ogromne wpływy, ale zna zbyt wielu ludzi bardzo podejrzanych obyczajów. – Zabrzmiało mi to dość dziwnie, zważywszy jej własną pozycję.

Jakby dla zaakcentowania swojej opinii z brzękiem postawiła filiżankę. Odgłos ten nieoczekiwanie pobudził do życia apatyczną ostatnio papugę. Wytknęła głowę spod skrzydła i wydając miękkie, gruchające dźwięki, energicznie rozprostowała żółte nóżki, po czym przekrzywiwszy łebek, wlepiła w madame badawcze spojrzenie swych czarnych prastarych oczu. La Voisin posłała jej w odpowiedzi spojrzenie dziwnie podobne: oczy obojga, kobiety i ptaka, wydawały się w tym momencie jednakowo stare. „Pij, pij!” – rozległ się ptasi okrzyk. Rozbawiona madame zerwała się z miejsca i wlała papudze kilka kropel kawy do miseczki. Ta jakby na to czekała: ochoczo wyciągnęła szyję i zanurzyła pomarańczowy dziób w płynie. Pani Wiedźma parsknęła śmiechem.

– Moja droga – podjęła przerwany wątek – zostaw Vivonne'a jego żonie. Ona od pewnego czasu bardzo już pragnie wolności. – Zauważyła moje nagłe zainteresowanie, uśmiechnęła się więc dobrotliwie, krzyżując ręce na podolku. Nalałam sobie drugą filiżankę kawy. – No, przejdźmy do interesów – powiedziała żywo. – Zobaczysz, praca to najlepsze lekarstwo. A

nowiny są takie, że nasz monarcha poczuł się naraz bardzo staro i myśli, że nowa kochanka zdoła przywrócić mu młodość. Robi zupełnie to samo, co większość mężczyzn zbliżających się do czterdziestki. Cóż, tacy oni są. Rzecz w tym, że La Montespan czuje się zagrożona. Dotąd na ogół udawało jej się nadzorować miłostki Ludwika, podsuwając mu nowe zabawki, teraz jednak La des Oeillets, znasz ją, znudziła się jego królewskiej mości. Tak ma ją za nic, że nie raczył nawet uznać dzieci, które z nią spłodził.

– Piekło i potępienie! – oznajmiła papuga, kołysząc się na swoim drążku. La Voisin uśmiechnęła się do niej z aprobatą.

– Do niedawna wydawał się zafascynowany księżną de Soubise. Wszyscy wiedzą, że jest biedna i że chcąc podreperować swoją sytuację, zawarła z mężem tajny układ. Księżę wychodził na noc z domu, a ona powiadamiała o tym króla, zakładając szmaragdowe kolczyki. Ostatnio wszakże nie widać jakoś tych kolczyków, z czego łatwo wyciągnąć wniosek, że romans dobiegł końca. Kto miał go dosyć, król czy małżonek, nie wiadomo, ale to wszystko jedno. Gra zaczyna się od początku. Możesz spodziewać się mnóstwa klientek.

– Nie powiesz mi chyba, że wyczytałaś to w kartach.

– Nie, pewnie że nie. Ale wiem, że dziś po południu odwiedzi cię madame de Ludres. Sylvie, która dobrze dba o moje i twoje interesy, obiecała, że ją przyjmiesz, i dała mi o tym znać. Masz mi dokładnie przekazać wszystko, co powiesz pani de Ludres.

– Czyli że to ona przewodzi stawce rywalek, a La Montespan wkrótce zapyta cię o jej szanse.

– Tak jest. Twój mózg, jak widać, znów działa. A wiesz, gwiazdy mi mówią, że to piekielnie ważny moment, tak, tak, czas przełomu, i że możemy zyskać ogromne pieniądze, pod warunkiem że zręcznie rozegramy sprawę. Jeśli więc La Montespan po ciebie przyśle, musisz natychmiast powiadomić mnie o treści wróżby. No, przyznaj, już cię to bawi! Widzę, jak kalkulujesz. Wkładasz w to cały swój umysł.

– Umysł tak, ale nie serce.

– Więc każ mu milczeć – z hałasem odstawiła pustą filiżankę. – Serce to dzisiaj tylko niepotrzebny balast. Masz, zostawiam ci te dwa dzbanuszki wraz z filiżankami. Posłuchaj mojej rady i zacznij pić kawę. Rzuć to obrzydłe opium, zanim zdąży cię zabić. Na myślenie dobra jest tylko kawa.

– Kawa, kawa – zagruchała papuga, przebierając po żerdzi żółtymi nóżkami zbrojnymi w zakrzywione szpony. La Voisin dała jej jeszcze kropelkę.

– Przypuszczam, że i te naczynia dopisałaś mi do rachunku.

– A niby komu miałam je dopisać? Do widzenia. Pamiętaj: dziś jeszcze chcę mieć szczegółowe sprawozdanie. Czekam na ciebie koło piątej. Aha, wieczorem wybieram się na spektakl w pałacu Bourgogne. Kiedy tobie podobało się tracić czas na jałowe zmartwienia, Lamotte zaskoczył nas nową tragedią. Jest to ponoć opowieść o pięknej Greczynce, która stojąc na dzikim nadmorskim urwisku, przebija sobie pierś sztyletem. Ach, podczas czytania ostatniego aktu w salonie diuszesy de Bouillon, wszyscy szlochali. Księżna na dzisiejszy wieczór wynajęła klakę dla swego pupila. Wzięłam całą lożę; jadę incognito w towarzystwie wicehrabiego de Cousserans, Cotona i jeszcze kilku przyjaciół. A hrabia d'Aulnoy, którego żona, jak mówią, uległa kiedyś wdziękom Lamotte'a, wynajął drugą klakę. Ma ona wygwizdać sztukę. Jak widzisz, zapowiada się wielce ucieszny wieczór.

Lamotte. A mnie nie zaprosił nawet na czytanie. Niech diabli porwą tę La Voisin! Już ona potrafi mnie zdenerwować. O tak, to jej trzeba przyznać!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Madame de Ludres nie była mężatką, a tytułowano ją „madame” dlatego, że złożyła śluby zakonne w jakimś odległym klasztorze, skąd czerpała teraz znaczny dochód. Mogła za te pieniądze do woli używać życia i romansować, co też skwapliwie czyniła. Znienawidziłam ją od pierwszej chwili, kiedy tylko dotknęła progu mego domu swym jedwabnym aroganckim pantofelkiem. Znienawidziłam w niej wszystko: mały, pogardliwie uniesiony nosek, malutkie czarne półksiężycy maskujące defekty cery, lokaja niosącego za nią tren i damę do towarzystwa piastującą w objęciach jej pieska. Mały palec Marie-Angelique wart był więcej niż wszystkie wdzięki tej niedoszłej mniszki. I dla jej to nędznych ambicyjek sprofanowane szczątki mojej siostry poniewierają się teraz gdzieś w College Saint-Côme. Maitresse en titre księcia de Vivonne! Doskonała pozycja do dalszego skoku! Teraz postanowiła sięgnąć po najwyższe laury: tytuł maitresse en titre samej jego wysokości Króla Słońce. Niedoczekanie, pomyślałam mściwie, prędkiej zobaczę cię w piekle.

Obraz w naczyniu był bardzo czytelny. Zobaczyłam madame de Ludres w którejś z nie znanych mi dworskich antykamer. Gdy tam weszła, dworacy powstali na jej widok. Kobiety miały na sobie nakazane przez króla letnie lśniące suknie, lecz ponieważ trzęsły nimi dreszcze, a lokaje nosili wełniane liberie, musiał to być środek zimy. Drgający wciąż jeszcze obraz ukazał mi madame de Montespan w jej słynnej „fruwejacej” toalecie – była w zaawansowanej ciąży. Zionęła bezgłośną furią za murem dworskiego towarzystwa, które jak jeden mąż emablowało wzrokiem nową faworytę.

– Nie od razu osiągniesz, pani, najwyższe względy – powiedziałam, nie tracąc zimnej krwi. – Madame de Montespan pogodziła się ze swym królewskim kochankiem i wkrótce zajdzie z nim w ciążę. Dopiero gdy stanie się to widoczne, król znów zapragnie odmiany. Wtedy też ty, madame, zyskasz jego łaski.

– Kiedy to będzie? – Jakie morze chciwości i ambicji kryło się w tych twardych oczkach! Zapragnęłam nagle mieć taki ogród jak La Voisin, a w nim ją, tę małą, podłą kanoniczkę. Chętnie wyhodowałabym na niej róże.

– Z obrazu wynika, że w zimie. Może po Nowym Roku.

– A co z mademoiselle de Thianges?

– To już wymaga osobnej wróżby. Jest rzeczą niezmiernie trudną przepowiadać przyszłość osoby nieobecnej – wyjaśniłam z cyniczną uprzejmością. – Żądam za taką próbę podwójnej

opłaty i niczego nie gwarantuję. – Z jawną niechęcią skrupulatnie odliczyła pieniądze. – Czy przyniosłaś madame, jakieś przedmiot należący do mademoiselle de Thianges?

– Tak, rozetkę od pantofla. Przekupiłam jej pokojówkę – odparła, kładąc na stole zmięty atłasowy kwiatek. Musiała słyszeć o moich metodach. Przyrzekłam wprawdzie La Voisin nie zdradzać osobom trzecim przyszłości ich rywali i wrogów, ale... co mi tam! Przyłożyłam zmięty kawałek różowego atłasu do naczynia i z zachowaniem całego magicznego ceremoniału powtórnie zamieszałam wodę.

– Mademoiselle de Thianges nie odegra żadnej roli... Nigdy nie uzyska nic więcej poza przelotnym zainteresowaniem, wkrótce też wyjdzie za mąż gdzieś daleko.

Odetchnęłam z ulgą, pozbywszy się abominacyjnej kanoniczki i jej świty.

Miała rację La Voisin. Przez cały następny tydzień drzwi się u mnie nie zamykały. Płynął nimi nie kończący się strumień rozbudzonych nadziei w osobach samych kandydatek do tytułu faworyty, jak również ich rodziców, braci, a nawet mężów. Co niecierpliwszych – pragnących wspomóc wyroki losu – odsyłałam do La Voisin po proszki miłosne i inne środki – zależnie od tego, w czym kto pokładał wiarę. Wszystkie paryskie czarownice odnotowały ogromny przypływ gotówki ze sprzedaży uroków i woskowych figurek. Wymownym tego świadectwem były śmiałe kapelusze i podbite jedwabiem opończe, które nagle pojawiły się w kościele Zwiastowania podczas niedzielnego nabożeństwa, oraz ochryple kobiece głosy dobiegające z gabinetów pewnych osławionych tawern w mniej eleganckich dzielnicach miasta. Cena porzuconych noworodków wzrosła na czarnym rynku do wysokości dwóch skudów. Ja kupiłam sobie kilka starych książek, które już od dawna budziły moje pożądanie, a także włoskie płótno przedstawiające Zuzannę i starców. Obraz powiesiłam w salonie, cóż, kiedy brakowało mi czasu, aby się nim nacieszyć. Książki również czekały stosowniejszej chwili. Zdawało mi się, że wpadłam w oko wściekłego cyklonu, któremu na imię chciwość. Korzystałam z tego, i owszem, bo czyż moja działalność nie była znacznie uczciwsza od poczynań owego stada kruków, które wykorzystując amory swego monarchy, gotowe były bez skrupułów rozkraść całą zawartość koronnego skarbcza? Kiedy już owa burza zaczęła nieco przycichać, od nowa rozpętała ją pogłoska, jakoby książę de Soubise miał w planie budowę miejskiej rezydencji z prezentów ofiarowanych jego małżonce przez najjaśniejszego pana. Pewnego razu mignął mi w naczyniu obraz tej przyszłej budowli: ogromny pałac w samym środku miasta. Nie najgorsza zapłata za wypożyczenie żony do cudzołożnych igraszek. Chodziło wszak zaledwie o kilka nocy.

Jakoś chyba u szczytu tego szaleństwa żywiołów przypadkiem spotkałam d'Urbece. Nastąpiło to w pewnej gospodzie przy drodze do Wersalu. Jak zwykle moje przybycie wywołało wielkie poruszenie; kiedy powoli szłam do kominka przez zatłoczoną salę, śledziły mnie wszystkie oczy. Nie, nie wszystkie. Wyjątek stanowiło kilku zatwardziałych graczy skupionych przy jednym stoliku. Zaledwie usadowiłam się obok ognia, któryś z nich zerwał się z krzesła.

– Co mi jeszcze zabierzesz, monsieur? – krzyknął z desperacją, rzucając kapeluszem o podłogę.

– Zdejmiesz mi ostatni płaszcz z grzbietu?

– Wystarczy pański weksel – rozległ się znajomy głos, chłodny i zrównoważony. Załatwiwszy formalności, d'Urbec powstał od stolika i skierował się w moją stronę.

– Dzień dobry, madame de Morville. Niezmiernie żałuję, żeśmy wciąż jeszcze nie mieli okazji przejechać się po Cours-la-Reine.

W gospodzie zaszumiało.

– On zna tę wróżkę... Ha, na tym polega jego sekret!... Sam diabeł chyba mu sprzyja... – rozległy się głosy.

– Zechciej przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci twej... ach... mademoiselle Marie-Angelique. – Musiał się widzieć z Lamotte'em. Czy wie, co między nami zaszło? Na pewno. Mogłabym dać za to głowę. A jednak przed nikim nie ujawnił mojej tożsamości... Dlaczego tak bardzo wyprowadza mnie z równowagi jego widok?

– Próbowałam ją ocalić, cóż, nie udało mi się – mówiąc to starałam się ukryć narastające zmieszanie.

– Ocalić kogoś przed nim samym? Rzadko się to udaje. – Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Zignorowana w tak ostentacyjny sposób, co prędzej spojrzałam w ogień, aby nikt nie zobaczył moich oczu.

– Madame, czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – La Voisin po raz wtóry uznała za stosowne złożyć mi nie zapowiedzianą wizytę. Nakazała Sylvie wysuszyć swój mokry płaszcz przed kominkiem, sama zaś rozsiadła się znowu w najokazalszym fotelu, przysuwając wysokie czerwone buty jak najbliżej ognia. Co przyniosło ją w taką pogodę? Nasuwał się prosty wniosek, że chodzi o coś ważnego.

– Czy nadal widzisz d'Urbece? – spytała bez wstępów.

– Nie, madame. – Jaki związek może mieć jej najście z d'Urbekiem? Nigdy go nie lubiła,

wiedziałyśmy też o tym obie.

– Cóż, w takim razie odnow z nim znajomość – mówiąc to, ponuro zacisnęła usta.

– Nie mogę, madame, on mnie nienawidzi.

– Po wszystkim, co dla niego uczyniłaś? Ocaliłaś mu życie, karmiłaś jego matkę i ciotkę i to się dla niego nie liczy? Mam nadzieję, że nie usiłujesz mnie oszukać?

– Ja, madame? W czym miałabym cię oszukiwać? – Jeśli podejrzewała mnie o jakiś spisek, musiała najwidoczniej dojść do wniosku, że jestem niewinna, bo twarz jej złagodniała.

– Wystaw sobie, moja droga, że ten galernik bywa dziś wszędzie, wszyscy go przyjmują! Próbowałam zasięgnąć o nim języka, nic z tego. Jeśli nawet ma coś za uszami, dobrze to ukrywa. Wiem, że nabył u La Trianon flakonik szybko działającej trucizny, że dwa razy jeździł do Hawru, i na tym koniec. Najgorsze, że wygrywa w karty i to tak, jakby zawarł przymierze z samym diabłem. Było już u mnie ze dwunastu klientów pytać o sekret monsieur d'Urbece. Co to za sekret, u licha? Z tego, co mi wiadomo, nie kupił ani ręki chwały, ani uroku, przynajmniej nie u żadnej ze znanych mi osób. Przypuszczam, że wynalazł jakiś nowy sposób znaczenia talii albo może wywęszył coś za granicą. Słuchaj, moja droga, muszę się tego dowiedzieć, inaczej stracę reputację! Wyciągnij z niego ów sekret.

– Madame, ten człowiek nie zechce ze mną rozmawiać. Ostatnim razem, gdybyśmy się spotkali, publicznie zrobił mi afront.

– Ty wciąż chyba nie doceniasz mojej mocy. Uważaj, co ci powiem: d'Urbec nikomu nie ufa, a to znaczy, że jest samotny. Sprawię, że się w tobie zakocha, zobaczysz, nie będzie w stanie odmówić ci czegokolwiek. O, zdradzi ci większe tajemnice, niżli ten karciany sekret! Powiedz, czy zostawił u ciebie coś osobistego, jakąś rzecz, której używał? Będzie mi to potrzebne. To i jeszcze pukiel twoich włosów. – Wspomnienie publicznej zniewagi było wciąż tak dotkliwe, że wywołało we mnie mściwe postanowienie: teraz ja ci pokażę, panie d'Urbec! Za pomocą czarów La Voisin rozkocham w sobie Lamotte'a i będę z nim paradować tobie na złość.

– Chyba mam coś takiego. Sylvie, przynieś chusteczkę. Leży w szufladzie toaletki.

– O! – zdziwiła się La Voisin, biorąc do ręki wyperfumowaną chustkę Lamotte'a. – Dziwnie pańskie maniery jak na galernika. – Rozwinęła starannie złożoną chusteczkę i obejrzała ją bacznie z obu stron. Na szczęście pozbawiona była monogramu.

– Cóż, studiował kiedyś prawo...

– No tak, to pewnie dlatego. – Wzięła od Sylvie odcięty przez nią kosmyk moich włosów, zawinęła go w chustkę i wstała. Kiedy wyszła, poczułam się tak jak wtedy, gdy zapisywałam w notatniku swoje „próby”. „Próba nr 1: Czy La Voisin za pomocą swoich czarodziejskich sztuczek zmusi Lamotte'a, żeby się we mnie zakochał? Zobaczymy.

– Ten śmieć! Ta nędzna kreatura! I ona ma czelność myśleć, że mnie wysadzi z siodła! – już wchodząc w bramę Wersalu słyszałam wrzaski La Montespan dobiegające aż tutaj z jej dwudziestopokojowego apartamentu. Po kiego licha był cały ten pośpiech, zżymałam się na nią w duchu. To ja odprowadzam klientki i pędzę na złamanie karku tym jej piekielnym powozem po oblodzonych drogach, a ona teraz każe mi czekać pod drzwiami jak pokojówce! Ha, może i lepiej siedzieć tu niż w środku, zreflektowałam się słysząc brzęk tłuczonej porcelany. Pewnie znów rzuciła czymś o ścianę. Ostrożnie zerknęłam przez uchylone drzwi: La Montespan krokiem rozwścieczonej tygrysy krążyła po złoto-błękitnym kobiercu, z furią kopiąc przy każdym nawrocie zawadzający jej tren.

– Nigdy go nie dostanie! – wrzasnęła, wygrażając pięścią w stronę okna. Od jej gniewu zdawały się drzeć nawet szyby. Zauważyłam, że ma luźniejszą sznurówkę: kolejna ciąża zaczynała stawać się widoczna. Krótkie pojednanie dobiegło końca i kapryśny kochanek znów zapragnął nowego trofeum. – Nie oddam wszystkiego, co zdobyłam, tej nakrapianej intrygantce, tej obłudnej, afektowanej kanoniczce!

– Madame, przybyła wróżka – ostrożnie zaanonsowała któraś z dam dworu; wszystkie przezornie trzymały się w bezpiecznej odległości. La Montespan żywo spojrzała w stronę drzwi.

– Ach, to ty! Czarna wyrocznia! – w wykrzywionej wściekłością twarzy faworyty czał się strach. – I dlaczego ja stale zwracam się do ciebie? Jak myślisz, hę? Bo ty jedna mówisz mi prawdę, inni lżą jak psy. Ja zaś teraz potrzebuję prawdy, aby poukładać plany. – Ucichła. Ten nagły spokój zdawał się groźniejszy niż wściekłość. Postąpiwszy kilka kroków naprzód, rozkazała stojącemu w gotowości słudze: – Stołek i woda dla pani markizy de Morville! I wszyscy precz! Chcę zostać sama ze swoją zgryzotą. – Pokojówki natychmiast wywiało za drzwi jak garść zeschniętych liści, w salonie zaległa cisza. Padająca z okna smuga światła rzeźbiła lśniącą ścieżkę na stole z litego srebra otoczonego kręgiem kunsztownie odlanych srebrnych krzeseł. Na stole uroczyście tykał rzeźbiony zegar. Rozłożyłam swe kabalistyczne płótno tuż przed dwiema obnażonymi nimfami podtrzymującymi jego tarczę. Jakaś służąca przyniosła mi poślaczony stołek wyściełany błękitno-srebrną poduszką, inna srebrny dzban z wodą. Teraz i one wycofały się na paluszkach, bezszelestnie zamykając za sobą wielkie dwuskrzydłowe drzwi.

Zasiadłam do wróżby.

– Madame ma zaszczyt oczekiwać dziecka jego królewskiej mości – powiedziałam cicho, by nie doszło to do uszu stłoczonej za drzwiami służby.

– Tak, tak, wiadomo, cóż to za prorocstwo! Chcę wiedzieć, kiedy mnie odsunie, szczerką jednak o tym wszystkie dworskie kundle. Podsuwam mu swoje pokojówki, własne siostrzenice, ale już i tego nie dość! To wilczy apetyt, Bóg mi świadkiem! Ach, jak on rani mnie swym zachowaniem, czuję, że chce mnie zniszczyć! – Ciekawe, czy już się radziła tej z rue Beauregard, jakim sposobem usunąć rywalkę, przeszło mi przez myśl. – Bez żadnych interpretacji! – rozkazała. – Mów tylko to, co widzisz. Muszę wiedzieć. Nie zamierzam pokornie czekać na własną klęskę. Jeśli nie chce być mój, nie dostanie go żadna, przysięgam. Mało to lat dźwigam na sobie jego cuchnące cielsko? O, wiele jest mi winien, bardzo wiele! A jeśli zdaje mu się, że skończy ze mną tak jak z innymi, to się myli. Ja nie dam się żywcem замуrować. Potrafię grać nie gorzej od niego. Zobaczymy, kto wygra tę partię. – Przynęła sobie bliżej srebrny fotel i usadowiła się wśród miękkich, obszytych brokatem poduszek. Słyszałam, jak ciężko oddycha, a zerknąwszy ukradkiem znad czary, dostrzegłam, że drżą jej ręce.

– Widzę madame de Ludres wchodzącą do jakiegoś pomieszczenia. Ubrana jest w błękitną przedpołudniową suknię, aksamitną. Ma na sobie naszyjnik z ogromnych diamentów i takie same bransolety...

– Przeklęty! To mój naszyjnik! To ja powinnam go dostać!

– Wszyscy wstają...

– Niech ich piekło pochłonie, ich i tę diabelską sukę! Jakich użyła uroków, by go znieść? Nie, ja do tego nie dopuszczę. Pierwej z nią skończę. – Pochyliła się naprzód i syknęła szeptem nabrzmiałym groźbą: – Powiedz, czy to ona pozbawi mnie nagrody należnej za tyle lat służby? Popatrz raz jeszcze w czarę. Czy to ona wydrze mi tytuł diuszesy?

Powtórnie zamieszałam wodę. Szklana czara załśniła refleksem złotej wstążki przy sukni madame de Montespan, która całym ciałem wychyliła się naprzód, by patrzeć w wodę. Zza drzwi niósł się szelest odzieży i stłumione szuranie nogami, ale ona tego nie słyszała. W jej postarzałej twarzy, naznaczonej już lekką opuchlizną ciąży, żyły tylko te przedziwne oczy koloru akwamaryny.

– Uśmiechasz się... Co widzisz? – wyszeptwała.

– Rzecz, która ucieszy cię, pani. Madame de Ludres wstępuje do zakonu. Nie wiem, co to za klasztor, widzę tylko, że stoi przed ołtarzem i że obcinają jej włosy. – La Montespan chwyciła się za serce i wybuchnęła śmiechem.

– A więc to ja zwyciężę! – wykrzyknęła uszczęśliwiona.

– Na to wygląda, madame.

– Ty też wyglądasz na zadowoloną. Czy i tobie ta obłudna kanoniczka wydaje się odpychająca?

– Pani de Ludres nie słynie z wdzięku ani miłosierdzia. – Madame de Montespan zerwała się z miejsca i okręciła kilka razy dookoła jak mała dziewczynka.

– Ach, madame, odmłodziła mnie twoja wróżba! – krzyknęła, podbiegając do lustra i przybliżywszy twarz do tafli, zaczęła ją pilnie studiować. – Tak! Już wyglądam młodziej! Spójrz, znikają mi zmarszczki! – Odstąpiła o krok od zwierciadła i przyjrzała się całej postaci, w taki sposób skręcając biodra, aby wyglądały szczuplej. – Och, gdybyż ten brzuch mi nie rósł! – wygładziła suknię, aby też i talia wydawała się węższa. – Dla niego, uważasz, robię się zbyt ciężka. „Grube nogi są takie brzydkie”, powiedział mi kilka dni temu. Wyobrażasz sobie, jak mnie to zabolalo? Po sześciorgu żywo urodzonych dzieciach talii mogłaby mi pozazdrościć niejedna młódka, a on powiada, że mam grube nogi! A jego brzuch? Myślałby kto, że płaski! Akurat. Zaczyna mu już obwisać jak piersi starej baby. A mnie chciałby zamknąć w klasztorze! Ha, nigdy! Ja ci to mówię! – Odwróciła się do lustra. Dobrze, wolałam nie patrzeć na jego tafle poznaczoną wielkimi plamami szkarłatu... – Otwórz drzwi, madame, niechaj wpłynie tu świeże powietrze! Zaraz pošlę po masażystkę. Zanim dziecko przyjdzie na świat, moje nogi odzyskają młodość, tak jak dziś wróciła ona mojej twarzy!

Pokojówki, lokaje i damy dworu z podejrzaną szybkością włączyli się do salonu. Widząc wesołość swej pani, wszyscy natychmiast odetchnęli ulgą. Wysłałam sownie wynagrodzona, z obietnicą tysięcznych łask, kiedy tylko spełni się przepowiednia o upadku madame de Ludres. Bardziej jednak od złota i obietnic radowało mnie co innego. Słuchając miarowego stukotu kopyt na twardej od mrozu drodze myślałam, że teraz mogę znieść już każdy najgorszy nawet afront ze strony tej nadętej małej snobki. Przez kilka najbliższych miesięcy będę miała niezłą uciechę obserwując, jak sfera dworskich intrygantów powoli a systematycznie prokuruje ostateczną klęskę madame de Ludres. W tej grze ci się nie powiedzie, ty kurzy mózdzku. Postawiłaś swój jedwabny pantofelek na zbyt grząskim gruncie! Żal mi było tylko, że nie mogę powiadomić o tym mojej siostry.

W niecały tydzień później otrzymałam bilecik, którego treść niemal odebrała mi oddech:

„Mademoiselle, marzenia o tobie nie pozwalają mi zmrużyć oka. Wciąż od nowa przeżywam te chwile czułości, któreśmy z sobą dzielili. Muszę zobaczyć cię znowu, koniecznie i za każdą cenę. Andre.”

– Powiedz temu panu, że się zgadzam – poleciłam chłopcu. Jeszcze tego samego dnia nadszedł kolejny bilet:

„Przyjdź zamaskowana do ogrodów Tuileries jutro o godzinie trzeciej. Spotkamy się w pawilonie. Będę miał na sobie wojskowy płaszcz ze złotymi wyłogami. A. ”

– Madame, sama chyba nie pójdziesz? – spytała Sylvie, cała w uśmiechach na myśl, że znowu zobaczy Lamotte'a.

– Oczywiście, że nie. Nie wszyscy w tym mieście mnie kochają. A jeśli to jakaś zasadzka? Pójdziesz ze mną, Sylvie, Mustafa zaś może niepostrzeżenie krążyć gdzieś obok. Wszak to jego główna specjalność.

– Krąży jak ważka, mąci wzrok jako cień o zmierzchu, a kąsa jak wąż – weselo pochwalił się Mustafa. – Przebiorę się za chłopca. Tak, udam młodocianego czeladnika. O, do diabła! Czyli że jutro przyjdzie mi się ogolić. Twoje szczęście, madame, że masz do usług prawdziwego artystę.

– Wiem, Mustafu, i nader wysoko cenię sobie twoje mistrzostwo – usiadłam przed toaletką. Sylvie wyjęła mi grzebyki i zaczęła szczotkować włosy. Udawałam kamienny spokój, ale serce biło mi jak młotem. A więc Lamotte marzy o mnie po nocach! Czy sprawiła to La Voisin, czy też on sam raptem pojął, że połączyła nas nie tylko obopólna rozpacz, ale i miłość? Nareszcie mam swego rycerza z bajki. Nareszcie. Troszkę już może zużyty, wciąż jednak wart jeszcze grzechu. Cud się spełnił. To mnie pragnie, mnie wybrał spośród tylu pięknych, bogatych arystokratek! Tak długo na to czekałam! Ach, teraz będziemy rozmawiać... wspominać Marie-Angelique, a potem... Potem mi powie, że to mnie kochał od początku, od zawsze, chociaż sam jeszcze tego nie wiedział. Czymże są najpiękniejsze nawet złote loki w porównaniu z głową, która myśli, i czułym, wszystko rozumiejącym sercem?

W nocy prawie nie spałam, nazajutrz zaś całą wieczność zajął mi wybór odpowiedniego stroju. Długą chwilę wpatrywałam się w muślin osłaniający moje różowe cudo, wciąż jeszcze dziewiczo nowe, nie była to jednak suknia na tak wilgotną jesienną aurę. Olśnię go nią później, obiecałam sobie, kiedy mnie zaprosi w bardziej eleganckie miejsce. Na dziś wystarczy coś ciepłego i poważnego, coś na spotkanie przyjaciół... Och, dlaczego mam tyle tej ponurej czerni? Teraz trzeba mi jasnych, powiewnych strojów z mnóstwem kwiatów! Gorączkowo

przetrząsając szafę, przymierzałam jedną suknię po drugiej i coraz trudniej mi było podjąć właściwą decyzję. Sylvie przyglądała się temu w milczeniu, tylko postukujący o podłogę czubek pantofla wymownie świadczył o jej irytacji. Ostatecznie mój wybór padł na wełnianą ciemnozieloną suknię bramowaną czarnym atłasem, którą po namyśle przybrałam pod szyją koronkową chusteczką. Delikatna biała pajęczynka nadała mej toalecie bardziej młodzieńczy wygląd. Narzuciłam na nią szary surowy płaszcz, a na głowę włożyłam zwyczajny kapelusz z szerokim rondem. Całości dopełniała aksamitna maseczka.

– A laska, madame? – Gilles otworzył już drzwiczki powozu, kiedy nadbiegła Sylvie, przynosząc mą wysoką, srebrno okutą laskę.

– Dziś jej nie wezmę.

– Będziesz mocniej utykać. Z laską prawie tego nie widać.

– Za to każdy rozpozna madame de Morville. Nie! Jedziemy wcześniej, więc gdy nadejdzie Andre, będę już siedziała w pawilonie.

Nocny deszcz przemoczył zwirowane ścieżki i postrzącał chmury martwych liści, które w mokrych, bezładnych stertach zalegały teraz pod drzewami. Z gałęzi wciąż jeszcze kapwały wielkie krople, gdy jednak wysiadłam z powozu, szara opona chmur pękła, ukazując błękitne niebo. Nagły strumień światła odbity w dziesiątkach drobnych kałuż zamienił je momentalnie w błyszczące kawałki srebra. Dobry znak. Wszystko co złe minęło, wreszcie i dla mnie zaświeci słońce; teraz już czeka mnie tylko szczęście.

Lamotte'a długo jakoś nie było. Kiedy w końcu usłyszałam jego kroki, kazałam służbie ukryć się za kępą drzew osłaniających gęstym kręgiem pawilonik.

– Mademoiselle, stokrotnie przepraszam za spóźnienie! – Lamotte z rozmachem szastnęła szkarłatnym kapeluszem, zamiatając piórami posadzkę. Na policzki wybił mi gorący rumieniec; szczęście, że nie widać tego spod maseczki, pomyślałam. – To przez diuszese. Bez przerwy obarcza mnie tysiącami trywialnych poleceń. Cóż robić! Dba za to o mą karierę. Jej łaskawy patronat to szczęśliwa zaiste okoliczność. Któż dziś, nie mając mecenasa, jest w stanie cokolwiek stworzyć? Natchnienie, owa szlachetna gorączka umysłu, nie chce jakoś żywić się suchym chlebem i gotowaną kapustą – urwał i na długą chwilę zapatrzył się w moje oczy. – Marzę o tobie co noc – wyszeptał. – Bez ustanku nawiedza mnie wspomnienie... Ten dzień, ten straszny dzień... i ty.

– Ja... ja też wciąż o tym myślę – wyjąkałam. Gdzie podziało się moje opanowanie, mój słynny

dowcip? Czułam, że jeszcze chwila i zrobię z siebie kompletną idiotkę. Usiadł tuż przy mnie na kamiennej ławce.

– Od tamtego dnia zszarzało wszystko, co mnie otacza. Wszędzie widzę fałsz i powierzchowność. Myślę, iż jest tak dlatego, że przez krótką chwilę dane mi było obcować z prawdą. – Boże, te słowa! Marzyłam o nich całe lata! Chciałam odpowiedzieć i nie mogłam: wzruszenie i radość zamurowały mi usta. – Tyś też musiałaś odczuć niezrównaną doskonałość owej chwili. – Zabrzmiało to jak kwestia szlachetnego bohatera, zwłaszcza że wypowiedziane zostało scenicznie modulowanym głosem. – Szczerłość, oto, czego mi było brak, powiedziałem sobie. W całym moim świecie istnieje jedna tylko kobieta, która ma w sobie szczerłość, dlatego nawiedza mnie jej wspomnienie... pamięć chwili szaleńczego uniesienia... namiętności... rozkoszy. – Przysunął się bliżej, poczułam na szyi jego ciepły oddech.

Szczerłość? – szepnął mój cyniczny umysł, wyostrzony ostatnio jak brzytwa od nadmiaru tureckiej kawy. Tu chodzi o coś zupełnie innego. Nie wierz temu mężczyźnie. Ha, gdybyż nie to moje głupie serce! Pijane radością, że oto nareszcie jestem piękna, kochana i uwielbiana, kazało rozumowi milczeć.

– Czyż nie czujesz – szepnął Lamotte, podczas gdy jego ramię oplótło mą kibić – że dwa nasze serca biją jednym rytmem? To przeznaczenie. – Ująwszy mą dłoń przycisnął ją sobie do piersi, tuż poniżej miejsca, gdzie tykał kosztowny zegarek. Osłabłam, poczuwszy bicie jego serca. – Pamiętasz nasze pieśczoty?... tak pragnę powtórzyć tę chwilę... musimy ją powtórzyć...

– Nie teraz, nie tutaj. To byłoby nieprzyzwoite – wykrztusiłam ochryple.

– Ach, nie ma w miłości rzeczy nieprzyzwoitych. A ten pawilon, gdyby umiał mówić, wyszeptałby ci tysiące miłosnych sekretów.

– Proszę cię, Andre... nie śmiem, nie mam odwagi... – próbowałam go odepchnąć, brakło mi jednak siły. Więc taką miłość przyniosły mi czary? Puste słowa i samolubną żądzę? A jednak nawet tak myśląc, pragnęłam go nadal. Jego dotyk przenikał mnie dreszczem, sprawiał, że czułam się piękna. Czy działał tu urok rzucony przez La Voisin, czy może odbierała mi rozum niedorzeczna dziecinna namiętność, przez to tak potężna, że nosiłam ją w sobie latami?

– Spędzisz ze mną dzisiejszy wieczór – mruknął, błędząc dłońmi po moim ciele. – Odpraw powóz i służbę. Przy drodze do Wersalu znam pewną cichą oberżę...

– Nnie... nie mogę – wyszeptalam. Pocałował mnie raz, potem drugi i moja wola przestała istnieć. – Tak, o tak, jedźmy! – jęknęłam bliska omdlenia. Nie, ty idiotko! krzyczał rozum.

Odmów mu, nie pozwól! Zajdziesz w ciążę i umrzesz! A niech tam! – radośnie zaćwierkało serce. Pragnie cię najpiękniejszy mężczyzna świata. Czy to ważne z jakiego powodu? Wpędzisz się w nieszczęście! Wszystko zaprzepaścisz, skonasz w ryszotku za tym samym szpitalem, w którym umarła twoja siostra! Ale on cię kocha, kocha, ja to wiem! Wszystko inne nie ma znaczenia! Oj, głupia, głupia, westchnął już tylko bezradnie rozum, gdy Lamotte ująwszy mnie pod ramię poprowadził do swego powozu.

Świece dopalały się z wolna nad resztkami skromnej kolacji. Za otwartym oknem pokoiku na poddaszu leżała głęboka ciemność, z której dobiegało nas tylko ciche granie świerszczy.

– Mademoiselle, rzadko doprawdy można osiągnąć tak doskonałą harmonię uczuć – stwierdził Lamotte, zapinając bufiaste wełniane spodnie. Uderzyła mnie wprawa, z jaką to czynił. – Myślałem, że już nigdy nie uda mi się przeżyć takiego szczęścia – mówił dalej swoim ciepłym barytonem, podczas gdy jego ręce wypróbowanym gestem Wtykały koszulę pod spodnie. – Moja miłość i wdzięczność nie mają granic. – Co takiego było w jego głosie, że wzbudziło we mnie nieufność? Teraz gdy serce miałam syte, rządy znów objął rozum. Posłuchaj go, szeptał. Nadal nie rozumiesz, że cię wykorzystuje? Zaraz sobie pójdzie. I co, nie jest ci przykro?

– Czy... czy zobaczymy się znowu? – spytałam nieśmiało.

– Moja droga, mój skarbie... chciałbym zmieść każdy pyłek sprzed twoich stóp, poświęcić ci swoją muzę! – Dlaczego zabrzmiało mi to tak fałszywie? Dawniej, jeszcze na rue des Marmousets, nie wyczuwałam w nim fałszu. Owszem, ponosiła go fantazja, był jednak szczery, a teraz.... Teraz posłał mi swój czarujący uśmiech i wszystkie wątpliwości znikły. Znowu wierzyłam, że mnie kocha, tylko nie śmie mi tego powiedzieć. Jest wszak, przynajmniej na razie, zależny od swej diuszesy. Ale sercem, sercem należy do mnie.

– Sercem jestem twój i tylko twój – powiedział, jak gdyby czytał w moich myślach – księżna wszelako to osoba bardzo potężna, musimy być zatem ostrożni. Gdy spotkamy się gdzieś publicznie, co niewątpliwie nastąpi, musisz udawać, że osobiście mnie nie znasz.

– Wiem, Andre... – zawahałam się, wymawiając to jakże drogie mi imię. Ileż razy śniłam, że je wypowiadam właśnie w takich okolicznościach. – Rozumiem.

– Ach, jesteś prawdziwym skarbem! W tej kwestii rację miał ten filozof, choć mylił się co do reszty. – Filozof? I znowu d'Urbec. Jak on to robi, że potrafi zaistnieć nawet in absentia, choć nikt go o to nie prosi.

– Filozof? – powtórzyłam głośno, jak gdybym nie wiedziała, kogo ma na myśli.

– Zawsze powtarzał, że szczerłość czyni z niewiasty bezcenny klejnot, nie rozumiał jednak innej rzeczy: że dla każdej kobiety ważniejsza jest cielesna namiętność aniżeli harmonia umysłów.

– Tylko dla kobiety? – zirytowało mnie to stwierdzenie. – Czyżby dla mężczyzn namiętność się nie liczyła?

– Ależ tak. Oczywiście, że również się liczy – odrzekł z protekcyjnym uśmiechem, jakby niezupełnie wierzył w to, co mówi.

– Myślałam, że z was para dobrych przyjaciół.

– Bo to prawda. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi już od szkolnej ławy. Chociaż on zawsze podkreślał, że umysłem mu nie dorównuję.

– D'Urbec jest przekonany, że pod tym względem nikt na świecie nie może się z nim równać.

– Ha, w rzeczy samej! Żebyż przynajmniej tą swoją wyższością nie wykluczał tak ludziom oczu! Niestety, ma ten irytujący zwyczaj. Choćby ta satyra na scenę samobójstwa w moim „Osminie”! Ach, znajomość z pamphleciścą bywa czasem nie nazbyt przyjemna, ale cóż, przyjaciel to przyjaciel...

– Satyra? Masz na myśli ten fragmencik w...

– W tej piekielnej „Satyrze na Parnas”, niech go licha! Jak tylko wpadła mi w oko, od razu wiedziałem, kto ją spłodził! Jego styl, ani chybi. Poznać lwa po pazurach! Nikomu, ma się rozumieć, nie zdradziłem nazwiska autora, ale... hm... ta rzecz krąży teraz po całym mieście. Od czasu gdy została zakazana, idzie jak woda, i to po jakiej cenie! Biskup Nantes musiał zapłacić całe trzydzieści pięć liwrów za egzemplarz! On pierwszy mi go pokazał, a ja już wtedy poznałem, czyje to dzieło! Teraz gdzie nie pójdę, tam każdy cytuje mi to diabelstwo. Jak byś się czuła na moim miejscu? Muszę udawać, że mnie to bawi, gdy tymczasem... – zerwał się nagle z ławy i zaczął biegać po pokoju, z całych sił zaciskając pięści. Na skroniach nabrzmiały mu żyły. – Wyobrażasz sobie? – krzyknął. – Sam nic dotąd nie zdziałał, do niczego nie doszedł, a ma czelność wykpiwać moją twórczość? Pewnie mu się zdaje, że potulnie przelknę tę obelgę! – przypadkiem spojrział na mnie i złagodniał. – Ach, ale dość o tym. Jestem teraz innym człowiekiem. Dzięki tobie. Tchnęłaś we mnie nowego ducha. Toteż następne moje dzieło, lepsze od „Osmina”, subtelniejsze od „Safo”, wzięte będzie z życia. Dam mu tytuł „Teodora”, a pierwowzorem mojej bohaterki staniesz się ty, Genevieve. Ty i tylko ty, boska budzicielko mojej namiętności!

Splonęłam rumieńcem zadowolenia. Ach, mogę nawet zająć w ciążę, jakoś sobie poradzę. Nie

każda stać się może natchnieniem poety, a mnie, właśnie mnie, spotkał oto ten wielki zaszczyt! Radość wprost odbierała mi oddech. Jednak w głowie znów ozwał się cichy głosik: Ejże! A może cała sprawa wygląda zgoła inaczej? Może zastawszy w twym domu d'Urbea, monsieur Lamotte doszedł do wniosku, że jest on w tobie zakochany, że coś was łączy, i dlatego właśnie postanowił cię uwieść. Chce uczynić z ciebie narzędzie swej zemsty na tamtym. Czary, śmiechu warte! I ty, ty mogłaś uwierzyć w jakieś magiczne bzdury? Chusteczka, pukiel włosów, cóż za nonsens! Nie wstyd ci, że tak łatwo pozwoliłaś mu wziąć się na lep? Co gorsza, cała jego kalkulacja opiera się przecież na pomyłce. Lamotte nie ma pojęcia, że poróżniłaś się z d'Urbekiem i że tamten wcale cię nie kocha... Kocha? Śmieszne. Nie może na ciebie patrzeć! Nie szkodzi, wtrąciło się zaraz serce. Zanim Lamotte się tego dowie, zdążysz go już dobrze rozkochać. A tymczasem pogłoska o jego wielkiej miłości obiegnie całe miasto. Nie będzie alkowy, gdzie by nie szeptano o tajemniczej muzie uwielbianego poety. Ach, i to nowe dzieło poświęcone mnie, uznanej piękności, boskiemu natchnieniu, przedmiotowi podziwu i zazdrości wszystkich paryskich salonów! A tobie się zdaje, że on nie wie, o czym marzy każde małe urodziwe dziewczę? Ilu kobietom powtarzał te same słowa? Niestety, i tym razem logikę zagłuszył głos serca. Zawsze był to dość głupi i bardzo hałaśliwy organ.

Reszta jesieni upłynęła mi w promiennej aurze wielkiego romansu. Ołowiane chmury, zimne i wilgotne podmuchy wiatru pędzącego rynsztokiem chmury zeschniętych liści, wielkie krople deszczu melancholijnie padające z wysokich dachów – wszystko to wydawało mi się skończenie doskonałe, odkąd stałam się muzą natchnionego poety. Wypatrując go z okna, rosłam w dumę: jest mój. Syciłam nim swoją próżność. Jak wspaniale było siedzieć przy kominku, czytać Horacego i czekać na wiadomość od najpiękniejszego mężczyzny Paryża! Widywałam go niezbyt często. Niełatwo mu było uciec od swoich obowiązków, swojej diuszesy, swojej twórczości, od uczestnictwa w życiu i uciechach wielkiego świata. Niekiedy krzyżowały się nasze ścieżki w którymś z wytwornych salonów. Udawaliśmy wtedy, że się nie znamy, ja zaś karmiłam spragnione serce każdym podsłuchanym słówkiem, jeśli poświęcone było jemu.

– Spójrz, moja droga, to kawaler de la Motte. Prawda, jaki przystojny? Mówi się, że pracuje nad dziełem, które świetnością przewyższy „Safo”. Oficjalnie zadedykował je księżnej, ale słyszałam, że za model służy mu kto inny... Podobno rozmiłował się w niej do szaleństwa!

– A wiesz, co to za jedna?

– Nikt tego nie wie, jest niezmiernie tajemnicza. Niektórzy utrzymują, że może to być Ninon de Lenclos.

– O nie, jest wszak już na to za stara! Ta jego muza ma być podobno jakąś niezwykłą pięknoscia.

Słowa te brzmiały mi w uszach rozkoszniej niżli muzyka.

Pewnego razu Lamotte zjawił się u mnie o północy, przynosząc najnowsze strofy „Teodory”. Zaraz też przybrał bohaterską pozę i zaczął mi recytować tragiczną tyradę zrozpaczonej władczyni. Wpatrzona w migotliwe ogniki świec odbite w szklaneczkach z winem, słuchałam uroczystego rytmu aleksandrynów, myśląc zarazem o tym, jak rozkosznie jego ciepły, wibrujący baryton pieści heroiczną strofę.

– O, ileż w tym natchnienia! – wykrzyknęłam, gdy skończył. – Pióro twe idzie o lepsze z talentem Racine'a! Ach, a ta tragedia usunie w cień dzieła wielkiego Corneille'a. – Prawda, że utwór mógł wydawać się miejscami nudnawy, ale ponieważ był o mnie, podbił moje serce bez reszty. Nie mogłam się go nasłuchać. Tak już uległam rwącej fali uczuć, że przeżyłam prawdziwe rozczarowanie, kiedy moja miesięczna przypadłość pojawiła się dokładnie w wyznaczonym czasie, zdążyłam już bowiem dojść do wniosku, że miło byłoby mieć dziecko, niechby nawet i kosztem moich dochodów. Może gdyby Andre miał ze mną dziecko, dłużej przesiadywałby przy mym kominku, czytając mi swoje wiersze. Ach, mogłabym ich słuchać całą wieczność!

– Mówisz, że talentem mogę konkurować z Racine'em? O, jestem dużo od niego lepszy! Wiesz, ilu narobił sobie wrogów swoim jadowitym piórem? Ponadto w jego sposobie portretowania postaci wyczuwam pewne prostactwo. Weź chociażby scenę, kiedy to Aleksander wraca ze stajni. Czy ktokolwiek szlachetnie urodzony, prawdziwy arystokrata, sam zajmuje się karmieniem koni? Przyznaj, że widać tu zupełny brak poloru. Na milę trąci to mieszczaństwem!

– Drogi Andre, co byś powiedział, gdyby nasza miłość wydała owoc?

– Cco?... Dziecko? Czyżbyś była w ciąży, na litość boską?

– Na razie nie, ale... gdyby tak się stało?

– Och, więc nie jesteś! – odetchnął z ulgą. Wyjął z rękawa chustkę i otarł spocone czoło.

Przyznam, że w owej chwili wzięłam to za wyraz troski o mą osobę; opanowało mnie wzruszenie.

– Madame, ostatnimi czasy masz nazbyt różową cerę – cierpko zauważyła Sylvie. Ona dla odmiany zrobiła się ostatnio bardzo uszczypliwa. – Musiałam posłać do La Trianon po to gęściejsze bielidło.

– To dla kobiet z dziobami po ospie? Równie dobrze mogłybyśmy użyć gipsu! – zachichotałam.

– Śmiej się, śmiej. Stracisz połowę dochodów, gdy przestaniesz przypominać zwłoki, a wtedy madame zechce się dowiedzieć dlaczego. Mustafa, idź zobaczyć, kto przyszedł! Mam nadzieję, że to klientka, a nie znowu jakiś kupiec z rachunkiem!

– Tym razem to klientka – zaanonsował po chwili Mustafa. – Jakaś służąca prosi, aby madame de Morville zechciała odwiedzić jej panią. Jutro po południu, gdy pan domu będzie nieobecny.

– Gdzie mieszka?

– Na wyspie Cite, rue des Marmousets, rezydencja „Pod Maszkaronami”. – Ach! W końcu się stało!

– Kim jest ta osoba! Nic mi o niej nie wiadomo.

– Ja ją znam, madame – wtrąciła się Sylvie. – Kiedyś była stałą klientką madame Montvoisin, teraz jednak choruje, tak że wcale nie wychodzi z domu. Ogromnie ufa astrologom. Nazywa się Pasquier i jest wdową. Musiałaś o niej słyszeć! Była kiedyś całkiem modną damą, chociaż nie należała do dworu.

– Chyba słyszałam gdzieś to nazwisko. – No pewnie. Znam cię aż za dobrze, moja ty kochająca matko! Wiem, jaki z ciebie potwór: zdrajczynie własnych córek, trucicielka. – Powiedz tej służącej, że przyjdę jutro punktualnie o drugiej. – O tak, przyjdę na pewno. I przyniosę ci tę samą truciznę, którą wykończyłaś ojca. Tego wymaga sprawiedliwość. Tak, do diabła, sprawiedliwość! Wiedz, że to zrobię, a potem – potem niech się dzieje co chce!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Oślonięta gęstym welonem pozwoliłam prowadzić się Suzette, zahukanej pokojówce mojej matki, która przez te dwa lata bardzo się postarzała i jeszcze bardziej przygasła. Dom wydał mi się dużo mniejszy, przeraźliwie stary i wilgotny; czuło się, że jego ściany kryją w sobie mroczne tajemnice. Trudno było sobie wyobrazić, aby w tych zimnych, zatęchłych pokojach mógł kiedykolwiek rozbrzmiewać śmiech dzieci. Czy zarumioniona Marie-Angelique z włosami lśniąco złotymi w wiosennym słońcu naprawdę chowała się tu za firanką, chichocząc z uciechy na widok urodziwego młodzieńca, który utkwivszy wzrok w okno, grał jej na gitarze serenady?

– Madame źle się czuje, a jej syna nie ma dziś w domu – wyjaśniła na wstępie Suzette. – Moja pani wiele słyszała o twych cudownych przepowiedniach dla hrabiny du Roure i diuszesy de Bouillon. Ona sama przeżywa ostatnio trudne chwile. Nęka ją jakaś dziwna dolegliwość, która choć czasem ustąpi, szybko jednak potem wraca. Nie pomagają na to ani lekarze, ani księża. Spokój ducha przynoszą jej już jedynie astrolodzy i chiromanci – w bezbarwnym głosie Suzette słysząc było wielkie znużenie.

Przed drzwiami dawnego pokoju babci naszła mnie fala strachu: Suzette zmyliło moje przebranie, ale czy zmyli matkę? Bałam się jej bystrych oczu. Kaletka z czarą i małym zielonym flakonikiem zaciążyła mi nagle w rękę. Nawet ciężka suknia markizy de Morville nie tłumiała głośniego bicia mego serca.

– Czy to ty, Suzette? Przyprowadziłaś devineresse? – W siedzącej na łóżku postaci wpatrzony nieruchomym wzrokiem w okno z trudem rozpoznałam matkę. Zapamiętałam ją jako wciąż jeszcze urodziwą osobę w średnim wieku, teraz zaś miałam przed sobą kompletną ruinę. Jakaś choroba – byłóż to schorzenie ciała czy duszy? – strawiła całą jej dawną urodę. Ciało miała nalane, rysy zniekształcone dziwnie odrażającą opuchlizną; mleczna niegdyś cera pozółkła i nabrała tłustego połysku. Kiedy zwróciła głowę ku drzwiom, zobaczyłam jej oczy: wysadzone na wierzch, załzawione, tkwiły nad pagórkami opuchlizny jak wezbrane jeziora mętnej wody. Obracały się w naszą stronę, lecz patrzyły gdzieś obok zagubionym spojrzeniem osoby nieprzytomnej bądź obłąkanej – prawie ślepej.

– Pani źle widzi. Musisz, madame, podejść bliżej.

– Widzę bardzo dobrze, Suzette. Wyraźnie widzę w oknie jasność. Wprowadź devineresse.

Niemіłosiernie zagracony pokój tonął w kurzu. Między meble babci były jak poupychano

rzeczy matki: drugą szafę – otwartą teraz na oścież – ze stertami starych łachów, drugą toaletkę, zarzuconą mnóstwem porcelanowych słoiczków, flakoników i puzderek, wreszcie niewielką serwantkę z dawnego gabinetu ojca. Na półkach widniała bezładna kolekcja bibelotów i porcelanowych figurynek, a obok nich z pół tuzina pokrytych kurzem książek. Z równie zakurzonych starych kotar osłaniających wielkie łóżko bił słodkawy odór choroby, przesycając sobą cały pokój. Czerwone niegdyś ściany zbrązowiały, a ich wzór nabrał barwy ołowiu. Czy to możliwe, aby w tym zapadłym, brudnym, starym łóżku mogła kiedykolwiek leżeć moja babcia, tak zawsze schludna w swoim czyściutkim czepeczku i pachnącej lawendą pościeli?

– Usiądź tam... nie, nie w fotelu, na stołku – odezwała się matka; głos też jej się zmienił, brzmiał teraz jak pęknięty garnek, nie zmieniło się tylko jedno: jej snobizm.

Wbrew poleceniu usiadłam w fotelu.

– Nie słyszałam wysuwania stołka – rzuciła podejrzliwie.

– Madame, zajęłam miejsce w fotelu, jestem markizą. Nazywam się de Morville.

– Nie słyszałam o takiej rodzinie. Morville... To nazwisko rodowe czy po mężu?

– Po mężu, obecnie jednak jestem wdową.

– Ach, zaledwie wdową... A jak się nazywasz z domu?

Szybko wyrecytowałam fałszywy rodowód sfabrykowany przez monsieur Boucheta. Genealogiczne potyczki o pierwszeństwo były rzeczą zwykłą wśród możnych, ja zaś dzięki dworskiemu obyciu umiałam je rozgrywać po mistrzowsku.

– Ja jestem z domu Matignon. To wielki ród pośród noblesse de Tepëe.

– Ja jednakże posiadam tytuł i również należę do noblesse de Tepëe. Pani fotel, madame, odpowiada mej randze, jest przy tym bardzo wygodny.

– Ach, droga markizo, to prawdziwa przyjemność móc znów porozmawiać z osobą dobrze urodzoną. Tylko my odznaczamy się ową niezrównaną subtelną uczuciem, której nie mają inni – przechyliwszy głowę, potoczyła oczami gdzieś w bok, co w zamierzeniu miało być zapewne dawnym kokieteryjnym spojrzeniem, a w rzeczywistości stanowiło jego żalną parodię. Również jej „srebrny” salonowy śmieszek zmatowiał teraz i ochrypl.

– Rozumiem, madame, iż chcesz się dowiedzieć, co los przyniesie ci w darze.

– Och... Tak, właśnie... – Przez chwilę wyglądała na zdezorientowaną, jakby zapomniała, kim jest. – Czytasz przyszłość z kart, nieprawdaż?

– Nie, madame Pasquier, Bóg obdarzył mnie innym talentem. Wróżę z wody.

– Suzette, zostaw nas teraz same – rozkazała matka. Jej nagły półuśmieszek zdradzał nerwowe wyczekiwanie. Z miną konspiratora zaczęła obracać głowę, po czym uznawszy widocznie, że nikt nas nie podsłuchuje, powoli oblizała wargi. Wyjście Suzette było mi bardzo na rękę: mogłaby mnie rozpoznać, gdyby dłużej posłuchała mego głosu.

– Wiedz, madame, że nie zawsze żyłam tak jak teraz – oznajmiła matka. – Oglądasz mnie w starej sukni i pożałowania godnym otoczeniu, spójrz jednak na moją cerę – dotknęła ręką żółtego policzka – widzisz, jaka biała? Zawsze byłam wielką pięknoscią. Mogłam zostać diuszesa, wywróżyła mi to pewna Cyganka, niestety... Zanim ta przepowiednia mogła się spełnić, rodzice postanowili wydać mnie za mąż dla pieniędzy, za człowieka bez pozycji, parweniusza! Gdy przyszło mi zamieszkać w tym okropnym domu – pogardliwie zatoczyła ręką – starałam się wnieść tu światło, kulturę, dobry gust. Człowiek, który ma te rzeczy we krwi, robi co może, by ich nie utracić, nawet kiedy nikt tego nie docenia. Powiedz, co tam stawiasz na toaletce? Czy to czara wróżby?

– Tak, muszę poczynić pewne przygotowania, ułożyć kilka przedmiotów. Czy widzisz je stamtąd, madame?

– O tak, bardzo dobrze. Widzę światło i cień. Ciebie, madame, dostrzegam jako ciemną sylwetkę, przestałam tylko odróżniać małe przedmioty. Niektórych nie widzę już wcale, na przykład liter. Czy wiesz, madame, co uczynił mój syn? Zamknął mnie w tym pokoju z mnóstwem książek! Religijnych. „Co robisz, ty łotrze, wiesz przecież, że tymi oczami nie odczytam już ani słówka!” „Zatem módl się, madame – on mi na to. – Proś Boga o pomoc dla swojej zbłąkanej duszy.” O, ale nie puściłam mu tego płazem. Kiedy zaczął gadać o honorze Pasquierów, jaka to niby ważna rodzina, prawnicza!, usłyszał on ode mnie! „Co ty sobie myślisz, głupcze? Czy dlatego, że nazywasz się Etienne Pasquier, musisz być synem tego prostaka, mego męża? Lepsza krew w tobie płynie, więc zachowuj się jak przystało na kogoś lepszego. Przypasz do boku szpadę i zacznij bywać na dworze, staraj się pozyskać sobie względy.” Niezłe nim to wstrząsnęło, tylko że po tym wszystkim zrobił się jeszcze gorszy. Nie pozwolił mi nawet poznać swojej narzeczonej. O, ale wiem, dobrze wiem, co wygaduje!

Matka z chytrą miną odwróciła głowę w stronę drzwi, jakby nasłuchiwała odgłosu czyichś kroków.

– Mój syn powiada, że jestem obłąkana – wyszeptała. – Mówi to wszystkim znajomym. Wyobrażasz sobie, madame, co to za niegodziwe monstrum? Żeby matkę, co go wykarmiła,

nazywać wariatką! Powinam go była jeszcze w kołysce udusić własnymi rękami.

– Cóż, madame, każdemu poniewczasie zdarza się czegoś żałować.

– Poznaję cię po głosie, Marie-Angelique – powiedziała nagle. – Przyniosłaś pieniądze? Tak strasznie brak mi pieniędzy. Zapewniłam ci świetny los, więc teraz ty powinnaś o mnie zadbać.

– Twoja wróżba, madame. Przyszłam przepowiedzieć ci przyszłość.

– Ach tak. Wiesz, ma przyjechać po mnie kawaler de la Riviere. Jak długo przyjdzie mi jeszcze czekać? Przysiągł ożenić się ze mną, gdy tylko zostanę wdową. Powiedz, czy to jego słyszę tam, na ulicy? Czy to jego powóz? Koniecznie muszę się odświeżyć, chcę wyglądać dla niego jak najpiękniej. Przyjedzie poszóstną karetą, więc siedzę przy oknie i czekam. Gdybym tylko wiedziała kiedy!... Słuchaj, wy, wróżki, zawsze macie przy sobie takie różne rzeczy... na podniesienie urody... przyniosłaś mi coś takiego? On zawsze mawiał, że uwielbia mnie w złotych jedwabiach, ale potrzebuję jeszcze czegoś... czegoś...

Teraz. Mogłam dać jej teraz ten flakonik. Powiedzieć, że to eliksir. Wystarczy go wypić, a odmłodzi jej skórę, przywróci blask oczom. Mówiłam sobie, że powinam to zrobić. Mój ojciec leży w grobie i to ona go zamordowała. Na zimno, z premedytacją. Daj jej ten flakonik, Genevieve, spójrz, sama cię o to prosi. Spojrzałam. Błędne, niewidzące oczy, szukały mej twarzy, rozchylone wargi drżały w oczekiwaniu.

– Nie, madame, ja tylko przepowiadam przyszłość, po środki upiększające musisz się zwrócić gdzie indziej. Mogę ci polecić bardzo elegancką perfumierię na Pont Notre-Dame.

– Jakie to szczęście, że mimo tylu cierpień nadal jestem piękna – stwierdziła moja szalona matka. – Tak, tak, on przyjedzie, zjawi się tu niezawodnie. Wiesz, kawał czasu czekam przy tym oknie, ale teraz to już niedługo... Wkrótce tu będzie. Sam mi to przyrzekł. Jak tylko załatwi swoje sprawy w Poitiers. To niedaleko. Doprawdy, winna ci jestem wdzięczność za tak wspaniałą przepowiednię. – Jej pomieszany umysł uznał pewnie własne rojenia za wróżbę. Treści łatwo było się domyślić: Twój ukochany przyjeżdża, by cię stąd zabrać. Mądrze zrobiłaś, żeś otruła męża parweniusza dla wytwornego kochanka. Znowu rozejrzała się na wszystkie strony. Wydawało się, że widzi kogoś, kto niepostrzeżenie zakradł się do pokoju i śledzi wszystkie jej ruchy, a ona stara się chytrze uprzedzić jego działania. Realizując ten zamysł, ruszyła nagle w stronę serwantki, z impetem wpadła na stół, lecz fakt ten jakby całkiem nie dotarł do jej świadomości. – Wystaw sobie, madame – powiedziała poufnym szeptem – że syn nie daje mi żadnych pieniędzy! Mówi, że dość już wydałam. Ha, czy choć jeden mój wydatek miał co innego na celu aniżeli dobro tej rodziny? Pieniądze. Ach, te pieniądze. Nie mogę

zaofiarować ci żadnej zapłaty. Jestem teraz biedna, bardzo biedna. Taką biedę cierpi mnóstwo kobiet. Spieniżyłam swoje dożywocie. Poniosłam dla niego tyle poświęceń, wszystko w tajemnicy. Musiałam, rozumiesz? Ach, jaki to niedobry chłopak z tego Etienne'a! Powiem wszystko temu policjantowi, nazywa się de La Reynie. On zna się na ludziach, wie, kto jest dobry, a kto nikczemny. Ta stara napisała do niego... Wstrętna, niegodziwa wiedźma... Ha, więcej już nic nie napisze!... Widzisz te książki? Będziesz musiała przyjąć je zamiast pieniędzy, na pewno są wiele warte. Ja już i tak ich nie przeczytam. Nie widzę liter. Czytaj i módl się, powiedział ten łajdak. Co on tam wie! Dwadzieścia lat, a taki z niego stary ramol. Pedant, stary, zasuszony pedant! Może i naprawdę Pasquier był jego ojcem? Co on wie o stylu, o tym, jak się żyje na dworze? My obie to wiemy, nieprawdaż, droga markizo?

– O tak, z pewnością. – Zakryłam naczynie płótnem. Nie miałam ochoty oglądać niczego, co by mi mogło ukazać.

– Oto te książki. Możesz po nie sięgnąć? – wyciągnęła rękę w stronę półki, strącając porcelanowego kupidyna, który z trzaskiem rozprysnął się po podłodze. – Ach, już je mam. Weź. Jest ich sześć.

Widok tych książek przyprawił mnie o bicie serca. Stwierdziłam, że trzymam w ręku biblię babci, traktat teologiczny „La mystique citée de Dieu”, pod nim zaś trzy tomy z dawnej biblioteki ojca, jednakowo oprawne w cielecącą skórę, z wytłoczonymi złotem nazwiskami autorów: Arystoteles („Etyka”), Descartes, Seneka... Szóstą, ostatnią książką był... mój Petroniusz! Osobliwy zestaw lektur jak na pokutną medytację, nawet gdyby czytelniczka nie była ślepa. Wszystkie pachniały zastarzałym kurzem i pleśnią. Co szybciej schowałam je do torby wraz z naczyniem.

– To po mnie przybywa kawaler, a nie po Marie-Angelique – oznajmiła matka. – Jestem wciąż piękną kobietą, nie uważasz? – Obdarzyła mnie kokieteryjnym spojrzeniem, unosząc kąciki martwych oczu. Pożółkłe białka przywodziły na myśl wymokłe żabie podbrzusze. To co kiedyś składało się na jej urok, teraz stało się przerażające.

– Tak, madame, oczywiście.

– Święta prawda. Marie-Angelique nie ma tak pięknego koloru włosów. Moje to czyste złoto. A niebieskie oczy są dużo pospolitsze od zielonych. Tylko że jest młodsza, a wytworni panowie lubią młodsze... Ha, dopóty, dopóki który mnie nie zobaczy! Na mój widok każdy wpada w zachwyty. Ale mąż o to właśnie urządził mi awantury, pojmujesz? Krzyczał, że nie chce w domu obcych mężczyzn. – Czulałam, że zaczynam się dusić, że muszę jak najszybciej stąd uciec,

nic z tego, ledwo skierowałam się do drzwi, matka chwyciła mnie za rękaw:

– Tacy są ci mali burżuje – szepnęła mi w samo ucho. – „Ubierz małą w jedwabie, ona i tak pozostanie małą, a ty do końca życia będziesz tylko burżujem”, tak właśnie mu powiedziałam. A potem umarł i z zemsty zapisał wszystko tej małej brzyduli. Mówię ci, taką obmyślił zemstę. Skąd wiedział, że tylko ona jest jego dzieckiem? Diabeł musiał mu to podszeptać. Wszystko jej zapisał, lajdak. Nic z tego, stary draniu, zdechła twoja córunia! Śmiałam się na cały głos, kiedy czytali testament. „Mojej córce Genevieve!” Mężczyzna umierając nie może nic pozostawić żonie, tak mówili prawnicy. Mogą po nim dziedziczyć jedynie dzieci. Ha! Nic po nim nie dostało to małe nic! Nie zdążyło. Sam los z niego zakpił, co, madame? Chciał dosięgnąć mnie ręką zza grobu, no i chybił! – wybuchnęła donośnym śmiechem. Zaraz potem zniżyła głos do szeptu: – Cóż mieli robić uczeni prawnicy? Orzekli, że cały majątek przechodzi na mego syna. I jak mi się za to odplacił ten niewdzięcznik? – potrząsnęła głową. – Podły niewdzięcznik! – Błędne ścieżki, którymi biegły jej myśli, wprawiały mnie w coraz większe przerażenie. Była naprawdę szalona.

I nagle przemknął mi przed oczyma cały korowód wspomnień. Wypływając na powierzchnię krzepły i nabierały kształtów – były jak obrazy w naczyniu wyroczni. Te dziwne spojrzenia matki... jej bezsensowne okrucieństwo, kradzieże i sprzedaż drobnych przedmiotów, upór, z jakim usiłowała uchodzić za arystokratkę. A potem te akty trucicielstwa, dokonywane z jakże zimną krwią w szpitalu dla ubogich i we własnym domu. Nigdy ani śladu wyrzutów sumienia. Czyżby robak szaleństwa zaczął toczyć jej umysł już wiele lat temu? Możliwe, że ojciec wiedział to od początku. Może dlatego zachowywał się tak biernie. Mój ojciec. Człowiek, który zginął z jej ręki. Przebiegła mnie fala nienawiści i obrzydzenia. Zaczęłam niepowstrzymanie drżeć na całym ciele.

– Muszę już iść, madame – powiedziałam, zbierając mizerne resztki opanowania. Znów zaczęła objąć się o sprzęty, szukać czegoś rękami po omacku. Tak odnalazła drzwi i zagroziła je sobą.

– W końcu przyszłaś. Twój głos. Znam go dobrze, Marie-Angelique. Przyniosłaś pieniądze? – Sklamrzając jak dziecko jęła wymacywać sobie drogę w moją stronę. Przystanąłam.

– Tak, matko, przyniosłam. – Wytrząsnęłam całą zawartość sakiewki i wcisnęłam jej w rękę. Skórę na dłoni miała chropowatą, pokrytą brudnożółtymi plamami. Wymacała po kolei wszystkie pięć monet, unosząc każdą pod światło.

– Co? Tylko pięć ludwików? Wstydz się, Marie-Angelique. Znalazłam ci majątnego kochanka, uczyniłam bogatą, ty zła, niewdzięczna córko! Dawniej byłaś inna. Gdzie podziała się twoja

wdzięczność? Tylko najgorsza, najniegodziwsza córka może przynieść matce marne pięć ludwików! Matce, która tyle dla ciebie zrobiła!... Ach, całe szczęście, że wciąż jestem piękna! Poradzę sobie bez ciebie.

Uciekłam. Na Pont Neuf kazałam woźnicy przystanąć. Trzęsąc się jak w febrze dotarłam do poręczy mostu, wcisnąwszy się gwałtem między starą żebraczkę i jakiegoś handlarza słodczy. Wydobyłam morderczy flakonik i wkładając w ten ruch wszystkie siły, cisnęłam narzędzie zemsty do Sekwany, wartko toczącej teraz swoje brudne zielone wody.

Buteleczka dawno zniknęła mi z oczu, a ja wciąż jeszcze stałam w miejscu, wpatrzona w bystry nurt rzeki, poznaczony kręgami zdradzieckich wirów. Obok mnie kłębił się tłum żebraków i wędrownych kupców. Jakiś człowiek, rozłożywszy przed sobą kilkanaście świętych obrazów, wyśpiewywał psalmy na chwałę Pana. Brzęknęła moneta wrzucona do jego kubka. Krzyki tragarzy i woźniców zdawały się z wolna przycichać. Po chwili całkiem przestałam je słyszeć. Byłam tu sama. Ja i ten mały zielony flakonik. Wyobrażałam sobie, że widzę, jak opada na dno. Czy postąpiłam słusznie? Kto to wie? Kto wie z całą pewnością, czym jest Słuszność i Sprawiedliwość? Jeśli na jednej szali położyć Zemstę, a na drugiej Litość, która z nich przeważy? Która powinna przeważać w świetle rozumu i logiki? O, monsieur Descartes, na te pytania nawet ty nie udzielasz odpowiedzi!

– Madame, skakać do rzeki to zbrodnia, a stać bez celu na takim zimnie całkiem nie ma sensu. Odeślij powóz, a ja odprowadzę cię do domu. – Stojący za mną mężczyzna miał na sobie wełniany szkarłatny płaszcz skrojony według najświeższej mody oraz szeroką, haftowaną złotem opończę. Spod rażąco nowego kapelusza przybranego wielkim pękiem piór spływały mu aż do ramion obfite pukle ciemnej peruki. Para znajomych oczu spoglądała na mnie z mieszaniną niechęci, litości i chyba skrytego żalu. D'Urbec.

– Niestety, monsieur d'Urbec, nie mogę w tym stroju iść pieszo taki kawał drogi.

– Ostatnimi czasy dysponuję ekwipażem. Wynajmuję go zresztą u tego samego przedsiębiorcy, co i ty – rzucił z lekką ironią, składając mi równocześnie nader ceremonialny ukłon.

– Czy pan mnie śledził? – spytałam podejrzliwie.

– Nie. Jednakże, jak ci chyba wiadomo, wdowa z epoki Henryka IV przyciąga spojrzenia ciekawskich. Zwłaszcza gdy rzuca rybom kosztowną buteleczkę perfum, a później posepnie tkwi na moście, znacznie dłużej niż to wypada. Powiedz, czy zamierzałaś wypić zawartość tego flakonika? – spytał ciszej.

- Ach nie! Zapach wydał mi się zbyt wulgarny, ot i cała rzecz.
- Są lepsze sposoby na rozwiązanie umowy z Królową Ciemności.
- Co? Ty ją także nazywasz Królową Ciemności?
- Takie określenie narzuca się samo każdemu, kto ma odrobinę inteligencji. To plus kilka podobnych. Bogini Podziemia. Pani Wiedźma. Władczyni Czarownic. Państwo Króla Słońce ma swoje ciemne miejsca, a ja znam je bardzo dobrze. Ilu lat służby żąda od ciebie za wszystkie te... hm... dostatki? – wskazał palcem na moją suknię i stojący w pobliżu powóz. – Siedmiu? Dwudziestu?
- Tylko pięciu. Zważywszy, ile dla mnie zrobiła, wydaje się to całkiem uczciwą wymianą.
- Tak? A co potem, gdy te pięć lat dobiegnie końca?
- Nie myślisz chyba, że wzorem Belzebuba zabierze mi wtedy duszę? Nie, nasz związek to zwykły interes, oparty na obopólnych korzyściach. W ustalonym terminie nasza umowa wygaśnie i każda pójdzie w swoją stronę.
- Jesteś tego pewna? Wszystkie działające w tym mieście perfumiarki, fryzjerki, wróżbitki, a nawet przedstawicielki bardziej pikantnej profesji związane są z jakąś potężną panią podziemia, wśród nich zaś ta twoja jest bodaj najpotężniejsza. Wszystko wskazuje na to, że takie związki mają charakter dożywotni.
- Ach nie, to tylko przyjaźń łącząca ludzi, którzy świadczą sobie nawzajem usługi. Nawet król dba o swojego cukiernika, który dzięki temu świetnie prosperuje. Tu jest tak samo. W każdej profesji wygodnie jest mieć patrona. Im potężniejszy, tym lepszy.
- Hej, ty tam! – rozległ się gromki okrzyk. – Ruszaj! Zagradzasz drogę czcigodnemu kardynałowi Altieri!
- Nie warto ryzykować stratowania, musimy więc przerwać na razie nasz dyskurs – stwierdził d'Urbec, prowadząc mnie do swego powozu. Po drodze wręczył napiwek memu woźnicy i kazał wracać do domu. Ruszyliśmy z miejsca, by prawie zaraz przy Quai de Gevres utknąć wśród wozów z piwem, płatnych wyrobników i przekupek.
- Teraz gdy nikt nas nie widzi, spójrz mi w oczy i powiedz, że w tej buteleczce nie było trucizny – zażądał d'Urbec, opierając się o poduszki. Siedziałam naprzeciwko z półprzymkniętymi powiekami.
- Była – wyznałam otwarcie. Milczał. Widząc jego surową minę, spróbowałam obrócić

wszystko w żart:

- Nie chciałam jej już dłużej przechowywać. Taka rzecz nie przystoi filozofom.
- Ciekawe, ile dziś w tobie adeptki filozofii, a ile czarownicy – zapytał zwodniczo niedbałym tonem.
- Na pewno za mało czarownicy.
- Jednym słowem mała jędza. Nic się nie zmieniło.
- Można by tak powiedzieć.
- Można by, owszem, gdyby nie twój romans z Lamotte'em.

Musiałam zbyt wyraźnie okazać swoje zaskoczenie, bo zaraz dodał:

- Daj spokój, nie spodziewałaś się chyba, że wraz z połową Paryża będę głowił się nad tym, co to za piękność przynosi mu dziś natchnienie. Dla mnie to żadna zagadka. Domyślałam się, jak bardzo pochlebia ci rola muzy, a on jaką ma uciechę, woskując rankiem swoje słynne wąsy! Założę się, że patrzy w lustro i woła: „No i co, d'Urbec? Który z nas bystrzejszy? Czyż ci nie mówiłem, że nawet filozofia uklęknie w końcu przed wdziękiem?” – Przeraziła mnie jego gryząca gorycz.
- Ty... ty też się zmieniłeś. Twój wygląd... chyba świetnie ci się powodzi.
- Zawdzięczam to wyłącznie naukowemu podejściu do gry w karty. Poczulem, wiesz, w pewnej chwili nieodpartą potrzebę zdobycia bogactwa, postanowiłem więc wykorzystać w praktyce pewną zasadę matematyczną, którą kiedyś zdarzyło mi się odkryć. Dotyczy ona prawdopodobieństwa pojawienia się danej karty w jednej rozgrywce i podczas kilku kolejnych. Moje założenie okazało się słuszne. Czasem zdarza mi się przegrać, przeważnie jednak wygrywam ku zdumieniu nieświadomych niczego ignorantów. Myślą oni, że zawarłem pakt z diabłem.
- A tymczasem twój diabeł to logika i rozum. Twój przeciwnicy byliby tym ciężko rozczarowani.
- Gdybym nawet opublikował wspomnianą zasadę, umieszczając jej opis na pierwszej stronie „Gazette de France”, nic by im z tego nie przyszło. W całej Europie jest zaledwie pół tuzina takich, którzy potrafiliby ją zastosować. Teoretycznie. Praktycznie byłoby ich mniej, bo znakomita większość zupełnie nie interesuje się grą w karty.
- Widzę, monsieur d'Urbec, że nadal żywisz bardzo wysokie mniemanie o własnej inteligencji.

– Myślę, że takie akurat, jak trzeba. Wszystko na świecie, łącznie z ludźmi, może być przedmiotem analizy matematycznej. Na razie udało mi się wejść na salony dzięki znajomości najprostszego z możliwych prawideł: każdy, kto gra wysoko, jest wszędzie mile widziany. Gdy zgromadzę wystarczającą sumę, kupię parę urzędów poboru podatków i dopiero wtedy dam się poznać w największym ze wszystkich salonów gry: w świecie wielkiej finansjery.

– Zdawało mi się, że nienawidzisz jej przedstawicieli.

– Moja nienawiść czy miłość nie mają żadnego znaczenia. Nie są w stanie zmienić niczych losów w tym królestwie. Zanim zyskam na to jakiś wpływ, staram się uczyć. Znam już każdy boczny zaułek, w którym kryje się szybki pieniądz. To chyba główna korzyść płynąca ze studiów nad ekonomią polityczną – zakończył twardo. Był w jego głosie taki ładunek goryczy, że każdym by to wstrząsnęło, nawet mną.

– Coś niedobrego dzieje się z tobą, Florent. Czy coś się stało? Jak zakończyła się sprawa z twoim bratem?

– Mademoiselle, jesteś jak zawsze bardzo przenikliwa. Olivier nie żyje – powiedział ostro. – Najzdolniejszy z całej rodziny. Stracono go w tym tygodniu w Marsylii po wszystkich możliwych apelacjach, jakie byłem w stanie założyć. Zostawił nam w spadku pełną szafę projektów nowych wynalazków w dziedzinie mechanizmów zegarowych, w tym także nowego samoczynnego zapalnika do machin piekielnych. Zawisł na szubienicy jak zwykły wieśniak. Przyłożyłam rękę do ust, by nie krzyknąć.

– Mój Boże, jakże mi przykro. – Teraz zrozumiałam, skąd te czarne kręgi pod jego oczami i zapadnięte policzki. Nie był tak mizerny, gdy widziałam go ostatnim razem. Przez resztę drogi siedział w milczeniu, najwidoczniej błędząc myślami gdzieś daleko; ja przyglądałam się swoim splecionym dłoniom. – Chciałbyś może wejść na chwilę? – odważyłam się spytać dopiero przed domem. – Czy w ogóle jest coś takiego, co by ci sprawiło przyjemność? – Na chwilę, która wydała mi się wiecznością, skupił na mnie twarde spojrzenie. Był w jego wzroku i jakiś chłodny namysł, i piekielna wprost przenikliwość; widział mnie na wylot, tak że to aż bolało.

– Owszem, jest coś, czego bym pragnął, i to ty dokonałaś za mnie wyboru. Dziękuję, ale nie wejdę. Na jakiś czas wyjeżdżam teraz na południe. Matka mnie potrzebuje. Ojciec do niczego nie ma głowy, warsztat podupada, w całej rodzinie panuje straszliwy zamęt. Ciesz się Lamotte'em, przynajmniej do czasu, póki bawi cię ten głąb kapuściany. – Po tych słowach nawiedziła mnie bezlitosna pewność co do dalszych losów mojego romansu: jak tylko d'Urbec wyjedzie z Pryża, Lamotte w tej samej chwili przestanie interesować się moją osobą. Próżny,

samolubny Andre... Tak samo niestały, jak czarujący. Aby pomścić swą zranioną próżność, postanowił trafić eks-przyjaciela w jego najczulszy punkt i to mnie wykorzystał do swego celu. Moją słabość, głupotę, moje śmieszne złudzenia. A d'Urbec wszystko to widział. Teraz w milczeniu pomógł mi wysiąść z powozu.

– Florent... – wykrztusiłam – proszę... nie myśl o mnie źle. – Spojrzawszy w jego posępne oblicze, poczułam, że strasznie pieką mnie oczy.

– Jedno trzeba ci przyznać, mademoiselle: nieomylnie rozpoznajesz cudzą rozpacz, nic dziwnego, los ci jej nie oszczędził. – Skinął mi głową i oddalił się bez pożegnania. Długą chwilę stałam w progu domu, patrząc, jak jego powóz maleje w perspektywie ulicy, by wreszcie zniknąć mi z oczu.

Wieczorem leżałam już w łóżku, kiedy Sylvie przyniosła mi książki.

– Madame, zostawiłaś to w swoim powozie. Właściciel stajni odesłał ci zgubę przez chłopca, był tu parę minut temu. Mam je położyć na półce?

– Nie, daj mi je tutaj. Niech na razie leżą na stoliku. – Otworzyłam Petroniusza, lecz nagle strasznie zakręciło mi w nosie; kichnęłam.

– Ależ to zakurzone! – skrzywiła się Sylvie. – Pozwól, madame, trochę je odkurzę, bo cały czas będziesz kichać – wzięła Biblię i przetrła okładkę brzegiem halki, po czym bezceremonialnie potrząsnęła otwartą książką. Spomiędzy rozpostartych kartek wionęła ciemna chmura kurzu.

– Oj, coś z niej wyleciało!

– Sylvie, a żeby cię! Wyrwałaś stronicę z Biblii mojej babci! To dla mnie cenna pamiątka.

– Nie, madame, to nie stronica. Coś tu jest napisane ręką, a nie drukiem – stwierdziła podając mi luźną kartkę. Na listowym papierze babci biegły w poprzek słowa wypisane jej drżącą ręką: „Cortezia i Benson, bankierzy londyńscy. ”

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

– Ach, to nasza markiza, wejź, wejź, moja droga! Mam gościa, któremu chcę cię przedstawić! – zawołała Pani Wiedźma z głębokości swego fotela. Nanon w nowiutkim fartuszk i domowym czepku wprowadziła mnie do salonu. Blade zimowe słońce kładło się drobnymi prostokątami światła na ciemnym szkarłacie dywanu, wydobywając zeń wymyślne kształty dziwacznych chimer. W gablotce przeżyły się świeżo odkurzone zastępy anielskiego wojska, bacznie obserwując wszystko rzędami malowanych oczu. Do złożonego stołu przysunięto dwa pyszne fotele o brokatowych obiciach wykończonych złocistą frędzlą; naprzeciw w jej własnym rzeźbionym fotelu z ciemnego drzewa rezydowała madame, patrząc w rozłożone karty. Mdlący zapach kadzideł górował dziś nawet nad słodkawą wonią białych woskowych świec płonących dniem i nocą przed figurą Przenajświętszej Panny. W fotelach zobaczyłam dwóch dziwnie wychudłych mężczyzn w blond perukach; ich stroje, aczkolwiek kosztowne, już z daleka trąciły prowincją. Siedzieli obaj z identycznie skrzyżowanymi nogami, sącząc powoli wino ze srebrnych pucharków. Wydali mi się straszliwie prostacy. Domyślałam się, że muszą to być Szwedzi albo Anglicy. Tylko oni mogli tu przyjść tak jak stali, wprost ze statku.

Ludzie mający bodaj odrobinę dworskiej oglady poszliby wpierw do krawca.

– Pozwólcie, panowie, że przedstawię markizę de Morville. Madame, oto jego miłość księżę Buckingham i jego lordowska mość monsieur Rochester. – Osobliwa para powstała i skłoniła się na powitanie.

– Mam więc przed sobą nieśmiertelną markizę? Madame, podczas mej ostatniej tu bytności wiele o tobie słyszałem. Ogromna to dla mnie przyjemność poznać cię we własnej osobie. Jestem doprawdy zachwycony. Pozwól, że ci pogratuluję jakże wybornej kondycji. – Wygłosiwszy ten komplement, Buckingham uniósł głowę znad mojej ręki i poddał mą twarz szczegółowym oględzinom. Niebieskie oczy angielskiego księcia, naznaczone widowym piętnem zużycia, mówiły o wyuzdaniu i skrajnej rozpuście. Z jego przedwcześnie chyba postarzałej twarzy nie sposób było odczytać wieku: wyglądała jak pole bitwy po sromotnej klęsce. Zryta była gęstą siecią zmarszczek, a jej trupią błądź uwydatniały jeszcze groteskowe wąsy, tak cienkie, że wyglądały jak psotny dodatek wyrysowany ręką przekornego dziecka. Towarzysz księcia wydobyl z kieszeni lorgnon i także poczał studiować moją kompleksję. Musiałam bardzo się starać, aby nie parsknąć śmiechem na widok olbrzymiego niebieskiego oka u końca cieniutkiej złotej rączki. Madame przyglądała się temu z macierzyńskim wyrazem

twarzy.

– Nadzwyczajne, nadzwyczajne! – entuzjazmował się właściciel oka, obchodząc mnie dookoła.

– Jaka szkoda, że receptura tak cudownego środka przepadła wraz z jego twórcą. Gdyby nie to, mógłbyś, milordzie, odtworzyć ów balsam w swoim laboratorium. – Książę, który na powrót usadowił się w fotelu, skinął w zamyśleniu głową.

– Jego miłość sam jest alchemikiem i poszukiwaczem zapomnianych formuł – wyjaśniła La Voisin. – Minę miała równie zadowoloną jak szary kocur owinięty wokół jej kostek. – Otacza swym łaskawym patronatem najznakomitszych mistrzów alchemii i zielarstwa w całej Europie.

– W tej liczbie zaś obecną tu madame Montvoisin – zauważył przypochlebnym tonem Rochester, składając jej lekki ukłon.

– Myślę, że czas już na nas, mój drogi – oznajmił Buckingham, podnosząc się z miejsca. Nanon, czujna na każde słowo gościa, natychmiast pobiegła po jego opończę i laskę. – A ty, madame, rozważ, proszę, moją propozycję – mówiąc to, z uznaniem potoczył dookoła wzrokiem; widać było, że czarny salon madame budzi w nim uczucia konesera. La Voisin powstała również, głośno szeleszcząc jedwabiem.

– Prawdę mówiąc już rozważyłam i nie omieszkam skorzystać z tak łaskawej i hojnej oferty. Jednakowoż pozostała mi do załatwienia pewna ważna sprawa – Dwaj panowie wymienili znaczące spojrzenia. – Gdy ją zakończę, bardzo chętnie zażyję morskiego powietrza. Od dawna już tęsknię za zmianą klimatu. Z rozkoszą osiedlę się wtedy w Anglii pod zaszczytnym patronatem waszej książęcej miłości.

Buckingham skinął głową, po czym zwrócił ku mnie swe uprzejme zainteresowanie:

– Uważam panią, markizo, za najrzadszy z możliwych fenomenów. Gdybyś kiedykolwiek zawitała do Anglii, bądź pewna moich względów i opieki. – Podziękowałam mu najpiękniej jak umiałam, miał przecież dobre intencje. Tyle że jak wszyscy jego rodacy nie rozumiał pewnej oczywistej prawdy. Cóż za atrakcję dla nas, mieszkańców najpotężniejszego w świecie, najbardziej kulturalnego królestwa, mogła stanowić odcięta od cywilizacji, wilgotna i mglista wyspa z jej malutkim, prowincjonalnym dworem? Pomijając już fakt, jak bardzo tym Anglikom brakuje poloru i jak strasznie są zapóźnieni w dziedzinie mody i obyczaju, nie jest rzeczą bezpieczną mieszkać wśród królobójców. To ludzie nieobliczalni. W takim kraju zdarzyć się może wszystko. Przyszło mi nagle do głowy, że to czysta przewrotność tam właśnie ukryć dobre francuskie złoto przed nienasyconym Colbertem. Na takiej małej ponurej wysepce, gdzie człowiek nie jest w stanie kupić nawet porządnego bochenka chleba! O, jakże ten pomysł

pasował do mego ojca, do jego poczucia humoru! Nieźle pomyślane! Cortezia i Benson, bankierzy londyńscy. Ojciec na łożu śmierci powiedział o tym swojej matce sądząc, że babcia go przeżyje i we właściwym czasie przekaze mi tę informację. Babcia jednak umarła pierwsza, o czym nie miał pojęcia, gdyż fakt ten przed nim zatajono. Ciekawe, czy pozostało coś z tych zasobów? Pewnie nie. Pewnie już je skonfiskowano bądź sprzeniewierzono. Los, ten wielki żartowniś, lubi płać ludziom takie figle.

– No, to mam spokój do następnych odwiedzin – oznajmiła La Voisin, powracając od drzwi. – Chodźmy do gabinetu, moja droga, chcę pomówić z tobą w cztery oczy. Powiedz mi tylko, jak to się stało, że zamiast d'Urbece zwabiłaś do siebie Lamotte'a? Czyżbyś w tajemnicy przede mną skorzystała w tym celu z czyichś usług?

– Nie, madame, a z d'Urbekiem widziałam się w zeszłym tygodniu. Zobaczył mnie na ulicy i zatrzymał powóz. – Widziałam, że pilnie mi się przygląda, próbując odgadnąć, czy rzucony przez nią urok podziałał.

– I co? Pewnie go nie spytałaś o ten karciany sekret?

– Nie musiałam. Sam z miejsca zaczął się nim chwalić. Mówi, że to sekret oparty na matematyce i że w całej Europie potrafi go zrozumieć ledwie sześciu ludzi, w dodatku takich, co nie interesują się grą w karty. – Na twarzy La Voisin odmalowała się ulga, jakby wylewność d'Urbece stanowiła potwierdzenie niezmiennej skuteczności jej magicznych praktyk; po chwili jednak spochmurniała.

– Do diabła, sekret matematyczny! Czyli rzecz nie dla nas. Miałam rację, nie ufając temu człowiekowi. A, co tam! Będę mówić klientom, że to pakt z diabłem, sprzeda im się parę czarnych mszy. – Zamknąwszy za nami drzwi salonu, przyjrzała się zmrużonymi oczyma mojej bramowanej atłasem aksamitnej sukni, nowym butom i prawej ręce, gdzie obok złotego sygnetu pojawił się ostatnio okazały szafir. – Powiedz no, o ile spadły twe dochody w związku z tym skandalicznym romanssem? – rzuciła tonem bystrej gospodyni, której nikt nie wmówi chudego kurczaka. Przystanąwszy pod gobelinem ze skruszoną jawnogrzesznicą, zaczęła przeglądać podane jej wyszczególnienie mych miesięcznych przychodów i wydatków.

– Widzę tu nową dworską suknię, nowe rękawiczki, aksamitny płaszcz i kapelusz z piórami do kompletu. No, no, dość to kosztowne. Miejmy nadzieję, że wszystkie te rzeczy są przynajmniej czarne.

– Jeśli niepokoisz się o swoją część, to ci powiem, że dochody mam lepsze niż kiedykolwiek, co się zaś tyczy wydatków, muszę dbać o swój wygląd z uwagi na towarzystwo, w którym się

teraz obracam. Któż uwierzy słowom ubogo odzianej wróżki? Cóż to za prorokini, która nawet sobie nie umie zapewnić fortuny?

– Co innego mnie martwi, moja droga – powiedziała, przyspieszając kroku. W jadalni siedział Antoine Montvoisin ubrany jak zwykle w swój odwieczny szlafrok. Tym razem, o dziwo, nie drzemał; uzbrojony w pincetkę i malutkie szczypce, trzymał w ręku jakiś naszyjnik, wyjmował z niego kamienie i wrzucał do metalowego pudełka. Obok stał jego otyły synalek, zajadając słodką bułeczkę. Jego córka Marie-Marguerite robiła coś na drutach, złożwszy uniesione nogi na wysokim zydłu. Była w widocznej ciąży, jakoś jednak nie uznała za stosowne poślubić swojego magika. W tym domu ciąża nie musiała kończyć się małżeństwem.

– Nie chuchaj na mnie! – warknął Montvoisin pod adresem chłopca, na co ów w milczeniu jął dalej przeżuwać bułkę.

– No a teraz – powiedziała La Voisin zamykając drzwi gabinetu – pomówimy o tym, co mnie naprawdę martwi.

Hm, mina mojej patronki zaiste nie wróżyła nic dobrego. Usiadła w fotelu, gestem wskazując mi stół.

– Diuszesa de Bouillon złożyła mi wizytę – rzuciła znacząco.

– Tak? Czegóż chciała? Przepowiedni? A może proszku na wzbudzenie miłości najjaśniejszego pana?

– Nie bądź bezczelna! Przyszła po truciznę dla rywalki: tajemniczej inspiratorki nowej sztuki kawalera de la Motte. Wiedz, że wybiera się też do ciebie. Chce się dowiedzieć, kim jest ta kobieta. Tym razem, moja droga, jesteś w gorszych opałach niż wtedy, gdy w tym oto domu obraziłaś księcia de Brissac.

– Ja? Ależ byłam dla niego bardzo grzeczna. Powiedziałam mu tylko prawdę.

– A zatem jesteś głupia. Dla Brissaca prawda o jego sytuacji z ust kobiety to ciężka zniewaga. Niemało trzeba było zachodu, by odwieść go od zamiaru nasłania na ciebie płatnych zabójców. A teraz dla odmiany afiszujesz się po całym Paryżu z ulubionym pieścidelkiem diuszesy. Powiem ci tylko jedno: nikomu bym nie życzyła tak potężnego wroga! – Wstała nagle i spojrzała na mnie z góry. Oj, było to twarde spojrzenie. – Ta kobieta wykończy cię nie mrugnawszy okiem, tak jak rozgniała się pluskwę. Zapamiętaj sobie moje słowa: to, że obracasz się w wielkim świecie, nie ma żadnego znaczenia. Jeśli jutro zaginiesz bez śladu, nikt nawet nie zada sobie trudu, by powiadomić policję.

– Andre należy do mnie. – Krew uderzyła mi do głowy, czułam jej pulsowanie w uszach. – Nie oddam go tej pretensjonalnej starej krowie.

– Posłuchaj teraz tego, co ja ci powiem! – Usiadła patrząc na mnie z takim skupieniem, jakby samym wzrokiem była w stanie przełamać moją wolę. – Masz z nim zerwać i to zaraz. A kiedy zjawi się u ciebie diuszesa, podasz jej opis mademoiselle de Thianges. Księżna wie, że ambicje tej małej sięgają tronu, uzna więc, że Lamotte uwielbia ją platonicznie. Od takiego jak on poety piękne damy mają prawo oczekiwać miłych słówek i drobnych hołdów. W ten sposób ocalisz siebie i jego. Bo jeśli już nie dbasz o siebie, pomyśl przynajmniej o jego karierze. Pozwól nadal podziwiać światu te jego słynne łydki, które sama tak podobno uwielbiasz.

– Pomyślę o tym. – Mam oddać Andrego diuszecie, kiedy to ja, ja jestem jego natchnieniem? Nigdy. La Voisin także mi pewnie zazdrości, odkąd świat uważa mnie za piękność, za tajemniczą muzę opiewaną w wierszach przez poetę.

– Co takiego? Pomyślisz? Jezus, Maria, tyś chyba jeszcze głupsza od tej idiotki mojej pasierbicy! Masz to zrobić, rozumiesz? Nie zamierzam tracić swojej inwestycji z powodu jakiegoś śmiesznego romansu! – Podniosła się z miejsca i zdecydowanym krokiem podeszła do szafy. – Bierzmy się do rozliczeń! – warknęła, wyjmując mój rejestr. – I przestań tak na mnie patrzeć! W intrygach nie prześcigniesz żadnego z Mancinich, tak jak nie uda się to temu angielskiemu księciu.

– Buckingham knuje jakiś spisek? – spytałam z udanym zaciekawieniem. Może uzna, że jej uległam. Niech tak myśli. Andre pozostanie mój.

– Och, stale coś knuje. Odkąd stracił łaski swego króla, stara się nasz dwór wciągnąć do swoich intryg. Raz jest tu, raz tam. Fruwa po całej Europie, żeby tylko odzyskać dawne wpływy – zatrzepotała koniuszkami palców, jakby to były ptasie skrzydełka, ona sama zaś zmieniła się na chwilę w owego milorda w niełasce, który niczym wędrowna jaskółka przysiadła na dworach Europy. Madame miała, owszem, poczucie humoru, chociaż nieraz dosyć osobliwe. – Buckingham – mówiła dalej – wpada tu od czasu do czasu na czarną mszę, potrzebuje wtedy mej asysty. Dziś postawiłam mu karty i ostrzegłam, że rychło znajdzie się pod kluczem, jak nie weźmie sobie na wstrzymanie, ale co z tego? Ich książęce moście tak samo nie słuchają dobrych rad jak niektóre uparte młódki. – Rozłożyła na biurku rejestr oznaczony literą „P” i westchnęła: – Na ogół staram się jednak wprawiać księcia w lepszy humor. Mam go w odwodzie na wypadek, gdyby tutaj zrobiło się niewygodnie... Ale zaiste wielkie by to musiały być niewygody, abym zgodziła się zamieszkać w takim kraju jak Anglia. Sama wilgoć i

zacofanie.

Wysłałam z dodatnim saldem i niewzruszoną decyzją: nie porzucę Lamotte'a. Tak trudno było go zdobyć. Ileż to razy poświęciłam dla niego własną godność! Dlatego nie zrezygnuję. Andre należy do mnie. Przynajmniej do czasu, aż się nie dowie, że d'Urbec wyjechał z Paryża. Im dłużej rozmyślałam nad swym postanowieniem, tym bardziej wydawało mi się racjonalne.

Andre wznieca we mnie płomień. Tyle lat go pragnęłam! Nie ma uzasadnionego powodu, bym miała teraz z nim kończyć. Tak wielka namiętność potrafi sprzeciwić się światu i ludziom. Rzucę im wyzwanie. Czyż nie tak właśnie postąpiłaby Teodora? Kto wie, czy w moich żyłach nie płynie jakaś kropelka jej krwi?

– Znowu maseczka? Oj, madame, wyzywasz los! Że też ci się to nie uprzykrzy! Wiesz, co zobaczyłam w kabale? Twoją kartę skrzyżowaną z Królową Mieczy! Pozbądź się tej namiętności, nie rozumiesz, że odbiera ci rozum? Mężczyzna, co dla pieniędzy wygadza starszym niewiastom, nie jest dla ciebie odpowiednim kochankiem.

– Cóż to, Sylvie? Ty też bawisz się w przepowiednie? Myślałam, że to moja specjalność. A może madame wypłaca ci dodatek za snucie tych ponurych horoskopów? Jak często każe ci to robić? Co dwa tygodnie? Podaj mi laskę. Przywołasz powóz, czy mam poprosić Gilles'a?

Ubrana byłam tego dnia olśniewająco. Podpięta jedwabna spódnica w kolorze bursztynu odsłaniała z przodu ciemnobrązową taftową halkę, której fałdy grały w świetle głębokim odcieniem złota. Spod zawadiackiego kapelusza w „kawalerskim” stylu, przybranego mnóstwem wstążek i pękiem brązowo-zielonych piór, spływały mi na ramiona czarne loki. Ach, w niczym nie przypominałam starej markizy de Morville w jej odwiecznych brokatakach, welonie i wdowiej czapeczce. Również w oczach, ruchach i uśmiechu nie zachował się żaden ślad tej sztywnej i apodyktycznej damy. Kobieta w lustrze była młoda, elegancka, bogata i żądna życia. Widać to było nawet przez szkarłatne piętna rozsiane po całej lustrzanej tafli. Podobała mi się.

– Niechby choć Mustafa poszedł z tobą. Mógłby trzymać się na odległość. Jak cię ktoś zarżnie, madame zrobi straszne piekło.

– Phi! A któż by mnie zabijał na ulicy? Królowe Mieczy czynią to w sposób mniej widoczny. A że madame zrobi piekło! Cóż mnie to może obchodzić, skoro będę martwa?

– Użyj przynajmniej wykrywacza trucizn. Wpływowe damy wszędzie mają przyjaciół, zwłaszcza w kuchniach.

– Pomyślę o tym. Co z powozem?

– Stoi przed domem, madame – westchnęła Sylvie. Wszystkie jej przestrogi wzmogły tylko we mnie pragnienie przygody. Czułam, jak po skórze chodzą mi ciarki, a tętno aż dudni w uszach. Nic się nie liczyło – ani podejrżane intencje Lamotte'a, ani grożące mi niebezpieczeństwo. Ukradkowa chwila rozkoszy z najpiękniejszym mężczyzną Paryża dawała mi poczucie, iż jestem najpiękniejszą z kobiet. Uwielbiałam to uczucie, reszta nie miała znaczenia.

Mój ekwipaż minąwszy oświetlone migotliwym blaskiem latarni okolice Marais wjechał w labirynt wąskich i ciemnych uliczek nie opodal de la Merci, dzielnicy całonocnych przybytków hazardu, krzykliwych burdeli oraz innych płatnych przyjemności, w tym również wszelkiego występku. Tu właśnie członkowie filantropijnej organizacji Królowej Wiedźmy czuli się jak ryby w wodzie. Łatwo tu było o klientów, przy czym nikt nikomu nie patrzył na palce. Tu także cisi współpracownicy wielkich finansistów i arystokratów w całkowitej dyskrecji obracali pieniędzmi swych partnerów i mocodawców w sposób przynoszący znaczne i szybkie zyski. Lamotte, który nic prawie nie wiedział o tajemnym życiu tej dzielnicy, zaaranżował naszą schadzkę w jednym z prywatnych pokojów mademoiselle la Boissiere, właścicielki modnego zakładu na rogu ulic de Barcque i du Chaume. Zakład ten, niezycliwie zwany przez policję „siedliskiem rozpusty”, a uczęszczany głównie przez przyjezdnych dandysów, urzędników, ludzi interesu, młodych potomków zubożałej arystokracji, słowem, poszukiwaczy uciech, o każdej porze dnia i nocy oferował chętnych partnerów do gry, wino, muzykę i kobiety. Roilo się tam zwykle od zamaskowanych piękności, pośród których ja czułam się najpiękniejsza i najbardziej tajemnicza. Upajało mnie to jak wino.

Powóz stanął, z mroku wyłoniła się męska postać w czarnej jedwabnej masce.

– Moja miłości – usłyszałam. Andre. Z dłonią na rękojeści szpady pomógł mi wysiąść, po czym odprawił powóz. Wystarczył mi jego głos, tak miękko brzmiący w ciemności, szorstki dotyk wełnianej peleryny, jego jedyny w świecie zapach, jego obecność, bym poczuła szybsze bicie tętna. W wąskiej uliczce na tyłach rue de Chaume nie było latarni, lecz prześwitujące przez opuszczone żaluzje płomyki dziesiątek i setek świec wystarczająco oświetlały drogę. Bez żadnych przeszkód dotarliśmy do sekretnego wejścia, panująca zaś w środku wrzawa zagłuszyła odgłosy naszych kroków. Z czeluści zimowej nocy dobiegały dźwięki zakazanej muzyki. Dziś jeszcze to wspomnienie wznieca w mych żyłach ogień. Ludzie wychowani na sentymentalnej Carte de Tendre¹⁰, tak niegdyś popularnym kodeksie salonowej galanterii,

¹⁰ Carte de Tendre – „mapa czułości”, słynny kodeks galanterii stworzony przez Madeleine de Scudery (1607 – 1701) w powieści „Clelie”.

zupełnie nie doceniali prawdziwej cielesnej żądz. Andre stanowił całkowite ich przeciwieństwo – był arcykapłanem czystej zmysłowości. Nigdy go nie spytałam, z ilu kobietami bywał w tej sekretnej alkwie nad znaną spelunką, bo i cóż mnie to ochodziło? Liczyło się teraz, dziś – ta chwila – a ona należała do mnie.

– Wina? – zapytał szeptem, wskazując karafkę na okrągłym stoliku obok łóżka.

– Dziś pragnę czego innego – odszepnęłam.

– Nektaru boskiej Wenus – powiedział swym miękkim głosem, a mnie przepęłniła słodycz, tak gęsta i ciężka jak miód zebrany w pełni lata. Rozsznurowując mi gorset, recytował swe słynne kuplety poświęcone mym piersiom, a uwolniwszy białe ptaki z klatki, wtulił między nie twarz. Jego dłoń niecierpliwie odgarnęła wzburzone halki w poszukiwaniu ciepłego, żywego ciała. Pieścił mnie z wyrafinowaną powolnością, zdawało się, że zna każdy mój nerw, a ja nareszcie, nareszcie czułam się piękna, tak piękna, że słodycz tego uczucia stawała się chwilami trudna do zniesienia. Listy z poetyckimi wyznaniem miłości, długie miesiące adoracji tam, pod oknem, wszystko to uznałam teraz za swoje. Ofiarowane skarby nie zostały odrzucone. Ja pochwyciłam w locie jego wzgardzone marzenia, ja przytuliłam je do serca, dlatego sama stałam się teraz jego ukochaną z okna. Czyż nie wymagała tego sprawiedliwość?

– O, niech to diabli! Przewróciłem karafkę! – wykrzyknął nagle, leniwie sięgnawszy z łóżka po kubek. Czy tylko to sobie uroiłam, czy też naprawdę było w nim coś drażniącego w takich chwilach jak teraz, kiedy już się nasycił miłością? – Nie szkodzi – szepnęła, obracając się znów w moją stronę – dzisiaj będę pić tylko z twych ust. – Zaczął mnie całować, wodząc ustami po policzku, a potem dookoła ucha. Co tkwi w kobiecym uchu, że łączy je tak intymnie z innymi częściami ciała? Ciepły oddech Andrego wprawiał w drżenie każdy kawaleczek mojej skóry, jakby przetaczały się po niej płynne kuleczki żywego srebra. A przecież... nawet teraz, z ciałem rozedrganym tym doznaniem, słyszałam odzywający się w głowie cichy głosik: Ma wprawę, co? Ile już niewieścich uszu owiewał tak swym oddechem? Ciekawe, czy wszystkie odczuwamy to w taki sam sposób? Ha, mój umysł mógł zżymać się trochę na tę miłosną perfekcję, cóż z tego, kiedy ciało darzyło ją uwielbieniem zgoła bezkrytycznym? Ach, Boże, jeszcze gdy dziś o tym myślę, widzę, jak niewiele może rozum, gdy wszystkie pragnienia skupiają się wyłącznie w ciele. Jednakże w tym drugim starciu rozum jakoś nie dał za wygraną. Każde nowe doznanie, pieszczota wywoływały trzeźwy komentarz: Nie widzisz, że ten mężczyzna powoduje tobą jak koniem, tyle że koń pokonuje przeszkody, ty zaś kolejne szczeble ekstazy? A czy dla niego ma to jakiegokolwiek znaczenie? Nieznośny rozum! Odebrał mi całą przyjemność. Takie właśnie jesteśmy, my, kobiety. W czasie aktu miłosnego nie

wystarcza nam tylko sam cielesny dotyk, musi być jeszcze to coś, co trafia do umysłu, co zdolne jest wprawić go w uniesienie. W moim przypadku wdał się w to wszystko dodatkowy i jakże irytujący czynnik: w żaden sposób nie mogłam odegnać od siebie myśli o d'Urbecu. Wprost widziałam ten jego sarkazm. Lamotte właśnie stoczył się ze mnie i legł obok z rozlanym po twarzy wyrazem próżnego samozadowolenia. Uniósłszy ciężkie powieki, odezwał się z dobrze udaną czułością:

– Najdroższa, nawet najcudowniejsze chwile muszą dobiec kresu. Byłoby rzeczą wielce nierozsądną zostawać na całą noc w takim miejscu.

– Masz rację, Andre. – Wiedziałałam lepiej od niego, że zasnąć tutaj to prawie tyle, co udać się na wieczny spoczynek w rzece i do tego w stanie uniemożliwiającym wszelką identyfikację.

– Pozwól, że pomogę ci się ubrać – rycersko zaofiarował mi swe usługi. – Uwielbiam damskie łauszki, lubię ich dotykać. Ach, te maleńkie guziczki, te rozkoszne sznurówki i pachnący jedwab! – Ukląkł i zaczął wkładać mi pończochę, a czynił to z tak zdumiewającą wprawą, jakby nabył jej u setki co najmniej kobiet. Nonszalancja, z jaką przebiegł palcami po moim udzie, czyniła ten gest czymś niemal przypadkowym. Coś jednak zakłóciło nagle ową płynność ruchów; poczułam, że się zawahał. Ach tak... Spojrzał na mą zdeformowaną stopę i odwrócił oczy.

– Daj spokój – powiedziałam – sama mogę to zrobić. – Wyraźnie mu ulżyło; wstał i zaczął nakładać spodnie. Ja tymczasem zapięłam podwiązki i zaczęłam sznurować podwyższony bucik.

– Widziałeś ostatnio d'Urbece? – spytał zniechęcony. Ciekawe, on także myślał o d'Urbecu! – Wygląda na to, że bajecznie się wzbogacił ostatnimi czasy. Niedawno natknąłem się na niego u krawca, u którego zamówił strój z aksamitu. Wyobraź sobie: d'Urbec w aksamitach! Trochę mu przyciąłem: „Możesz chesać psa jak długo chcesz, on i tak zawsze będzie tylko psem, nie uważasz?” I wiesz, co on na to? Miał czelność zapytać, czy prawdą jest to, co głosi plotka, że diuszesa ma pieprzyk na pośladku! Piekielnik! Zaambarasował mnie mocno i to przed Pradonem, jednym z mych najlepszych przyjaciół!

– Ach, wszyscy wiedzą, że monsieur d'Urbec nie grzeszy taktem – powiedziałam głośno, myśląc zarazem: A czego się spodziewałeś? To przecież całkiem zrozumiałe, że d'Urbec będzie kpił z twej kariery utrzymania bogatych arystokratek. Sam wprawdzie zarabia na życie w salonach, nie nawiąże jednak romansu z żadną przyzwoitą kobietą. Boi się, że mogłaby zobaczyć jego galernicze piętno, co w rezultacie odcięłoby mu dostęp do salonów. Ty

natomiast, panie Lamotte, powinieś wynająć sobie furę, byś miał czym wozić swoją niebotyczną próżność.

– Ach, dajmy już temu spokój. Mówmy o nas, tylko o nas! – wykrzyknął. – Jesteśmy zbyt płochliwi, najdroższa, zanadto kryjemy się z naszą miłością. A ja, kiedy jestem z tobą, chciałbym wykrzyczeć swą namiętność, ogłosić ją całemu światu. Taka miłość jak nasza drwi z konwenansu. Musimy rzucić im wyzwanie. Powinniśmy pojawić się razem publicznie, dać powód do nowych plotek.

– Ależ Andre, pomyśl o swojej karierze... Dioszesa... – urwałam. Uderzyła mnie sztuczność brzmiąca w jego głosie. O co mu chodzi naprawdę?

– Ach, uchylene rąbka zasłony, aluzja, słowem, drobny a smakowity kąsek dla pamflecistów, może tylko posłużyć mojej reputacji. Jakim innym sposobem dałoby się łatwiej utrzymać me nazwisko na wszystkich ustach? Czyż można lepiej przygotować publiczność na przyjęcie mojej „Teodory”? Pojawimy się incognito w łoży na premierze sztuki mego drogiego przyjaciela Pradona. Tajemnicza nieznajoma w towarzystwie kawalera de la Motte! Ależ zaczną się szeptki: Czy to ona, jego muza, czy jakaś inna? Mówię ci, będzie sensacja. – Tak, teraz wszystko stało się jasne. Któż poza d'Urbekiem może mnie rozpoznać bez wdowiego ryszunka i w masce? Tylko on, zwłaszcza że jak wiadomo, nie opuszcza żadnej premiery. Lamotte pragnie mu się odplącić za tę ostatnią zniewagę, demonstracyjnie pokazując się w łoży ze mną u boku. Osobiście czułabym się dość podle, sprawiając d'Urbecowi taką przykrość, ale przecież wiedziałam, że wyjechał z miasta. Zatem doskonale. Zapowiada się dobra zabawa. Nie dość że zabłysnę jako tajemnicza nieznajoma, to jeszcze będę miała uciechę obserwując minę Lamotte'a, kiedy zacznie się rozglądać za d'Urbekiem.

Czy to moje rozpaczliwe pragnienie, aby być piękną, by dorównać innym kobietom, zasługuje na potępienie? Dopiero zdobycie Andre Lamotte'a stało się dla mnie dowodem, że nie jestem już tym, kim byłam: małym samotnym monstrem z rue des Marmousets. To jego pieszczoty uczyniły mnie istotą równą owym wielkim damom, dzięki którym robił karierę. One nader hojnie płaciły za jego usługi, ja nie dałam mu nigdy ani jednego sou, czyż więc nie byłam od nich lepsza? Nawet znając jego intencje? Tak, bo próbowałam sobie wmówić, że nic mnie one nie obchodzą. A jednak, nawet chłonąc wszystkimi zmysłami jego wyrafinowane pieszczoty, czułam, że w jakiś sposób zdradzam samą siebie. Siebie, a także d'Urbece, choć nic nas przecież nie łączyło.

Już gotowa do wyjścia schyliłam się po strąconą przez Andrego karafkę. Wtedy dopiero

spostrzegłam coś dziwnego. Wsiąkająca w podłogę strużka wina burzyła się, tworząc osobliwe bąble... jakby coś jadowitego przeżerało deski.

– No, madame, przyznaj, że to nowe bielidło jest naprawdę przednie!

– Niezłe, niezłe. Wyglądam jak dobrze zachowane zwłoki. – Tym razem byłam z tego zaiste zadowolona. Żegnajcie, zdradziecko różowe policzki i jasno błyszczące oczęta! Tego dnia najchętniej założyłabym na głowę worek. Dygocąc z zimna, wstałam na długo przed świtem, by poczynić niezbędne przygotowania do udziału w levee księżnej de Bouillon. O, za nic w świecie nie chciałabym być dworską osobistością! Dworacy codziennie zmuszeni są wstawać o tej porze. Na toaletce wciąż jeszcze pełgały świece, idąc o lepsze z wątym światłem brzasku. W przenikliwym chłodzie zimowego ranka pomysł zbulwersowania świata siłą swoich uczuć stracił jakoś na uroku. Nie, nie był już wcale tak pociągający jak w ów wieczór nasycony aromatem wina, brzemienny oczekiwaniem rozkosznych spełnień. Nasuwało się natomiast natrętne pytanie: czy księżna wiedziała, z kim Andre umówił się na schadzkę? I czy on zdawał sobie sprawę z tego, że ona wie? Czy właśnie dlatego „niechący” stracił karafkę, czy też naprawdę niczego nie był świadom?

Owego wieczoru wydawało mi się, że pięknie byłoby zginąć w rozkwicie wielkiego romansu, kiedy wzbudziło się zazdrość połowy kobiet w Paryżu. Ach, zyskać nieśmiertelność, pozostawić po sobie legendę tragicznie zgasłej piękności! Moment był idealny, a pomysł mocno przemawiał mi do wyobraźni, zwłaszcza gdy w perspektywie trzeba się było liczyć z rychłą utratą Lamotte'a. Wiedziałam, że jego zainteresowanie mą osobą niedługo się skończy, druga więc okazja pewnie się już nie nadarzy. Teraz jednak w zimnym świetle brzasku górę wzięły we mnie inne myśli. Przypomniały mi się dwuznaczne motywy Lamotte'a, a zaraz potem drobne codzienne przyjemności, takie jak smaczne śniadanie, miękkie pantofle, gorąca czekolada, ciepło płonącego ognia... Chyba jednak wolę te wygody. Wolę żyć jako zwykła dziewczyna, niż umierać jako Afrodyta.

– Dodaj jeszcze cienia pod oczy. Im gorzej, tym lepiej. – Sylvie ochoczo przyprószyła mnie szarozielonkawym pudrem, po czym zdjęła mi z ramion pelerynę i umocowała pod szyją antyczną riuszkę.

– Wyglądasz okropnie – oznajmiła wesoło. – Jak stara niesamowita wiedźma.

– Świetnie – powiedziałam z zadowoleniem i uzupełniwszy toaletę najgrubszym płaszczem, ruszyłam ku drzwiom.

Ogólne przerażenie, które widok mojej osoby wywołał wśród osób obecnych w sypialni

duszesy, sprawiło mi pewną przyjemność.

Fleciście na moment zawiódł oddech, na szczęście dwaj skrzypkowie przytomnie zatuszowali jego fałszy. Wśród licznych petentów widać było niespokojne poruszenie. Pradon przerwał w pół słowa recytację swej ostatniej sztuki, a zbrojna w szcnotkę ręka pokojówki zawisła w powietrzu nad wzburzoną koafiurą madame. Tylko oczy duszesy, zimne oczy Mancinich, podobne czarnym kamieniom na dnie głębokiego stawu, nie utraciły właściwego im chłodu. Rzuciła mi jedno przelotne spojrzenie, po czym znowu utkwiała wzrok w lustrze. Na toaletce pośród flakonów z perfumami siedziała Madame Carcan, jej ulubiona kotka, z ukontentowaniem czyszcząc bielutkie futerko. Ona także raczyła mnie zaszczycić jednym zaledwie spojrzeniem swych nieodgadzionych bursztynowych oczu.

– W porządku, Pradon, możesz czytać dalej – rozkazała księżna. Manuskrypt głośno zaszeleścił w dłoniach dramaturga, widać trudno mu było odzyskać równowagę. – Zakończyłeś właśnie replikę Fedry – przynagliła go madame de Bouillon. Zebrał się w sobie i zaczął znów czytać, aczkolwiek dosyć niepewnym tonem. Rymy wydały mi się niezłe, same wiersze jednak raczej mierne: eleganckie, lecz pozbawione głębszej treści i siły wyrazu. Sztuka zaś, dziwna sprawa!, osnuta była wokół tego samego wątku, który mistrz Racine dawno już obrał za przedmiot swego długo oczekiwanego dzieła.

– Wybornie, Pradon, wybornie. O to mi właśnie chodziło. Musisz jutro przeczytać tę rzecz w moim salonie, by cały Paryż mógł oklaskiwać twój talent. Przyznaj, czy nie miałam racji, podsuwając ci ten właśnie temat? Ha, lepszym jestem znawcą twojej maestrii niżli ty sam!

– Madame – Pradon skłonił jej się uniżenie – posiadasz zaiste zdolność postrzegania przekraczającą ludzkie granice. Potrafisz swym wzrokiem sięgnąć do dna duszy.

Miejsce pokojówki zajął teraz fryzjer, który pośród swądu gorących żelazek jął układać na głowie księżnej rzędy symetrycznych loków przetykanych grzebykami zdobnymi w malutkie diamenty. Petenci ruszyli naprzód, madame wszakże, widząc to w lustrze, odegnała ich odmownym gestem.

– Najpierw – oświadczyła – wysłucham przepowiedni. Madame, liczę na twe słynne umiejętności. Ostatnio ktoś mnie bardzo rozdrażnił. Osoba, która uroiła sobie, iż może ze mną konkurować. Chcę wiedzieć, kto jest jej kochankiem – powiedziała, nie przestając patrzeć w lustro.

– Madame, w wodzie nie powstanie wiarygodny obraz, jeśli osoba, której przyszłość mam odczytać, nie położy dłoni na czarze. Nie chciałabym skrzywdzić tej osoby fałszywą wróżbą.

Księżna wybuchnęła śmiechem, wysokim i zimnym jak dźwięk toczących się kryształków lodu.

– O, to doprawdy niezwykle! Czyżbyś, madame, uważała się za lepszą od całej reszty śmiertelników? Powiedz mi zatem, czy możesz do swoich celów posłużyć się czymś przedmiotem?

– Mogę spróbować – odrzekłam posępnym tonem. Otworzyła szufladę toaletki i wyjęła z niej męską rękawiczkę.

– Zostałam obrażona przez właściciela tej oto rękawiczki – wyjaśniła. – Spójrz w naczynie i powiedz, co widzisz. – Podała rękawiczkę swojej damie dworu, ta zaś wręczyła ją mniej dwaj lokaje tymczasem szybko przynieśli niski zydel oraz mały stolik odpowiedni pod mój ekwipunek. Księżna nie zażądała parawanu ani nie wyprosiła obecnych z sypialni. Przeciwnie, można się było domyślić, że zależy jej na tym, aby mieli co opowiadać. To groźba, pomyślałam. Chce, by za ich pośrednictwem dotarła gdzie trzeba.

Przykryłam rękawiczką Andrego wąski otwór obłej szklanej czary i rozpoczęłam zwykle inkantacje. Rękawiczka... wciąż miała kształt jego dłoni. Pragnęłam przytulić ją do serca, ale oczywiście niczym nie zdradziłam swoich uczuć. Odłożyłam ją takim gestem, jakby była to zdechła żaba.

W naczyniu tworzył się jakiś obraz. Zobaczyłam najpierw szarozieloną wodę sięgającą aż po bezkresny horyzont – jakże szary i zimny! – a potem czyjąś twarz. Boże, przecież ja znam ten obraz! To ten sam, który zobaczyłam wiele lat temu w czarnym salonie La Voisin podczas pierwszej mojej tam bytności: kobieta przy burcie statku wpatrzona w morze. Drgnęłam z wrażenia, bo rozpoznałam teraz tę twarz: była moja! Dostrzegłam spływające po policzkach łzy. Co to się dzieje? Czy ja śnię, czy też przyszłość zmienia się na moich oczach?

– No i cóż? Co widzisz? – głos diuszesy wyrwał mnie z transu. Podniosłam głowę: w pokoju panowała zupełna cisza. Wszyscy zastygli w niemym oczekiwaniu.

– Widzę tłum dworzan opuszczający wersalskie apartamenty madame do Montespan. Jest wśród nich piękna młoda kobieta, niewysoka i ciemnowłosa. Flirtuje z kilkoma panami. Teraz oni odchodzą, a do niej zbliża się właściciel rękawiczki... wyprzedza idącą z tyłu damę do towarzystwa i wręcza pięknej osobie jakiś rulon. Ona śmieje się głośno, uderza go wachlarzem po rękę, by pokazać, że gani takie zuchwalstwo, papier jednakże zatrzymuje.

– Mademoiselle de Thianges – dobiegł mnie z tyłu czyjś szept. Księżna spojrzała mi w twarz.

– Tak, wydaje się, że to mademoiselle de Thianges – odpowiedziałam na jej nie zadane pytanie.

– A mężczyzna?

– To chyba ten dramatopisarz, kawaler de la Motte. – Twarz diuszesy nie zmieniła wyrazu.

– Zatem powiedziałaś prawdę. Rozgniewałabym się, gdybyś próbowała mnie oszukać.

Możesz być sobie sprytną Mancini, pomyślałam, ale i ja mam w zanadrzu kilka niezłych sztuczek.

– Czy ta kobieta – spytała niemal nonszalancko – odbyła z nim tajemną schadzkę?

– Nie wiem, madame, na to pytanie czara nie daje odpowiedzi. Z tego, co widziałam, ów rulon mógł być po prostu poematem. Hołdem poety złożonym urodzie.

– Jeśli tak było w istocie, to muszą być dwie... – mruknęła pod nosem księżna. Poczułam gwałtowne bicie serca. – Mniejsza o to – powiedziała głośno. – Nietrudna to sprawa przywołać do nogi owego poetę. Jest pani wolna, madame de Morville. – Na jej prawie niedostrzegalny sygnał lokaj odprowadził mnie do drzwi, wcisnąwszy po drodze ciężką sakiewkę. Nie mniej niż trzydzieści sztuk srebra, pomyślałam. Zdradziłam Andrego, a on, naiwny, nic nie wie.

Na dworze śnieg oprószył powóz, woźnicę i konie. Rzędy wysokich domów po obu stronach ulicy wyglądały jak posypane lukrem. Zakutana w futrzane fartuchy powozu, zaczęłam z sobą dyskutować. Nie, nie zdradziłam Andrego, ona już przedtem wiedziała. A potem przypomniało mi się, jak to odwrócił oczy od mojej koślawej stopy. Trzeba wreszcie powiedzieć sobie całą prawdę: uwiódł mnie wyłącznie na złość eks-przyjacielowi, który w swej „Satyrze na Parnas” miał odwagę wykpić jego sztukę. Po tym, co zobaczył w moim domu, musiał być przekonany, że łączy mnie z d'Urbekiem obietnica małżeńska. Bogiem a prawdą trudno winić d'Urbece za tę drobną złośliwość. Ja na jego miejscu też pewnie byłabym zła, gdyby ktoś lekkomyślnie roztrwonił cały mój fundusz pogrzebowy. Patrząc zaś na rzecz z drugiej strony: czy ktokolwiek wiedząc, że nie jest tytanem umysłu, powinien obrażać się na przyjaciela za to, że powie mu prawdę? Wszak scena śmierci w „Osminie” jest rzeczywiście przesadna, a wiersze miejscami dość słabe. Lamotte powinien być wdzięczny, że ktoś zechciał poddać je uczciwej krytyce. Ja w tym wszystkim liczyłam się najmniej. Tak naprawdę nic go nie obchodzi. Byłam dla niego swego rodzaju symbolem, uosobieniem wielkiego domu, do którego tak bardzo pragnął wejść przed laty, że aż utrwalił go w swym „Osminie”. Wykorzystał mnie bez skrupułów, miałam więc prawo postąpić, jak postąpiłam. Dobrze sobie na to zasłużył.

Rachunek lepiej by się zgadzał, gdyby nie to, że... sama tego chciałam. Pragnęłam, by mnie wykorzystywał. Uwielbiałam jego kłamstwa, jego zdumiewający urok, którym umiał

posługiwać się na zawołanie, jego łatwe łzy i romantyczne pozy. Ha, i do czego to doprowadziło? Tym właśnie mnie zażył! I dlatego dostał za swoje. Tak? A na co ja zasłużyłam? Śnieg rozpadał się na dobre, świat zniknął za grubą zasłoną białego puchu. Zdawało mi się, że kryje ona przede mną także odpowiedzi na me pytania.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Ludzie stali na ulicy jeszcze w długi czas po usunięciu ciała. Desgrez zmuszony był przepchnąć się przez tłum lokajów w różnobarwnych liberiach i innych przechodniów wszelkiej możliwej konduity, by dotrzeć do frontowego wejścia, gdzie na stopniu siedziała stara służąca z twarzą zakrytą fartuchem; wokół płaczącej kobiety stała w milczeniu grupka strapionych domowników.

– Widziałam, wszystko widziałam, monsieur – wyjąkała załamującym się głosem w odpowiedzi na jego pytanie. – Monsieur Geniers, mój Boże, jaki to był dobry pan, miłosierny i taki hojny!, dał akurat komuś jałmużnę, kiedy zjawił się ten nikczemnik z twarzą całą omotaną szalem... Wyszedł z tej tam uliczki... – wszystkie oczy zwróciły się w stronę wskazanego przez nią zaułka, gdzie przelewającym się rynsztokiem płynął wartki strumień nieczystości.

– I co dalej? – łagodnie przynaglił ją Desgrez; w jego głosie słyhać było współczucie.

– Ach, Boże, ten łotr z piekła rodem powalił mego pana na ziemię, o tam, gdzie ta krwawa plama i... i roztrzaskał mu głowę... laską. Miał taką grubą laskę z metalowym końcem.

– Możecie opisać tego człowieka?

– Ano sądząc po płaszczu mógłby to być żebrak, ale wymowę miał pańską. Każdy by to rozpoznał.

– Mówił coś? Pamiętacie?

– Krzyknął coś jakby: „Oto twoja zapłata, łotrze... ” Monsieur, wtedy ten szal mu się zsunął... i...

– Tak? – Desgrez cały zamienił się w słuch. __Ach, monsieur, ten człowiek nie miał twarzy!

- Człowiek bez twarzy? Rozpoznanie kogoś takiego nie powinno nastręczać nadmiernych kłopotów. Z tego, co mówiła ta służąca, można chyba wnosić, że to trędowaty? – spytał La Reynie, spoglądając w raport o morderstwie.

- Skłonny byłbym sądzić, że raczej przestępca z odciętymi uszami i nosem – odparł jego podwładny.

- Hm, z pańską wymową... Według mnie to niepodobieństwo. Mamy więc zagadkę, Desgrez, wielce kłopotliwą zagadkę – szef policji pokręcił głową. – Monsieur Geniers, człowiek o nieposzlakowanej reputacji, z pozycją, cieszący się ogólnym szacunkiem, zamordowany na

progu własnego domu! Skandal! Louvois bez wątpienia zainteresuje się tym osobiście, a kto wie, czy i sam najjaśniejszy pan nie zechce poświęcić tej sprawie uwagi. Musimy zatem przyznać jej najwyższy priorytet. Przeszukaj raz jeszcze dom denata, wypytaj jego kolegów i przejrzyj dokładnie całą korespondencję. Jeszcze się taki nie urodził, który by nie miał wrogów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

– Madame, wystając w tym oknie, oszukujesz samą siebie. Wiesz, że on więcej nie przyjdzie. Tacy już są mężczyźni: zaspokoić chętkę i zniknąć.

Padający wciąż śnieg położył się białym całunem na pochyłych dachach miejskich domów, pokrył zamarźle błoto na rue de Charlot, a wszystko, co nieruchome, zamienił w osobliwe kopczyki lśniącej bieli.

– Patrę tak sobie. Wiesz, śnieg dla niektórych ma w sobie wiele poezji. – Była wigilia Roku Pańskiego 1677.

– Ha, znowu poezja! Nie rozumiesz, że ten twój poeta boi się utracić łaski diuszesy? Mężczyzna troszczy się w pierwszym rzędzie o swoje wygody. Lubić to on może sobie różne damy, ale wie, gdzie go suto karmią.

– Mężczyźni to, mężczyźni owo! Istna filozofia rodzaju męskiego. Któż to cię tego wszystkiego nauczył?

– Mężczyźni, madame – wyznała Sylvie. – Posłuchaj mojej rady: jak cię który opuści, rób zupełnie to samo co on: bierz sobie nowego kochanka. A choćby Brissaca. Człowiek z pozycją zawsze będzie lepszy od jakiegoś gryziopórka, niechby nawet miał taki najwspanialsze na świecie łydki.

– Sylvie! – warknęłam z furią. – Kto ci za to płaci: Brissac czy La Voisin?

– Och, jedno i drugie – odparła z pełnym spokojem. – I jak widzisz, madame, wcale tego nie ukrywam, a dlaczego? Bo jestem lojalna. Szczerze mówię: bierz Brissaca i używaj życia, resztę zaś miej sobie za nic.

– Brissac przecież wścieka się na mnie.

– Tak było, ale już nie jest. Teraz próbuje na powrót wśliznąć się w łaski księcia de Nevers, tylko że aby ten plan mu się powiódł, musi bywać w odpowiednich miejscach. Rozumiesz, żeby świadczyć diukowi drobne usługi, potrzebuje przyzwoitych strojów, zgrabnych nowych bonmotów i czego tam jeszcze...

– A wszystko to wymaga pieniędzy, których ja mam dostarczyć: kupić mu nowe ubranie, wynająć poetę, pokryć długi, a wiesz, ile przegrał w karty? I co za to otrzymam w zamian? Będzie mnie prowadził na wizyty, które mi nie sprawią przyjemności, i zapoznawał z ludźmi, których nie cierpię. Nie, Sylvie, nie opłaca się skórka za wyprawę.

- Jednak tytuł diuszesy... To wielki tytuł, nawet jeśli on sam jest bankrutem.
- Nie łudź się, Sylvie! Póki będzie miał cień nadziei na wyciągnięcie czegoś od rodziny obecnej małżonki, poty pierwszej diuszecie de Brissac nic nie grozi. A gdyby nawet odzyskał wolność, mnie potrzebowałby tylko do jednego celu: żeby za moje pieniądze upolować następną zdobycz.
- Madame twierdzi, że zmiękł ostatnimi czasy. Przyznał się, że rozważa sprawę potajemnego małżeństwa.
- A cóż by mi z tego przyszło? Potajemne małżeństwo! To dobre dla naiwnych panien, które chcą nim zatuszować swoje grzeszki. Ja potrzebuję ochrony, jaką daje pozycja oficjalnej małżonki; ważny jest również tytuł, nawet tak wątpliwy jak to jego księstwo. Brissac uważa mnie chyba za idiotkę, skoro występuje z taką propozycją.
- Powiedz przynajmniej, że ją rozważysz – poprosiła Sylvie. – Żeby nie musiała kłamać przed madame. – Widać było, że mówi serio.
- Więc dobrze, niech będzie, że się zastanawiam. Powiedz mi, kogóż to zaprosiła La Voisin? Będzie Brissac?
- Ma się rozumieć. O, ale przyjęcie zapowiada się hucznie. Madame wynajęła najlepszych skrzypków, mają być kuropatwy, pieczone prosię, szynka i jagnię!
- No, jeśli mają być kuropatwy, to wszystko w najlepszym porządku.
- Tak też powiedziałam madame, a ona zaraz, że ze mnie istne wilcze gardło. Jej zdaniem cud to prawdziwy, że jeszcze nie połknęłam ciebie i całego domu! Aha, masz włożyć tę staroświecką toaletę z paciorkami na staniku, bo możesz dziś poznać nowych i ważnych klientów. Przyjdzie ponoć markiz de Cessac z przyjaciółmi i pewien italski biskup bawiący z wizytą w naszym mieście. Madame powiada, że jeśli chcesz osiągnąć większy profit i w ogóle rozwinąć karierę, czas już nawiązać znajomość z cudzoziemcami. Potrzebne ci są teraz zagraniczne koneksje.
- Gdy znalazłam się na rue Beauregard, wszędzie trwały już przyjęcia. Spoza zamarzniętych okien bił blask setek świec, a przy każdym otwarciu drzwi niósł się w zaśniewaną ulicę gwar konwersacji i śmiechy. Klucząc pośród stłoczonych powozów, dotarliśmy wreszcie do wejścia – tuż za pewną zamaskowaną aktorką i jej najnowszym podbojem. Z czarnego salonu dobiegały śmiechy i muzyka skrzypiec.
- Ach, otóż i czarująca madame de Morville, której czas się nie ima! – do drzwi w powitalnych

lansadach przepchnął się Brissac. Ach, ty obmierzły gadzie, ofuknęłam go w duchu, widząc jednak nieco dalej La Voisin oraz krążącego nie opodal de Vandeuila, zaufaną kreaturę diuka, przywołałam na usta powściągliwy uśmiech. Brissac uklonił mi się z wyszukaną grzecnością. Na głowie sterczał mu nowy kapelusz, na grzbiecie wszakże miał ten sam co zwykle aksamitny kaftan z wytartym złotym galonem i widocznymi śladami ognia. Musiał się pewnie przysmażyć podczas którejś z tych głupich zabaw w wywoływanie diabła.

– Monsieur de Brissac, miło mi pana znów widzieć – z tymi słowy zdjęłam maseczkę.

– Ach, to ja jestem zachwycony! Twe oblicze, droga markizo, promienieje blaskiem jaśniejszym niż kiedykolwiek – cofnął się o dwa kroki, jakby blask ów raził go w oczy. Posłałam mu lekko drwiący uśmieszek, zastanawiając się zarazem, na jak długo wystarczy mu tych duserów.

– Wystaw sobie, droga przyjaciółko – rozległ się fałszywie serdeczny głos La Voisin – że ksiązę przygotował dla nas wspaniałą fetę: proponuje nam zaiste uroczy wieczór. – „Nam”? Do licha, chyba nie uda mi się od tego wykręcić. La Voisin najwyraźniej przyjęła już zaproszenie, także w moim imieniu.

– Ach, to doprawdy nic wielkiego, drobnostka, mimo to składam ją u twych stóp, łaskawa pani!

– No, mówże wreszcie, ty ropucho! Przechyliłam głowę i dotknęłam policzka końcem zamkniętego wachlarza, by okazać swe zainteresowanie. Pani Wiedźma promieniała.

– Ksiązę de Nevers – zaczął Brissac – wraz z diuszesa de Bouillon wykupił większość łóż na premierę „Fedry i Hipolita”, natchnionego utworu monsieur Pradona, i w dowód swej łaskawości dla prawdziwych koneserów sztuki pragnie rozdzielić te miejsca między osoby zdolne docenić niezrównane walory owego arcydzieła. – Aha, otóż i kolejna intryga Mancinich, tym razem z Brissakiem w roli głównego agenta. Więc taki uknuł sobie planik odzyskania faworów Neversa. Diuszesa de Bouillon zdążyła już położyć sztukę Racine'a, wykupiwszy w teatrze wszystkie loże, tak że podczas premiery świeciły pustką, a teraz chce wynieść na szczyty swego pupilka Pradona przy pomocy klaki, którą ma zwerbować diuk de Nevers. Niełatwy jest los artysty. Na moment błysnął mi obraz Lamotte'a, takiego jakim był przed laty: młodego idealisty o pełnych zapału oczach i zapadniętych policzkach. A Racine? Czymże naraził się Mancinim, że postanowili zniszczyć jego arcydzieło?

– Mnie, wiekowej wdowie, proponuje pan bytność w teatrze?

– Och, w przebraniu i w masce, a przy tym w doborowym towarzystwie. Madame, zabawa będzie przednia. Sam triumf Pradona to niezły figiel, nie mówiąc już o tym, jak zanie wielka

sztuka uszlachetnia umysł. Pozwól mi mieć nadzieję, że jeśli spodoba ci się ta impreza, będę mógł liczyć na twoje względy.

Wysunęłam jedną przegródkę wachlarza i poruszyłam nim wolno, jakby od niechcenia. Oznaczało to: „może”.

– Madame Montvoisin łaskawie wyraziła zgodę na towarzyszenie memu drogiemu przyjacielowi, wicehrabiemu de Cousserans. – Ha, jej ostatni kochanek. Do licha, zdaje się, że nie mam wyjścia.

– Czyż mogłabym zatem odrzucić tak uroczą propozycję? – Mejsz patronce rozbłysły oczy: koniec z Lamotte'em i d'Urbekiem. Jej plan wreszcie się spełnia.

– Powiedz, madame – spytałam lekko, jakbym nie przywiązywała do tego wagi – dlaczego wolisz Pradona, podczas gdy znakomita większość opowiada się za Racine'em, któremu patronuje zresztą sama madame de Montespan? – Twarz Najwyższej Wiedźmy pociemniała od nienawiści.

– W tej sprawie trzymam stronę Mancinich. Racine z zazdrości otruł swą kochankę, aktorkę La Du Pare, która od dzieciństwa była moją serdeczną przyjaciółką. Jej osierocone dzieci wychowują się teraz w pałacu hrabiny de Soissons. Odwiedzam je przy sposobności i patrzę, czy aby nie dzieje im się krzywda, ale nie! Dzięki hojności hrabiny niczego dzieciakom nie brak. Ludzie z rodu Mancinich mają długą pamięć, tak jak i ja. – Odpłynęła mówiąc, że musi dopilnować tańców, które właśnie się rozpoczęły. Zaczęłam i ja się przyglądać. Długi korowód tańczących z gracją sunął już w takt muzyki przed wielkim gobelinem ze skruszoną Marią Magdaleną.

– Pani nie tańczy, madame? – szepnął mi w samo ucho stojący za mną Brissac.

– Nie, mości książę, tę słabość mam już za sobą.

– Pani, rad bym tę porażkę Terpsychory przemienić w swoją wygraną. Zaproponuję ci zatem coś z tych rozkosznych łakoci, które tam widzę. Podyskutujemy o filozofii. Słyszałem, że stanowi ona przedmiot twego wielkiego zainteresowania. – Zmierzyła mnie jego lepka poufałość. Ależ wiedźma z tej La Voisin! Musiała mu nakłaść do głowy, czym najłatwiej może mnie podejść. I przysięgła mu pewnie, że w końcu odniesie zwycięstwo. Jakże troskliwe się mną zajął! Znalazł mi wygodne miejsce na wąskiej ławeczce – było to prawdziwe cacko! – i posłał de Vandeuila po słodycze.

Za moimi plecami jakaś zamaskowana kobieta chichotała głośno, opisując swe liczne przygody

miłosne towarzyszącemu jej kawalerowi. Kawalera, który miał na twarzy muszkę w kształcie gwiazdki, najwidoczniej bawiły pikantne szczegóły owej opowieści, śmiał się bowiem do wtóru. Widziałam, że Brissac pilnie przysłuchuje się tej konwersacji, przewracając oczami z uciechy. Siedział tak blisko, że zdjął mnie wstręt.

– Czemu nic nie mówisz, droga markizo, źle się czujesz?

– Ach, taka nagła słabość. Gorąco tu jakoś. Siedzimy zbyt blisko ognia. Powiedz mi, mości księżę, jak tam twe poszukiwania w dziedzinie... hm... nauk tajemnych? Postępują?

– Przez nadzwyczajny zbieg okoliczności ten stary alchemik, hrabia de Bachimont, wyjawiał mi całkiem nową metodę przywoływania demona imieniem Nebiros, który może wskazać ukryte skarby.

– Ale Nebiros to tylko marszałek polny, czy to nie za niska szarża? Pan powinien nawiązywać kontakty wyłącznie z samą górą piekiel! O, Astarot to jest właściwa osoba. Ma tytuł wielkiego księcia i tacy jak Nebiros słuchają jego rozkazów... – W tym duchu kontynuowaliśmy konwersację aż do chwili, kiedy Brissac zmuszony był pójść na stronę w następstwie wielkiej ilości wchłoniętego wina. Niewiele myśląc pochwyliłam tren i rzuciłam się do ucieczki, co widząc Gilles natychmiast znalazł się za moimi plecami. Powóz już czekał przed wejściem – Mustafa i Sylvie musieli odgadnąć moje myśli. Trzask tłuczonych butelek i podnoszące się raz po raz pijackie śpiewki wymownie świadczyły, że zabawa u Królowej Wiedźmy sięga szczytu. Tu, na dworze, znowu zaczął sypać śnieg. Co szybciej zapadłam się w bezpieczną ciemność powozu.

– Madame, co się stało? – spytała Sylvie, strzepując z mego płaszcza topniejące płatki.

– Brissac... chyba zamierza się oświadczyć, a ja... ja nie śmiem odmówić.

– Och, pomyśl o korzyściach! Iluż w tym mieście jest gorszych od niego! To także weź pod rozwagę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Na biurku pana de La Reynie widniała okuta kasetka z wyważonym zamkiem. Stojący obok Desgrez obserwował, jak szef podnosi wieko i przegląda zawartość. Przerzuciwszy stertę rupieci – jakichś starych pokwitowań i memorandumów – wybrał z niej paczkę wytłuszczonych listów: nie miały pieczęci, a papier, na którym je napisano, był bardzo liche. La Reynie szybko przebiegł wzrokiem parę kartek.

– Interesująca korespondencja. Listy niejakiego kawalera de Saint-Laurenta, którego, jak się zdaje, pan Geniers posłał do więzienia za długi. Narzekania na jedzenie, prośby o koce, pieniądze, wino... Wpierw są to prośby, potem żądania, wreszcie groźby.

– Byłem pewien, że natychmiast pan to zauważy. To właśnie nasz podejrzany.

– Tak, i cóż... ? – pytaniu towarzyszyło arystokratyczne uniesienie brwi.

– Zebraliśmy garść informacji dotyczących tego Saint-Laurenta. Mieszkał ostatnio w rezydencji „Pod Maszkaronami” w dzielnicy Cite. W zeszłym miesiącu wykupiła go z więzienia pani de Paulmy, płacąc za to pieniędzmi wygranymi na loterii. – Dziwnie zmysłowy uśmiezek pana de La Reynie powiedział Desgrezowi, że udało mu się zainteresować szefa.

– Zdumiewające, że markiz de Paulmy przymknął na to oko. Słynie wszak zarówno z krewkiego temperamentu, jak i z zazdrości.

– Monsieur, ma pan jak zwykle całkowitą słuszość. Indagowana przeze mnie służba zeznała, że wynajął zbirów, którzy zasadzili się na Saint-Laurenta, a dopadłszy obcięli mu nos i uszy.

– Dobra robota, Desgrez. Mamy więc naszego człowieka bez twarzy – pochwalił go La Reynie.

– A to co takiego? – spod sterty listów wydobył jakiś skrawek papieru.

– Adres markizy de Morville zapisany ręką denata. Pomyślałem, iż może wydać się to panu interesujące, monsieur de La Reynie.

– Markiza de Morville! Nie masz pojęcia, jak mnie ta kobieta irytuje! W ubiegłym miesiącu na przyjęciu u marszałkowej potraktowała mnie w niezwykle obraźliwy sposób... prowokowała niemal, bym spróbował udowodnić jej szarlatanerię. Podejrzewam tę osobę... właściwie nie wiem o co, mimo to budzi ona moje podejrzenia! Idź tym tropem, Desgrez. Sprowadź ją tutaj i poddaj przesłuchaniu na okoliczność tego morderstwa.

– Ośmielam się zwrócić pańską uwagę, że owa dama cieszy się wysoką protekcją.

– Działaj więc ostrożnie i... nie popuszczaj. Nie ufam szarlatanom, zwłaszcza rodzaju żeńskiego.

Desgrez nie zmienił wyrazu twarzy; jak zwykle w obecności pana de La Reynie stanowił uosobienie wzorowego oficera, który z najwyższą atencją przyjmuje każde słówko szefa, w rzeczywistości jednak był lekko rozbawiony, co oczywiście bardzo starannie ukrył. Niełatwo wyprowadzić z równowagi kogoś o takim opanowaniu i manierach! Bardzo był ciekaw, czym tak dopiekła szefowi ta arogancka markiza. Musiała to być zaiste szczególna impertynencja.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

– Wyjmij z szafy wszystkie i połóż na łóżku. Nie mogę się zdecydować. – Zawsze okropnie trudno mi wybrać suknię, gdy mam wyjść dokądkolwiek w towarzystwie osoby budzącej mą niechęć. Z jednej strony chciałoby się wyglądać wręcz zabójczo, z drugiej żal spaskudzić ulubioną suknię: na zawsze przyłgną już do niej ślady niemiłego towarzystwa. Którą więc poświęcić na wieczór z Brissakiem? Przejrzałam piętrzącą się na łóżku górę haftowanych jedwabi, atlasów i aksamitów, by dojść na koniec do wniosku, że wszystko to jest za ładne dla tak groteskowego indywiduum, choćby ta jego książęca mitra miała być najprawdziwsza.

– Madame, ktoś przyszedł – zameldowała Sylvie. – Pewnie Brissac. Pilno mu widać, skoro zjawia się o tyle wcześniej.

– Pilno mu zobaczyć mnie w peniuarze, tak? Mustafu, każ mu poczekać. Niech się nie waży tu wchodzić, póki nie będę gotowa.

Sylvie przewiązała mi włosy niebieską wstążką i zaczęła pacykować płynnym bielidłem nadającym mej twarzy ową szczególną a przeraźliwą bladość właściwą jedynie madame de Morville. Ledwo skończyła to robić, drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Madame, klę się na mą duszę, nie chcieli czekać! – krzyknął Mustafa. Z wysoko uniesionymi brwiami i lodem w oczach powoli odwróciłam głowę od toaletki, by stwierdzić, że to nie Brissac tak bezceremonialnie wdarł się do mego sanktuarium. W progu stał kapitan Desgrez z dwoma pomocnikami w niebieskich kaftanach i bufiastych spodniach funkcjonariuszy paryskiej policji. Desgrez, nie ogolony, z kępkami ciemnego zarostu na wąskiej twarzy, zdjął kapelusz i złożył mi ukłon. Całe szczęście, że pod tym bielidłem nie będzie mnie w stanie rozpoznać, pomyślałam z ulgą.

– Madame, kapitan Desgrez z policji.

Dokonując w myśli błyskawicznego przeglądu możliwych powodów tej niespodziewanej wizyty, usłyszałam własne uprzejme słowa:

– Monsieur Desgrez, proszę wybaczyć mój dezabil. Zechce pan łaskawie spocząć w tym oto fotelu. – Zastosował się do mojej prośby, asystenci zaś ustawili się po obu jego stronach. Do licha, usiadł, i od razu zrobił się z niego sędzia i to taki, który uznał mnie winną, zanim jeszcze otworzyłam usta!

– Piekło i potępienie! – wrzasnęła moja papuga. Desgrez spojrział w kierunku drążka, na co ptak

jakby w odpowiedzi wlepił w niego dwoje lśniących jak paciorki oczu. Któryś z policjantów kasznięciem stłumił wesołość. Desgrez łypnął na mnie z widoczną podejrzliwością.

– Osobliwe słownictwo jak na ptaka.

– To wina poprzedniego właściciela. Mam zamiar wynająć kogoś, żeby go wyuczył lepszych manier – odparłam z całą powagą.

– Madame, przyszedłem zadać pani kilka pytań – oznajmił; jego pomocnik wydobył notes.

– Z przyjemnością odpowiem na każde, jeśli tylko to w mojej mocy – odparłam życzliwie, potwierdzając swą dobrą wolę łaskawym skinieniem głowy.

– Madame, widzę tu zakryte lustro. Z jakiego powodu odmawiasz sobie najmilszej niewieściej zabawki?

– Niestety, kapitanie, posiadam niefortunną zdolność widzenia przyszłych wydarzeń w wodzie, jak również w lustrzanej tafli. Moja przyszłość to obraz trupiej czaszki. Nie chcę jej oglądać.

– Wie pani oczywiście, co mówi się o tych, którzy zapredali duszę diabłu? Podobno nie mają odbicia. Pozwolisz, madame? – W milczeniu skinęłam głową, na co jeden z policjantów zdjął muslinową zasłonę. Odwróciłam się od lustra i zakryłam rękami oczy.

– Madame, ma pani absolutnie normalne odbicie – w głosie Desgreza zabrzmiało coś na kształt ulgi – czegoż więc się boisz? Co tam widzisz?

– Krew, kapitanie, całą rzekę krwi. Zdaje się kapać z tafli. – Wstał, podszedł do toaletki i wyciągnął rękę w stronę lustra.

– Czyją krew? – spytał półgłosem.

– Nie wiem, ale to straszne. Czasami widzę, jak bruk na Place Royal czerwienieje... jak między kamieniami sączą się strumyki... Krew... tyle jej jest, że mogłaby zalać całą Francję – powiedziałam ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Właśnie z powodu krwi składam pani wizytę. – Miękki ton jego głosu usypiał czujność; na to też pewnie był obliczony. – Czy znała pani monsieur Geniersa, urzędnika sądowego? – Drgnęłam.

– Tak, znam go. Dlaczego pyta pan, czy go „znałam”?

– Ponieważ nie żyje, został zamordowany. Wśród jego papierów znaleźliśmy pani nazwisko, madame, na pokwitowaniu odbioru pewnej kwoty... Och, drżą pani ręce. Jeśli wiadomo pani coś w tej sprawie, proszę mi o tym powiedzieć.

– Boże! To kawaler de Saint-Laurent! On to musiał zrobić! Wiadomo, jaka mściwa z niego bestia!

– Kawaler de Saint-Laurent? Jakże to się stało, madame, że znasz obu tych ludzi? Przepowiadałaś im przyszłość? – Mówił niezmiernie uprzejmym tonem, lecz pod tą pozorną łagodnością kryła się groźba. Błyskawicznie oceniłam sytuację: wpadłam. Trzeba będzie powiedzieć prawdę, a przynajmniej jakąś jej część.

– Wie pan, kapitanie, byłam cichą współniczką monsieur Geniersa. Pożyczyłam mu pieniądze na wykupienie długów karcianych Saint-Laurenta. Pan Geniers z zemsty za uwiedzenie żony chciał wtrącić owego kawalera do więzienia. Długi były tu dobrym pretekstem. Ja również zostałam naciągnięta przez tego nędznika, chodziło o pewną inwestycję, i także miałam ochotę się zemścić. Wygodniej mi było uczynić to za czyimś pośrednictwem, rozumie pan, reputacja!, dlatego pomogłam panu Geniersowi. – Dwaj policjanci za plecami Desgreza popatrzyli na siebie znacząco. Ogarnął mnie nagły niepokój.

– Kapitanie, proszę mi powiedzieć, czyście już ujęli tego złoczyńcę? – Jeśli jest na wolności, myślałam, powinnam modlić się o to, żeby nigdy nie wykrył związku łączącego mnie z Geniersem, jeśli zaś w więzieniu, gdzie poddają go śledztwu, pozostaje mi już tylko prosić Boga, by mu nie pozwolił skojarzyć madame de Morville z zaginioną siostrzenicą. Gdyby tak się stało... policja weźmie mnie na spytki. Odezwały mi się w uszach słowa La Dodee: „Ty tego nie wytrzymasz. Nie jesteś w stanie znieść nawet ciasnego gorsetu, a co dopiero mówić o śledztwie!”

– Niestety, udało mu się umknąć – powiedział Desgrez.

– Czy... czy on wie... ? – spytałam wątlym, łamiącym się głosem.

– Że jest pani drugą osobą, która zasłużyła na jego zemstę? Możliwe, że nie jest tego świadom. Dokument znajdował się w zamkniętej szafie pana Geniersa, a Saint-Laurent dopadł swą ofiarę na ulicy. Ponieważ działo się to tuż przed domem, służba niezwłocznie podniosła larum i rzuciła się za nim w pościg. Zdołał ujsć dopiero w sporej odległości od miejsca zbrodni.

Przyłożyłam rękę do serca.

– Może więc ta krew, którą widzę w lustrze, nie jest moja, przynajmniej na razie.

Desgrez zrobił minę dobrotliwego wujaszka.

– Spodziewam się, że nie ma pani nic przeciwko temu, aby udać się teraz z nami celem spisania formalnego oświadczenia. Uczyni to nasz notariusz.

Uwaga, niebezpieczeństwo, ostrzegł mnie rozum. Jak już się tam znajdę, mogą mnie zatrzymać celem dalszej, przymusowej indagacji.

– Jak pan widzi, jestem nie ubrana.

– Proszę się więc ubrać, zaczekam.

– Niestety, kapitanie, jestem umówiona na dzisiejszy wieczór.

– Madame, pomoc w ujęciu mordercy to działanie na rzecz ładu publicznego i spokoju w królestwie naszego najjaśniejszego monarchy. Proszę, byś zechciała spełnić ten obowiązek. Zajmie to pani zaledwie chwilę, a niewielkie spóźnienie... to nawet rzecz w dobrym guście – rozsiadł się wygodniej w fotelu, jakby już całkiem objął go w posiadanie. Graj na zwłokę, szeptał mi rozum, marudź dopóty, dopóki nie zjawi się Brissac. Jego przybycie skomplikuje Desgrezowi sprawę.

– Może zechciałby pan się czegoś napić, kiedy będę się ubierać?

– Dziękuję, wystarczy, że pozwoli mi pani poczekać. – Och, cóż za piekielny skrupulant, pewnie jansenista. Obowiązek przede wszystkim. Rozpoczęłam długą konferencję z Sylvie na temat swojej toalety. Włosy: wpiąć w nie grzebyki czy może usiać mnóstwem malutkich brylancików, a la gwiazdziste niebo? Czy włożyć bransolety czy lepiej same pierścienie?

Zauważyłam, że ciężko znudzony Desgrez zaczyna wodzić wzrokiem po pokoju, że po kolei przygląda się rzeźbom i malunkom wysokiego parawanu obok szafy, następnie biurczku w alkowie, wreszcie półce z książkami. Ach, dziwi się pewnie, widząc jakie to budujące klasyczne dzieła. Sylvie, zerknąwszy z ukosa na zniecierpliwionych już do cna asystentów, wdała się w przegląd mojego pudełeczka z muszkami.

– Półksiężycy nie są ostatnio zbyt modne, odkąd stale nosi je pani de Ludres. Radziłabym motylki – zakończyła po dłuższym wywodzie.

– O nie, motylki w zimie? Całkiem niestosowne. – W gorsecie pękła sznurówka i trzeba ją było wymienić. Mnóstwo czasu i trudu zajęło odnalezienie mych zielonych jedwabnych pończoch, które jak na złość gdzieś się zapodziały. Znalazłszy się za parawanem, kilka razy zmieniałyśmy kolejność halek, jak również kokardki do pantofli: raz były za małe, kiedy indziej nie pasował kolor. Od czasu do czasu zerkałam przez szparkę w parawanie na swego nieproszonego gościa. Odwrócony był tyłem, widziałam jednak, że siedzi sztywno jak posąg, tyle że w pewnej chwili kark zrobił mu się czerwony. Jego ludzie to przyglądali się meblom, to wyglądali przez okno.

– Sylvie, podaj mi zieloną suknię.

– Tę taftową z lila podpinką? Och, madame, piękniej by ci było w błękitnej, jest o wiele elegantsza.

– Ale pognieciona. Nie odprasowałaś jej porządnie ostatnim razem. Bywasz tak niedbała, moja Sylvie!

– Przepraszam, madame, bardzo przepraszam, ja zaraz... migiem odprasuję... proszę, nie gniewaj się na mnie, madame – jękliwie paplała Sylvie, udatnie naśladowując głupiutką pokojówkę.

– Niech włoży to zielone diabelstwo i spokój! – dobiegł nas pomruk. – Duval, tego już doprawdy za wiele! – w napiętym głosie Desgreza brzmiała hamowana irytacja.

– Kapitanie, zajechał jakiś powóz. – Skryte za parawanem wymieniłyśmy z Sylvie spojrzenia pełne ulgi.

– Chyba jednak włożę błękitną. Te załamania nie są aż tak widoczne, jak mi się zdawało.

– O, dobrze robisz, madame! Od razu mówiłam, że będziesz w niej wyglądać pięknie – pisnęła Sylvie przypochlebnym tonem skruszonej winowajczynie, godnym zaiste wytrawnej aktorki. Z trudem udało mi się zachować powagę. Co by to było, gdyby Desgrez usłyszał mój chichot?

– Douval, któż tam przyjechał? – spytał szorstko.

– Na powozie nie widzę herbów. Osoby, które nim jadą, ubrane są bardzo bogato, nic więcej nie mogę powiedzieć, bo noszą maski.

Wyłoniłam się zza parawanu.

– To osoby, z którymi wybieram się do teatru. Co powiecie, panowie, o mojej sukni? Czy spodoba się jego książęcej mości? – Desgrez nie mrugnął nawet powieką, Duval wszakże znacząco zerknął na kolegę.

Gdy Brissac wkroczył do pokoju, kapitan powstał, a podczas prezentacji nisko uklonił się księciu. Ten od pierwszego rzutu oka zorientował się w sytuacji – przyczyniła się do tego długoletnia wprawa w wykręcaniu się zarówno policji, jak i poborcom podatków. Powoli opuścił maskę, by zaszczycić spojrzeniem stojących przed nim przedstawicieli niższego gatunku ludzi. Z twarzą zimno wyniosłą poinformował Desgreza, że byłoby rzeczą wielce niefortunną pokrzyżować nam plany na dzisiejszy wieczór zorganizowany przez samego księcia de Nevers. Włączywszy w ten sposób do dyskusji wszechpotężnego diuka, zadeklarował się jako gorący zwolennik wymiaru sprawiedliwości, a potem zasugerował, iż

notariusz policyjny mógłby pofatygować się do mego domu w dogodnym dla mnie terminie. Ze złośliwym półuśmiechem odnotował rejteradę Desgreza, który wśród niskich ukłonów wyszedł tyłem z pokoju, po czym sam skłonił się przede mną w sposób mówiący jasno: Widzisz, jakie korzyści może ci przynieść nasz alians? Najbardziej zaniepokoił mnie jednak wyraz twarzy Desgreza – była z niej tłumiona wściekłość. Widać było, że ten policjant nienawidzi jaśnie wielmożnych, ich pieniędzy i nietykalności. Przyczai się i poczeka, aż znajdzie taką chwilę, kiedy nikt mnie nie będzie chronił. Znałam jego nieustępliwość. Wszak to on latami ścigał po całej Europie madame de Brinvilliers i to on wydarł z niej wyznanie, po którym nawet tytuł nie mógł jej ocalić. Najgorsze, że i Brissac doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że jest mi teraz równie potrzebny, jak jemu księżę de Nevers.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Brissac sprawił się dobrze – jego patron mógł być zadowolony. Łoże nad sceną wypełnił tłum zamaskowanych mężczyzn i kobiet z półświatka, które wśród rozgłośnych rozmów demonstrowały swe stroje i biżuterię, rozglądając się zarazem dookoła w poszukiwaniu co bardziej interesujących osób. W naszej łoży zasiedli wraz z nami pewien duchowny satanista i jego metresa oraz La Voisin ze swym obecnym amantem, wicehrabią de Cousserans, rozpustnym arystokratą o przedziwnie fioletowym nosie. Z ogólnego szmeru rozmów najczęściej dawało się wyłowić nazwisko Pradona, jak również niezycliwe uwagi o kłęsce Racine'a: okropna blond aktorka, przez swą ordynarność całkiem nie pasująca do roli, pospolite wiersze i ach! jakże wulgarne potraktowanie tematu wymagającego wszak najwyższej subtelności, inaczej rzecz cała staje się – co tu mówić – nieprzyzwoita. I w ten oto sposób urabia się opinię, którą potem nazywamy powszechną, nasza mnie smętna refleksja. Z parteru rozległy się skandowane okrzyki „Pra-don, Pra-don!”, jakby wynajęci na ten wieczór żołnierze, studenci i zwykła hołota zaczęli już ćwiczyć aplauz, którym witać będą niebawem każdą kwestię prezentowanej dziś sztuki.

– Oo! – pisnął jakiś kobiecy głos. – Głowę daję, że to mademoiselle Bertrand, ta komediantka! Rozpoznałabym ją wszędzie po tych włosach. A ta jej suknia! – Zaciekawiona, jakież to właściwie włosy ma wspomniana znakomitość, poszukałam jej wzrokiem. Włosy były blond, farbowane. Cała góra wysoko spiętrzonych loków poprzetykanych mnóstwem kokardek i skrzących się brylancików. Ale łoża nie tak wytworna jak nasza – skrzywiłam się w duchu. A już takie publiczne karesy z tym wyelegantowanym jegomościem w szkarłatnych aksamitach to istny skandal. Aktorkom doprawdy brak taktu. Cóż, nie jest to w końcu zbyt szacowny zawód; prawdę mówiąc, mało lepszy od prostytutki. Obszerny, starannie upudrowany biust blond piękności wprost wylewał się z ciasnego gorsetu, a jej nagie ręce – nie nosiła rękawiczek – ginęły gdzieś pod strojem towarzysza. Można by pomyśleć, że w nim uwięzły. Mężczyzna roześmiał się nagle, przechylając głowę na ramię; ruch ten wydał mi się dziwnie znajomy.

– O, to w istocie mademoiselle Bertrand. Zobaczmy, komu też ostatnio powierzyła rolę swej sakiewki – wicehrabia de Cousserans, uzbroiwszy w lorgnon jeden z otworów swej maski, wychylił się z łoży.

– O, do kaduka! Toż to ów nieznośny parweniusz, który przed tygodniem do nitki ograł mnie w lancknechta! Jakże on się nazywa?

– D'Urbec – podpowiedziała natychmiast La Voisin, zerkając na mnie z ukosa. Spojrzałam znów na mężczyznę i tym razem zobaczyłam go en face. W przeciwieństwie do towarzystwa w mojej łoży nie nosił maski. Tak, był to d'Urbec w ogromnej czarnej peruce, z uwieszoną na ramieniu komediantką i bandą prostacko hałaśliwych kompanów. Próbowałam wmówić sobie, że w tym towarzystwie czuje się bardzo samotny, ale nie, wcale tak nie było. Przeciwnie, jego zadowolenie z siebie biło w oczy. Na wszystko dookoła spoglądał wzrokiem posiadacza. Niech go licho, nie było w nim śladu jakiegokolwiek tęsknej zadumy, nic poza pustą satysfakcją zachwyconego sobą aroganta. Obserwując to z prawdziwą przykrością, czułam na sobie skryte za maską spojrzenie La Voisin.

– Nienawidzę parweniuszy – oznajmił Brissac.

– Ten, o którym mowa, pochodzi znikąd. Wszystko, co posiada, zawdzięcza grze w karty. A wygrywa, jakby zawarł pakt z diabłem! Powiedz mi, moja droga, jesteś wszak w tych sprawach ekspertem, czy istotnie podpisał cyrograf? – spytał wicehrabia, ściskając La Voisin za kibić.

– Nie korzystał w tym celu z interwencji żadnej ze znanych mi osób – odparła Pani Wiedźma. – Jednakowoż słyszałam, że jeździł za granicę do jakiegoś cudzoziemskiego adepta.

– Można to łatwo sprawdzić – roześmiał się Brissac. – Co byś powiedział, wicehrabio, gdybym tego d'Urbeca publicznie przywiódł do ruiny?

– Cóż, powiedziałbym wtedy, że nie ma diabła za patrona... sza!... kurtyna idzie w górę! – Brissac pochylił się nad uchem wicehrabiego i coś mu zaczął szeptać. Obaj parsknęli śmiechem. – Zgoda! – mruknął de Cousserans. Ze sceny popłynęły pierwsze strofy Pradona; ich artyzm wydał mi się dość wątpliwy.

Wróciłam do domu z paskudnym bólem głowy. Co mi tak mogło zaszkodzić? Pewnie ta sztuka; długie siedzenie w ciasnej łoży i te okropne wyziwy bijące z zatłoczonego parteru. A może kupiona przez Brissaca lemoniada? Przypomniałam sobie żółte róże. Tak, ani chybi lemoniada – musiało coś w niej być. Do diabła! To macierzyńskie spojrzenie La Voisin, ta widoczna w jej oczach aprobata, gdy Brissac podawał mi napój. Znów jakiś proszek miłosny – sproszkowane kogucie grzebienie, suszone gołębie serca i sam diabeł tylko wie co jeszcze. Nic dziwnego, że głowa mi pęka. Brissac tymczasem napawa mnie takim samym wstrętem jak zawsze. Proszki miłosne madame tyle akurat są warte, co te perfumy o „nieodpartej” woni używane niegdyś przez matkę. Jak by to obrócić na swoją korzyść? Za ten piekielny ból głowy należy mi się chyba mała zemsta. Już wiem. Będę udawać, że proszek podziałał; zacznę okazywać Brissacowi czułość – a niech tam, kupię mu nowe ubranie! Tym na pewno ich zwiodę. A potem

znów oziębłą – że niby proszek przestał działać. Miło będzie patrzeć, jak wyłażą ze skóry, żeby mi podsytać następną porcję. O, ale nic z tego. No, dam ja im szkołę.

Ból dosłownie rozsadzał mi skronie. W tym proszku musiało być jakieś narkotyczne paskudztwo. Po głowie plątały mi się... co to było? Wspomnienia? Wizje? I ten żołądek... Cóż za koszmarnie sensacje! Mglisto przypominała mi się jakaś konwersacja między Brissakiem i wicehrabią... Ach tak, o d'Urbecu. O tym, żeby go zrujnować. Ale czyż on nie został raz już zrujnowany? Położyłam się na łóżku próbując ustalić, która część ciała boli mnie najbardziej. Tam, na tym fotelu, siedział kiedyś d'Urbec... Siedział na samym brzeżku, jak gdyby bał się go pobrudzić... patrzył na swoje ręce pokaleczone od wiosła, pokryte mnóstwem blizn i zgrubień... Tyle razy rujnowano tego człowieka, a on otrząsał się tylko i znów szedł naprzód? Cóż, można to uznać za dzielność, choć w wypadku d'Urbeca wynika ona głównie z przekory. Z gorzkiej determinacji. Nagle zrozumiałam całą scenę w łoży. Wynajął sobie kobietę, całkiem jak ten elegancki powóz. Przywdział ostentacyjnie bogaty strój. I jedno, i drugie służy temu samemu celowi: d'Urbec chce zadrwić sobie ze świata, powiedzieć ludziom: Wydaje wam się, że pieniądze są takie ważne? Proszę, oto one! Patrzcie, jak łatwo je zrobić, jakie są hałaśliwe i wulgarne. Człowiek rozumny może się z nich tylko śmiać! Wiedziałam, co stara się wykpić: wierutną głupotę wielkiego świata, pychę możnych i ten ich zupełny brak serca. Postawa ta budziła we mnie żywy oddźwięk – mogłam jej tylko przyklasnąć.

I nagle oblałam się zimnym potem, gdyż pamięć zaczęła gwałtownie podsuwać mi dziwne wspomnienia. Ileż różnych odcieni miały w sobie kpiny d'Urbeca! Gdy mnie nazywał „Ateną”, wiedząc przecież, że zaledwie liznęłam greki, w jego głosie brzmiała żartobliwa czułość, a znów w prześmiewkach z Lamotte'a tkwiło ukryte ostrze. Można było pomyśleć, że rad by nim przebić przyjaciela, który z druha stał się rywalem... Rywalem? Na jakim polu? Nie, nie, to niemożliwe... nie mogło przecież chodzić o mnie! Och, dlaczego nagle przeniknął mnie taki lodowaty dreszcz? Okropność. Nie, to nie ma sensu. D'Urbec i d'Urbec. Nabiłam nim sobie głowę i tyle. Ha, ale dlaczego boli mnie serce? Bo mam beznadziejnie głupie serce, pomyślałam cierpko, miękkie jak nie dogotowane jajko. Skąd się to bierze? I po co mi w ogóle serce? Wolałabym je sobie wyciąć... ale wtedy miałabym w piersi ranę bolącą pewnie tak samo jak teraz głowa...

Zapaliłam świecę od kominka i usiadłam w alkwie nad otwartym notatnikiem. Znów zobaczyłam d'Urbeca, tym razem w owym śmiesznym płaszczu, w którym chodził przed laty, z oczami błyszczącymi jak wtedy, gdy wymachując rękami wykladał nam swą teorię fiskalnej niewydolności państwa.

„Co się ze mną dzieje? – napisałam. – Czy odurzył mnie narkotyk, czy też urok La Voisin zaczął działać? A może coś doszło we mnie do głosu... , coś, co zawsze tam tkwiło? Tylko co? Współczucie, które rozrosło się z czasem do tak ogromnych rozmiarów, czy też coś zgoła innego? Byłoż to uczucie, które siedziało we mnie od początku, ale ja bałam się je nazwać? Dlaczego tak mnie ono przerażało i nadal przeraża? Boże, dopomóż mi, błagam! Kocham Florenta d'Urbece i tak strasznie wszystko poplątałam!”

Zamazałam stronicę i zamknąwszy notatnik sięgnęłam po czystą kartkę papieru, na której nakreśliłam słowa: „Strzeż się Brissaca. Uknął intrygę, aby Cię zrujnować.” Podpisałam „Przyjaciel”, uznawszy, że tak będzie lepiej. D'Urbec nadal jest na mnie wściekły, mógłby więc zlekceważyć to ostrzeżenie, gdyby wiedział, skąd pochodzi. Poślę je przez Mustafę. On przynajmniej nie pobiegnie w te pędy do La Voisin. Ale nawet wtedy nie mam pełnej gwarancji, że bilet trafi do rąk d'Urbece; w tym mieście każdy prawie knuje intrygi. Mimo wszystko poślę Mustafę, Sylvie bierze pieniądze od zbyt wielu ludzi. Włożywszy list pod poduszkę, zapadłam wreszcie w niespokojny sen.

– No i jak tam, dostał mój bilet? – Mustafa, grubo okutany przed zimnem, oficjalnie powrócił właśnie z laboratorium La Trianon, dokąd udał się rzekomo po nową porcję kordiału. Sama zbiegłam na dół, aby otworzyć mu drzwi. Sylvie nie podniosła nawet oczu znad cerowania, pewna, że moja niecierpliwość płynie z gwałtownej potrzeby opium.

– I tak, i nie, madame – odparł półgłosem Mustafa.

– Co to znaczy? Nie byłeś u niego?

– Dowiedziałem się, gdzie mieszka, rozpytałem się o to w Theatre Guenegaud, ale pomyślałem, że monsieur d'Urbec może mnie rozpoznać, posłałem więc z listem mego przyjaciela, pewnego karła, który para się żebractwem na Pont au Change. Jemu można zaufać, znam go dobrze. Zastał pana d'Urbece przy śniadaniu, w towarzystwie tej komediantki, panny Bertrand. Miał na sobie jedwabny szlafrok i brokatowo-futrzaną czapkę. Pewnie wygolił sobie głowę, jak to robią arystokraci i korzysta z usług jakiegoś wielce modnego perukarza.

- Ale cóż mnie obchodzi jego peruka! Mów dalej!

Mustafa trochę się zawahał.

- Madame, pan d'Urbec od razu rozpoznał twoje pismo... Nie czytając listu, podarł go na strzępy. – Ha, a potem pewnie wrzucił je do ognia. – To... to jeszcze nie wszystko. Kiedy La Bertrand spytała go o ten list, wzruszył ramionami i powiedział, że to znów bilecik miłosny...

Dostaje, powiedział, takich setki, kobiety bowiem wprost za nim szaleją.

– Słuchaj no, Mustafa, czy ktoś ci zapłacił, żebyś mi to powiedział?

– Nie, madame, klnę się na swój honor. Powtarzam tylko, co mi doniesiono. – Wzięłam głęboki oddech, po czym powoli wypuściłam powietrze.

– Cóż, w takim razie nic już nie mogę zrobić.

– Najwyraźniej. A co było w tym liście?

– Ostrzeżenie.

– Ja nigdy bym nie zlekceważył przestrogi sławnej jasnowidzącej, madame de Morville – zauważył Mustafa. – Pośród wielu innych zalet masz i tę, że się nie mylisz. Nigdy.

– Tym razem chciałabym się mylić. – Czyż mogłam winić d'Urbece, że mnie nienawidzi? Nie miałam prawa spodziewać się niczego innego. Ach, gdybym mogła odzyskać niewielką choćby częśćkę jego przyjaźni, tej przyjaźni, którą tak bezmyślnie odrzuciłam! Jak to się stało, że w swej nieprzytomnej pogoni za bóstwem mego dzieciństwa, którego trywialność i płytkość teraz dopiero objawiły mi się w całej pełni, mogłam przegapić coś tak cennego, jak zainteresowanie d'Urbece, jak jego взгляды? Poczulałam się nagle stara i smutna. Podeszłam do kominka i wyciągnęłam ręce ku skaczącym płomieniom: jak bardzo przypominały tańczące salamandry...

– Chodząc po mieście, nasłuchiwałam się różności. Może cię to zabawi, madame – odezwał się Mustafa.

– Och, powiedz, powiedz! Pilnie potrzebuję jakiejś krotchwili!

– Pojawił się nowy sonet atakujący „Fedrę” Racine'a. Autorem jest podobno sam de Nevers lub przynajmniej ktoś z jego obozu. Utwór ten, jak mówią, ma w sobie tyle jadu, że Racine zmuszony będzie odpowiedzieć.

– Co oczywiście pozwoli Neversowi wystąpić z kontratakiem – uzupełniłam.

– O, właśnie! I taki będzie koniec arcydzieła pana Racine'a, a być może i samego mistrza. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktokolwiek sprostował Mancinim w intrygach. Ja przynajmniej nigdy o tym nie słyszałam.

W pałacu Soissons grano tego wieczoru w baseta – emocje sięgały szczytu. Przy głównym stole siedziała hrabina w otoczeniu kilkunastu psich ulubieńców, madame de Vertamont przekładała karty, a markiz de Gordes przyglądał się obu damom przez lorgnon. Przy dalszych stołach rozgrywały się różne sceny w zależności od tego, jak komu sprzyjało szczęście: jedni skakali z

radości, inni, tracąc tysiące pistoli, zrywali z głów peruki bądź okładali pięściami Bogu ducha winne stoły.

– Drogi przyjacielu, brakło mi pieniędzy. Masz pięćset pistoli? – rzuciła przez ramię madame de Rambures do stojącego za nią kawalera. Reguły męskiej galanterii były naonczas tak ostre, iż rzadko któremu panu udawało się wynieść z salonu jakąkolwiek wygraną: dobrze wychowany mężczyzna musiał służyć damom swą sakiewką. Damy zaś przegrywały. Zauważyłam, że nie kierują się żadną strategią, łatwo natomiast dają się ponosić emocjom.

Wędrując pozornie bez celu między stolikami, łowiłam uchem najświeższe plotki. Przeważały wieści z dwóch frontów: mody i wojny. Komentowano charaktery poszczególnych dowódców, obrabiano co modniejsze damy, a także lekarzy świadczących usługi wytwornemu towarzystwu, jak również sędziów i członków palestry. Ponad gwar rozmów wybił się nagle czyjś śmiech.

– Ach, moja droga – usłyszałam głos jakiejś damy – więc ty nic nie wiesz? Mistrz Racine czmychnął do jansenistów! Napisał sonet, w którym oskarżył Neversa o kazirodztwo, na co księżę jasno dał do zrozumienia, że jeśli Racine pozostanie w Paryżu, jego życie nie warte będzie funta kłaków.

– Nevers ma całkowitą rację. Moim zdaniem zuchwalstwo Racine'a zasługuje na tysiąc batów.

Poszłam dalej nie chcąc, by mnie przyłapano na podsłuchiwanie. W pewnej chwili u mego boku wyrósł Visconti.

– Nie grasz, Primi? – spytałam, widząc jego znudzoną minę.

– Witam, madame de Morville. Ach, przedwczoraj zaryzykowałem pistola i w ciągu wieczora wygrałem tysiąc, ale zaraz opadły mnie damy: „O, Visconti to czarodziej, niech więc coś dla nas wygra.” Cóż było robić? Musiałem grać w ich imieniu. Skończyło się na tym, że mnie obrano do czysta. Na szczęście zdołałem się wycofać, zanim jeszcze popadłem w długi, których nijak nie mógłbym spłacić.

– Postąpiłeś bardzo przytomnie.

– Ba! Ale jak cierpi na tym moja reputacja! Jasnowidz, który przegrywa w karty! Lepiej chyba, tak jak ty, nie grać wcale.

– Spójrz, Primi, kim jest ów ciemnowłosy jegomość trzymający bank przy tamtym stole? Nie przypominam sobie, bym go tu przedtem widziała.

– A, to monsieur d'Urbec. Nazwisko niezbyt szacowne, ale on sam powiązany jest podobno z zagranicznymi bankami. Mówi się także o cudzoziemskim tytule, lecz jako posiadacz takowego, mogę cię zapewnić, że liczy się on tu niewiele. Tym, co czyni pana d'Urbeca osobą tak mile widzianą, są jego pieniądze. Bywa niezmiernie hojny wobec dam, panów umie dyskretnie wybawić z kłopotów, a już w grze ma doprawdy diabelskie szczęście.

– O, czyżby oszukiwał?

– Nie, nie w tym rzecz. On jest taki sam jak Dangeau: nie kieruje się emocjami i gra nader taktycznie, dlatego fortuna mu sprzyja. Pomyśl: człowiek znikąd, a przyjmują go wszędzie. Powiadają, że prowadzi negocjacje w sprawie zakupu jakiegoś urzędu. Myślę, że ma na oku pobór podatków gdzieś na prowincji. Parweniusz z tego d'Urbeca, ale rozumu mu nie brak. Ach, otóż i monsieur Valleroy... spójrz, jaki z niego symulant. Jest kochankiem hrabiny i bardzo się stara zataić ów związek. Próżny trud, ma to wypisane na twarzy. Fizjonomika, madame. Ona się nie myli.

– A co powiesz o panu d'Urbecu?

– Ha, mała lisiczko! – Visconti obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. – Wybij go sobie z głowy, jeśli nie chcesz żyć na wygnaniu, kursując pomiędzy dworami różnych zagranicznych książąt. Mniemam, i nie bez powodu, że nie odpowiadałoby ci takie życie: za bardzo jesteś paryżanką. On natomiast ma twarz urodzonego awanturника. Gorzką, inteligentną. Za wiele też ukrywa. Jest jak mistrz szachowy w świecie amatorów i skończonych głupców. Wiesz, ten człowiek zostanie doradcą królów, ale oni kochać go nie będą.

– Brawo, Primi. A jego przeciwnicy? Co mówią ich fizjonomie?

– Ha, nasz stary przyjaciel Brissac: jakież to wyborny egzemplarz klasycznego monstrum! Prawdziwy maestro wszelkiego występku. Widzisz te opadające powieki i cofnięte czoło? To oznaka perwersji. Natomiast ambasador Giustiniani... O! Popatrz!

Przy wspomnianym stoliku zaczęło dziać się coś niedobrego. Giustiniani odłożył karty, Brissac, odrzuciwszy w tył głowę, wybuchnął szaleńczym śmiechem, d'Urbec zaś zerwał się z miejsca. Ręce położył na stole... twarz miał bardzo bladą.

– Chodźmy – Visconti ujął mnie pod ramię – nie możemy przegapić takiej zabawy.

– Sto tysięcy pistoli. Żądam natychmiastowej wypłaty monsieur d'Urbec – wycedził Brissac.

– Nie sądzi pan chyba, że monsieur d'Urbec zamierza jutro opuścić Paryż – wtrącił się Giustiniani. – Między ludźmi honoru...

– A kto tu mówi, że pan d'Urbec jest człowiekiem honoru? – w lodowatym głosie Brissaca brzmiała świadoma obelga.

– O, drogi panie d'Urbec, chętnie zrewanżowałabym ci się za wczorajszą uprzejmość, gdybym dzisiaj tyle nie straciła – powiedziała któraś z pań. Ach tak, madame de Bonnelle. – Mąż będzie na mnie wściekły – zakończyła z ciężkim westchnieniem.

– Mowa tu o ludziach honoru – powiedział d'Urbec przez zęby. – Ludzie honoru nie oszukują.

– Obraziłeś najstarszą krew Francji, ty, który jesteś nikim – Brissac gwałtownie powstał. – Mógłbym cię za to zabić. – Wokół ich stolika zaczęło robić się tłoczno. Wszyscy porzucili grę.

D'Urbec zniechęca chwycił Brissaca za kaftan i ścisnął go swymi potężnymi dłońmi, a potem potrząsnął nim zupełnie jak terier szczurem. Z rękawów diuka posypały się karty.

– Och, a to co? – krzyknęła madame de Bonnelle. – Nieładnie, panie de Brissac!

– Ty kanalio! – warknął zdemaskowany, wymierzając d'Urbecowi policzek, jakby ten był jego lokajem.

– Panie de Brissac, miej na uwadze godność tego domu! – rozległ się ostry okrzyk madame de Soissons. Zdumiony pomruk tłumu ucichł. Na twarz d'Urbeca wystąpił najpierw rumieniec, a potem śmiertelna bladość. Przez moment prawie już dał się ponieść nadludzkiej sile swych dłoni i ramion, jednak nielegalny pojedynek z utytułowanym przeciwnikiem był dla niego rzeczą niebezpieczną: mógł go doszczętnie zrujnować, zwłaszcza że przy okazji wyszłaby pewnie na jaw jego przeszłość. D'Urbec zdawał sobie z tego sprawę, Brissac natomiast pewien był swej bezkarności. Wiedział, że w najgorszym razie przyszloby mu przesiedzieć parę tygodni w Bastylji, toteż wybuchnął śmiechem. Hrabina spojrzała na d'Urbeca takim wzrokiem, jakby zobaczyła kundla, który wśliznął się pomiędzy jej psich ulubieńców. Było w tym spojrzeniu tyle pogardy, że nawet postronni obserwatorzy poczuli się upokorzeni.

– Jak śmiesz w moim domu stawiać jego książęcą mość w tak żenującej sytuacji! – rzuciła lodowato. – Możesz odejść...

– Nie odejdziesz, póki nie spłaciś długu! – przerwał bezceremonialnie Brissac; jego szorstki głos pozbawiony był wszelkiej kurtuazji.

– Płać, d'Urbec! Natychmiast! Oddaj swój powóz, kubrak, wszystko, co masz przy sobie!

– Jutro moi bankierzy dostarczą panu całą sumę.

– Panie Brissac, nie życzę tu sobie kłótni – oświadczyła hrabina. – Chcę, by ten człowiek

niezwłocznie stąd wyszedł, ty zaś nie waz się mnie obrażać, przedłużając tę jakże trywialną dyskusję!

– Ten łajdak może zbiec. Niech więc płaci zaraz albo wtrącę go do więzienia.

– Racja jest po pańskiej stronie, powinien pan jednak zrozumieć, że nie uznaję w mym domu takich plugawych awantur. – Rozejrzała się po obecnych: – Kto może do jutra poręczyć za tego człowieka?

Nikt się nie odezwał. Tłum otaczający d'Urbece cofnął się o parę kroków, tak że stał teraz samotnie jak ranny drapieznik osaczony przez żądną krwi sforę. Pośród śmiertelnej ciszy usłyszałam nagle własny głos, brzmiał dziwnie, jakby płynął z innej rzeczywistości:

– Madame, dzisiejszej nocy nawiedziła mnie straszna wizja. Przyszła sama z siebie, gdy przypadkiem spojrzałam w lustro. Zobaczyłam spływającą po szkle świeżą krew. Od razu uznałam to za bardzo niedobry omen. W dniu dzisiejszym zdarzyć się może wielkie nieszczęście.

– Słuchajcie prorokini! – rozległ się czyjś głos. Hrabina, osoba niezwykle przesądna, cofnęła się nieco, kilka dam nakreśliło znak krzyża.

– Aby więc uchronić od złego twe czcigodne domostwo, twą prześwietną osobę, jako też twoich znakomitych gości, postanowiłam poręczyć za tego człowieka. – Brissac rzucił mi spojrzenie pełne skoncentrowanej nienawiści, d'Urbec powoli odwrócił się w moją stronę, po czym z twarzą nie wyrażającą żadnych uczuć złożył mi ukłon.

– Dziękuję, madame de Morville – co rzekłszy, skierował się do wyjścia. Patrzyłam, jak samotnie idzie przez salę: nie obejrzał się ani razu.

– Zbyt gładko wywinie się z opresji! – sarknął Brissac. – De Vandeuil – rzucił pod adresem swego człowieka do wszystkiego – każ mym lokajom obić go w drodze do domu. – Patrząc teraz za oddalającym się de Vandeulem, przypomniałam sobie, że Florent nie nosi szpady. W milczeniu wyminęłam lokajów zbierających rozsypane karty i także opuściłam salon. Szukając swego okrycia, usłyszałam jeszcze, jak hrabina strofuje Brissaca:

– Zapamiętaj sobie, panie Brissac, że wszystko, co dzieje się w moim domu, dotyczy mnie osobiście... – Mustafa widząc, że wychodzę, pospieszył za mną, zachowując przy tym stosowną odległość. Przystanąłam na schodach przed pałacem. Vandeuil zdążył już dopaść d'Urbece i zastąpić mu drogę.

– Obraziłeś księcia de Brissac swoim aroganckim posądzeniem, chamie! – Z mroku wyłoniło

się czterech mężczyzn zbrojnych w ciężkie laski. Bezszelestnie jak cienie przemknęli pod bramę wjazdową dla powozów i stanęli tam w zaspie brudnego śniegu.

– Czym? Że go zdemaskowałem? Że cały Paryż będzie miał z tego uciechę? Karty w rękawie! Twój pan, nędzny sługusie, oszukuje jak stara baba! – Padł cios, d'Urbec uchylił się przed nim i wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał w mroku jak wystrzał. Była w nim jakaś obłąkańcza gorycz. Za mymi plecami pojawili się tymczasem widzowie: kilku gości i garstka służby. Na dziedzińcu rozległ się szczeł żelaza.

– Wiecie, że nie mam broni – usłyszałam spokojny głos d'Urbeca.

– Miałbym brudzić twą krwią szlachetne ostrze, pachołku? Hej, lokaje! – Grupka zbirów zaszła d'Urbeca od tyłu. Jakaś kobieta wybuchnęła piskliwym śmiechem.

– Dość tego, panie de Vandeuil! – zawołałam rozkazująco. Rozejrzał się, próbując ustalić, kto wydał ten rozkaz, ja tymczasem zaczęłam schodzić ze schodów. W nagłej ciszy słychać było tylko głuchy stuk mojej laski. – Nie zamierzam tracić swojej inwestycji – oświadczyłam zimno, stając tuż przed obnażonym ostrzem. Musiałam wyglądać jak zjawa z tamtego świata w swoich czarnych brokatakach, z tą upiornie białą plamą twarzy, bo Vandeuil na moment znieruchomiał.

– Madame, zechciej łaskawie się stąd usunąć – zabrzmiał przeraźliwie spokojny głos d'Urbeca.

– Wolę już doprawdy dać temu panu nauczkę.

– Proszę, cóż za niespodzianka! A ja myślałem, że ktoś taki jak ty będzie wolał skryć się za spódnicą – zadrwił de Vandeuil.

– Nie musi, mój panie – odrzekłam, starając się nadać głosowi możliwie złowrogie i znaczące brzmienie. – Nie musi, gdyż ten człowiek jest jednym z nas.

– Czy to znaczy, że zalicza się do grona starszych dam? – spróbował znów zadrwić de Vandeuil, lecz jego piskliwy śmieszek świadczył o zdenerwowaniu.

– Astarot nie darowuje zniewag – oznajmiłam dobitnie. – Nigdy. Powiedz to Brissacowi. – Zauważyłam, że szpada w jego ręku zadrżała, a jej koniec lekko się obniżył. – Czekam na pańską odpowiedź, przypominając zarazem, że Astarot bardzo nie lubi czekać. Czuję się w obowiązku ostrzec cię, monsieur, że taka zwłoka może być uznana za zniewagę. – Ostrze zniknęło w pochwie, a sam de Vandeuil odstąpił na bok.

– Nie chcę obrażać tej sławnej siedziby, plamiąc jej kamienie twą krwią, panie d'Urbec – spróbował butą pokryć swe zmieszanie. – Z tego powodu, jak również z powodu wielkiego szacunku, który żywię ku pani tego domu i obecnej tutaj starszej damie, spotkam się z tobą

gdzie indziej – zamasyście zdjął kapelusz z głowy.

– Doskonale. Na to spotkanie nie omieszkam wziąć ze sobą szpady – oświadczył d'Urbec, rewanżując się przeciwnikowi ukłonem. Dopiero w tej chwili dostrzegł za sobą uzbrojonych pacholków, ale i teraz pozostał nieporuszony.

– Monsieur d'Urbec, jeśli są tu pańscy tragarze, zechciej ich odesłać. Proszę, byś eskortował mnie do domu moim powozem. Po ulicach włóczy się ostatnio tylu rzezimieszków, że samotna starsza kobieta nie czuje się bezpieczna.

Ceremonialnym gestem ujął mnie pod ramię: – Do usług, droga markizo. – Zaledwie jednak oboje wsiedliśmy do powozu, a Gilles wdrapał się na ławeczkę, syknął gniewnie: – Znowu mieszasz się w moje życie? Kiedy wreszcie dasz temu spokój? I czego ty właściwie chcesz?

– Na pewno nie twojej wdzięczności, Florent – usiadłam, chowając ręce do mufki. – Może po prostu nie chcę, żeby moja inwestycja padła ofiarą zbirów?

– Twoja „inwestycja” nie prosiła cię o ochronę. Doprawdy, mogłabyś darować sobie to bezsensowne wtykanie nosa w moje sprawy, zwłaszcza że sama jesteś przyczyną moich dzisiejszych kłopotów.

– Wcale by ich nie było, gdybyś uznał za stosowne przeczytać moje ostrzeżenie.

– Mylisz się. Musiałem być dzisiaj w pałacu Soissons – powiedział twardo i jakoś obco. Nie pasowało mi to do wizerunku zawodowego hazardzisty, a znałam ich wielu.

– Jeśli musiałeś, to znaczy, że chodziło o coś ważniejszego niż gra. Straciłeś dzisiaj fortunę i nawet nie mrugnąłeś okiem. Gdybym naprawdę tak bardzo interesowała się wszystkim, co cię dotyczy, musiałabym zapytać, kto za tobą stoi. Bo że nie Astarot, to pewne.

– Podziwiam, madame, zarówno twe jasnowidzenie, jak i wciąż tę samą uszczypliwość. Moje gratulacje. – Teraz byłam już pewna. Oto w stolicy kraju uwikłanego w wojnę działa „żurnalista”. Zna wszystkich i wie o wszystkim. A jest człowiekiem noszącym w sobie mnóstwo żalu i uraz. Kogoś takiego wystarczy trochę tylko wspomóc finansowo, a dotrze wszędzie gdzie trzeba. D'Urbec ani chybi sprzedaje informacje któremuś z zagranicznych rządów. Ale co zrobił z rodziną? Ciekawe, czy ci, dla których szpieguje, zapewnili azyl jego bliskim? Dokąd też uciekli? Amsterdam? Londyn? Jeśli jednak wszystko to prawda, dlaczego pozwolił mi się domyślić? Czyżby mnie sprawdzał? Miałam dziwne uczucie, że tak właśnie jest.

– To nie jasnowidzenie, ale zwyczajna logika nasuwa wniosek, że nie Astarot jest twym

mocodawcą. Zbyt kapryśny to demon, tak przynajmniej uważa większość znawców, w dodatku straszny z niego tyran.

– Nie większy niż ten monarcha, któremu zdaje się, że jest słońcem – cicho powiedział d'Urbec.

– Pamiętaj o Dedalu, który życiem zapłacił za to, że za bardzo zbliżył się do słońca.

– A ty o Persefonie, która skuszona ziarnem granatu musiała pozostać w państwie Hadesa.

– Tak, ale jako królowa. Są tacy, co uważają, że tytuł zawsze ma swoją wartość, nawet w królestwie podziemi. – D'Urbec zamilkł. Nie odezwał się aż do chwili, gdy powóz zatrzymał się przed domem, gdzie wynajmował pokoje. Czułam jego ciepły oddech. W dziwny sposób wypełniał sobą ciasną przestrzeń powozu. Emanowała z niego jakaś przyczajona zwierzęca siła. Ogarnęła mnie nagle zazdrość o tę kobietę w jego łożu. Było to uczucie tak silne, że nie mogłam powstrzymać się od złośliwości: – Czeka na ciebie ta aktorka? A może wypożyczasz ją sobie wraz z powozem?

– Genevieve Pasquier! – syknął z furją. – Czy przyszło ci kiedy do głowy, że miłość nie jest towarem, który można sprzedać czy kupić?

– A jakże, panie d'Urbec, wiele razy nad tym rozmyślałam. U podłoża miłości tkwią różne motywacje, takie jak choćby zemsta.

– I okrucieństwo, droga mademoiselle. Takie samo niewinne okrucieństwo, jakie każe kotu zabawiać się myszą, a dziecku wrywać owadom nóżki. Okrutna ciekawość inteligentnego potwora: zobaczyć, co jest w środku i jak to wszystko działa.

– A jeśli ten potwór wie, jak to działa? – Miał odpowiedzieć gwałtownie zamilkł. Czułam, że przygląda mi się w ciemności, wyczuwałam niemal jego myśli i to, że następuje w nich zmiana: wściekłość ucichła, w jej miejsce przyszło zrozumienie.

– A więc próbujesz mnie kupić, co, moja mała Ateno? – zapytał cicho. – Czy ty kiedykolwiek zdołasz uwierzyć, że ktoś może zainteresować się tobą nie z powodu pieniędzy bądź zemsty?

– Bóg nie obdarzył mnie urodą. Mam dość odwagi, aby się nie oszukiwać. Trzeba myśleć rozsądnie.

– Ach, ten twój wieczny racjonalizm! Być może pewnego dnia zrozumiesz wreszcie, że miłość to dar ofiarowany bezpłatnie i że należy go przyjąć, a nie wyrzucać na śmietnik. A do tego czasu... bądź zdrowa, moja ty mała wyrocznio.

– Florent, zaczekaj... – ale on zdążył już wysiąść z powozu.

– Madame, nie martw się o swoją inwestycję. Gdy tylko ureguluję dług, niezwłocznie cię o tym powiadomię. Jutro. Dzisiaj raz jeszcze wyrażam ci wdzięczność. – Ścisnęło mi się serce. W tej chwili naprawdę nie wiedziałam, czy Kocham go, czy nienawidzę. Myślę, że raczej to drugie... tak jak nienawidzi się czegoś, co nigdy już nie będzie nam dane.

Następnego popołudnia dostałam list przez posłańca. D'Urbec pisał, że załatwił z bankiem wszystkie formalności związane z przekazaniem Brissacowi stu tysięcy pistoli, sam zaś wyjeżdża z Paryża w interesach, być może na kilka miesięcy.

„Doszło do mej świadomości – napisał pod koniec – że być może zachowałem się jak niewdzięcznik po Twojej interwencji, która wyratowała mnie przecież z nader delikatnej sytuacji. Za Twym pozwoleniem rad bym odwiedzić Cię po powrocie, by złożyć podziękowania w sposób bardziej przekonujący.”

Przeczytałam te słowa kilkakrotnie, nie mając pewności, co czuję. Chyba grypę. Pogoda ostatnio była wyjątkowo podła. Wieczorem napisałam w notatniku:

„10 stycznia 1677. Czy d'Urbecowi zależało kiedyś na mnie naprawdę? O tak, na pewno! I w chwili gdy to zrozumiałam, musiałam go utracić! Wiem, że już nigdy nie wróci. I pomyśleć, że mimochodem wzbogacił Brissaca, który dzięki temu nie musi już zabiegać o moje względy. Wyobrażam sobie, że nadyma się teraz nienawiścią niczym ropucha. Cóż, osiągnęłam w życiu tylko jedno: udało mi się podeptać prawdziwą miłość dla trywialnego pożądania.”

Kilka słonych kropel kapnęło na kartkę, rozmazując atrament. Ale co by mi właściwie przyszło ze związku z d'Urbekiem? Bądźmy logiczni. Gdyby nawet... musiałby i tak źle się skończyć. Gdyby d'Urbec się przekonał, jaka naprawdę jestem, przestałby mnie lubić. Nie ma się co łudzić, wszystko skończone.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

– Sylvie, wyjrzyj przez okno... miałam taki okropny sen – poprosiłam, siadając na łóżku. Postawiła przede mną tacę ze śniadaniem i rozsunęła zasłony. Za oknem wstawał wczesnowiosenny dzień. – I cóż tam na ulicy? Co widzisz? – spytałam niespokojnie.

– Ano wielką dwukólkę z piwem i tę kobietę, u której kupiłam mleko, co je teraz pijesz z czekoladą... O, podchodzi do niej sąsiadka z przeciwka, też bierze mleko. Widzę jeszcze dwa koty, żółtego kundla... aha! jest i prosiak! Pewnikiem komuś uciekł.

– Nikogo więcej? Na pewno?

– Zaraz... Idzie chłopiec z tacą. Ma na niej łakocie. Chcesz? To zejdę i coś ci kupię..

– Nie, nie odchodź... popatrz jeszcze raz. Powiedz, czy nie ma tam czasem... człowieka bez twarzy?

– A skądże! Wszak to bardzo przyzwoita dzielnica. Daj spokój, madame, co się z tobą dzieje?

– Śnił mi się ktoś taki. Stał na dole... czekał na mnie... co chwila spoglądał w okno. Strasznie to było prawdziwe. Śniło mi się jeszcze przed chwilą, zanim weszłaś...

– Madame, to znowu opium. Ile go wczoraj zażyłaś?

– Tyle co nic, widzisz? – wzięłam do ręki butelkę. – Ograniczam dawkę.

– Ograniczałaś już przedtem i co? Za każdym razem wracasz do starych nawyków. Na dobre ci to nie wychodzi. Właśnie widzę.

– Sylvie, za dużo sobie pozwalasz. Nie twoja sprawa.

– A czyja? Co mnie czeka, kiedy się przekręcisz? Czasy są ciężkie, trudno dziś o dobre miejsce.

– Tym razem to nie kordiał. Popatrz jeszcze na ulicę. – Coś w moim głosie kazało jej spojrzeć na mnie baczniej; nic już nie mówiąc, podeszła do okna. Leżące się przez nie blade światło przedwiośnia rysowało lśniące prostokąty na ciemnym wzorze dywanu i brokatowej narzucie. W pokoju unosił się słodki zapach narcyzów świeżo rozkwitłych w doniczce.

– Widzę pierwszy powóz – zameldowała Sylvie. – Zjeżdżają się twoi klienci. Lepiej ubieraj się szybko.

– Dobrze, Sylvie, ale...

– Nic się nie bój, madame. Nie wpuszczę tu żadnego człowieka bez twarzy – zapewniła mnie z

jawną drwiną.

Całe przedpołudnie minęło mi niezwykle pracowicie: uspokoiłam matkę zatroskaną o syna walczącego na wojnie, kobietę stęsknioną za kochankiem, co wypłynął na morze, zapewniłam, że wkrótce wróci, młodemu kawalerowi doradziłam szybkie zaręczyny, oficera artylerii odesłałam zaś na rue Beauregard po balsam zabezpieczający przed ranami od kuli. Po południu ruch trochę osłabł. Mustafa przyniósł świeże wydanie „Le Mercure galant” i by mnie rozerwać, zaczął głośno odczytywać nowinki z frontu mody.

– Posłuchaj tego, madame. Znowu wielkie zmiany w modzie. Koniec ze wstążkami. Mają całkiem zniknąć ze stroju. Moda męska ma polegać teraz na „bardzo wyszukanych materiałach, fryzurach i obuwiu, na pięknie bielizny i kamizelek”. No i dobrze, mnie to nie dotyczy, ponieważ mój kostium odznacza się elegancją ponadczasową. Prawdziwie elegancki mężczyzna nie ulega chwilowym kaprysom mody – skonstratował Mustafa, lustrując zadarte noski swych pantofli.

– To samo można by powiedzieć o mnie – roześmiałam się w głos. Wzięłam od Mustafy gazetę, gdyż znowu pomknął do drzwi, w które właśnie ktoś zakołatał. Dopiero dyskretne kasznięcie oderwało mnie od lektury: prawda, klient czeka. Podniósłszy wzrok znad gazety, zobaczyłam w salonie kogoś, kto wyglądał na zdemobilizowanego żołnierza. Stał do mnie tyłem i z wyraźnym zainteresowaniem badał umeblowanie. Miał na głowie szeroki kapelusz, a w rękę potężną, grubo okutą laskę. Nie spodobał mi się dziwnie zaborczy gest, jakim pogładził królującą na pomocniku srebrną wazę. Było w tym coś z gestu posiadacza. Wyprostowałam się w fotelu i zwinąwszy gazetę, opuściłam welon. Szybko przebiegłam wzrokiem po przyborach: niczego nie brakowało. Szklana czara lśniła w uścisku splecionych z sobą srebrnych smoków, kabalistyczna serweta i pałeczki do mieszania wody leżały na swoim miejscu. A jednak Mustafa miał wyraźnie niespokojną minę. Dlaczego?

– Monsieur – zagadnęłam gościa – w jakiej sprawie mogę być panu pomocna?

Przybysz odwrócił się na te słowa i jął zbliżać się ku mnie z jakąś wyczuwalną arogancją w ruchach. Zauważyłam, że przygląda się pierścieniom na mej prawej ręce, dobrze widocznym na tle czarnej aksamitnej materii, którą przykryty był stolik. Oparł o niego swą ciężką laskę i usiadł bez zaproszenia. Mimo woli drgnęłam, przywierając plecami do fotela. Nie z powodu sztucznego nosa ani fetoru infekcji ziejącego z otworów po obciętych uszach... Rozpoznałam tego człowieka i to wprawilo mnie w chwilową panikę.

– Chcę cię spytać o losy zaginionej krewniaczki! – odparł tonem nie skrywanej groźby. Jego

oddech syczał, wydobywając się z zaropiałych dziur pod sztucznym nosem przywiązany do głowy kawałkiem jedwabnego sznurka. O, dobrze znałam ten głos. Setki razy straszyl mnie w snach. Miałam przed sobą mego wuja.

– Przeszłość nie poddaje się mojej magii, widzę jedynie przyszłość. Jeśli to naczynie nie ukaze żadnej wróżby dotyczącej pańskiej zaginionej krewnej, nie będę żądać zapłaty – powiedziałam całkiem spokojnie. Nie ulęknę się ciebie, pomyślałam, nie jestem już dzieckiem. Nie znasz mnie, nie wiesz, o ile jestem dziś silniejsza. Bałam się tej chwili, to prawda, lecz zarazem zawsze jej pragnęłam. Chciałam się z tobą zmierzyć. Teraz powiem ci wreszcie, jakie z ciebie monstrum.

– Och, nie wątpię, że uda ci się ją odnaleźć. Podnieś ten welon, Genevieve Pasquier!

– A więc spotykamy się, wuju. Cóż to cię do mnie sprowadza? Przyływ rodzinnych uczuć? A może chcesz poznać swoje dalsze losy?

Podniosłam zasłonę i bez mrugnięcia okiem spojrzałam w tę okropność, która kiedyś była jego twarzą. Sapnął ze zdumienia: sztuczne zabiegi, pieniądze, miłość wreszcie uczyniły mnie inną osobą.

– Zmieniłaś się – zauważył, opanowując zaskoczenie. – Niebrzydka dziś z ciebie dziewczucha.

– Genevieve Pasquier nie żyje. Nie życzę sobie takich poufałości. Mów, jaką masz sprawę, albo się stąd wynoś. – Nic sobie z tego nie robiąc, pochylił się ku mnie obleśnie zażyłym gestem.

– No, no powinnaś być trochę życzliwsza. Rodzina jest rodziną zawsze i wszędzie, a twoim obowiązkiem jest szanować starszych. – Zerwał się nagle z miejsca i zaczął chodzić po pokoju.

– Musisz przyznać, że oddałem ci wielką przysługę. Proszę, jak się wzbogaciłaś! – zatoczył dookoła ręką. – Wystarczy spojrzeć na ten intarsjowany pulpucik czy tę tkaninę. To gobelin, nieprawdaż? A i dywan wygląda na turecki. – „Turecki”... to słowo przypomniało mi Mustafę. Zniknął bezszelestnie. Wiedziałam, że poszedł zawołać Gilles'a. Zawsze tak robił, kiedy klient wydał mu się podejrzany.

– Nie próbuj uzurpować sobie żadnych zasług. Nic ci nie jestem winna. – Przeszył mnie kosym spojrzeniem swoich lisich oczu, uśmiechając się przy tym szeroko. Ów pewny siebie uśmiech, którym kiedyś oczarowywał damy, stał się teraz odrażającym grymasem. Paskudnie wykrzywił tę jego pokancerowaną gębę, tak że sztuczny nos przesuwiał się na policzek.

– A ja myślę, że jesteś mi coś winna!

– O, to do ciebie podobne: zawsze byłeś tylko pasożytem. Po cóż innego mógłbyś się tu zjawić,

jeśli nie po pieniądze? – Skoczył naprzód jak dźgnięty sztyłem i zawisł nade mną, oparty o stół rękami:

— Pohamuj swój język, więdźmo, bo odbiorę ci wszystko, co posiadasz! – warknął wściekle.

– Już raz to zrobięś i dużo ci z tego przyszło? A teraz uważaj! Nigdy więcej nie dam się obrabować! – krzyknęłam hardo. Zbrojna w ekwipunek madame de Morville czułam się obwarowana jak twierdza. Nie tylko nie bałam go się, lecz wzbierało we mnie jakieś dzikie, zaciekle okrucieństwo. Wstałam. – Miarkuj swoje apetyty – powiedziałam dobitnie – bo dostaniesz taką nauczkę, jaka ci się należy. – Zdawało mi się, że jeśli ten nędznik odważy się zbliżyć choćby jeszcze tylko o centymetr, nagromadzona we mnie wściekłość buchnie na zewnątrz i wyżre mu ciało jak witriol. Wiedziałam również, że stojąc, jak stoi, nie może widzieć Mustafy, który sprowadził już Gilles'a i że obaj skryli się za parawanem zasłaniającym drzwi od kuchni.

Wujowi tymczasem nabrzmiały żyły na szyi. Słyszałam jego ciężki oddech.

– Przystaniesz się uśmiechać, kiedy skręcę ci kark, ty zdeformowany potworze!

– O, daleko mi w tym do ciebie! – roześmiałam się głośno. – Mało kto mógłby ci zresztą dorównać, dziwkarzu, gwałcicielu nieletnich, trucicielu bezbronnych staruszek! Cóż teraz zamierzasz zrobić? Zaczyniesz mnie szantażować policją? Proszę bardzo, złóż donos! Ja również mam im do opowiedzenia to i owo o tobie – przezornie zrobiłam krok do tyłu, bo schylił się po leżącą na podłodze laskę.

– Zobaczymy, czy będzie ci do śmiechu, gdy zidentyfikuję cię przed policją, a potem jako głowa rodziny przejmę całe twe mienie. Ciebie zaś zamknę w klasztorze! – syknął.

– Ty? Od kiedyż to stałeś się głową rodziny i spadkobiercą Pasquierów? Kogóż to próbujesz wziąć na takie plewy? Nic z tego, nie jestem już naiwną dziewczynką. Zyskasz najwyżej tyle, że wzbogacisz mojego brata, bo to on wszystko zabierze. A wiesz, trzeba było poprzestać na innym szantażu. Pomyśl, ile mógłbyś ze mnie wycisnąć, posługując się nadzwyczaj prostą groźbą: że powiadomisz Etienne'a o miejscu mego pobytu. O, niepodobna, aby ktoś twego pokroju mógł przegapić tak złotodajną szansę. Łatwo stąd wyciągnąć wniosek, że i ty wolisz unikać mego braciszka. Boisz go się, ot co! Pokpiłeś sprawę, wujaszku. Nie dostaniesz ode mnie złamanego grosza!

– Proszę, jaka zimna i wyniosła! Arogantka! Uroiłaś sobie, żeś wielka dama? Kim ty jesteś, nędznico? Nikim, rozumiesz, nikim! Raz cię już miałem i mogę mieć znowu, jeśli tylko mi się

spodoba! A twoje mienie wezmę nie pytając, tak jak biorę wszystko, na co mi przyjdzie ochota – uśmiechnął się z okrutną satysfakcją, odsłaniając swe osobliwie ostre, spiczasto zakończone kły. Przywodziły na myśl zęby dzikiej bestii. Nietrudno było sobie wyobrazić, że kapie z nich świeża krew ofiary. Co robił od czasu ostatniego morderstwa? Emanowało z niego jakies bezlitosne zło, jak gdyby dopiero co popełnił zbrodnię. Ostrożnie. Bestii nie wolno okazywać strachu. Spokój. Trzeba porazić go chłodem i wyniosłością, tak jak żmija obezwładnia zdobyczą samym tylko spojrzeniem, w którym czai się zapowiedź śmierci. Z uśmiechem wyszłam zza stołu, a przechodząc obok, nonszalancko musnęłam ramię wuja swą upierścienioną dłonią. Był to gest tak niedbale wielkopański, jakbym dotykała kota. Postąpiłam jeszcze parę kroków i stanęłam jakies ćwierć metra przed parawanem, za którym kryli się dwaj moi słudzy. Wuj wzdrygnął się pod dotknięciem i zaklął szpetnie, lecz jego wzrok mimo woli powędrował w ślad za moją ręką. Ha, znałam jego upodobanie do klejnotów.

– Mówisz, że jestem nikim? Mylisz się. To ty, ty stałeś się nikim. Pijawką bez widoków na żywiciela. Żałosne, co? Powiedz, która to zadurzona dama wykupiła cię ostatnio z więzienia? I cóż, nie odwróciła się potem z obrzydzeniem widząc, jak ślicznie urządził cię jej małżonek? Coś mi się zdaje, że tak, luby kochanku pięknych kobiet! Wpisałeś ją już na listę swych śmiertelnych wrogów? Widzi mi się, wuju, że chowasz w sercu nazbyt wiele uraz!

– Nie chowam ich długo, droga siostrzeniczko. Ta, która okazała mi wzgardę, jest już martwa. Tak też będzie z każdym, kto mi wejdzie w drogę. Cóż mam do stracenia? Wezmę twoje pieniądze, twoją biżuterię i wyjadę gdzieś za granicę. Za same pierścionki kupię sobie dość kobiet. Muszę tylko najpierw wyprawić cię do twojej matki. Dotrzymasz jej towarzystwa. Ona także próbowała ukrywać przede mną pieniądze, jakbym jej nie znał! Miała czelność nazwać mnie potworem, ona, to wynaturzone monstrum! Drugiego takiego można by szukać ze świecą! No, w końcu ją przekonałem tą oto laską. Głupia. Żal jej było pięciu sztuk złota. Żadna fortuna, mnie jednak ów fakt bynajmniej nie sprawił zawodu, przeciwnie, a wiesz dlaczego? Bo przy okazji twoja zacna rodzicielka dała mi wskazówkę, jak odnaleźć ciebie. A teraz, moja milutka, powiesz mi, gdzie jest kasetka z pieniędzmi! – zakończył, uderzając się laską po otwartej dłoni. Tym razem w drapieżnym uśmiechu ukazał całe mnóstwo zębów. Matka? Jakim cudem ta ślepa, obłąkana kobieta mogła naprowadzić go na mój ślad? Jak to się stało? Co on robił przy rue des Marmousets?

– Sprytny jesteś, wuju, że mnie odnalazłeś. Matka z pewnością nie dała ci mego adresu. – Uśmiechnął się powtórnie z widoczną satysfakcją. Na moment jakby o mnie zapomniał, pochłonięty kontemplowaniem własnej inteligencji.

– Ty za to okazałaś się bardzo głupia. Nie trzeba było uchylać maski. Która wróżbitka daje klientce pieniądze, miast je brać? Twoja matka próbowała mi wmówić, że nic dla mnie nie ma. Była u niej Marie-Angelique, lecz przyniosła ledwie parę groszy. Tymczasem chłopak stajenny widział sławną markizę de Morville; wymykała się tylnym wyjściem. Wystarczyło dodać jedno do drugiego: osioł nawet by się w tym połapał. Twoja ślepa matka rozpoznała głos córki, ale której córki? Pomyliło jej się.

Usłyszałam za plecami oddech. Cichy jak kot Mustafa wyjrzał zza parawanu. Muszę skupić na sobie całą uwagę wuja.

– Co zrobiłaś matce? – Przysunął się bliżej, jego lisie oczka patrzyły na mnie z triumfem. Poczułam, że Mustafa bezszelestnie wysuwa się zza parawanu i zachodzi wuja od tyłu; gruby dywan skutecznie wytłumił wszelki odgłos jego lekkich stóp obutych w miękkie pantofle.

– Pomogłem jej zakończyć nędzny żywot na tym padole płaczu – odparł kawaler de Saint-Laurent – tak jak teraz... pomogę tobie! – To, co pozostało mu z twarzy, wykrzywiło się grymasem nieludzkiej furii. Sztuczny nos odpadł, odsłaniając dwie ciekące dziury w żywym mięsie. Wyszczrzył zęby jak wilk, w jego oszalałych oczach płonęła nienawiść. W ułamku sekundy ujrzałam uniesioną laskę, więc instynktownie osłoniłam się ręką, a gdy kość pękła pod ciosem, z krzykiem upadłam. W następnej sekundzie straciłam oddech: runęło na mnie cielsko mego wuja. Huknął przewrócony parawan; służba biegła mi na ratunek. Dusiałam się pod ciężarem strasznej masy, z której uchodziło życie. Jej dotyk napawał zgrozą.

– Puść moją rękę! – krzyknęłam, gdy Gilles zaczął spychać ze mnie zwłoki, a Sylvie równocześnie próbowała mnie spod nich wyciągnąć. – Złamał mi rękę. Słyszałam trzask kości, przysięgam.

– No, więcej już nic nie złamię, to pewne – stwierdził z chłodnym niesmakiem Gilles, przewracając trupa końcem buta. W plecach kawalera de Saint-Laurent zobaczyłam tkwiące aż po rękajeść dwa ostre, choć niewielkie noże. Buchała spod nich czarna krew, plamiąc wszystko dookoła. Moja suknia i dywan zdążyły już nią nasiąknąć.

– Ten drugi nóż był nawet zbędny – dodał po chwili Gilles. – Wygląda na to, że już pierwszy trafił go w serce – mówiąc to obdarzył małego człowieczka spojrzeniem pełnym podziwu.

– Boże, więc go zabiłeś! – jęknęłam, trzęsąc się konwulsyjnie. Ohydna twarz wuja prawie dotykała mojej, jego wstrętne posoka wsiąkała mi w suknię, a bijący od niego smród niemal odbierał przytomność.

– Czyżbyś go żałowała? – zdumiała się Sylvie.

– O nie! – Wciąż leżałam na podłodze, kurczowo ściskając złamaną rękę. Ból promieniował od niej na całe ciało, pomалу jednak zaczynało wracać mi opanowanie. – Co innego mnie martwi: jak się pozbyć trupa.

– A cóż to za kłopot, madame? Zakopimy go w ogródku. Poczekamy tylko, aż się ściemni.

– I postawimy na nogi sąsiadów? Sama wiesz, jak wąski jest ten ogród, co gorsza, mur biegnie tuż pod oknami tamtego domu.

– To prawda – westchnęła Sylvie.

– Tobie, Gilles, też nie pozwolę ryzykować. O, dobrze widzę, co ci chodzi po głowie: wrzucić go do rzeki i koniec. Pamiętaj wszelako, że od czasu zajścia z d'Urbekiem policja ma tę dzielnicę na oku. Interesują się każdym, kto tu chodzi po nocy. – Gilles'owi najwyraźniej nie w smak był ten mój zakaz, ale i on wiedział przecież, że mam rację. Powolutku podniosłam się z podłogi i tuląc do piersi zranioną rękę, dobrnęłam jakoś do fotela. – O Boże, ależ to boli! – westchnęłam, sadowiąc się na poduszkach. – Sylvie, przynieś mój kordiał. Zaraz... coś mi zaczyna świtać. Zdaje się, że przyszedł mi do głowy dobry pomysł. – Uformował się on ostatecznie, zanim ucichł stukot obcasików Sylvie. – Kleopatra... Ha, widać teraz, że i klasyczna edukacja ma swoje zalety. Gilles, Mustafu, bądźcie uprzejmi zwinąć ten dywan razem z moim byłym wujem. Posyłamy go do czyszczenia. Trzeba to zrobić szybko, zanim wezwę Chauveta, żeby mi nastawił rękę.

Cała operacja odbyła się późnym popołudniem na oczach licznie zgromadzonego sąsiedztwa. Wszyscy widzieli, jak pod mój dom zajeżdża wóz i dwaj służący pod kierunkiem pokojówki ładują nań zwinięty dywan. Wszyscy opowiadali także bliższym i dalszym znajomym, jakie to miałam szczęście, że od przewróconego kandelabra zajął się jedynie dywan. Skończyło się na tym, że go trzeba wyczyścić i załatać wypalone dziury.

– Ha, ale co to za wydatek! Dywan wygląda na cenny. Duża strata. – Słuchałam tych uwag przez otwarte okno, skulona na łóżku. Nadal piastowałam swoje obolałe ramię.

– Łaska boska, że dom się nie zajął. Cała ulica mogłaby pójść z dymem – dobiegły mnie głosy. Pomyślałam, że to doskonale: mówią dokładnie to, co trzeba. Usłyszałam wreszcie, że stłoczeni pod oknem ludzie rozstępują się przed chirurgiem, którego wzięli, rzecz jasna, za kogoś znaczącego, sądząc po jego stroju i towarzyszącym mu lokaju.

Znalazłszy się w sypialni, Chauvet polecił pomocnikowi rozpakować swój ekwipunek złożony

z bandażu i różnej wielkości łubek, a sam zajął się oględzinami mej ręki.

– Hm, nikt nie ma pojęcia, jak długo mogą zrastać się takie ponadstuletnie kości – zauważył z przekorną ironią.

– Zaraz je potraktuję swoim cudownym balsamem – odparłam w podobnym tonie. Chrząknął z uznaniem i zaczął dopasowywać łubki.

– Powinnaś ostrożniej dobierać sobie klientów – rzucił znacząco. – Tylko nie udawaj zdziwionej! Jeszcze nie widział takiego złamania od upadku. Pęknięcie biegnie od nadgarstka aż do łokcia i jeszcze z wierzchu ta podbiegła krwią pręga! Skłonny byłbym twierdzić, że to od laski bądź płaskiego uderzenia szpadą. Tak, tak, osłoniłaś się przed nim ręką. Powiem ci coś więcej: ten kto chciał cię zabić, był z całą pewnością mężczyzną. Gdyby postanowiła cię sprzątnąć któraś z twych znajomych czarownic, nie przeżyłabyś nawet i tygodnia, a na ciele nie byłoby śladu. Idź za przykładem tych dam, moja miła, inaczej ten zbrodźci wróci. – Ukończywszy bandażowanie, wydobyl kawałek czarnego jedwabiu, z którego sporządził temblak.

– Niepotrzebne mi pańskie rady.

– Wybacz, moja droga, ale to źle, że mieszkasz sama. Wszyscy dookoła wiedzą, że trzymasz w domu gotówkę. Ale, ale, co słyhać u tego jegomościa, com go tu zastał rannego w pojedynku? Solidny mężczyzna, silna bestia, no i nieprzytomnie w tobie zakochany. Powinnaś rzucić ten diablo ryzykowny interes i wyjść za niego za mąż. Sam bym cię poślubił, gdyby nie to, żeś dla mnie za stara i że mam już dwie połowice. Obie nad wyraz szczęśliwe, ale mój Boże, ileż to kosztuje!

– Monsieur Chauvet, pan jest nieprzyzwoity! – wykrzyknęłam. Ryknął śmiechem, tak że aż zagrzmiało, i zbiegł ze schodów.

Usiadłam na brzegu łóżka, próbując jakoś uprządkować myśli. Przede wszystkim uwierzyć, że wuj naprawdę nie żyje. Tak długo straszył mnie po nocach, że teraz nie mieściło mi się w głowie, aby mógł nie istnieć. Wydawał się czymś na kształt niszczycielskiego żywiołu, który sam niezniszczalny, wisi nade mną jak biblijna plaga egipska. I pomyśleć, że trafił do mnie za sprawą starej, ociemniałej kobiety... Musiał pójść do niej po pieniądze, chcąc uciec z kraju po swoim pierwszym morderstwie. Gdyby nie miała nic, może by dał jej spokój, ale te pięć złotych luidorów utwierdziło go w przekonaniu, że jest tego więcej. Desperacja przywiodła go do szaleństwa. Aby zmusić matkę do wskazania skrytki, pobił ją na śmierć. Wynika z tego, że gdybym jej nic nie dała, może by jeszcze dziś żyła. Ale mnie ogarnęła litość i to moje

współczucie zabiło ją skuteczniej niż zawartość owego flakonika, który wrzuciłam do rzeki. Myśl ta wprost mnie poraziła. Wiało z niej takim beznadziejnym smutkiem! Poczułam się nagle nieskończenie samotna w świecie wszechpotężnego zła. Czy warto żyć w takim świecie? Nic dziwnego, że ludzie wierzą w diabła. Jak inaczej wytłumaczyć to chociażby, że drobny akt miłosierdzia przeradza się w nagie zło?

– Nie, to się da wytłumaczyć – powiedziałam głośno, chyba po to, by przekonać samą siebie. – Wszystkim rządzi rozum, cały świat w mniejszym lub większym stopniu podlega prawom logiki. Nie istnieje nic takiego jak zło czy miłosierdzie, a wszystko, co nas otacza, jest wynikiem działania obiektywnych praw natury.

– Madame, myślałam, że chirurg już poszedł – do pokoju zajrzała Sylvie. – Ach tak, widzę, że poszedł, a ty mówisz sama do siebie. No, dywan wysłany. Gilles go pilnuje, a Mustafa poszedł przodem, spotkamy się już na miejscu. No, możemy się zbierać, kazałam woźnicy zajeżdżać. Całkiem nieźle wygląda ten temblak! Jak raz pasuje do sukni. Ma wycucie ten Chauvet. Można powiedzieć, artysta! – Paplanina Sylvie zdawała się płynąć z jakiejś niezmiernie odległości. Musiałam dziwnie wyglądać, bo wykrzyknęła nagle: – Madame, co z tobą, na litość boską? Myślałam, że go nienawidzisz, a ty co? Zaczнешz łyż nad nim ronić? A może znów wypilaś za dużo kordiału? Chociaż tym razem nie miałabym ci tego za złe. – Mówiąc to Sylvie nie przestawała się krzątać. Wyjęła z szafy mój wiosenny płaszcz, który rozłożyła na łóżku, po czym wspięła się na podnózek, by zdjąć z górnej półki pudło z kapeluszem.

– Sylvie – powiedziałam głucho, nie ruszając się z miejsca – moja matka także nie żyje. Zabiłam ją. – Czym? Swoim darem podyktowanym mieszaniną poczucia winy i dobrych intencji. Jakież to głupie i jakie smutne. Niepotrzebna strata. Świat to jedno wielkie marnotrawstwo.

– A jakże! To i bardzo dobrze. Madame będzie szczęśliwa, gdy się dowie, że jej trucizna w końcu odniosła skutek. Tak to długo trwało! Już trzy razy posyłała Antoine'a do twojej dawnej parafii, żeby zajrzał do księgi zgonów. O, nigdy jeszcze nie widziałam, żeby tak jej było pilno przyjąć którą do grona wtajemniczonych. Tylko że ty wciąż nie spełniałaś najważniejszego warunku. No, ale teraz wreszcie udało ci się tego dokonać! Masz szczęście, ja ci to mówię. Madame pokłada w tobie wielkie nadzieje. – Wyjęła z pudła czarny kapelusz i dmuchnęła w pióra: w powietrze wzbily się drobinki kurzu. – Ostrożnie, nie ruszaj tą ręką. Ha, i to w dodatku prawa. Jak teraz będziesz robić te swoje zapiski? Co za okropny człowiek! Dobrze, żeśmy się go pozbyli.

W laboratorium przy rue Forez już od drzwi widać było gorączkową krzątanię. Przeszłam przez czarny salon stanowiący przedsiónek właściwej kuchni alchemicznej i zatrzymałam się w progu.

– Ach, otóż i nasza kochana markiza! – wykrzyknęła La Dodee z twarzą błyszczącą od potu. – Świetnie wyglądasz, zważywszy okoliczności. Jejku, do dziś pamiętam ten dzień, gdyś pierwszy raz tu zawitała! Nie ma co porównywać, zmieniłaś się nie do poznania.

Musiało tak być w istocie. Sama patrząc dziś w lustro nie znajdowałam w nim śladu tamtej nieszczęsnej dziewczyny w podartej sukni. Widziałam teraz drobną prościutką postać w czarnym płaszczu i czarnym szerokoskrzydłym kapeluszu uwieńczonym wysoką główką, kryjącą pod spodem koronkowy czepek. Twarz wyzierająca spod ronda była całkiem ładna, tyle że przeraźliwie blada, a zielonkawe cienie pod oczami nadawały jej z lekka trupi wygląd. Całości dopełniała wysoka laska zdobna kutą w srebrze sówią główką i pękiem czarnych jedwabnych wstążek, a wszystko razem do złudzenia przypominało rycinę z pewnej książki o czarownicach. Cóż, wyznaję ze skruchą, że sprawiało mi to wielką przyjemność. Lubiłam wywierać wrażenie swymi magicznymi rekwizytami, strojem, każdym swym dramatycznym wejściem i każdą przepowiednią wygłaszaną owym wibrującym szeptem, który nieodmiennie przyprawiał słuchacza o dreszcze. O tak, byłam teraz inna. Śmiało mogłam powiedzieć sobie: brawo, Genevieve, dobrze grasz swoją rolę.

W laboratorium La Trianon nic się nie zmieniło. Pod sufitem, szeroko rozpostarłszy skrzydła, spokojnie szybowała harpia. Na stołach stały rzędem wielkie słoje, gotowe na przyjęcie produktów dzisiejszej pracy. Jedna ze znanych mi dziewczynek – teraz już trochę wyższa – niezbyt wprawnie wypisywała etykiety: „Mózg zbrodniarza”, „Serce” i tak dalej. Druga parzyła kawę na dziwnym ceglany piecu, o którym dziś już wiedziałam, że jest wielkim alchemicznym tygłem. Obok dziewczynki stał na zydelku zniecierpliwiony Mustafa, nie szczędząc jej cierpkich uwag:

– Za dużo wody! Straci cały smak i aromat! Dziewczyno, czy ty masz w ogóle pojęcie o parzeniu tureckiej kawy?

– A skąd ty je masz? Sam nie jesteś Turkiem!

– I tu się mylisz. Dowiedz się zatem, że przysługuje mi tytuł honorowego Turka. Widzisz mój turban? Każdy, kto nosi taki zawój, jest mistrzem w parzeniu kawy – wyniośle odparł Mustafa swym przedziwnym głosem sędziwego mędrca. Po chwili mocny aromat wrzącej kawy wypełnił ogromną kuchnię. W samym jej środku spoczywał ciasno zwinięty dywan.

– Trzeba nastawić więcej. Czeka nas długa robota, a i La Voisin zapowiedziała się z wizytą. Ma wpaść troszeczkę później – oznajmiła La Trianon, wycierając ręce w swój obszerny fartuch. – Jak to miło, że pomyślałaś o tym pustym miejscu w naszym salonie – zwróciła się do mnie z uśmiechem. – Powiedz, na pewno nic za niego nie chcesz?

– Na pewno. Róbcie z nim, co uważacie. Mnie wystarczy, że się go pozbędę.

– Dawny kochanek?

– Ach, skądże!

– Rozumiem, krewny. Wiesz, trafił nam się w samą porę. Ostatnio interes trochę kulał, bo to klientów mrowie, a z dostawami krucho. Kaci z dnia na dzień tak podnoszą ceny! Wątroba na przykład to dzisiaj istny rarytas. Możesz przysiąc, że ten tutaj to przestępca? Nie chciałabym zawieść klientów, sprzedając im bezwartościowy towar.

– O to możesz być całkiem spokojna. W jednym dniu zamordował kochankę i pobił na śmierć starą, ślepą kobietę.

– O, wybornie! To prawie to samo, co gdyby był wisielcem. Marie, każ tym dwom próżniakom rozwinąć dywan. Blado coś wyglądają, przyda im się ździebko ruchu. – Gillles i Mustafa w milczeniu wykonali rozkaz. Szarosine zwłoki wuja plasnęły o podłogę zupełnie jak zdechła ryba. – A to dopiero! – wykrzyknęła z podziwem La Trianon. – Noże wbite po rękojeść! Ktokolwiek tak się spisał, jest nie lada mistrzem! – Mustafa skłonił jej się bez słowa. Młode pomocnice uzbrojone w nóż i nożyczki zajęły się rozcinaniem wujowego ubrania: guziki skrzętnie zebrały do pudełka, resztę zaś wrzuciły do pieca wraz z peruką i fałszywym nosem. Skwierczało to okropnie, zwłaszcza peruka, wydzielając w dodatku obrzydliwy fetor.

- Wybaczcie... wolałabym zaczekać gdzieś obok – poprosiłam słabym głosem. Sylvie spiorunowała mnie wzrokiem.

- Och ta delikatność! – wykrzyknęła znów La Trianon. – Coś mi się widzi, że filozofowie całkiem nie mają serca do prawdziwej Pracy. A już nam się zdawało, żeś wyrosła z tego przeczulenia.

- Słabo mi przez tę rękę. Strzaskał mi kość, próbując... kiedy chciał mnie...

- No, no, nie musisz się tak przejmować. Każdy ma jakiegoś Podłego krewniaka albo i dwóch – wtrąciła się La Dodee. Sylvie otrzymała już fartuch i stała teraz przy piecu, przegarniając pogrzebaczem płonące szmaty.

- Tak, ale ja mam ich tylu... – bąknęłam.

- No, ten przynajmniej będzie już teraz coś wart – zadeklarowała La Trianon. – Te oto różności – wskazała słoje – pozwolą nam dobry kawał czasu prowadzić interes jak się patrzy, że nie wspomnę już o tym, ile zyska nasz salon.

- Moja droga – pospieszyła mi sukurs La Dodee – weź kawę i posiedź sobie w salonie. Bledziutka jesteś – dodała współczująco, przytulając mnie do siebie macierzyńskim gestem.

- Ach, chętnie, bardzo ci dziękuję. – Poczułam się nagle strasznie wyczerpana.

- Ja zaniosę filiżankę – zaofiarował się Gilles. – Madame ma przecież chorą rękę. – Mustafa, jakby tylko na to czekał, natychmiast pochwycił mój tren. Wychodząc z kuchni, kątem oka zerknęłam za siebie: La Trianon rozłożyła na stole kilkanaście noży rozmaitej wielkości i wzięła się do ostrzenia. Usłyszałam, że coś sobie nuci.

Znalazszy się w salonie, nasza trójka długą chwilę siedziała w milczeniu. Gilles przycupnięty w kącie ponuro wodził wzrokiem po czarnych ścianach. Napotkawszy we wnęce wizerunek diabła, widoczny za rozchyloną teraz kotarą, wzniosł oczy w górę i potrząsnął głową. Po chwili zerknął w moją stronę. Siedziałam pod oknem na małym krzeselku, trzymając na kolanach filiżankę z kawą. Klekotała cicho o spodeczek, w żaden sposób nie mogłam bowiem opanować drżenia kolan.

- Rzeka byłaby lepsza – powiedział powoli, wbijając wzrok w czubki swych znoszonych butów. – Schludniej.

- Za duże ryzyko. – Od kawy rozbolał mnie żołądek. Znow zapadła cisza.

- A one widać lubią tę robotę – podjął po chwili Gilles. Podniósł się i zaczął chodzić po pokojach. Przyjrzał się astrologicznym diagramom, dotknął służącej za świecznik kociej czaszki, zdjął ze stolika kuleczkę czarnego wosku... Rozbawiony tym Mustafa nie spuszczał z niego swych błyszczących, inteligentnych oczu.

- Ha, widać po tobie, że niedługo pracujesz u czarownic – rzekł na koniec. – Nie to co ja. Ja zdążyłem poznać wszelkiego autoramentu wiedźmy. Ha, każdy karzeł zresztą przewyższa galernika wiedzą o życiu. Nie da się zaprzeczyć, że te tutaj damy ekscytują się swoim zajęciem. Mów sobie, co chcesz, ale wszelka praca przynosi lepsze wyniki, kiedy podejść do niej z entuzjazmem.

- A co one zrobią z resztkami? No choćby z kośćmi? – spytał Gilles, skubiąc nerwowo guziki kaftana. – Zamierzają je spalić?

– O, nie! – zaprzeczyłam żywo. – Od dawna pragnę mieć tu kościotrupa. Przypomniało mi się to akurat w chwili, kiedy wuj... hm... stał się dla nas kłopotliwy.

– Aha – bąknął Gilles z niezbyt tęgą miną.

– Musisz przyznać, że pomysł był przedni: ukryć niebezpieczną rzecz w pełnym świetle, tak by ją wszyscy widzieli. Nasza pani to osoba nadzwyczaj inteligentna. Ha, i do tego wyczyszczą nam dywan! – w młodo-starym głosie Mustafy brzmiało szczere uznanie.

– Taki rozum bierze się chyba z edukacji – mruknął Gilles.

– Owszem, ale też z szerokiej znajomości życia – przyznał Mustafa. – Markizo, masz doprawdy niezrównany umysł. Jestem twój na wieki.

– Dziękuję ci pięknie. Ja również wysoko cenię twe usługi.

– Madame – przerwał te dusery Gilles, któremu chyba nie dawała spokoju jakaś myśl – czy pozwoliś, że zadam ci jedno pytanie? – W milczeniu skinęłam głową. – Ty nie jesteś taka jak one, co?

– Nie, Gilles, nie jestem czarownicą. Mam nadzieję, że nie rozczarowałam cię tą odpowiedzią? Umieję jedynie przepowiadać przyszłość. Nigdy nie wsadziłam nikogo do garnka i nie mam pojęcia o mieszaniu trucizn. One... one uważają mnie za nieudolną w tym, co najważniejsze. Mówią, że brak mi charakteru. – Gilles przyjął moją odpowiedź z widoczną ulgą. W konwersacji nastąpiła przerwa. Zaczęłam wpatrywać się w dywan, który z dziwną zaiste uporczywością przyciągał mój wzrok. Wygląda dość tandetnie, pomyślałam. Mój jest znacznie ładniejszy. Czerń w połączeniu z krwistą czerwienią, tak jak tutaj, daje nazbyt krzykliwą całość.

– Dużo łatwiej postarać się o trupa, niż się go pozbyć – mruknął ledwo słyszalnie Gilles.

Zadźwięczał dzwonek i w drzwiach stanęła La Voisin w ciemnym obszernym płaszczu i miękkim kapeluszu bez ozdób nałożonym na koronkowy czepek. Wyglądała jak zwyczajna gospodyni wracająca akurat z targu. Wrażenie było tym pełniejsze, że towarzyszyła jej Margot z przewieszonym przez ramię sporym koszem. Gdyby nie czerwone buty wyzierające spod pikowanej zielonej spódnicy, byłaby wierną podobizną przykładnie zapobiegliwej mieszczi.

- No, no, czuję zapach dostatku! A ty tu siedzisz i popijasz kawę, miast pomagać? Ach, ci filozofowie! Rozprawiać o krwi to potrafią, ale ubrudzić sobie rączki? Co to, to nie! Że też musieli tym zarazić nawet żeńską połowę rodzaju ludzkiego! A ja myślałam, że to niemożliwe! Moja droga, powinnaś dzisiaj świętować, cieszyć się swoim zwycięstwem, a nie tkwić tutaj jak półmartwa. Wszak dokonała się wreszcie twoja upragniona zemsta. Tak, tak, widziałam

rozlepione w mieście nekrologi... O, nie rób takiej miny, mnie nią nie zwiedzisz! Wypiła w końcu tę miksturę, moja ty mała czarowniczko! Nadszedł czas twego wyniesienia. Wstań, niech cię uścisknę! Sprytna z ciebie myślicielka! Okazałaś się godna naszego grona wbrew swym niewinnym minkom i tym białym bezużytecznym rączkom!

Odstawiłam kawę, już kiedy rozpoczęła tę tyradę; teraz wstałam, aby utonąć w objęciach Pani Wiedźmy. Jej coraz pełniejsza pierś intensywnie pachniała wodą pomarańczową.

– Wiesz, wyglądasz całkiem jak obrazek! – wykrzyknęła, odsuwając mnie na długość ramienia. Pod jej pełnym uznania wzrokiem cała moja mroczna malowniczość wydała mi się nagle śmiesznie jarmarczna. Brakuje mi już tylko małpki na łańcuszku. Ona tymczasem nie posiadała się z dumy: – Moje najwspanialsze dzieło! – wołała uszczęśliwiona. – I pomyśleć, że umie nawet pisać po grecku! Cóż to za wytworny dodatek, że tak powiem. No, chodźcie, moje drogie, chodźcie wszystkie! Zobaczycie, jak się składa kościotrupa! Kupiłam po drodze specjalne druciki i śrubki. Do tego byle co nie wystarczy.

W przyniesionym przez Margot koszyku – zdecydowanie zbyt obszernym na kilka śrubek i kawałek drutu – mieściło się obfite zaopatrzenie na długie godziny pracy: ciastka i wino, pieczone kapłony z kasztanami i długie pęto kiełbasek, tak mocno przyprawionych czosnkiem, że wyciskały łzy z oczu. Na dworze zrobiło się już ciemno, La Trianon kazała więc opuścić spod sufitu dwa wielkie, kute w żelazie kandelabry. W świetle ich kilkudziesięciu świec wspieranym pomarańczowym żarem paleniska wiedźmy pracowały bez wytchnienia przez wiele godzin. Nareszcie wszystkie słoje napelniono zakonserwowaną zawartością, po czym starannie opieczętowano. To, co pozostało z wuja, wrzucono do wielkiego kotła.

– Poszczęściło się wam – stwierdziła La Voisin, obserwując klekocącą pokrywę. – To tam dorównuje mocą szczątkom ojcobójcy.

– Będzie z tego jedzenie dla kotów – wyjaśnił ze znanstwem Mustafa w odpowiedzi na pytające spojrzenie Gilles'a, który po tych słowach znów przybladł. – Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą – dorzucił już ze szczyptą złośliwości.

Rozmieściwszy na półkach zamknięte słoje, czarownice wytarły ręce, po czym zasiadły do uczty. Kiełbaski, chrupiący chlebek, kapłony i ciasta zniknęły prawie w mgnieniu oka.

– Oj – westchnęła La Dodee, ocierając z brody resztki tłuszczu – chce się człowiekowi jeść po takiej pracy! – La Trianon zaintonowała pijacką piosenkę, do której przyłączyły się chórem wszystkie wiedźmy. La Voisin, nie chcąc być gorsza, wystąpiła z nader sprośną śpiewką o proboszczu i ksieni. Wokół stołu puszczono butelki. Miarowy klekot pokrywy na gotującym się

kotle towarzyszył aż do świtu śpiewom i toastom. W chwili gdy na niebie wykwitły różowe smugi brzasku, wiedziałam już wszystko o składaniu kościotrupów, upewniłam się też ostatecznie, że swym repertuarem swawolnych ballad moja patronka bije na głowę najsprośniejszego majtka. Zbieraliśmy się już do wyjścia, gdy La Trianon spojrzała na nową, wilgotną jeszcze ozdobę salonu i westchnęła z głębi wezbranego radością serca:

– No i spełniło się moje najgorętsze pragnienie! Zawsze chciałam mieć przed oczami wizerunek śmierci. Któryż inny widok równie mocno uszlachetnia duszę? – zakończyła, wznosząc wzrok ku niebu. La Voisin bodaj jeszcze nabożniej przewróciła oczami, przeżegnała się zamasyście, po czym obie wiedźmy wybuchnęły śmiechem.

– Słowo daję! – wykrzyknęła La Dodee, wycierając ręce – twój krewniak nigdy chyba nie wyglądał lepiej!

– Co ładnie zrobione, to i ładne – odrzekłam sentencjonalnie, zdejmując z kołka swój płaszcz i kapelusz. Wróciwszy do domu, natychmiast położyłam się do łóżka. Cały ten dzień, a po nim noc przespałam twardo jak kamień. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów absolutnie nic mi się nie śniło.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Minęło kilka miesięcy i oto któregoś z najgorętszych dni lata pojawił się znowu d'Urbec – tak samo nieoczekiwanie, jak zniknął. W wyludnionym Paryżu pozostali teraz tylko biedni. Co bardziej wojowniczy kawalerowie pociągnęli na pole walki, reszta towarzystwa udała się do wiejskich siedzib. D'Urbec tym razem przysłał mi bilecik, uprzedzając o swojej wizycie.

– Dzień dobry, madame de Morville, jakże tam interesy? – Zaskoczył mnie swoim wyglądem: w pierwszej chwili zdawało mi się nawet, że gość prowadzony przez Mustafę to jakiś duchowny jansenista. Miał na głowie miękki kapelusz, a jego ciemne ubranie, jak również płaszcz z widocznymi śladami podróży pozbawione były wszelkich ozdób.

– Bardzo kiepsko, monsieur d'Urbec. Odkąd La Montespan znowu zawładnęła sercem króla, dworskie źródło dochodu prawie wyschło. Pozwól, że poczęstuję cię lemoniadą, a może wolisz wino? Z daleka bogi prowadzą? – Zadzwoiłam na Sylvie, gestem zapraszając gościa, by zasiadł w jednym z moich najlepszych foteli. Sama zajęłam drugi. Ach, nawet gdy milczał, zdawał się wypełniać sobą pokój.

– Byłem za granicą – odrzekł niespiesznie. – Miło znowu słyszeć dobrą francuską wymowę. – Spostrzegłam, że Mustafa jakoś zbyt pracowicie wywija wachlarzem: ani chybi nadstawia ucha. Tym niezręczniejsz mi było pytać d'Urbece, po co właściwie przyszedł. Nie z mego powodu przecież. Jeśli miał jeszcze dla mnie jakiegokolwiek resztki sentymentu, musiały one rozwiać się nieodwołalnie w ów wieczór pamiętnej scysji z Brissakiem. Może szuka u mnie informacji, wiedząc, że znam dwór na wylot?

– Pewnie ucieszy pana wiadomość, że nikt spośród towarzystwa nie siada do kart z Brissakiem. Pozostały mu już tylko same najgorsze spelunki.

– Słyszałem o tym, madame. Doszły mnie również wieści, że ktoś targnął się na twoje życie – odparł ze wzrokiem utkwionym w mój temblak.

– Ach, głupstwo, zwykła próba grabieży. Doprawdy nie ma się czym przejmować, zwłaszcza że ręka już prawie się zrosła. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło.

– Niechaj wszystko, co panią spotyka, obraca się zawsze na dobre – powiedział z lekkim półukłonem. Ten powściągliwy i nieskazitelnie uprzejmy sposób bycia nie dawał mi żadnej wskazówki co do jego intencji. Tak, chodzi pewnie o informacje... Nowinki z dworu, wojna, polityka...

- No ale co tam u pana? Czy udało się panu dokonać wielkich rzeczy za granicą?
- Owszem, mam spore osiągnięcia – powiedział dziwnie łagodnym tonem. Zapadła niezręczna cisza. Aby ją czymś wypełnić, zaczęłam na gwałt paplać z udanym ożywieniem:
- Ach, mówi się w towarzystwie, że prowadzi pan wielkie operacje bankowe w różnych krajach. Tak się składa, że bardzo by mi się przydał ktoś znający zagranicznych bankierów. Czy mógłby mi pan coś powiedzieć o właścicielach londyńskiego banku „Cortezia i Benson”?
- Ciekawe, że wspomniała pani o tej firmie. Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego właśnie ona panią interesuje?
- W mojej rodzinie, jak pamięcią sięgnę, nie ustawały spekulacje na temat pieniędzy, które ojciec miał jakoby ukryć za granicą. Teraz sama nabrałam podejrzeń, iż chciał, bym to ja je odziedziczyła.
- Ach tak! Czytała pani jego ostatnią wolę?
- Nie, ale jej treść dotarła do mnie... przez kogoś z rodziny. Ojciec przed śmiercią nic mi nie powiedział, i dobrze zrobił. – D'Urbec odchylił się w fotelu, mierząc mnie domyślnym spojrzeniem.
- I w ten sposób zabezpieczył twój spadek przed innymi członkami rodziny, rozumiem. Inteligentny był z niego człowiek.
- Szkoda, że nie okazał się równie przewidujący, czy mówiąc ściślej, równie podejrzliwy. W ogóle nie przyszło mu na myśl, że babcia, której powierzył sekret, może umrzeć dziwnie nagłą śmiercią, zanim zdąży wystąpić o przekazanie mi tych funduszy.
- Po co mi to wszystko mówisz... Ateno?
- Bo wiem, że lubisz zagadki, sam będąc człowiekiem pełnym tajemnic. – Och, jak to niezręcznie zabrzmiało! I to ja wypowiedziałam te słowa, ja, taka dumna ze swego słynnego dowcipu! Ale bo też w siedzącym obok mężczyźnie było coś takiego... co wprawiało mnie w straszną nerwowość. Na chwilę znów zapadła cisza, pośród której świadoma byłam tylko zbyt głośnego bicia mego serca. Czy on je słyszy?
- Podejrzewam, że robisz to także z innych przyczyn. Chcesz mi przypomnieć dawno minione czasy i zmiękczyć moje zatwardziałe serce. A ponieważ nadal myślisz, że mężczyznę interesują głównie pieniądze... Dajże spokój, nie płacz! Całkiem zrujnujesz sobie to białe paskudztwo! – Poczulałam się upokorzona, kiedy wręczył mi wielką chustkę. Zupełnie jakby chciał mi pokazać,

kto tu jest starszy i mądrzejszy. Do licha! Jakbym była dzieckiem! Mimo to przyjąłm ofiarowaną mi chustkę.

– Wiem, że wszystko zepsułam – szepnęłam, ocierając oczy. – Nie musisz tu siedzieć, jeśli nie chcesz.

– Wracać też nie musiałem, prawda? – powiedział miękko. – Ale gdy usłyszałem o tobie... no cóż, przyszło mi do głowy...

Spojrzałam na niego bacznie. Czy to możliwe? Tak strasznie bałam się rozczarowania!

– Ateno... kto złamał ci rękę? – spytał cicho, lecz z wyraźną nutą utajonej groźby.

– Och... pewien... pewien szantażysta. Ale nie myśl o nim! Już... już nic mi od niego nie grozi... odszedł. Sylvie, bardzo proszę, napełnij szklaneczkę pana d'Urbece... widzisz, że jest pusta. – Sylvie krążąca jak zwykle w zasięgu ucha zrozumiała aluzję i wzięwszy szklaneczkę, oddaliła się z nią do kuchni.

– Rozumiem, że odszedł na zawsze, znając towarzystwo, w którym się obracasz. Szantażyści, truciele... Czy ty chociaż uświadamiasz sobie, że znasz samych niewłaściwych ludzi?

– Mówisz zupełnie jak moja siostra. Ona uznawała tylko towarzystwo jaśnie wielmożnych i widzisz, czym się to skończyło? Tym, że ją uśmiercili.

– Nie twierdzę, że wśród arystokratów nie ma szantażystów ani trucieleli! Mówię jedynie, że tacy ludzie to jak najgorsze towarzystwo.

– Ach, Florent, wciąż jesteś idealistą! A idealizm to zwyczajne mrzonki. Czas uwierzyć, że oboje żyjemy w bardzo niedoskonałym świecie.

– To prawda, Genevieve, ale czy nie zdaje ci się, że mógłby stać się znośniejszy, gdybyśmy postanowili żyć razem? – Wlepiłam w niego szeroko otwarte oczy. Wydawał się zakłopotany. Wstał i podszedł do okna. Nie patrząc na mnie, spytał zniżonym głosem: – Jak myślisz, po co wróciłem do Francji? Dla tutejszej aury? – teraz już obrócił się do mnie twarzą. Była ogorzala od słońca i nie ogolona. Znać było na niej wielkie zmęczenie. W ciemnych podkrążonych oczach tliło się coś na kształt głęboko skrywanego smutku. – Na morzu ma się mnóstwo czasu na myślenie, a morskie powietrze chłodzi umysł – mówił dalej. – Był czas, gdy ogarnęła mnie gorączka bogactwa, bo pragnąłem ofiarować je tobie. Później z taką samą zaciekłością pragnąłem ujrzeć cię martwą i potępioną. Myślę, że to wina mego temperamentu; wiesz, my z południa mamy w sobie zbyt dużo ognia. Ostatnio obracam się jednak wśród chłodnych myślicieleli wilgotnej i mglistej północy i to też sprawiło, że przemyślałem całe swoje życie.

Zbliżam się do lat średnich, jeszcze dwa i będę ich miał trzydzieści. Przejadły mi się gry i udawanie. Nigdy nie umiałem prawić słodkich słówek, a teraz tym bardziej nie mogę zwodzić cię kłamstwem. Jestem człowiekiem z piętnem na ramieniu, bez pozycji czy choćby domu, który mógłbym ci zaofiarować. Powiedz mi zatem, panno Genevieve Pasquier, czy chcesz mnie takiego, jakim jestem, czy też powinienem na zawsze już zejść ci z oczu?

Ściskając zdrową ręką jego chusteczkę zwiniętą w żałośnie mokrą kulkę, patrzyłam na niego bez słowa, bez tchu, z szaleńczo bijącym sercem. Wydawał się tak przygaszony, a jego ciemne oczy utraciły całą dawną przekorę. Zniknęły z nich owe złośliwe iskierki, za to dookoła zaczynały rysować się drobniutkie zmarszczki – bardzo zresztą ładne! – pierwsza zapowiedź wieku średniego, który najwidoczniej napawał go strachem. Zatęskniłam nagle za tym młodym, zuchwałym d'Urbekiem, zapalczywie wytykającym światu jego błędy i równie zapalczywie pragnącym ów świat naprawiać. O, gdybym i ja mogła znowu być tą dziewczyną, której największym grzechem była lektura nieprzyzwoitych książek, a jedynym obowiązkiem czytanie ojcu klasyków! Teraz naszą pamięć i serca obciążało to wszystko, cośmy przeżyli. Oglądaliśmy tyle zła, a i sami popełniliśmy go też немало. Wiedzieliśmy o tym oboje, nawet nic nie mówiąc. Słowa nie były tu potrzebne.

– Tak, Florent – powiedziałam cicho. – Chcę cię i przyjmę takiego, jakim jesteś, pod warunkiem że i ty potrafisz zrewanżować mi się tym samym. – Ale czy on wie o mnie wszystko?, pomyślałam w popłochu. Czy w pełni zdaje sobie sprawę, jakie podejmuje zobowiązanie? Przeraziłam się nagle, że mogę go znowu utracić.

– To oczywiste, Genevieve. Dla mnie to nieodłączna część umowy.

– Więc... więc możesz mnie wziąć za rękę – powiedziałam słabym głosem. Stał przede mną i ujął mą wyciągniętą dłoń.

– Wiesz, jest cała mokra – powiedział z czułością.

– Florent... – tylko tyle zdołałam wykrztusić. Boże, jak ja go pragnęłam! Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Czy to możliwe, aby mimo wszystko aż tak zależało mu na mnie? Jeśli uwierzę w tę miłość, a ona okaże się złudą, chyba tego nie przeżyję. Nie wypuszczając mej ręki, uroczyście ugiął przede mną kolano:

– Czy zechciałabyś, pani, zostać moją żoną? Nie jestem pewien, kogo właściwie powinienem poprosić o twoją rękę: brata, który rozporządza nią z prawa, lecz ciebie uważa za zmarłą, czy może twoją patronkę, która, jak się zdaje, ma do tego pewne prawo moralne, choć nie wiem, czy takie pojęcia znane są czarownicom.

– O, mój drogi, i jak jeszcze! Madame uznałaby taką prośbę za zamach na jej dochody i zgodnie z tym przekonaniem zaczęłaby działać.

– Będę zatem musiał wykupić od niej twój kontrakt, czy tak, moja ty niewydarzona czarowniczo?

– Na twoim miejscu specjalnie bym się z tym nie spieszyła. Interes ledwo się kręci, więc madame humor ma nie najlepszy. A ja... mnie-.. z trudem przychodzi nawet sama myśl o małżeństwie. Wygląda na to, że każdy mąż chciałby tylko otruć swoją żonę i odwrotnie. – Florent wybuchnął śmiechem i wstał, otrzepując kolano.

– Ha, nie można powiedzieć, aby był to pogląd pospolity! Wszak większość kobiet myśli wyłącznie o małżeństwie, nie bacząc na jakiegokolwiek koszty tej imprezy! No, ale na tym właśnie polega twój urok. Zawsze byłaś wyjątkowo ekscentryczna, dlatego nigdy mi się nie znudzisz, moja droga Ateno! Cóż, skoro ty tak sobie życzysz, czyż ja mógłbym oponować? – Przysiadł u moich stóp na podnóżku i ujął moją rękę w obie dłonie. – Ale mówiąc serio, pomyśl, Genevieve, moi rodzice wbrew wszystkiemu, co przeszli, nadal bardzo się lubią. Widzisz więc, że ciepłe uczucia mogą przetrwać nawet w małżeństwie – uśmiechnął się z rozbawieniem. Ileż w nim było żartobliwej wyrozumiałości i zarazem autoironii. Patrząc na niego byłam pewna, że to jedyny mężczyzna, którego pragnę, teraz i zawsze. Ogarnęła mnie taka radość, że musiałam się uśmiechnąć.

– Lubię twych rodziców, Florent. Przypuszczam, że i twoi bracia też by mi przypadli do gustu. Może ich kiedyś poznam. Powiedziałam „kiedyś”, bo teraz chyba jeszcze nie jestem gotowa do odbycia zamorskiej podróży.

– Co? Więc wyobrazasz sobie, że śmiałybym przeszmygłować ich za granicę, łamiąc zakazy Colberta?

– Uhm, tak właśnie myślę. Sama miałam ojca, który ośmielił się złamać zakaz wszechmocnego pana Colberta. A znając ciebie, wyobrażam sobie, że wraz z rodziną wywiozłeś cały jej dobytek, nie wyłączając psa i kota.

– Nie, kota musieliśmy zostawić, jako że nie był protestantem. Pies atoli, nie widząc we Francji przyszłości dla zreformowanej religii, był bardziej niż skory do wyjazdu. – Roześmiałam się głośno. Nie pomyliłam się więc ani trochę co do jego charakteru. Jest taki, jakiego pragnę, jedyny.

– Colbert i Louvois to głupcy. Chcąc zatrzymać we Francji zdolnych rzemieślników, powinni

im stwarzać zachęty, a nie karać za próbę ucieczki.

– No i proszę, zamiast o miłości, rozmawiamy o polityce – westchnął Florent. – Powiniennem był to przewidzieć. Zatem, droga mademoiselle, skoro małżeństwo budzi w tobie tak zdecydowaną niechęć, na jakim stopniu zażyłości mamy odąd pozostawać? „Wieczna przyjaźń”, „czuły szacunek”? Czy może przeskoczmy kilka niższych szczebli, by od razu wybrać „czułe upodobanie”?

– Och, „Carte de Tendre”! Nieładnie, monsieur, tak się ze mną droczyć!

– Droczyć się z tobą, mademoiselle? Jak to?

– Hm... no cóż... – urwałam, czując, że staję w pąsach – ... nie myślałam o przyjaźni czy... miłości... zwanej platoniczną.

– Mademoiselle Pasquier – powiedział z twarzą rozjaśnioną szczęściem – czy uczynisz mi zaszczyt i przyjmiesz me zaproszenie na kolację?

Nawet z nadejściem wieczoru letni upał nie zelżał w pokojach Florenta. Leniwie rozmarzona czułam miękką omdłałość we wszystkich członkach. Ach, nie sam tylko upał był tego sprawcą. To wyśmienite jadlo i napitki, a przede wszystkim bliskość Florenta działały na mnie tak odurzająco. W sypialni pełnej długich cieni od zapuszczonych żaluzji natychmiast wpadł mi w oko niezwykle starożytny zegar na pięknie intarsjowanym stoliku. W narożnej szafce przeżyły się wymusztrowane tomy, ułożone chyba tematycznie. Ciężkie kotary łoża były rozsunięte. Chyba pierwszy raz w życiu zupełnie nie chciało mi się odczytywać tytułów cudzych książek. Florent, zamknąwszy drzwi sypialni, uwolnił się od kubraka i rozpiął białą koszulę.

– Jaki oryginalny masz zegar!

– Owszem, jest bardzo stary. Wskazuje nie tylko godziny, lecz także ruchy ciał niebieskich. Ostatnimi czasy nie mogłem jakoś oprzeć się pokusie nabycia kilku takich rarytasów. Niektóre trzeba dopiero doprowadzić do porządku. Chyba właśnie to mnie bawi. – Na jego twarzy leżała cienka warstewka potu; delikatnie kropelki lśniły też na szyi i w miękkim zagłębieniu pod obojczykiem.

– A to co takiego tam na nocnym stoliku?

– To grające pudełko. – Podniósł pokrywę, aby mi pokazać napędzający je mechanizm: pośród kółek zębatach, takich jak w zegarze, widniał rząd tyciutkich dzwoneczków i równie malutkich młoteczków. Z jakąż zadziwiającą delikatnością dotykał tego wszystkiego swymi szerokimi, muskularnymi dłońmi. – To znaczy, grać dopiero zacznie – uzupełnił. – Trzeba wymienić

główną sprężynę i naprawić jeszcze jedną część. – Usiadłam na łóżku; usiadł obok i objął mnie w pół. Poczułam jego gorące ciało i zapach, trochę jakby zwierzęcy... zapach męczyzny owładniętego pożądaniem.

– Tyle tego żelaza – wyszeptał, gdy jego dłoń napotkała stalki mojego pancerza.

– Ale sam mechanizm mniej skomplikowany niż ten w grającym pudełku – odszepnęłam. Powiedział coś miękko i rytmicznie, głosem ciemnym jak dym z płonącego listowia. – Co to za język?

– Stary jak świat – odrzekł, topiąc wzrok w moich oczach, jakby w ten sposób chciał mi dopowiedzieć resztę. Zrozumiałam, że to język podbitego południa, słodka mowa dawnych trubadurów. Czy sprawiły to owe zapomniane słowa, że spłynęło z niego wszystko, co paryskie, odrzucone całkiem jak nie swoja skóra? Powoli i systematycznie zaczął rozpinać mi suknię, tłumacząc zarazem z uśmiechem treść starej chansons: „Jakiegoż dostąpiłem szczęścia, gdym nagi wziął ją w ramiona i oto”... – oto puściła sznurówka, a jego czule dłonie wyluskały me ciało z bielizny.

– Jakaś ty piękna... – Słyszałam w jego głosie tak wielkie pragnienie, a jednak trwał w nim opór przed zdjęciem koszuli. Zaczęłam więc sama rozpinać ją zdrową ręką.

– Chcę cię całego takiego, jakim jesteś – powtórzyłam swą obietnicę, gładząc palcami galernicze piętno. Jego nagi tors porośnięty ciemnymi włoskami lśnił drobinkami potu; poczułam na piersi wilgoć. – Takiego, jakim jesteś, na zawsze...

– Moja ukochana – wyszeptał. Zrozumiałam, chociaż wyrzekł te słowa w tym swoim prastarym języku.

– O, madame, nie powinnaś się na mnie gniewać! Ktoś musiał powiadomić madame Montvoisin, że znów się zadałaś z d'Urbekiem. Gdyby dowiedziała się tego nie ode mnie, miałabym się z pyszna! – wyjaśniła Sylvie bez cienia skruchy. Gwałtownie wstrząsnęła pierzyną, po czym z równą energią zaczęła okładać poduszki, aż w poranne powietrze wzbily się strzępki pierza. Siedziałam przy biurku, podsumowując wyniki minionego tygodnia, zbliżał się bowiem termin mych obrachunków z madame. Tylko co tu podsumowywać? Zero, zero i zero! Nic nie zarobiłam. A dwadzieścia pięć procent od niczego także równa się zeru. Tydzień był cudowny, pełen błędnego lenistwa. Ach, te rozkoszne śniadania w łóżku ze zmiętą „Gazette de France” gdzieś wśród wzburzonej pościeli i otwartym wciąż tomem Owidiusza obok wypalanej świecy.

– Czemu tak patrzysz? – zapytałam Florenta. Z rękami pod głową leżał zwrócony do mnie twarzą, na której osiadł wyraz błędnego ukontentowania.

– Bo taka jesteś piękna – odrzekł z cichą radością. – Wszystko w tobie jest piękne: twarz, te opadające na czoło czarne loki, lśnienie twych szarych oczu, całe twoje ciało, umysł i dusza...

Poczułam, że znów wzbiera we mnie ciepła fala miłości, że napelnia mnie całą aż po czubki paznokci i koniuszki włosów. Bałam się, że od jej nadmiaru pęknie mi serce.

– Kiedym cię zobaczył po raz pierwszy w oknie tego wielkiego mrocznego domu, byłaś jak płomyczek świeczki, dzielnie pełgający w ciemności. Teraz jaśniejysz jak słońce.

– To dla ciebie, Florent. Jestem twoja na zawsze, niech się dzieje, co chce. – Położyłam mu głowę na piersi, by usłyszeć bicie jego serca. Zaczął pieszczotliwie gładzić moje włosy. – Twoja na wieki i całą wieczność – powtórzyłam z westchnieniem.

– I ja należę do ciebie. Niech się dzieje, co chce.

Rozłąka nadeszła straszliwie szybko, aczkolwiek wiedzieliśmy przecież, że nadejść musi. Florenta czekała kolejna tajemnicza podróż. Nie pytałam dokąd ani na czyje zlecenie, choć miałam co do tego pewne podejrzenia. Czego człowiek nie wie, tego żadna siła z niego nie wycisnie.

Od czasu awantury z Brissakiem Florent nie miał wstępu na salony Mancinich, tym ciepłej za to przyjmowali go ich wrogowie, zwłaszcza że ubierał się nienagannie i potrafił przegrywać odpowiednie sumy na korzyść odpowiednich osób. Odbijał to sobie w dwójnasób, ogrywając z kolei takich, którym z różnych powodów zdarzyło się popaść w niełaszkę.

– Jutro muszę już jechać – powiedział rankiem, smarując rogalik masłem. Z uśmiechem oderwał kawałek chrupiącej skórki i podał go mojej papudze. Ptak z taką ochotą capnął smaczny kąsek, że aż z potężnego dzioba posypały mu się okruszki.

– A teraz powtórz: ładny ptaszek, ładny ptaszek, no dalej! Mądry d'Urbec! Mówże, leniuchu! Genevieve, czy ten twój ptak potrafi nauczyć się czegoś nowego?

– Tylko wtedy, kiedy jemu to sprawia przyjemność.

– Co za uparte stworzenie! Chyba prawie tak samo jak ja. No, Lorito, powiedz „ładny ptaszek”! Czas najwyższy, byś przestał już miotać te protestanckie groźby o piekło i potępieniu.

– Ogień i siarka! – obwieścił ptak, zabierając się znowu do łuskania ziaren.

– Ach, ty twarda głowo! Będziesz za mną tęsknić, gdy wyjadę?

– Piekło i potępienie!

– No i widzisz, jest to już jakaś odpowiedź – uśmiechnęłam się nieco przekornie. Dzień zapowiadał się piękny. W powietrzu czuło się już bliską jesień, lecz wciąż było bardzo ciepło.

– Wiesz co, Genevieve? Urządzimy dziś sobie uroczystość. Pozwól, że zaproszę cię na przejażdżkę po Cours-la-Reine, a potem wybierzemy się na nową operę pana Lully.¹¹ Słyszałem, że działająca tam maszyneria sceniczna to istne чудо. Masz ochotę na tę eskapadę?

– O tak, pomysł jest boski! W dodatku mam doprawdy idealną suknię na taką okazję. Tyle już czasu trzymam ją w szafie, że niektórzy pukali się w czoło, ale ja czułam, że wciąż jeszcze na nią nie pora, dopiero teraz! – Sylvie bez słowa wyjęła z pokrowca różową suknię, lecz jej zmrużone oczy wyraźnie mówiły, co zamierza: zdradzi mnie jeszcze dzisiaj, powie o wszystkim Pani Wiedźmie. Wcale się tym nie przejęłam, stało się bowiem coś bardzo dziwnego. Oto podziwiając w lustrze prześlicznie haftowane kwiaty, rozkoszując się jedwabistym połyskiem różowej spódnicy i kremowej halki, uświadomiłam sobie nagle, że widzę prawdziwe barwy! Że nie mącą ich tak jak dotąd rozsiane po tafli plamy krwawej czerwieni. Lustro było czyste. Widziałam w nim tylko dziewczynę o wąskiej talii i ciemnych rozwichrzonych włosach. Uśmiechała się do mnie szarymi oczyma błyszczącymi szczęściem.

Cała reszta dnia, skąpanego w promieniach letniego słońca, minęła mi w radosnym upojeniu. Kiedy nasz powóz, przemknąwszy obok pałacu i ogrodów Tuileries, wmieszał się w strumień eleganckich ekwipaży płynący szeroką aleją Cours-la-Reine, Florent patrzył tylko na mnie. Nie interesowała go ani malownicza sceneria, ani piękne kobiety – trzymał mnie za rękę.

– Pamiętasz, kochany, powiedziałaś, że spotkamy się na Cours-la-Reine, i spełniła się twoja wróżba. Teraz pewnie zechcesz odebrać mi chleb, skoro taki z ciebie wróżbita – zażartowałam.

– Nic podobnego, wcale się nie spełniła! Wyzaczyłem spotkanie madame de Morville i spojrz! Czy ją gdzieś widzisz? Bo ja nie! – roześmiał się głośno, otaczając ramieniem mą kibić obleczoną w różowy jedwab.

Nazajutrz po wyjeździe d'Urbece wpadły mi w oko nowe ozdobne klamerki błyszczące na pantofelkach Sylvie: musiała już spełnić swój obowiązek wobec Pani Wiedźmy. A ja muszę dzisiaj przedstawić jej rozliczenie. A, co mi tam! Wciąż jeszcze miałam przed oczyma wyraz twarzy Florenta, kiedy ujrzał mnie w nowej sukni. Teraz zrozumiałam, dlaczego tak długo nie zdecydowałam się jej włożyć: była przeznaczona dla niego. Czułam dotąd na szyi jego

¹¹ Jean-Baptiste Lully, właściwie Giovanni Battista Lulli, (1632 – 87), kompozytor francuski pochodzenia włoskiego. Od roku 1652 przebywał na dworze Ludwika XIV jako skrzypek orkiestry „23 Violons du Roi”, zaś od 1653 jako nadworny kompozytor. Był też aktorem i tancerzem.

pocałunki, słyszałam szept: „Za młoda jesteś i za piękna, aby stale chodzić w tej ponurej czerni”. Rozliczenie? Wielkie rzeczy! Czułam się zupełnie nową osobą, zdolną przenosić góry. I jeszcze do tego miałam w rękawie asa. Na kilka dni przed wyjazdem Florenta otrzymałam najwyższe zaproszenie. Za czyją sprawą wieść o mnie dotarła do królewskich uszu? Ktokolwiek to uczynił, oddał mi przysługę, bo oto sam Ludwik XIV wzywał mnie przed swoje najjaśniejsze oblicze razem z magicznym naczyniem.

Na rue Beauregard udałam się wynajętym krzesłem, gdyż na okres tych paru tygodni, które spędziłam z d'Urbekiem, zrezygnowałam z dzierżawy powozu, by choć trochę zaoszczędzić na wydatkach. Madame zastałam w salonie: nadzorowała spoconych ludzi, którzy przytaszczyli właśnie ogromny zegar wskazujący prócz godzin także i fazy księżyca. Kazała tragarzom ustawić go w rogu obok serwantki z porcelaną, zaraz jednak zmieniła zdanie:

– Nie, nie! Musi stać całkiem gdzie indziej! Tutaj odwraca uwagę od mojej cennej kolekcji. Lepiej będzie naprzeciw okna. – Salon jak zwykle tonął w półmroku; zatęchła woń świec płonących dniem i nocą u stóp Najświętszej Dziewicy niedparcie przywodziła na myśl pogrzeby i śmierć tak ludzi, jak i rzeczy. Sama madame jednakże wcale nie wyglądała na martwą: jedną ręką gestykulowała zbyt nawet żywo, drugą zaś, zbrojną w rozpostarty wachlarz, gwałtownie cięła powietrze, jakby chciała odpędzić gęste krople potu spływające spod białego czepka.

Mój widok bynajmniej jej nie ucieszył.

– No proszę, zjawiłaś się wreszcie. Za chwilę przyjdzie madame Poulailon po... no wiesz, mam z nią cotygodniową konsultację! – Z rozliczeniem pod pachą powędrowałam więc do kuchni, wiedziona skrytą nadzieją na resztki jakichś delicji z wczorajszego przyjęcia.

– Nic nie zostało – ostudził mnie Montvoisin wychodzący akurat z kuchni z mnóstwem okruszków na rozchełstanej koszuli, na której oprócz tego widniały liczne plamy od tabaki. Jego bufiaste spodnie były tak wymięte, jak gdyby stale w nich sypiał. Może rzeczywiście dopiero co wylazł z łóżka, bo na nogach miał rozczłapane pantofle, a na głowie serwetkę miast codziennej peruki z końskiego włosia. – Słodkiego nic nie mam, ale poczęstuj się, proszę – podsunął mi tanią tabakierkę.

– Dziękuję, nos swędzi mnie od tabaki – wymówiłam się grzecznie. Schował tabakierkę i w milczeniu poczłapał do salonu. Po chwili usłyszałam zza drzwi jego głos:

– O, dzień dobry, madame Poulailon! Jakże się miewa szanowny małżonek? Czy zdołałaś go już, pani, zreformować?

– Wynoś się, Antoine – syknęła madame. – Przeszkadzasz mi w pracy. – Drzwi od salonu zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Montvoisin, wycofawszy się do jadalni, zrobił kilka niezdecydowanych kroków, by wreszcie zająć ulubiony fotel swej małżonki łącznie z podnóżkiem, na którym umieścił stopy.

– Markizo – zaczął, po czym zrobił dłuższą przerwę, podczas której zażył szczyptę tabaki, a następnie kichnął w brudną chustkę – czy moja córka nie skontaktowała się z tobą? Sam jej poradziłem: „Poproś markizę. Ma gotówkę i nie opowiada plotek.” – Zaskoczył mnie tą niezbyt zrozumiałą enuncjacją.

– O niczym nie wiem – odparłam zdziwiona, zwijając wachlarz. – Ostatnio byłam dosyć zajęta.

– Idź zatem do nowego mieszkania La Lepere, tylko nie bierz ze sobą Sylvie. Marie-Marguerite zamierzała po ciebie posłać, wiem to na pewno. – Potoczył dookoła zażawionymi oczami o barwie spranego błękitu w sposób, który miał oznaczać, że wszystko, co dzieje się na tym świecie, przerasta jego rozumienie, a potem, jak gdyby już tylko to jedno pozostało mu do zrobienia, znów zażył tabaki. – Precz ode mnie, ty wstrętne kocisko! – syknął na szarego kocura, który korzystając z okazji, wskoczył mu na kolana. Ten zerknął tylko zmrużonymi ślepiami i błyskawicznie ugryzł go w palec. Montvoisin wydał z siebie bolesny okrzyk i zaczął nerwowo opędzać się przed drapieżnikiem. – Ich też nienawidzę! – oświadczył, wskazując oddalającego się kota. – Nienawidzę tego wszystkiego. – Po tych słowach zamilkł i jakby zapadł się w siebie, zostawiając resztę mojej domyślności.

Drzwi do salonu otworzyły się nagle; oznaczało to zarazem, że madame Poulaillon musiała już wyjść, unosząc z sobą tygodniową dawkę arszeniku. Znając La Voisin, mogłam przypuszczać, że będzie w dobrym humorze, jak zwykle po takiej transakcji; niestety, nie tym razem. Widząc jej zirytowaną minę, co szybciej podniosłam się z krzesła. Zajęła fotel, który Montvoisin postanowił zwolnić, czyniąc to jednakowoż z niechętnym mknieniem, i zaczęła miarowo bębnić palcami o precz. Stałam nadal, bo nie poprosiła, bym usiadła. Czułam też, że mój widok przyprawia ją o jeszcze większe rozdrażnienie. Miej się na baczności, Genevieve, ostrzegłam samą siebie w duchu.

– Jesteś więc, ty niewdzięcznico. Druga taka sama! Z pewnością i ty wiesz, gdzie podziewa się Marie-Marguerite. Wszyscy to wiedzą z wyjątkiem jej własnej matki!

– Marie-Marguerite? Ale co się stało? O niczym nie mam pojęcia.

– Ha, pewnie, pewnie! Zbytńo byłaś zajęta figlowaniem z tym swoim galernikiem! Na mój

koszt popija się winko i łyka ostrygi, pięknie! Zrobiłam cię markizą, a ty? Marnujesz pozycję i całą swą przyszłość dla jakiegoś kryminalisty!

– On nie jest kryminalistą – sprostowałam lodowato.

– Już tak jakby był! – prychnęła. – Miesiąc nie minie, a Brissac nos mu obetnie, zobaczysz! – Szybko zmieniałam temat, by skierować jej furię w inną stronę.

– Marie-Marguerite będzie chyba już wkrótce rodzić, nieprawdaż? Nie myślałam, że w takim okresie zechce się wynieść z domu.

– Ach, podłe ladaco, niewdzięcznica! To ja daję dziesięć tysięcy franków memu przyjacielowi Romaniemu, by z niej zrobił uczciwą kobietę, a ta go odrzuca! „Matko – zaczęła przedrzeźniać jękliwy głos pasierbicy – ja za niego nie wyjdę. To zawodowy truciciel.” Aż mną zatrzęsło. „A co ty sobie myślisz, księżniczko – mówię – kto cię będzie żywił, co? Zwłaszcza teraz, gdyś rozdęta jak maciora i nic nie robisz, tylko wylegujesz się całymi dniami? Romani to geniusz, człowiek o tysiącu twarzy!” „A niech sobie nawet będzie geniuszem, i tak go nie chcę. Chcę mieć przyzwoitego męża”. Tak mi powiedziała ta mała idiotka. „Przyzwoity” to ten jej pasztetnik. I co ona w nim widzi? Żeby to chociaż miał własny sklep! A gdzie tam, zwyczajny wędrowny handlarz! Nie oddam córki takiej hołocie. Jak jej to powiedziałam, uciekła. Swoją drogą trudno sobie wyobrazić, jakim cudem i gdzie takie coś jak ona mogło uciec. Rozdęta to gorzej niż locha, a wolniejsze chyba od ślimaka. No ale już ja ją znajdę, choćby moi ludzie musieli przetrząsnąć wszystkie domy w tym mieście!

– Marie-Marguerite źle zrobiła. Powinna doprawdy słuchać tych, którzy chcą jej dobra. – Wygłosiłam tę opinię frasobliwym tonem, jednak nie dość chyba przekonywająco, bo Pani Wiedźma obrzuciła mnie wyraźnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Mam nadzieję, mademoiselle, że nie prawisz mi tu sarkastycznych uwag. Bo kiedyż to ty sama tak mnie słuchałaś? Idę o zakład, że po tej ostatniej rozpuście twój przychód nie wyniesie nawet złamanego sou! – Była już pora wyciągnąć z rękawa mego asa.

– Prawda, że przez ubiegłe dwa tygodnie nic nie zarobiłam, otrzymałam jednak zaproszenie do samego króla. Mam stawić się przed jego majestatem w przyszłym tygodniu, gdy tylko powróci do Saint-Germain-en-Laye. Nasz pan, jak mówią, lubi nowości. Widać wieść o mnie w końcu do niego dotarła.

La Voisin z wrażenia wstrzymała oddech.

– Buckingham musiał mu powiedzieć – wyszeptwała.

– Albo Primi.

– Nie, Visconti by tego nie zrobił, on uważa cię za rywalkę. Ach, wiedziałam, wiedziałam, że wysoko zajdziesz! Twój akcent, twoje maniery! Kto tego nie wyniósł z domu, ten się i nie nauczy. Może na głowie stawać, a i tak będzie to zawsze tylko kiepska namiastka! No, może mi teraz powiesz, kto cię przygotował do tego wielkiego lotu?

– Ty, madame, i jestem ci za to wdzięczna. Postaram się jak najlepiej wykorzystać tak sprzyjającą sposobność, obiecuję.

– O, to rozumiem! Teraz mówisz jak moje kochane dziecko! Prawdziwsze aniżeli moja własna córka, bo za taką uważam tę swoją niegodziwą pasierbicę. Działaj rozważnie, moja droga, a kto wie, może zastąpisz Viscontiego przy boku króla. – Mrzonki, pomyślałam. Król, który chełpi się tym, że nie przyjmuje rad od kobiet, nigdy by się nie splamił posiadaniem nadwornej wróżbitki.

Pani Wiedźma dała się jednak ponieść swojej wybujałej wyobraźni, przez co stała się nader wylewna. Nie obeszło się bez butelki najlepszego wina z własnych piwnic: nawet Antoine i jej najstarszy chłopak łaskawie otrzymali po szklaneczce.

– Prawda, jeszcze marcepany! Wiem, wiem, jak je lubisz! – wykrzyknęła podsuwając się boczkiem ku zamkniętej skrytce w kredensie. Niech ją licha! Jakąż przyjemność sprawiał jej fakt, że po blisko pięcioletniej znajomości wciąż jeszcze nie zdołałam wykryć, skąd ona bierze ten marcepan. Najlepszy w Paryżu. Mogłam kupić sobie wszystko: opium, arszenik, gołębie serca, a nawet żabie pazury, wszystko z wyjątkiem mego ulubionego smakołyku. Wiedziała o tym i dlatego ilekroć szła go przynieść, na jej ustach gościł ów afektowany, pełen triumfu uśmiešek. Trochę mnie to irytowało, reflektowałam się jednak; lepiej dać jej spokój. Może w końcu zmięknie i sama mi powie. Ach, uwielbiałam te jej marcepany! Były tak fantastycznie słodkie, tak nasycone jakąś pysznością, że aż rozplływały się w ustach. Czuło się w nich migdały i coś jeszcze. Co? Tego już nie sposób było odgadnąć. Zjadłam kilka kawałków i wypiłam szklaneczkę wina. Wyszłam dopiero wtedy, gdy byłam już pewna, że Pani Wiedźma rzeczywiście odzyskała dobry humor.

La Lepere, której głównym zajęciem było spędzanie płodu, ostatnio poszła w górę, i to zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Zajmowała teraz dwa pokoje na czwartym piętrze wąskiej i obskurnej kamienicy, w której na pierwszym piętrze mieścił się sklep ze wstążkami.

Przystanąwszy na szczycie klatki schodowej, zobaczyłam ją w otwartych drzwiach: usłyszała pewnie odgłosy mojej mozolnej wspinaczki po rozchwierutanych stopniach.

– Przychodzę na prośbę Antoine'a Montvoisina – wyjaśniłam.

– Wiem – mruknęła stara. – Jest u mnie Marie-Marguerite. Dziś w nocy gracko urodziła zdrowego chłopaka. Wejdz, proszę.

Marie-Marguerite siedziała na łóżku w zaciemnionym pokoju, karmiąc dziecko. O tym, że dopiero co odbyła poród, świadczyły chyba tylko przylepione do głowy włosy. Wyglądały jak mokre strączki.

– Tylko popatrz – powiedziała z dumą La Lepere – czyż nie wygląda świetnie? A chłopak jaki ładny! Takie żywe maleństwo sprawia człowiekowi dużo więcej satysfakcji niż te inne... A robię ci ich sporo ostatnimi czasy – westchnęła. – O, cóż to za świat, ten dzisiejszy! Jakby tak policzyć... Musiało ich być pewnie z dziesięć tysięcy!

– Dziesięć tysięcy?

Nawet biorąc pod uwagę jej długi żywot, jako że miała na karku już prawie osiemdziesiątkę, było to zaiste sporo. Szybko pomnożyłam pół tej wielkości przez liczbę podobnych specjalistek zatrudnianych przez La Voisin... Nic dziwnego, że ten komin w pawilonie nigdy nie przestawał dymić.

– Spójrz, jaki śliczny – pochwaliła się Marie-Marguerite. – Mnie wydał się, prawdę mówiąc, strasznie mały i strasznie czerwony, lecz oczywiście wyraziłam zachwyt. – Dam mu na imię Jean-Baptiste, po ojcu. – Musiałam w duchu przyznać, że Marie-Marguerite i jej dziecko tworzą w istocie bardzo wdzięczny obrazek. Rodzajowy. Można by go nazwać... hm... „Mała Madonna od Trucizn”.

– Madame de Morville, mam do pani ogromną prośbę. Potrzebuję pieniędzy... czy... czy mogłabyś mi udzielić pożyczki? Potrzebny mi jest także jakiś plan działania. Jesteś taka mądra, na pewno coś wymyślisz! Chciałabym oddać małego na wychowanie, ale tak, żeby matka się nie dowiedziała. O, tylko ty jesteś w stanie przechytryć moją matkę! Pomóż mi, błagam!

Przysiadłam obok niej na łóżku.

– Marie-Marguerite, twoja matka nie będzie przecież do końca życia wściekać się na ciebie o to, żeś nie chciała wyjść za Romaniego. Prędzej czy później wykluje jej się w głowie inny jakiś pomysł i dojdzie do wniosku, że tak jest nawet lepiej, niż gdybyś jej posłuchała.

– O, i właśnie tego się boję! Zwęszy pieniądze, a ja stracę dziecko. Zdolna jest do wszystkiego, kiedy ogarnie ją chciwość albo kiedy zjawi się ktoś znaczny z zamówieniem na czarną mszę. Nie byłoby bezpiecznie mieszkać z dzieckiem w jej domu.

– Myślisz, że... wszak to jej wnuczek!

– Och, i cóż z tego? Ten ohydny Guibourg nie waha się posługiwać nawet własnymi dziećmi spółzonymi ze swą kochanką. A teraz szczególnie brak im niemowląt. Co było w sierocińcach, to już wykupili. Dopiero jak wróci dwór, interes znów się rozkręci. Ty, markizo, nie widziałas nigdy czarnej mszy, ale ja tak! Sama madame de Montespan zamawiała kilka, a ja pomagałam usługiwać przy wszystkich, przygotowując całe pomieszczenie. A czy to ona jedna? Matka ma mnóstwo klientów. Nie pozwolę poderżnąć gardła mojemu ślicznemu maleństwu, żeby jakaś tłusta podstarzała ladacznica mogła zatrzymać przy sobie kochanka, co też pewnie wygląda jak spasiona świnia! – obrzuciła czułym spojrzeniem przyssaną do piersi główkę dziecka.

Syn paszтетnika zamknąwszy oczka żarłocznie poruszał buzią, niepomny na żadne toczące się wokół dramaty.

– Nie wysyłaj go na wieś miejską podwodą wraz z innymi dziećmi – powiedziałam. – Wiele z nich umiera w czasie tej podróży. Wynajmę powóz w tajemnicy przed twoją matką i dam ci pieniądze na roczną opłatę. Wiejskie piastunki bardzo to sobie cenią, kiedy płaci im się z góry.

– Wiedziałam, że mi pomożesz, chociaż nie miałam pojęcia, dlaczego tak myślę! Jakoś zdawało mi się, że to do ciebie podobne – zawołała Marie-Marguerite.

Kiedy wieczorem Sylvie cierpko skomentowała mój późny powrót, odparłam, że to madame mnie zatrzymała; co więcej, zamiast zmyć mi głowę, urządziła przyjęcie dla uczczenia mej rychłej wizyty u króla.

– U króla? – głośno odetchnęła Sylvie. – O rety, a ja nic nie wiedziałam! Chytra z ciebie sztuka, madame!

– Wyrocznie też czasami muszą zachować dla siebie niektóre sekrety – odrzekłam, chowając księgi rachunkowe. Kapelusz niedbale cisnęłam na łóżko.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

W główną ulicę przedmieścia Saint-Antoine wlewały się wciąż nowe szeregi wzburzonych kobiet. – Wiedzmy,iedzmy! – słyhać było okrzyki. – Ludożercy, złodzieje niewinnych dzieci! Śmierć im, śmierć!

Okrzykom tym towarzyszył brzęk tłuczonego szkła, grzechot uderzających o bruk kamieni i rozpaczliwe wrzaski tratowanych. Z tłumu, którego pierwsze rzędy znajdowały się już nie opodal policyjnej barykady, wyrwał się nagle jakiś przerażony adwokat w resztkach podartego ubrania. Rozjuszona kobiety rzuciły się za nim w pościg.

– Stać! Cofnąć się! – ryknął dowodzący oddziałem sierżant, ściągając wodze swej pokrytej pianą gniadej klaczy. Wyprostował się w strzemionach i dał znak konnym łucznikom. Szarża oddziału odrzuciła rozszalały rój kobiet; wycofały się, wlokąc za sobą ranne. Na głowy policjantów posypał się grad wściekłych przekleństw. Do barykady podjechał tymczasem sam de La Reynie na okazałym gniadoszu, jak zwykle nieskazitelnie wytworny: w kaftanie ze złotym galonem, wysokich butach i szerokim, zdobnym w białe pióra kapeluszu.

– Jaka sytuacja? – zagadnął sierżanta. – Przed nocą macie zaprowadzić ład w całej dzielnicy.

– Widzi mi się, że to chyba już ostatnia fala – odparł sierżant. Puścili się obaj truchtem przez ulicę usianą tym wszystkim, co zwykle pozostaje po takich zamieszkach. Poniewierały się tu deski, polana i wszelkie rupiecie przydatne przy wznoszeniu improwizowanych barykad, wyrwane z bruku kamienie, jak również pojedyncze drewniane chodaki. Tu i ówdzie widać było czyjś zmięty fartuch bądź starą chustę zdartą z właścicielki w czasie szarpaniny. Gdzieniegdzie w kurzu czerwieniły się plamy krwi. – Całe szczęście, że nie wznieciły ognia.

– Ilu zabitych? – spytał La Reynie.

– Wśród nich? Tego nie wiemy. Wiadomo, że zakatrupiły akuszerkę i szewca, mocno poturbowały też jakiegoś adwokata. Zatrzymaliśmy go jako podejrzanego.

– Oczekuję dokładnego raportu, jak tylko uda wam się stłumić te rozruchy. Co, waszym zdaniem, tak je tym razem wzburzyło?

– Zna pan pospólstwo, panie komendancie. Znów ten ślepy strach przed czarami. Gadają, że ktoś kradnie im niemowlęta, by je potem odsprzedać ludziom, którzy odprawiają czarne msze, potrzebują zatem krwi niewinnych ofiar. A że cena za niemowlę sięga dziś już podobno dwóch skudów, wielka to pokusa, tak wielka, że ulec jej może każdy. Ktokolwiek więc nieznamy

pojawi się w okolicy, brany jest od razu za złodzieja dzieci.

– Obląkane przesady. Jedyne na nie lekarstwem mogłaby być edukacja. Niestety, sierżancie, gminny umysł to wciąż jeszcze typowo chłopskie myślenie, dalekie od wszelkiej racjonalności.

– Święta prawda, monsieur de La Reynie – przytaknął sierżant, który nigdy nie rozstawał się z talizmanem chroniącym go od złych oczu.

W mrocznej nawie kościoła Jezuitów dwaj duchowni otworzyli ubogą puszkę na ofiary, by policzyć całodzienne datki. Wśród monet tkwiła złożona kartka papieru. Jeden z księży rozwinął ją i zaczął czytać w migotliwym blasku setek świec płonących przed figurą Przenajświętszej Panny. Twarz złodowaciała mu ze zgrozy.

– Co to takiego? – zapytał drugi jezuita.

– Doniesienie o spisku mającym na celu otrucie króla i delfina. Podane są nazwiska i adresy. Wygląda na to, że w Paryżu odbywa się handel truciznami na ogromną skalę. – W niecałą godzinę później dwaj jezuita siedzieli już w poczekalni głównego komendanta Paryskiej Policji Kryminalnej.

Odprawiwszy archiwistę, pan de La Reynie długo tkwił przy swoim biurku pogrążony w niewesołych myślach. Od czasu do czasu zapisywał coś sobie w małym czerwonym notatniku. Paryż zalewa wprost falą spisków wymierzonych przeciwko królowi, których mocodawcami są obce dwory.

Wspaniałe zwycięstwa wojenne Francji i związane z tym podboje licznych terytoriów przysporzyły najjaśniejszemu panu zawziętych wrogów w całej Europie. Ślą oni swoich agentów do Paryża, by knuli tu intrygi i organizowali różne zdradzieckie sprzysiężenia.

Wywiadowcom pana de La Reynie udało się już wielu z nich wykryć – ci zostali unieszkodliwieni; bez najmniejszych skrupułów osobiście powyprowadził ich na tamten świat. Jednak ta konspiracja, o której donieśli mu dwaj jezuita, była czymś całkiem innym.

Treść denuncjacji nasuwała przypuszczenie, że Paryż stał się centralnym punktem olbrzymiej sieci zawodowych trucicieli, daleko większej i lepiej zorganizowanej, niżli można było podejrzewać. Co gorsza, członkami owego spisku są wielcy arystokraci z najbliższego otoczenia króla. Wygląda na to, że zarówno ostatnie zamieszki, jak i liczne przypadki tajemniczych zgonów tu właśnie mają swe źródło. Pan de La Reynie pokręcił głową: czyżby to sobie uroił? Może jednak ponosi go fantazja?

Jeśli owi wielcy arystokraci wywęszą, że on, szef policji, gromadzi przeciw nim dowody,

postarają się przekonać króla, że tego de La Reynie trzeba unicestwić. Zdawał sobie sprawę, iż w grę wchodzi już nie tylko jego kariera, ale i wolność. Czyż taki Fouquet nie był swego czasu potężnym ministrem, dużo potężniejszym od szefa policji, a przecież i on gnije w lochu. Jednakowoż... jeżeli ów spisek naprawdę istnieje, on, de La Reynie, ma obowiązek powiadomić o wszystkim króla. Chyba że się okaże, iż sam monarcha też jest wmieszany w całą tę aferę... Zmarszczył brwi i szybko sporządził listę hipotetycznych ewentualności, ustalając dla każdej odpowiednią taktykę działania. Uznał, że generalnie sprawa wymaga niezwykle delikatnego podejścia: na razie trzeba będzie przycisnąć pomniejszych płotki, by wydobyć z nich takie zeznania, które w niepodważalny sposób obciążą wielkich nietykalnych. Raz jeszcze przebiegł wzrokiem leżący na biurku wykaz nazwisk. Umocniwszy się w przekonaniu, że to zadanie dla człowieka umiającego działać z najwyższą dyskrecją, zawezwał do siebie Desgreza.

– Kapitanie, oto pełna lista miejscowych alchemików, wróżbitów tudzież perfumiarek. Niech twoi ludzie złożą im wszystkim nieoficjalne wizyty. Miejcie oczy otwarte na każdy podejrzany szczegół. Zdaje się, że nasze sieci zarzucane w ubiegłych latach miały zbyt wielkie oka. – La Reynie wręczył podwładnemu plik kartek z wypisanymi na nich setkami nazwisk. Desgrez zważył je w rękę i potrząsnął głową:

– Pokażny rejestr. Trochę to potrwa.

– Zacznij od takich, których uznasz za szczególnie podejrzanych – podsunął mu La Reynie, powracając do pisania raportu o ostatnich zamieszkach. Był to raport przeznaczony dla króla.

Desgrez przejrzał wręczony mu rejestr. Na początku trzeciej strony dostrzegł znajome nazwisko: „Markiza de Morville, rue Charlot. ” Uśmiechnął się półgębkiem sam do siebie. Już wiedział, czym na pewno zadowoli szefa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Z końcem października spadły ulewne deszcze; rynsztokami spływały rzeki brudnej wody, w domu ze wszystkich kątów ziało wilgotne zimno. Wyjazd Florenta odjął memu domostwu wszelką radość i ciepło. Ja sama z tęsknoty tak wychudłam, że mogłam policzyć sobie zębra. W końcu zachorowałam; przez kilka dni przyjmowałam klientów okutana jak mumia grubym szalem. Czułam się stara, tak stara, jakbym rzeczywiście dźwigała na karku półtora wieku nieśmiertelnej madame de Morville. Nadszedł wreszcie list z mnóstwem obcych pieczęci i śladami długiej podróży. Były w nim słowa miłości i – co za szczęście! – zapowiedź rychłego powrotu. Nabrałam teraz nowego zwyczaju: wciąż wystawałam w oknie sypialni, gapiąc się na pieszych i jezdnych, wypatrując pośród nich Florenta, jego płaszcz i ciemnego kapelusza, jego znanego, rozważnie zdecydowanego kroku... Ciągłe zwidywało mi się, że go widzę – w bramie, w ulicznym zbiegowisku, konno i za szybą przejeżdżającego powozu.

Pewnego popołudnia, gdy pędzone ostrym wiatrem krople deszczu przybierały kształt cienkich lodowych igiełek, zobaczyłam pod drzwiami fiakra: wysiadł z niego ktoś otulony obszernym płaszczem. To on, to Florent! Dzięki Bogu, że nie miałam dziś klientów! Dla niego bardzo bym nie chciała wyglądać jak własne zwłoki. Miałam na sobie prostą wełnianą suknię w kolorze niebieskim, z ładnym koronkowym kołnierzykiem, a włosy przewiązane różową wstążką. Prędko wetknęłam za nią parę niesfornych loków, wygładziłam spódnice i pognałam na dół czując, że na policzki biją mi rumieńce. Stał odwrócony do mnie tyłem, patrząc w ogień. Wciąż jeszcze nie zdjął płaszcz ani kapelusza... jego ciemna peruka lśniła od wilgoci.

– Madame – spiesznie powiedział Mustafa, jakby starał się uprzedzić jakąś moją niewczesną kwestię – to jest monsieur Landart, kapitan muszkietarów, który pragnie zasięgnąć twojej rady.

– Przybyły odwrócił się na te słowa. Ach, ktoś nieznajomy. Pod rozpiętym płaszczem mignął mi szamerowany złotem mundur i szeroki ozdobny pendent. Widząc mój rumieniec i nagłe zmieszanie, gość uśmiechnął się domyślnie i zarazem jakby złowrogo. Teraz go rozpoznałam! Człowiek o tysiącu twarzy! Nie żaden kapitan muszkietarów, ale sławetny Desgrez, kapitan paryskiej policji, ja zaś, o zgrozo!, pokazałam mu się bez przebrania.

– Och, proszę mi wybaczyć, kapitanie, że w tak niestosownym stroju przyjmuję osobę pańskiej rangi, nie spodziewałam się dziś jednak klientów!

– Chętnie w to wierzę, madame, aczkolwiek muszę powiedzieć, że w tej postaci wyglądasz nadzwyczaj czarująco.

O, do licha, już się domyślił. Boże, polecam się Twojej opiece. Wie, że kulawa służąca i sędziwa madame de Morville to ta sama osoba. Przez moment snułam zgoła niedorzeczne plany: ucieknę. Powiem „chwileczkę, monsieur”, i wymknę się tylnymi drzwiami, a potem wsiądę w dylizans do Calais. Pojadę do Anglii. Buckingham weźmie mnie pod opiekę. Zaproponował mi to przecież podczas swojej wizyty u madame. Pomoże mi zacząć wszystko od początku. Żebyż ten policjant chciał uwierzyć, że go nie rozpoznałam! Jeżeli będzie tak myślał, może pozwoli mi na chwilę odejść, ja zaś zdołam w tym czasie uciec... Pograżona w tych gorączkowych myślach, starałam się równocześnie zachowywać jak najnaturalniej, zwłaszcza zaś nie okazywać niepokoju.

– Schlebia mi pan, kapitanie – powiedziałam z miłym uśmiechem. – Widać, że umie pan czarować damy. Proszę mi jednak powiedzieć, czym mogę panu służyć?

– Poszukuję balsamu na rany od białej broni, który jak słyszałem, ma posiadać cudowne zgoła właściwości. Przysięgało mi na to kilku lekarzy o znakomitej skądinąd reputacji.

– Wiele takich mieszanek sporządzają znane mi osoby, ja sama, niestety, nie znam sekretu ich składu. Mogłabym nabyć dla pana dwa rodzaje tego balsamu, lepiej byłoby jednak, gdyby udał się pan do źródła. Zalecenia co do użycia tej czy innej maści różnią się bowiem w zależności od tego, czym nasmarowana była broń, od której powstała rana. Chętnie służę panu adresem pewnego aptekarza nazwiskiem Jordain. – Monsieur Jordain, główny dystrybutor wielu podejrzanych produktów La Trianon, z pewnością nie omieszkałby dostarczyć jej zamówienia Desgreza wraz z kolejną dostawą ropuch.

– A więc ty sama, madame, nie sprzedajesz żadnych mazideł ani mikstur?

– Drogi kapitanie, mój świętej pamięci mąż, markiz de Morville, przewróciłby się w grobie, gdybym kiedykolwiek ośmieliła się splamić kramarstwem jego dobre imię. Posiadam dar jasnowidzenia, z którego czynię użytek, przepowiadając przyszłość dobrze urodzonym damom. Ach! – westchnęłam dramatycznie, zasłaniając twarz roztrzepotanymi dłońmi. – Czyż mogłam przypuszczać, że to, co za młodu było dla mnie tylko salonową zabawą, stanie się na stare lata moim jedynym oparciem? Niestety... Wszystko to, co jak widzę, szacuje pan teraz wzrokiem, zawdzięczam łaskowości wspomnianych dam. Ich to hojność pozwala mi pędzić żywot na w miarę przyzwoitej stopie, tak aby nie uwłaczało to memu tytułowi i pozycji. – Desgrez pospiesznie zaniechał lustracji obrazów i sreber. Nie przypuszczał, że to zauważę. Ha, dobrze widziałam, że ogląda je okiem rzeczoznawcy.

– Wszystko to... ma pani z samych tylko przepowiedni? – zapytał z niedowierzaniem.

– O, kapitanie, musiałeś bardzo długo przebywać na polu walki, skoro nie wiesz, jak niebywały popyt panuje dziś w Paryżu na wróżby. Z dnia na dzień przybywa mi klientów. Chcę, bym im odnalazła zagubione przedmioty, miejsca pobytu niewiernych kochanek bądź kochanków, radzę się w sprawie małżeństwa i tysiącu podobnych kwestii. Musiałabym doprawdy być bardzo głupia, gdybym w tej sytuacji decydowała się marnować czas na coś mniej lukratywnego czy bardziej ryzykownego.

Desgrez podszedł nieco bliżej, jakby miał zamiar zadać mi jakieś pytanie, gdy nagle zapukano do drzwi.

– Stokrotnie przepraszam, kapitanie. Zupełnie nie przewidziałam dziś takiego ruchu. Czy i pan sobie życzy, abym spojrzała w pańską przyszłość? – Mustafa, który poszedł otworzyć drzwi, wrócił teraz do salonu, prowadząc nieznanego lokaja w zwykłej szarej liberii. Desgrez jakby się spłoszył. Wyraźnie zaczął czuć się nieswojo.

– Madame de Morville – oznajmił lokaj – mój pan przysłał ci ten klejnot wraz z mnóstwem pokornych przeprosin i gorącą nadzieją na odnowienie dawnych sentymentów. – Zanim zdążyłam powiedzieć, że z księciem de Brissac nic mnie łączyło i że nic od niego nie przyjmę, posłaniec odwinął natłuszczony jedwab i postawił na kominku intarsjowaną szkatułkę z drzewa różanego, po czym szybko czmychnął. Mejs uwagi nie uszedł fakt, że ni razu nie dotknął jej gołą ręką.

– O, do diabła, znowu! – mruknęłam do siebie. – Ten łotr chyba myśli, że ma do czynienia z idiotką.

– Pani coś mówiła, madame de Morville? – Na chwilę całkiem zapomniałam o Desgrezie. Jego głos tuż za plecami zabrzmiał mi w uszach jak wystrzał. Teraz ja dla odmiany poczułam się dość nieswojo. Oderwawszy wzrok od szkatułki obróciłam się w stronę gościa.

– Po prostu głośno myślę, kapitanie... ehm... Landart. Czy chce pan, bym mu przepowiedziała przyszłość? – Istniał cień nadziei, że spłoszy go to pytanie. Może sobie pójdzie? Znaczna część mężczyzn nienawidzi przepowiedni, uważając, że to babski zabobon najgorszego autoramentu. Fizjonomika, grafologia, balsamy na rany i owszem, zaliczają się do „nauki”, nie przynoszą więc panom ujmy. Wiara w te rzeczy nie czyni człowieka obskurantem, a kapitan Desgrez wyraźnie należał do tak właśnie myślących mężczyzn. Słyszając moje pytanie, poczerwieniał gwałtownie i niecierpliwie przesunął palcem po kołnierzu, jakby raptem coś mu utknęło w gardle. O, drogi panie, pomyślałam, gdybyś był naprawdę człowiekiem nauki, poprosiłbyś o wróżbę. Spróbowałbyś złapać mnie w potrzask, tak jak kiedyś madame de Brinvilliers. Wtedy

nie zawahałeś się zostać jej kochankiem, byle tylko posłać tę damę na szafot.

– Ehm... Nie, nie teraz. Wystarczy mi adres tego aptekarza. Życzysz sobie, pani, zapłaty? – Aha, a jednak popadł w rozterkę. I chciałby przepowiedni, i boi się ją usłyszeć. Dobrze byłoby udowodnić, że jestem oszustką, ale... a nuż moje słowa okażą się prawdą? Co wtedy?

– Pobieram opłatę jedynie za przepowiednię – wyjaśniłam. Próbując ukryć wyraźne zainteresowanie przesyłką, niedbałym krokiem podszedł do kominka i dotknął palcem kasetki, jakby miał ją zamiar otworzyć. – Na miłość boską, proszę tego nie dotykać! – Mój przestach sprawił, że cofnął rękę, musiał jednak dojść do wniosku, że znalazł wreszcie punkt zaczepienia, bo znów zaczął mnie indagować.

– Madame, wszak to niezwykle wytworny prezent. Wybacz moją ciekawość, ale ów klejnot w kasetce musi być zapewne czymś niewiarygodnie cennym?

– Zaiste, kapitanie! Jak większość darów, którymi raczą nas jaśnie wielmożni! – Osobliwa nuta w moim głosie kazała mu spojrzeć na mnie baczniej. Odniosłam wrażenie, że musiał w tym momencie zważyć w słuszność jakiejś teorii, którą ukuł sobie na mój temat. – Dobrze, kapitanie – powiedziałam – wygódźmy więc obopólnej ciekawości. Zaraz się przekonamy, jaki to klejnot ofiarowuje mi de Brissac. – Wyjęłam z szuflady stolika rękawiczki i jedną z moich pałeczek do mieszania wody, tę stalową. Nałożywszy rękawiczki, ostrożnie zdjęłam kłopotliwy prezent z obramowania kominka, odwracając go przy tym zameczkiem od siebie, ustawiłam kasetkę na skraju paleniska i końcem pałeczki zaczęłam podważać zapadkę.

– Dziwne to doprawdy środki ostrożności, zważywszy w dodatku na osobę ofiarodawcy... Powiedziała pani, że to de Brissac?

– A widzi pan ten stalowy punkcik tu, pod zapadką? Proszę się odsunąć – powiedziałam, podnosząc pałeczką wieko. Dało się słyszeć ciche „klak”, a zaraz potem dźwięczny odgłos stali uderzającej o kamień: spod zameczka śmignęła strzałka, cienka i ostra jak igła. – Nie, proszę tego nie dotykać gołą ręką – powstrzymałam Desgreza, gdy spróbował sięgnąć po kasetkę. – Nie wiadomo, czy nie jest zatruta, tak samo jak i ten grocik. – Naciągnąwszy parę skórzanych rękawic, wyjął z kominka strzałkę i zaczął badać kasetkę.

– Pomysłowa sztuczka – stwierdził. – Działa na zasadzie kuszy, tyle że w odpowiednio zmniejszonej skali. Proszę mi powiedzieć, markizo, czy otrzymywała już pani podobne prezenty? Skąd pani wiedziała, że... ?

– O, znając ofiarodawcę, byłam pewna, że musi to być albo zdradziecki mechanizm, albo żywa

zmija. Cieszę się, że to nie zmija, bo nienawidzę gadów.

– Czy pozwoliłaby mi pani zabrać to pudełeczko? – spytał niedbałym tonem.

– Nie strzela ono przecież na taką odległość, by mogło przydać się panu na froncie, kapitanie Landart.

– Madame de Morville, skończmy tę komedię. Zna mnie pani równie dobrze, jak ja panią. W imieniu policji proszę oddać mi tę kasetkę. Proszę również, byś powiedziała mi, pani, jaki łączył cię związek z nieżyjącą kochanką diuka de Vivonne, którą odwiedziłaś tuż przed jej śmiercią.

– Cóż... zgoda – westchnęłam, opadając na fotel. Udawałam pokonaną, w rzeczywistości jednak umysł mój pracował z szybkością godną rasowego konia w galopie.

Przede wszystkim trzeba zyskać na czasie, ułożyć jakąś strategię...

– Mustafu – powiedziałam głośno – poszukaj czegoś do zapakowania kasetki. Nie chcę, żeby kapitan miał do mnie pretensje, gdyby na rękach wyskoczyło mu jakieś paskudztwo. Pytał pan o mademoiselle Pasquier – zwróciłam się do Desgreza. – Była ... moją dobrą klientką i... przyjaciółką. Widzi pan, nam, wróżbitkom, powierza się wiele tajemnic... tak więc znałam jej kłopoty. Odradzałam też jak najgoręcej wizytę u Longuevala, jednak jego książęca mość diuk de Vivonne mocno na to nalegał, uznawszy brzemienność mademoiselle Pasquier za... rzecz wielce dla siebie niewygodną, a ona... ona go posłuchała. Gdy nie miałam od niej wiadomości, poszłam do Chatelet, a później zaczęłam szukać po szpitalach... – na myśl o Marie-Angelique łzy napłynęły mi do oczu; w żaden sposób nie mogłam ich powstrzymać.

– Dlaczego jednak poszła tam pani w przebraniu? – zadał to pytanie tak miękko, że natychmiast wyczułam podstęp. On chce cię uśpić, ostro upomniał mnie rozum. Jeszcze chwila i powiesz za dużo.

– Cóż, to bardzo proste, kapitanie Desgrez. Bałam się, że mogę zostać posądzona o spędzenie płodu. W takich sprawach zawsze podejrzenie pada przede wszystkim na kobietę, a już zwłaszcza taką jak ja samotną wdowę – westchnęłam melodramatycznie. Nie udało mi się go przekonać, widziałam to po jego minie, brnęłam więc dalej:

– Niech mnie pan poobserwuje przez tydzień, czego się zresztą spodziewam, a sam pan zobaczy, kim są moje klientki. To osoby o takiej pozycji i tak zamożne, że doprawdy nie mam najmniejszej potrzeby wdawać się w jakiegokolwiek ciemne interesy. Musi pan wiedzieć, że bardzo wysoko cenię sobie własną reputację i że dokładałam wszelkich starań, aby jej nie stracić.

– Proszę bardzo, ty policyjny wężycielu, zacznij mnie śledzić, pomyślałam. Trafisz za mną ni mniej, ni więcej, tylko do Saint-Germain. Ja będę zabawiać króla, a ciebie nie wpuszczą nawet do antykamery, choćbyś się wystroił jak diabeł na roraty. Będziesz zmykał z podwiniętym ogonem, mój panie. Przekonasz się wkrótce, jak zły wybrałeś sobie obiekt. „Przyjmuję wyzwanie” – brzmiała odpowiedź; wyczytałam ją w jego oczach.

Wstał, jakby postanowił już odejść, ale nie, znowu przystanął, mierząc mnie całą wzrokiem.

– Mam jeszcze jedno pytanie, madame de Morville: ile lat dokładnie pani sobie liczy? – Dokonałam błyskawicznej kalkulacji: jeśli uprę się przy swoim kłamstwie, nie uwierzy w nic z tego, co powiedziałam. Trzeba wyznaczyć mu prawdę, aczkolwiek wiąże się z tym nowe ryzyko.

– Dziewiętnaście, kapitanie.

– Niebezpieczna z pani osóbką, markizo. Udało się pani oszukać połowę Paryża. – Powiedział to nie nazbyt przyjaznym tonem.

– Proszę tego nie rozgłaszać, błagam. Moja popularność opiera się w znacznej mierze na tym, że wywodzę się z innej epoki.

– Policja nie ma zwyczaju wywieszać na rogach ulic danych ze swoich rejestrów. Możesz więc, pani, nadal zwodzić łatwowiernych.

Szczęście, że wróżbiarstwo nie jest zakazane, rozmyślałam posępnie, patrząc, jak zmierza do wyjścia. O, gdyby miał się do czego przyczepić, zamknąłby mnie z dziką satysfakcją. Źle, że rozbudziłam w nim ciekawość, doszłam do wniosku wbrew poprzednim buńczucznym myślom. Nie potwierdziłam teorii, do której zdążył się już przyzwyczaić. A że jest diabeł nieustępliwy, zacznie teraz węszyć, szperać po kartotekach, słowem, zrobi wszystko, żeby wysmażyć następną. Nie zajmuję się spędzaniem płodu? Spróbuje przypiąć mi inne przestępstwo. Może pomagam fabrykantkom aniołków, trucicielkom albo zagranicznym szpiegom? Wystarczy, że znam tego rodzaju sprawy i ukrywam je przed policją. Takie oskarżenie byłoby dla mnie równie fatalne w skutkach. Co za szkoda, że czara uparcie nie chce mi ukazać obrazu mojej własnej przyszłości. Jak bardzo by się to teraz przydało!

Rzeczywistość najczęściej nie spełnia naszych oczekiwań, szczególnie gdy wiążemy z czymś wielkie nadzieje; najlepszą tego ilustracją był mój występ przed królem. Natychmiast zresztą wyczułam, że zanosi się na kłopoty, od chwili gdy tylko wprowadzono mnie do imponująco wielkiego salonu obwieszanego mnóstwem pociemniałych starych gobelinów i jarzących się kandelabrow. W przeciwległym końcu tej ogromnej sali stał król w towarzystwie Viscontiego,

którego nazywał swoim „panem Primim”. Najjaśniejszy pan śmiał się z czegoś głośno. Grono kilkunastu najbliższych stojących dworaków śmiało się również, starając się jak najudatniej naśladować wesołość monarchy. Damy wtórowały im dyskretnym chichotem zza rozpostartych wachlarzy. Powodem tej ogólnej uciechy był ustawiony pośrodku salonu obiekt, w którym na pierwszy rzut oka rozpoznałam magiczny klawesyn niejakiego mistrza Petit prezentowany swego czasu na jarmarku w Saint-Germain. Wywołał tam zresztą nie lada sensację: bez jakiegokolwiek widocznej interwencji, a tylko na rozkaz mistrza zaczynał wygrywać melodie. Mistrz jeździł z nim po jarmarkach całego królestwa, co przynosiło mu wcale nie najgorszy profit; mimo wielokrotnych prezentacji nikt nie miał pojęcia, jak to cudo działa. Tak było aż do tej chwili. Teraz zaczerwieniony maestro bojaźliwie kłaniał się królowi. To samo czynił stojący u jego boku malutki chłopczyk, który chwilę temu wypełził spośród trzewi instrumentu. Monarcha tymczasem podszedł do klawesynu, by osobiście zbadać system wewnętrznych dźwigni, z których pomocą przedwcześnie rozwinięty syn maestra wprawiał w ruch urządzenia do szarpania strun. Dworzanie za przykładem władcy zaczęli jeden przez drugiego przepychać się do instrumentu. „Dowcipniś! Cóż za bezwstydnik! Ależ tupet!” – padały uwagi pod adresem nieszczęsnego mistrza. Widać już było, co to będzie za wieczór: zabawa kosztem szarlatanów, gdy ich sztuczki zostaną zdemaskowane. Ani chybi pomysł Viscontiego – znać było w tym jego rękę. Od dawna podejrzewałam, że widzi we mnie rywalkę; no, ma teraz okazję wysadzić mnie z siodła równie skutecznie jak przed chwilą tego biednego maestra, a wszystko pod pretekstem niewinnej zabawy.

Nie było czasu myśleć, bo oto nadszedł moment mojej prezentacji. Wykonałam głęboki dyg, a kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam, że Król Słońce dokładnie lustruje całą moją powierzchowność. On sam ubrany był w przepyszny kubrak z błękitnego aksamitu haftowany złotem i diamentami, granatowy kapelusz ze złotym brzegiem zdobny w czerwone pióra, piaskowego koloru aksamitne pludry, czerwone jedwabne pończochy i zdobne wielkimi kokardami pantofle na wysokich czerwonych obcasach. Istne kaskady koronek spływały mu spod szyi i mankietów.

– Mówił nam Primi, że liczysz sobie ponad sto lat, madame de Morville. Oddałabyś nie lada przysługę naszemu królestwu, poprawiając urodę jego niewiast. Mogłabyś podzielić się swoim sekretem z owymi nieszczęsnymi damami, które niestety nie mogą się z tobą równać, choć osiągnęły zaledwie trzecią część twego wieku.

– Najjaśniejszy panie, czuję się zaszczycona tą jakże łaskawą oceną mojej kondycji, z żalem wszelako muszę wyznać, że owa formuła alchemiczna, która tak znacznie przedłużyła mi życie

i młodość, zginęła, niestety, bezpowrotnie.

– Wielka szkoda. Słyszeliśmy jednak od pana de Nevers i milorda Buckingham, że posiadasz też sekret powtórnego dziewictwa. Sam ów fenomen gwarantuje ci miejsce wśród największych cudów tego świata.

Poczułam, że się rumienię. Oj, źle się zaczęło.

– W twym królestwie, najjaśniejszy panie, tak wysoko ceni się cnoty rodzinne, że dar, o którym mowa, jest tu mało przydatny – oświadczyłam, śledząc królewskie oblicze, by sprawdzić, jak przyjmie to jawne pochlebstwo. Gdy odbił się tam wyraz śmiertelnej nudy, dodałam szybko: – Choć może gdzieś za granicą zbiłabym na nim fortunę. – Teraz dopiero w królewskich oczach dostrzegłam przeblysk złośliwej uciechy.

– Jak myślisz, Primi, gdzie ów sekret mógłby przynieść największe zyski? W Mediolanie?

– Raczej w Rzymie, wasza królewska mość – powiedział z miłym uśmiechem Visconti; tkwił murem przy boku króla.

Grono słuchaczy w pierwszej chwili skwitowało milczeniem to jawne zuchwalstwo, gdy jednak sam król parsknął zduszonym śmiechem, natychmiast ze wszystkich ust wydobyły się podobne dźwięki. Widząc tę nagłą zmianę nastroju, władca roześmiał się głośno, tym razem ze swoich dworzan, po czym z wyraźnym zainteresowaniem jął obserwować przeciągającą wzdłuż sali falę śmiechu, która zataczając coraz szersze kręgi, dotarła w końcu nawet tych, co w żaden sposób nie byli w stanie usłyszeć jego rozmowy z Primim. Ach, najjaśniejszy pan raczy być rozbawiony. Wszystko w porządku.

– Madame de Morville, czy to prawda, co powiada Primi, że potrafisz przepowiedzieć kolejność kart w talii i temu podobne cuda?

- Tak, wasza królewska wysokość. Dlatego nigdy nie gram w karty, chociaż przyznaję, że bardzo mi przykro rezygnować z owej rozrywki.

- Słyszycie? Kobieta, która nie gra w karty! Gdybyś, madame, zechciała powtórnie wyjść za mąż, twój małżonek uznałby cię za klejnot. Cóż za oszczędność na wydatkach! Jak myślisz, Primi, może zapoczątkujemy taką modę wśród naszych dam?

– O, wasza królewska mość, niektórzy powiedzialiby na to, że karty to najmniej szkodliwa ze wszystkich niewieścich rozrywek - odrzekł z przekornym uśmieszkiem Primi.

Pośród ogólnej wesołości zasiadłam przed swoją czarą i trafnie przepowiedziałam kolejność

kart w talii: sztukę tę doprowadziłam do perfekcji w ciągu kilku lat mojej salonowej praktyki. Jeden z panów potasował karty, drugiemu poleciłam je rozdać, król zaś osobiście sprawdzał, czy wszystko się zgadza. Nagrodzono mnie wielkim aplauzem: zdumione towarzystwo orzekło, iż przewyższam najlepszych magików z jarmarku w Saint-Germain, rzecz tym bardziej godna podziwu, że jestem wszak tylko kobietą.

– Primi zabawia nas często odgadywaniem czyjejs tożsamości na podstawie charakteru pisma – powiedział jego królewska mość. – Proponuję więc turniej grafologiczny między naszym mistrzem i jego damską rywalką – rzucił drwiąco w stronę Viscontiego, który na te słowa poczerwieniał.

– Wygra bez wątpienia monsieur Primi – odparłam – nie znam się bowiem na grafologii. Niech mi wolno będzie zaproponować na dziś partnerstwo, w którym połączymy nasze umiejętności. Zdarza mi się czasem zobaczyć w naczyniu wizerunek autora listu, jeśli nawet jest on zapieczętowany, a pismo niewidoczne. Spróbuję wziąć do ręki taki zapieczętowany list i opisać wygląd autora, monsieur Primi może go potem otworzyć i dokonać analizy charakteru osoby, która list ów napisała.

– Wybornie, może to być wielce zajmujące! – rozległ się szmer wśród dworaków. Król także wydawał się zaciekawiony; zaraz też poprosił któregoś z przybocznych o przyniesienie z gabinetu kilku listów.

Po chwili osobiście wręczył mi pierwsze pismo, które uprzednio obejrzał i z uśmiechem starannie złożył.

Było to zadanie trudniejsze niż zabawa z kartami. Jedną ręką przyłożyłam list do czary, drugą zaczęłam zataczać faliste kręgi wokół jej podstawy. Wzięłam na uspokojenie głęboki oddech i zatopiłam wzrok w wodzie. Ogarnęło mnie znane uczucie przedziwnego rozluźnienia, które zawsze poprzedza pojawienie się wizji. Zobaczyłam drobnego, zwinnego mężczyznę z mocno upudrowaną twarzą. Nosił wspaniale ufryzowaną perukę i pantofle na zdumiewająco wysokich czerwonych obcasach, zajęty zaś był wyborem kobiecej sukni balowej: damski krawiec usłużnie pokazywał mu serię rysunków przedstawiających różne toalety. Był to Monsieur, brat króla Ludwika.

– Miłościwy panie, autorem tego listu jest jaśnie oświecony książę Orleanu. – Przez salę przebiegł pomruk trwożnego podziwu. Visconti, otworzywszy list, zrobił niezadowoloną minę.

– Nie ma tu wątpiwości co do źródła, jako że na liście widnieje podpis, moja analiza byłaby więc zbyteczna. Pozwól mi, najjaśniejszy panie, zająć się jakimś innym. – Król z nieco

dziwnym uśmiechem podał mu następny list, zagiąwszy dolną część w taki sposób, by nie widać było sygnatury. Visconti zmrużył oczy i jął badać pismo: oglądał je z różnych stron, pod takim, to znów innym kątem. Umiał grać na efekt, trzeba mu to przyznać. – Człowiek, który to pisał, jest stary i próżny – stwierdził wreszcie. – Uważa siebie za kogoś znacznie większego, niżli jest w istocie.

– Spójrz na sygnaturę, Primi! – przynaglił go król. Rozległo się chóralne westchnienie, po czym wszyscy zamarli ze zgrozy: list podpisany był imieniem króla.

– Zobaczmy, co powie madame de Morville – zaproponował władca. O, cóż za przewrotność! Umyślnie zaaranżował tę ryzykowną sytuację, pozwolił Viscontiemu dopuścić się zbrodni obrazy majestatu w obecności świadków. Ale Primi jest jego ulubionym błaznem, jest też mężczyzną, więc pewnie otrzyma przebaczenie, a cała sprawa uznana zostanie za żart. Ze mną tak dobrze nie będzie. Cóż jednak mogłam zrobić? Ułożyłam papier na czarze i czekałam na obraz.. Wypląnął po krótkiej chwili.

– Autorem listu jest starszy pan w surowym czarnym stroju. Nie nosi wąsów. Ma obfitą acz niemodną perukę i sztuczne zęby... źle dopasowane...

– Sekretarz królewski! – wykrzyknął któryś z dworzan.

– To on! Jak żywy! – poparł go ktoś z tłumu. – Tak, pyszni się przecież, że do złudzenia umie naśladować pismo najjaśniejszego pana!

Zerknęłam na Viscontiego: ulżyło mu w widoczny sposób. Król za to wlepił we mnie swoje ciemne oczy. Z jego nieruchomego oblicza biła podejrzliwość pomieszana chyba z pewną obawą. Milczał. Niedobrze!

Nietrudno było wydedukować, o czym myśli: że albo to wszystko, co jawnie nazywa przesądem, jest prawdą, zatem każdy jego sekret można przeniknąć za pomocą magii, albo że ja, osoba spoza dworskiego kręgu, mam tu swoją sieć konfidentów. Doprawdy nie wiadomo, co gorsze.

– I jak, monsieur Primi, pobiłam pana?

– Bynajmniej – odparł indagowany z cokolwiek przesadnym prychnięciem.

– Ach, lecz wybawiła cię od oskarżenia o zbrodnię obrazy majestatu, czyż nie? – wtrącił się król rozbawiony zakłopotaniem swego nadwornego błazna. Pomyślałam z ulgą, że odwróciło to jego uwagę od owych nagłych podejrzeń. – Powiedz nam, madame de Morville – zwrócił się z kolei do mnie – czy zdarza ci się wygłaszać... również poważniejsze... proroctwa?

– Czasami, choć zawsze przy tym ostrzegam zainteresowanych, że trzeba je traktować z dużą ostrożnością. Ja sama nie wierzę, aby ta przyszłość, którą oglądam, była czymś nieodwracalnym. Myślę raczej, że to, co widzę, wcale nie musi, lecz tylko może się zdarzyć, jeśli pozostawimy sprawy ich biegowi. Co więcej, im dalsza przyszłość, tym mniejsza pewność spełnienia.

– A więc karty można przewidzieć najtrafniej, jako że mamy tu do czynienia z najbliższą przyszłością?

– Tak jest, miłościwy panie.

Wyjął z kieszeni kolejny list i położył przede mną na stole.

– Powiedz mi, co czeka autora tego listu.

– Wasza królewska wysokość, mogę opisać jedynie obraz, który mi się ukaze. Nie potrafię przepowiedzieć całej przyszłości tej osoby, bo nawet przede mną jest ona ukryta.

– Dalej – powiedział jego królewska mość, popierając ten rozkaz niecierpliwym gestem upierścienionej dłoni.

W naczyniu po krótkiej chwili uformował się nadspodziewanie klarowny obraz.

– List napisał niski mężczyzna o tak okrągłych plecach, że można by go wziąć za garbusa. Perukę ma źle dopasowaną, a jego ubranie, choć wydaje się bardzo kosztowne, jest prowincjonalnego kroju. Ma orli nos, wyjątkowo duży, i bardzo małe, mocno zaciśnięte usta. Podbródek również niezbyt okazały. – Opis ten wywołał uśmiech króla, inni także musieli rozpoznać, o kogo chodzi, gdyż na ich wargach wykwitły podobne uśmiechy. – Widzę tego mężczyznę w prywatnej kaplicy – mówiłam dalej. – Zdaje się... tak... to moment jego zaślubin.

– Z kim? – zapytał szeptem Król Słońce.

– Nie wiem, nie znam tej damy. Widać, że to osoba bardzo bogata i bardzo młoda. Ma śliczną twarz... włosy ciemne... jest niezwykle wysokiego wzrostu. Przyszły mąż sięga jej zaledwie do ramienia. O, ale góruje też znacznie nad damami dworu, a nawet obecnymi w kaplicy paniami.

Król niespodziewanie wpadł w furję:

– Ty zaś, madame, zuchwałością przewyższasz nawet mego pana Primi!

– Najpokorniej przepraszam, jeśli obraziłam czymś twój majestat, miłościwy panie, lecz przysięgam, że nie mam pojęcia, kim są te osoby, które opisałam.

– Nie masz pojęcia? – król przygwoździł mnie twardym spojrzeniem; bez wątpienia przywykł

w ten właśnie sposób zmuszać ludzi do mówienia prawdy.

– Najmniejszego – powtórzyłam zgodnie z najgłębszym przekonaniem.

– A zatem, madame de Morville, zmuszeni jesteśmy pomówić z tobą na osobności. Nie, zostaniesz tutaj, Primi, będziemy rozmawiać z tą damą w cztery oczy! – Gestem nakazał mi iść za sobą aż za ogromny parawan osłaniający salon od przeciągów; musiały tu mocno dawać się we znaki za każdym otwarciem dwuskrzydłowych drzwi. – Mój sekretarz utrzymuje, że ród Morville'ów wygasł, a ostatni markiz de Morville zmarł przed dwustu laty. – Aha, próba prawdomówności.

– To prawda, najjaśniejszy panie.

– Cóż więc z twoim rodowodem? Czyżby nie był autentyczny?

– Sporządził go wielki znawca genealogii, monsieur Bouchet. Jest tak samo prawdziwy jak rodowody wielu innych osób na tym dworze, miłościwy panie.

– Nie pytałem cię o to, madame! A teraz powiesz mi całą prawdę. Za uczciwą odpowiedź na moje pytania wyznaczę ci pensję w wysokości dwóch tysięcy liwrów rocznie, jeśli jednak spróbujesz mnie ołgać, każę spalić cię żywcem na placu de Greve. – Popatrzyłam na niego wyczekująco. Dwa tysiące liwrów to kwota nie do pogardzenia, ale ja nieraz w ciągu miesiąca miewałam więcej czystego zysku. Przyjęcie tej szczodroblivej oferty byłoby dla mnie nie tyle szczęśliwą odmianą losu, co raczej nader bolesnym wyrzeczeniem, jednak... druga ewentualność była na pewno gorsza. – Ile naprawdę masz lat? – padło pierwsze pytanie.

– Dziewiętnaście, wasza królewska wysokość. – Na twarzy króla odbiła się głęboka ulga.

– A twe prawdziwe nazwisko i pochodzenie?

– Nazywam się Genevieve Pasquier i urodziłam się tu, w Paryżu. Moim ojcem był finansista Matthieu Pasquier, który w roku 1661 utracił cały swój majątek. Umierając nie pozostawił mi posagu, tak więc od jego śmierci utrzymuję się sama, zawdzięczając to własnym zdolnościom.

– Czy króla zwężyły się od nagłej niechęci. Nie uznawał ludzi z nizin. – Od strony matki spokrewnione jesteśmy z rodem Matignonów – uzupełniłam. Usłyszawszy to zmienił wyraz twarzy: był teraz szczerze zaniepokojony.

– Czemuż więc twoja matka nie wystąpi z petycją o pensję? Czyżby nie pragnęła ustrzec córki przed utratą czci?

– Nie żyje, najjaśniejszy panie. – Król zadumał się nad czymś głęboko. – Kto jest twoim

informatorem? – zapytał po chwili. – Kto przekazuje ci treść moich listów i donosi o sprawach państwa?

– Nikt, wasza wysokość. W trakcie mych przepowiedni poznaję wiele kobiecych sekretów, lecz dotyczą one miłości, a nie spraw państwa.

Zaczął krążyć dookoła wielkimi krokami, mrużąc:

– Tak, to musi być to... Nadal twierdzisz, że nie masz pojęcia, kto napisał ten list?

– Nawet się nie domyślam, najjaśniejszy panie.

– Patrz więc. – Wyjął list i na krótki moment podsunął mi go przed oczy, tak bym zobaczyła podpis. Była to sygnatura protestanckiego namiestnika Holandii, księcia Wilhelma Orańskiego, jednego z najzagorzalszych wrogów króla Francji.

Niewiele zdołałam przeczytać, tyle jednak, aby się zorientować, że książe Orański odrzucił złożoną mu propozycję poślubienia córki naszego króla z jego związku z madame de Montespan. Zdanie, które wpadło mi w oko, brzmiało: „Książęta Orańscy mają zwyczaj pojmować za małżonki prawowite córki wielkich władców, nie zaś ich potomstwo z nieprawego łoża.” O, święci Pańscy!

– Dama, którą opisałaś, to nie kto inny, tylko księżniczka Maria Angielska, znana zarówno z urody, jak i wysokiego wzrostu. – Matko Boska, coraz gorzej! Fama niosła, że król stara się o rękę tej księżniczki dla delfina, chcąc wciągnąć Anglię w orbitę francuskich wpływów i nawrócić ją na katolicyzm. Nie mogłam już doprawdy wygłosić bardziej niebezpiecznego, bardziej drażliwego proroctwa. Król Słońce z uwagą śledził widoczną na mojej twarzy grę uczuć. – Ach, zaczynasz więc rozumieć. Są dwie możliwości. Jedna, że jesteś najzuchwalszą z kobiet w tym królestwie, druga, że trafnie przepowiedziałaś, co nastąpi, i nasz największy wróg zostanie pewnego dnia królem Anglii. – I w jednym, i w drugim wypadku nie czeka mnie nic dobrego, przemknęło mi przez myśl. – I w jednym, i w drugim wypadku – kontynuował monarcha – zasługujesz na dożywotnie więzienie. Wcześniej jednak przyrzekliśmy ci pensję. Mów teraz, ale uczciwie, czyś oszukała nas twierdząc, że widzisz to wszystko w naczyniu?

– Miłościwy panie, większość tych, którzy wróżą z wody, to rzeczywiście oszuści. Nietrudno postawić w salonie współnika, który za pomocą umówionych znaków przekazuje wróżbicie informacje o osobie trzymającej rękę na czarze. Ze mną jest jednak inaczej. Ja naprawdę widzę obrazy, widzę, jak wypływają spod powierzchni wody. To trochę tak, jakby przyśnił mi się króciutki sen bez początku i końca. Tłumaczę te fragmenty najlepiej jak umiem. Czasami

patrząc w chmury widzimy w nich różne sceny i opisujemy je po swojemu, mówiąc to, co podsuwa nam wyobraźnia. Ja postępuję podobnie. I jeszcze jedno muszę tu dodać: w moim wypadku na pojawienie się wizji wpływa opium. – Król skinął głową, jakby ta ostatnia informacja wyjaśniła wszystko. – Najczęściej owe obrazy nie mają żadnego znaczenia, przynajmniej dla mnie, wtedy dorabiam interpretację, tak aby klienci byli zadowoleni.

– Czy tak właśnie było z tym listem?

– Nie, mój panie i królu! Naprawdę widziałam tę scenę: mężczyznę, jego oblubienicę, kapłana i świadków.

– Otrzymasz więc swoją pensję, mademoiselle Pasquier. Masz naszą obietnicę, a obietnica królewska rzecz święta. Lecz jeśli kiedykolwiek dowiem się, że znów wygłosiłaś jakieś polityczne prorocstwo, patrząc w tę swoją czarę, zamknę cię dożywotnio w Pignerol. Incommunicado. Uznaj to również za naszą królewską obietnicę.

Audiencja dobiegła końca. W chwili gdy eskortowana przez lokajów wychodziłam już z westybulu, zatrzymał mnie nagle Primi.

– Zejdź mi z drogi, panie Visconti! – warknęłam. – To ty uszyłeś mi buty!

– Ha, już wiem... Targował się z tobą za tym parawanem, co? – Spróbowałam go odepchnąć, ale się wywinął i znów zastąpił mi drogę.

– Odejdź, nie wiem, o czym mówisz!

– Mówię, że mnie zaofiarował osiem tysięcy, a wiesz za co? Za to, że mu wyjawię, jakim sposobem dokonuję analiz charakteru pisma.

– Zaproponował ci osiem tysięcy liwrów? A mnie tylko dwa! – Byłam naprawdę oburzona.

– To dlatego, że jesteś kobietą, droga markizo.

– Ciesz się, ty italski niegodziwcze! Gracko wysadziłeś mnie z interesu!

– O, nieładnie, źle mnie osądzasz. To król osobiście wysadził cię z siodła. Nie każdemu trafia się taki honor, powinnaś więc czuć się zaszczycona.

– Nie chcę cię więcej widzieć, Primi! – Udało mi się przemknąć obok niego do czekającego w zewnętrznym korytarzu krzesła. Ładny mi zaszczyt!, wściekałam się w duchu, gdy dwaj tragarze nieśli mnie do powozu. Wchodząc na stopnie, czułam na twarzy gwałtowne podmuchy jesiennego wiatru. W zajeździe, gdzie zamówiłam sobie nocleg, długo nie mogłam zasnąć. Ach, ten król! Najpierw zrujnował Fouqueta i mojego ojca, a teraz mnie pozbawia środków

utrzymania! Po raz drugi, Ludwiku XIV, doprowadzasz mnie do ruiny! Zapisalam sobie zlotą myśl, która przyszła mi wtedy do głowy: „Hojności królów trzeba strzec się tak samo, jak ich nienawiści.”

Gdy blada z niewyspania, jakbym miała na twarzy podwójną warstwę bielidła, wróciłam wreszcie na rue Charlot, czekała na mnie jeszcze gorsza niespodzianka: na frontowych drzwiach domu widniały pieczęcie. Policja! Kiedy stanęłam jak wryta, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, z sąsiedniej bramy wyłonił się kapitan Desgrez w towarzystwie trzech rosłych sierżantów.

– Madame de Morville, zechce pani udać się z nami. – I zanim zdążyłam o czymkolwiek pomyśleć, znalazłam się wraz z całym moim podróżnym bagażem w powozie zmierzającym w stronę Chatelet.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Desgrez obserwował mnie w milczeniu. Siedząc tyłem do kierunku jazdy, wciśnięta między dwóch sierżantów, nie widziałam mijanych zabudowań, wyczułam jednakże bliskość Chatelet po zapachu: rzeźnie. Sterty cuchnących odpadków, ekskrementy, płynące zaułkami potoki krwi, całe to'ponure otoczenie czyniło paryskie rzeźnie zbyt uciążliwym sąsiedztwem dla wszystkich z wyjątkiem więźniów – oni nie mieli wyboru. Zaczęłam rozważać ewentualne powody aresztowania. Prawdę rzekłszy, mogło ich być wiele. Pominąwszy już własne czyny, byłam świadkiem niejednego występku, znałam ich też bez liku. Sama moja wiedza o podziemnej społeczności Paryża wystarczyłaby na dożywotni wyrok. A jeszcze ta rewizja! Chyba nie znaleźli mojej szkatułki ani zbioru zakazanych książek w ściennej skrytce, ale co z ostatnią „księgą rachunkową”? Tę pewnie mają – leżała w szufladzie nocnej szafki. Pisałam ją greckim szyfrem, jednak kto wie... Z całych sił natężałam umysł, próbując przypomnieć sobie, co w niej było. Czy aby dość ostrożnie formułowałam tam zapiski? Ach, i w dodatku jeszcze cała ta fatalna sprawa z królem. A jeśli zdecydował się jednak zamknąć mnie na resztę życia, aby już na pewno położyć kres moim niebezpiecznym prorocstwom? Lettre de cachet. Jeśli tak jest w istocie, nigdy nie poznam prawdziwych powodów mego zatrzymania. Postanowiłam milczeć, dopóki nie przedstawią mi oskarżenia. Wtedy może coś wymyślę.

Minął nas kryty wóz pełniący w Chatelet funkcję karawanu. Dobywał się z niego tak potworny fetor, że obsługujący go ludzie musieli przewiązać twarze chustami. Ciała nie rozpoznane, po które nikt się nie zgłosił, odsyłano siostrom szpitalniczkom ze Zgromadzenia Świętej Katarzyny; z chrześcijańskiego obowiązku oporządzały one te gnijące zwłoki do pochówku na Cmentarzu Niewiniątek. Wyobraziłam sobie Florenta, jak idzie za moją trumną – i zapiekło mnie pod powiekami. Czy dowie się kiedykolwiek, co się ze mną stało? Czułam, że cieknie mi z nosa, a ręce zaczynają drżeć. Desgrez przycisnął do twarzy chustkę. Nawet on, ten człowiek, który z kamiennym spokojem potrafił całą noc warować przy płonących zwłokach, dusił się teraz od smrodu tych nie chcianych ludzkich szczątków. Mój umysł zdawał się przygasać jak świeca na wietrze. Może chwyta mnie jakieś choróbsko?

Przypuszczałam, że wjedziemy w ciemny tunel wiodący przed wejście do więzienia, tymczasem powóz skręcił pod łukowate sklepienie głównej bramy między dwiema bliźniaczymi wieżami, zwieńczone jak na ironię figurą Przenajświętszej Panny. Tę część budynku zajmował wymiar sprawiedliwości; mieściły się tu sale sądowe, policyjne wartownie oraz pokoje przesłuchań. Wsiadłam z powozu na chwiejnych nogach. Desgrez uśmiechał się

pod nosem widząc, z jakim trudem wspinam się po schodach prowadzących w czeluście wiekowej fortecy: dwaj sierżanci musieli mnie podtrzymywać. Widzisz, zdawały się mówić jego oczy, to dopiero początek naszej wojny nerwów, a ty już przegrywasz.

Po długiej wędrówce przejmująco wilgotnym korytarzem wprowadzono mnie do antykamery, gdzie przy wysokich pulpitych siedziało kilku urzędników zajętych uzupełnianiem opasłych rejestrów. Na ścianach wisiały całe rzędy pik i muszkietów, niżej na drewnianych ławach rozpierali się umundurowani policjanci. Pomyślałam, że to sam środek policyjnego mrowiska, okazało się jednak, że ów środek ma swoje jądro, bo oto sekretne przejście zaprowadziło nas do wąskiego pomieszczenia wyłożonego grubą boazerią. Za niską drewnianą barierką zobaczyłam potężny stół, a przed nim wysoki stołek. Miejsce tajnych przesłuchań: tu indagowano osoby podejrzane o najcięższe zbrodnie.

– Czekamy – powiedział Desgrez. – Trwa jeszcze posiedzenie sądu.

Po chwili w bocznych drzwiach ukazał się sam de La Reynie w białej peruce i czerwonej sędziowskiej todze; jej białe płócienne obszycia symbolizowały urząd Głównego Komendanta Policji. Za nim szedł jakiś urzędnik.

Desgrez zdjął kapelusz, jego zwierzchnik obrzucił mnie długim spojrzeniem swych twardych, inteligentnych oczu. Wiedziałam, że osobiście kierował torturowaniem madame de Brinvilliers. Z tym człowiekiem nie ma żartów, a już na pewno nie na jego własnym terytorium.

– Widzę, kapitanie Desgrez, żeś przyprowadził tak zwaną madame de Morville. Doskonale. – Wskazał Desgrezowi jedno z pozbawionych poręczy krzesel, stojących szeregiem pod ścianami, mnie natomiast jawnie zignorował. Sterczałam więc nadal, czując narastający z każdą chwilą ból głowy. Był tak okropny, że zdawał się rozsadzać mi czaszkę, co gorsza, odbierał zdolność myślenia. Pot zaczynał mi spływać po skroniach, po chwili dołączyło się do tego lekkie drżenie rąk i nóg. Do diabła, po stokroć do diabła! To nie choroba, brak mi po prostu codziennej dawki kordiału. Zapomniałam go zażyć, i to akurat dzisiaj, gdy sytuacja wymaga szczególnej przytomności umysłu. Mój kochany zielony flakonik! Widziałam go oczyma wyobraźni na dnie skórzanej kaletki, którą w owej chwili dzierżył w swej potężnej łapie gburowaty sierżant.

– Błada jesteś, madame – zauważył de La Reynie. – Chcesz może usiąść? – O, jakże paskudnie zabrzmiało mi w uszach to jego fałszywe współczucie! Kryło się pod nim coś zgoła innego. Powiedz mu, czego ci trzeba, wielkim głosem domagał się mój organizm, zagłuszając nawet ten rozdzierający ból głowy. Milcz! krzyknął rozum. Chcesz zdać się na jego łaskę? Gwałtownie

usiadłam na stołku dla przesłuchiwanym. Moje ciało jak zwykle w takich razach zwyciężyło w tym wewnętrznym sporze.

– Panowie, proszę mi wybaczyć, lecz cierpię na zadawnioną słabość. Muszę zażyć kilka kropel mego... hm... medykamentu... na serce. Jest w mojej torbie. – Teraz już drzenie członków stało się widoczne. Tamci dwaj spojrzeli po sobie, potem na mnie, wreszcie de La Reynie dał znak sierzantom. Zaczęli po kolei wyklądać na ławkę zawartość torby: kabalistyczną serwetę, pałeczki w kształcie dziwacznych postaci oraz mą okrągłą szklaną czarę. Desgrez, rzecz jasna, nie oparł się chęci dokładnego zbadania każdego z tych przyborów. Przyszła w końcu kolej na zieloną buteleczkę i kieliszek.

– Trucizna? – rzucił pytająco w stronę swego szefa.

– Podaj mi to – polecił komendant. Otworzywszy flakonik powąchał zawartość i na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiezek. – Nie, to nie trucizna. Nasza madame jest koneserką opium. Spójrz, jak jej pilno, jak dokładnie odmierza dawkę. Tym lepiej. Bardzo nam to ułatwi zadanie – stwierdził beznamiętnym tonem, tylko jego uśmiezek stał się ironiczny. Pomyślałam ponuro, że to straszne nie móc ufać własnemu ciału. To moje zawsze mnie zdradza. Przez nie de La Reynie ma mnie teraz w garści. Jednak drzenie kończyn i ból głowy zaczęły już ustępować. Po chwili znów poczułam się sobą.

– Madame de Morville, od dłuższego czasu mamy cię pod obserwacją. Jesteś, pani, szarlatanką. Udajesz rodową arystokratkę, zbijasz fortunę na oszustwie... nie, daruj sobie protesty! Dowody mamy w kartotekach. Wszyscy Morville'owie nie żyją od dawna, twój tytuł mógłby więc być prawdziwy tylko pod jednym warunkiem: gdybyś rzeczywiście liczyła sobie ponad sto wiosen. Mnie tego nie wmówisz, nie jestem przesadną babą, bym miał wierzyć w taką niedorzeczność! Samo to twierdzenie, jakkolwiek śmiechu warte, nie jest jeszcze przestępstwem, inaczej rzecz się ma jednak z pozostałą pani działalnością.

Towarzyszący urzędnik podał mu mały zielony notatnik, ten, który zostawiłam w nocnej szafce. La Reynie z miłym wyrazem twarzy jął niedbale przerzucać kartki. Ach, miał przy tym pełną świadomość tego, co dzieje się teraz ze mną. Wiedział, jak rozpaczliwie usiłuję odtworzyć w pamięci dokładną treść swoich zapisków. Nazwiska, ale czyje? Daty, wysokość opłat... ile? Obliczenia płaconych La Voisin procentów...

– Francuskie słowa pisane alfabetem greckim... Nic trudnego dla człowieka z wykształceniem, choć na pewno wielce tajemnicze dla ludzi, wśród których zwykłaś się obracać. Czemuż to szyfrujesz swoje notatki, madame?

- Aby uchronić klientów od ewentualnych plotek, a moje osobiste... hm... uwagi od...

- Rozumiem, że chodzi o te, które można by interpretować jako heretyckie, nieprawdaż? – wygładził stronę i odczytał głośno: – „Jeśli immanentnymi cechami Boga są wszechmoc i dobroć, dlaczego stworzył świat pełen zła? Widać z tego, że albo nie odznacza się wszechmocą, albo nie jest dobry. A skoro tak, to nie może być Bogiem, ponieważ brak tych atrybutów przeczy samej definicji boskości. A jeśli jest twórcą zła, czym różni się od szatana? Zatem dowód logiczny na istnienie Boga trzeba by zacząć od precyzyjnego zdefiniowania samej istoty zła.” Wystarczy?

– To moje osobiste przemyślenia. Nie były przeznaczone do publikacji.

– Ach, są jednak pisemnym świadectwem skrajnie bezbożnego umysłu. Znane są pani kary za wolnomyślicielstwo? Mógłbym cię posłać na szafot. No pięknie. Mam mówić dalej o innych sprawach? Może o morderstwie? – urwał, patrząc mi w oczy. Uświadomiłam sobie w owej chwili, jak czuje się ptaszek spętany wzrokiem jadowitej żmii. Chce wyrzeć ze mnie wyznanie o wuju lub o pośrednictwie w spędzaniu płodu. I jedno, i drugie wystarczyłoby na wyrok śmierci, gdyby nawet nie udało mu się dowieść mi zarzutu wolnomyślicielstwa. Wie wszystko. Niech wie! Niczego mu nie ułatwię. Samym strachem nie skłoni mnie do wyznań. Będzie musiał dobrze się natrudzić, nim cokolwiek ze mnie wyciśnie.

– Dlaczego bawi się pan ze mną w taki sposób? – zapytałam. – Pan chce czegoś ode mnie. Cóż to takiego?

– Ach, zręcznie, zręcznie, madame de Morville! Twoja sława wielkiej prorokini musi się opierać na pewnej dozie przyrodzonej inteligencji. Znać też po tobie niejaki wykształcenie, aczkolwiek w twojej łacinie znalazłem dość liczne błędy. Masz rację, chcę czegoś od ciebie. Chcę uświadomić ci również, że twoje życie znajduje się w moim ręku, lepiej więc zrobisz dostarczając mi żądanych informacji.

– Jakie to informacje?

– Moim zadaniem jest utrzymywanie spokoju w tym wielce niespokojnym mieście, pełnym spisków, knowań i krwawych zamachów. Co dnia mam z tym do czynienia. Dlatego potrzebuję informacji o działaniach różnych podejrzanych osób – zawiesił głos i odchylił się w krzesło, by móc lepiej obserwować me reakcje. – Mam licznych informatorów wśród miejscowych spowiedników, lecz oni najczęściej powiadają mnie o czymś już po fakcie. Zbrodnia została popełniona, a przestępca dopiero po pewnym czasie spieszy do konfesjonału, by ulżyć swemu sumieniu. Ale wróżbita – pochylił się ku mnie nad stołem – wróżbita dowiaduje się o

najskrytszych pragnieniach, zanim zamienią się one w czyny. Wyrocznia z arystokratyczną klientelą jest tą właśnie osobą, której potrzebuję: może ona bez trudu wykryć każdą konspirację na długo przed wszczęciem jakiegokolwiek akcji.

Umilkł na chwilę, zajęty wertowaniem notatnika; znalazłszy to, czego szukał, przeczytał głośno odpowiedni fragment, nieznacznie tylko wahając się tu i ówdzie przy odcyfrowywaniu greckich liter:

– „Madame de Roure pragnie powrotu kochanka, 13 kwietnia roku bieżącego, v., przepowiednia 100 franków. Madame Dufontet chce, aby księżę de Luxembourg przyznał jakiś urząd jej mężowi, n. v. ona wszelako przysięga, że zdobędzie dlań tę pozycję. Hrabina de Soissons pragnie kochanka najwyższej rangi”, domyślam się, że chodzi o króla, czy tak? Sam ten zapis, gdyby stał się znany w pewnych kręgach, zapewniłby pani dożywotni pobyt w Bastylji. Mam czytać dalej?

Milczałam.

– Znasz, pani, nie tylko sekretne zamiary tego miasta – mówił dalej de La Reynie – lecz poprzez swoje przepowiednie możesz wpływać na ludzkie działania. v. oznacza „widziałam”, czy tak? n. v. zaś „nie widziałam”. Non video lub ne vois, jasne – lekceważąco uniósł brwi – dotyczy to twych przepowiedni. Chcę znać wszystkie owe namiętności, proroctwa i vendetty. – Wystarczyło śledzić jego wyraz twarzy, aby przeszły człowieka ciarki. Twarda, złowroga wyniosłość i pogarda. Tak wygląda człowiek trzymający w ręku pajaka, którego w każdej chwili może rozdeptać bądź w inny sposób unicestwić. Rozejrzałam się po tym ponurym pokoju o ciemnych ścianach, któż jednak miał mi przyjść z pomocą? Te nie zapalone świece tkwiące w żelaznych tulejach? Na twarzach Desgreza, sierżantów i urzędnika malowały się przecież te same uczucia.

– Chce pan, bym została pańską konfidentką? A jeśli odmówię?

– Przekonasz się wtedy, że sprawiedliwość w tym mieście działa szybko i niezawodnie. Kara za morderstwo dosięga przestępcę nie później niż po paru dniach. Pochlebiam sobie, że to zasługa moich reform.

– A o jakież to chodzi morderstwo? – zaryzykowałam pytanie. Lepiej wiedzieć, czego się dogrzebali i jakie mają dowody.

– Ha, widzę, że w pani wypadku nie obejdzie się bez krótkiej smyczy. Jesteś równie zuchwała jak inteligentna, mimo to myślę, że dojdziemy w końcu do porozumienia. Jeśli począwszy od

tej chwili, spróbujesz mnie choćby raz oszukać, dopilnuję, byś zawisła na szubienicy za morderstwo na osobie Genevieve Pasquier – zrobił efektowną pauzę. W zwężonych oczach Desgreza błysnęła satysfakcja. Mnie замуrowało. Niewiarygodne! Wszystkiego bym się spodziewała, jako że niejedno dałoby mi się zarzucić, tylko nie tego, że oskarżą mnie o morderstwo na samej sobie! Wybuchnęłam histerycznym śmiechem, który w tym prawie pustym pomieszczeniu budził niesamowite wręcz echo. Zgięta w pół, czułam, że łzy ciurkiem ciekną mi z oczu, a krew uderza do twarzy. Omal nie udusiła mnie ta wesołość. La Reynie wstał z krzesła; widziałam, że jest wściekły, bo z całych sił zacisnął pięści.

– Madame, jeśli nie umiesz się opanować, zamknę cię w La Griesche do czasu, póki się tego nie nauczysz.

Wytarłam oczy wierzchem dłoni; atak śmiechu przeszedł w nagłą czkawkę.

– Monsieur de La Reynie... proszę o wybaczenie... hik!... ale zarzuca mi pan niepodobieństwo... hik!... bo... to ja... hik!... jestem Genevieve Pasquier!

– W niczym to nie zmienia stanu rzeczy! – warknął Desgrez. Ach, kapitanie, a więc to była ta twoja wypieszczona teoria. Źle, bardzo źle.

– Generalnie masz rację, Desgrez, aczkolwiek nieco to jednak komplikuje sprawę. A ty, madame, jaki dowód możesz przedstawić na poparcie swego twierdzenia? – głos pana de La Reynie brzmiał teraz zdecydowanie złowrogo.

– Dowód? Jego królewska mość jest o tym poinformowany. Wczoraj, gdy zostałam mu przedstawiona, zażądał, bym wyjawiała swoją prawdziwą tożsamość. Obiecał też, że każe mnie stracić, jeśli kiedykolwiek usłyszy, że znów przepowiadam przeszłość. Spóźnił się pan, monsieur de La Reynie. Najjaśniejszy pan zakazał mi właśnie uprawiania mojej profesji.

– Będziemy więc musieli cię zatrzymać – oświadczył z wyraźną irytacją – do czasu, póki nie sprawdzimy, czy mówisz prawdę, madame, a może mademoiselle.

– Tylko proszę zostawić mi kordiał, błagam.

– Dodamy do niego zbiór znakomitych kazań ojca Clementa dla utemperowania i naprawy tego krnąbrnego ducha. Zapewniam cię zarazem, że jeśli twa ostatnia enuncjacja okaże się kłamstwem, odbierzemy ci opium. Będziesz więc się w konwulsjach; dopóki nie powiesz mi całej prawdy. Ach, dochodzę do wniosku, że ten pomysł z kordialem warto zastosować już teraz. Wyprowadź ją, Desgrez, i zamknij w osobnej celi. Powiedz strażnikom, że nie wolno jej prowadzić żadnych rozmów.

Wysłałam stamtąd po dwóch tygodniach ze znacznie lżejszą sakiewką, bo zwyczajem paryskich więzień za wikt i noclegi liczone tu sobie niczym w złodziejskiej gospodzie. Za całe towarzystwo miałam czyjeś oko pojawiające się co jakiś czas w judaszu, srebrzystą smużkę słońca, która po południu zaczynała powoli pełznąć po podłodze, no i robactwo. Tego było bez liku i o każdej porze. Samotność i cisza nasuwały mi oczywiście jak najgorsze myśli. Może będę tu siedzieć już do końca życia? A jeśli Florent nigdy się nie dowie, co mnie spotkało? Czy pomyśli, że go porzuciłam? Czy mnie znenawidzi? Później pojawiły się też inne niepokoje. Kiedy już potwierdzą moją tożsamość, czy król nie każe mnie oddać rodzinie? Bóg jeden wie, co wtedy zrobi Etienne. Czy klasztorne więzienie byłoby gorsze od tego? Czy Florent miałby szanse mnie odnaleźć?

Skulona w kącie, złana potem, drżałam konwulsyjnie, dręczona straszliwym głodem opium. Oko pojawiała się i znikła. Gdy jednak chwyciły mnie krwawe wymioty, na talerzu obok chleba, którego w żaden sposób nie mogłabym teraz przełknąć, znalazła się butelka opiumowanej tinktury. Uznałam to za dobry sygnał: widać La Reynie zamierza mnie jednak zwolnić. Musi mu bardzo zależeć na mej współpracy. Usiadłam i zaczęłam przeglądać pozostawioną mi książkę. Kazania ojca Clementa okazały się śmiertelnie nudne. Żartowniś z tego de La Reynie, oto jak postanowił mnie zmiękczyć! Cóż, dopiął swego, najgorszym mym wrogiem stała się teraz nuda. Przewertowałam książkę od początku do końca, potem od tyłu do przodu, wreszcie ogarnięta rozpaczą, spróbowałam potraktować obrzydłe kazania jak rzecz napisaną umownym szyfrem. Stosując coraz to inne klucze matematyczne, usiłowałam wydobyć z tej jałowo pompatycznej prozy nowe i fascynujące znaczenia. Równocześnie rosła we mnie żywiołowa nienawiść do jej autora, chociaż nigdy nie widziałam go na oczy.

Kiedy wreszcie znalazłam się znowu w znanej mi już sali przesłuchań, po dawnej markizie de Morville nie zostało już chyba ani śladu. Ubranie miałam załóżnie wymięte, włosy w okropnym nieładzie. Cała moja trupia maska spłynęła razem ze łzami. Upokorzenie i niepewność losu równie skutecznie poddały mnie woli de La Reynie'ego, co ręka policyjnego oprawcy, a metody pana komendanta miały jeszcze i tę zaletę, że nie zostawiały śladów. Monsieur de La Reynie i tym razem dowiódł, jak bardzo potrafi być skuteczny. Może nie powinien był tylko pozostawiać mi tak dużo czasu na przemyślenie sytuacji i wyciągnięcie z niej wniosków. A brzmiały one następująco: pan komendant paryskiej policji potrzebuje mej współpracy bardziej, niż skłonny jest mi się przyznać. Będę więc udawać, że się zgadzam, na razie. Przy pierwszej nadarzającej się okazji ucieknę z Paryża. Jak tylko wrócę do domu, zacznę przygotowywać się do ucieczki. Pierwszą rzeczą będzie wysłanie za granicę tego, co mam w banku, najlepiej

zrobić to przez pośrednika... Wszystko, co wartościowe, w tym większe dzieła sztuki, zamienię na biżuterię, jest bardziej poręczna.

– Jak tam kazania, mademoiselle Pasquier, czy okazały się dość budujące? – rzucił de La Reynie, podnosząc wzrok znad papierów. Na mój widok po twarzy przemknął mu wyraz zdumienia: jak gdyby nawet on nie podejrzewał, że coś takiego może kryć się pod maską nieśmiertelnej markizy.

Zajęty był przeglądaniem pliku jakichś papierów, które stojący obok sekretarz przyniósł mu do podpisu. Choć widziałam litery do góry nogami, dotarła do mnie zawartość owego pisma. Aha, codzienne sprawozdanie dla króla o sytuacji w mieście: zbrodnie, plotki, wszelkiego rodzaju spiski... Nawet czytana do góry nogami rzecz robiła wrażenie jakby specjalnie obliczonej na wzbudzenie zainteresowania u kogoś, kto nieustannie się nudzi.

– Kazania? O tak, niezmiernie budujące. – Brwi pana de La Reynie utworzyły znak zapytania. – Jeśli poczynając od szóstej linijki tekstu w szóstym akapicie szóstego kazania czytać co szóste słowo, wyjdzie na jaw prawdziwe przesłanie autora, proszę – podałam mu książkę. Wziął ją i wodząc palcem wzdłuż wiersza, przeczytał:

– „Szatan... rządzi... Francją... powstań... przeciw... grzechowi... krusząc... węża... tyrana.”

– Całkiem łatwe do rozszyfrowania, nieprawdaż? Wiadomo, że liczba 666 w Księdze Apokalipsy oznacza Bestię. Ten poczciwy ojczulek to spiskowiec przesyłający sekretne hasła frondystom i zamachowcom pozostającym z nim w zмовie. – De La Reynie starannie zaznaczył to miejsce i dopiero potem odłożył książkę. Ucieszyłam się w duchu, wyobrażając sobie przesłuchanie tego nadętego padre: „Siódmy stożek wody do pełna. A teraz powiesz nam, po co i do kogo skierowałeś swoje przesłanie.” Dobrze mu tak!

– Dostyc, mademoiselle. Nie po to kazałem cię przyprowadzić, aby dyskutować o kazaniach – oświadczył de La Reynie. – Porozmawiajmy o pewnej dziewiętnastoletniej pannie, tak zuchwałej, że uciekła z domu, by sprzymierzyć się przestępcami. Osoba ta w sposób nielegalny, bo pod fałszywym nazwiskiem, zgromadziła ogromną fortunę. W spokojniejszych czasach być może nie spotkałoby cię za to nic gorszego niż odesłanie do domu. Niechby głowa rodziny spuściła ci należne baty, a potem wyznaczyła bezterminową pokutę w klasztorze. Dziś to jednak za mało. Twe zbrodnie są tego rodzaju – tu uśmiechnął się z satysfakcją – że najjaśniejszy pan oddał mi twą osobę do mojej wyłącznej dyspozycji. Mogę uczynić z tobą, co zechcę. Tak więc, mademoiselle Pasquier, pomówmy teraz o twej przyszłości...

Ostry deszcz bębnił o szyby gabinetu Najwyższej Wiedźmy; między parą czarnych andironów

skakały jaskrawe języki ognia. La Voisin na chwilę wstała, by nalać mi drugą porcję słodkiego wina. Taki sam lekko słodki był jej uśmiech. Od swych informatorów w Chatelet dowiedziała się, kiedy wychodzę, tak więc jej powóz przywiózł mnie prosto na rue Beauregard. Wciąż jeszcze cała wilgotna i wymięta siedziałam teraz po drugiej stronie jej biurka.

– No, napij się jeszcze, moja droga... Co powiedziałaś o mnie de La Reynie'emu? Powtórz mi to dokładnie.

– Tylko tyle, że jesteś, madame, mą nauczycielką w sztuce wróżbiarstwa i że te sumy w notatniku to opłaty za terminowanie...

– Zabrali twoje rejestry?

– Tylko jeden, ostatni... Nic w nim nie było, jestem ostrożna.

Machnęła ręką, przerywając moje tłumaczenia.

– No a czemu cię wypuścili?

– Cóż, trudno mu było oskarżyć mnie o zamordowanie samej siebie – odrzekłam lekkim tonem. Nie mogłam powiedzieć jej prawdy. Jak to przyjęła? Trochę zanadto zwęziły jej się oczy. – Po prostu musiał mnie zwolnić, choć widać było, że czyni to bez przyjemności.

La Voisin zacięła usta. Bębniąc palcami po biurku, zapatrzyła się w spryskaną deszczem szybę.

– Do diabła! – syknęła. – Wsadzi ci teraz na kark konfidenta, ot tak, na wszelki wypadek. Będzie to osoba, którą łatwo kupić za niewielką sumę... – „Sylvie”, zdawały się bezgłośnie mówić jej wargi. O tak, mnie to również przyszło od razu na myśl. Przyglądała mi się bacznie dłuższą chwilę, w zamyśleniu kiwając głową. – Jesteś pewna, że to już wszystko? – rzuciła podejrzliwie.

– Cóż, podał mój rysopis strażnikom. Bez jego zezwolenia na piśmie nie wolno mi przekraczać rogatek Paryża. Będę tu siedzieć jak w klatce.

– Ale król... odniosłaś mimo wszystko wielki triumf... jeśli zechce cię znowu wezwać, będziesz przecież musiała wyjechać za miasto...

– De La Reynie wie doskonale, że jeśli pozwoli mi jechać gdzieś z dworem, to tak jakby pozwolił mi uciec. Na pewno zresztą widział się z królem. Co dnia składa mu raport. Musiał rozmawiać o mnie z najjaśniejszym panem, inaczej tak szybko by nie ustalił mojej tożsamości. Poza tym wolno mi znowu wróżyć, pod warunkiem że będę donosić o wszelkich pytaniach czy zamiarach dotyczących polityki i że sama nie będę wygłaszać takich przepowiedni.

– Czyli że król dotrzymuje słowa – mruknęła La Yoisin.

- Tak dokładnie powtarza to, co mi powiedział.

Nie miałam odwagi jej wyznać, o jakich sprawach przykazano mi informować policję: kto grzęźnie w długach, komu na gwałt potrzebny jest spadek, kto dla poprawienia swojej sytuacji byłby skłonny sięgnąć po truciznę. Pytania te nasunęły mi podejrzenie, że paryscy spowiednicy niezgorzej wywiązują się ze swych zadań i że policja wie już teraz o handlu „spadkowym prozkiem”. W końcu któryś z konfidentów naprowadzi Desgreza na trop madame Montvoisin. Teraz to już tylko kwestia czasu. Ja sama postanowiłam zasypywać de La Reynie'ego całą lawiną błahostek – dopóki nie zdołam uciec. Nie zdradzę Królowej Ciemności. Uznałam, że tyle w każdym razie jestem jej winna bez względu na wszystko, co ma na sumieniu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Jest coś niezwykle przygnębiającego w porządkowaniu domu po rewizji. Wszędzie walały się papiery, ubrania i książki. Piwnica z winem wyglądała jak pobożowisko, brak było połowy flaszek. Musiałyśmy wyrzucić porcelanowe skorupy, a pocięte tkaniny odesłać do cerowania.

– Nie wzdychaj tak ciężko, madame, na ten fotel można dać nowe obicie – pocieszała mnie Sylvie.

– Chyba każę go tylko załatać. I wiesz, zamierzam sprzedać obrazy. Teraz, kiedy mi nie wolno wyjeżdżać z dworem, będzie nam się wiodło znacznie gorzej. – Dzień za oknem był podobnie szary jak mój nastrój. Stary rok minął, zaczął się następny, ale wiosna wydawała się tak daleka! Zdążyłam sprzedać już swój piękny stół wykładany kością słoniową oraz kilka większych przedmiotów ze srebra; za uzyskaną sumę kupiłam dwie diamentowe bransolety. Gdy jednak w przebraniu handlarki ryb odwiedziłam pana de La Reynie, zmarszczył nos z odrazą i oświadczył, stukając palcem w mój raport: „Doskonale, o to właśnie chodzi. Tylko po co handlarce z Hal są potrzebne diamentowe bransolety? Mam nadzieję, że nie myślisz nas opuścić? Desgrez dotrze pilnuje granic.” Zaczął wachlować się ręką, by odpędzić zapach śniętych ryb. Sylvie, pomyślałam od razu. Już i ona jest na jego żołdzie – Muszę bardziej uważać.

– O, spójrz, madame jakiś powóz zatrzymał się przed domem! To pierwsza jaskółka – Wraca twoja świetna klientela. – Zachęcona jej okrzykiem wyjrzałam przez okno i... na stopniach powozu dostrzegłam znajomą postać w kapeluszu z piórami i zdobnym w złote szamerunki płaszczu.

– Nie, to Florent! Florent wrócił! – krzyknęłam radośnie i co tchu pogałam na dół. Na mój widok oczy mu rozbłysły; z impetem porwał mnie w objęcia, unosząc w górę jak piórko.

– Mój Boże, ależ się za tobą stęskniłem... Tyle czasu! Już się bałem...

– Że przestanę na ciebie czekać? Mój drogi, jak mogłeś tak myśleć! Dla mnie tylko ty istnieje...

Jak dobrze było poczuć dotyk jego szorstkiego policzka, jego ciepło! Zdawało się, że cały mój dom wypełnił się nagle słońcem Południa. Florent postawił mnie na podłodze i kazał Gilles'owi zanieść na górę swój kufer.

Od razu po wejściu do salonu zauważył brak sreber i niektórych mebli.

– Chyba coś się tutaj zmieniło – powiedział łagodnie. – No cóż, w całej Europie też zachodzą teraz różne zmiany. Słyszałaś nowinę? Książę Orański ożenił się z angielską księżniczką Marią, i to całkiem niespodziewanie. Teraz on jest następcą tronu Anglii. Podobno strasznie mu było pilno do ołtarza, tak pilno, że ślub odbył się w kaplicy w obecności zaledwie kilku świadków. No, ale nie ma się czemu dziwić. Nasz król uknuł spisek: zamierzał porwać księżniczkę, przywieźć ją do Francji i siłą połączyć ze swoim synem.

– Prawdę mówiąc, mój drogi, ja ten ślub przepowiedziałam. Od tego właśnie zaczęły się wszystkie moje kłopoty. – Rzucił mi pobłażliwe spojrzenie człowieka, który nie wierzy w bajki, lecz przez grzeczność godzi się ich wysłuchać.

– A wiesz, co najbardziej zdumiało pół Europy? Że Ludwik tak spokojnie przyjął tę wiadomość. Jakby dla niego nie była to żadna niespodzianka. „Dobrało się dwoje gołców”, powiedział tylko, i na tym koniec. To zaiste dziwne, zważywszy, jak głęboko musiał być zawiedziony. Liczył, że zdobędzie szczególne względy Ojca Świętego, gdy nawróci Anglików na katolicyzm. Zdumiewające – pokręcił głową. – Ten nasz król musi mieć szpiegów w każdym dosłownie miejscu. Niech no książę Wilhelm kichnie w swoim gabinecie, a on już wie o tym, zanim tydzień minie.

– Z tego powodu i ja mam kłopoty. Nie dość że król pozbawił mnie dochodów, to jeszcze policja depta mi po piętach. – Widząc szczerze zmartwioną minę Florenta, położyłam mu palec na ustach. – Nie tutaj – szepnęłam. – Opowiem ci wszystko przy kolacji.

Opisałam mu swoje położenie w ustronnym gabinecie na tyłach modnej restauracji. Samo mówienie o tym odebrało mi apetyt, ale Florent zmiatał potrawy jak wilk – nie pogardził nawet moją porcją.

– Jak widzisz, mój drogi, gorzej już być nie może. De La Reynie zagroził mi wyrokiem za wolnomyślicielstwo, obrazę majestatu, zdradę stanu i Bóg raczy wiedzieć za co jeszcze, jeśli nie zechcę zostać konfidentką, a La Voisin... Niech no tylko się dowie, jakich mam dostarczać informacji, i będzie po mnie! Trucizna w zupie, wypadek, już ona coś wymyśli! Nie zarabiam teraz tyle, by opłacało jej się trzymać mnie przy życiu, król zbyt mocno ograniczył moje interesy. Przeraziły go moje polityczne prorocтва, uznał, że mogą stać się zarzewiem spisków przeciw jego osobie. I to więzienie, Florent! Och, jak ja nienawidzę więzień! Byłam tam taka samotna, a ty... ty mogłeś pomyśleć, że cię porzuciłam!... Ten podły La Reynie zostawił mi tylko jedną nieznośnie nudną książkę... kazania, wyobrazasz sobie? – rozplakałam się da wspomnienie tego okropieństwa, Florent zaś wybuchnął śmiechem..

- Niezła uczta duchowa! O, to nazywam prawdziwą torturą!
- Nie mą się z czego śmiać! Te kazania były zabójcze – jęknęłam, wycierając oczy.
- Jest więc tylko jeden sposób na twoje kłopoty – powiedział wesoło, dogryzając resztki kapłona.
- Tak, umknąć z Paryża, tylko jakim cudem? Siedzę tu niczym pies na łańcuchu.
- Nie od tego należy zacząć – odrzekł, wycierając ręce w serwetkę – Najpierw musisz wyjść za mąż, najlepiej za mnie.
- I co? To by miało rozwiązać wszystkie moje problemy? No wiesz, Florent? Uważałam cię za człowieka z polotem, a tu się okazuje, że myślisz tak samo jak każdy mężczyzna.
- Nie szkodzi, za to rozumiem jak trzeba – zaśmiał się niefrasobliwie. – Posłuchaj. Po pierwsze: kiedy zostaniesz mężatką, twój brat utraci nad tobą władzę. Nie będzie mógł już rościć sobie pretensji do twego majątku ani wysłać cię do klasztoru, powołując się na twój skandaliczny tryb życia, który to osąd zresztą bynajmniej nie mija się z prawdą. De La Reynie tym samym postrada swe podstawowe narzędzie groźby. Po drugie: jako małżonek mogę zająć się poszukiwaniem twoich sum spadkowych, jako że staną się one wtedy moją własnością. Tu, we Francji, objęcie takiego spadku wymagałoby długoletniego procesu i przekupstwa, za granicą rzecz będzie prostsza. Twój brat nie ma tam koneksji, zresztą nic nie wie o banku Cortezia i Benson.
- Ale est jeszcze punkt trzeci.
- Poczekaj, wysłuchaj mnie do końca – mówię na towarach przemysłowych Policjanci przy rogatkach zwracają uwagę? 8 wydać.
- cane do Paryża, a nie na. przestępczo*P^Jrfem że ubrana będziesz Możesz więc uciec w każdej chwili, pod warunkiem
- odpowiednio I że zgodzisz się zabrać to? osobistością, sobie. Pamiętaj, że to madame de Mor^.
- ^^ ^^
- której powóz I służbę rozpozna każdy ; wie niedostrzegal-Genevieve Pasquier pieszo I bez bagażu W dobanie do ierścion. na, zwłaszcza jesh pohamuje nadmierne sw w kow I nie będzie ich miała po dwa na ** > kondycją; nęka cię droga Ateno, że wzdragasz się przed tato* w oku w jakimś całkiem zrozumiała obawa przed śmie*1-14 obcym kraju.
- No a jeśli naprawdę się tego boję? {drQ ieczki? Twe – Zatem pomysł, mądra Ateno: co zamy

uważniej tudio. umiłowanie dóbr materialnych. Powinnaś I x rf monsieur de La wac to budujące dzieło, które tak łaskaw^ "

eynie' , rC;ażki> srebra... same meble – Nie, to me dlatego. , ale mo, e fc«*z ^^

warte są... – uciszył mnie, kładąc mi p^e słodka? A teraz chcę d – Czyż trzeba lepszego dowodu, m^ w ca_ przypomnieć, że ja, Florent d'Urbec, jestem ^^ jakiegQ d mu dobytku za granicę, czyli właśnie ta»£ ^. ^

trzeba. Sę w tym, że na razie mam zwią^n _hyliwszy dopiero po uzyskaniu prawa do twej wia ozbawienia głowę, zerknął na mnie spod oka, nie taja_c r _ TV7?rent". . , Musiałabyś mi zaufać. Bo – Wiem, wiem, co zaraz powiesz! *» mu ufać a zwłaszcza kochać kogoś to przecież me to samo, °czarowniczo? _ uśmie. powierzyć swoje książki, czyż nie tak, moja ty ^ ^ . ^ wyczekują. chnął się, dopił resztę wina, po czym wpatrz C^ vr • I – . , ••, . л ■ i, n ciebie. Miałbyś ryzykować – Nie, nie o książki mi chodzi, tylko o »

życiem. ^edsii. Genevieve, ja tobie – Ryzyko? Dla mnie to chleb powsz zajmujesz gię donosi_ ufam, choć przed chwilą sama mi wyznałaś, q ^^ cielstwem. – Widząc, , ak mną to wstrzgn^ ^ ^ – Powiem ci coś o sobie. Wiedz, że w ^^ wyjściem jest nie dac z trucizną. W moim rzemiośle często najleps^ ^,, ^ ^^ ^^ się ująć żywcem. Sam pobyt w Paryżu >

ryzykowną i to ty jesteś główną przyczyną mego tu przyjazdu. Chociaż wiesz... ? Przy tobie życie... wydaje mi się... zbyt cenne, by je tracić. Mam obecnie wysokie koneksje za granicą. Możemy tam zacząć od nowa, mieć wspólny dom i wszystko, czego tu nie da się osiągnąć. No i widzisz? Ja nie waham się zawierzyć ci własnego życia. Czy i ty nie możesz mi odpłacić tym samym?

– Florent, ty używasz wszelkich sztuczek, aby mnie nakłonić do małżeństwa. – Poczułam, że trzęsą mi się ręce.

– Bynajmniej temu nie przeczę! A jak brzmi twoja odpowiedź? – Wbiłam wzrok w swój pusty kielich, próbując podjąć decyzję, cóż, kiedy zdjął mnie tak paniczny strach, że zupełnie nie mogłam myśleć.

– Ja... daj mi trochę czasu. Odpowiem ci jutro.

– Wiedziałem, że tak będzie. Przyślij mi słówko, kiedy coś postanowisz, dobrze? Nie zwlekaj z tym jednak zbyt długo, nie wiadomo, ile mamy czasu. Parę miesięcy czy parę tygodni? Myśl o tym, gdy zaczniesz rozważać to diabelskie przedsięwzięcie, któremu na imię małżeństwo.

Tej nocy budziłam się chyba z tuzin razy – mokra ze strachu.

Decyzję podjęła za mnie papuga babci. Przedwiosenna odwilż wyraźnie nie służyła ptakowi. Chyba się przeziębił, bo tkwił na swojej żerdzi z nastroszonymi piórkami – istny kłębuszek nieszczęścia. Kiedy posadziłam go koło ognia, wydał z siebie smętne gruchanie.

– Wiesz, Lorito, oboje jesteśmy w jednakowo paskudnym humorze.

– Piekło i potępienie – skrzeknął żałośnie.

– Trafiałeś w sedno: cóż za dylemat! A ty jak myślisz, jechać czy zostać?

– Sodoma i Gomora. – Ożywił się nieco i wyciągnął szyję.

– Dużo ty tam wiesz o małżeństwie! Ja to co innego, mój Lorito. Ja żyję z małżeństw, w których miłość ustąpiła miejsca truciznie. Co będzie, kiedy powiem „tak”, a on przestanie mnie kochać?

– Ogień i siarka – stwierdził Lorito.

– Ładnie mi pomagasz! A ja muszę podjąć poważną decyzję: czy wróżbitka, której źle życzy jedna połowa świata, powinna poślubić awanturnika, który ma na pieńku z tą drugą? Wyjść za d'Urbea? Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Wyjść za d'Urbea! – wrzasnął ptak, porzucając nagle swoje biblijne słownictwo. – Mądry Lorito – dodał, łypiąc na mnie jednym okiem – ładny Lorito. – Był w tym momencie tak bardzo podobny do babci! Wyjęłam kartkę papieru i napisałam liścik. Zawierał tylko jedno słówko: „tak”.

– Najdroższa! – wykrzyknął z młodzieńczym zapałem Florent, gdyśmy się potem spotkali. – Wszystko biorę na siebie, ty nie musisz się o nic martwić.

Kochałam go takim: oczy mu błyszczały, widać było, że rozpiera go energia, z jakimż entuzjazmem chwycił mnie w objęcia. Kochałam go, a przecież... zrobiło mi się zimno ze strachu. Wszyscy oni tak zaczynają, myślałam smętnie, wszyscy na początku przysięgają miłość.

– Najważniejsze to utrzymać rzecz w tajemnicy przed policją i tą wiedźmą z rue Beauregard. Niech im nie przyjdzie na myśl, że ptaszek chce wyfrunąć z klatki. Nie zdradź się czymś przed Sylvie. Dobiorę takich świadków i księdza, którzy nie są na niczym żołdzie. Zyskamy dzięki temu trochę czasu, choć trudno powiedzieć, jak długo da się to ukryć. – Spojrzał na mnie nagle:

– Jesteś szczęśliwa, powiedz? Czy równie szczęśliwa jak ja?

– Och, tak, Florent – skłamałam, biorąc go za rękę.

– Na pewno się nie rozmyślisz? Wybacz, że o to pytam, lecz ciągle dręczy mnie obawa, że zechcesz mi umknąć. Tak długo czekałem na tę chwilę!

– Kiedy damę słowo, to go dotrzymuję. Moje serce należy do ciebie, na zawsze. Pamiętaj o tym i... bądź dla mnie dobry.

– Chodzi ci o to, że mogę się zmienić? Nie myśl tak o mnie, Genevieve, nigdy tak nie myśl.

Następnego dnia pod pretekstem prośzonej kolacji ubrałam się w różową suknię i szarym od mgły popołudniem udaliśmy się do odległej parafii na przedmieściu, gdzie oczekiwał nas stary półgłuchy notariusz w towarzystwie dwóch zamaskowanych świadków. Zapadł już zmierzch, lecz nawet w mdłym blasku świec płonących w głównej nawie widać było opłakany stan całej budowli. Pod poczerniałym sklepieniem trwał jakiś ruch, dawały się słyszeć przenikliwe piski: pośród skruszałych kamieni znalazło sobie schronienie stado nietoperzy. Na popękanych figurach świętych leżały wiekowe warstwy kurzu, balaski konfesjonału trzeszczały ze starości i braku farby, a żelazne kraty zamykające prywatne kaplice wielkim głosem wołały o naprawę. Proboszczowi tej parafii musiało jako żywo mocno brakować gotówki.

W kaplicy świadkowie zdjęli maski. Jednym z nich okazał się Lucas, podziemny poeta-buntownik, drugim... Lamotte. Florent uśmiechnął się z lekką ironią, kiedy drgnęłam na widok kawalera. Cóż, są rzeczy, których wolałoby się nie pamiętać, zwłaszcza podczas ceremonii ślubnej, nawet tak skromnej jak nasza.

– Przekonasz się, Genevieve, że panom tym można zaufać. Ja mam taką pewność po wszystkim, cośmy razem przeszli.

– Ale diuszesa de Bouillon... – wyjąkałam.

– Będzie uszczęśliwiona, jeśli kiedykolwiek dotrze to do jej uszu – dokończył za mnie Lamotte.

– Mierzi ją i sam de La Reynie, i wszelkie jego poczynania.

– Ich rodziny dzielą jakieś zadawnione waśnie. Zdaje się, że poszło o podatki – wtrącił gładko Florent.

Lamotte, pełniejszy, niż go pamiętałam, wciąż jednak olśniewający w swych bufiastych, bogato haftowanych spodniach do kolan i błękitnej welwetowej opończy podbitej atłasem w kolorze ognia, postąpił ku nam parę kroków.

– Jeszcze coś... – powiedział z wahaniem. – Winien jestem przeprosiny... wam obojgu. Tyle tylko mogę teraz zrobić, by choć trochę naprawić me błędy. Wiesz, d'Urbec, zawiść czyni człowieka głupcem. Ja... za tę swoją głupotę płacę straszliwą cenę, nie mówiąc już o wyrzutach

sumienia. – W szybko zapadających ciemnościach jego twarz wydała się pobrużdżona i bardzo smutna. – Proszę was tylko o jedno: lista mych grzechów jest długa, nie wliczajcie do nich wszakże zatwardziałości serca.

– Dość tych rachunków sumienia, drogi kawalerze – spiesźnie powiedział Florent. – Przystąpmy do rzeczy. Ojciec Tournet nie lubi tracić czasu. – Nie lubi, aby go odrywać od butelki, doszłam do wniosku, słysząc, jak stary duchowny potyka się o słowa liturgii. Padały wolno i monotonicznie, a we mnie wzbierała coraz większa panika. Usta miałam tak suche, że z najwyższym trudem powtarzałam słowa przysięgi. Z każdą chwilą czułam się gorzej. Osobliwie bulwiasty nos kapłana, jego dziurawy ornat, naznaczona niepokojem twarz Florenta, migotliwe refleksy świec w wotach i resztkach złocen, wszystko to w dziwny sposób zaczęło zlewać mi się w oczach, wirować... szybciej i szybciej. Mój żołądek wyczyniał jakieś straszne harce i ta słabość w kolanach...

Następna rzecz, którą pamiętam, to piekący smak gorzałki. Zaczęłam się krztusić.

– Ach, otwiera oczy – czyjś głos.

– Omdlała pani, madame d'Urbec – to ksiądz. – Wśród oblubienic częsty to dość przypadek. Gdy omdleje pan młody, wywołuje to zwykle większy ambaras.

– „Madame”? Jestem zamężna?

– Ależ tak. Ostatecznie. Jak najformalniej. Klamka zapadła. – Florent z zatroskaną miną pomógł mi się podnieść. – Jak się czujesz? – zapytał czule.

– Och, Florent... ' naprawdę wzięliśmy ślub... czy to możliwe?... A mnie tak bardzo na tobie zależy... I co teraz?... Co z nami będzie?

– Jak to co? Będę się o ciebie troszczył. Będziemy żyć odtąd długo i szczęśliwie – odrzekł, odgarniając mi z twarzy rozluźnione loki.

– Ale ja wiem, że... w życiu całkiem inaczej to wygląda.

– Będzie wyglądało tak, jak sama tego zechcesz. Spróbuj, dobrze? Zrób to dla mnie. Postarajmy się być szczęśliwi. – Niestety, w owej chwili daleka byłam od szczęścia. Uczepiłam się jego płaszcza i zaczęłam szlochać.

Kiedy mnie otoczył ramieniem, usłyszałam słowa Lucasa:

– Wiesz co, mój drogi de la Motte? W życiu nie widziałem takiej panny młodej. Bardzo to dziwna osoba.

Kolację podał nam lokaj d'Urbea. Jego oszczędne ruchy zdradzały człowieka, który długi czas spędził w ciasnych pomieszczeniach. Zastawiwszy stół, wycofał się bezszelestnie. Był tak cichy, taki dyskretny. Jeszcze jeden członek bractwa potępionych. Po pewnym czasie człowiek uczy się ich rozpoznawać. Po oczach, po tym, że bez widocznego wysiłku, jak gdyby machinalnie, potrafią dźwignąć ciężką skrzynię... po ich dziwnie nagłych zamilknięciach.

– Wciąż jesteś taka blada – odezwał się Florent. Twarz miał ściągniętą ze zmartwienia, widać było na niej wszystkie mięśnie. – Nic nie jesz. Źle się czujesz, Genevieve? – Siedziałam wsłuchana w głośnie tykanie zegarów. Tyle ich było w tym pokoju i każdy tykał własnym rytmem. Brzmiało to jak bicie niezgodnych serc. Czułam, że lodowacieją mi ręce. – Popatrz – zachęcał mnie Florent – zamówiłem wszystkie twe ulubione dania. Spróbuj tego wina, jest wspaniałe. W sam raz na noc poślubną. – Przełknęłam kilka kropel, by mu sprawić przyjemność, lecz nawet wino miało smak popiołu. Zatroskane oczy Florenta patrzyły na mnie badawczo. – Co się z tobą dzieje, Genevieve? Czyżbym miał cię utracić przez to małżeństwo? Bom zażądał od ciebie zbyt wiele?

– Zbyt wiele? – powtórzyłam. Przeraził mnie nagle wyraz jego twarzy. – Co przez to rozumiesz? – Boże, miałam rację, pomyślałam z rozpaczą. Ledwo wzięliśmy ślub, a on już przestaje mnie kochać! Wlepiłam w niego szeroko rozwarte oczy. Tak, widać wyraźnie, już ma mnie dosyć. – Czy ty się mnie boisz? Czyżby odpowiadała ci moja miłość, ale już nie moje nazwisko? – spytał z desperacją.

– Nie, nie! To wcale nie tak! – lzy strumieniem trysnęły mi z oczu. – Ja... Ach, przecież widzę, że miłość ci przeszła. Że już nie potrafisz mnie kochać – wyjąkałam wśród szlochów. – Wiedziałam... wiedziałam, że tak będzie, bo... Małżeństwo sprawia, że ludzie stają się oziębli, pełni nienawiści... ale ty mówiłeś, że powinnam się zgodzić... a ja... chciałam, żebyś był szczęśliwy... – położyłam głowę na stole i zaczęłam łkać rozdzierająco. Myślałam, że pęknie mi serce. Usłyszałam skrzypnięcie krzesła, ręka Florenta pieczołtliwie pogładziła moje włosy. Wyjął swą wielką chustkę i zaczął ocierać mi oczy.

– Więc nie uważasz, że małżeństwo ze mną to dla ciebie despekt? – zapytał urywanym głosem.

– To nie z powodu tego... kim jestem?

– Ach, skądże! Ciebie i tylko ciebie będę kochać do samej śmierci. Twoja miłość to jedyne dobro, jakie mnie w życiu spotkało... i co teraz? Teraz przestałeś mnie kochać! Boże, a ja tak bardzo chciałam cię uszczęśliwić!

– Genevieve... Więc ty myślałaś, że poświęcasz miłość dla mojej satysfakcji? – w jego głosie

brzmiało zdumienie. – Byłabyś do tego zdolna? Wyrzec się wszystkiego dla mnie, dla mego szczęścia?

– Sto razy – odrzekłam cicho. Chwyciłam jego rękę i przyłożyłam ją sobie do policzka.

– Moja najdroższa... – wyszeptał. – Czy ty nie rozumiesz, czym dla mnie jesteś? Wszystkim! A ja myślałem...

Otarłam łzy i spojrzałam mu w oczy. Jego miłość była moim szczęściem, moją radością, tym jednak, co w owej chwili przemówiło do mnie najsilniej, było jego widoczne cierpienie. Zrozumiałam, jak bardzo mnie potrzebuje.

– Myślałeś, że wstydzę się twego nazwiska? Kochany, mam niejedyn powód do wstydu, ale nie ten, nie ten, że jestem twoją żoną!

– Genevieve! – jego twarz na nowo zapłonęła światłem.

– Madame d'Urbec – poprawiłam go bardzo łagodnie. Zaczynała wracać mi nadzieja. Jakież piękne było w nim wszystko... to zaokrąglenie policzka, linie szerokiej szyi, jego oczy, usta i ręce... Kiedy odwróciwszy głowę, ukradkiem strzepnął łzę z powiek, dostrzegłam leciutkie uderzenia tętna w zagłębieniu poniżej ucha...

– Madame d'Urbec – przemówił dwornym tonem – niech mi wolno będzie udowodnić, że miłość małżeńska to najprawdziwsza ze wszystkich odmian miłości – z tymi słowy uniósł mnie z krzesła. Upojona jego bliskością, oplotłam go ramionami. Poniósł mnie do sypialni, obsypując pocałunkami moje włosy, policzki, szyję...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

– Plotki i stare banalne intrygi! Ta bezczelna pannica doprowadza mnie do szału! Mam uwierzyć, że sekretne życie Paryża to wyłącznie domena Amora, istna pajęczyna romansowych spisków! Przyjrzyj się temu, Desgrez. Paskudztwo! Znajdziesz tu chyba wszystkie tak zwane najczcigodniejsze nazwiska Francji. – De La Reynie z głębokim niesmakiem rzucił na biurko najświeższy raport madame de Morville. Wielkimi krokami podszedł do wąskiego okna i przez którąś z jego romboidalnych szybek wyjrzał na dziedziniec Hotel La Reynie. Była wiosna roku 1678. Sprzed rezydencji ruszał właśnie powóz jego małżonki udającej się z wizytą do kuzynostwa; rozległy się okrzyki lokajów, stuknęły wrzeczadze ciężkiej drewnianej bramy. Z krzesła wysiadł architekt Fauchet, dzierżąc pod pachą rulon papieru: przybył przedstawić do wglądu swój kolejny projekt kanałów odprowadzających uliczne nieczystości. Na dziedzińcu roiło się jak w ulu, co chwila ktoś wchodził lub wychodził. Różni ludzie, różne sprawy – cenzorzy, inspektorzy od wag i miar, policjanci, służący, chłopcy stajenni i konfidenci. De La Reynie obserwował ich z cierpkim wyrazem twarzy.

– Zastanawiam się czasem – zaczął tak cicho, że Desgrez musiał dobrze nastawić uszu – czego ja właściwie strzegę?

– Państwa i honoru jego królewskiej mości.

De La Reynie odwrócił się od okna.

– Tak – przeciągnął to słowo, powracając wzrokiem do irytującego dokumentu. – Cóż więc ostatnio porabia ta przeklęta kobieta?

– Według tego, co mówi jej pokojówka, zajęta jest głównie swym bezwstydnie jawnym romanssem z niejakim Florentem d'Urbekiem, zawodowym hazardzistą.

– No proszę! Alians dwojga najbardziej irytujących ludzi, jakich zna Paryż. Cóż za dobrany duet!

– Za pozwoleniem, monsieur, przyszedłem poddać pewien pomysł. Należałoby posłużyć się tą La Pasquier do wykrycia ostatniej intrygi Buckinghamama. Niechby dostarczyła nam faktów.

– Wiesz, jak nie lubię na niej polegać. I to jej przebranie! Przysięgłbym, że wymyśliła je sobie wyłącznie po to, by obrażać moje powonienie.

– Jednak tylko przez nią możemy zyskać dostęp do Buckinghamama i jego okultystycznych praktyk. Podobno przystał do satanistów, by skaptować ich do swego najnowszego

przedsięwzięcia.

– Cóż, w takim razie będę chyba musiał poświęcić powonienie na rzecz obowiązku.

– Słusznie, monsieur, bardzo dowcipnie pan to ujął – pozwolił sobie stwierdzić Desgrez.

Już następnego dnia dwie „czerwone pończochy” sprowadziły madame de Morville. Komendant, ubrany tym razem w zwykły strój z płowego welwetu, z koronkami pod szyją i przy mankietach, niecierpliwie przechadzał się po salonie, podczas gdy słynna wróżbitka w cuchnącym przebraniu przekupki z uwagą studiowała splecione ciała pięknych nimf i innych niekompletnie odzianych postaci mitologicznych zdobiących wysoki sufit.

– Wydawałoby się, mademoiselle, że już nawet któregoś z twych zmarłych przodków zemdli ten odrażający zapach – rzucił z irytacją. Strzepnął z rękawa niewidoczny pyłek i nakazał lokajowi otworzyć okno. – Bądź uprzejma nie siadać na wyściełanym krześle – wycedził.

Madame de Morville, kryjąc lekki uśmiezek, z ostentacyjną pokorą zajęła miejsce na drewnianym stołku bez poduszki, zarezerwowanym dla gości najniższej rangi.

– Angielski książę Buckingham wraz z dwoma towarzyszami przybył do Paryża. Zostałem poinformowany, że nawiązał liczne kontakty w naszym mieście. Dziś wieczór ma uczestniczyć w seansie wywoływania duchów. – Dwaj czerwono-nodzy sierżanci na jego gest zajęli pozycję przy biało-złotyach odrzwiach prowadzących do antykamery.

– Tak, u madame Montvoisin. Ja również otrzymałam zaproszenie. Jak panu jednak wiadomo, duchy nie są moją specjalnością.

– Ostatnio pani specjalnością są, jak się zdaje, karciane przepowiednie i hulanki – zauważył sucho de La Reynie. – Oczekuję tym razem dokładnego raportu: czego chce Buckingham, kto mu towarzyszy, kto jeszcze będzie obecny, jakich obietnic udzielią owe przywołane duchy. Powtarzam: konkretny raport, rozumiesz, mademoiselle?

– Ależ oczywiście, monsieur de La Reynie. – Czy ton jej odpowiedzi nie był trochę zanadto sarkastyczny? Cechowała ją wyraźna ku temu skłonność, o czym pan de La Reynie miał okazję już się przekonać w trakcie kilku poprzednich spotkań. Tym razem nie dał się sprowokować. Unosząc swój długi nos, zmiażdżył ją lekceważącym spojrzeniem.

– Może więc pani odejść, mademoiselle Pasquier. Latour, otwórz drugie okno, nim udusi mnie ten smród zgniłych ryb.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Kiedy po długiej kąpeli zmyłam wreszcie z siebie rybi odór, było już późne popołudnie. Uznawszy, że wieczór z duchami wymaga właściwej oprawy, postanowiłam wystąpić w najwspanialszej z antycznych toalet madame de Morville. Towarzyszyła mi Sylvie ubrana również w swą najlepszą suknię. Mustafa jak zwykle niósł za mną tren. Obiecałam Florentowi, że wrócę przed nocą, ponieważ wywoływanie duchów nie trwa z reguły dłużej niż nieco ponad godzinę. Madame, owiana dymem kadzideł, wyśpiewuje zaklęcia, a Nanon ukryta w jadalni za gobelinem odzywa się szeptem przez specjalną tubę łączącą salon z jadalnią. Klient drętwieje z podziwu i trwogi, duchy udzielają kilku dosyć mętnych odpowiedzi, madame inkasuje słoń zapłatę, i na tym koniec.

Angielskich panów zastałam już na miejscu. Siedząc przed wspomnianym wielkim gobelinem, popijali wino, towarzysząca im zaś madame wydawała mnóstwo poleceń Nanon i Margot, które uwijały się jak frygi pomiędzy salonem i jadalnią.

– Ach, otóż i nasza markiza, jesteście zatem w komplecie. Sylvie, ciebie oddaję pod komendę Nanon. Margot, przygotuj w gabinecie kordiał i szklaneczki. Mustafo, ty zaczekasz w kuchni. Nasze misterium przeznaczone jest wyłącznie dla wtajemniczonych.

– Muszę wyznać – zachichotał jeden z towarzyszy księcia, pulchny, niebieskooki blondyn – że znajduję niezwykle wprost upodobanie w takich demonicznych imprezach. Czy złożona zostanie ofiara z dziewicy?

– Nie mamy zwyczaju zbyt pochopnie ujawniać naszych tajemnic – odparła La Voisin niskim, wibrującym głosem. – Proście, bym wyjednała wam pomoc możnego księcia piekieł, jednego z najpotężniejszych, jacy istnieją. Uczynię to dla was, ale jak, to już moja sprawa. Powiem tylko tyle, że ofiara, którą mu złożę, wystarczy w zupełności, i że Astarot nieodmiennie żąda ludzkiej duszy w zamian za swoje usługi. – Słowa te wywołały u wszystkich rozkoszny dreszczyk emocji; nawet na zużytych obliczu Buckinghamów odbiło się żywe zainteresowanie.

– Zdradź nam, madame, czy będą temu towarzyszyć jakieś... ekscesy orgiastyczne? – pospieszył spytać drugi z milordów. Trochę mnie zaniepokoił dziwnie lubieżny wyraz jego oczu. – Rytuały wymagające obnażenia ciała... ach... bardzo mi odpowiadają. – A żeby cię, fuknęłam w duchu. Czego ta La Voisin nie robi dla pieniędzy! Ha, tutaj prócz pieniędzy ma jeszcze na widoku ten swój zagraniczny azyl. Ale przecież od osoby z takimi pretensjami do elegancji można by się spodziewać jakiejś takiej godności.

– Och, pan może się rozebrać, milordzie – parsknęła zduszonym śmiechem – jeśli tak bardzo to panu odpowiada. Co do mnie, ubiorę się stosownie do mej roli. Proszę nie zapominać, że to ja rozkazuję tym zjawom, jestem ich władczynią!

– Francuska gęś! – szepnął milord do Buckinghama. Na szczęście tylko ja to usłyszałam.

– Zatem rzecz ustalona: wszyscy trzej bierzemy udział w obrzędzie na prawach świadków, ja zaś ponadto przedłożę mą prośbę demonowi – zrekapitulował książe. – Od czego zaczniemy? Co mamy zrobić?

– Na początek musimy odbyć krótki rytuał zabezpieczający. Przejdźmy do mego gabinetu, gdyż w salonie pracują teraz lokaje, przygotowując miejsce pod właściwy obrzęd. – Dwaj służący właśnie w tym momencie wynieśli stamtąd zwinięty dywan. – Później – kontynuowała La Voisin – przywdzieję szaty stanowiące symbol mojej władzy. W tej części przygotowań wam, panowie, nie wolno niestety uczestniczyć. W ich skład wchodzi rytuał oczyszczenia i obietnica ofiary. Wszystko to wymaga absolutnego przestrzegania tajemnych reguł, inaczej bowiem demon nie słuchałby moich rozkazów.

– Hm... oryginalny turecki dywan – zauważył miłośnik orgii. – Wnoszę z tego, madame, że powodzi ci się znakomicie.

– Owszem, nie przeczę. W każdym z moich przedsięwzięć korzystam z pomocy piekielnych potęg, które niebawem pan także mieć będzie do dyspozycji – odparła bez mrugnięcia okiem Pani Wiedźma. Zwróciła się teraz do mnie ze swym dziwacznym uśmiechem przypominającym spiczaste V: – Droga markizo – przysięgłabym, że głaszczesz mi wzrokiem – mogę cię obarczyć pewnym zadaniem? Dopilnuj, proszę, tych prostaków w salonie, żeby wszystko było jak należy. Okna mają powlec smołą i niech nie zapomną o rogach! Niech też dobrze uważają w drzwiach przy wynoszeniu pulpitu; nie uśmiecha mi się płacić za nową pozłotę, to kosztuje! Kosze na węgle mają stać we wszystkich kątach w idealnie równej odległości, a figury i serwantkę, tę z bibelotami, trzeba okryć czarną materią. Ach, świetnie... Bardzo ci jestem wdzięczna. – Kazała pokojówce przywołać Marie-Marguerite, po czym zniknęła mi z oczu. Od strony gabinetu dobiegły mnie strzępy rozmów: – Moja córka, adeptka obdarzona ogromną mocą... dawno temu poświęcona demonowi w czasie jednego z takich właśnie obrzędów... bogactwo i władza... pańskie życzenie, milordzie, to drobnostka dla tak wysokiego rangą księcia piekieł...

– Tak, tak... – usłyszałam jeszcze głos Buckinghama, i koniec. Pewnie zamknęli drzwi. Co to za życzenie? Właśnie tego koniecznie muszę się dowiedzieć. Do licha, przyjdzie mi teraz tkwić do

samego końca tej przeklętej ceremonii, żeby zorientować się, o co chodzi. Diabli nadali tego policjanta! Widać już było, że cała impreza może się przeciągnąć do północy, a ja tak bardzo pragnęłam jak najszybciej wracać do domu, do Florenta!

No, salon był wreszcie gotów. Trochę mnie zdziwiły te przygotowania: zazwyczaj wywoływanie duchów nie wymagało aż tak wielkich starań, ale może La Voisin chce wyrzeźić szczególne wrażenie na swych angielskich gościach? Tak więc na oknach wisiały czarne brokatowe zasłony, w ściennych kandelabrach tkwiły czarne świece, a figurę Najświętszej Panny i gablotkę z anielskim wojskiem okryto czarną draperią. Nieliczne pozostałe meble, osłonięte również czarnym płótnem, ponabierały zgoła niesamowitych kształtów. Wykładany czarną klepką środek podłogi – na co dzień niewidoczny pod dywanem – iskrzył się teraz odbitym światłem świec. Po pewnej chwili w drzwiach, ukazała się niezwykle dziś potulna Marie-Marguerite mówiąc, że matka prosi mnie do gabinetu.

W pracowni madame zastałam milordów już przygotowanych do uroczystości. Wszyscy drżeli z emocji, wszyscy mieli na czołach kabalistyczne znaki, mocno błyszczące oczy i wyraźnie rozszerzone źrenice. Aha, potraktowała ich narkotykiem. Muszą im się zwidywać różne dziwne rzeczy. Na biurku La Voisin pojawiła się miseczka, w której spalono coś na popiół. Obok leżał pergamin z wyrysowanymi na nim dziwnymi figurami, stała tam też butelka jakiegoś kordiału, w samym środku zaś królowała taca różnokolorowych marcepanów. Niektóre udawały owoce, innym nadano postać dziecięcych zabawek. Madame rezydująca w swym brokatowym fotelu wyglądała jak wielka monarchini: z jej ramion spływała szkarłatna aksamitna szata, gęsto haftowana złotem w dwugłowe orły z rozpostartymi skrzydłami.

Aksamitną spódnicę w kolorze morskiej zieleni zdobiła u dołu istna kaskada koronek. Na czerwonych pantoflach widniały te same co na sukni dwugłowe orły. Skronie królowej oplatała ołowiana korona z ornamentem w kształcie trupich czaszek.

– Usiądź, moja droga. Mamy przed sobą długą noc, a wiesz, jak to jest ze mną: muszę przedtem trochę się posilić. – Nie spuszczałam z niej oka, gdy zaczęła napępniać szklanki. Wszystkie błyszczały czystością, przy czym jedna przeznaczona była dla niej, uspokoiliam się zatem: kordiał nie zawiera narkotyku. Pijąc cokolwiek w jej domu, należało zawsze zwracać baczną uwagę na takie szczegóły. Gdy panowie podnieśli szklaneczki, aby przepić do gospodyni, uczyniłam to samo. Zaczęliśmy potem częstować się marcepanem, moim ulubionym smakołykiem. Wzięłam kawałek w kształcie wiejskiej chatki; wydał mi się większy od innych.

Przez dłuższą chwilę całe towarzystwo siedziało w milczeniu, za co skrycie dziękowałam

Bogu, bo nagle poczułam się strasznie zmęczona.

– Już czas – oznajmiła Pani Wiedźma głębokim, donośnym głosem: – Moja potęga osiągnęła pełnię, na niebie ukazał się księżyc. Nasienie mocy w mej krwi rozgorzało ogniem. Czas wyrysować magiczne koło. – Angielskich gości przeszedł dreszcz, a i mnie dziwna mgła przesłoniła oczy. Przez jej falujące opary widziałam, jak La Voisin wyjmuje z szafy słoiczki i pudełeczka, jak odmierza z każdego po trochu, jak miesza to wszystko w wielkiej mosiężnej misie. – To do koszy w salonie – wyjaśniła. Pewnie mieszanka opium, ziela świętego Jana, mandragory i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze. Patrzyłam jej na ręce: wyjęła krede, kłębek sznurka oraz pięć świec przechowywanych, jak spostrzegłam, w osobnym pudełku. Otworzywszy drugie pudełko – to było bardzo dziwnego kształtu, metalowe – zaprezentowała gościom spoczywającą w środku zmumifikowaną ludzką głowę.

– Głowa ojcobójcy – stwierdziła z naciskiem.

– Czczy... te... świece zrobione są z ludzkiego tłuszczu? – spytał drżącym głosem pulchny blondyn.

– Ma się rozumieć. Przy rytuale tej rangi innych się nie używa. – Teraz już i drugi towarzysz księcia zaczął drzeć jak listek. La Voisin potrząsnęła srebrnym dzwoneczkiem i w drzwiach ukazała się para lokajów ubranych obecnie na czarno. – Zanieście ofiarowaną do czarnej komnaty – padł rozkaz wsparty wymownym gestem w moją stronę. Wtedy to właśnie przekonałam się ze zgrozą, że nie jestem w stanie podnieść się z krzesła czy nawet poruszyć głową. Kiedy spróbowałam się obrócić, okazało się, że ani ona, ani pozostałe części ciała nie poddają się mojej woli.

– Ile ci za to obiecali? – zdołałam jeszcze wychrypieć; zaraz potem obrzmiały język odmówił mi posłuszeństwa.

– Lepiej za bardzo nie walcz z tym narkotykiem. Przeciążysz sobie tylko system oddechowy, który i bez tego uległ osłabieniu. – Chciałam na nią spojrzeć, ale że nie mogłam poruszyć głową, ona pochyliła się nade mną.

– Pytasz, ile mi płacą? Ładną sumkę, droga markizo. Sama powinnaś zrozumieć, że przez swój niefortunny występ u króla zaprzepaściłaś wszystko, co w ciebie włożyłam. Tak zmarnować moją inwestycję! No i czyż mogę ci ufać, odkąd stałaś się konfidentką! I cóż tak na mnie patrzysz? Nawet głupi by się tego domyślił, a ja głupia nie jestem. De La Reynie nikogo nie wypuści, póki czegoś nie wytarguje. Od jednego to, od drugiego tamto, zawsze jednak postawi na swoim. Nie szkodzi, wszystko jeszcze będzie dobrze – z uśmiechem poklepała mnie po rękę.

– Bo kiedy Astarot zawładnie twoim umysłem, staniesz się na powrót osobą w pełni wiarygodną, rozumiesz? Staniesz się znów jedną z nas! Doprawdy, powinnaś się tylko cieszyć.

Twoja pasierbica ma rację, ty wiedzmo, odpowiedziałam jej w myślach. Wszystko poświęcisz, jeśli służy to twoim celom.

– Ach, widzę w twych oczach pytanie: w jaki sposób podałam ci narkotyk? A taka byłaś ostrożna! Masz rację, wino było czyste, ale marcepan... Zawsze wybierasz największy kawałek!
– parsknęła śmiechem.

Pole widzenia przesunęło się nagle wariacko chybotliwym ruchem – niesiono mnie do salonu. Tam dwaj lokaje umieścili moje bezwolne ciało pod oknem, opierając je plecami o ścianę.

– Szatanie, tyś jest jako strzała spadająca z niebios. Tyś jest tym, który darzy nas potęgą zdolną skruszyć smoka i skorpiona – śpiewnie zawodziła La Voisin. Stojąc pośrodku kredowego koła obrysowała je od zewnątrz ostrzem wielkiego miecza w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, powszechnie uważanym za diabelski. Marie-Marguerite i Sylvie, obie w obcisłych czerwonych szatach i ołowianych diademach na rozpuszczonych włosach, stały za nią, trzymając coś w rękach. Królowa Ciemności po raz drugi zamknęła magiczny krąg, wodząc mieczem po wewnętrznej krzywiznie koła i konturach kabalistycznych symboli: były to trójkąt oraz pieczęć Salomona. Dwie jej adeptki zapaliły przyrządzoną wcześniej mieszankę: z żelaznych koszy i mosiężnej misy buchnęły kłęby cuchnącego dymu. Ona sama uroczystym gestem położyła na zewnątrz kręgu dwie zasuszone głowy: kocią i ludzką. Domyśliłam się, że jest to ofiara, która ma przyciągnąć demona.

– Czy kot... koniecznie musi być czarny? – wybełkotał któryś z Anglików.

– Koniecznie. I trzeba go żywić ludzkim mięsem.

– A obrzęd... czy zawsze wymaga krwi?

– Zawsze. Radzę trzymać ręce przy sobie. Kto sięgnie poza ten krąg, może je stracić. – Panowie co prędzej splekli ręce na piersiach. Zapadło trwożne milczenie. Najwyższa Wiedźma podjęła znów inkantacje, odczytując je ze swojej magicznej księgi. Czerwono odziane adeptki zapaliły świece z ludzkiego tłuszczu i ustawiły je pośrodku kręgu. Dym zionący z koszy stał się po chwili nieznośny. Spektatorzy zaczęli pocić się i kaszleć, Astarot wszelako nie chciał się pojawić.

– Matko, zaklnij go imieniem Lucyfera, jego władcy...

– Dopiero w ostateczności, to zbyt niebezpieczne. Spróbujmy jeszcze raz od początku...

Wzywam cię, Astarot! – krzyknęła. – Zbrojna mocą najwyższych potęg, rozkazuję ci stawić się przed mną w imię Baralamenzisa, Baldachienzisa, Apoloresdesa, jako też w imię najpotężniejszych książąt Tartaru, Genia i Liachideusa, wielkich książąt pieczęci Apologii z dziewiątego kręgu...

Ogarnęły mnie gwałtowne mdłości. Coś napierało na mnie... jakaś nienawistna siła chciała poddać mnie swojej woli... pojawiło się przecucie, że lada chwila stanie się coś okropnego. Marie-Marguerite padła na kolana... włosy La Voisin wiły się jak żywe węże... pełzły po jej szkarłatnej szacie... Władczym gestem uniosła różdżkę.

– Ukaż się! – krzyknęła.

– Widzę, o Boże, widzę! – pisnął jasnowłosy Anglik. – To diablica! Jej zęby ociekają krwią!

– Potworność, och, cóż za potworność! – zawodził jego towarzysz. Opadł na czworaki i jął szarpać na sobie czarną szatę.

– Król... widzę króla na ognistym rydwanie... obwieszonym ludzkimi głowami – wymamlał struchlały Buckingham.

– Zjaw się w postaci nadobnej niewiasty – śpiewała La Voisin.

– Matko, matko, spójrz! Krąg jest przerwany... To on, ten Anglik, gdy zaczął się czołgać... – mówiła nagłym szeptem Marie-Marguerite, ale tamta nic nie słyszała. Jej demoniczna egzaltacja przeszła w głuche zapamiętanie.

Wydało mi się nagle, że zaczynam rozróżniać poszczególne przedmioty. W kończynach odczuwał się ból i mrowienie – narkotyki przestawały działać. Żeby nie te poty... i ten ohydny ból głowy... Znowu pojawiły się potworne mdłości. Panie Boże, wyprowadź mnie z tej zadymionej nory, jak najdalej od tych szaleńców! Gdybym choć miała przy sobie mój kordiał... Kordiał? Od wczoraj nie miałam go w ustach! Do diabła, jeszcze i to! Nic dziwnego, że tak się czuję. Z najwyższym wysiłkiem udało mi się dotknąć twarzy. Tak dziko bolała mnie głowa... Wszyscy uczestnicy obrzędu wili się u stóp Ciemnej Królowej, która nadal stała w monarszej pozie z uniesioną do góry różdżką.

– Objaw się, demonie! Wnijdź w ciało tej niewiasty siedzącej poza kręgiem i jej ustami powiedz nam swe imię!

Pomyślałam, że dym opadł już teraz na dół. Ma wprawdzie ostry odór jakichś ohydnych ziół, ale jest w nim opium, więc... Zaczęłam głęboko wdychać to paskudztwo... nic, żadnej ulgi. Za mało tego opium, do diabła! Tamtym wystarczyło, zachowują się przecież jak skończeni

wariaci, ale nie mnie. Żeby chociaż ustąpił ten przeklęty ból głowy! Niestety...

– Weź ją, Astarot – słyszałam monotony głos La Voisin – wejdź w nią, poddaj ją swojej władzy. Przyjmij tę ofiarę, a w zamian za jej umysł i duszę obdarz tę niewiastę mocą...

– Nie! – rozległ się przeraźliwy okrzyk. Na twarzy La Voisin odbiło się przerażenie: dopiero teraz dostrzegła przerwę w kredowym kole. Z kręgu dały się słyszeć czyjeś demoniczne parsknięcia. Sylvie! Wijąc się jak wąż po podłodze, sarknęła basowym głosem:

– Oto jestem! Czego chcesz ode mnie?

– Opuść ten krąg, weź przeznaczoną ci duszę – rozkazała La Voisin, ujmując miecz, by zamknąć nim przerwaną część koła.

– Nie chcę tej duszy!

– A to co znowu! Przygotowałam ją dla ciebie jak należy! Czyż nie jesteś demonem, że jej nie chcesz? – rozzłościła się Władczyni Demonów.

Buckingham, który zdołał już trochę przyjść do siebie, pogmerał pod czarną szatą i wydobywszy swe nieodłączne lorgnon, zaczął z ciekawością obserwować Sylvie.

– Pyszny widok – mruknął.

– Chwiejna i nic niewarta! Taką ofiarowujesz mi duszę? To głupia i zarozumiała dziewczka, co nie wierzy w Szatana, a księgi rachunkowe woli od kochanków – odrzekła dudniącym głosem Sylvie. Słowa te wzbudziły we mnie protest: o nie, tak mogłaby myśleć pokojówka, prawdziwy szatan musiałby mnie ocenić lepiej. – Wezmę sobie tę oto urodziwą niewiastę – grzmiał dalej fałszywy demon. – Ta będzie wiedziała, o co prosić Diabła, gdy zechce wodzić ją na pokuszenie. Zażąda pałaców, strojów, możnych kochanków, tak, do kaduka! Oto prawdziwa kobieta! Ją wezmę miast tej zimnokrwistej żaby! Filozof w spódnicy! Chude to takie, że komar by się pożywił.

– Ja bym radził posłuchać tego demona – wtrącił swoje trzy grosze Buckingham. – Lepiej go nie drażnić. Kobietka jak się patrzy, he, he, he – stwierdził z lubieżną satysfakcją, przyłożywszy znów lorgnon do oka. – Nie najgorszy gust ma ten demon. – Niepodobna opisać, jak obraźliwe wydało mi się zachowanie tych angielskich wielmożów. Chichotali jak głupi do sera. Zapłacili za rozrywkę, więc wszystko im wolno. Cóż za grubiaństwo!

– W imieniu jego arcyszatariskiej mości Belzebuba rozkazuję ci wyjść z tego kręgu! – krzyknęła La Voisin.

– Jego arcyszatańska moc udał się do Konstantynopola – huknęła basowo Sylvie. – Paryżem ja rządę! Posiadłem tę oto kobietę i mieszkam w jej ciele. Dałem jej moc. Rozkazuję wam czcić ją i wielbić! – Mogłam tylko podziwiać bezczelność Sylvie. Pani Wiedźma, która równie dobrze orientowała się w jej intencjach, ze złości dostała ataku kaszlu. Goście, których zmogły na koniec narkotyczne dymy, wyraźnie osłabli, a jeden z nich nawet zemdłał. Zdesperowana La Voisin rozpoczęła rytuał przepędzania diabła, lecz Sylvie ani myślała się poddać. Opierała się monarchini jak rozwścieczona wilczyca.

– Pozwalam ci odejść, dokąd zechcesz. Uczyn to bez hałasu, nie pozostawiając za sobą niemiłych woni...

– Nie wyjdę! – wrzasnęła Sylvie. – Tak postanowiłem ja, Astarot! – Słyszac to La Voisin dorzuciła do mosiężnej misy szczyptę jakiegoś proszku i w powietrze wionął gęsty kłąb białego dymu. Sylvie kilka razy bezgłośnie otworzyła usta, po czym padła bez przytomności. Mnie w tym momencie zaczęły strasznie łzawić oczy. Zanim straciłam przytomność, zobaczyłam jeszcze nad sobą twarz Czarownicy i jej rozjarzone wściekłością oczy:

– Jak śmiałaś, ty!... Nawet diabeł cię nie chce, ty zimnokrwisty potworze!... Ty... maszyno! I cóż ja wyhodowałam na własnym łonie? Nawet nie zmiję, bo i ona to coś żywego! Przeklęty mechanizm, bezduszny zegar, oto czym jesteś!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

– W gruncie rzeczy to bardzo proste – stwierdził nazajutrz Florent, nalewając kawę. – Przywykłaś do opium tak samo jak przywykli do trucizm włoscy książęta: stopniowo zwiększając dawkę. Ich niepodobna otruć, ciebie zaś opętać. Dlatego też wszyscy inni ulegli halucynacjom, a ty zżymałaś się tylko na kiepską jakość narkotyku. – Oczy miał zapadnięte ze zmęczenia, mimo to widać było po nim ulgę, że wstałam, że rozumiem, co się do mnie mówi.

Owszem, podniosłam się z łóżka, siedziałam jednak skulona we dwoje w samym tylko peniuarze, piastując w dłoniach wciąż jeszcze okropnie obolałą głowę. Pod oczami miałam czarne kręgi, a na całym ciele zastanawiające ślady – jakby mnie coś pokąsało. Mimo długotrwałych ablucji nadal czułam na sobie smród ulicznego błota i raz po raz ogarniała mnie panika, bo przywodził mi na myśl obrzydliwą woń tamtych duszących oparów. Florent odnalazł mnie przed świtem brodzącą po rynsztokach Bonne Nouvelle. Błąkałam się tam bez zmysłów, cała utyłana w nieczystościach. Podobno wyłam jak wilk, chociaż sama zupełnie tego nie pamiętam, pustka. Przypominam sobie tylko parę czyichś silnych ramion i to, że ktoś niósł mnie do domu, a potem te same ręce rozcinały brudne ubranie i zawijały mnie w koce. Pamiętam też, że dostałem konwulsji. Dzięki Bogu, że istnieje kawa, ona postawiła mnie na nogi. Słuchałam więc teraz wyjaśnień Florenta, przyznając mu wiele racji, chociaż...

– Mnie się jednak zdaje, mój drogi, że nie wszystko można przypisać działaniu opium. Myślę, że takie opętanie zależy przede wszystkim od tego, jak dalece chce w nie wierzyć sam zainteresowany. Montaigne powiada, że wiara może uzdrowić ciało albo też sprowadzić na nie chorobę. Może tak samo jest z opętaniem, jak myślisz?

– Hm... Też racja. Tylko któż byłby aż tak głupi, aby życzyć sobie opętania? Nie widzę ku temu żadnego sensownego motywu.

– Ja też nie.

Dolał mi jeszcze kawy.

– Mustafó! – zawołał żywo – przyniosłeś tylko dwie filiżanki! Przynieś jeszcze jedną i napij się z nami. Gdybyś nie wymknął się z tego domu, a później mnie nie odszukał, twoja pani mogłaby już nie żyć.

– Biesiadowanie ze służbą rodzi niestosowną poufałość – zauważył mały człowieczek, stawiając na stole trzecią filiżankę i wdrapując się na wolne krzesło.

– Och, kawa się nie liczy. A poza tym czyż po mnie, człowieku o tak bardzo wątpliwej proweniencji, można się spodziewać dobrych manier? – Ach, ten Florent! Ileż było w nim siły i ożywczej energii! Objawiało się to we wszystkim: w szerokim geście, jakim nalewał kawę, w zdecydowanym kroku, którym podszedł do okna, aby wpuścić do środka rześkie powietrze, bo złapał mnie atak kaszlu: zaczęłam wydychać z siebie resztki trującego dymu.

– Mustafu, a co działo się potem z Sylvie?

– Gilles znalazł ją u madame. Nie mogła chodzić i wciąż wygadywała niestworzone rzeczy. Zarzucił ją sobie na plecy jak worek zboża i przyniósł do domu. Kilka wiader zimnej wody wypędziło chyba z niej demona, przynajmniej na razie.

– On ją kocha, prawda? – spytał Florent. – Coś takiego! Mnie by to nigdy nie przyszło na myśl.

– Beznadziejnie kocha – odparł Mustafa. – Niestety, ona upatrzyła sobie tego truciciela, Romaniego. Powiedziała Gilles'owi, że należy jej się ktoś lepszy. O, Opatrzność nade mną czuwa! Jestem jej głęboko wdzięczny, że oszczędziła mi tych niedoli wzgardzonej miłości.

– Myślę, że może zbyt pochopnie tak mówisz – rzekł półgłosem Florent. Spojrzał na mnie, po czym obrzucił karłą spojrzeniem pełnym osobliwego współczucia. – Takie doświadczenie jest wszak nieodłączną częścią ludzkiej egzystencji. Bóg nikomu z nas go nie oszczędza. – Wbiłam wzrok w dno filiżanki.

– Pardon – powiedział Mustafa, odstawiając swoją. – Zdaje się, że ktoś puka.

Pomyślałam, że chce zmienić temat. A jednak się pomyliłam – ktoś rzeczywiście przyszedł.

– Mustafu – zawołałam, usłyszawszy głosy – poproś tu gościa. Nie czuję się na siłach zejść na dół.

Zamaskowana kobieta, którą w chwilę potem wprowadził do sypialni, strząsnęła z głowy kaptur i zdjęwszy maseczkę, rozejrzała się dookoła z widocznym uznaniem.

– O, pierwszy raz widzę te pokoje! Pięknie umeblowane, madame de Morville! – Nie zapowiedzianym gościem okazała się mademoiselle des Oeillets, dama dworu pani de Montespan. – A kim jest ten dżentelmen? – spytała na widok Florenta, który powstał, by ją powitać. – Czy to magik? – Mój małżonek potwierdził tę sugestię poważnym skinieniem głowy.

– Proszę wybaczyć, że tu panią przyjmuję, ale dziś w nocy uczestniczyłam w obrzędzie ofiarowania duszy demonowi i czuję się wciąż jeszcze do cna wyczerpana.

– Och, nie dziwnego, taka rzecz potrafi człowieka zmęczyć. A jaki to demon? Wyższej czy niższej rangi?

– Wyższej. Sam Astarot. Co gorsza, ktoś przerwał magiczny krąg.

– O, mój Boże! Dziwię się w takim razie, że pani w ogóle przyjmuje! Ja na pani miejscu pewnie przez cały tydzień nie wstałabym z łóżka! – Po tej wymianie grzeczności mademoiselle des Oeillets zaciągnęła mnie za parawan, gdzie przeszła już prosto do rzeczy: – Madame de Montespan pilnie potrzebuje przepowiedni... w najściślejszej dyskrekcji.

– Ale madame przebywa na dworze, mnie zaś nie wolno podróżować do Saint-Germain od... od czasu wiadomego incydentu. Z madame mogłabym się spotkać tylko tu, w Paryżu, zachodzi jednak dodatkowa trudność: zabroniono mi wygłaszania jakichkolwiek przepowiedni natury politycznej.

– Madame jest w mieście. Przybyła dziś w nocy i zamierza wracać jak najszybciej, gdy tylko załatwi pewną sprawę. Chce widzieć się z panią u siebie, doprawdy w największej tajemnicy. Nikt nie może się dowiedzieć, że zasięgała twej rady.

– A więc chodzi o politykę.

– Och nie, to tylko miłość.

– W przypadku madame de Montespan miłość i polityka to jedno. – Co gorsze, zaczęłam się zastanawiać: pewna zemsta La Montespan, jeśli odmówię, czy ewentualna kara zapowiedziana przez króla, jeżeli złamię jego zakaz? Za tym drugim przemawiała nadzieja, że madame też zależy na milczeniu, a więc król się nie dowie, oraz że zainkasuję trochę złota, które będę mogła zamienić na biżuterię. Zwycięskim argumentem stała się biżuteria.

– Wybierasz się więc do pani de Montespan? Rozumiem, że chodzi o przepowiednię – zagadnął mnie z uśmiechem Florent po wyjściu mademoiselle.

– Tak. Znów pewnie rywalka na horyzoncie.

– Zamiast szukać rywalki na horyzoncie, powinna raczej rozejrzeć się po własnym domu. Stawiam duże pieniądze na tę guwernantkę.

– Co? Madame de Maintenon? Nie wierzę. Jest na to grubo za stara. Król lubi drobne młodziutki blondynki. Skąd ci przyszło do głowy, że pani de Maintenon ma u niego jakieś szanse?

– Zapominasz że grywam w karty z największymi plotkarzami tego królestwa – roześmiał się

Florent.

– Astarot chce wiedzieć, czemuż to nie wkładasz zwykłego Przebrania? Jest doskonale! – zaatakowała mnie Sylvie, kiedy poleciłam jej przynieść brązowy habit klasztornej zbieraczki dziesięcin.

– Powiedz swojemu demonowi, że La Reynie nie znosi zapachu ryb! – warknęłam. Że też muszę mieć pokojówkę, która uważa siebie ni mniej, ni więcej tylko za naczynie diabelskich mocy! Czy może być coś bardziej irytującego?

Mój nowy rynsztunek składał się z obszernej sukni, szorstkiego szala oraz płóciennego białego fartucha; całość uzupełniał wiszący u boku olbrzymi różaniec. Uznałam, że wyglądam w tym całkiem nieźle. Oczywiście ukryłam przed Sylvie prawdziwy cel swej wizyty.

– Jak tylko wrócisz z Chatelet, Astarot rozkazuje ci jechać do madame, swej wiernej służki.

– Niech więc Astarot się dowie, że mademoiselle Pasquier nie ma ochoty dać się znowu otruć. Jeżeli madame życzy sobie ode mnie czegoś, równie dobrze może pofatygować się sama.

– Astarot już nakazał madame traktować cię jak najlaskawiej i dla bezpieczeństwa będzie ci towarzyszył. Astarot czuje, że w świecie zanoszą się na wielkie zmiany. Straszne niebezpieczeństwo zagraża jego wyznawcom.

– Sylvie, czy ten Astarot jeszcze ci się nie znudził? Przepędź go na cztery wiatry!

– Astarot rozgniewałby się na ciebie, gdyby nie to, że wie, jaka jesteś głupia. „Bądź mi posłuszna, śmiertelna istoto, a wtedy może zgodzę się opuścić ciało Sylvie” – zabrzmiał basem demon, zwracając się już teraz wprost do mnie. Przyjrzałam jej się uważniej: te oczy! Patrzyło z nich obląkanie. Zwariowała na dobre, nie ma co mówić. Muszę wyznać, że zbyt się tym nie przejęłam; szaleńcy nigdy nie wzbudzali we mnie obaw. U boku takiej osoby minęło mi przecież dzieciństwo. Martwił się za to Gilles. Wyglądał, biedak, jakby miało mu pęknąć serce. W parę dni później podszedł do mnie i powiedział cicho:

– Ten Astarot to gorsze niż kochanek. Jak myślisz, madame, czy pomogłyby tu egzorcyzmy?

– Tak, Gilles, z pewnością – powiedziałam, chcąc go pocieszyć. – Pamiętaj jednak, że Astarot to podstępna i sprytna bestia. Żeby więc zaprowadzić Sylvie do egzorcysty, będziesz musiał go jakoś oszukać.

– Będę o tym pamiętał, madame. Dziękuję za dobrą radę.

Na razie jednak Astarot terroryzował nas wszystkich, nie wyłączając samej La Voisin, która z

czasem zaczęła żałować, że niebaczenie spuściła go ze smyczy.

Musiałam i tym razem czekać w przedpokoju, póki La Montespan nie ukończy masażu. Trwało to przeraźliwie długo. Niestety, pewne zwyczaje nigdy nie ulegają zmianie; ta kobieta, nawet będąc w niełasce, po dawnemu kazała na siebie czekać. Masażystka skończyła wreszcie i po upływie stosownej chwili wpuszczono mnie na pokoje. Madame po ostatnim porodzie strasznie się roztyła, próbowała więc zamaskować grube warstwy tłuszczu na swej słynnej niegdyś kibici odpowiednim fasonem sukni. Ta, którą miała na sobie, była faliście luźna, a uszyto ją z zielonego aksamitu pięknie haftowanego złotą nicią. Twarz madame także się zmieniła. Jej opiewaną przez poetów alabastrową płeć znaczyły widoczne zmarszczki, pod oczami rysowały się ciemne kręgi. Oczy te zachowały barwę akwamaryny, lecz długie miesiące rozpacz i nienawiści pozbawiły je dawnego blasku.

– Mam rywalkę – rzuciła na mój widok; nadal siedziała na brzegu łóżka.

– Tak myślałam.

– To mademoiselle de Fontanges. Ma dziewiętnaście lat, na dworze przebywa od niedawna i nigdy jeszcze nie rodziła dziecka.

– Nie bywam teraz na dworze. Zupełnie nie wiem, co się tam dzieje.

– Dobrze ci to robi, wiesz? Nie jesteś już taka blada, a wyglądasz młodziej niż kiedykolwiek. Mój Boże, gdybym to ja mogła być znowu młoda! Codziennie spędzam po kilka godzin z masażystką i nic! Nic mi nie pomaga. Koniec. Kończy się me panowanie, a z nim razem dowcip i dobry gust na tym dworze. Na moje miejsce znalazł sobie głupią prowincjuszkę. Mówię ci, rozumu ma ona tyle co oślica – z desperacją pokręciła głową. Po chwili dodała jednak zawzięcie: – O, ale uwięzić się nie dam! Pamiętasz, mówiłam ci kiedyś, że sobie to zaprzysięgam. Nie pozwolę mu dożyć tej chwili. W moich żyłach płynie krew Mortemartów, przy których Burbonowie to pospólstwo! I ktoś taki miałby uwięzić córkę Mortemartów? Nigdy, przenigdy! Sami bogowie są temu przeciwni! – Zerwała się z łóżka i przesiadła na fotel stojący przy małym biurku. – Przysuń sobie stołek i postaw tu swoją czarę. Muszę wiedzieć jeszcze tylko jedno: czy ta prowincjuszka, ten nędzny kurzy mózdzek, skradnie mi moje księstwo?

Zgodnie z poleceniem rozłożyłam swoje przybory, a mademoiselle des Oeillets osobiście przyniosła wodę.

– Tu masz jej rzecz – powiedziała La Montespan. – Ukradłam to w zeszłym miesiącu, kiedy

sznurowałam gorset tej małej obmierzłej dziwce. Bo to ja, wyobrażasz sobie, ja ubierałam ją na schadzkę z królem! Musiałam zrobić to samo, co przed laty tamta, La Valliere, wtedy gdy ja po raz pierwszy miałam wstąpić w królewskie łóżce. Fortuna kołem się toczy, co? Kiedy sama byłam wschodzącą gwiazdą, ponizienie poprzedniczki sprawiało mi wielką przyjemność i gdyby wszystko to miało powtórzyć się od początku, moja radość byłaby nie mniejsza. Bo kimże była ta La Valliere? Prostaczką! Dostąpiła honorów, które jej się nie należały. Nie umiała zatrzymać przy sobie króla, no bo jak? Brakowało jej na to i rozumu, i dobrego smaku. Wystawiała się na słońce, tak że brązowiała jej skóra, wyobrażasz sobie? A te sztuczki na koniu! Jaki męzczyzna wytrwa w miłości do kochanki, której największym osiągnięciem jest stanie na grzbiecie galopującego konia? Ale żeby mnie, kobiecie mającej rozum, kulturę, urodzenie, miało rozkazywać jakieś wiejskie pomiotło, tylko dlatego, że nęci króla swą nowością?!... Powiedz mi, powiedz, czy nie zdarzy jej się popełnić jakiejś niewybaczalnej gafy? Może wykończy się sama jak La Ludres? – z tymi słowy wyciągnęła do mnie rękę z malutką kokardką od damskiej koszulki.

Posłusznie przytknęłam ją do czary.

– Madame, widzę jakąś młodą blondynkę... małe usta, nos prosty jak u posągu, naiwne niebieskie oczy... Czy to ona?

– O tak, jak żywa.

– Ale... Ta panna nie wygląda dobrze. Oczy ma zapadnięte... wyczerpana, a może chora?

– To dobrze – wtrąciła gwałtownie La Montespan.

– Widzę ją w karecie perłowej barwy.

– Z królem?

– Nie, jedzie sama.

Madame de Montespan wydała westchnienie ulgi.

– Ile koni ciągnie tę karetę? Widzisz?

– Muszę się przyjrzeć... Powóz jest akurat na zakręcie... to wiejska droga, po obu stronach rosną drzewa. Ach, zbliżają się do zabudowań... jakiś klasztor? Doprawdy nie wiem, nigdy tam pewnie nie byłam. Konie... jeden... dwa, trzy... tak, cztery pary. To ośmiokonna kareta, madame.

– Ośmiokonna! Wiedziałam! A więc to ona ma zostać diuszesa. Ale przysięgam na mą duszę,

nie dożyje ona tej radości!

– Madame, błagam, zechciej się opanować! Przyrzekłaś, pani, dyskrecję.

– Przyrzekłam? – w jej głosie zabrzmiał ton złowieszczej kpiny. – Tak, oczywiście! Najściślejsza dyskrecja. Z mojej strony i z twojej także. Piśnij o naszym spotkaniu bodaj słówko, a stanie się ono twym ostatnim. O tak, będziemy milczeć! Milczenie jest złotem, nieprawdaż? Adieu, madame de Morville. Dopilnuję, byś została sownie nagrodzona. – Opuściłam jej rezydencję, pocieszając się nadzieją, że tą obiecaną nagrodą pozostanie jedynie wręczona mi w przedpokoju przyjemnie ciężka sakiewka.

Wyprawę na rue Beauregard trudno by nazwać przyjemną. Podczas jazdy siedziałam w ponurym milczeniu, jako że Astarot przez całą drogę rozwodził się nad oburzającym brakiem szacunku wobec jego osoby: powóz zaprzężony w jedną parę koni? On, który w piekle podróżuje na grzbietach tysiąca rączych diabełków, nie ruszając się ze swego złotego tronu?

– Sylvie – nie wytrzymał w końcu Mustafa – jeśli nie wyślesz do piekła tego nudnego diabła, to ja zacznę znów chodzić do kościoła.

– Astarot uznaje te słowa za żart.

– Oczywiście, oczywiście – powiedziała szybko. – Niech tylko Astarot dobrze uważa, czy aby madame nie chce nas znowu czymś zażyć. – Z wariatami trzeba łagodnie, sprzeciw tylko ich drażni.

– Madame to niska służka. Astarot może się jej pozbyć ot tak! – Sylvie pstryknęła palcami.

W salonie madame wciąż jeszcze unosił się niemiły zapach; tkaniny, a nawet ściany musiały przesiąknąć narkotycznym dymem. Sylvie natychmiast opanowało podniecenie; jej rozdęte nozdrza zdawały się łowić resztki narkotyku. Zaczęła dziko strzelać oczami, jakby i teraz doznawała jakichś halucynacji. Mnie zrobiło się mdło.

W jadalni, dokąd poprosiła nas Nanon, zastałyśmy Montvoisina, który wyszedł właśnie z kuchni z rogalikiem w ręku.

– Jakże ma się dzisiaj książę piekiel? Czy zdrów?

– Astarot wita małżonka swojej wiernej służki.

Montvoisin omal nie zakrztusił się rogalikiem; zamilkł i usiadłszy w kącie oddał się konsumpcji, nie bacząc na sypiące mu się z ust okruchy. Ja zadowolłam się zwykłym krzesłem, Sylvie wszelako zajęła najlepszy fotel madame, co widząc Nanon ze śmiercią w

oczach udała się na poszukiwanie swej pani. Po krótkiej chwili zjawiała się La Voisin, wściekle szeleszcząc czarną taftą halek pod ciemnozieloną atlasową suknią; podpięty dół ukazywał stosowne podbicie w odcieniu jasnej zieleni. Warkocze ukryte miała pod czepkiem, za to po bokach zwisały jej obfite loki, prawie zasłaniając ogromne szmaragdowe kolczyki. Na widok Sylvie zacięła usta.

– Astarot może siedzieć tylko w fotelu – oznajmiła tamta z osobliwym błyskiem w oczach. La Voisin chwilę przyglądała nam się w osłupieniu, po czym z wolna pokręciła głową.

– Do diabła! – mruknęła pod nosem. Szybko odzyskała kontenans i rzuciła sztucznie wesołym tonem: – No cóż, moje drogie, co było, to było! Wypijecie kropelkę wina?

– Astarot nie pije.

Przygryzłam wargę, żeby się nie roześmiać. Astarot dobrze się sprawiał. Montvoisin wybuchnął piskliwym śmiechem.

– Antoine, dość tego! Mademoiselle, mam do ciebie sprawę, chodźmy do gabinetu.

– Astarot też idzie. Wszystkie interesy zależą od jego mocy.

Madame łypnęła wściekle na Sylvie, po czym przezornie wysforowała się naprzód, by tym razem już nie dopuścić do zajęcia swego fotela. Usiadłam na zwykłym krześle po drugiej stronie jej biurka, Sylvie zaś z oczami płonącymi złością wybrała sobie fotel przy kominku.

Twarz Pani Wiedźmy wydała mi się dziwnie obwisła – ze zmęczenia czy może niechęci – gdy patrząc mi w oczy zaczęła mówić:

– Nadal cię lubię i nadal mi jesteś potrzebna, więc powiedz, dlaczego wzgardził tobą demon? Byłaś tak świetnie przygotowana! Czyż nie ja sama poprowadziłam cię do czynu, który jest żądanym świadectwem mocy? Sama włożyłam ci w rękę truciznę. Któż lepiej od ciebie nadaje się na ofiarę? Jesteś inteligentna, wykształcona. Gdyby on cię przyjął, stałabyś się znów jedną z nas, i to największą spośród wszystkich. Bezlitosną. A on cię nie chciał! – pokręciła głową, jakby żadną miarą nie mogła w to uwierzyć. – Coś musi być z tobą nie w porządku, czegoś ci brak. I wiesz, co ci powiem? Powód może być tylko jeden: należysz do nich – powiedziała cicho. – Tych, co chcą zniszczyć ludzi mego pokroju i profesji. De La Reynie cię kupił. Jesteś zdrajczynią. – Przechyliła głowę i spytała drwiąco, patrząc na mnie spod oka: – No, może mi powiesz, czy nie mam powodów, aby się ciebie pozbyć?

– Nie masz, madame, bo ja ciebie nie zdradziłam, ty natomiast... Czyż nie jest zdradą wydanie człowieka na pastwę demona? Nie wierzę jednak, że chcesz mnie zabić. Gdybyś naprawdę

miała taki zamiar, nie mówiłabyś mi o tym.

Westchnęła ciężko.

– Dojrzałaś, może nawet zanadto, stałaś się zbyt przenikliwa... Ach, nawet nie wiesz, jak bardzo mi byłaś potrzebna! Twój umysł, twoja pozycja, to że cię akceptowało każde towarzystwo, wszystkie te twoje zalety miały służyć memu wielkiemu dziełu, a teraz... teraz zostałam z pustymi rękami. Czy ty wciąż nie rozumiesz, do czego cię stworzyłam? Mogłaś zostać najpotężniejszą spośród naszych władczyń, kiedy nadejdzie twój czas. A teraz czym będziesz? Przelotną miłością jakiegoś karciarza. Skończona. Bezużyteczna.

– Będę sobą.

– No, skoro tak mówisz, to nic już z ciebie nie będzie. Nikt na świecie nie może być sam sobie panem, a ty nie służysz ani niebu, ani piekłu. Czym więc jest owa moc, która mi cię wydarła? I ty musisz przecież uznawać czyjąś władzę! Wyjaw mi jej imię.

– Prawda. Rozum. Bez nich bezowocne jest wszelkie poszukiwanie tego, co w życiu najważniejsze, a ja wciąż jeszcze szukam...

– Czysty obłąd – westchnęła z rezygnacją. – Wszystkie te myśli nadwerżyły ci rozum. Nic dziwnego, że demon cię nie chciał. Nie zmienia to faktu, że nie ma w tym królestwie nikogo, kto by lepiej od ciebie wróżył z wody, a tego mi teraz trzeba. Wielkie dzieło, które przedsięwzięłam, musi postępować. Będę nad nim pracować z tobą czy bez ciebie, jednak nawet przy użyciu całej swej mocy nie potrafię dojrzeć rezultatu. Ty mi to powiesz, masz – wskazała smukłą czarę stojącą na biurku.

– Skup się zatem, madame.

Zacząła mówić cicho i jakby do siebie:

– Rozpoczęłam ogromne przedsięwzięcie. Pomagają mi w tym możni tego świata. Kiedy je ukończę, zasiądę pośród królów, stanę się równa książętom krwi. Ciemność zawiadnie słońcem. – Zerknąwszy na nią stwierdziłam, że oczy ma nieprzytomne. Co to wszystko znaczy? Czyżby i ona nałykała się zbyt wiele odurzającego dymu? Można się było domyślić, że chodzi o jakiś spisek, ale przeciw komu? Kim są jej sprzymierzeńcy? Ha, teraz zrozumiałam, dlaczego de La Reynie zachowuje się w tak dziwny sposób. – Jaka przyszłość czeka to królestwo? – zadała wreszcie pytanie. Spojrzałam w wodę. Była czerwona.

– Widzę krew – wyszeptałam. – Płynie rzeką po bruku Place Royal. Jest jak wielki, niezmierny ocean.

– To dobrze – rzucała słowa jak w transie. – Zemsta... Taka będzie zemsta La Voisin...

– Madame, posuwasz się za daleko! O jakiej ty mówisz zemście? Daj spokój! Nie można ślepo ufać wizjom, które ukazują czara. Przecież nie wiemy, kiedy ta rzecz ma się zdarzyć ani czy ty będziesz w niej brała udział. Lepiej o wszystkim zapomnij.

– O tak! – zawołała szyderczo. – Czyń dobrze, kochaj Boga, odpłacaj dobrodziejstwem wszystkim, którzy nurzają cię w błocie, skonaj w nędzy i idź do nieba! W jednym tylko masz rację, moja mała markizo: pozwolę ci żyć, a wiesz dlaczego? Boś za głupia, żeby mnie zdradzić.

Nawet gdy już zamknęłam za sobą drzwi, wciąż jeszcze ścigał mnie gorzki śmiech Pani Wiedźmy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Gdy flaszki z winem znów zaczęły krążyć wokół stołu, maitre Perrin, z zawodu adwokat, z zamiłowania okultysta, dobrał sobie drugą potężną porcję jagnięcia.

– Madame Vigoreux, poproszę jeszcze odrobinę tego pysznego sosu! – wykrzyknął, osuszając usta serwetką. Był radośnie podochocony wspaniałą kolacją; chwalili ją wszyscy goście – wykwinne jadlo, wyborne wino, towarzystwo tylu inteligentnych osób, podobnie jak on żywo zainteresowanych poszukiwaniem skarbów za pośrednictwem magicznych środków i metod. Za czasów Frondy we Francji ukryto tak wiele fortun! Leżały teraz w ziemi zapomniane, czekając tylko na właściwe zaklęcie, magiczną różdżkę czy wreszcie życzliwość piekieł, by wyłonić się na powierzchnię. Ukryte skarby wszędzie budziły niezmiernie emocje; ludzie wciąż o nich rozprawiali, wiązali z nimi swoje plany na lepsze życie. Sam maitre Perrin, jakkolwiek człowiek nie najgorzej sytuowany, radca parlamentu, również żywił nadzieję na znaczne powiększenie swej rodzinnej schedy, i to już niebawem: nabył niedawno pewien bardzo szczególny pergamin od niewiasty zwanej La Bosse, która, jak się zdaje, miała nader rozległe i cenne koneksje.

W tej chwili wspomniana Marie Bosse zdążyła już mocno poczerwieniec od wina; także jej syn, mężczyzna w mundurze żołnierza, z każdą chwilą stawał się hałaśliwszy. Gospodarz przyjęcia, człowiek niewielkiego wzrostu, z zawodu krawiec, popadł dla odmiany w pijacką zadumę: siedząc samotnie u końca stołu, nucił cichym głosem jakąś melodię. Maitre Perrin też zdrowo dziś sobie podchmielił – znacznie bardziej, niż miał to w zwyczaju.

– Madame Vigoreux – wykrzyknął powtórnie – niezrównana ucztą! Drugiej takiej gospodyni ze świecą by szukać! Cóż za boska obfitość! Pani, składam pokłon twej tajemnej wiedzy! – Wstał i spełnił tę zapowiedź przy akompaniamencie coraz głośniejszych śmiechów.

– Za bogactwo bez pracy! – wznosił toast monsieur Mulbe.

– Co wy tam wiecie, nie douczeni amatorzy – odezwała się La Bosse, wzbudzając tym znowu ogólną wesołość. W tym stadium biesiady humory dopisywały gościom lepiej niż pewność ruchów: na białym obrusie widniały plamy od wina. Noc była już późna, świece na stole dopalały się z wolna. – Trzeba by wam widzieć, jakie ja zbieram żniwo – chełpliwie oświadczyła stara wiedźma. – A jaką mam klientelę! Markizy, diuszesy, nawet księżęta krwi! Maluczko, a wycofam się z interesu. Ze trzech jeszcze otruję, i starczy!

Siedząca naprzeciw La Vigoreux rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Maitre Perrin

przypadkiem to zauważył i nagle groza skrzyła mu trzewia. Na Boga, w jakież on się wdał towarzystwo! W jednej chwili opuściły go wszelkie myśli o zakopanych skarbach. Reszta biesiadników zaczęła ryczeć ze śmiechu, jakby przechwałki starej nie były niczym więcej niż tylko pijackim żartem; maitre Perrin udał, że podziela ów dobry nastrój. Wyszedł wraz ze wszystkimi, zegnając gospodarzy mnóstwem kwiecistych komplementów. Jakkolwiek było już dobrze po północy, udał się prosto do mieszkania Desgreza, kapitana paryskiej policji. Służący i żona Desgreza jęli pospiesznie zapalać świece, a sam kapitan, nie zważając na swój nocny strój, wprowadził Perrina do gabinetu. Zdawał się nie mieć nic przeciwko temu, że tak nagle zerwano go z łóżka.

– O, pachnie pani znacznie przyjemniej – orzekł następnego przedpołudnia de La Reynie. – Czemu zawdzięczam ten honor?

Markiza de Morville, która przed chwilą zjawiała się w jego gabinecie, odziana dziś była w czarny jedwab i żałobną onyksową biżuterię. Siedząc teraz przy końcu długiego stołu, zdecydowanym ruchem ręki otworzyła swój wytworny wachlarz z hebanowych pręcików łączonych czarną koronką. Gest ten nie wiadomo czemu zirytował pana de La Reynie. Czyżby mimo wszystko wolał ją w przebraniu handlarki ryb?

– Pańskim sierżantom, którzy z niesłychanym pośpiechem wywlekli mnie z salonu marszałkowej, gdzie mnóstwo gości chciało zasięgnąć mej porady co do wygranej w karty – odcięła się ostrym tonem.

– Mamy sprawę nie cierpiącą zwłoki – wyjaśnił de La Reynie, wskazując gestem Desgreza siedzącego przy drugim końcu stołu w towarzystwie dwóch ponurych podkomisarzy. – Chcemy zadać pani parę pytań w sprawie... hm... wróżbiarskiego rzemiosła, jeśli tak tę rzecz można nazwać.

Markiza de Morville skinęła lekko głową; jej mina zdawała się mówić: Więc proszę, chociaż wątpię, czy ma to jakikolwiek sens.

– Darujmy sobie niepotrzebne wstępy i przejdźmy od razu do rzeczy: kto tutaj, w Paryżu, jest najlepszym wróżbitą?

– Ja, oczywiście – wytwornie zatoczyła wachlarzem; gest ten sprawił, że klejnoty na jej ręku nagle rozblęły ogniem.

– Ach tak. A na którym miejscu postawiłaby pani niejaką Marie Bosse?

– La Bosse? Och, to okropna kobieta, wulgarna i niepiśmienna, na tyle jednak sprytnie

posługuje się kartami, że potrafi skutecznie mącić ludziom w głowach. To wszystko. Dobre towarzystwo nie korzysta z jej usług. – Policjanci przyjęli tę wypowiedź z wyraźnym acz powściąganym zainteresowaniem.

– Konkurentka – mruknął Desgrez.

– Najwidoczniej. To dobrze... więcej się dowiemy – rzucił półgłosem jeden z podkomisarzy.

– Kim jest kobieta znana jako La Vigoreux?

– Też jest wróżbitką. Jej specjalność to czytanie z dłoni.

– Zna ją pani, madame?

– Owszem, jest bowiem żoną damskiego krawca, u którego właśnie szyję suknię. Gdyby nie to, pewnie bym jej nie znała. Co się zaś tyczy jej wróżbiarskich praktyk... To amatorka! – Słyszac protekcyjnalny ton markizy, de La Reynie uśmiechnął się pod wąsem.

– No, no, rzec by można, że każda gospodyni domu, której zabraknie pieniędzy na drobne wydatki, zaczyna się parac wróżbiarstwem – rzucił jowialnie, lecz owej dobrodusznosci przeczyło spojrzenie, chłodne i badawcze.

– Dość to bliskie prawdy – przyznała markiza, poprawiając długi tren swojej czarnej toalety, a jedwab wydał rozgłosny szelest. – Szkoda tylko, że znakomita ich większość nie jest bodaj trochę lepsza. To tak bywa, kiedy szewc zabiera się do pieczenia chleba.

La Reynie spojrzał na Desgreza, ten zaś dość posępnie skinął głową.

– Czy te dwie, La Vigoreux i La Bosse, znają się nawzajem?

– Naturalnie. Bardzo się przyjaźnią – odrzekła z zupełnym spokojem markiza.

– A czy często razem biesiadują? Czy orientujesz się, madame, kto bierze zazwyczaj udział w ich przyjęciach? – Uwagi policjantów nie uszła bystra inteligencja skryta za chłodnym spojrzeniem szarych oczu markizy. Jej umysł musiał teraz mocno pracować. Wszyscy bez słowa podjęli tę samą decyzję: w żadnym razie nie można jej stąd wypuścić, póki sprawa nie zostanie załatwiona.

– Jestem pewna, że bardzo często spotykają się przy wspólnym stole, lecz doprawdy nie znam bliżej ich stałych kompanów. Łatwo się domyślić, że to pewnie jacyś drugorzędni magicy, karciarze, być może także oszuści i fałszerze monet. Nie są to ludzie, z którymi chciałabym utrzymywać jakiegokolwiek stosunki. – Odpowiedź była klarowna i co ważne, udzielona została bez wahania. De La Reynie doszedł do wniosku, że madame de Morville nie może być

zamieszana w sprawę. Jednak to jej opanowanie... Już samo to wydawało się podejrzane. Jeden z podkomisarzy wystąpił teraz z własnym pytaniem:

– Czy według pani wróżbici mają... hm... swoje korporacje na wzór bardziej szacownych zawodów?

– Owszem, wzór jest mniej więcej ten sam. Podobnie jak w innych profesjach i tutaj zawód ma charakter dziedziczny, różnice zaś polegają na tym, że do terminu rzadziej niż gdzie indziej przyjmuje się obcych, po drugie, że na czele owych stowarzyszeń stoją zwykle kobiety.

– Madame de Morville, co pani wiadomo o tak zwanych proszkach spadkowych? – wtrącił jakby mimochodem Desgrez.

– Tyle, ile wie cały Paryż – odrzekła bez mrugnięcia powieką. – Fama głosi, że wszędzie ich pełno – mówiła dalej, ni o włos nie zmieniając tonu. – W każdym przypadku nagłej śmierci zaczyna się gadanie o truciznie. Wyznam, że ja przynajmniej czerpię z tego niezły profit. Przychodzi wciąż do mnie mnóstwo ludzi, którzy z obawy przed otruciem proszą, bym wykryła ich cichych wrogów. Mówiłam już panu o tym, monsieur de La Reynie, w czasie... ach... naszych wcześniejszych rozmów. Uważam naturalnie te obawy za przesadne, nie mam jednak najmniejszego zamiaru informować o tym klientów.

Panowie przy stole po raz kolejny wymienili spojrzenia.

– A co byś, madame, powiedziała o charakterze tej La Bosse? – podjął znów pan de La Reynie.

– Czy uważa ją pani za kobietę skłoną do przechwałek?

– Niewiele mogę powiedzieć. Nasza znajomość ogranicza się do tego, że czasami przelotnie widuję ją na ulicy. Nie odpowiada mi ta osoba. To wdowa po jakimś handlarzu końmi. – Pana de La Reynie z lekka ubawił jej ton: cóż za bezmiar snobistycznej pogardy!

– A czy może ta wdowa objawia pociąg do butelki lub czegoś szlachetniejszego, takiego jak, dajmy na to, opium? – przyciął jej zręcznie. Ze skrytą satysfakcją zarejestrował nagłą irytację markizy, o czym świadczyło zarówno rzucone mu spojrzenie, jak i nader gwałtowne zamknięcie wachlarza. Nareszcie udało mu się skruszyć żelazny pancerz jej opanowania. Przeklęta kobieta.

– Jeśli jest podobna do innych osób tego pokroju, to pewnie pije jak szewc – rzuciła kąśliwie.

– To już wszystko, madame de Morville. Niestety, będę musiał panią prosić o pozostanie w moim salonie, kto wie czy nie do wieczora. Sierżant dotrzyma pani towarzystwa. A może chciałabyś, pani, bym cię zaopatrzył w jeszcze jeden zbiór budujących kazań?

– Jest pan jak zwykle niezmiernie łaskaw, monsieur de La Reynie, a pańska gościnność nie ma sobie równych.

– Pani zaś jak zwykle zechce zachować dla siebie wszystko, o czym tu była mowa.

– Sam pan wie, że muszę milczeć, jeśli chcę uprawiać swój zawód – warknęła markiza. Na ustach pana de La Reynie zaigrał dziwny uśmiezek pełen, rzekłbyś, zmysłowej satysfakcji, a spojrzenie nabrało miękkości.

Markiza była już w drzwiach, kiedy dobiegł ją przyciszony głos Desgreza: „Tak, monsieur, uczynię to natychmiast. Każę Lebrunowi posłać do niej żonę.”

Przystanąła na moment, lecz zaraz ruszyła dalej, nie dając po sobie poznać, że coś usłyszała.

Tego właśnie popołudnia, gdy śmiertelnie znudzona madame de Morville stała przy oknie wychodzącym na tyły Hotel La Reynie, Maria Bosse sprzedała flakonik arszeniku żonie pewnego policjanta, która przyszła jej się wyżalić na brutalność swego małżonka.

– Powiadasz, żeś ich zastał w łóżku? Dobrze ci się trafiło, Desgrez. Takie aresztowanie to duża wygoda – rzucił de La Reynie znad papierów. Podpisywał właśnie swój cotygodniowy raport dla króla. Desgrez stał przed biurkiem z kapeluszem w ręku.

– Wszystkich w jednym łóżku, monsieur. La Bosse, jej dorosłego syna i jeszcze kilkoro innych. Świadczy to...

– Że kazirodztwo jest odwiecznym grzechem czarownic? To chciałeś powiedzieć? Co tam czarownice! Mnie one nic nie obchodzą. Szukam truciznielek. Chcę dobrać się do korzeni tego przeklętego spisku.

– Zatem zawartość szaf obu tych wiedźm posłuży panu za dobry początek. Są tam chyba wszystkie trucizny świata, nie licząc czarnych świec, woskowych figurek, medalionu z podobizną króla...

– Króla?! – Nawet tak zwykle opanowanemu panu de La Reynie z wrażenia zaparło oddech. Wizerunek najjaśniejszego pana w takim miejscu mógł służyć jedynie praktykom sprowadzającym śmierć.

– Desgrez – powiedział cicho – myślę, że wreszcie ich mamy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Dopiero późnym popołudniem mogłam zawezwać powóz i zakończyć tę swoją przymusową wizytę. Losami La Vigoreux i La Bosse nie przejmowałam się zbyt. Powinny być obie dość bystre, by rozpoznać żonę policjanta. Co innego Jątrzyło się we mnie przez te długie godziny spędzone w salonie Pana de La Reynie: jego obelżywa uwaga o moim pociągu do opium – Dlatego też gdy tylko udało mi się wyrwać na wolność, popędziłam prosto na rue Forez – do laboratorium La Trianon. Wściekłość kazała mi podjąć twarde postanowienie. Ze sklepu dwóch moich znajomych wysypała się grupka trzpiotowatych młódek – wszystkie nosiły fartuchy i drewniane chodaki. Chichotały głośno jak najęte, a na mój widok skrzętnie coś ukryły. Pewnie jakiś napój miłosny.

W czarnym saloniku pojawiły się nowe elementy dekoracyjne, co wymownie świadczyło o kwitjącym stanie interesów. Na obramowaniu kominka widniał skomplikowany diagram przedstawiający wszystkie kręgi nieba i piekła, a przed nim świeca wetknięta w kocią czaszkę. Na stoliku do kabały ustawiono kilka tajemniczych buteleczek i kasetkę z kartami do tarota; obok spoczywało dzieło poświęcone fizjonomice. Alkowę z portretem diabła dyskretnie zasłonięto kotarą, za to wuj dyndający na drucikach tam, gdzie go zawieszono, nabierał szlachetnej patyny. Ludzki szkielet wydaje się doprawdy czymś dziwnie bezosobowym. W trakcie kilku poprzednich wizyt zdążyłam się już przekonać, że jego widok nie budzi we mnie żadnych uczuć z wyjątkiem może niejakego ukontentowania. Dźwięk dzwonka przywołał La Trianon.

– Ach – wykrzyknęła - to ty droga marklzo! Cóż cię do nas sprowadza? Chyba nie skończyło ci się jeszcze lekarstwo?

__ Nie, ale o tym właśnie chcę z tobą pomówić. Koniecznie muszę odstawić ten kordiał.

– Och, już to mówiłam. Cóż takiego się stało? Znow powiedział ci jakiś lekarz, że od tego umrzesz? Tyle to i my ci mówimy. Połknęłaś go już więcej niż którakolwiek ze znanych mi żyjących istot.

– Niestety, to moja wielka słabość. Sprawia, że łatwo mnie złamać, a ja tego nie chcę – czasy mamy bardzo niebezpieczne.

Oczy La Trianon zwięzić się do rozmiarów szparek.

– A więc wiesz... – wyszeptwała. O czym? Nie miałam pojęcia, oco jej chodzi, mogłam się jednak domyślać, że nie jest to nic dobrego.

– Ona ci powiedziała? – indagowała mnie dalej szeptem. – Chociaż... przed tobą trudno coś ukryć, czytasz przecież w naczyniu wyroczni. Powinam była wiedzieć, że i tego się dowiesz. – Słuchałam z miną nieprzeniknioną. Nie wolno mi było zadawać pytań; mogłyby tylko ujawnić moją niewiedzę.

– Sama nie wtykam nosa w cudze sprawy – powiedziałam wymijająco – jednak nic na to nie poradzę, że czasami dowiaduję się czegoś niechcący. Ale nie po to tu przyszedłam. Chcę cię prosić, żebyś rozcieńczyła mój kordiał, tak jednak, by nie zmienił smaku. Będę ci płacić tyle samo, tylko bardzo proszę, zmniejszaj z każdym tygodniem dawkę opium, dobrze? Z początku o czwartą część, potem o połowę i tak dalej. Spróbuję, oszukując w ten sposób samą siebie, w końcu się odzwyczaić.

La Dodee, która weszła właśnie do saloniku po jakieś papiery, posłała mi powitalny uśmiech. Słyszała widać, co mówiłam, bo wtrąciła z życzliwym humorem:

– Tylko żeby nie skończyło się tak jak ostatnio, kiedy to zaczęłaś wymiotować krwią. Jeszcze madame pomyśli, żeśmy cię struły. – Zauważyłam, że na jej widok La Trianon raptem zamilkła. Ach, czyli ukrywa sprawę nawet przed własną partnerką. W co ta La Voisin się wdała? Jakiegokolwiek jest to przedsięwzięcie, z pewnością musi być niebezpieczne. La Trianon odczekała, aż młodsza współpracowniczka wyjdzie, i gestem kazała mi się zbliżyć.

– Muszę pogadać z tobą poufnie – szepnęła bardzo cicho. – La Voisin... W żaden sposób nie mogę przywołać jej do rozumu, ale ty... do ciebie zawsze miała słabość. Może posłucha, gdy powiem, że to ty mnie ostrzegłaś.

– Opowiedz mi wszystko. Przysięgam dochować tajemnicy.

– Ano tydzień temu przysłała po truciznę. Chciała takiej, która by przenikała przez tkaninę. Bo umyśliła sobie zatruć podnózek i tym sposobem uśmiercić tego, kto położy na nim stopy. To rzecz niemożliwa i tak też jej powiedziałam. „Nawet nie próbuj – mówię – bo stracisz przez to reputację. No, chyba że to ktoś, kto wyjeżdża za granicę, to ostatecznie... Taki jak wpadnie w furję, kiedy trucizna nie podziała, nie przybiegnie do ciebie z pretensjami”. „Potrzebuję tego tutaj, w Paryżu, i to się musi udać”, ona mi na to. Tak dziwnie mówiła, prawie jak szalona – w pospiesznym szepcie La Trianon dźwięczała panika.

– Tą klientką może być tylko La Montespan – odszepnęłam.

– Wczoraj postawiłam karty i wiesz? Królowa Patek skrzyżowała się z Królem Mieczu. A potem wyłożyłam śmierć i Powaloną Wieżę. Ja też jestem pewna, że to La Montespan. Ona

pragnie zemsty.

– Wiem. Słyszałam to z jej własnych ust.

– Ale nie wiesz, że kiedy tylko król odsunął panią de Montespan, La Voisin od razu nasłała Romaniego na tę nową metresę, pannę de Fontanges. Chodzi za nią jak cień. – W nagłym olśnieniu objawiła mi się teraz cała struktura spisku. A więc takie jest to wielkie dzieło La Voisin... Ach, te jej ambicje! Musi oczywiście widzieć w tym również pieniądze... i to kolosalne... znacznie przewyższające zasoby samej La Montespan. Skąd płyną? Z zagranicznych skarbców. W tym momencie zrozumiałam coś jeszcze: śmiertelną ofiarą La Voisin ma się stać nie tylko mademoiselle de Fontanges.

– No tak... – wyszeptałam. – Król już nie jada u La Montespan ani nie pija z nią wina, ale co tydzień zjawia się w jej apartamentach z kurtuazyjną wizytą, w otoczeniu całej świty. Zasiada wtedy w wielkim fotelu, a stopy opiera na specjalnym podnóżku przeznaczonym tylko dla niego...

– Tak właśnie ma się to odbyć – wytchnęła La Trianon.

– Niestety, karty pokazują jasno, co się stanie, jeżeli La Voisin nie odstąpi od swoich planów: sama zginie i wszystkich za sobą pociągnie. Nie wiem tylko, czy Powalona Wieża oznacza nasze stowarzyszenie, czy też całe królestwo, ale reszta nie ulega wątpliwości.

– Chcesz pewnie, bym spojrzała w przyszłość?

– O, tak! I postaraj się jak najlepiej. Niech to będzie prawda, najgorsza nawet, ale prawda. Zaczekaj. – Pomknęła do pracowni, skąd wróciła ze szklanym naczyniem pełnym czystej wody.

– To mi wystarczy. Innych rzeczy używam tylko dla efektu – wyznałam.

– Wiem o tym. – Usiadła przy stole do tarota, gdzie przedtem postawiła czarę. – La Voisin dobrze cię wyszkoliła. Wielka szkoda, że tak się to z tobą kończy. Gdybyś nawet nie miała już więcej wróżyć, i bez tego mogłaś zostać naszą królową... największą. Prawdziwą władczynią wszech czasów. Ale ty się zmarnowałaś i to przez takie głupstwa, jak mężczyźni.

Spłynęło już na mnie to szczególne uczucie słabości i odurzenia towarzyszące pojawianiu się wizji. Tym razem migotliwy obraz z wolna wypływający z dna czary był, o dziwo!, dobrze mi znany. Dziewczyna o szarych oczach, teraz już wiedziałam, że to ja sama, stała wpatrzona w morze. Ale... okrywający ją płaszcz nie był tym samym, który widywałam w dawnych wizjach: niebieski, ze złotym galonem i lśniąca podszewką, która błyskała czerwienią, kiedy wiatr odginał jego poły. Znałam ten płaszcz bardzo dobrze. Wiele razy wypatrywałam go z okna mej

sypialni, szukałam wzrokiem w ulicznym tłumie, ilekroć mój powóz powoli torował sobie drogę pośród ludzkiej cizby. A więc obraz, przez tyle lat taki sam, uległ zmianie! Za plecami dziewczyny formowała się druga postać. Mężczyzna. Wiatr szarpał piórami na kapeluszu, więc przytrzymał go ręką, drugą zaś objął dziewczynę okrytą jego płaszczem. Uniosła ku niemu oczy i na ich twarzach pojawił się uśmiech.

– Mój Boże! – wyszeptałam. – Przyczyna i skutek. Wolna wola istnieje. My, wróżbici, jesteśmy głupcami! Nie ma fatum. Przyszłość powstaje w działaniu. Ale kiedy nastąpiła ta zmiana i dlaczego – mruczałam bezładnie.

– O czym ty gadasz? Co widzisz? – pytała zaniepokojona La Trianon.

– O tym, że sami kształtujemy własne losy... tylko nie rozumiem, jak się to dzieje, że obraz...

– Za to ja wreszcie rozumiem, o co chodziło La Voisin, mi mówiła o tobie. Za dużo czytasz tych książek. Żeby taki talent musiał przypaść akurat pedantce, co wszystko chce zaraz ważyć i mierzyć! I tak robi kobieta! Kto to słyszał? Mów, co tam widzisz.

– Ach, po prostu morze. Ten obraz ukazuje mi się od czasu do czasu... zawsze kiedy szukam czego innego. Spróbuję raz jeszcze. – Poczulałam taką słabość, jakby wyciekły ze mnie wszystkie soki żywotne. Zmąciłam palcem obraz i powtórnie spojrzałam w wodę. – Teraz widzę madame. Jest w stroju dworskim, w tej swojej ciemnozielonej sukni. Na palcu ma pierścień z ogromnym szmaragdem, a w ręku... trzyma flakonik... chyba jeden z waszych. Skrobie w drzwi... białe, dwuskrzydłowe, z wypukłym złożonym ornamentem... znajdują się przy końcu jakiegoś korytarza... marmurowa posadzka... Ach, już wiem! To wejście na pokoje La Montespan w Saint-Germain. Drzwi się uchylają... staje w nich mademoiselle des Oeillets... teraz kładzie palec na ustach. Madame wręcza jej buteleczkę, a ona co prędzej zamyka drzwi.

La Trianon dziwnie skurczyła się w sobie, jakby nagle przybyło jej sto lat.

– Widziałam to w kartach – jęknęła. – Czeka nas śmierć. Pójdę ją błagać, żeby dała spokój. Jaki demon pychy pcha ją w to szaleństwo?

– Znasz go: La Montespan.

– Nawet i ta nic by nie wskórała, gdyby sama Catherine była temu przeciwna. Ale ona chce tego, rozumiesz, chociaż wie, że to samobójstwo. One obie to wiedzą.

– Madame czuje, że wraz z upadkiem La Montespan kończy się i jej panowanie, a wiesz równie dobrze jak ja, że nigdy się z tym nie pogodzi. Aby zachować swą wielkość, gotowa jest nawet otworzyć wrota piekieł. Niech świat rozpadnie się w gruzy, byle ona mogła nim władać.

– A zawsze była osobą tak praktyczną! – westchnęła La Trianon. – Teraz wzięło w niej górę coś innego, co też miała w sobie. Jakaś niesamowita fantazja. Z niej czerpała natchnienie, wiesz? Czy ktoś inny mógłby marzyć o wyniesieniu naszej profesji do takiej potęgi? A ona tak. I z tych swoich marzeń potrafiła stworzyć prawdziwe imperium, lecz teraz...

– Teraz ją one zgubią – dokończyłam.

– Powiedz raczej, że przez nie zginiemy wszystkie – sprostowała La Trianon, podnosząc się żywo od stołu. – Niech no te jej rejestry wpadną kiedy w ręce policji, a będzie to oznaczało mój koniec i twój też, moja mała. Spróbuję z nią jeszcze raz pogadać. Są bezpieczniejsze sposoby nabijania kiesy niż podsycanie w La Montepan tych jej rojeń o zemście. Beznadziejne mrzonki.

– A jej własna żądza sławy i chwały? Czym ją nasycisz? To nie takie łatwe. – Tak, La Voisin zżera żądza wielkości, pomyślałam, ale to jeszcze nie wszystko. Jej marzy się jakiś szaleńczy odwet. Zemsta dla samej zemsty, tak mroczna i tak wszechogarniająca, żeby zdruzgotała pół świata, w tym nawet ją samą i nas wszystkie. Zbierając się do odejścia czułam, że umysł mój działa jak zegar, w którym ktoś za mocno naciągnął sprężynę. Muszę, koniecznie muszę wydobyć od La Voisin swój kontrakt i rejestr z literą P. Bez tego jestem zgubiona. Mogę zmienić nazwisko i wygląd, mogę uciec za granicę, nic z tego: i tam któregoś dnia ujrzę pod drzwiami Desgreza. Będzie mnie ścigał wszędzie. Czy jest takie miejsce, gdzie byłabym przed nim bezpieczna? Tylko Nowy Świat, westchnęłam sama do siebie. A muzyka, teatr, a moje ukochane książki? Wyrzec się wszystkiego? Czy potrafiłabym żyć wśród barbarzyńców, gdybym nawet sama tego chciała? Ach, cała ja! Tu też żyję wśród barbarzyńców, ale do tych już się przyzwyczaiałam i dlatego ich wolę... Jednego byłam pewna: ani słowa Florentowi o tych dokumentach. Wystarczy, że się dowie, co jest w zielonej teczce, i łuski spadną mu z oczu. Czar pryśnie. Ujrzy mnie taką, jaką jestem w rzeczywistości. Wtedy mnie porzuci. Stracę go na zawsze i nieodwołalnie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

– Śliczny Lorito! Mądry Lorito! – skrzeczała babcina papuga, spacerując po drążku i zerkając co chwila w przytwierdzone u końca lusterko, noworoczny prezent od Florenta. Wiedział ten mój małżonek, czym zadowolić ptaka! Ze swej ostatniej wyprawy za granicę przywiózł całą górę podarków, którymi obdzielił wszystkich domowników. Sylvie tak uradował prześliczny czepeczek z mnóstwem jedwabnych wstążek, że przez kilka dni nawet słówkiem nie wspomniała o demonie.

– Florent, odkąd wróciłeś, ten ptak stał się przeraźliwie próżny. Jak paw! Nie wstyd ci, żeś go tak skorumpował?

– Próżny ptak! Śliczny ptaszek! – triumfalnie oznajmił Lorito, muskając pióra przed lustrem.

Florent, wciąż jeszcze w szlafroku, wygodniej ułożył stopy na podnóżku i odstawivszy filiżankę, obrzucił ptaka dumnym spojrzeniem posiadacza.

– Mnie nie oprze się żadna papuga – oświadczył z chępliwą satysfakcją. – To samo dotyczy salonowych piesków. Jedynie z kotami łączą mnie kiepskie stosunki. Znamienna rzecz, nie uważasz?

– Czyżbyś tym tłumaczył niechęć, którą ty i madame żywicie do siebie nawzajem? Podejrzewam, że nie tylko koty są tego przyczyną. Tak, mój drogi! Wciąż jeszcze mi nie powiedziałaś, dlaczego wyrzuciła cię za drzwi! W dodatku w obecności madame de Poulailon.

– Miałem nadzieję, że się o tym nie dowiesz. Teraz widzę, że w żadnej sprawie nie wolno mi cię nie doceniać.

– Chcę wiedzieć, Florent! Muszę wiedzieć na wypadek, gdybym zaczęła na przykład otrzymywać nagle prezenty... Wiesz, perfumowane rękawiczki czy butelkę jakiegoś zanego wina... Ty też powinieneś może znaleźć sobie inną praczkę...

– Och, aż tak znowu się nie martw. Po prostu jej pokazałem, że należy się ze mną liczyć, i tyle. Próbowałem wykupić od niej twój kontrakt. Można wszak było przypuszczać, że chętnie go przehandluje, skoro ostatnio przynosisz jej kiepski dochód. Ha, ale ona mnie wini za to! Tak więc odmówiła, no i doszło do sceny... Ostrzegła mnie bardzo mocno, bym się nawet nie ważył myśleć o małżeństwie z tobą, jej współniczką. Ja natomiast cały czas kwestionowałem legalność tej waszej umowy i tak osiągnąłem zamierzony cel: wyjęła twój kontrakt, chcąc mi udowodnić, że wszystko jest zgodne z prawem. Teraz już wiem, gdzie go trzyma.

– Florent, na litość boską, nie próbuj się tam włamywać! Mógłbyś przypłacić to życiem. Wystarczy, że cię uważa za mego kochanka... już i to jest piekielnie groźne.

– Sylvie, bardzo proszę, przynieś mi jeszcze czekolady. Jest doskonała – rzucił nonszalancko Florent, a kiedy poszła do kuchni, nakazał mi gestem ostrożność. – Uwierz mi na słowo – mruknął półgłosem – że i tę twoją Wielką Wiedźmę z pewnością potrafię przechytrzyć. Skoro ufasz, że cię wywiozę z Paryża, myśląc czujność Desgreza i jego sfory, to chyba będę umiał odzyskać też kilka papierów.

– Florent, błagam cię, nie ryzykuj! Ten kontrakt nie jest taki ważny.

– Przeciwnie, jest nadzwyczaj ważny i nie wmawiaj mi, że o tym nie wiesz. To jedyny konkretny dowód twego związku z La Voisin. Wszystko inne można uważać za plotki. Bywasz w jej domu? Cóż z tego? Bywa tam pół Paryża, i nawet de La Reynie nie jest w stanie śledzić tylu ludzi, gdyby chciał to brać pod uwagę. Muszę zdobyć ten kontrakt i rejestr z literą „P”. Widziałem go na górnej półce. – Ze zgrozy zrobiło mi się słabo: przestanie mnie kochać, jak tylko przejrzy tę teczkę!

– Ty wiesz o rejestrze? – wyjąkałam.

– Muszę wiedzieć o wszystkim, przez co mógłbym stracić cię na zawsze, Genevieve. Zbyt długo czekałem na szczęście, bym miał je teraz postradać.

– Posłuchaj, kochanie, naprawdę nie ma potrzeby tak się z tym spieszyć. La Bosse i La Vigoreux zostały aresztowane ponad miesiąc temu, a jak widzisz, policja nie tyka madame ani nikogo z jej grona. Tak samo było przed dwoma laty po aresztowaniu kawalera de Vanens, tego fałszerza monet. Wykryli, że jest trucicielem, i na tym sprawa się skończyła. Innych nie szukali. Zobaczysz, te chmury szybko się rozejdą. Zająłbyś się lepiej sprzedażą moich obrazów, zamiast niepotrzebnie tracić czas na jakiś rejestr, zwłaszcza że La Voisin dobrze go pilnuje. – Florent kiwnął głową, a ja pomyślałam, że przyznał mi rację.

Minął luty i choć pierwsze marcowe wiatry przejmowały dotkliwym chłodem, czuło się już pierwszą nieśmiałą zapowiedź wiosny. Jeszcze trochę, niosły się powietrzem szepty, i zakwitną kwiaty, a ryby znów zejdą na daleką pozycję w jądłospisie – tam, gdzie ich właściwe miejsce. Florent czynił postępy w sprzedaży moich obrazów, co po cichu napełniało mnie smutkiem; zdążył już pozbyć się również olbrzymiego kredensu, który z braku sreber stał się bezużyteczny.

Któregoś przedpołudnia, pożegnawszy jedyną w tym dniu klientkę, spostrzegłam, że Sylvie,

nucąc coś sobie pod nosem, ochoczo odkurza meble. Cóż za zbawienna odmiana! Astarot nie lubił tego zajęcia.

– O, Sylvie, taka jesteś dzisiaj wesoła! A gdzież to Astarot?

– Daleko. Pojechał złożyć rodzinną wizytę.

– To demony też mają rodziny?

– A pewnie! Wiedziałybyś o tym, gdyby cię który posiadał. Astarot ma całe tuziny ślubnych żon i jeszcze więcej metres, nie licząc dzieci i dalszych krewnych... Piastuje też nie byle jakie stanowisko! Podlegają mu przecież nieprzeliczone rzesze pomniejszych diabłów. Wiesz, ile to wszystko wymaga starań? Musiał jechać, choć mówi, że woli Paryż.

– Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, woli Paryż – westchnęłam. – Przygotowałaś mi tę czarną taftową suknię? Po południu jadę wróżyć hrabinie de Soissons.

– Oho, zbliża się wiosna! Niedługo wszyscy zapragną nowej miłości i dobrych wróżb. A ty, madame, znów zaczniesz zarabiać krocie. I teraz zresztą miałabyś się nie najgorzej, gdyby nie ten karciarz, którego wzięłaś na garnuszek. Nie myśl, że go nie lubię, ale tak kogoś rozpuścić to już przesada! Pozwoliłaś mu przegrać swe ulubione obrazy! Niewolnica miłości, ot, na co ci przyszło! Masz szczęście, że madame jest tak zajęta, bo już by ci powiedziała parę słów do słuchu.

– O, to ja powiem ich kilka tobie, jeśli zaraz nie otworzysz drzwi! Mustafu! Gdzież on się podziewa, kiedy jest potrzebny?

Wróciwszy z kuchni, dokąd poszłam poszukać Mustafy, zobaczyłam, że Sylvie wprowadziła już do salonu dwóch ponuro wyglądających obywateli; jurystów, sądząc po ich długich togach i wielkich perukach. Jeden stał do mnie plecami, z jawnym zainteresowaniem oglądając meble, drugi w tej właśnie chwili przebiegł palcami po ścianie, w miejscu gdzie pozostał jaśniejszy prostokąt po sprzedanym płótnie; uniósłszy rękę do oczu, jął wyraźnie szukać na niej kurzu.

– Widać, że usunięto stąd obraz – stwierdził głośno. – Zdaje się, mistrzu Pasquier, że powiadomiono cię w samą porę. – Na dźwięk tego nazwiska krew zastygła mi w żyłach. Mój brat zaprzestał kontemplowania mebli i obrócił się do mnie twarzą. O, ależ postarzał się przez te pięć lat! Policzki miał jeszcze bardziej nalane tłuszczem, a oczy fałszywą cnotą. Były tak pozbawione wszelkiego życia jak dwie stare rzepy, które zbyt długo przeleżały w kopcu, a kolor jego skóry nieodparcie przywodził na myśl te opasłe różowe robaki, co lubią wyłazić z ziemi po ulewnym deszczu. Ha, nieczęsto czyjś wygląd tak pasuje do jego profesji!

– Proszę, proszę! Wszak to Etienne, zacny braciszek pijawka! Czemu zawdzięczam tę wizytę? Przepuściłeś już wszystko, coś zarobił na handlu naszą siostrą? – Ucieszyłam się widząc, w jak wielką wprawiło go to furię. Tak wielką, że towarzysz musiał go hamować.

– Przynajmniej nie zaprzecza swojej tożsamości – zauważył.

– Zawsze miałaś język wścieklej jędry, moja siostró. po tym jednym rozpoznałbym się w każdych okolicznościach. Mniemam, że przymusowe milczenie w klasztornej celi poprawi twoje obyczaje i przyniesie pożytek twej zbłąkanej duszy. Sama z czasem będziesz mi za to dziękować. Twe obecne życie to prawdziwa hańba.

– Ja mam dziękować tobie? Za to, że nieproszony wdzierasz się do mego domu? Za to, że niczym para lichwiarzy szacujecie obaj moj dobytek?

Zza pleców dobiegł mnie cichy szept Sylvie:

– Mustafa, biegnij do galerii sztuki na Pout Notre-Dame i sprowadź monsieur d'Urbea. Powiedz, że mamy kłopoty.

Teraz Etienne z kolei zmuszony był hamować swego wzburzonego towarzysza:

– Nie zwracaj uwagi na jej obelgi. Przekonaliśmy się dowodnie, że mój informator mówił prawdę. Spokojnie... Qna nje ma zacmych szans ucieczki... a ja już wkrótce będę mógł usunąć tę horrendalną plamę na honorze mojej rodziny.

Postąpiłam krok naprzód i wpiłam się wzrokiem w to świętosz-kowate oblicze. O, pragnęłam w tej chwili mieć wzrok bazyliuszka! Mój brat cofnął się przede mną.

– Kto ci powiedział, że tu mieszkam? – spyta}am lodowato.

– Mam swoje sposoby. Nawet wśród policjantów można znaleźć informatorów. Wiem, że de La Reynie cię osłania aie i on ma wrogów. – Nie da się temu zaprzeczyć, pomyślałam. Zwłaszcza wśród jaśnie wielmożnych, którzy chcą mu przeszkodzić w ujawnieniu ich konszachtów z okultystami i całym paryskim podziemiem. Jakiś ich stronnik w policji posiadający dostęp do kartoteki postanowił mnie cichcem usunąć. De La Reynie straciłby tym samym ważne źródło informacji. Wystarczyło szepnąć słówko memu braciszkiowi.

– I cóż takiego powiedział ci ten konfident? Że mademoiselle Pasquier mieszka na rue Charlot i że jest bogata, ty zaś w imię honoru rodziny powinienes przejąć jej dobytek, a ją zamknąć w klasztorze?

– Powiadomiono mnie, owszem, że moja zbiegła siostra uprawia wróżbiarski proceder, że

okryła nasz ród straszną hańbą, a teraz na dodatek nawiązała rujnujący ją romans z pewnym hazardzistą.

– Ach tak, i zdąży roztrwonić majątek, zanim ty położysz na nim łapę, co braciszku? Cóż za niestosowny pośpiech!

– Tymi obelgami szybciej tylko kopiesz sobie grób – splótł ręce na piersi i zmierzył mnie beczelnie hardym spojrzeniem.

– Przypuszczam, że i mego małżeństwa nie uznasz za przeszkodę dla swych dalekosiężnych planów. – Cofnęło go o krok na te słowa, Sylvie zaś... Sylvie wyraźnie doznała wstrząsu. Jej spojrzenie stało się dziwnie nieobecne; pojawiło się w nim wyrachowanie.

– Kłamiesz. Kto chciałby się żenić z takim wszetecznym monstrum?

Zbrojna w najmodniejszą toaletę i kosztowne koronki, roześmiałam mu się prosto w twarz:

– Cała rzesza posagowych łowców! Czyżby twój konfident ci o tym nie doniósł? Nie? Powinieneś zażądać zwrotu łapówki. Spóźniłeś się, biedaku, w wyścigu do mej fortuny. Uciekła ci, widzisz, sprzed nosa. A teraz przyjmij do wiadomości, że obrażasz zamężną kobietę, i to w jej własnym domu! – Po tych słowach rozsiadłam się w moim szkarłatnym fotelu za bezpieczną zaporą złoconej powierzchni szerokiego biurka. Przed sobą miałam szklaną czarę spoczywającą na kunsztownej podstawie w kształcie smoka.

– Ty mała spryciaro! – krzyknął Etienne, podchodząc do biurka. – Gotowaś na każde kłamstwo, byle się mnie pozbyć, co? Nic z tego. Nie wcześniej ci uwierzę, aż zobaczę twe świadectwo ślubu. Wydam rozkaz, aby cię ujęto, a tego awanturnika każę aresztować! – zaczął wrzeszczeć, jakby hałaśliwość mogła zastąpić brak logiki. Gilles, który od pewnego czasu miał na oku obu natrętów, wysunął się teraz z ukrycia i stanął u podnóża schodów, skrzyżowawszy na piersiach swe potężne ręce.

– Chcesz naruszyć świętość małżeństwa, którą tak wychwała nasz władca? – spytałam z gryzącą ironią. – Ach, pewnie nie wiesz, że zostałam mu przedstawiona. Wyobraź sobie, że sam najjaśniejszy pan zapragnął wysłuchać moich przepowiedni. – Na wzmiankę o królu oblicze drugiego jurysty przybrało wyraz najgłębszego szacunku, Etienne jednakowoż zanadto dał się już ponieść pragnieniu posiadania moich mebli, by cokolwiek mogło go powstrzymać. – Uważaj, ty hipokryto! – syknęłam. – Przestań mnie niepokoić, bo i ty będziesz zmuszony odpowiedzieć na kilka nieprzyjemnych pytań!

Dał się słyszeć stuk otwieranych drzwi i odgłos czyichś ciężkich kroków. Towarzysz Etienne'a

pociągnął mego brata za rękaw, w widoczny sposób próbując nakłonić go do odejścia.

– Och nie, zostańcie jeszcze panowie! – wykrzyknęłam z powściąganym triumfem. – Pragnę przedstawić wam mego małżonka – dodałam, z lubością obracając to słowo w ustach. Sylvie z nie spotykanym u niej wyrazem twarzy rzuciła się odebrać płaszcz Florenta. Zza jego pleców wychynął Mustafa. Mój mąż jednym rzutem oka ogarnął całą sytuację i przez twarz przemknął mu lekki uśmiezek.

– Co za honor – przemówił zwodniczo łagodnym tonem – panowie prawnicy. Czyżby twoi krewni, moja droga? Chyba nie, nie dostrzegam bowiem żadnego podobieństwa. Jeżeli wszelako podają się za członków twej rodziny, muszą niewątpliwie pochodzić z nieprawego łoża – zrobił efektowną pauzę. Etienne ku mej uciesze oblał się krwistym rumieńcem.

– Ty kłamliwy łotrze! – krzyknął. Spostrzegłam nieznaczny ruch ręki Mustafy w stronę ozdobnej szarfy, którą przepasany był jego kostium, posłałam mu więc spojrzenie nakazujące zaprzestać dalszych działań.

– Drogi mężu – zwróciłam się do Florenta – mój brat był tak dla mnie łaskaw, że przyprowadził ze sobą świadka. Kochanie, co myślisz o tym, by zostać właścicielem rezydencji w Cite? Stanowi ona moje niezaprzeczalne dziedzictwo, skoro sam starszy brat zdecydował się potwierdzić mą tożsamość.

– Masz na myśli Hotel Pasquier? Czy nie wydaje ci się on nieco ponury, najdroższa? – odrzekł Florent, z doskonałym wyczuciem wchodząc w swoją rolę.

– Nie szkodzi, skarbie. Możemy go odrestaurować za pieniądze ze sprzedaży tej ślicznej wiejskiej posiadłości, którą babcia zapisała mi w spadku. Mam niepłonną nadzieję, braciszku, żeś zachował ją dla mnie w dobrym stanie.

– Ty suko! – ryknął Etienne. Spojrzałam na Florenta, on na mnie i oboje pomyśleliśmy o tym samym: szach i mat w dwóch ruchach.

– Maitre Pasquier, czy to prawda? – spytał jego towarzysz.

– Nic podobnego... Ja...

– Etienne – weszłam mu w słowo – nie próbuj łapać dwóch srok za ogon. Albo jestem twoją siostrą, którą podstępnie pozbawiłeś należnego dziedzictwa, albo nią nie jestem, w którym to wypadku wtargnąłeś do domu obcej osoby w celu bezprawnego zagarnięcia jej własności. Bardzo proszę, wybierz jedno lub drugie w obecności szacownego niewątpliwie świadka, którego jakże stosownie byłeś uprzejmy sprowadzić.

– Pan mnie okłamał, maitre Pasquier... naraził na szwank mą reputację – sapał skonfundowany prawnik.

– I cóż? Wciąż jeszcze wahasz się, drogi bracie? Pozwól, że pomogę ci podjąć decyzję. Informuję cię mianowicie, że policja zna twoje sprawki. Być może podejrzewa cię nawet o zamordowanie tej biednej dziewczyny, której ciało rozpoznałeś jako moje. Mustafó, zaniesiesz ode mnie liścik panu de La Reynie.

– Chodźmy już, chodźmy – powtarzał towarzysz Etienne'a, szarpiąc go za rękaw. – Swych roszczeń może pan dochodzić później.

– Co? Już panowie uciekają? I to akurat w chwili kiedy konwersacja przybrała tak interesujący obrót! – Florent spojrział z ubolewaniem w stronę Etienne'a, którego kolega zdążył tymczasem dowlec już prawie do drzwi. – Jaka szkoda! Może więc innym razem? Żegnam panów.

– Brawo, brawo! – roześmiała się Sylvie klaszcząc w dłonie z ogromną uciechą. – Ubawiłam się całkiem jak w teatrze. – Ja i mój małżonek wymieniliśmy również szerokie uśmiechy.

– Niestety, kurtyna nie zapadła, jak to się dzieje w prawdziwym teatrze – zauważył Florent z troską w głosie. – Twój brat może tu wrócić. Niech no zacznie badać prawdziwość twych twierdzeń, a wiesz, co się stanie? W najlepszym razie trzeba będzie okazać nasz kontrakt ślubny i tak oto fakt twego małżeństwa stanie się znany wszystkim zainteresowanym. Niedobrze! Nie brałem tego pod uwagę! – zaczął chmurnie krążyć po pokoju. – Przeklęty! Diabli nadali tego łotra! Niechby sobie przyszedł miesiąc później! Teraz będę musiał wymyślić coś innego.

– Astarot powiada, że on wszystko załatwi – oznajmiła zniecka Sylvie.

– A żeby was! Raczcie się zamknąć, ty i ten twój nieznośny demon! Nie widzicie, że myślę? – krzyknął Florent w skrajnej irytacji. Sylvie wybuchnęła płaczem.

– No, no, Sylvie – zaczęłam ją uspokajać – pan d'Urbec jest bardzo zdenerwowany... ale z pewnością nie chciał urazić wielkiego księcia demonów. – Sama poczułam nagle, że muszę usiąść. Etienne przyniósł z sobą tyle bolesnych wspomnień... o wuju, o ojcu konającym w swoim wielkim łożu, o mojej ślepej, obłąkanej matce bezradnie objijającej się o meble... Nie miałam odwagi o nich mówić ani nawet trochę dłużej myśleć. Pragnęłam jak najszybciej uciec od tych wspomnień. Ukryłam twarz w dłoniach tak wyczerpana i pusta, jakbym utraciła całą swą cielesną realność, jakbym ja także stała się już tylko ulotnym wspomnieniem samej siebie.

– O, dobry Boże, i jak mam dziś wróżyć madame de Soissons? – jęknęłam, kładąc głowę na

oparciu krzesła. – Taka jestem słaba...

– Co? – zainteresował się Florent. – Hrabina jest w mieście? A to czemu? Wszyscy przecież siedzą w Saint-Germain. Widać dzieje się coś niedobrego, chciałbym tylko wiedzieć co.

– Nie sędzę – odparłam lekceważąco. – Tę kobietę mogło tu przygnać byle głupstwo, począwszy od niestrawności, a kończąc na nowym kochanku.

Tym razem nie miałam racji. Wysiadając z powozu u podnóża ogromnych schodów, spostrzegłam Viscontiego, który w tej właśnie chwili ppuszczał pałac. Skulony przed ostrymi podmuchami marcowego wiatru, z nisko opuszczoną głową, wyglądał jak uosobienie kompletnego upadku ducha.

– Hej, panie Primi! – Na mój widok natychmiast się wyprostował i przybrał beztroski wyraz twarzy.

– O, witam, witam, madame de Morville! Moje gratulacje, wyglądasz z każdym dniem młodziej.

– Dziękuję, jakkolwiek nie twoja to zasługa, monsieur Primi. Powiedz mi lepiej, co tu się dzieje? Kolejny pojedynek jasnowidzów? A może pokaz, na którym mam wystąpić w towarzystwie tresowanego niedźwiedzia bądź jakiegoś mechanicznego cuda?

– Madame, winienem ci przeprosiny. Widzisz, demaskowanie wróżbitów, magików i innych sztukmistrzów to ulubiona zabawa naszego króla.

– Zatem następnym razem zdemaskuj sam siebie, ty szarlatanie! Już się prawie zdecydowałam spalić twą podobiznę. Będziesz miał nauczkę, jak trochę pocierpisz.

– Ach, zawsze mówiłem, że straszna z ciebie jędza... A te czary... teraz już wszystko mi jedno – powiedział z ciężkim westchnieniem.

– Cóż ty masz za powód do smutku? Nadal jesteś jego faworytem. To mnie był łaskaw zrujnować.

– Teraz wszyscy jesteśmy zrujnowani. Zgubieni, droga markizo. Gdybym mógł, uciekłbym stąd nie zwlekając, za nic jednak nie mogę... miłość, pojmujesz? Tak więc zostaję, ryzykując życiem.

– Czuję, że zdążę tu zamarznąć, zanim przyjdzie mi umrzeć z głodu. Schrońmy się w odrzwiach.

– Lepiej już zamarznąć, niż żeby nas ktoś podsłuchał – wskazał głową umundurowanego

szwajcara przy wejściu. Zostaliśmy więc na schodach, nie bacząc na zimno. Wiatr szalał tak, jakby chciał nas rozerwać na strzępy. – Przed paru dniami rozeszły się plotki, jakoby paryscy wróżbici pomagali spełnić się swym proroctwom za pomocą trucizn – powiedział półgłosem Primi. – Aresztowano jakąś okropną staruchę, o której dotąd nawet nie słyszałem, Marie Bosse... Ta pociągnęła za sobą pewną wróżbitkę zwaną La Vigoreux. Poznałem kiedyś tę kobietę u madame de Vasse... wróżyła mi z ręki. Teraz siedzi w Chateau de Vincennes, gdzie za każdym razem, gdy biorą ją na tortury, sypie podobno nazwiskami swoich współników.

– Ależ Primi, czyś ty chory na umyśle? I cóż znaczy taka jedna wróżba? Nawet jeśli wymieni twe nazwisko, uznają cię niewinnym, podobnie jak wszystkie te głupie kobiety, którym czytała z ręki. – Nawet nie przypuszczałam, że w zdenerwowaniu wcale nie zauważy, że zwyczajnie ciągnę go za język.

– Gdybyż chodziło tylko o to, droga markizo! – zaczął mówić jak w gorączce. – Niestety, sprawa jest dla mnie groźniejsza, niż możesz sobie wyobrazić. Kobieta, którą kocham... ach, trzeba by ci ją widzieć, to bóstwo! – równie szybko popadł teraz w uniesienie jak przedtem w melancholię. Wreszcie ucałowawszy własne palce na wspomnienie ukochanej, podjął znowu swoją opowieść: – Poznaliśmy się, rzecz by można, zrzędzeniem losu: wezwała mnie do siebie, bym powróżył jej z dłoni. Spojrzałem i strzała miłości trafiła mnie prosto w serce: te oczy, ta rozkoszna kibić! Od pierwszej chwili poczułem, że muszę ją zdobyć! Przepowiedziałem jej przyszłość: wkrótce zakocha się we mnie namiętnie i przyjmie moje oświadczenia. Nieszczęściem była już zamężna. Jeszcze gorzej, że jej małżonek w pewien czas potem rozchorował się i umarł. Sama rozumiesz, że w tych okolicznościach ja jestem pierwszym podejrzanym. Mogłem go wszak łatwo otruć przy pomocy tej La Vigoreux.

– Zerwałeś zatem ten związek?

– Ach, skądże! Cóż za niedorzeczność! Jak mógłbym ją rzucić? Co wieczór kochamy się namiętnie... Spętany jestem łańcuchem Kupidyna... widać przeznaczone mi jest zginąć przez miłość...

– Primi, jesteś szaleńcem!

– A jakże! Kimże innym być można w tym naszym obłąkanym świecie? Adieu, markizo! Spotkamy się pewnie dopiero po tamtej stronie.

– Primi, zaczekaj! – krzyknęłam za odchodzącym. Przystanął. Jego odpowiedź nadleciała do mnie wraz z podmuchem wiatru:

– Nic więcej nie mam do powiedzenia. Nasz świat się skończył. Na zawsze i bezpowrotnie. Idź pocieszać hrabinę, a nie zapomnij o zapłacie! Bierz z góry! – Przez chwilę obserwowałam jego smukłą postać na stopniach powozu, a gdy konie ruszyły z miejsca, mignęła mi jeszcze w oknie jego głowa smętnie odrzucona na oparcie, z nasuniętym na oczy kapeluszem.

Długo czekałam w lodowatym przedpokoju komtesy. Ta marmurowa posadzka! Szyby w wysokich oknach grzechotały od wiatru, spod bogato złożonych drzwi dał strumień piekielnie zimnego powietrza. Czegóż ona chce tym razem? Radzi się aż dwóch wróżbitów... musiało rzeczywiście wydarzyć się coś na dworze... Usłyszała jakieś plotki? Ciekawe, czy pragnie coś zyskać, czy się czegoś boi?

Wyglądała niezwykle kiepsko. Na jej i tak już dość pobrużdżonych policzkach pojawiły się nowe zmarszczki, które bezskutecznie starała się ukryć pod grubą warstwą bielidła. Rozbiegane oczy w małej i wąskiej twarzy czyniły ją podobną do zaszczutego lisa, a wymuszony uśmiech tak przedziwnie rozciągał jej wargi, że przypominał raczej bezgłośny krzyk. Tym razem to nie romans z królem jej w głowie, pomyślałam. Ona się boi.

– Madame de... czy jak się tam teraz nazywasz... Wiem, że twoje przepowiednie mówią prawdę. Visconti wypatrzył dziś na mej dłoni niepokojącą przerwę w linii losu, z kart zaś wyczytał, że grozi mi niełaska. Rozumiesz? Czekam na upadek. Ma wyjść na jaw jakiś sekretny fakt z mojej przeszłości. – Ach, chodzi więc o te pogłoski wywołane aresztowaniem La Bosse i La Vigoreux, o których mówił mi Primi. Nie wiedział jednak, że śledztwo nie wyszło poza krąg La Bosse, że nikogo z zaufanych ludzi La Voisin nie spotkały żadne przykrości... Czyżby więc hrabina właśnie od La Bosse dostała kiedyś truciznę, która pomogła jej pozbyć się męża? Ha, jeśli tak było, ma teraz powód do niepokoju! La Bosse od kilku tygodni poddawano torturom, mogła więc już ujawnić sporo nazwisk z listy swych klientów. Mimo najściślejszej tajemnicy śledztwa wiadomość o tym najwidoczniej dotarła do dworu, być może za pośrednictwem jakichś nazbyt gadatliwych urzędników. Któryś z nich szepnął coś żonie, ta przyjaciółce i tak dalej. Hrabina jest w takim strachu, że jeśli nawet nie otruła męża, to musi mieć na sumieniu innych nieboszczyków. Ciekawe, ilu ludzi zdążyła już wyprawić na tamten świat tą swoją bielutką rączką? Kto wie, czy nie tylu, że wystarczy tego na skazanie nawet osoby jej rangi. – Chcesz zatem, pani, wiedzieć, co cię czeka – zagałam rozmowę, rozwijając kabalistyczne płótno. Tak nisko pochyliła się nad czarą, że diamenty jej naszyjnika zapaliły w wodzie małą tęczę. – Madame, bardzo proszę – powiedziałam – od tych barw mąci się cały obraz.

– Muszę... muszę wiedzieć! – szepnęła z determinacją, odsuwając się odrobinę.

– Widzę ten sam obraz, co wiele lat temu... pani powóz, lokajów w zwykłych szarych liberiach... konie w pełnym galopie i mrok dookoła. Jest z panią markiza d'Alluye... nie rozmawiacie... na obu twarzach widać napięcie...

– Ach, więc to ucieczka, a nie żadna schadzka. A ja przez tyle lat uważałam tę wróżbę za twą jedyną pomyłkę! Cóż za gorzka niespodzianka! A ty wiedziałaś to od początku. Dlaczego mnie nie ostrzegłaś?

– Chwileczkę, madame... w wodzie tworzy się inny obraz. Jest pani gdzieś... to chyba zagraniczne miasto... widzę jakieś osobliwe stroje... nie wyglądają na francuskie. Już wiem. Jest pani na mszy w obcej świątyni.

– Jestem więc ocalona!

– Zaraz! W tylnej części nawy kryje się dwóch ludzi, z których jeden dźwiga wielki sak. Ten drugi... chyba go rozpoznałem!... opuszcza nagle rękę... ach tak, to sygnał dla towarzysza. Ten... o, jest i trzeci po drugiej stronie z taką samą ogromną torbą! Teraz obaj je otwierają... O Boże! Mieli tam pełno czarnych kotów, które skaczą na wszystkie strony, rozbiegają się po całej świątyni! Tłum zwraca się przeciwko pani... Ludzie chyba myślą, że te koty to diabły i że to pani sprawka, madame. Krzyczą, miotają groźby... szarpiają na tobie suknię, jakby chcieli cię rozerwać na strzępy... ach, biegną twoi lokaje... trwa bójka... ty i madame, uciekasz do powozu.

– Ten człowiek... co wywołał całe zamieszanie... kim jest? Mówiłaś, że go rozpoznajesz.

– To agent paryskiej policji, madame. – Desgrez. Czy miałam jej mówić, że to pies gończy, który wie, jak dopaść ofiarę? Że to on podstępem wywabił z kryjówki madame de Brinvilliers?

– A więc zginę! Podburzą motłoch i rzucają mnie tej zgrai na pożarcie. Och, jaki szatański pomysł! Zabić mnie, ale tak, żeby nie było winnych. Nikczemni parweniusze! Nie śmiają atakować wprost osoby z rodu Mancinich, więc wymyślili podstęp. Przysięgnę, że to Louvois. On mnie nienawidzi. Nienawidzi wszystkich przewyższających go urodzeniem. Znam ja go dobrze! Zemści się na mnie pod płaszczykiem prawa. De La Reynie to jego kreatura, nim się posłuży. Taki on jest... podstępny, przewrotny i... umie czekać. Nikt nie jest przy nim bezpieczny, nawet ród Mancinich. Powiedz mi, jak umrę.

– Madame, za to zawsze żądam zapłaty z góry. – Schowałam pieniądze i spojrzałam w czarę. – Dożyjesz starości – powiedziałam. Hrabina de Soissons wybuchnęła szaleńczym śmiechem. Zerwała się z miejsca i wzniosłszy do góry wyciągnięte ręce zaczęła piskliwie krzyczeć:

– Ha, ha! Dożyję starości, widzisz, Louvois! Nie uda ci się, ty głupcze! – Przypomniała sobie o

mnie i rzuciła z udanym lekceważeniem: – Louvois! Cóż on dla mnie znaczy! Tyle co nic! – pogardliwie strzeliła palcami. Przeczyły temu jednak i płonące szaleństwem oczy, i dalsze słowa: – Nędzny mały bourgeois! Przysięgam, jeszcze się na nim zemszczę.

Kiedy po wielu trudach memu woźnicy udało się wreszcie wjechać w rue de Picardie, opadłam na poduszki i zamknęłam oczy. Czułam się niemal chora ze zmęczenia. Jak zawsze po zbyt długich wróżbach. Jeszcze kilka takich posiedzeń i chyba umrę, pomyślałam smętnie. Musiałam się potem zdrzemnąć, bo dopiero silne szarpnięcie przywróciło mi świadomość – powóz stanął na rue Forez. Już tylko to pozostało mi dziś do załatwienia: odebrać ostatnią porcję kordiału z zawartością jednej czwartej opium.

Drzwi otworzyła mi La Dodee. Jej tak zwykle wesół buzia w ładnym obramowaniu białego czepeczka była dziś wydłużona ze zmartwienia.

– Ach, jesteś nareszcie – powiedziała, wycierając w fartuch mokre ręce. – Twoja mikstura już gotowa, trzeba ją tylko jeszcze rozlać do butelek. La Trianon koniecznie chce się z tobą widzieć. Wiesz, ona zamartwia się na śmierć, mówi, że musisz jej powrócić.

– Nie mogę – jęknęłam – wróżyłam dziś całe popołudnie. Zemdleję chyba, jeśli bodaj raz jeszcze przyjdzie mi spojrzeć w czarę.

– Chodźmy do kuchni. Usiądziesz wygodnie, nogi położysz wysoko, a my zaparzemy kawę. Zobaczysz, zaraz powrócą ci siły. Chyba wiesz, że dzieją się straszne rzeczy. Nad naszymi głowami rozpętała się burza... pioruny padają gęsto... Musimy wiedzieć, kogo teraz trafi.

Usiadłam w przysuniętym do ognia fotelu. Któraś z uczennic musiała przynieść podnózek, bo pamiętam, że czyjaś ręka układała mi stopy. Zaraz potem ktoś inny zaczął mocno szarpać mnie za ramię.

– Zbudź się! No, obudź się wreszcie! – usłyszałam nagłący głos La Trianon.

– Co?... Ależ ja wcale nie śpię. Tak tylko przymknęłam oczy, żeby dać im odpocząć.

– Dziwne. To pewnie twoje oczy tak chrapią.

– Ja chrapię? Nic podobnego! – natychmiast usiadłam prosto. La Trianon stała obok, oparłszy ręce na biodrach. Rękawy czarnej sukni miała podwinięte do łokci, jakby właśnie odeszła od pracy.

– Pomyślałam, że to cię rozrusza, weź, pokrzep się trochę – sięgnęła po filiżankę. – Musisz nam powrócić, to sprawa życia i śmierci.

Już łykając słodką, piekielnie mocną kawę, czułam jej dobroczynne skutki. Głęboko wciągnęłam w nozdrza ciemny, intensywny aromat i mocniej objęłam filiżankę. Tak przyjemnie grzała mi ręce.

– Świetnie – orzekła La Trianon – wyglądasz dużo przytomniej. Czara już stoi na stole. – Spojrzałam we wskazanym kierunku: woda w szklanym naczyniu migotała srebrzyście, odbijając resztki dziennego światła. Jedna z uczennic zamiatała podłogę, szara kotka w koszu za piecem troskliwie szorowała swoje małe. La Dodee przy pomocy drugiej uczennicy kończyła rozlewać mój kordiał.

– Popatrz! Wasza harpia traci pióra – zauważyłam. – Pewnie mole.

– Żeby to tylko harpia! Wszystko się rozprzęga! Kto może, ten ucieka... my z La Dodee musimy tu zostać. Tu jest nasz dom, tu zarabiamy na chleb. Ale może jeszcze nie wszystko stracone. Madame planuje wielkie posunięcie, które ma nas ocalić. Wybiera się do króla z petycją. Musimy wiedzieć, czy jej się uda, by w zależności od tego coś postanowić.

– Co to za petycja?

– Jest zatruta – szepnęła La Trianon. – Nawet ona – wskazała La Dodee – o tym nie wie. Madame w przyszłym tygodniu ma wręczyć ten papier królowi. Była już raz w Saint-Germain, jednak tłum zagroził jej drogę, tak że wróciła z niczym. Mówi, że następnym razem już na pewno... Dla nas... dla nas to teraz tak ważne, by jej się powiodło.

– Nie rozumiem, jak ta trucizna ma w niego wniknąć. Przez oczy, gdy zacznie czytać?

– Och, nie! Przez kieszeń. Papier pokryty jest silnie trującym proszkiem. Król, przyjmując petycję, ma zwyczaj bez czytania wkładać ją do tej kieszeni, gdzie trzyma chustkę, rozumiesz? Kiedy umrze, wszyscy jego ministrowie upadną, powstanie zamęt. Kto w takiej chwili będzie myślał o sprawie czarownic? Przerwą to okropne śledztwo, zanim La Bosse zdąży pograżyć nas wszystkie.

– A jeśli madame się nie uda?

– To będzie z nami koniec. Umrzesz ty, ja, La Montespan, wszyscy Mancini i reszta.

– Cóż, zobaczymy więc, co nas czeka. – Przynęłam sobie stołek, La Trianon tymczasem gestem nakazała oddalić się uczennicom, a nawet swojej współpracownicy.

– Później... później wam powiem. Nie wolno przeszkadzać markizie. Ta wróżba musi być niezawodna.

Woda w naczyniu zaczęła ciemnieć, jakby wchłaniała w siebie zapadający zmierzch, a potem w samym środku błysnęła pomarańczowy płomyk...

Z początku był bardzo mały, lecz z każdą chwilą potężniał, aż w końcu wypełnił całą czarę.

– Co widzisz?

– Ogień... Poczekaj, jest tam coś jeszcze. – Nad morzem ognia dostrzegłam czubek potężnego pala. W głębi, pośród płomieni, siedział ktoś żywy, skuty łańcuchami. Z wykrzywionej twarzy dobywał się bezgłośny krzyk męki. – Tam... w ogniu... jest ktoś, kogo torturowano... siedzi, bo... ma połamane nogi... To... zaczekaj, nie widzę wyraźnie... – tak nisko pochyliłam się nad czarą, że od mego oddechu na wodzie powstały zmarszczki. Obraz drgnął i zachybotał. Gwałtownie poderwałam głowę. Teraz już wiedziałam! – To madame! Pałą ją żywcem!

– Jesteś pewna, że to ona?

– O tak! Włosy ma spalone na popiół, twarz całkiem czarną, ale to ona! Ją rozpoznałabym wszędzie... Och, pomocnicy kata biorą haki... rozdzierają nimi ciało, ale o Boże!... ona chyba jeszcze żyje... widzę, jak porusza rękami... – Ogarnęła mnie potworna słabość. Harpia, sufit, wszystko zawirowało mi przed oczami i... omal nie spadłam ze stołka.

– Chodźcie tu! Szybko! – La Trianon zdążyła mnie pochwycić; nadbiegły pozostałe i pomogły mi dojść do fotela. – Więć czeka nas najgorsze – jęknęła La Trianon. – Marie, biegnij na róg po winegretkę. Muszę zaraz do madame, trzeba jej to wyperswadować. Nie może jechać do Saint-Germain, musi natychmiast uciekać. – Jedna z uczennic przyniosła już swej chlebodawczyni jej czarny płaszcz i kapelusz, druga ruszyła do drzwi.

– Nie trzeba! – zawołałam. – Mam przecież powóz. Pojadę z tobą do madame. Jeśli ta wróżba ma ją powstrzymać, muszę sama jej opowiedzieć, co widziałam. Poślijcie tylko kogoś do mego domu, czekają na mnie. Powiedzcie, że wrócę później.

– Ach, chodzi o tego mężczyznę, z którym sypiasz – rzuciła oschle La Trianon, marszcząc z niesmakiem nos. – Niech poczeka. Czekanie dobrze im robi.

– Może innym, on pójdzie mnie szukać. Przy okazji może również wykryć, na co się zanosi.

– Nie dość że mężczyzna, to jeszcze sprytny. Narobiłaś sobie kłopotu.

– Dajmy temu spokój, nie ma czasu. – Pozostało mi jeszcze tyle przytomności umysłu, by w drodze do powozu zgarnąć z lady butelki z kordialem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

– Proszę, proszę! Czemu zawdzięczam ten honor? – powitała nas Wielka Wiedźma. Z rękami na biodrach i zaczepnie przechyloną głową stała przed swoim gobelinem ze skruszoną jawnogrzesznicą, mierząc nas obie spojrzeniem, jakim można by obdarzyć kupca, kiedy ten spóźni się z dostawą. Jej najmłodsze dziecko, zabezpieczone przed upadkiem długim sznurem przytrzymywanym za końce przez piastunkę, bawiło się koło ognia ptaszkiem na patyku, który głośno trzepotał drewnianymi skrzydłami. Jeden z burych kotów madame zaczął ocierać się o moje nogi. Z kąta podejrzliwie spoglądali na nas stary Montvoisin i jego córka.

– Catherine, musimy pomówić bez świadków – zaczęła La Trianon tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Idąc za madame do gabinetu, podchwyciłam spojrzenie jej męża; zaraz potem skrzyknęła podłoga. Aha, liczy, że uda mu się nas podsłuchać. La Voisin zamknęła drzwi, zapaliła świece od żarzących się na kominku główni, na koniec zasłoniła jedyne okienko ciężką szkarłatną kotarą.

– No, jesteśmy same, możecie mówić. Mam tylko nadzieję, żeście nie przyszły tu po to, aby mnie odwieść od mego wielkiego dzieła. – W świetle świec jej czarne oczy gorzały ogniem niby dwa rozżarzone węgle. Przeszły mnie ciarki. W tych oczach tliło się szaleństwo.

– Catherine, nasza markiza zobaczyła w czarze straszny obraz. Spalą cię na stosie.

– Co? Ach, ty nędzne stworzenie, kto ci kazał mieszać się w moje sprawy? – przez twarz La Voisin przemknął grymas wariackiej furii.

– Nie, Catherine, to nie ona, to ja. Wiesz przecież, że leży mi na sercu twoje dobro. Czyż nie jestem twą najstarszą przyjaciółką?

– Byłaś, ale to się skończyło. Bo i czego ty dla mnie chciałaś? Małości i bezpieczeństwa. Żeby nigdy nie wyszła poza twoje ciasne opłotki. Czyniłaś wszystko, by mi stanąć na drodze do wielkości. Pamiętasz pierwszą czarną mszę dla Montespan? Ona zdobyła dzięki temu króla, dla mnie był to początek wielkiej fortuny, a ty? Zawsze próbowałaś mnie powstrzymać od wszystkiego, co przynosi chwałę.

– Madame – zaczęłam ją błagać – porzuć swój zamysł. Ratuj siebie, ocal nas wszystkie.

– Ha, odezwała się amatorka miękkich pierzyn, dobrego wina i łatwych kochanków! O, tobie to już na pewno wielkość nie była pisana! Głupio zrobiłam! Powinnam cię była wtedy pozostawić w tym śniegu!

– Madame, widziałam cię w płomieniach!

– A niby kiedy ma zapłonąć ten ogień? Jutro czy za rok? A może dopiero za lat dziesięć? Twoje wizje są ułomne. Pokazują za dużo i zarazem za mało. Skąd wiesz, czy nie zostanę spalona za coś zupełnie innego? A zresztą nie zamierzam walczyć z przeznaczeniem! Przyjmę je z otwartymi ramionami, podobnie jak moją wieczystą sławę!

– Madame, obrazy przyszłości można zmienić! Musisz tylko pójść inną drogą. Bóg wyznacza nam losy, lecz daje też wolną wolę. Istnieje wybór...

– Phi! A cóż to znowu za bzdury! Nie dziwota, że demon cię nie chciał. Żyjesz książkami, mademoiselle, a nie prawdziwym życiem. Bóg, dobre sobie! Znalazła się specjalistka od teologii! Zdaje ci się, żeś połknęła wszystkie rozumy? O nie! Dlatego zrobię wszystko, by dokonać swego wielkiego czynu! Zobaczysz, doczekam się za to...

– Śmierci, madame.

– Mylisz się, głupia! Szacunku. – Wyprostowała się na całą swą wysokość i dumnie odrzuciła głowę. Nozdrza miała rozdęte, oczy Pełne ognia. Słowo „szacunek” zdawało się trwać i wibrować w nagle Zapadłej ciszy.

– Szacunek? – wybuchnęła La Trianon. – I po to narażasz nas wszystkie?

La Voisin uśmiechnęła się konspiracyjnie i machnęła ręką, jakby chciała tym gestem odegnać nasze wątpliwości.

– Uspokój się! Są w tym i wielkie pieniądze. – Znow stała się dawną sobą: sprytną, nieco ironiczną gospodynią, co to dobrze ogląda każdy grosik, nim go wyda na świecę czy mydło. – Czasy są ciężkie, a ja muszę wyżywić dziesięć gąb. Czym mam je nasycić, co? Powietrzem? Filozofią? A może dobrymi chęciami? Muszę o nie zadbać i zadbam. O was także. Kiedy będzie po wszystkim, wyjadę do Anglii, jego miłość mnie tam oczekuje. Pieniądze La Montespan osłodzą moje wygnanie...

– Więc ty chcesz uciec, wiedząc, że my nie możemy? – wykrzyknęła La Trianon przerażona tą jawną zdradą.

– Daj spokój, ja to traktuję inaczej. Kiedyś przecież trzeba wycofać się z interesów. I to za mną pognają psy gończe, was nikt nawet nie zauważy. Przycupniecie gdzieś sobie na chwilę, i to wszystko. Mnie też nic nie zrobią, bo i tamtejszy król, i możni będą mnie dobrze osłaniać. Potem policja da spokój. Rządy obejmie delfin, ta wielka, głupia góra sadła, i śledztwo się skończy. Cała polityka się zmieni. Nie, nikt mnie nie spali ani za to, ani za nic innego. Bo jak

znajdę się już za granicą, będę miała dość czasu, aby zmienić obraz swoich losów – zakończyła z zadowoloną miną. Spojrzała na mnie i pokiwała głową z głębokim politowaniem: – A nasza markiza znów narobiła tylko zamieszania.

– Więc żadna moja prośba nie odwiedzie cię od tego planu? – żałośnie spytała La Trianon.

– Nie. Wracaj do domu i kładź się spać. Nerwy odmawiają ci posłuszeństwa. Do wielkich przedsięwzięć trzeba siły ducha, a tobie zawsze jej brakowało. Ty też, mademoiselle, wracaj do swego opium i swoich puchów. Używaj sobie z tym nędznym karciarzem i przestań zawracać mi głowę. No, idźcie już, prędzej! Muszę jeszcze ułożyć plany. – Otworzywszy drzwi gabinetu, zaczęła nas wypędzać niczym stadko natrętnych kurcząt.

Poczułam, że ktoś ciągnie mnie za rękaw. Z mroku pod drzwiami wyłonił się Montvoisin.

– Nie przekonałaś jej – wyszeptał.

– Niestety. – La Trianon obrzuciła skuloną postać spojrzeniem pełnym niechęci i majestatycznie odpłynęła do salonu, aby tam na mnie zaczekać.

– A więc jesteśmy zgubieni, ja, moja córka i wnuczek. Nie mam ani sou gotówki. Wszystko pozamykała ze strachu, że zdradzimy ją przed policją, a sami umkniemy. Mój Boże, ja miałbym ją zdradzić? Ale uciec, o tak, owszem. Wziąłbym moje dzieci i zaszył się z nimi gdzieś na wsi. Catherine to szalona kobieta, ona nas zniszczy! Nie masz przypadkiem przy sobie pieniędzy? Chociaż stu liwrów? Pożyczylbym je tylko, mam dobrą gwarancję. Szmaragdy, diamenty, wszystko luzem. Warte są dużo więcej niż sto liwrów, daję ci na to słowo. – Był tak jakoś wstrętnie żaloszny, że ścierpła mi skóra.

– Nie mam tu takiej sumy, ale zobaczę w domu... Nie powodzi mi się teraz tak jak kiedyś – za wszelką cenę chciałam uciec od jego skamlań. Niechby chociaż puścił ten mój rękaw.

– Będziesz tak dobra? O, dzięki, niechaj cię Bóg błogosławi! Przyjdź jutro do południa. Jutro niedziela, Catherine będzie na mszy, o niczym się więc nie dowie. – Oderwałam od siebie jego brudne, szponiaste palce i pędem uciekłam do powozu, pociągając za sobą La Trianon.

– Uf, nareszcie! Co tak późno, madame? Twój... ee... mąż chciał nas już wysłać na poszukiwania, aleśmy mu powiedzieli, że nasza madame zazwyczaj wie, co robi. – Sylvie rozsznurowała mi gorset i wzięła się do czyszczenia mojej czarnej sukni przed powieszeniem jej w szafie. Florent leżał na łóżku udając, że nic nie słyszy. Trzymał przed sobą otwarte dzieło Tacyta.

– Och, Sylvie, jak piekielnie boli mnie głowa! Mówię ci, przeżyłam dziś straszne rzeczy.

Widziałam madame paloną żywcem, tak jasno jak teraz ciebie. Poszłyśmy z La Trianon ją ostrzec, ale powiedziała, że to bzdury i kazała nam się wynosić. I do tego jeszcze ten okropny staruch Antoine! Tak mnie złapał za rękaw, że nie mogłam się ruszyć. Chce pożyczyć ode mnie sto liwrów i ukryć się z córką i wnukiem na wsi. Na odczepnego obiecałam mu, że pomyślę, a ten z wdzięczności zaczął tak mnie całować po rękach, że obślinił mi suknię.

– Ha, teraz wiem, dlaczego szorowałaś ręce zaraz po wejściu do domu.

– A więc nadal twierdzisz, że nawiedzają cię wizje? – odezwał się Florent, odkładając książkę.

– Oj, Genevieve, Genevieve – z tymi słowy podniósł się z łóżka – rzuć wreszcie to przekłete opium! Jeśli już nie boisz się śmierci, może złękiesz się czego innego: to paskudztwo wcześniej odbierze ci rozum. – Położył mi ręce na ramionach i spojrzał w twarz: – Pamiętaj, kogo osierocisz – powiedział błagalnym tonem. – Skoro nie zależy ci na sobie, pomyśl przynajmniej o mnie!

– Florent, ja się staram... naprawdę! Również ze względu na ciebie, ale nie tylko.

– Te twoje bóle głowy są coraz gorsze – powiedział z miną pełną niedowierzania – coś ci się zwiduje... zachowujesz się jak w gorączce...

– Bo widzisz, muszę oszukiwać samą siebie. Kazałam rozcieńczać tę moją miksturę. W każdej kolejnej porcji jest coraz mniej opium. Ta obecna ma tylko czwartą część tego, co na początku. Może za miesiąc będę już całkiem wolna. Nie mogłam od razu... zabiłby mnie chyba ból głowy... a tak... też boli, ale przecież da się to znieść...

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – zapytał z czułością. – Dlaczego trzymałaś w sekrecie to, że cierpisz? Może mógłbym ci pomóc.

– Ja... bałam się... że przestaniesz mnie kochać, gdy się dowiesz, ile naprawdę biorę... wiem, jak tego nienawidzisz. Ach, a de La Reynie... ten dopiero ze mnie szydził! Szlachetny nałóg! Zabrał mi butelkę i omal mnie tym nie zabił... no i... – na samo wspomnienie tego, jak szybko de La Reynie potrafił mnie złamać, wstyd zdławił mi gardło. Poczulałam na sobie ramiona Florenta.

– I co? Myślisz, że jestem taki sam jak on? Przecież to dla mnie obraza – powiedział łagodnie. Ciepło jego ciała sprawiło mi ulgę. Zarzuciłam mu ręce na szyję i złożyłam głowę na ramieniu.

– To dlatego, że tak cię kocham, mój drogi. Dla ciebie chciałabym nie mieć żadnych wad, być prawdziwą doskonałością... – Zamknął mi usta pocałunkiem, jakby chciał powiedzieć, że żadne słowa nie są tu potrzebne.

– Dla mnie jesteś doskonałością – powiedział miękko.

– Dobranoc państwu – zawołała Sylvie, zamykając drzwi. Florent zdmuchnął świecę.

Nazajutrz Florent wstał bardzo wcześnie. Przez całe miasto niesło się bicie niedzielnych dzwonów. Był to dwunasty dzień marca roku Pańskiego 1679.

– Florent – zawołałam leniwie – czyżbyś wybierał się do kościoła? Myślałam, że chadzasz tam tylko dwa razy w roku.

– Nie, nie idę na mszę, muszę coś załatwić. Chcę wziąć kilka rzeczy z mojego mieszkania i wysłać lokaja z paroma listami. – Nie wiem czemu, ale mu nie uwierzyłam, co zresztą było bez znaczenia; nie miałam zwyczaju wnikać w jego dziwne interesy. Czasami na przykład otrzymywał listy, które natychmiast po przeczytaniu skrupulatnie palił, pilnując, by pozostał z nich tylko popiół. Miał również osobliwe mosiężne koło z dwoma rzędami ruchomych liter, które kładł nieraz przed sobą, gdy coś pisał. Nie pytałam o nic, wychodząc z założenia, że im mniej wiem, tym mniej mogę powiedzieć. Zaczął już schodzić do wyjścia, gdy znienacka rozległ się „diabelski” głos Sylvie:

– Stój, śmiertelniku! Astarot ułożył dla ciebie plany.

– O, do licha! Mogę ci poświęcić tylko chwilę, ty nudny diable. Spieszę się.

– Zaczнешz spieszyć się jeszcze bardziej, kiedy posłuchasz mych rad.

Ogarnęła mnie irytacja. Florentowi mogło nie zależeć na śniadaniu, ale mnie owszem, Astarot zaś najpewniej odmówi świadczenia podobnych usług.

Stało się, jak przewidywałam. Narzuciwszy luźną domową szatę, zavezwałam Gilles'a i zesłam do kuchni przeszukać kredens. Ani śladu masła. Chleb był wczorajszy, kiełbasa sucha jak kość, ser zdążył do połowy spleśnieć, a na konfiturach utworzył się jakiś podejrzany kożuch. Wygarnęłam odrobinę od spodu, zeszkrobawszy wprzód ów nalot, po czym ukroiłam sobie kromkę chleba.

– Proszę o kawę, madame, zmielę ją – zaofiarował się Gilles. Żal było na niego patrzeć.

– Nie ma mleka? Dobrze, wypiję po turecku.

– Ten Astarot to istny krzyż Pański.

– Lepiej zajrzyj do konwi – odezwał się Mustafa ze swego miejsca na ławie. – Astarot nie zwykł też nosić wody. – Sama zdjęłam pokrywę z kuchennego zbiornika i spojrzałam w jego zielonkawą czelusć.

– Jest pełny... – Już wypowiadając te słowa zobaczyłam formujący się w wodzie obraz... ciemny i niezbyt wyraźny.

– Madame, proszę, oto czerpak.

– Cicho, Gilles, spójrz na nią. Znów coś widzi – szepnął Mustafa.

Jakiś czarny powóz stał przy otwartych wrotach świątyni. Kościół Zwiastowania Najświętszej Marii Panny. Do powozu siłą wsadzano jakąś kobietę, podczas gdy kilku łuczników odpędzało napierającą cizbę. W chwili gdy mężczyzna popchnął kobietę na siedzenie i sam zajął miejsce naprzeciw, zobaczyłam twarze: Desgrez i La Voisin.

– To dziś – wyszeptałam. – Muszę ją ostrzec. Nie wolno jej iść do kościoła, czekają tam na nią.

– W jednej chwili zapomniałam o śniadaniu. – Sprowadźcie powóz! – krzyknęłam, zrywając się z krzesła – Sylvie, ubranie, prędko!

– Madame, powóz wziął monsieur d'Urbec.

– O, do diabła! Sprowadźcie więc, co się da! Och, wszak to niedziela, rozpacz! Do licha, do licha! Znajdźcie kogoś, róbcie coś! Muszę zdążyć do Bonne Nouvelle przed sumą! – Gilles już był za drzwiami, gdy z salonu rozległ się krnąbrny głos Sylvie:

– Astarot nie będzie sznurował babskich gorsetów.

– A żeby was zaraza, ciebie i twego piekielnego demona! – krzyknęłam, biegnąc na górę. Drżącymi z pośpiechu rękami uporałam się jakoś z koszulą. Suknia... Niewiele myśląc wdziałam na siebie luźną domową szatę z wełny w kolorze indygo, włosy zaś byle jak upchnęłam pod biały płócienny czepek. – No, przynajmniej głowa wygląda jak trzeba – mruknęłam, wcisnąwszy na wierzch swój szerokoskrzydły kapelusz. Narzuciłam na ramiona ciężki płaszcz i pędem wybiegłam na dwór, gdzie na szczęście zastałam winegretkę.

– Powiedziałem temu człowiekowi, że ma święty obowiązek zawieźć na mszę biedną ułomną kobietę – wyjaśnił przepraszająco Gilles.

– Kościół Zwiastowania! – rzuciłam z pośpiechem. – Podwoję ci stawkę, jeśli mnie tam dowieziesz przed sumą.

Dotarliśmy jednak na rue Bonne Nouvelle dopiero gdy rozległy się dzwony na koniec nabożeństwa. Zapłaciłam właścicielowi winegretki i kazałam mu czekać; w tym momencie w otwartych drzwiach świątyni pojawiły się pierwsze grupki rozplotkowanych wiernych. Zaczęłam mozolnie przepychać się pod prąd do środka, kiedy przed kościół zajechał czarny

powóz. Co prędzej skryłam się za plecami rozłożystej jejmości w półżalobnym stroju; zobaczyłam, że łucznicy zajmują pozycję, a Desgrez w towarzystwie drugiego agenta zmierza prosto ku drzewom.

I oto wyszła z nich madame – jakże elegancka w swojej pięknej zielonej sukni, kapturze i szerokiej, bramowanej futrem opończy. Ręce trzymała w takiej samej futrzanej mufce. Jej zgrabne buciki z kozłej skóry chroniły od błota specjalne chodaczki na drewnianej podeszwie ze sprytną cholewką z drucianej plecionki. Na widok Desgreza nie zwolniła kroku, lecz uniósłszy podbródek rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. Takim wzrokiem dobra pani domu mierzy niedbałą sąsiadkę, gdy zobaczy w jej kuchni myszy. Tłum przystanął, wężąc sensację.

– Madame Montvoisin to pani? – spytał Desgrez.

– Tak, to ja.

– Aresztuję cię zatem w imieniu króla.

Tłum wydał wrogi pomruk.

– Co robisz? – rozległ się kobiecy okrzyk. – Wszak to uczciwa osoba! Ma na utrzymaniu starą matkę!

– Prawda! – ozwały się inne głosy.

– Zamknij sobie własną matkę, ty psie policyjny! – krzyknął jakiś mężczyzna.

– Łucznicy! – padł rozkaz Desgreza. – A wy, rozejść się! Szybko, bo każę do was strzelać jak do buntowników! Przeszkadzacie królewskiemu wymiarowi sprawiedliwości! – Łucznicy ruszyli rozpędzać ludzi, a Desgrez i jego towarzysze wepchnęli madame do powozu. Zaskoczenie spętało mi ruchy – J** moSIO stać sie to tak szybko> tak pewnie? De La Reynie pokrzyżował zamysły madame de Montespan. Na placu de Greve rychło zapłoną stosy, a Desgrez, nie mrugnawszy okiem, będzie ich pilnował, póki resztki poczerńiałych popiołów nie rozwieją się z wiatrem. Oto koniec wielkiej Królowej Czarownicy.

Strach ścisnął mi nagle gardło: rejestry! Roztrącając ludzi rzuciłam się w stronę swojej winegretki, tylko po to, by stwierdzić, że zniknęła. Pewnie już na sam widok policji. Nie bacząc na wiosenne błoto, co sił pokuśtykałam pieszo na rue Beauregard. Za późno. Na drzwiach widniały pieczęcie, obok stało dwóch uzbrojonych strażników. Postanowiłam przemknąć się chyłkiem do bocznego wejścia, gdy czyjeś potężne ramię opasało mi kark. Ktoś zatkał mi dłońią usta i zaczął ciągnąć w stronę pobliskiego zaułka.

- Cicho, ty szalona! Wiedziałem, że tu przyjdiesz.
- Florent! – próbowałam wymamrotać, na co mocniej przycisnął mi usta.
- Żadnych imion! – syknął. – Tu roi się od policji. Powóz stoi niedaleko. Tędy, i cicho! – Przebiegliśmy jak koty przez wąski zaułek uchodzący w ulicę de la Lunę, gdzie czekał mój powóz. Florent popchnął mnie na siedzenie i sam padł obok.
- Rejestry... moja umowa... jestem zgubiona!
- Nic się nie martw, i tak wyjeżdżamy.
- To na nic, Florent. Policja zna mnie zbyt dobrze. Na wszystkich rogatkach mają mój rysopis. Po tym, co widziałam, nie ma się co łudzić: wydano już rozkaz, by mnie aresztować. Bierz wszystko i uciekaj, to jedyne wyjście. Mnie nic już nie będzie potrzebne, Bog mi świadkiem.
- Genevieve, co ty wygadujesz?

Wczepiłam się w niego i zaczęłam szlochać:

- Uciekaj natychmiast! Nie chcę, byś przeze mnie stracił życie! Kiedy znów się ożenisz, nadaj moje imie córce i nie zapomnij, że cię kochałam!
- Genevieve, moja najdroższa - powiedział tklawie, przytulając mnie do piersi – myślisz, że mógłbyś wyjechać bez ciebie? Nigdy! Mam twój kontrakt i rejestr z literą „P” – Po to właśnie wyszedłem tak rano. Kupiłem je od Montvoisina za sto liwrow. Kiedyś wczoraj usłyszałem, co mówisz, pomyślałem, że to nasza wielka szansa.
- Ty kupiłeś te dokumenty? Naprawdę je masz? ~ Nie mogłam wprost w to uwierzyć; z głuchobiją sercem czekałam na jego odpowiedź.
- Cóż, należałoby raczej nazwać to przekupstwem. Wpuścił mnie do gabinetu, gdzie już sam włamałem się do szafy. Zamki poszły mi gładko... Jako syn zegarmistrza niezłe znam się na mechanizmach.
- To znaczy, że Montvoisin zdołał uciec? A Marie-Marguerite?

Florent przecząco pokręcił głową:

- Obawiam się, że nie. Stał na czatach przed gabinetem, kiedy usłyszałem pukanie od frontu. Zdążyłem tylko związać mój łup w koszulę i wyskoczyć oknem, omal nie łamiąc sobie nóg. Miałem szczęście, bo jak stwierdziłem później, była to jedyna droga ucieczki. Pod wszystkimi drzwiami, a jest ich troje, stała policja. Dałem nura przez mur do sąsiada i tak wydostałem się na ulicę. Widzisz? Zniszczyłem sobie spodnie.

– O Boże! – serce we mnie zamarło na samą wieść o tym, jak niewiele brakowało, aby go ujęto.

– Już miałem odejść, gdy nagle uderzyła mnie myśl, że ty sama możesz się tu zjawić, by wydobyć od madame swój kontrakt. Po tym, co ostatnio mówiłaś, wydało mi się to nader prawdopodobne...

– Wybiegłam, żeby ją ostrzec, bo miałam wizję... Zobaczyłam, że ją aresztują... po nabożeństwie.

– Cała ty! Kiedy wpadasz w panikę, zaczynasz zachowywać się niedorzecznie. I cóż by to dało, gdybyś nawet powstrzymała madame od pójścia na mszę? Aresztowano by ją w domu. Przeznaczenia nie zmienisz... no, jesteśmy na miejscu.

W sypialni zastałam Sylvie przy pakowaniu rzeczy.

– Za dużo tego, za dużo! – zrzędził Mustafa usadowiony w moim wielkim fotelu. – Nie bierzemy ze sobą wozu.

– Tylko dwa niewielkie kufry i kasetkę z biżuterią madame – szybko polecił Florent. – A nie zapomnijcie o klatce z ptakiem.

– Ale suknie madame... – zaczęła protestować Sylvie.

– Zostaw wszystkie rzeczy madame de Morville. Weź tylko moją bieliznę, stroje dworskie i do tego... różową suknię, wiesz którą, czerwoną aksamitną i jeszcze tę nową z kwiatami, w niebieskie paski. Będę się musiała pożegnać ze swym sędziwym wiekiem.

– Dobrze, madame. – Posłusznie wyjęła z kufra cały wdowi przyodziewek: hiszpańską krynolinę, czarne welony, antyczne krochmalone kryzy, i ze smutkiem pokiwała nad nimi głową. Szkoda, wyraźnie mówił ten gest, tyle pieniędzy.

– Sylvie, nadeszła już wiadomość od kawalera de la Motte?

– Jeszcze nie, monsieur. – Florent fuknął gniewnie i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Stało się coś złego?

– Nie, nie, zaraz ci wytłumaczę. – Wciągnął mnie do antykamery i zamknął drzwi. – Jak wiesz, mój pierwotny plan spalił na panewce, ale Lamotte poprzysiągł zrobić, co w jego mocy.

– Lamotte?

– Właśnie on. Z dnia na dzień rośnie w zaszczyty i sławę, a mnie winien jest więcej, niż zdolny byłby zapłacić. Miał oczywiście łzy w oczach, gdy składał mi swe obietnice, lękałam się jednak

trochę... Oboje wiemy, jaki jest ten nasz Andre: wzruszenie i łzy rześiste ma na zawołanie, tylko żeby jeszcze można było na nim polegać! Do diabła! Gdybyśmy mogli czekać do Wielkanocy, sprawa byłaby prosta. Na dworze wystawiona zostanie jego nowa sztuka, co siłą rzeczy będzie wymagało dozoru autora i wypożyczenia w tym celu jednego z powozów księżnej de Bouillon.

– Ha, doskonały pomysł! Zwykle powozy kontrolowane są bardzo dokładnie przy wyjeździe z Paryża, ale tych z herbami wielkich rodów policja nie zatrzymuje. Nawet im na myśl nie przyjdzie pytać, kto siedzi w środku czy też prosić o odsłonięcie okien.

– Tak jest, tylko że my powinniśmy już teraz wyjeżdżać. Przez usunięcie twoich dokumentów z mieszkania La Voisin zyskujemy najwyżej parę dni. Potem wezmą ją na tortury. Należałoby już wtedy być daleko.

– Tymczasem mamy Wielki Post i... nie gra się żadnych sztuk.

– Wiem o tym. Dlatego prosiłem Lamotte'a, żeby wymyślił jakiś pretekst, i czekam na jego odpowiedź.

Pod wieczór przybył posłaniec z listem:

„Mój przyjacielu, usilnie starałem się coś wymyślić, nic mi jednak nie przyszło do głowy. Zapaliłem w katedrze świecę na Waszą intencję. Niechaj Bóg w swojej łasce jak najrychlej wybawi Was z tej opresji.”

– Och, ten żalorny Andre! – wykrzyknął Florent, ciskając zmięty list w ogień. – Oto, na co stać jego ptasi mózdzek! Kompletne zero! – Zamilkł i z widoczną wściekłością zaczął biegać po pokoju.

– Genevieve, istnieje już chyba tylko jeden sposób. Musimy każde oddzielnie wydostać się z Paryża, rzecz jasna, w przebraniu. Spotkamy się potem w Calais.

– A co z moją służbą?

– Obawiam się, że będziesz zmuszona ich zostawić. Po nich najłatwiej cię rozpoznać – urwał, widząc moją minę. – Może nieco później uda im się przemknąć w stosownym przebraniu – dodał po chwili, pragnąc mnie uspokoić.

– Nie wyobrażam sobie, jak można przebrać Mustafę, Gilles'a zresztą również. A do tego jeszcze Sylvie, która nie wiadomo kiedy odezwie się diabelskim głosem. Zdradzi się w mgnieniu oka. Zostawić zaś ich tutaj to skazać na pewną śmierć.

– Przepraszam, Genevieve – powiedział Florent ze skrucą. Widać było, że jest mu wstyd. – Wiem, że zachowuję się samolubnie, lecz nie widzę innego wyjścia. Nie mogę cię stracić, zrozum, to ponad moje siły.

Teraz ja zaczęłam myśleć. Im dłużej myślałam, tym natrętniej stawały mi przed oczyma lochy Chatelet. Miałabym dla ratowania siebie wtrącić tam mych przyjaciół? Miałabym tak ich zdradzić? Nie byłabym wtedy ani trochę lepsza od La Voisin.

– Słuchaj, Florent – powiedziałam w końcu – przyszedł mi do głowy pewien pomysł, aczkolwiek nie całkiem uczciwy. – Zasiadłam przy biurku i wzięłam się do pisania listu. – Kiedy mógłbyś go doręczyć madame de Montespan? Jest w Wersalu.

– Mogę zaraz wskoczyć na konia i jechać nocą, mamy dziś księżyc. Na jakiej podstawie jednak sądzisz, że ta dama zechce ci pomóc?

– Ponieważ zechce pomóc samej sobie – odrzekłam nieco wykrętnie. – Piszę jej o aresztowaniu La Voisin, proponując zarazem swą pomoc... mój dar jasnowidzenia. Niech tylko zgodzi się zobaczyć ze mną osobiście, a z pewnością potrafię ją przekonać co do reszty. – Florent nie pytał o więcej, tylko krzyknął, by podano mu płaszcz i kapelusz. Po chwili zniknął mi z oczu w zapadającym zmierzchu.

Wrócił nazajutrz o świcie; padł na łóżko jak stał i momentalnie zasnął. Spał jeszcze, gdy zjawiała się mademoiselle des Oeillets. Weszłam do salonu w chwili, gdy Sylvie odbierała od niej płaszcz i maseczkę.

– Madame de Montespan przybyła właśnie do Paryża. Pędziłyśmy bez wytchnienia na wieść o aresztowaniu La Voisin.

Udawałam niewzruszony spokój, choć bynajmniej się tak nie czułam.

– Czym mogę służyć madame?

– Potrzebna jej wróżba. – Sylvie na te słowa dyskretnie ulotniła się z pokoju.

– Chodzi o przyszłość?

– To także... Madame pragnie jednak przede wszystkim odnaleźć... hm... pewną zgubę.

– Co to takiego? Nie z każdą zgubioną rzeczą idzie mi równie dobrze. Najlepiej odnajduję klejnoty i... zwłoki. – Udawałam, że nie wiem, o co chodzi, by ją nieco pociągnąć za język.

– Tym razem będą to... hm... pewne dokumenty. Być może jakaś księga. Madame de Montespan bardzo chce wiedzieć, gdzie znajdują się te papiery. – Świetnie. Ryba połknęła

przynętę. La Montespan pragnie odzyskać rejestr zawierający wyszczególnienie zakupionych przez nią trucizn, uroków i czarnych mszy. Boi się też śmiertelnie, że wszystko to mogło wpaść już w ręce policji.

– Jadę z panią natychmiast. Pójdę tylko na górę wziąć płaszcz. W sypialni zastałam Florenta z półprzymkniętymi oczami.

– Obudź się, mój drogi! – Jęknął. – Potrzebna mi twoja pomoc, czas nagli. – Teraz już otworzył oczy. – Madame de Montespan jest w Paryżu, właśnie do niej jadę. Złożę jej fałszywą obietnicę, że odzyskam rejestr z literą „M” w zamian za przewiezienie przez rogatki mnie i mojej służby jej herbowym powozem. Chcę, żebyś pojechał przodem, na wszelki wypadek. Gdyby coś źle poszło, ty chociaż się uratujesz. Na użytek madame wymyśliłam taką oto bajeczkę: zapłaciłam komuś z policji za wywiezienie z Paryża pewnego rejestru z szafy La Voisin. Zabezpieczam się w ten sposób na wypadek, gdyby na przykład przyszło jej do głowy kazać swoim ludziom napaść mnie i obszukać.

– Rejestr z literą „M”? – spytał Florent, pocierając ręką głowę. – Ależ ja go mam, Genevieve – usiadł powoli na łóżku z półprzytomną miną nie do końca rozbudzonego człowieka.

– Ty masz ten rejestr? Na Boga, Florent, jakim cudem?

– Wziąłem go razem z twoim.

– Ale skąd ci to przyszło do głowy? Przecież dopiero teraz dowiadujesz się o moich zamiarach? – dopytywałam się gorączkowo, wiążąc płaszcz i wciskając kapelusz na domowy czepek.

– Astarot podsunął mi ten pomysł – odrzekł krótko Florent.

– Co takiego? – Widziałam, że moje zdumienie sprawia mu nie lada uciechę. Oprzytomniał już całkiem i zaczął zapinać koszulę.

– Ten Astarot to chytra sztuka, chytrzej sza nawet od Sylvie, która jako żywo nie zwykła marnować okazji, kiedy w grę wchodzi jakikolwiek profit. I tak to się stało. Astarot przemówił, a ja w lot kupiłam jego trafną sugestię. – Podeszedł do lustra, krytycznie przyjrzał się kępkom zarostu na szczęce, po czym nalał do miski wody i ochlapał nią sobie twarz.

– Jak więc radzisz to rozegrać?

– Zaproponuj madame de Montespan, żeby wysłała z tobą zaufanego człowieka... Byłoby jeszcze lepiej, gdyby sama zechciała ci towarzyszyć do zajazdu „Pod Świętym Piotrem”. To dwie mile od Paryża przy drodze do Calais. Powiedz, że tam czeka człowiek, który jest w

posiadaniu owych dokumentów, madame może je więc od razu własnoręcznie spalić. – Mój Florent, pomyślałam z podziwem. Jak szybko i niezawodnie pracuje jego umysł. Podchwycił mój wzrok i posłał mi w odpowiedzi spojrzenie pełne uznania. Byliśmy jak dwie połówki tego samego mózgu pracujące w jednakowym tempie i doskonałej harmonii. – Pamiętaj – przestrzegł mnie na koniec – nie wolno ci sprawiać wrażenia, że masz tę księgę przy sobie.

– Tak, oczywiście. – Zdjęłam z szyi klucz i otworzyłam tajną skrytkę za półką z książkami. – Och, będę teraz znacznie bardziej przekonująca wiedząc, że to, co mówię, jest prawdą. – Wyjęłam ze skrytki wszystkie swoje notesy i schowałam je do kaletki z czarą. Na samym wierzchu umieściłam brązowy, oprawny w skórę notatniczek, prezent od mego ojca.

– Doskonale – powiedział Florent. – Ja wezmę ze sobą swego lokaja, twój kufer ze srebrem i suknie. Pamiętaj: zajazd „Pod Świętym Piotrem”. Będę tam na was czekał. – Skinęłam głową i zasunawszy półkę, pospieszyłam do wyjścia.

W rezydencji na rue Vaugirard tym razem bez żadnej zwłoki wprowadzono mnie przed oblicze La Montespan. Madame, wyłamując sobie palce, nerwowo przechadzała się po pokoju, jakby chciała wydeptać ścieżkę pod olbrzymim gobelinem przedstawiającym Józefa i jego braci. Miała na sobie zieloną „fruwającą” suknię, a z jej zwykle nieskazitelnej koafiury pozostały żalodne strąki bezładnie opadające na czoło. Na sukni widać było kurz – nie zdążyła nawet jeszcze przebrać się po podróży. Naszła mnie obawa, że pierścienie lada chwila potną jej palce, tak kurczowo zaciskała dłonie.

– Madame – powiedziałam z niskim ukłonem – ufam, że potrafię pomóc ci w kłopotach. Szukasz, pani... ach... pewnych dokumentów?

– Tak, tak, bardzo szczególnych. Podobno umiesz odnaleźć różne zaginione rzeczy. Ja... muszę wiedzieć, gdzie się znajdują...

– Czy te papiery to księga rachunkowa La Voisin?

Podbiegła i wpiła mi się paznokciami w ramię.

– Tak! – szepnęła.

– Mogę ją dla pani zdobyć... pod pewnym warunkiem – powiedziałam cicho, nie chcąc, by nas ktoś podsłuchał.

– Pojadę sama – szepnęła, gdy skończyłam. – Nie mogę ryzykować, by ta rzecz wpadła komuś w ręce. – Jej oczy, teraz już spokojniejsze, przybrały wyrachowany wyraz. – Bystra z pani osoba, madame de Morville.

– Och, po prostu szczęśliwym trafem miałam... odpowiednie znajomości. Teraz moim największym pragnieniem jest już tylko jedno: spokojnie osiąść gdzieś na wsi. Kupię niewielki domek i zacznę hodować pszczoły. – Niech myśli, że ci znajomi to urzędnicy policyjni sprawujący pieczę nad dokumentacją. Dość często zdarzało im się sprzedawać różne papiery. Czemu i tym razem nie obarczyć ich winą?

Roześmiała się krótko i ostro.

– Domyślam się, że tak kochasz pszczoły jak i ja, madame de Morville. Mimo to życzę ci szczęścia we wszystkich planach, jakiegokolwiek one są. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

– Chcesz poznać, pani, swą przyszłość?

– Swoją śmierć, madame. Chcę wiedzieć, jaka ona będzie.

– Proszę zatem o zapłatę z góry. Taki mam zwyczaj.

Usiadłam przed czarą z pewnym lękiem: a jeśli śmierć ta okaże się tak okrutna lub tak już bliska, że madame przestanie zależeć na dokumentach? Na szczęście me obawy były płonne. Obraz, który wypłynął z dna czary, ukazał mi osobę w bardzo podeszłym wieku.

– Madame, czeka cię jeszcze długie życie. – Czas doszczętnie zrujnował jej słynną kompleksję: wyglądała teraz jak papierek zgnieciony rączką swawolnego dziecka. Staruszka spoczywająca na olbrzymim łożu z baldachimem zdawała się drzemać.

– Pani łoże osłaniają bogate kotary, a sypialnia to wielka komnata w jakimś zamku, którego nie rozpoznaję. Na wprost wisi portret naszego króla. – Wyglądało mi to na wygnanie.

– Ach! – wykrzyknęła. – Więc on wciąż należy do mnie!

– W komnacie widzę liczne towarzystwo: kilka dam gra na instrumentach i śpiewa. Są też inne, zajęte haftem i rozmową. – Cała ta scena sprawiała dziwne wrażenie. Za oknem była już późna noc, a jednak pokój jarzył się od świateł, zupełnie jakby madame bała się ciemności. Wszystkim damom głowy kiwały się ze zmęczenia. Pomarszczone powieki leżącej uniosły się nagle, w prastarych oczach błysnęła panika. Krzyknęła coś w stronę kobiet, które natychmiast znów podjęły śpiew. Teraz zrozumiałam: wynajęto je po to, by muzyką i gwarem odpędzały precz nocne strachy.

– Jestem więc kochana – westchnęła madame de Montesperan.

– Najwyraźniej.

– Zatem twój plan się powiedzie. Tak! Nie traćmy czasu! Mademoiselle des Oeillet, niech

zajeżdża mój wielki powóz! Ma mi towarzyszyć czterech lokajów, trzech forysiów i' cała moja konna gwardia. Wszyscy w pełnych liberiach! Szybko! Ty też ubierz się okazale. Jedziemy za miasto, gdzie mam do załatwienia coś bardzo ważnego! Będziesz mi towarzyszyć!

Gdyśmy już usadowiły się wszystkie na wygodnych powozowych poduszkach krytych kosztownym aksamitem, spytała mnie z ciekawością:

– Skąd wiedziałaś, czego będę chciała? Jak ci się udało tak szybko spełnić me życzenie?

– Czara wyroczni – powiedziałam tajemniczo. – Ona ukazała mi drogę ocalenia dla nas obu. – Skinęła głową. Widać było, że wierzy mi bez zastrzeżeń.

Przystanęliśmy na krótko przed moim domem, gdzie natychmiast otoczyła nas chmara małych chłopców z całej rue Charlot: przybiegli podziwiać wytworny ekwipaż i wspaniałą eskortę w srebrno-błękitnych liberiach. Forysie odgradzili gromadkę malców od narowistych koni, a lokaje wraz z Gilles'em wynieśli mój bagaż. Sylvie, taszcząc w jednym ręku jakiś worek, drugą wręczyła mi klatkę z papugą, Mustafa zaś, przyodziany w całą swą turecko-książęcą świetność, zamknął drzwi na klucz. Powóz ruszył. Widać już było mury Paryża, gdy madame na tyle przewyciężyła swą odrazę do ptaka, że zdecydowała się wykrztusić:

– Czy... czy to... stworzenie... umie mówić?

– Piekło i potępienie! – oznajmił Lorito. Właśnie podniesiono przed nami barierę i powóz minął roгатkę.

– Dostyc niezwykle słownictwo – zauważyła La Montespan. Rozsunęła zasłonki, by wpuścić do środka powietrze i światło. Powóz rozkołysał się mocno i zaczął rytmicznie turkotać – konie poszły wyciągniętym klusem. Byliśmy za miastem.

– Czegóż można się spodziewać po ptaku, który tak dobrze znał La Voisin? – rzuciłam niefrasobliwie. Przepelniała mnie radość. „On na ciebie czeka!”, śpiewało me pijane ze szczęścia serce, a cały umysł żywił się w tej chwili tylko jednym: wspomnieniem ciemnych męskich oczu.

NOTA HISTORYCZNA

La Voisin i inne paryskie czarownice są postaciami historycznymi. Informacje o życiu i czynach tych kobiet pochodzą z ich własnych zeznań złożonych na torturach w trakcie głośnej podówczas „Sprawy trucizn”. Protokoły, o których mowa, wywołują liczne kontrowersje, a poszczególni historycy do dziś szukają w nich dowodów na poparcie całkiem niekiedy przeciwstawnych tez o przynależności bądź nie-przynależności wybranej postaci do owej przypominającej pajęczą sieć organizacji, opartej na truciicielstwie, spiskowaniu i czarach. Niektórzy autorzy skłonni są w niej widzieć klasyczny sabat czarownic, inni się z tym nie zgadzają. Mnie wydaje się ona czymś pośrednim między „korporacjami” zrzeszającymi przedstawicieli ówczesnych rzemiosł a jakąś swoistą strukturą skupiającą jednostki działające na zasadzie koncesji – i tak też ją opisałam.

Dokumenty obciążające madame de Montespan, a pośrednio i innych członków arystokracji, przechowywane były w osobnej opieczętowanej szkatułce i zostały spalone przez samego króla Ludwika XIV. Mimo to wielka faworyta definitywnie utraciła już wtedy względy monarchy i zmarła na wygnaniu z dala od dworu. Z jej następczynią, madame de Maintenon, król zawarł podobno potajemne małżeństwo po śmierci swej koronowanej małżonki. Wyniesienie pani de Maintenon zapoczątkowało okres dewocji, sztywnej ceremonialności i gwałtownych prześladowań religijnych.

Mademoiselle de Fontanges zmarła wkrótce po położeniu; taki sam los spotkał jej dziecko. By uciszyć pogłoski wywołane zeznaniami świadków przed specjalną komisją, jakoby za tę śmierć odpowiedzialna była madame de Montespan, która miała rzekomo zlecić niejakiemu Romaniemu otrucie swojej rywalki, król, aczkolwiek niechętnie, pozwolił dokonać autopsji. Medycyna nie dysponowała wówczas skutecznymi metodami wykrywania trucizn, tak więc lekarze orzekli, iż zgon panny de Fontanges nastąpił z przyczyn naturalnych, kładąc tym samym kres nader kłopotliwej sprawie.

Hrabina de Soissons, ostrzeżona przez króla o rychłym aresztowaniu, zdążyła uciec pod osłoną nocy. Wędrowała potem po całej Europie, znacząc szlak swych podróży licznymi wypadkami tajemniczych zgonów.

Diuszesa de Bouillon przybyła na swój proces w asyście dwudziestu powozów wiozących jej arystokratycznych stronników. Oskarżona o zamiar otrucia męża w celu poślubienia kochanka, pojawiła się na sali sądowej pod rękę z obu zainteresowanymi; oświadczyła, że na własne oczy

oglądała diabła i że miał on oblicze pana de La Reynie. Król skazał ją na wygnanie na podstawie lettre de cachet.

Primi Visconti przetrwał skandal bez szwanku; napisał później plotkarskie wspomnienia o dworze Ludwika XIV.

La Voisin spalono żywcem na placu de Greve 22 lutego roku 1680. Na torturach nie przyznała się do winy, odmówiła też zwyczajowego aktu skruchy w katedrze Notre Dame, a tuż przed przykuciem do słupa odepchnęła podobno kapłana.

La Trianon i La Dodee popełniły w więzieniu samobójstwo.

La Bosse żywcem spłonęła na stosie, La Vigoreux zmarła zaś podczas tortur.

Marie-Marguerite Montvoisin, ojciec Guibourg, Le Sage, Romani oraz pozostali świadkowie praktyk madame de Montespan nie zeznawali w procesie; z obawy przed rewelacjami, które mogliby ujawnić, uwięziono ich dożywotnio – incommunicado. To samo spotkało wszystkich przypadkowych więźniów, którzy mieli nieszczęście przez jakikolwiek okres dzielić z nimi cele.

Gabriel Nicolas de La Reynie uważany jest za twórcę i organizatora nowoczesnych sił policyjnych.

Wilhelm Orański i księżniczka Maria wstąpili na tron angielski w rezultacie przewrotu pałacowego zwanego Wspaniałą Rewolucją (1688 – 89), kiedy katolicki monarcha Jakub II Stuart zmuszony został udać się na wygnanie.

Król Ludwik XIV zmarł w roku 1715, przeżywszy swego syna i dwóch wnuków. Sukcesję po nim objął dopiero prawnuk znany jako Ludwik XV.

Załamanie finansów państwa, przewidywane na rok 1709 przez Sebastiena le Prestre de Vaubana, wielkiego patriotę, żołnierza i administratora, dokonało się w całej rozciągłości na końcu osiemnastego wieku.